

James Jones

Wesoły miesiąc maj

(Przełożył: Jan Zieliński)

P. C. Braun-Munkowi, bez najmniejszego powodu. Cześć, Eugen!

Oraz Addie von Herder, baronowej, od której nauczyłem się wszystkiego, co wiem o Europejczykach. Oy, vay, Addie!

Rozdział pierwszy

Cóż, wszystko skończone. Odeon padł! A dziś, to znaczy szesnastego czerwca, w niedzielę, policja na rozkaz władz wkroczyła na Sorbonę, wykorzystując pogłoskę, że jakoby dźgnięto tam kogoś nożem: wykrętny pretekst, mający na celu przejęcie uniwersytetu z rąk studentów. Po południu doszło do zamieszek, ale policja bez większego trudu dała sobie z nimi radę. I tyle. A ja siedzę przy oknie i patrzę na rzekę, skąpaną w charakterystycznym dla Paryża szaroniebieskim wieczornym świetle, i zastanawiam się, co teraz? Ociężałe i niskie ołowiane niebo ciąży posępnie nad miastem; dziś wieczorem po raz pierwszy z krańca Boulevard St.-Germain i Pont Sully gaz łzawiący dosięgnął nas tutaj, na otaczanej szczególną czcią Ile St.-Louis. Wyglądając zza biurka obracam pióro w palcach i zastanawiam się, czy w ogóle warto próbować to opisać. Premier Pompidou powiedział, jak pamiętam, że „Francja nigdy już nie będzie taka jak przedtem”. Cóż, bez wątplenia miał rację, jeśli chodzi o Harry’ego Gallaghera i jego rodzinę.

Poetą jestem, jak się okazało, marnym, marny też ze mnie powieściopisarz; również w roli męża kiepsko się spisałem;– to opinia nie tylko moja, i bynajmniej nie bezpodstawna. Dlaczego zatem miałbym próbować? Chyba zresztą straciłem ochotę. A jednak czuję, że jestem im to winien. Gallagherom. Bóg jeden wie, co z nimi teraz będzie. A przypuszczalnie tylko ja jeden jedyny wiem, co się z nimi działo wtedy, gdy nastał wesoły maj. Zwłaszcza jestem to winien Louisie. Biednej, drogiej, kochanej, surowej, zagubionej Louisie.

Harry’ego i Louise Gallagherów poznałem w pięćdziesiątym ósmym, dziesięć lat temu. Właśnie powziąłem decyzję o pozostaniu w Paryżu i zamierzałem założyć mój własny przegląd „The Two Islands Review”. Marny poeta, marny powieściopisarz, świeży rozwodnik, ale wciąż jeszcze pełen szczerzej i namiętnej pasji do literatury, uważałem, że jest w Paryżu miejsce na nowocześniejsze pismo anglojęzyczne.

Ówczesny „The Paris Review”, pomimo doskonałych wywiadów z cyklu „Sztuka powieści” i równie znakomitych zamierzeń George’a, oddalał się od wysokiego poziomu, jaki zgodnie z głoszonymi założeniami miał upowszechniać. Czułem, że powinienem wypełnić powstałą lukę. Ponadto nie uśmiechał mi się powrót do Nowego Jorku, gdzie, choć rozstaliśmy się we względnej przyjaźni, byłbym niewątpliwie zmuszony przez okoliczności widywać zbyt często – na literackich przyjęciach – moją bogatą byłą żonę. Zaglądałem do Harry’ego Gallaghera i kilku innych znajomych, żeby wy badać, czy zechcą mnie wesprzeć w moim przedsięwzięciu. Znałem Harry’ego i wiedziałem, że ma pieniądze, kapitał znacznie pokaźniejszy od mojego. Wiedziałem też, że Harry – choć z zawodu tylko scenarzysta – zawsze gotów był bronić interesów Wielkiej

Sztuki. Pomyślałem sobie, że może zechce zainwestować w nowe pismo o takim poziomie intelektualnym i artystycznym, jaki zamierzałem mu nadać. I nie myliłem się. \

Oczywiście prawdziwym „aniołem” był książę Shirakhan. Ale gdyby nie Harry i paru innych moich bogatych przyjaciół, którzy pierwsi zadeklarowali wkłady, mój „Review” nie mógłby zapewne w ogóle zaistnieć. A bez nich z kolei może nigdy nie trafiłbym na księcia.

Wynajmowałem już wtedy mieszkanie na cudownej starej Wyspie Świętego Ludwika. Okazało się, że Harry jest praktycznie moim sąsiadem, rezydując na najdalszym, bardzo szykownym zachodnim krańcu Quai de Bourbon, podczas gdy ja, niczym wieśniak, mieszkam tylko – choć fakt, że po słonecznej stronie – na rogu Quai d’Orleans i rue le Regrattier.

Dlaczego ja, Jonathan James Hartley III, stałem się przyjacielem numer jeden rodziny Gallagherów, po prostu nie wiem. Nie obracaliśmy się nawet w tych samych kręgach. Moje kontakty towarzyskie ograniczały się głównie do świata literackiego. Gallagherowie należeli do znacznie bogatszej i pełnej przepychu socjety świata filmu. To, że ja – samotny, raczej niezamożny człowiek pióra – miałem zostać najlepszym przyjacielem rodziny Gallagherów, zawsze wydawało mi się dość dziwne; tak jakby w tym dobitniej niż w innych sprawach przejawiała się ograniczoność pisanych im przez los możliwości wyboru.

Harry jest człowiekiem bardzo uczuciowym. Wysoki, łysy i szczupły, twarz ma ostrą, pociągłą, wąską, a w przenikliwych szparkach blisko osadzonych oczu maluje się wyraz jakby wymuszonego rozczarowania, zaprawionego goryczą czy niechęcią, którego źródeł należałoby szukać raczej w uwarunkowaniach świata zewnętrznego niż w naturze i osobowości mego przyjaciela. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek miał prawdziwe poczucie humoru, w odróżnieniu, na przykład, ode mnie.

W każdym razie tym się właśnie stałem: najlepszym przyjacielem rodziny. Ich syn, Hill, miał wtedy zaledwie dziewięć lat. Zostałem jego osobistym doradcą i powiernikiem, choć Hill właściwie nie potrzebował doradców. A kiedy w roku 1960 urodziła się im córka, McKenna, zostałem jej ojcem chrzestnym i aż do osiągnięcia sędziwego wieku lat ośmiu McKenna wzrastała u mego boku, połowę swej małej osóbki składając na moje barki, że się tak wyrażę. Hill miał jedenaście lat, kiedy się urodziła.

Pamiętam, że myślałem o nich wówczas, o całej czwórce, jako o wzorowej „szczęśliwej amerykańskiej rodzinie”; takiej, o której słyszy się i którą widuje się często na zdjęciach reklamowych w „New Yorker” i w innych magazynach komercyjnych, ale jaką rzadko udaje się spotkać w życiu. Ale też nic wtedy nie wskazywało na to, że pod owym sielankowym na pierwszy rzut oka obrazem czaić się mogą jakieś, skrętnie przez nich ukrywane, rysy i pęknięcia. A ja się zwykle umiem poznać na ludziach, mam zwykle dobrego nosa do ludzi. Naprawdę uważałem ich za wzorową amerykańską rodzinę.

Hill ma teraz dziewiętnaście lat – jest 15 czerwca 1968 roku – i nie wiem, gdzie się

podziewa; po raz ostatni widziałem go dziesięć dni temu, kiedy to w przystępie desperacji i czarnej rozpaczcy opuszczał Paryż – jak mówił – na dobre.

Biedny Hill. Kiedy zna się młodego człowieka od czasu, gdy skończył dziewięć lat, niemal wszystkie blaski i cienie dorastania, wszystkie ostre kontrasty, podobnie jak i znaczenie tej wczesnej dorosłości, umykają na ogół uwadze, rozmyte i stłumione przez codzienne obcowanie.

Myślę, że narodziny młodszej siostry były dla jedenastoletniego Hilla wielkim przeżyciem. Wszyscy eksperci powiadają, że dzieci, zwłaszcza jedynaczki lub jedynacy, są z reguły głęboko nieszczęśliwe, gdy zjawia się inne dziecko, pozbawiając je tym samym miejsca w centrum rodzinnego świata. Jeśli tak było z Hillem, nigdy mi tego nie wyznał. Przez tych kilka dni, które Louisa spędziła w szpitalu w związku z narodzinami McKenny, mieszkał u mnie. W sprawach intymnych Louisa jest raczej staroświecka. Ale Hill dzielnie sobie poradził z sytuacją, choć same nowiny przyjął dość markotnie. Wtedy, jedenastoletni, właściwie nie poruszał tego tematu. Raz tylko, siedząc przy oknie na oparciu wielkiego fotela, przestał obserwować rzekę i płynące po niej barki, napotkał mój wzrok i patrząc mi prosto w oczy stwierdził zagadkowo: – Wiem, skąd się biorą dzieci. I jak się tam dostają. Nie myśl, że nie wiem.

Wierzę, że wiedział. Speszony i zażenowany, nie podjąłem wówczas rękawicy, rzuconej przez jedenastolatka.

Zabierałem go na ryby. Wtedy, gdy miał jedenaście lat, chadzaliśmy pod most, od strony wyspy. Siadaliśmy pod wielkimi drzewami na wielkich i nierównych kocich łbach dolnej promenady, która biegnie pod Pont Louis-Philippe i Pont Marie niemal naokoło całej wyspy; malowniczy starzy paryscy *gaillards* (spryciarze) spędzają tam lata emerytury z długimi, bambusowymi tyczkami i nylonowymi żyłkami, próbując złapać jakąś zjadliwą rybkę nawet w najgorszą deszczową i zimową pogodę. Później, kiedy chłopak podrośł, zabierałem go nad Marne, gdzie łowiliśmy okonie i pstrągi, wiosłując pomiędzy brzegami rzeki i trawiastymi wysepkami upstrzonymi kępami drzew, w scenerii przywodzącej na myśl dziewiętnastowieczne pejzaże impresjonistyczne Moneta czy Sisleya – nietknięty pejzaż dziewiętnastowieczny, we Francji, w sielskich, wiejskich okolicach Francji, być może uchowa się w tej postaci na zawsze. Pamiętam, był właśnie ciepły, słoneczny, nakrapiany obłokami dzień wiosenny, w takiej właśnie dziewiętnastowiecznej monetowskiej scenerii nad Marną, kiedy Hill po raz drugi wrócił do tematu siostry, jej narodzin i jej życia. Miał wtedy piętnaście lat, a McKenna cztery. Nie uległo wątpliwości, że bardzo ją kocha. Wszyscy bardzo ją kochaliśmy, tę pogodną, ciągle roześmianą istotkę, obdarzoną roztańczonymi oczyma, bystrą i wiecznie ciekawą wszystkiego, co się wokół dzieje, niczym ruchliwy kociak. Chciała wybrać się z nami i płakała, kiedy Hill jej na to nie pozwolił, tłumacząc, że jest za mała, że tylko by nam była ciężarem i zawalidrogą. Nie będę „zawali-drogą”, mówiła, zabawnie rozbijając na dwoje słowo, którego z pewnością nie

rozumiała. Na rzece Hill skierował łódkę ku porośniętej trawą przewieszce, ocalałej wśród pól dzięki systemowi korzeni trzech gigantycznych dębów.

– Co myślisz o tym dzieciaku? – O McKennie?

– Śliczna, prawda? I w dodatku bystra. Nie patrząc na mnie przeszedł do sedna.

– Ale oni ją psują. Powinna wiedzieć, że jak wejdzie w życie, okrutny i egoistyczny świat nie będzie się z nią cackał. Musi znaleźć swój sposób na przetrwanie w nim. Nie zawsze będzie tak, jak ona chce. Było mi cholernie przykro, ale musiałem jej odmówić. Niech się uczy.

Miałem wrażenie, że się usprawiedliwia na wypadek, gdybym w skrytości ducha uznał jego postępowanie za okrutne.

– Niech się uczy – powtórzył. – No tak.

Hill zwinął haczyk i badawczo oglądał przynętę, choć nic jej nie brakowało, po czym znów zarzucił.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki oni ją traktują. Zepsują ją do szczętu.

– Cóż, wydaje mi się, że bardzo trudno nie psuć McKenny – powiedziałem.

– Oczywiście. Ale u nich to wynika z czegoś innego.

Spełniają wszystkie jej zachcianki, bez wyjątku, a czasem nawet uprzedzają jej życzenia. Nie powinni jej byli mieć.

– O czym ty mówisz!

Naprawdę mnie zezłościł. I zaszokował. Kochałem wtedy moją chrzestną córkę bardziej niż kogokolwiek przedtem, tą żarliwą miłością mężczyzny, któremu nie dane było zostać ojcem i który nad tym boleje. Teraz przypuszczam, że źródło mego gniewu – w o wiele większym stopniu, niż byłbym to wówczas skłonny przyznać – tkwiło w poczuciu winy: wiedziałem bowiem, że Hill ma na swój sposób rację.

– Nie powinni byli mieć tego dziecka, nie w ich wieku – ciągnął nie zważając na moją reakcję. – Brak im elastyczności, duchowej i psychologicznej giętkości. Są dużo za starzy na takie małe dziecko!

– Chwileczkę, zaczekaj! – próbowałem mu przerwać.

– To nie wszystko. Przecież gdyby nie ona, zerwaliby ze sobą! Tylko dzięki niej są razem. A przynajmniej wygląda, że są. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie. Oczywiście, że nie – powiedziałem głucho. Obawiałem się, czy aby nie zwrócił uwagi na barwę mojego głosu.

Ale przy jego młodzieńczej beztroscie? Gdzie tam! Mogłem sobie oszczędzić niepokoju.

– Naprawdę – mówił. – Gdyby nie McKenna, dziś byliby już po rozwodzie. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. I dlatego teraz traktują ją jak jakiś specjalny dar od Boga, jak błogosławieństwo, które spłynęło na nich z nieba. I udają, że są ze sobą szczęśliwi. I przy okazji robią dzieciakowi wielką krzywdę.

– Cóż, sądzę, że oni naprawdę są szczęśliwi. Nawet to wiem. I cieszę się ze względu na ciebie, ze względu na nich, także ze względu na mnie samego. To dobrze, że McKenna się pojawiła i zbliżyła ich ponownie do siebie. Wszyscyśmy na tym dobrze wyszli.

– No, nie wiem – odparł. – Myślę, że lepiej byśmy wyszli na ich rozwodzie. Na pewno byłoby to uczciwsze rozwiązanie. Uważam, że ona go powinna zostawić. Gdyby miała charakter. Ja ich zresztą kocham, wiesz? Naprawdę kocham tych biednych skurczybyków. Ale to straszni hipokryci, wiesz. Tylko by sobie przez cały czas gruchali ciu-ciu-ciu. Ale mnie nie nabiorą. Ciekawe, jak się do siebie odzywają, kiedy są sami. I oni śmiać uczyć biedną McKennę bzdur o miłości monogamicznej. Uczą ją, żeby nie stawiała za szeroko nóg. I żeby nie latała bez majtek. Uczą ją, żeby na kanapie nie siedziała rozkraczona i żeby nie pokazywała motylka.

– Na Boga! Chyba nie chciałbyś, żeby przestali ją tego wszystkiego uczyć?

„Motylek” to dosłowne tłumaczenie włoskiego wyrazu *farfalla*, który to eufemizm Harry poznał pracując we Włoszech i który od narodzin McKenny wszedł do domowego słownika.

Nie odpowiedział.

– Uczą ją tych wszystkich bzdur, żeby oszczędzać motylka, strzec jak skarbu. Miłość romantyczna! Zachować się nietkniętą dla jednego mężczyzny, który będzie ją zawsze kochał, ją i tylko ją, na wieki wieków. Ma się oszczędzać na jedną wielką miłość, która przetrwa całe jej życie. Monogamiczne brednie.

– Posłuchaj, Hill, nie sądzę, aby twoi rodzice już teraz uczyli McKennę, że ma się oszczędzać na przyszłą miłość monogamiczną.

– Ale taki będzie następny punkt programu. Możesz mi wierzyć. I do tego te ich obłudne kłamstwa.

Przez chwilę łowiliśmy ryby.

– Może nie chcą, żeby ktoś ją skrzywdził – powiedziałem w końcu, kręcąc kołowrotkiem. Czułem się niezręcznie.

– Skrzywdził! Niby czemu miałyby się jej stać jakaś krzywda, jeśli nie będzie się w nikim zakochiwać? Po co jej te bzdury?

– Hill, czy ty kiedyś spałeś z dziewczyną? Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby w bezczelnym uśmiechu.

– Nie. Nie, ale nad tym pracuję.

Ta szczenięca pewność siebie! Ja jej chyba nie miałem, nawet w jego wieku. Potem spowaźniał:

– Dużo o tym rozmawialiśmy, całkiem otwarcie. To już nie tak, jak za waszych czasów. Gadamy o tym w szkole i na prywatkach. Nie myśl, że nie miałem okazji. Zachowuję swój pierwszy raz dla dziewczyny, która to doceni, która będzie się z tego cieszyć tak jak ja, ale bez tych wszystkich bredni o wielkiej miłości i bzdurnej monogamii. Dla dziewczyny o podobnej

wrażliwości i delikatności. I na pewno nie będę się śpieszył do ślubu z pierwszą dziewczyną, która mi dobrze da. Tak jak wy to robiliście. I nie będę się zadawał z dziewczyną, która tego oczekuje. Mam nadzieję, że McKenna też nie będzie się zadawała z takim chłopakiem. Ale i tak w naszym pokoleniu nie ma tylu zdeklarowanych monogamistów co w waszym.

Nie umiałem odpowiedzieć. Ale Hill nie nalegał. Właściwie więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Ani wtedy, ani potem. Podobnie jak o jego rodzicach czyich stosunku do McKenny. Ja oczywiście nie opowiedziałem jego rodzicom o naszej rozmowie. Czułem, że byłaby to zdrada, że Hill zacząłby mną pogardzać i przestałby mi się zwierzać. Ale i tak więcej mi się nie zwierzał. Mam wrażenie, że któraś mu dała, tamtego roku albo następnego. Potem kilka innych, cały łańcuszek dziewczyn. Ale nawet jeśli tak było, nie opowiadał mi o tym.

Skądinąd zawsze był z Hilla skryty, zamknięty w sobie chłopiec, nawet w młodości – i nigdy nie wiedziałem, co się dzieje, co się łęgnie w tym jego pęczniejącym, szybko dojrzewającym mózgu. Przynajmniej dopóki *Mouvement du 22 mars* w Nanterre i *Revolution de mai* nie odblokowały mu mowy i póki nie zaczął mi się zwierzać z rzeczy, o jakich nigdy przedtem nie mówił.

Jestem pewien, że Harry także nie znał dróg myślenia Hilla. W każdym razie nie lepiej niż ja. Zwłaszcza przed nocą 27 kwietnia bieżącego roku, kiedy to do mnie zadzwonił.

Było pół do trzeciej. Harry wiedział, że pracuję do późna redagując bądź czytając i że właściwie nigdy nie kładę się spać przed czwartą.

– Dzieciak nie wrócił.

Dzieciak?... Wpadłem w panikę. McKenna? Moja chrześniaczka? Ośmioletnia dziewczynka? Nie wróciła?

– Nie, nie! – Harry niecierpliwie przerwał moje milczenie. – Chodzi o Hilla! Hill nie wrócił na noc.

– Czy to takie straszne? – spytałem ostrożnie.

– Cóż, nigdy dotąd tego nie robił. A przynajmniej dawał nam znać. Jestem zaniepokojony. Siedzimy i czekamy na niego. Wpadnij do nas. Stawiam flaszkę.

– Dobrze – odparłem. – Przyjdę. Myślisz, że coś się stało?

– Skąd u diabła miałbym to wiedzieć. Przyjdź szybko. Przyjemnie było przejść się nabrzeżem w łagodną wiosenną noc. Wszystko zdawało się takie spokojne. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że Hill mógł być wplątany w awantury studenckie. Od trzech lat studiował socjologię i filmoznawstwo na Sorbonie, nikomu specjalnie o tym nie opowiadając.

Gallagherowie mają rozkoszne mieszkanie. Tylko tym słowem można je określić. W pięćdziesiątym piątym, zanim ich poznałem, a kiedy Harry odziedziczył spadek, Gallagherowie wynajęli na dłuższy czas całe piętro w górnej części ostatniego budynku na samym krańcu

wyspy, tego, który należał do księżnej Bibesco. Cztery wysokie podwójne okna wychodzą na zachodni kraniec Ile St.-Louis i dalej na Pont d'Arcole i na rzekę, zupełnie jakby z mostku kapitańskiego luksusowego liniowca patrzeć na dziób statku. Harry umeblował całe mieszkanie przepysznyimi Ludwikami XIII. Ja osobiście jestem zwolennikiem Drugiego Cesarstwa. Ale musiałem przyznać, że ciemny, ciężki, masywny zestaw Ludwika XIII z mrocznymi czerwieniami i zieleniami wyglądał świetnie w przestronnym i nasłonecznionym salonie Harry'ego, gdzie go po raz pierwszy ujrzałem. Równie dobrze wyglądał wówczas, w świetle aksamitnych i pergaminowych abażurów. A panią tego królestwa była Louisa, zwykle nieco powściągliwa jako gospodyni, ale uważająca.

Droga Louisa. No cóż, rozsiedliśmy się czekając i rozmawiając – o pisaniu, o filmach, tak jak zwykle. Pękła jedna butelka, potem druga. Nawet Louisa trochę wypła.

– Wie, że powinien wrócić do domu przed pół do drugiej, najpóźniej przed drugą – powiedział Harry. – I zawsze wracał.

Dochodziła szósta, kiedy Hill w końcu wrócił.

– Gdzieś ty się u diabła podziewał? – spytał Harry.

– Mieliśmy zebranie.

Chłopak sprawiał wrażenie, jakby chciał pójść do swojego pokoju.

– Nie, mój panie, wróć no mi tutaj! – zawołał za nim Harry.

Hill zawrócił i stanął przygarbiony w drzwiach.

– Chcę się czegoś więcej dowiedzieć – oznajmił Harry. – Chcę wiedzieć, gdzie byłeś. Wiesz, że powinienes wracać do domu przed pół do drugiej. Albo przynajmniej dać mi znać, co się dzieje – dodał, moim zdaniem niezbyt konsekwentnie.

– Byłem na zebraniu! – krzyknął Hill. Spojrzał śmiało, a oczy mu rozbłyły. – Byłem na zebraniu! Na zebraniu studenckim!

Czytaliśmy tamtego dnia gazety, ale wiadomości wieczorne miały trafić do prasy dopiero nazajutrz.

– Policja aresztowała dzisiaj Dany'ego Cohn-Bendita – poinformował nas Hill. – Ale wieczorem go wypuścili. Bo się boją reperkusji. Ale jeśli myślą, że nas powstrzymają, to grubo się mylą. My się organizujemy. Organizujemy się i mamy zamiar sprawić, że się zastanowią. A może pójdziemy dalej – dodał poważnym tonem i popatrzył nam kolejno w oczy, jakbyśmy to my byli osobiście odpowiedzialni za aresztowanie przywódcy studenckiego Cohn-Bendita. Nagle mnie to rozbawiło, ale postanowiłem siedzieć cicho. Sam akurat raczej lubiłem młodego „Dany'ego le Rouge” i dobrze życzyłem jego krucjacie.

– Niech mnie diabli – powiedział Harry i twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. – Więc ty w tym wszystkim tkwisz? Od jak dawna?

– Och, myśmy tylko gadali – odparł ponuro Hill.

– Chyba nie myślicie, że to tylko Nanterre? Sorbona też ruszyła. W ogóle wszystkie uniwersytety we Francji. Mamy tego po dziurki w nosie. I nie popuścimy.

Uwielbiałem słuchać, jak posługuje się amerykańszczyzną swojego ojca. Ale francuski Hilla był tak samo dobry, wręcz doskonały. Czasem o tym zapomniałem. W końcu Hill jest przecież w równym stopniu Amerykaninem/co Francuzem. Niemal całe dotychczasowe życie spędził w Paryżu.

– No cóż, jestem z ciebie dumny – stwierdził Harry i na jego wąskiej twarzy znów zagościł uśmiech.

– Ty jesteś dumny ze mnie! – wybuchnął chłopak.

– A co mnie to obchodzi, że ty jesteś ze mnie dumny! Ty, ze swoją forszą, bogacz, skrobacz bzdurnych fabulek! Spójrz na siebie, wszyscy na siebie spójrzcie: siedzicie tu i zapijacie sprawę! Pijacy! Moczymordy! Brzuchy wam tylko rosna, tłuszcz przerasta wam mózgi! Ty i twój Ludwik XIII, i to mieszkanie jak jakiś pięciogwiazdkowy hotel! Ty jesteś ze mnie dumny! Po tym, co twoje pokolenie zrobiło dla świata?

– Chwileczkę! – przerwał mu Harry. – Poczekaj! Moje pokolenie odziedzi...

– To ty poczekaj! – odszczeknął Hill.

Tyrada była rażąco niewspółmierna z powodem obrazy, jeśli w ogóle był jakiś powód. W dysproporcji także do jego własnych emocji, rozbudzonych zapewne na zebraniu studenckim, a jednak Hill jej nie przerwał.

Uśmiech znikł z twarzy Harry'ego.

– Obłudnicy! Skończeni obłudnicy, wy wszyscy! Ale my was obalimy. Obalimy to całe pieprzone społeczeństwo. Aż wam wyjdzie uszami. Nie wiemy jeszcze, czym zastąpimy społeczeństwo, ale coś dobrego, coś znacznie lepszego od waszego stanu rzeczy musi się zdarzyć.

Zaczerpnął tchu.

– Zresztą jaki to ma sens próbować to wam wytłumaczyć? Wam, hipokrytom?

Obrócił się na pięcie i uciekł.

Harry uniósł się na krzesło, niezdecydowany, czy dogonić syna i go uderzyć, czy pozwolić mu zbiec. Powoli opadł na krzesło.

– A niech mnie wszyscy diabli – powiedział. A po chwili: – Niedaleko pada jabłko, co?

– Harry – odezwała się Louisa z rozkosznej sofy *d la* Ludwik XIII, na którą polowali ponad rok. – Nie przejmuj się, Harry. Nie przejmuj się.

Wstała, żeby nam nalać.

Kochana, wiarygodna, trzeźwo myśląca Louisa. Do dziś uważam, że mądrze postąpiła odzywając się wtedy. Na twarzy Harry'ego rozgrywał się cały spektakl: była jak zdrętwiała

węzeł, pod którym rysowała się gorzka rana, jaką rzadko zdarza się widzieć. I choć opadł na krzesło, wysoką szklankę ścisnął zbielełymi palcami, jakby chciał ją cisnąć w kominiek. Gdyby to zrobił, nie wiem, czym by się to skończyło. Sądzę, że pogoniłby za Hillem. Ale Louisa rozpraszała jego uwagę. Nalała najpierw mnie, potem jemu, wreszcie sobie, pokpiwając z młodego pokolenia i bagatelizując całą sprawę. W końcu usiadła i przez nieznośnie długi czas nikt się nie odzywał.

Mogłoby się wydawać, że reakcja Harry'ego również była niewspółmierna do obrazy, jakiej dopuścił się wobec niego syn. Sedno sprawy tkwiło jednak w tym, że Harry przez całe życie był dumny ze swej postawy wojującego liberała. I oto teraz temu człowiekowi jego własny nastoletni syn wyrzuca, że jest zgredelem i zakłamanym superkonserwatystą, trybikiem znieawidzonego „establishmentu”. Niewątpliwie coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

W krępującej ciszy, w której o wiele za głośno dobiegały mnie z mojego cholernego gardła odgłosy przełykania, wstałem wreszcie i zacząłem się żegnać, mówiąc, że powinienem wracać, skoro z Hillem najwyraźniej wszystko w porządku.

– W porządku? – powtórzył za mną w oszołomieniu Harry. – W porządku?

Myślę, że nie najfortunniej dobrałem wtedy słowa.

Tak czy siak, wyszedłem. Nie miałem pojęcia, przeczucia, wyobrażenia, wręcz ani śladu, że było to coś więcej niż zwykła sprzeczka między ojcem a synem, że mógł w niej już istnieć czynnik, który zniszczy, który zrówna z ziemią całą rodzinę Gallagherów, tak jak zrównano z ziemią Hiroszimę.

Rozdział drugi

...Dzwonek do drzwi. Wiem, kto to będzie. Na pewno Weintraub. Weintraub, który przyniesie plotki o dzisiejszym wzięciu Sorbony albo może najświeższe wieści o tym, czy studenci będą dziś wieczorem protestować. Weintraub. David Weintraub, ktoś, kto wprowadził w nasze życie osobę, która odegrała w nim rolę katalizatora. Obawiam się, że muszę wstać i wpuścić go. Ale przygnębia mnie myśl, że będę musiał na niego w tej chwili patrzeć.

Najpierw jednak usuwam te papiery i zamykam biurko na klucz. Weintraub gorliwie i bez skrępowania penetruje wszystko, co leży na wierzchu w każdym mieszkaniu, jakie odwiedza...

Weintraub. Weintraub błazen. Weintraub błazen już sobie poszedł. I nie zobaczył ani skrawka moich papierów. A jednak na swój sposób mam przeczucie, że podejrzewa ich istnienie – choć, prawdę mówiąc, dopiero dziś zacząłem nad nimi pracować! Ma wężycielski zmysł łasicy, zawsze czułem zwierzęcy spryt, nie do stłumienia z jego strony przez krótkie spięcia bezwstydu, a ze strony innych przez głęboko zakorzenione poczucie prywatności. Weintraub jest bezgranicznie *szczery* i całkowicie pozbawiony zahamowań w roztrząsaniu kwestii dotyczących jego własnej osoby, włączając w to sprawy najintymniejsze (czy też te, które zwykle się za takie uważać), do tego stopnia, że swą żenującą wylewnością często wprawia swoich słuchaczy w najwyższe zakłopotanie. Przewrotnie przenosząc na resztę świata obraną przez siebie linię postępowania, Weintraub bezczelnie i niestrudzenie penetruje sferę prywatnych doznań innych ludzi na tyle, na ile mu na to pozwolą. Co najmniej dwa razy napomknął aluzyjnie o tym, że zapewne nad czymś pracuję, że coś piszę, o Gallagherach i wydarzeniach minionych sześciu tygodni; uwagi te odpierałem spokojnie, nie udzielając mu przy tym informacji ani na tak, ani na nie. Z niemożliwością graniczy próba przedstawienia komuś w miarę choćby trafnego opisu powierzchowności Weintrauba.

– Cześć, Jacku Hartley! – dobiegł mnie z klatki schodowej jego tubalny, fałszywie serdeczny głos, kiedy przycisnąłem guzik otwierający drzwi wejściowe na parterze. – Mam dziś dla ciebie wspaniałe wieści! Gliny nareszcie pobiły Weintrauba! Po paru tygodniach działania w pierwszym szeregu *Revolution* Weintraub wreszcie tego dokonał! Mogę to udowodnić siniakami! Pokażę ci.

– Wejdz na górę, Dave – powiedziałem, umyślnie nadając głosowi możliwie najspokojniejszy ton, na przekór jego podekscytowanej wylewności. Zawsze na mnie w ten sposób działał.

Tu słowo o moim mieszkaniu. Znajduje się ono w jednym z tych starych budynków, postawionych koło roku 1720 przez pewnego niegdysiejszego przedsiębiorcę, który był swego

czasu wielką fiszą w królewskim ministerstwie finansów, lub czymś podobnym, i którego dawno zapomniane nazwisko zdobi mur domu, od strony nabrzeża, na rzadko czyszczonej mosiężnej tablicy. Budynki te wznoszono jako domy miejskie dla tej czy innej bogatej rodziny. Potem oczywiście wszystkie podzielono na mieszkania. A w którymś momencie, w ubiegłym stuleciu, ktoś z nie znanych mi zupełnie powodów postanowił podzielić wysokie pokoje parteru na pół, budując nową podłogę w połowie ich wysokości, i dzięki temu zabiegowi otrzymał dwa mieszkania. Ja mieszkam w górnym. Jest, *oczywiście*, niewysokie, ale mnie to odpowiada. Podoba mi się, że mogę wyciągnąć rękę do góry i położyć ją na belkach z prawdziwego drewna. Oczywiście Harry, który jest wysoki i którego czaszki nie chroni czupryna, musi się nieco garbić, kiedy do mnie przychodzi, ale tylko on. A mnie to pasuje doskonale. Mam obszerny salon, małą jadalnię, oddzieloną arkadą, która nie utrudnia dostępu słońca i powietrza, dwie malutkie sypialnie, łazienkę, niewielką, ale wystarczająco dużą kuchnię, której często używam, dobrze ciągnące kominki w każdym pokoju i pokojówkę, Portugalkę, która mieszka na wyspie i przychodzi codziennie. Czegóż więcej mógłby żądać samotny mężczyzna? Rzadko przyjmuję gości w domu, ale mógłbym, gdybym chciał. A za trojgiem oszklonych drzwi balkonowych, które w letni słoneczny dzień można otworzyć na oścież, roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków w Paryżu: tył Notre-Dame ze strzelistymi przyporami niemal na wyciągnięcie ręki, wysoki tort weselny Pantheonu, wznoszący się na wzgórzu ponad starymi domami Lewego Brzegu, a do tego zawsze rzeka, barki, niewyczerpane źródło zajęcia dla oka. Kazałem ustawić biurko tuż przy jednym z tych okien. Poniżej miałem stare drzewa i prastarą pochylnię z kocimi łbami, obmurowaną prastarymi białymi kamieniami, gdzie co niedziela ubodzy mieszkańcy kamienic w centrum wyspy podjeżdżali samochodami i motocyklami do samej rzeki, żeby je umyć. Wspaniale się tu mieszkało w pięćdziesiątym ósmym, kiedy dostałem to mieszkanie.

Oczywiście od tamtego czasu wiele się zmieniło.

Wyspa stała się strasznie modna, otwarto z tuzin nowych restauracji, a przedsiębiorcy budowlani wykupili od ubogich uczciwych ludzi pomieszczenia w kamienicach czynszowych, odnowili je i poprzerabiali na eleganckie mieszkania, które wynajmują młodym żonatym urzędnikom, co z dyplomatkami pod pachą, jak nowojorczy, przyczyniają się do budowy we Francji nowego, stehnicyzowanego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Tu właśnie wprowadziłem Weintrauba i zaproponowałem, że zrobię mu coś do picia. Co nie znaczy, że nie był tu przedtem i że nie znał doskonale drogi do barku. On jednak podszedł prosto do mojego biurka, stojącego przed jednym z trzech okien balkonowych, i zaczął grzebać w starych tekstach do mojego pisma, pozostawionych przeze mnie nieopatrznie na wierzchu.

– Tak, panie Hartley – powiedział, przemierzając pokój z wypiętą piersią i jeszcze bardziej zniżając swój niski, dźwięczny głos (żeby okazać szczerłość, jak przypuszczam). – Myślę, że dobrze by mi zrobiła mocna whisky. *Lesflics* porządnie mnie dziś poturbowały.

Odłożył moje papiery z gestem mającym oznaczać, że go nie interesują, że i tak już je widział.

– Tak, mój panie, oni naprawdę poturbowali starego Weintrauba. Chcesz zobaczyć moje rany?

Zaczął rozpinąć krótką marynarkę *a la* Eisenhower. Wręczyłem mu szklankę i nalałem sobie to samo.

– Rany? – spytałem.

– No, powiedzmy siniaki – odparł głęboki, świadom swej ważności, głos. – Ale nie były jakie siniaki. Te gumowe *matraques* z żelaznym prętem w środku wałą porządnie. I wrzynają się głęboko w ciało. Ranią jak cholera.

Zdjął marynarkę i zajął się golfem. Marynarka Weintrauba zasługuje na opis. Nigdy jej na nim nie widziałem przed wybuchem rewolucji majowej. Była z prawie białej chińskiej bawełny, a nie z oliwkowej wełny, jak marynarka Eisenhowera, skopiowana na wzór angielski, i od wybuchu rewolucji nie widziałem, żeby Weintraub miał na sobie coś nowego. Jestem przekonany, że kupił ją specjalnie po to, by stała się jego mundurem rewolucyjnym wraz z białymi Levisami, w jakich nagle zagustował, porzucając czarne garnitury i wąskie nowojorskie krawaty noszone przedtem. Albowiem rewolucja majowa, rewolta studencka, stała się dla Weintrauba osobistym symbolem, głęboko osobistą sprawą.

Uważał, że nie mógł uniknąć wzięcia w tym wszystkim udziału, ponieważ jego *hotel pension* przy rue de Conde sąsiaduje z Odeonem, samym centrum wydarzeń. Mówił, że studenci w obawie przed szturmem policji na Odeon usunęli całą dokumentację Komitetu Filmowego i osobiście ukryli ją w jego pokoju osobiście i że od tego czasu został głęboko wciągnięty w sprawę. Co do mnie, zawsze w to powątpiewałem. Nie, nie w to, że komitet ukrył papiery i kręcił film w jego pokoju – tylko nie zrobiliby tego, gdyby wcześniej dobrze go nie znali, gdyby nie wiedzieli, że już jest we wszystko wciągnięty. Podejrzewam, że naprawdę odbyło się to tak: Weintraub kręcił się koło Odeonu, odkąd zdobyli go studenci, w posępnych zakamarkach dawnego teatru natknął się na Komitet Filmowy i przystał do niego, a potem zaoferował swój pokój, gdzie mogli ukryć dokumentację i filmy. Weintraub wprawdzie stanowczo zaprzeczał tej wersji, ale pewnie tylko dlatego, że się po prostu wstydził. Dlaczego ten Amerykanin pod pięćdziesiątkę (przyznawał się najwyżej do czterdziestu pięciu) związał się z grupą dziewiętnasto i dwudziestoletnich francuskich studentów zaangażowanych w beznadziejną na pierwszy rzut oka rewoltę, to całkiem inne zagadnienie. Żeby je zrozumieć, trzeba znać Weintrauba.

Z zawodu był harfistą. I to dość utalentowanym. Ale praca nie sprawiała mu przyjemności. Grał regularnie na harfie w Operze Paryskiej, występował też w innych orkiestrach teatralnych i kameralnych na terenie miasta – jeśli akurat było zapotrzebowanie na harfistę. W ten sposób zarabiał na życie. Ale tak naprawdę to chciał być aktorem. Aktorem filmowym. Uwielbiał

wszystko, co ma związek z kinem. Jednakowo uwielbiał gwiazdy ekranu, producentów filmowych, reżyserów i scenarzystów, a im bardziej byli sławni, im większe odnosili sukcesy, tym bardziej gotów był ich uwielbiać. Kiedy tylko nie grał dla chleba na harfie, kręcił się po drogich lokalach, gdzie przesiadują ludzie z tego środowiska: u Castela, New Jimmy's, w Calvadosie. Jedynym sposobem na to, by go akceptowano (zarabiał mało), było odgrywanie roli błazna, grupowej maskotki, roli, jaką sam dla siebie obmyślił. Z premedytacją robił z siebie chłopca do bicia dla sław filmowego świata. W ten sposób nawiązał kontakt z Gallagherami, a przez nich ze mną, choć moje literackie wysiłki niewiele go obchodziły. Nie był całkiem nieznany, zagrał kilka epizodycznych ról, w tym parę razy dzięki pośrednictwu Harry'ego Gallaghera. Pisywał też kiepskie wiersze i malował kiepskie obrazy.

Jego bufonada i rola błazna, jaką odgrywał, nie pozwoliły mu oczywiście zagrześć dłużej miejsca przy żadnym kręgu towarzyskim. Filmowcy prędko się nim nużyli, a on sam pomagał im w *tym*. swoimi ekstrawaganckimi życzeniami, kiedy na przykład zamawiał na rachunek gwiazd kawior lub szkockiego łososia, podczas gdy inni zadowalali się zwykłym hamburgerem; kiedy pożyczał i nie oddawał; kiedy prosił gwiazdy filmowe o załatwienie mu roli albo naciągał je na kupno swoich kiepskich obrazów. Toteż przenosił się od grupki do grupki, aż w końcu cały filmowy Paryż znał go jak zły szeląg. Wreszcie pozostało mu jedynie towarzystwo przyjezdnych gwiazd i reżyserów, którzy ściągali do Paryża, żeby nakręcić jeden film. Doprowadził nieomal do zerwania stosunków z Gallagherami, najwyrozumialszymi ludźmi w świecie, kiedy wybuchła rewolucja majowa.

Jestem przekonany, że jedną z przyczyn, dla których przylgnął z kretesem do młodych członków Komitetu Filmowego Odeonu – pomijając fakt, że mieli coś wspólnego z filmem – było jego całkowite osamotnienie. Drugą przyczynę upatruję w tym, że oto po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś traktował go poważnie, jako tego, za którego się podawał. Ci młodzi ludzie wierzyli mu, kiedy sypał nazwiskami gwiazd, twierdząc, że jest z nimi po imieniu, zapewne widzieli w nim głównego, jeśli nie jedyne łącznika z wielkim światem filmowym, na którego pomoc bardzo liczyli. Później, w trakcie rewolucji, wiele razy chodziłem z nim do mrocznych klitek i na jaskółki Odeonu, żeby się spotykać – i współpracować – z jego” komitetem i wydaje mi się, że te dzieciaki nigdy nie przejrzały jego prawdziwej natury. Sądzę też, że Weintraubowi było to potrzebne, jak innym alkohol lub narkotyk.

I ten oto człowiek stał teraz przede mną w moim mieszkaniu i – rzuciwszy swój cenny rewolucyjny żakiet na sofę Drugiego Cesarstwa – mocował się z czarnym golfem, podciągając go aż pod samą szyję, pod zawiązaną na kokardę chustę, którą sobie upodobał od wybuchu rewolucji, nosząc ją nawet za dnia, choć policja rzadko kiedy rzucała granatami łzawiącymi przed zapadnięciem zmroku. Ten sam człowiek wprowadził w nasz mniej lub bardziej stabilny, mniej lub bardziej bezpieczny krąg tamtą kobietę (kobietę? jaką tam kobietę – dziewczátko!),

którą nazywałem „katalizatorem” – trzeba zresztą przyznać, że zrobił to nieumyślnie i w ostatecznym rozrachunku na własną niekorzyść.

– Nie musisz mi pokazywać, Dave – powiedziałem z ledwie uchwytną ironią w głosie. – Wierzę ci na słowo.

Ale on już podciągnął golf, krzyżując ręce nad pochylonymi plecami i karkiem, i ujrzałem osiem, może dziesięć sinoczarnych pręg grubości kciuka, długich na jakieś trzydzieści centymetrów, pokrywających jego ramiona i krzyż.

– Muszę przyznać, że jestem z nich dość dumny – powiedział Weintraub dźwięcznym basem. Opuścił golf. – Oczywiście, nie oznacza to niczego naprawdę poważnego. Po prostu trafiłem między dwa fronty. Nie zauważyłem tej drugiej grupy, która wyłoniła się z bocznej uliczki.

– Ale i tak jesteś z siebie zadowolony – zauważyłem z lekkim przekąsem.

– W pewnym sensie – odparł i podszedł do najbliższego otwartego okna. Wspiął się na parapet, chwycił się ochronnej barierki *zferforge* i wyjrzał na rzekę.

– Nie poddamy się, Hartley. Nie ustąpimy. Rewolucja trwa.

– Co się dzieje z Komitetem Filmowym teraz, kiedy padła Sorbona?

– Przenieśli się do Consier. – Consier to dodatkowy budynek przepełnionego uniwersytetu, oddalony blisko o kilometr od Sorbony i pozostający nadal w rękach studentów. – Na razie tam się zatrzymali.

– Ale jak długo tam zostaną, to już zależy od władz – stwierdziłem.

– Nigdy się nie poddamy – oznajmił Weintraub, wyglądając przez okno. – Zrobiliśmy zbyt wiele, doszliśmy za daleko, żeby teraz ustępować.

– Obawiam się, że nie ma wyboru. I nigdy go nie było.

– Ty nigdy nie byłeś z nami, prawda, Hartley? – powiedział Weintraub jeszcze bardziej basowym głosem niż zwykle, ale uśmiechnął się przy tym, przez co czyniony mi zarzut zmienił się w parodię oskarżenia. To jedna z jego sztuczek.

– Byłem z wami. I ty o tym świetnie wiesz. Ale jestem także realistą. I od początku wiedziałem, tak samo zresztą jak i ty, że ta droga jest krótka, że nigdy nie osiągniemy wiele więcej ponad to, co udało nam się dotychczas osiągnąć.

– Nie – zaprzeczył solennie. – Jeszcze nie koniec. Będziemy walczyli dalej. Takimi czy innymi sposobami. Czegoś dokonamy.

– Czego? Zejdziecie do podziemia? Stworzycie nową formę *Resistance*?

– Może-powiedział Weintraub, choć mój pomysł był ewidentnie śmieszny. Nie ulegało wątpliwości, że trudno mu przychodzi rozstać się z drogocenną rewolucją. Aleja ze swej strony nie miałem ochoty na kolejny arcydrogocenny wykład o drogocennej rewolucji. I chciałem dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie-dziewczynie (mój Boże, naprawdę nie wiem, jak ją

nazywać), w której widziałem nasz katalizator.

– Masz jakieś wieści od Sam? – spytałem.

– Samantha? – Weintraub odwrócił się od żelaznej barierki.

– Samantha-Marie – odparowałem. Uśmiechnął się. Ale pod ochronną warstwą uśmiechu krył się w jego oczach wyraz głębokiego smutku, męczącego niepokoju.

– Trzy dni temu dostałem od niej list z Tel Awiwu. Znów jest razem ze swoją żydowską przyjaciółką. Świetnie sobie radzą. Ona chce, żebym do nich dołączył, jak tylko będę mógł się tam wybrać.

– I co, jedziesz?

– Skąd bym miał wziąć forszę?

– Aha – mruknąłem i zmieniłem temat. – Nauczyła cię wielu rzeczy, jak mi kiedyś powiedziałaś.

– Tak, to prawda – przyznał Weintraub z uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Dała mi zasmakować w rzeczach naprawdę egzotycznych... A, cholera. Ona mnie nie chce. Obaj o tym dobrze wiemy. Czy masz jakieś wieści od Harry'ego? – Tu zrobił pauzę. – Od któregoś z Gallagherów? Przechodziłem teraz koło ich domu. Mieszkanie zamknięte na cztery spusty. Ani jednego światła.

– Hill opuścił Paryż – powiedziałem. – Dziesięć dni temu. Wiesz przecież. Nie mam od niego znaku życia. Co do Louisy, też wiesz wszystko. Mała, McKenna, jest teraz u Edith de Chambrolet, pamiętasz, tej hrabiny, przyjaciółki Louisy.

– Czy ja ją poznałem?

– Myślę, że tak, u Gallagherów.

– Nie przypominam sobie. A Harry?

– Widziałeś telegram, który od niego wczoraj dostałem. Z Tel Awiwu.

– Myślisz, że oni się dogadają? – spytał Weintraub. – Wiesz, z Samanthą? Że znów będą razem?

– Nie mam pojęcia – stwierdziłem. – Tobie chyba łatwiej na to odpowiedzieć niż mnie.

– Nie – powiedział. Zauważyłem, że ma podkrążone oczy. – Naprawdę nie łatwiej.

– Cóż, ja w *każdym* razie nie mam zielonego pojęcia. Słuchaj, Dave, napijesz się jeszcze? Już nalewam. Nie gniewaj się, ale niech to będzie na jednej nodze, dobra? Muszę jeszcze do jutra zrobić parę rzeczy.

– Oczywiście. Chętnie się napiję, i zrobię to szybko. Nad czym siedzisz? Pisziesz coś o minionych sześciu tygodniach, o naszej *revolution*?

– Nie. Ale podejrzewam, że będę musiał coś takiego zorganizować dla „Review”.

Weintraub łypnął okiem.

– Ale sam coś przygotowujesz na ten temat?

– Nie. Wolę, żeby to dla mnie zrobił jakiś francuski politolog, oczywiście lewicowy. Ja mogę rzecz przetłumaczyć.

Wyprostował się na całą swoją wysokość metra sześćdziesięciu i wyszczerzył zęby w uśmiechu – *tym* razem szczerym.

– Nie zapomnij mu powiedzieć, jaką rolę odegrał Weintraub w propagowaniu Rewolucji. Także rewolucji w rodzinie Harry’ego Gallaghery!

Kiedy sobie poszedł, zastanawiałem się, czy ta ostatnia uwaga nie była kolejną aluzją do moich osobistych zapisków, znakiem, że jest świadom ich istnienia, i pozwoleniem, nie, raczej prośbą o włączenie go do wszystkiego, co bym pisał o Gallagherach. Weintraub pragnął przejść do historii. Cóż, tak czy siak musiałbym go włączyć. Niewątpliwie odegrał pewną rolę. I to chyba dość ważną. Ale wcale mnie to nie cieszyło. Tak jak nie ucieszyła mnie jego wizyta. Podeszedłem do okna i oparłem się o ochronną barierkę, patrząc na smutek płynącej rzeki. Tak jak patrzył Weintraub. I jest wieczny, ów smutek rzeki, smutek płynącej wody. Nie umiem powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Ale rzeka jest zawsze smutna. To jedna z rzeczy naprawdę niezmiennych.

Tymczasem zapadła noc. Wzdłuż *quai* rozbłysły paryskie latarnie. Po drugiej stronie rzeki zapalały się lampy w mieszkaniach Lewego Brzegu. A z samej Dzielnicy Łacińskiej nie dobiegały już głuche odgłosy wybuchów granatów z gazem, na barykadach nie migotały ognie rozświetlające kłęby dymu i gazów łzawiących, nie było widać ani słyszeć serii ślepych granatów. Coś się naprawdę skończyło.

Wychylając się przez okno mogłem obserwować *quai* aż do Pont de la Tournelle; zobaczyłem, że dwa policyjne samochody bojowe dokonują zmiany warty. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę strzegą w ten sposób dostępu do willi Pompidou na Quai de Bethune na wyspie.

Nalałem sobie porcję mocnej whisky i wychyliłem do dna. Potem wypilem jeszcze jedną. Do diabła, pomyślałem, idę spać. A jak nie będę mógł zasnąć, wezmę mogadon.

Nie wziąłem mogadonu.

Boję się, że nie dość wyczerpująco opisałem Harry’ego Gallaghery. Żeby go zrozumieć, trzeba wiedzieć coś niecoś o jego pochodzeniu. Czterdziestodwuletni Harry jest potomkiem starej irlandzkiej rodziny z Bostonu, która zostawiła mu roczny dochód w wysokości dwudziestu paru tysięcy. Niezależnie od tego sam wyrobił sobie świetne nazwisko jako scenarzysta i sam bardzo dobrze zarabia. Jest na tyle sławny i na tyle sprawny (w branży nazywa się to „autor dla gwiazd”), że ubiegają się o niego bogaci amerykańscy producenci. W ciągu minionych sześciu lat wydał dwie powieści. Pisywał scenariusze dla najmłodniejszych

francuskich reżyserów awangardowych. Krótko mówiąc, Harry jest człowiekiem sukcesu, człowiekiem, który na progu wieku średniego może sobie pozwolić na pewien luz i z dumą popatrzeć wstecz.

Kiedy Harry miał dziewiętnaście lat, w ramach protestu społecznego porzucił ledwie rozpoczęte studia na Uniwersytecie Harvard i został aktorem w Nowym Jorku. Kiedy jego pierwsza sztuka teatralna była w stadium prób, ale na długo przedtem, nim pokazano ją widzom, i nim padła, Harry jechał do Hollywood – za oszałamiające wówczas honorarium – żeby napisać swój pierwszy scenariusz do filmu z wielkim budżetem. Komunizujący tak jak i on reżyser, jego kumpel z nowojorskiej sceny, który dostał się tam przed nim, zażądał właśnie jego – i jego też otrzymał.

Nie będę się tu wdawał w kwestie etyczne związane z wyjazdem do Hollywood. Wystarczy powiedzieć, że obaj (podobnie, sądzę, jak całe pokolenie tych, co postąpili tak samo) uważali, że ze swą ewangelią dotrą do większej liczby osób przez film niż przez teatr. Był rok 1939. Zanim w dwa lata później doszło do wojny, Harry, podówczas dwudziestotrzylatek, miał za sobą dwa udane scenariusze i był beniaminkiem branży, ze sławnym nazwiskiem.

Po Pearl Harbor wziął z tym wszystkim rozbrat. W odróżnieniu od zagorzałych wspólników w komunizmie, którzy z reguły podostawali przydziały w stopniu komandora porucznika i zabrali się za kręcenie filmów propagujących wojnę na zlecenia rządowe, Harry zaciągnął się do marynarki wojennej i walczył na Oceanie Spokojnym w stopniu sierżanta.

Po wojnie musiał oczywiście zaczynać od nowa. Dopłynęło sporo nowej krwi – żarłocznej, zachłannej, trawionej ambicją – która rzuciła się na wszystkie wolne i niektóre zajęte miejsca. Ale Harry odzyskał pozycję czołowego scenarzysty Hollywood i chociaż jego przyjaciele, którzy przewalczyli wojnę na srebrnym ekranie, mieli kłopoty z patrzeniem mu w oczy, wkrótce znów był kółkiem w maszynierii i zaangażował się w intelektualnych i humanistycznych marksistowsko-komunistycznych kręgach przemysłu filmowego, ku którym zawsze miał ciągotki. Nie ma sensu, żebym się tu wdawał w dobre i złe strony komunistycznego marksizmu widzianego z perspektywy lat trzydziestych i czterdziestych. Wiele rzeczy, jakie zdarzyły się na świecie od tamtego czasu, kompletnie zmieniło obraz sprawy. Ale wtedy każdy był kryształowo czystym idealistą. Także Harry Gallagher. A w roku 1947, podczas wizyty w Bostonie, w konserwatywnym irlandzkim domu rodzinnym, poznał i poślubił Louise Dunn Hill, zapaloną liberalno-marksistowską idealistkę ze starej rodziny bostońskich braminów, których genealogia i liberalizm sięgały czasów wcześniejszych niż Thoreau, Emerson i transcendentaliści. Razem kontynuowali działalność polityczną w Hollywood, choć formalnie nie byli członkami Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Louisa wkrótce urodziła pierwsze dziecko, Hilla, w roku 1948.

W dwa lata później, kiedy antykomunistyczna nagonka Komitetu do spraw Działalności

Antyamerykańskiej sięgała apogeum i kiedy wreszcie posadzono „dziesiątkę z Hollywood”, Harry (żartem nazywany niekiedy „numerem jedenastym dziesiątki z Hollywood”, choć, jak się wydaje, także i inni przypisywali sobie tę godność) otrzymał wezwanie. Niewątpliwie ktoś go sygnął. Zamiast stawić się przed komitetem i podać nazwiska swoich przyjaciół, jak uczyniła większość jego znajomych, Harry wymknął się do Kanady, a następnie do Francji, gdzie jak tylko się jakoś ustawił, ściągnął też Louise z Hillem. Powstrzymam się od komentarza nad przyszłym werdyktem historii względem tych głupich, prymitywnych, egoistycznych polityków amerykańskich, którzy pozwolili sobie tolerować, a nawet bronić takiego Rekina czy McCarthy’ego, choć ci ostatni byli najwyżej odrobinę lepsi od inkwizycji katolickiej.

Nawet gdyby Harry został i trafił do więzienia, nie mógłby bez opowiedzenia się po stronie komitetu dostać nigdzie pracy w amerykańskim przemyśle filmowym – a to z powodu tajnej czarnej listy. Listy, której istnienie negowano, a która jednak była faktem. Dziś wolimy o tym nie pamiętać, kiedy – skądinąd słusznie głoszących – krytykujemy Rosjan za to, że swoich głoszących prawdę pisarzy wsadzają do więzienia.

Pierwsze dwa lata pobytu Harry’ego we Francji były naprawdę ciężkie z powodu problemów z językiem. A jednak, bez pomocy rodziny (rodzice nie byli z niego dumni, a zarazem wciąż żyli, blokując tym samym spadek), jakoś mu się powiodło. Grywał w filmach francuskich role Amerykanów, wciągnął się w nowe środowisko, robiąc *dubbing* filmów amerykańskich na potrzeby rynku francuskiego, wreszcie zaczął pisywać scenariusze po francusku – dla młodych reżyserów *nouvelle vague*. Z biegiem lat, kiedy w Ameryce w końcu szczyła era McCarthy’ego, coraz częściej reżyserzy amerykańscy zwracali się do niego o scenariusze filmów, które miały być kręcone w Europie – a później także i do filmów robionych w Stanach. Odkryto, że Harry ma wrodzony talent do amerykańskich filmów o miłości, a także do amerykańskiego moralitetu, czyli westernu. Sukces za sukcesem.

Jest zatem prawdą, że tamtego wieczoru 27 kwietnia, kiedy młody Hill po raz pierwszy przyłożył swój klucz do maszyny, Harry Gallagher był niekwestionowanym, wręcz obrzydliwym ucieleśnieniem sukcesu.

Ale też drogo zapłacił za to, że nigdy nie odstąpił od swoich zasad. Sam osobiście był z tego dumny. Dlatego właśnie tak bardzo zabolęło go oskarżenie Hilla. Tak jakby jego syn w ataku dzikiej młodzieńczej furii powyrzucał za burtę wszystko, co osiągnął i co reprezentował Harry, jakby w furii sprzątania Hill zaczął razem ze śmieciami wyrzucać meble, dywany, a nawet rzeczy przymocowane do ściany.

A przy tym wszystkim wcale nie byli sobie dalecy. Hill ze swym antykapitalistycznym i antykomunistycznym *nouvel anarchisme* i z czarną flagą Dany’ego Cohn-Bendita nie był aż tak odległy od światopoglądu Harry’ego. Harry bowiem już dawno zerwał z komunizmem. Obserwując rozwój wydarzeń w Rosji, Chinach i innych krajach w latach czterdziestych,

pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, doszedł do przekonania, że o ile państwa te mogą wspomagać, i zapewne wspomagają, najniższy wspólny mianownik ludzkości, o tyle ich żądania, ich nacisk na surową nieugiętość przekonań u każdego obywatela (podobne były cele Kościoła w dniach jego potęgi) pomniejsza i krępuje ruch w górę najwyższego wspólnego mianownika ludzkości: jej czynnika wzrostu, w którym sytuuje się prawdziwa twórczość, talent do innowacji, geniusz zmiany i rozwoju duchowego. Oznaczało to dla niego, choć z oporami, powrót do oświeconego kapitalizmu jako mniejszego zła. Ale kapitalizmu też nie lubił. Ani tego, co ze sobą niesie. Duchowo takie podejście czyniło z niego także anarchistę.

Ale spróbujcie to wytłumaczyć Hillowi. Ja bym nie potrafił. A Harry nie zamierzał.

Przypuszczam, że różnica pomiędzy nimi sprowadzała się do tego, że Hill był aktywistą. Że, podobnie jak reszta grupy Dany'ego Cohn-Bendita spod znaku czarnego sztandaru, chciał wcielać anarchizm w życie. Wierzył, że tak trzeba. Wierzył w organizację anarchistyczną, która, sama w sobie, jest już, oczywiście, anomalią. Hill był przekonany, że Harry stał się cynikiem – do czego chyba każdy ma prawo na stare lata. Mądrość to prawo ludzi starszych do nieangażowania się. Ale gdzież się w naszych czasach uchowali starsi, którym by pozwolono spoczywać z godnością na laurach? Z punktu widzenia Hilla wszystko to należało do zniewolonej przeszłości. W jego ustach trudno było o większą zniewagę.

A może w istocie rzecz cała sprowadzała się do klasycznego, banalnego problemu konfliktu pokoleń. Hill – uosobienie zazdrości – nie chciał pozwolić swemu staruszkowi działać i zawładnąć jego młodzieńczym buntem.

Teraz już naprawdę powinienem iść spać.

Rozdział trzeci

Moje małżeństwo rozpadło się wiosną roku 1958. Podczas gdy żona przebywała w swojej rezydencji w Reno, ja wyjechałem w podróż do Europy, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczając, że wyląduję na stałe na tle St.-Louis w Paryżu. Nasze małżeństwo było nowojorskie i literackie. Przez bite dziewięć lat mieszkaliśmy na Manhattanie, w dość okazałym mieszkaniu przy Central Park West, nie oszczędzając wydatków na każdego, komu się powiodło na nowojorskiej giełdzie teatralnej lub literackiej. Oboje byliśmy dobrze się zapowiadającymi pisarzami, ja jako poeta, ona jako powieściopisarka i eseistka. Ponadto Eleanor była zamożna, wręcz bogata – dziedziczka starej rodziny wydawców i pisarzy, która zrobiła miliony w czasach, kiedy milion to były duże pieniądze. Szczęśliwie nie mieliśmy potomstwa.

Trudno się wraca do uczenia angielskiego w szkole, choćby najszykowniejszej, jeśli przedtem przez dziewięć lat było się mężem dziedziczki. A praktycznie zaczęliśmy mieszkać razem dwa lata wcześniej, zanim się pobraliśmy i zanim porzuciłem posadę nauczyciela. Moja książka *Rytmy wczesnej prozy angielskiej* miała bardzo dobre recenzje i...zalegała na półkach. Zgodnie z przewidywaniami. Dwa szczupłe zbiorki wierszy uzyskały bardzo złe recenzje. Pierwsza długa, bardzo długa powieść Eleanor, w stylu bardzo *a la* Joyce, a w prezentowanym światopoglądzie bardzo *a la* Virginia Woolf, ukazała się, umarła i podzieliła los trzech moich książek. I przypuszczalnie to przebrało miarę. Wciąż przyjmowaliśmy gości, może nawet na szerszą skalę. Eleanor piła coraz więcej wieczorami, ja podobnie. Nasze przyjęcia stawały się coraz to częstsze, coraz to dłuższe, często przeciągały się do świtu. Doszliśmy do tego, że wstrętem napawała nas myśl o powrocie gości do domów. Kiedy próbowali wyjść, błagaliśmy ich, żeby zostali, żeby się jeszcze napili. W rozpaczę wziąłem się za twardą realistyczną powieść, choć nie wierzyłem, że mi wyjdzie. I nie wyszła. I tyle.

Nigdy się nie pogodziłem z oskarżeniami Eleanor, że to wszystko była moja wina, że to ja przez brak talentu i przez postępujący „alkoholizm” przyczyniłem się do rozmycia i zmierzchu jej talentu. Od tamtego czasu nic już nie napisała, za to dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy się rozwodziła. Jestem pewien, że miała całą serię kochanków ze sfer literackich i teatralnych w ciągu ostatniego roku naszego małżeństwa, a być może i wcześniej. Ale ona naprawdę kochała sztukę i artystów. I mam wrażenie, że tu sprawiłem jej zawód. Męczy mnie z tego powodu silne poczucie winy. Na szczęście dla mnie wciąż miałem skromny dochód, który mi pozostał po przodkach, wziętych nowojorskich prawnikach – po mojej rodzinie nowojorskich prawników, która potępiała mnie dokładnie tak samo, jak rodzina bostońskich bankierów i doktorów potępiała Harry’ego Gallaghera.

Pod koniec września 1959 roku Louisa Gallagher po raz pierwszy przysłała do mojego mieszkania sama. Zadzwoiła zawczasu, poprosiła o spotkanie i ustaliła dzień i godzinę. Znałem ją podówczas dość dobrze od ponad dwóch lat, razem z Harrym często u mnie bywali.

Ale po raz pierwszy pojawiła się bez niego. Zresztą bodaj po raz pierwszy byliśmy gdzieś razem sami we dwoje. A z całą pewnością ona nigdy przedtem nie odwiedziła mnie sama w moim mieszkaniu.

Jeśli tak długo zatrzymuję się przy tej kwestii, to dlatego, że Louisa mnie na to uczuliła. Co nie znaczy, że otwarcie o tym powiedziała. Co to, to nie. Ale był w niej jakiś rys niemal purytański, z powodu którego Louisa zawsze – z poczuciem winy i skrępowania – miała wrażenie, że jest przedmiotem pożądania. Biedna Louisa. Przejawiało się to na przykład w tym, że zawsze starannie, wręcz demonstracyjnie dbała o swój wygląd: zawsze starannie obciągała spódniczkę, kiedy już podwinęła pod siebie swoje wspaniałe długie nogi; zawsze dokładnie, wręcz z wyrzutem poprawiała spódniczkę, kiedy jakiś mężczyzna z podziwem spojrzął na nie; zawsze siadała na krześle wyprostowana, z zaciśniętymi kolanami. Nawet przy mnie, którego, jak śmiem podejrzewać, lubiła bardziej od innych przyjaciół i znajomych; po twarzy przebiegał jej nieraz grymas winy, jakby właśnie po raz kolejny spostrzegła, że może mi się podobać i miała to sobie za złe.

Podejrzewam, że to część jej nowoangielskiego dziedzictwa. Toż nowoangielskie dziedzictwo uwidaczniało się w szczupłej, kościstej sylwetce i w długiej, końskiej twarzy o ostrych rysach. Kiedy się uśmiechała, poniżej wysokich kości policzkowych pojawiały się dwie głębokie bruzdy. A przy tym – ze wspaniałymi, długimi nogami i szalonymi, głodnymi oczyma – była niezwykle piękną kobietą. Niezwykle też dyskretna, jeśli chodzi o siebie, miewała prawdziwe napady wręcz historycznej gadatliwości na dowolny temat, a zwłaszcza o polityce. Już wtedy głośno i dobitnie krytykowała de Gaulle'a, zarzucając mu, że ocalił Francję przed walczącą prawicą OAS po to tylko, by narzucić krajowi własną wersję rządów prawicowych, co znacznie utrudniło walkę o prawdziwie nowoczesne reformy gospodarcze. Ale nie o de Gaulle'u chciała ze mną rozmawiać, kiedy w ten wrześniowy dzień zjawiała się u mnie.

Oczywiście byłem zaskoczony i zaintrygowany. Umówić się ze mną na *tete-a-tete* w moim mieszkaniu – to z pewnością nie było w stylu Louisy. Kiedy weszła, poprosiłem, żeby usiadła, i zaoferowałem coś do picia.

Przez chwilę w jej oczach zagościło owo spojrzenie spłoszonej sarny i serio się obawiałem, że rzuci się zaraz do klamki.

– Ależ nie! Nie, nie! Nic do picia! – wykrztusiła z siebie, jakby przyjęcie szklanki napoju było pierwszym krokiem na drodze, u której kresu leży uwiedzenie jej w moim własnym mieszkaniu. Przez sekundę myślałem, że nie zechce także usiąść na mojej sofie Drugiego Cesarstwa.

W Louisie zawsze było napięcie, jak w szczelnie nawiniętym drucie, teraz jednak sploty tak się naprężyły, że w powietrzu dało się słyszeć elektryczne brzęczenie.

Chciała się ze mną spotkać w sprawie Harry'ego.

– Zostawiam go, Jacku – powiedziała bez wstępów. – Zabieram Hilla i wracam do Ameryki, do mojej rodziny.

– Co takiego? – wykrzyknąłem.

– To, co słyszałeś. To właśnie mam zamiar zrobić.

– Chyba zwariowałaś! Harry cię kocha! On cię uwielbia!

Na samą myśl o rozpadzie ich małżeństwa nagle rozboleł mnie brzuch.

– Nawet jeśli mnie kocha, to nie okazuje tego w żaden sposób, który mogłabym zaakceptować – stwierdziła stanowczo Louisa.

Od czasu do czasu dobiegały mnie niedwuznaczne plotki na temat erotycznych skoków w bok Harry'ego Gallaghera z młodzietkami aktorkami i temu podobne. Kiedy ludzie się dowiadują, że kogoś znasz, nie mogą się powstrzymać, żeby ci nie opowiedzieć co pikantniejszych kawałków, jakie na jego temat słyszeli. Od czasu pierwszych swych sukcesów we Francji, w połowie lat pięćdziesiątych Harry najwidoczniej zaliczył długą listę aktorek i kandydatek do tego zawodu, przeróżnych narodowości – spora ich część, zarówno Europejki, jak i Amerykanki, to dzisiaj powszechnie znane symbole seksu.

Z początku szokowały mnie te pogłoski. Nadal uważałem, że Harry i Louisa stanowią wzór szczęśliwej amerykańskiej rodziny – coś czego mnie nie udało się osiągnąć – byłem wszakże rad, widząc, że istnieje. Potem powiedziałem sobie: skoro Louisa się nie przejmuje, czemu miałbym ja? A Louisa najwyraźniej się tym nie przejmowała. W końcu cóż bardziej amerykańskiego niż to, że głowa rodziny ma swoje grzeszki, a żona mu wybacza i nie przejmuje się tym, póki ma jego i jego miłość. To doprawdy wzór szczęśliwej amerykańskiej rodziny.

Harry, oczywiście, pisał dla wielu spośród tych dziewcząt scenariusze, na jego usprawiedliwienie trzeba też powiedzieć, że wszystkie niewątpliwie same mu się narzucały. Czy sprawa polegała tylko na gotowości tych dziewcząt, czy też wskutek szoku, wywołanego sromotną ucieczką z Hollywood, coś się w Harrym załamało – tej kwestii nie podejmę się rozstrzygnąć.

Wówczas jednak w moim mieszkaniu wszystko wyszło na jaw. Nieprawda, że Louisa wcale się nie przejmowała. Zachowywała tylko pozory. Pogłoski, jakie mnie dobiegały, pokrywały się w znacznej mierze z tym, co Louisa opowiedziała mi w tamten wrześniowy dzień roku pięćdziesiątego dziewiątego w moim mieszkaniu. Co więcej, podobne rzeczy zdarzały się dużo wcześniej, jeszcze w Kalifornii, zanim Harry uciekł przed Komitetem do Spraw Działalności Antyamerykańskiej z Hollywood do Francji. Aż w końcu przebrała się miarka niegodziwości.

Harry pisał scenariusz dla pewnego francuskiego producenta, który chciał podbić rynek

amerykański przy pomocy nowego francuskiego gwiazdora i sprowadził dla niego dwie aktorki amerykańskie. Jedna z nich była bardzo młoda i bardzo piękna, szybko też poślubiła producenta filmu i stała się gwiazdą międzynarodową. Ale i druga, choć starsza, też była nie do pogardzenia. Obie dziewczyny (oczywiście osobno, z własnej inicjatywy) zapraszały Harry'ego do Cannes, w nadziei, że uda im się rozbudować swoją rolę. Każda miała wrażenie, że rola nie jest jej godna i wymaga pogłębienia charakteru, zwłaszcza w zestawieniu z rolą partnerki. Po kolacyjce sam na sam z Harrym i producentem każda z nich napisała do Harry'ego ciepły liścik. I Harry pojechał, opowiadała Louisa. Oczywiście i tak miał jechać, żeby omówić szczegóły scenariusza z producentem. Obie damy jednak po jego powrocie z Cannes przysłały na jego paryski adres bardzo ciepłe listy dziękczynne, w których każda pisała, jak miło jej się współpracowało z pisarzem o takich horyzontach, takiej wrażliwości, takiej znajomości ról i charakterów.

– A on nawet się nie zatroszczył o zniszczenie tych listów! – powiedziała Louisa z wypiekami na twarzy i odrzuciła z czoła swe wspaniałe, ciężkie włosy. Wtedy, w 1959, miała trzydzieści jeden lat i była wielce pociągająca. – Ani tych pierwszych, ani późniejszych, z podziękowaniami!

Mogło to wyglądać na niewrażliwość, więc stłumiłem uśmiech i przełknąłem ślinę, żeby się powstrzymać od głośnego śmiechu na myśl o Harrym, który w Cannes chytrze kręci z obiema dziewczynami, a one, zapewne zmieniając się co noc, odplacają mu swoimi wdziękami, po cichu rozbudowując swoją rolę kosztem roli przeciwniczki w zachłannym wyścigu do sławy.

Ale dla Louisy nie było w tym nic śmiesznego.

– Może nie przyszło mu do głowy, że znizysz się do przeglądania jego listów? – podsunąłem nieśmiało.

– Tak, zrobiłam to – odparła Louisa bez cienia poczucia winy. Tak jakby cała jej zdolność odczuwania winy wyładowywała się w obciążaniu spódniczki, co zresztą nagle i starannie uczyniła. – A moja rodzina chętnie nas przyjmie i zatroszczy się o mnie i o Hilla.

Tak, co do tego nie miałem wątpliwości. W odróżnieniu od Harry'ego, u którego tradycje bogatej, konserwatywnej irlandzko-bostońskiej rodziny sięgały ledwie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to pierwszy z irlandzkich przodków wydobyl się dzięki operacjom bankowym ze środowiska robotniczego, zaplecze intelektualne Louisy, nie krępowane koniecznością zarabiania pieniędzy, ciągnęło się nieprzerwaną linią od Emersona albo jeszcze od dawniejszych czasów. Była nawet daleką krewną braci Jamesów. Jej rodzina z pewnością mogła się o nią dobrze zatroszczyć. Zwłaszcza jako wymieszany w równych proporcjach stop żelaznego opanowania i surowego nowoangielskiego purytanizmu.

– No ale właściwie dlaczego zwierzasz mi się z tego wszystkiego? – spytałem.

Przez chwilę myślałem, że wybuchnie płaczem. Ale nie pozwoliła jej na to Nowa Anglia.

– Po prostu musiałam komuś o tym powiedzieć, Jack. Musiałam.

– I nawet nie zamierzasz poinformować Harry’ego, że go opuszczasz? – bardziej stwierdziłem, niż spytałem, bo na to się w moim odczuciu zanosilo, bo na to mi wyglądało.

– Nie. Zostawię list.

– A ile lat ma Hill? – naciskałem nieubłaganie.

– Prawie jedenaście.

– Prawie jedenaście! Louiso! Na miłość boską! Zmierzyła się ze mną wzrokiem z prawdziwie nowoangielską zaciętością.

– Wiem. To w tym wszystkim najgorsze. Ale nic na to nie poradzę.

Zaczerpnąłem powietrza do płuc. Siedziałem obok niej na mojej sofie Drugiego Cesarstwa. Przez chwilę myślałem, czyby jej nie wziąć za rękę. Ale zrezygnowałem. Zaraz by uciekła. Dobry Boże! Rozwiedziony, zwłaszcza dlatego, że rozwiedziony, jakże mógłbym aprobować rozpad małżeństwa czy, co gorsza, samemu się do niego przyczyniać?

– No cóż. Wiesz, że jestem przyjacielem Harry’ego – zacząłem ostrożnie. – Może jednym z najbliższych.

– Najbliższym.

– Posłuchaj, powiem ci, co zamierzam zrobić – powiedziałem przybierając ton chłodny i bezosobowy, co czyniłem zawsze, gdy musiałem komuś odrzucić tekst, choć zawsze kosztowało mnie to sporo nerwów. – Zamierzam zadzwonić do Harry’ego, zaraz, w tej chwili i powiedzieć mu to, co ty mi powiedziałaś. Chyba że dasz mi w tej chwili słowo honoru, iż nie opuścisz Paryża, nim dokładniej nie omówisz tej sprawy z Harrym, A potem nie przyjdiesz i nie opowiesz mi o tej rozmowie.

– Ależ to nie *fair!* – zawołała. – Zaufałam ci, sama do ciebie przyszłam! To zupełnie *nie fair*. Przyszłam do ciebie jako do przyjaciela.

– *Fair czy nie fair* – oznajmiłem surowo głosem redaktora – nie masz wyboru.

Była bezradna, trochę nawet oszołomiona.

– Widzę, że naprawdę mu powiesz! W takim razie chyba nie mam wyboru?

– Nie masz.

Sięgnąłem po słuchawkę.

– Dobrze! Dobrze! Nie trzeba! Obiecuję!

– Nowoangielskie słowo honoru!

– Moje słowo honoru. To wystarczy.

– Wystarczy. A teraz idź do domu i porozmawiaj z Harrym.

Tego samego wieczoru przysłała Hilla, żeby u mnie przenocował. Przypuszczam, że wtedy wszystko się rozstrzygnęło. Młody Hill, który miał wówczas dziesięć i pół roku, trochę marudził.

– Co się dzieje w domu? – spytał mnie podejrzliwie.

– Nie wiem o niczym. Co by się miało dziać?

– No to dlaczego przysłali mnie do ciebie na noc? Dopiero drugi raz będę u ciebie nocował.

Za pierwszym razem byłem jeszcze małym dzieckiem.

Zdarzyło się to rok wcześniej.

– Pomyślałem sobie, że może miałbyś ochotę odwiedzić starego wuja Jacka i dla odmiany zjeść z nim kolację. Dlatego zadzwoniłem do twojej mamy.

– Ja jednak uważam, że tam się coś dzieje – upierał się Hill.

– Cóż, jeśli nawet, to ja nic o tym nie wiem. Popatrz, mam tu wspaniałe kotlety. A może wolałbyś raczej porządnego hamburgera?

– Lubię ślimaki. Nie masz ślimaków?

– Przecież świetnie wiesz, że nie mam w domu ślimaków. Zgoda, w takim razie zjemy na mieście. Na sąsiednim rogu Quasimodo ma znakomite ślimaki.

– Hurra! – zawołał Hill. – Wspaniale! O ludzie, kocham wuja Jacka!

Potem jednak, kiedy szliśmy nabrzeżem do restauracji, znów łypał na mnie spode łba, naburmuszony, jakby podejrzewał, że wiem coś, co się przed nim ukrywa.

– Przypuszczam, że wiesz o dziewczynach taty? – spytał w końcu.

Przechodziliśmy właśnie przez rue Boutarel. Trwał piękny, wrzosowo-wrześniowy paryski dzień. Restauracje były już pełne lub prawie pełne, ale jeszcze nie zapadł zmrok. Na zachodzie za masywem Notre-Dame słońce zachowało resztkę swej potęgi i strzelało ostatnimi promieniami w jedyną w swoim rodzaju strukturę obłoków charakterystyczną dla Ile de France przy dobrej pogodzie.

– O dziewczynach? Chcesz powiedzieć: o kochankach?

– Tak, chyba chodzi mi o kochanki. Całe mnóstwo. On ich ma mnóstwo. To ważne. Nie każdy facet ma ich tyle.

– Skąd wytrzasnąłeś te bzdury?

Z ulgą zauważyłem, że dochodzimy do restauracji. Zajrzałem przez wymalowane szyby, za którymi stały rośliny w donicach. Hill był za niski, żeby dostrzec uśmiechniętych biesiadników w środku.

– Trzeba mieć oczy i uszy otwarte. To wszystko. Tak jak ja. Wtedy wiele się dowiesz. Mamę to denerwuje, nie wiem dokładnie dlaczego. Ale się z tym kryje. Tata o tym nie wie. A ja jestem pewien.

– Wydaje mi się, że wymyśliłeś sobie całą tę historię. Gdyby twój tata miał tyle dziewczyn, ja pierwszy *bym* o tym wiedział. Od niego.

Stałem w drzwiach – ostatni rzut oka na wieczór, na wieczorne niebo. Dlaczego my,

ludzie, nie umiemy być tak pogodni jak to niebo.

Hill nie odpowiedział. Weszliśmy. Dostojny stary *maitre d'*, który posiadał i prowadził ten lokal jeszcze chyba przed Trzecią Republiką, znał Hilla i znał mnie; zawsze przyjmował nas z wielkimi honorami, jako mieszkańców wyspy, którym w jego restauracji należą się specjalne względy. Teraz rozpływał się nad faktem, że oto *Hill, jeune monsieur*, wybrał się na kolację z przyjacielem, bez rodziców. Hill zamówił i zjadł tuzin ślimaków, maczając pieczywo w sosie maślanym, podanym w okrągłych zagłębieniach cynowej tacy, po czym próbował wrócić do tematu. Ale odpowiedziałem wymijająco, dając mu do zrozumienia, że uważam sprawę za zakończoną (jedliśmy *coq-au-vm*). Nie bardzo widziałem inne wyjście. Ale miałem przypomnieć sobie tamten wieczór cztery lata później, kiedy płynęliśmy po Marnie – szczególnie dokładnie, rzecz dziwna, przypominałem sobie ówczesny wygląd nieba. Hill wszakże tamtej nocy bez dalszych problemów przenocował w moim mieszkaniu, a w dziewięć miesięcy później, w czerwcu, niemal tego samego dnia miesiąca, przyszła na świat moja chrześniaczka, McKenna Jartley Gallagher, drobna dziewczynka o zrównoważonych oczach i nieomylnie nowoangielskim wyglądem. Na swój sposób szczególnie doceniam to, że Louisa nigdy mi nie podziękowała. Nie tylko nie podziękowała. Nigdy nawet się słowem nie zająknęła. Prawdę mówiąc, postępowała tak, jakby się nic nie stało.

Wydaje mi się, że dopiero po tym niedoszłym zerwaniu, któremu zdołałem zapobiec, Gallagherowie stali się wzorową rodziną amerykańską, tak jak ich sobie kiedyś wymarzyłem. Wiem, że Harry przestał uganiać się za młodymi aktorkami. Z całą pewnością wszelkie plotki ucichły. A Louisa sprawiała wrażenie absolutnie szczęśliwej.

Wiem, że Harry przestał uganiać się za aktoreczkami, bo sam mi o tym powiedział. Wcale nie musiał, a przecież jednak powiedział. Uwierzyłem mu choćby dlatego, że nie miał najmniejszego powodu, żeby mi o tym mówić.

Zdarzyło się to w dłuższy czas po narodzinach McKenny. Sześć lat później. A Harry nie miał pojęcia o mojej roli w tej sprawie.

Było to zatem stosunkowo późno, na dwa lata zanim Samantha Everton i rewolucja majowa, „wypadki majowe”, jak to Francuzi do dziś określają, spadły nam na głowę. Nie, naprawdę Harry nie miał żadnego powodu, żeby mi o *tych* mówić, prócz jednego: że tak w istocie było.

Pamiętam, że zdarzyło się to po szóstych urodzinach McKenny, ponieważ tamtego roku, który był dla niej pierwszym rokiem szkolnym, wydałem na jej cześć specjalne przyjęcie mikołajkowe. Zaprosiłem jej małych kolegów i koleżanki, całą klasę. Hill miał wówczas skończone siedemnaście lat i już studiował na Sorbonie. Mój Boże, nie było szczęśliwszego, bardziej zachwyconego dziecka niż McKenna wtedy, na tym swoim przyjęciu.

Rozmowa z Harrym, w trakcie której doszło z jego strony do zwierzeń, odbyła się dlatego, że Harry zastanawiał się, czy ma się podjąć pewnej pracy, i pragnął mojej rady. Dlaczego miałbym mu radzić w sprawie jakiegoś filmu – tego nigdy nie wyjaśnił. Ale to był powód czy pretekst, żeby mnie zaprosić na kolację. Praca, nad którą się zastanawiał, miała polegać na napisaniu w Hiszpanii scenariusza włoskiego westernu.

Zaprosił na tę kolację, do siebie do domu, dwóch producentów: Francuza i Amerykanina. To był prawdziwy powód mojej tam obecności. Miałem być jego harcownikiem, napastnikiem w hollywoodzkim pojedynku z dwoma producentami. W środowisku filmowców często odgrywałem rolę broni literackiej, artystycznego pałacza Harry'ego. „Two Islands Review” był już ówczas dość dobrze znany, a ja wraz z nim jako jego wydawca i redaktor. Harry lubił odwoływać się do mnie jako do swego eksperta w kwestiach artystycznych i, szerzej, estetycznych. Lubiał też nadmieniać, w charakterze przerywnika reklamowego, że włożył spore pieniądze w „Two Islands Review” – co zresztą rzeczywiście uczynił.

Francuz walczył z nim tamtego wieczoru zażarcie, z owym nadmiarem gadatliwości i adrenaliny, do którego Francuzi mają skłonność i którego trudno im się pozbyć, nawet jeśli się bardzo starają. Amerykanin, który pracował przedtem jako dyrektor do spraw rozpowszechniania w Warner's, Fox albo MGM i wyglądał jak jedna z tych łysych różowych lalczek, jakie można wygrać na wiejskim jarmarku, przysłuchiwał się i przyglądał wszystkiemu w brzemiennej milczeniu i przez cały wieczór nie powiedział więcej niż dwa słowa. Potem się przekonałem, że wcale nie był mądry. To była tylko jego broń. Jak ja byłem bronią Harry'ego. A nadmierna gadatliwość – bronią Francuza.

Cała kwestia pracy w przemyśle filmowym jest skomplikowana. Nikt nikomu nic nie mówi. Żeby coś z kogoś wydobyć, trzeba tego kogoś niemal dosłownie ciągnąć za włosy.

Sama strona techniczna jest dość złożona. Scenariusz Harry'ego to tylko drobna cząstka. Na całość składają się też: naciąganie rekinów finansowych świata filmowego, zakulisowe przetargi dotyczące reputacji, niezliczone pertraktacje w sprawach rynków i rozpowszechniania. Starłem się nadażać za rozmówcami, kiedy po kolacji przierzucali się argumentami, ale obawiam się, że i tak nie wszystko rozumiałem.

Cały kłopot tkwi bodajże w tym, że nikt nie wie ani nie umie z góry przewidywać, co się sprzeda. Toteż producenci filmowi (a nie mówię tu tylko o małych rybkach) są naśladowcami. Jeśli musical broadwayowski staje się przebojem, wszyscy kręcą broadwayowskie musicale, jeśli western odniesie sukces, wszyscy kręcą westerny, jeśli sztuka Pintera uda się jako film, każdy kręci film pod Pintera.

Francuz i Amerykanin Harry'ego chcieli nakręcić w Hiszpanii włoski western. Głównie dlatego, że włoskie westerny stały się w Ameryce wielkim przebojem i tym samym były teraz

dobrym interesem. Włoskie westerny (jak się zorientowałem) wyróżniały się tym, że kręcono je w Europie tak tanim kosztem, że Amerykanie, z gwarantowanymi przez związki zawodowe stawkami, nie byli w stanie konkurować; przedsięwzięcie różniło się też tym, że Włosi zrezygnowali z tradycyjnego amerykańskiego moralitetu, znieśli kontrast między bohaterem a złoczyńcą i kręcili westerny całkiem nowego typu: ostre, niezwykle brutalne i absolutnie niemoralne/A widowia amerykańska szalała z zachwytem. Nasi dwaj producenci myśleli, że uda im się konkurować z Włochami na tym samym gruncie, a nawet ich pokonać, kręcąc film w Hiszpanii, gdzie było jeszcze taniej niż we Włoszech. Amerykanin miał umowę z Dupont-Bronston na korzystanie z ich studia i zaplecza technicznego. Obaj zmobilizowali mnóstwo forsy na to przedsięwzięcie. Chcieli, żeby Harry napisał dla nich scenariusz pierwszego westernu. A jeśli pierwszy odniesie sukces, bez przeszkód będą mogli ciągnąć całą rzecz dalej.

Trzeba zresztą zaznaczyć, że nie chodziło tu tylko o pieniądze i zyski. Filmowiec bardziej od zysków łaknie sławy, jaką przynosi udany film, chwały bycia sławnym, światowej popularności i związanego z tym przywileju wydawania mnóstwu ludzi poleceń i szczodrego wydawania pieniędzy, jednym słowem, zachowywania się jak Darryl Zanuck i ludzie jego pokroju. Wprost czuło się, jak emanuje z nich owa żądza sławy.

Istniały jednak poza tym dalsze komplikacje. Na przykład prawie wszystkie filmy w dzisiejszych czasach są, jak to się mówi, „preparowane”. To stwarza kolejny problem. „Preparowane” w tym sensie, że „niezależny” producent (który w gruncie rzeczy wcale nie jest niezależny) musi z góry, z wyprzedzeniem zorganizować cały proces produkcji filmu, zanim się uda do dużej wytwórni albo do rekinów finansowych po ten milion czy kilka milionów zaliczki, niezbędnych do faktycznego nakręcenia filmu. Producent musi zatem najpierw uzyskać „prawa”, czyli fabułę, potem znaleźć autora, który zrobi z tego scenariusz, wreszcie reżysera i, w miarę możliwości, gwiazdę, która zgodzi się /zagrać w tym filmie – cały czas wykładając z własnej kieszeni, kieszeni producenta, te dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt tysięcy dolarów na to, by zebrać tych wszystkich ludzi do kupy, mając wciąż nadzieję, że uda się ich wszystkich zebrać razem i nakłonić do harmonijnej współpracy, co wedle Harry’ego zdarza się niezwykle rzadko.

Współczułem biednym producentom. W odróżnieniu od Harry’ego, choć i on w stosownych momentach udawał, że im współczuje.

Od chwili kiedy usiedli, wiedziałem, że Harry chce podjąć się tej pracy. Nie wiem, czy ktoś inny także to zauważył. Z pewnością żaden z producentów. A Louisa opuściła nas zaraz po kawie. Droga Louisa. Przy drugiej kawie wszakże i przy brandy Harry zaczął wysuwać imponującą, nie mającą końca litanię zastrzeżeń. Trwała ona przez całą brandy i sporą część whisky. A były to zastrzeżenia wręcz druzgocące i absolutnie przekonujące. Tak mi się przynajmniej wydawało. W sumie zrobiło się po trzeciej nad ranem.

Opancerzeni whisky, w zasłonie dymu z drogich cygar, który przyprawiał mnie o okropny ból głowy, „przerzucali piłeczkę”, jak to nazywali, podczas gdy Harry ciągnął swoją litanie. Rozkładał tych biednych producentów na obie łopatki (choć nie były to żadne płotki) metodycznie i z wyraźnym upodobaniem, tak że naprawdę zrobiło mi się ich żal.

Ja byłem jego zastrzeżeniem estetycznym. Przeczytałem tekst (nie przeczytałem, ale potaknąłem i zmarszczyłem brwi) i zgadzam się z nim, że ich prawa do powieści, które nabyli, to rzecz bez wartości. Harry musiałby zrobić wszystko od nowa. Dałoby się wykorzystać jedną, najwyżej dwie sceny, a i to po znacznych przeróbkach. Tu spojrział na mnie, a ja niezwłocznie przyznałem mu rację uśmiechem i skinieniem głowy.

Inne zastrzeżenie dotyczyło reputacji Harry'ego. Jak wszystkim obecnym wiadomo, opierała się ona na jego specjalności: pisaniu dobrych staromodnych amerykańskich westernów-moralitetów oraz sentymentalnych historii miłosnych, które przyniosły mu sławę, wyciskając łzy z oczu widzów. Harry zastanawiał się, czy może porzucić tę rolę, zdjęć ów dobrze na nim leżący garnitur po to, by przymierzyć jakąś efektownie wyglądającą, ale może tandetną szatkę w rodzaju tego włoskiego westernu, czegoś „nowoczesnego”. Obawiał się, że może to zaszkodzić jego dotychczasowej reputacji.

A co z reżyserem? Nie może pisać dla dowolnego reżysera. Harry rozwodził się na ten temat przez dłuższy czas.

A gwiazda? Tak naprawdę to nie mają dotąd kontraktu z żadnym gwiazdorem. A Harry nie może dobrze napisać tytułowej roli, póki nie będzie wiedział, dla jakiego pisze aktora. Obaj przecież świetnie wiedzą, że rola dla Burтона nie jest rolą dla Steve'a McQueena, i odwrotnie. Omawiali ten punkt przez dłuższy czas.

Nie, on po prostu nie wyobraża sobie siebie przy tej pracy, powiedział w końcu Harry.

Tamci na wszystko mieli odpowiedź. Wiedzą, przyznali, że wyjściowy tekst nie jest najlepszy, ale polegają na Harrym, wierzą, że będzie umiał naprawić braki. Co do jego reputacji, są przekonani, że tego rodzaju film nie tylko jej nie zaszkodzi, ale wręcz ją umocni. Natomiast dobór reżysera i gwiazdora w dużej mierze zależy od tego, czy będą mieli zapewniony scenariusz Harry'ego Gallaghera. Rozwodził się nad tym dość długo. Od czasu do czasu patrzyli po sobie, jakby zdziwieni, jakim to cudem znaleźli się w tej żalostnej pozycji, w roli petentów. W razie czego, ciągnęli, można będzie użyć pseudonimu, na przykład Enrico Galignani, jeśli Harry sobie tego zażyczy. Oczywiście reżyser i główny aktor będą wiedzieli, że to Harry Gallagher napisał scenariusz. W końcu Harry Gallagher jest scenarzystą dla gwiazd, autorem, którego prace reżyserowie i aktorzy po prostu uwielbiają realizować. Kogo brałby pod uwagę, kogo by sobie wyobrażał jako reżysera i jako głównego aktora? Po czym nastąpiła, przy kolejnej whisky i kolejnych cygarach, długa dyskusja na temat tego, który reżyser i który aktor nadałby się do filmu i umiał dobrze współpracować. Tamci schlebiali Harry'emu w najgorszym guście i

zauważyłem, że mój przyjaciel świetnie sobie z tego zdaje sprawę. W końcu sobie poszli, uzyskawszy warunkową zgodę na to, że Harry pomyśli nad tym parę dni i potem im oznajmi, czy się decyduje, czy odmawia, czy też chce rzecz jeszcze raz przedyskutować.

– Kogo te durnie chcą przechytrzyć? – powiedział Harry z cwana miną, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi. Gęba mu się śmiała od ucha do ucha.

Wróciliśmy do zadymionego pokoju. Harry przez chwilę stał i patrzył.

– O Boże! – jęknął.

Klepnął się po biodrach, po czym wspiął się na palce, wyciągnął na całą swoją wysokość (w dopasowanym ciemnym garniturze) i rozpostarł ręce nad głową. Przez chwilę wyglądał jak czarownik. Była w nim taka siła, taka moc przyczajonej od dawna, z trudem powstrzymywanej energii, że spodziewałem się ujrzeć iskry, syjące się strumieniami z jego rozcapierzonych palców.

– O Boże! – powtórzył, po czym opadł na wyściełany fotel niczym worek starych kości. – Czekałem na taki numer od ponad roku. Jak tylko Włosi wstrzelili się w rynek swoją produkcją.

Wiercił się w fotelu.

– Czekałem nawet dłużej! Przynajmniej od pięciu lat. Żeby zrobić western tego rodzaju. Ale w Ameryce nie znalazł się facet z jajami, który by się odważył zerwać z konwencją.

Opanował się i wstał.

– Chodź. Pójdziemy na górę. Do mojej pracowni. Musimy ochłonać, ty i ja. Nad butelką whisky. Czuję się jak po piętnastej rundzie.

Poprowadził. Na kiepsko oświetlonych zewnętrznych schodach odwrócił się i szczerząc zęby w półmroku powiedział:

– Trzeba grać z nimi w pokera. To już rytuał. Tak kręci się ten interes.

Szedł dalej, a jego głos dobiegał do mnie przez ramię w bladym, oszczędnym świetle *minuterie*.

– Jeśli tylko dasz im poznać, że miałbyś na to ochotę, jesteś skończony. Jeśli choćby raz przejdzie im przez myśl, że wręcz się do tego palisz, obrobiją cię równo od góry do dołu. Wbiją ci w tyłek długi nóż Jima Bowiego i każą ci tańczyć hopaka.

Klucze zabrzcęzały, kiedy je wyciągał z kieszeni marynarki. Wsunął rękę przez drzwi, zapalił górne światło, weszliśmy. Zanim znalazłem się w środku i zatrzasnąłem za sobą drzwi, on już siedział, odchylony do tyłu na bujanym fotelu z czarnej skóry, stojącym obok prawdziwego antyku – drewnianego biureczka.

– Nie można zejść na ich poziom – powiedział. – Zresztą sam nie jestem pewien, czy mam ochotę pojechać na tak długo do Hiszpanii. Nie jestem pewien, czy chcę na tak długo rozstawać się z Louisą.

Biureczko i ustawiony do niego prostopadle stół w stylu Ludwik XII były zawałone

maszynopisami i innymi papierami. Z drugiej strony fotela, na specjalnym stoliku na kółkach, stała elektryczna maszyna do pisania firmy IBM. Obok leżały stosy papieru, kalki i kołonoatniki. Usiadłem na jednym z dwóch średniej wysokości foteli, też ludwiki, po przeciwnej stronie biurka.

– Wcale nie jestem pewien, czy chcę na tak długo rozstawać się z Louisą – powtórzył Harry.

Wstał i podszedł do barku po whisky, wodę Perrier, szklanki i lód. Rozejrzałem się po pokoju. Raz i drugi.

– Z drugiej strony, coś takiego już zrobiono, we Włoszech – rzucił znad baru. – Co innego, gdybyśmy to my pierwsi robili.

Nie odpowiedziałem.

Pracownia Harry’ego stanowiła gigantyczną projekcję jego osobowości, aż do granic karykatury – albo dzieło scenografa jednego z jego amerykańskich filmów miłosnych z amantami-samcami. Na ścianie wisiała „Czerwona baryłka” Watney-Manna – tablica do rzutek w gablocie Watney-Manna – taka sama jak te, które widuje się w londyńskich pubach; na podłodze zaś pod tablicą rozciągała się autentyczna gumowa mata Watney-Manna z zaznaczoną odległością ośmiu i dziewięciu stóp. Na przeciwległej ścianie wisiała należąca do Harry’ego kolekcja broni kowbojskiej, nabojów, noży typu „Bowie”, indiańskich włóczni, łuków i tomahawków. W kącie leżało sześć czy siedem nowoczesnych dubeltówek oraz trzy nowoczesne łuki z włókna szklanego, bez cięciw.

Harry, wynajmując mieszkanie, przejął też trzy sypialnie dla pokojówek na poddaszu i burząc częściowo ściany między nimi otrzymał jedną dużą pracownię. Pod pochyłym dachem uzyskał w ten sposób więcej niż cztery ściany – miał ich bodajże siedem. Znalazło się miejsce na kuchenkę z pełnym wyposażeniem i na sporą łazienkę. Połowę jednego z niniejszych pokoików zajmowało coś w rodzaju podium wysokiego na pół metra i pokrytego grubym granatowym filcem, na którym w charakterze łoża leżał podwójny materac z umocowaną nad nim nocną lampką; zostawało na podium dość miejsca na książki, popielniczki, tacę z napojami i szachownicę. Mały kominek służył zarówno pomieszczeniu z podium, jak i czarnemu fotelowi Harry’ego obok biurka. Całość, z pochyłymi sufitami i małymi okienkami, wyglądała niezwykle przytulnie i natychmiast przywiodła mi na myśl tajemne *pied-a-terre*, do którego sprowadza się dziewczyny. Harry miał jedyny komplet kluczy do wszystkich pomieszczeń, który czasem tylko udostępniał pokojówce, żeby tu posprzątała. Nikt inny nie miał wstępu. Przez wszystkie te lata, odkąd go poznałem, zaprosił mnie na górę trzy, może cztery razy.

Całą długą ścianę zupełnie zakrywały półki na książki, przy czym niektóre były oszklone i zamykane na klucz – mieściła się w nich słynna kolekcja pornograficzna Harry’ego. Pod inną, krótszą ścianą stały gabloty zawierające mapy morskie; na wierzchu, pod specjalną lampą, leżały przyrządy nawigacyjne, łącznie z automatycznymi jak Mixter czy Bowditch. O ile mi wiadomo,

Harry nigdy nie miał jachtu. Na trzeciej ścianie wisiały plakietki, certyfikaty nagród i wyróżnień, i inne pamiątki. Harry mawiał, że to „ściana śmierci”. Były tam takie rzeczy, jak dyplomy dożywotniego członkostwa Amerykańskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego i Amerykańskiego Bractwa Kurkowego albo rekomendacja Związku Scenarzystów dla komitetów Nagród Akademii. Były też dyplomy srebrnej gwiazdy i brązowej gwiazdy z czasów wojny, nadesłane przez jakiegoś wielbiciela zaświadczenie mianujące go Admirałem Wielkiej Floty Stanu Nebraska, trochę wycinków prasowych, menu z południa Francji, na którym obok niego podpisali się Irwin Shaw i William Styron, kilka ciekawszych rozdań pokerowych, oprawiony w ramki krawat klubu, którego był członkiem, również oprawiony klucz głównego pasażera statku „Liberte”, otwierający przed nim drzwi do pierwszej klasy, oprawione okładki „Newsweeka” i „Time’a” wraz z fotografiami przyjaciół, którzy je projektowali, a także oprawione zdjęcie dolnej części pleców jakiejś anonimowej dziewczyny, tak sprytnie wygiętej, że nie było widać nic szczególnie zdrożnego prócz włosów łonowych prześwitujących między udami. Harry nigdy nie powiedział więcej nad to, że jest to sławna aktorka filmowa, którą kiedyś bliżej znał.

W rogach, nie licząc kącika z tarczą, stały ustawione w kozły strzelby myśliwskie, dalej narty, kijki i buty narciarskie z wiązaniami, dalej butle płetwonurka z pełnym oprzyrządowaniem, kilka rodzajów kuł i lasek, koło barku zaś rodzaj składanego stołu, zwany urządzeniem treningowym Adamsa. Brakowało tylko stołu pingpongowego. Ale po prostu już by się nie zmieścił.

– Nie, wcale nie jestem pewien, czy chcę na tak długo rozstawać się z Louisą – powtórzył wracając od barku z tacą i siadając ponownie w bujanym fotelu z czarnej skóry.

– Mógłbyś wziąć ją ze sobą – podsunąłem. Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Właściwie czemu nie?

– Zainstaluj ją w Madrycie.

– Kłopot w tym, że ona nie miałaby co robić w Madrycie. Nudziłaby się. Ja bym przecież siedział cały czas w studio albo na planie.

– Zakupy.

– W Madrycie nie ma czego kupować. Najwyżej tkane hiszpańskie kilimy.

– Muzea. Chyba jeszcze nie widziała Prado?

– To prawda – powiedział w zamyśleniu. Pobujał się w fotelu. – To prawda.

– Będzie zachwycona.

– Może – zastanawiał się Harry – może. W każdym razie ja nie mam ochoty jechać bez niej.

– Tu uśmiechnął się porozumiewawczo, żeby nie miał wątpliwości, o co mu chodzi. Myślę, że był nadal podekscytowany po starciu z producentami.

Sięgnąłem po szklanę, pochyliłem się nad nią i obserwowałem uważnie kostki lodu. Nigdy

z Harrym nie rozmawialiśmy otwarcie o sprawach seksu – jeśli nie liczyć sytuacji, kiedy trącał mnie łokciem, uśmiechał się albo dyskretnie zwracał wzrokiem uwagę na jakąś szcudrze przez naturę obdarzoną dziewczynę, na przyjęciu czy na ulicy. Wówczas nie miałem akurat szczególnej ochoty zaczynać takiej rozmowy. A już na pewno nie chciałem zaczynać od czegoś, co dotyczyłoby Louisy.

Harry siedząc przy biurku odwrócił się w stronę maty i przez chwilę się w nią wpatrywał. Potem znów się odwrócił, oparł obcasy czarnych półbutów o krawędź biurka, łamiąc swe długie ciało niczym scyzoryk. Oczy mu rozbłysły, a zarazem stały się dziwnie puste, jak klejnoty. Skórzane podeszwy butów tkwiły mi przed oczyma, tworząc ramę dla twarzy Harry'ego. Ta z kolei szczyrzyła do mnie zębami w uśmiechu niby to potulnym i nieporadnym, a przecież osobliwie zarozumiałym i dumnym zarazem. Należało się spodziewać jakiegoś zwierzenia.

Harry odezwał się spomiędzy stóp:

– Wiesz, od sześciu lat spiam wyłącznie z Louisą. Od narodzin McKenny. A ściślej mówiąc, od chwili jej poczęcia.

Łypnął na mnie okiem, jakby oczekiwał z mej strony jakiejś reakcji.

Ja z kolei nie wiedziałem, jak zareagować na takie *dictum*, więc pominąłem je milczeniem.

Harry zmienił pozycję: wyprostował długie nogi i teraz, zapalając cygaro, opierał się o kant biurka kostkami. Dolał też sobie czystej whisky.

– Może o tym nie wiedziałeś, ale dawniej miałem to we krwi. W swoim czasie byłem psem na kobiety. Przed McKenną. I to całkiem długo. Przypuszczam, że wcale mnie o to nie podejrzewałeś.

Przerwał.

Nadal nie wiedziałem, co powiedzieć, więc tylko chrząknąłem, żeby grzecznie zmanifestować nie słabnące zainteresowanie. Przeczuwałem zresztą, że będzie kontynuował, bez względu na moje reakcje. W głębi duszy wiedziałem, że w tej chwili już nic nie jest w stanie go powstrzymać. Wiedziałem też, muszę to Harry'emu przyznać, że w ciągu tych sześciu lat od poczęcia McKenny Harry kilkanaście razy przebywał dłuższy czas poza domem, pracując w Rzymie czy w Londynie.

Z oczyma nadal błyszczącymi jak klejnoty powiedział:

– Nie uważam, że bym był szczególnie atrakcyjny dla kobiet. Nie bardziej niż niektórzy inni mężczyźni. Więc to nie moja zasługa. Niemniej miałem w tamtym okresie więcej cipek niż niejeden przez całe życie. Pewnie że dwa razy więcej. Zaliczyłem prawie wszystkie. Pieprzyłem wielkie i największe.

Tu przerwał i uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

– Myślę, że nigdy nawet mnie o coś takiego nie podejrzewałeś.

Nie było to jeszcze bezpośrednie pytanie, ale niewiele brakowało. Czułem, że oczekuje ode mnie odpowiedzi. Ponieważ nie mogłem jej udzielić, zrobiłem nagły ruch i wysunąłem przed siebie szklankę, żeby odwrócić jego uwagę; nalał mi czystej whisky z butelki, która stała na tacy pośród maszynopisów. Sam dolałem sobie wody Perrier.

– Stwierdziłem – ciągnął Harry – że z reguły większość dziewcząt pokazuje, co ma, i bez większych zahamowań chętnie coś z tego daje, zwłaszcza jeśli leży to w ich interesie. Poza tym zawsze jeszcze sporo zostaje. A dziewczyny uczą się szybko, bardzo szybko. Ponadto lubią literatów, zwłaszcza scenarzystów. Więc to nie moja zasługa.

Ostrożnie odchrząknąłem. Czułem, że zbliżamy się do punktu, w którym muszę coś odpowiedzieć.

– Wiesz, Harry, myślę, że jesteś cholernie wspaniałomyślny mówiąc takie rzeczy.

Tak powiedziałem i znów bacznie obserwowałem lód, który szybko topniał.

Harry pomachał ręką, jakby opędzał się od namolnej muchy.

– Tak czy siak, Louisa zwróciła się do mnie w tej sprawie. Tych moich kobiet. Byłem nieźle zaskoczony. Nie miałem pojęcia, że Louisa się tym w ogóle przejmowała. Tym bardziej nie przypuszczałem, żeby ją to denerwowało. Ale tak było. Była zdenerwowana, wręcz wściekła. Cholera, ależ ona była wściekła! Chciała się ze mną rozwieść. Chciała mnie rzucić. Chciała zabrać Hilla i wrócić do Ameryki. Do swojej rodziny. Widzisz, to się wiązało z jej poczuciem niepełnej własnej wartości. Uważała, że się nie sprawdziła w roli żony. Czuła, że ona sama mi nie wystarcza. Nie potrafiła dać mi tyle, żebym siedział w domu. Czuła, że jej nie kocham. Albo że przestałem ją kochać. Albo że jej nigdy nie kochałem. Wiesz, cała ta babska litania.

– Co oczywiście zupełnie nie odpowiadało prawdzie.

– Komuś tak bliskiemu jak ty, Jack, mogę powiedzieć, że Louisa zawsze była dla mnie w łóżku więcej niż dobra. Ona jest w gruncie rzeczy prawdziwą kobietą, to znaczy, jest w gruncie rzeczy masochistką. Woli, żeby z nią różne rzeczy robić, niżby sama miała przejmować inicjatywę. A kobieta właśnie taka ma być. Pod względem seksu zawsze była dla mnie dobra, nawet świetna. Pasujemy do siebie jak ulał.

– To dobrze – mruknąłem, po czym zmiarkowałem, że to za mało. – Chciałem powiedzieć: Dobrze coś takiego usłyszeć.

To dziwne, ale rzeczy, które człowieka paraliżowały, gdy je sobie wyobrażał, przełyka się łatwo i szybko, kiedy rzeczywiście nastąpią.

Zareagował jedynie lekkim poruszeniem cygara. – Jak wytłumaczyć kobiecie, że można ją kochać i uwielbiać, a przy tym mieć chętkę popieprzyć się trochę na boku? Zwłaszcza kiedy inne są pod ręką i praktycznie, że tak powiem, czekają na ciebie? Gotowe dla ciebie paść na wznak i szeroko rozłożyć nogi. Oczywiście nie próbowałem jej tłumaczyć, że u mężczyzn to się inaczej

odbywa. Że to dla nich rodzaj przygody. Co by to dało? Nie można było z nią rozmawiać. Więc zamiast tego złożyłem jej solenną obietnicę. Tamtej nocy. Tamtej też nocy, jak się już może domyśliłeś została poczęta McKenna. Nie była ani oczekiwana, ani zaplanowana. Ale to się zdarza wielu parom. To się zdarzyło wielu moim znajomym. Nazywam te dzieci „dziećmi pojednania”. Gdzieś głęboko w środku jakaś naładowana uczuciem iskierka nawiązuje kontakt, utrzymuje go i rozwija. Od tego też czasu nie szukałem szczęścia poza domem. Tu pobujał się w fotelu. – Czy to nie było cudem? Że ona tak po prostu do mnie przyszła? Przecież nie musiała. Mogła zabrać Hilla i wyjechać, zostawiając mi list. Albo nawet nie zostawiając ani słowa! I gdzie bym wtedy wylądował? Nie, to było naprawdę cudowne posunięcie.

– Tak – przytaknałem z wnętrza szklanki. – To było niewątpliwie cudowne. Ale w końcu Louisa jest cudowną kobietą.

– Oczywiście, że jest cudowna i chcę ci powiedzieć, że za sprawą tejże solennej obietnicy ilekroć od tamtej pory traciłem głowę, to tylko platonicznie. Dlatego nie palę się specjalnie do tego, żeby się podjąć tej pracy w Madrycie bez Louisy.

Tak wielki egocentryzm budzi wręcz szacunek. Harry sięgnął po butelkę. Szybko podsunąłem szklankę. Butelka była zapieczętowana, kiedy wyjmował ją z barku. Ale czułem, że muszę się napić. Zarzucałem sobie nieojalność. Ale jak mogłem teraz, po sześciu latach, powiedzieć mu o swoim udziale w jego pojednaniu z żoną, a pośrednio także w poczęciu córki... To było zbyt osobiste, zbyt intymne. Czułem się skrępowany na samą myśl o tym. A równocześnie diabelska częśćka mojego charakteru cieszyła się, że dzieli sekret z Louisą, choć ona sama nie mogłaby tego potwierdzić. W tej chwili cały ten wieczór napawał mnie obrzydzeniem.

Harry nalał sobie ponad pół szklanki czystej whisky, mnie nalałby tyle samo, gdybym go nie powstrzymał. Dolał sobie odrobinę wody. Ja trochę więcej. Choć mam tęgą głowę, nigdy nie umiałem dotrzymać Harry’emu tempa łeb w łeb. W kuchence była lodówka, Harry wybił kilka świeżych kostek. Kiedy skończył i znów rozsiadł się w bujanym fotelu z czarnej skóry, opierając nogi na krawędzi biurka, zrozumiałem, że jeszcze nie skończył.

Osobiście byłem tym wszystkim wyczerpany emocjonalnie i nie miałem ochoty dalej go słuchać. Tematy, których obawiałem się najbardziej – czyli zwierzenia dotyczące jego współżycia erotycznego z Louisą – pojawiały się dotąd w formie umiarkowanej, nie powodując trzęsienia ziemi czy innych oscylacji i uważałem, że to zupełnie wystarczy. Oczywiście nie przesadzałem z malowniczością opisów. Niemniej uważałem, że już najzupełniej wystarczy. Niestety nie potrafiłem tego Harry’emu zakomunikować; albo też on nie potrafił mnie usłyszeć. Z siebie tylko wiadomych powodów Harry przestał odbierać moje sygnały.

Przypuszczam, że pierwotną tego stanu rzeczy przyczyną było napięcie emocjonalne wieczoru spędzonego z producentami. Do tego dodać trzeba wszystkie te kieliszki brandy i

szklanki whisky, i wszystkie piekielnie mocne cygara. Dorzucimy na dobitkę ponure rozważania na temat dłuższego wyjazdu do Madrytu bez Louisy, a otrzymamy Harry'ego Gallaghera w ataku nerwowym nieobliczalnej w skutkach introspekcji i mnie w roli zniewolonego słuchacza.

Intymne zwierzenia seksualne innych ludzi zawsze mnie złościły. Kilka razy w życiu zdarzyło mi się wpaść w pułapkę: stawałem się ofiarą takich spowiedzi ze strony zaprzyjaźnionych ze mną mężczyzn i za każdym razem przyjaźń się kończyła. Przy następnym spotkaniu brwi byłych kumpli unosiły się w górę, a niegdyś pełne wyrazu oczy spoglądały pusto i nieswojo, opadała pomiędzy nas nieprzenikniona plastikowa ściana. Harry to jedyny wyjątek od tej reguły, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. W dodatku dokuczało mi, że nie mogę być z nim szczery.

– Oczywiście w całej tej historii kryje się jeszcze coś więcej. – Taki był początek. Och, złowieszczę zdanie, zapowiadające żalosną noc zwierzeń! Ileż razy cię słyszałem? Ileż razy przyniosłeś mi duchową czkawkę?

Zawsze byłem osobnikiem rozerotyżowanym, poinformował mnie Harry w dalszym ciągu. Nawet w najwcześniejszym dzieciństwie, jak tylko sięgał pamięcią. Nie wiedział dokładnie dlaczego. Po prostu tak było. Trwałym uczuciem darzył ciało kobiece zarówno *in toto*, w jego kształcie (jak się wyraził), jak i w szczegółach, aż do najdrobniejszych elementów. Lubił dotykać, oglądać je, wachać, studiować z wierzchu i od środka, tak jak inni ludzie lubią zgłębiać i smakować to, co kryją w sobie woluminy. Kolekcjonował kobiety – tak jak inni kolekcjonują książki. I musi mi wyznać, że nie widzi w tym absolutnie nic zdrożnego. Dlatego szczerze i uczciwie nie mógł zrozumieć, o co Louisa robi tyle hałasu.

Oczywiście teraz rozumie, że wchodził tu w grę jej ogromny, dziecięco-dziewczęcy brak poczucia bezpieczeństwa (nawiasem mówiąc, Louisa zawsze bardzo podziwiała swojego ojca, tak tytułem przykładu). No i, oczywiście, teraz to już wszystko minione dzieje.

Jest to wszakże zjawisko, które dostrzegł (na przestrzeni wielu lat; w rozmowach) u dużej liczby Amerykanów. Wszyscy oni – a przynajmniej bardzo duży ich procent – byli porażeni cipą. Prawie wszyscy, podobnie jak on, względem na nią się w życiu kierowali.

Siedziałem, troskliwie trzymając szklankę i potakując głową bez podnoszenia oczu; obserwowałem, jak poziom płynu w szklance opada w niepokojącym tempie, mimo wody Perrier, której wciąż dolewałem. Uszy musiały mi pewnie płonąć jak rozżarzone pogrzebaczce.

Harry zawsze był niewyparzony w gębie, z dużą swadą używał słów wulgarnych, także w męsko-damskim towarzystwie, a już w tej chwili na pewno nie dbał o subtelności. Skądinąd zdawałem sobie świetnie sprawę, że w ostatnich latach weszło w modę nonszalanckie używanie tych słów w rozmowie, zwłaszcza w obecności kobiet. Zapełniały zresztą niejedną szpalte mojego pisma w „Review”. Ale prymitywne zasady, na jakich mnie wychowano, sprawiały, że nie czułem się z tym słownictwem swobodnie, nawet jeśli w pobliżu nie było kobiet. Sam nigdy

go nie używałem. Wiedziałem, że to coś w rodzaju defektu, ale nic na to nie mogłem poradzić. Poza tym próba przeszkodzenia Harry'emu w jego spowiedzi miałyby równie małe szanse powodzenia jak parę lat wcześniej próba powstrzymania walącej się tamy w Frejus.

Ja sam nie należę do mężczyzn rozerotyzowanych; jeśli można tak powiedzieć, kobiece umysły interesują mnie bardziej niż kobiece ciała. Seks, choć niewątpliwie jest rzeczą przyjemną, której wcale nie trzeba unikać, zawsze był dla mnie jednym z tych przedsięwzięć, których efekt końcowy niewart jest wysiłku, jaki trzeba było włożyć, żeby osiągnąć cel. Tak więc nie mogłem, zdaje się, w pełni zrozumieć tej części natury Harry'ego. Zupełnie jakby istniała tu między nami jakaś podstawowa różnica biologiczna.

Porażony cipą Harry kontynuował, nie zauważając moich płonących uszu – on, ukierunkowany na cipę (to były kluczowe pojęcia). Gdyby przyszło do napisania prawdziwej historii jego pokolenia, mogłoby ono przejść do potomności pod nazwą „pokolenia porażonego cipą”. W skrócie można by ich nazwać cipnikami, na wzór Kerouaca, Ginsberga i ich kompanów, o parę lat młodszych, których nazywamy bitnikami. Tu Harry roześmiał się nagle – cha, cha, cha – dość niesamowicie. Pierwsze jego wspomnienie z dzieciństwa dotyczyło seksu. Leżał na łóżku w słoneczny letni poranek i trzepał konia. Nie mógł mieć więcej niż pięć lat; za młody, żeby w jakikolwiek sposób wiedzieć, co to znaczy spuścić się, a mimo to leżał i trzepał konia. O czym myślał? Co zaprzętało podówczas jego myśli, jego wyobraźnię? Cipka! Dziewczynka sąsiadów! Dziewczynka sąsiadów, kiedy był jeszcze za młody, żeby choć wiedzieć, co to jest cipka i jak wygląda.

Stał się zagorzałym mineciarnikiem od pierwszego razu, gdy zdarzyło mu się oddać tej rozrywce. A nawet wcześniej, odkąd się dowiedział, że taka technika istnieje – z pisma pornograficznego, które mu pokazali starsi chłopcy. Jego własna młodzieńcza kolekcja pornosów ewoluowała powoli w kierunku zdjęć, opowiadań, rysunków i innych materiałów, które miały coś wspólnego z lizaniem cipy. Ale jego rówieśnicy, przynajmniej te młodsze, były pod tym względem dość zacofane. Po raz pierwszy udało mu się naprawdę dopiero wtedy, gdy miał siedemnaście lat i kiedy do wielkiego Studebakera ojca wziął młodszą od siebie dziewczynę, znaną z tego, że umawiała się z wszystkimi chłopakami, i zanim ją przeleciał, dobrał się do niej ustami. Wcale nie była zaskoczona. Powiedziała, że wszyscy chłopcy jej to robią i że ona to uwielbia. Dla niego to był pierwszy prawdziwy raz, pierwsze prawdziwe pieprzenie. Nigdy jej nie zapomniał. Życzy jej dobrze, choćby nie wiem co się z nią później stało. Ale ona była wyjątkiem – inne dziewczęta uważały lizanie (cipek) za rzecz nieczystą i niemoralną, za perwersję (co oczywiście jeszcze bardziej go podniecało). Być może obawiały się wielkiej intensywności przeżycia, która im uzmysławiała, że są w końcu istotami seksualnymi. Co jemu z kolei dawało od czasu do czasu powód do zaniepokojenia na tle własnej „perwersyjności”. Odnosiło się to nie tylko do ssania, ale i do zwykłego pieprzenia. „Pamiętaj, Harry, są także inne

rzeczy w życiu oprócz seksu” – te słowa, wypowiedane wysokim, szkolnym, a potem studenckim sopranem, dźwięczały mu w uszach przez całe życie. Oczywiście później, kiedy przeniósł się z Bostonu do Nowego Jorku, a następnie do Hollywood, potem do wojska i znów do Hollywood, Harry przekonał się, że to, co odkrył i czemu się oddał, co wręcz mógł być uważać za fenomen od początku do końca stworzony przez i wyłącznie dla niego – czyli fascynację i uwielbienie dla cipy – nie było wcale doświadczeniem aż tak bardzo wyjątkowym, odosobnionym czy wyrafinowanym.

Całe jego pokolenie, a przynajmniej (tu skłonił głowę w moją stronę, pozwalając mi zaistnieć u jego boku), a przynajmniej pewna część jego pokolenia przeszła przez to, cierpiąc i radując się z tego powodu.

Analizował rzecz niejedną raz i stwierdził, że”Jeśli pominąć aspekt komercjalizacji (cipa; uwielbienie cipy) w świecie reklamy, a także rozpowszechnianie tego wątku w filmach, w czasopiśmie, w radiu i w telewizji, jeśli więc pominąć to wszystko – owa rzecz i tak zostanie, będzie istniała sama w sobie i przez się, spychając na margines całą resztę, usuwając filtr środków masowego przekazu. Sądził, że może ma to coś wspólnego z męskim masochizmem, prowokowanym przez jakiś czynnik środowiska matriarchalnego, którego to czynnika nie udało mu się jednak nigdy zdefiniować. Masochizm to wypaczona zasada męskiej przyjemności. Jest w tym, rzecz prosta, coś wbrew naturze. Wyobraźmy sobie psa, kocura czy lwa, który koncentruje się na tym, żeby zadowolić swoją partnerkę! Po prostu śmieszne! Ale mężczyźni, owszem. Musi być w tym coś z masochizmu. Musi być jakaś perwersyjna przyjemność w tym, że doprowadza się kobietę do czerpania radości z seksu. Na przykład: bierzesz kobietę i dowolnymi sposobami powoli doprowadzasz ją do orgazmu; niebawem osiągniesz punkt, w którym ty jako ty przestajesz dla niej istnieć. Nie jesteś już dla niej Harrym Gallagherem, stajesz się mężczyzną, dowolnym mężczyzną, który pobudza ją i podnieca. Jeszcze chwila, a przestajesz być nawet mężczyzną, stajesz się zaledwie przedmiotem, rzeczą, która pozwala jej osiągnąć rozkosz. Doprowadź sprawę dalej, aż do samego orgazmu, a przestaniesz być nawet przedmiotem. Ponieważ w trakcie jej orgazmu nie istnieje już nic oprócz niej i jej doznań. Tak więc poprzez kobietę sam się unicestwiłeś. W gruncie rzeczy uczestniczyłeś w tym akcie i pomagałeś jej zrobić z siebie rogowca. W gruncie rzeczy... sam z siebie zrobiłeś rogowca! „Człowieku, ależ my jesteśmy masochistami!” zawołał do mnie Harry, a oczy błyszczały mu w mroku jak klejnoty. „My, kochankowie cipa!”

Myślę, że miał już wtedy niezłe w czubie. Niemniej takie rozumowanie było dla mnie nowe i logicznie niepodważalne. Wzrok miałem spuszczone, potakiwałem tylko, udając, że wpatruję się w zamyśleniu w chwilowo pustą szklanę – wszystko po to, by uniknąć dalszego zażenowania, w razie gdyby nie udało mi się ukryć tego, które już odczuwałem. W pewnej chwili pomyślałem przelotnie, że poproszę go, by mi znów nalał. Zanim to jednak zrobiłem, Harry wyciągnął w moją

stronę rękę z butelką i nalał whisky do szklanki, podczas gdy usta mu się nie zamykały i nawet nie zwolnił tempa swej perory.

Upiłem się jak dziecko. Rzeczy pojawiały się i znikwały w przyspieszonych sekwencjach, a potem zatrzymywały się nagle w stop klatkach: wszystko zamiera w bezruchu, a mężczyzna z oskarżycielsko wyciągniętym palcem wręcz nieprzyzwoicie długo stoi przed tobą, zastygły jak posąg i zimny. Zacząłem widzieć rzeczy porozbijane na obrazki, niczym w popękany lustrze; byłem obecny przy tym, jak coś się zaczyna, tylko po to, by po chwili zniknąć i odnaleźć się w samym środku innej sceny, nie uczestnicząc ani w zakończeniu pierwszej, ani w początku następnej. W sumie więc nie mogę opowiedzieć dokładnie, co się później wydarzyło.

Pamiętam, jak Harry opowiadał o swojej kolekcji pornograficznej, o której głośno w amerykańskiej kolonii w Paryżu, i zapowiadał, że powymuje niektóre eksponaty, żeby mi coś udowodnić. Następnie siedział wyprostowany, z zaciśniętymi kolanami, przerzucając cały plik starannie wykończonych fotografii, w seriach po pięć, które Harry, jak mgliście pamiętam, przywiózł był kiedyś z Londynu. Obok mnie na niskim stoliku w stylu Ludwika XIII leżała jeszcze większa sarta, którą najwyraźniej już przerobiłem; obok leżał stos książek Olympia Press i Ophellia Press, które też już najprawdopodobniej przejrzałem. To widzę wyraźnie. Tematy zdjęć były rozmaite, najczęściej powtarzały się dwie kobiety na różne sposoby uprawiające miłość. Niekiedy białe dziewczęta ssały młodych Murzynów. W każdej serii występowały inne dziewczyny.

– To aktualna moda – komentował Harry znad mego ramienia. – Coraz wyraźniej dominująca. Miłość lesbijska. A nawet nie to. Po prostu dwie kobiety, dwie normalne kobiety, które się kochają. Nie wiem, czemu mnie to tak podnieca, ale fakt, że podnieca.

Potem znów znikłem. Gdy wróciłem, Harry zamykał swą kolekcję na klucz w oszklonej gablocie. Mętnie przypominam sobie, że mówiliśmy o jego, jak to nazywał, „Fantazmacie”. On sam wymawiał to słowo jakby z wielkiej litery, a chodziło o stosunek z dwiema kobietami naraz, zamiast, jak przeważnie, z jedną.

– Nie uwierzysz – huczał mi przez ramię, przekręcając klucz za ostatnią porcją pornografii – ale to szczerą prawdą.

Najwyraźniej mówił już od jakiegoś czasu na inny temat.

– Gdybym tych rzeczy nie zamykał, poznikałyby w mgnieniu oka. Dlatego kazałem powstawić oszklone drzwiczki. Ale co chcesz, przyjmowałem tu producentów filmowych i reżyserów, kiedy pracowaliśmy razem nad scenariuszem, naprawdę ważnych facetów, którzy zarabiają kupę forsy. I przysięgam na Boga, że jak wyszli, brakowało mi kilku najcenniejszych obiektów. Skradzione!

Klucze wkładał starannie do kieszeni marynarki. Są na innym kółku niż pozostałe klucze. To także pamiętam wyraźnie.

– Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Ale w wypadku pornografii nie uważa się tego za występki. Tak się przyjęło. Uczciwy facet, co by się nie połasił na największy szmal, choćby go miał w zasięgu ręki, zmienia się w kleptomana na widok pornografii.

Potem nagle Harry znów siedział na swym czarnym fotelu, mimo że wcale do niego nie podchodził i wcale nie siadał – tak jakby montażysta siedzący w studio przy stole montażowym umiejętnie wyciął z tej sceny niepotrzebny kawałek taśmy. Harry znów mówił o swoim fantazmacie.

– To jest to. To jest to, o co chodzi: ja i dwie kobiety razem w łóżku. Pewnie się już domyśliłeś.

Domyśliłem się? Zrobiłem wielkie oczy. Nie byłem w stanie niczego się domyślić. Harry pochylał się i nalewał, najpierw sobie, potem mnie. Z pewnością nie była to ta sama butelka. Nieśmiało próbowałem go przekonać, żeby mi nie dolewał, ale nie udało się.

– Ja i dwie kobiety, jak robimy wszystko parami i w trójkę i jak patrzymy na to z wielkim upodobaniem i z wielką przyjemnością.

Czy ty mnie słuchasz?

Pamiętam pierwszy... pierwszy? – jedyny raz, kiedy mi się to przydarzyło. Pewnego wiosennego dnia pojechałem na drugą stronę *wzgórz*, w kierunku Burbank. Jedzie się tam przez płaski teren, zanim zacznie się miasto. Zawsze mieściło się tam mnóstwo salonów masażu, w których można było mieć dziewczynę za dziesięć do pięćdziesięciu dolarów, zależnie od konkretnych wymagań. Byłem wtedy pies na kobiety, jeszcze przed ślubem. Wybrałem szczupłą dziewczynę z ładnymi cyckami, jedną z trzech, które pracowały w tym salonie.

Szczupłe młodzieńcze stworzenie. Swymi przebiegłymi oczyma obejrzała mnie bardzo dokładnie, wręcz badawczo, po czym spytała mnie prywatnie, czy nie chciałbym, żeby przyprowadziła też przyjaciółkę. Od razu mnie to wzięło. No cóż, myślę, że zrobiliśmy chyba wszystko, co troje ludzi może razem zrobić. Nigdy już mi się coś takiego nie powtórzyło.

Wróciłem tam później i odszukałem dziewczynę, ale jej przyjaciółka wyjechała. Przypomniałem jej tamten seans, a ona się zgodziła i sprowadziła inną dziewczynę. Ale to nie było to samo. Tym razem. obydwie tylko odgrywały wszystko dla mnie. Podejrzewam, że moja dziewczyna nie chciała, żeby tamta się zorientowała, że ona to naprawdę lubi. Jednego się nauczyłem: kobiety muszą to lubić, inaczej nic z tego nie wychodzi.

Od tamtego czasu poznałem trochę kobiet, co do których podejrzewałem, że mogą lubić taki układ. Niekiedy, kochając się z kobietą byłem pewny, że robiła to przedtem z innymi dziewczętami. Ale zawsze brakło mi śmiałości, żeby rzucić konkretną propozycję. A żadna z nich też mi tego nie zaproponowała.

Tak więc zdarzyło mi się to tylko raz. Być może dlatego nie mogę się od tego uwolnić.

Powiem ci jedno, Jack, nie ma nic wspanialszego nad to: leżysz spokojnie, przyglądając się,

jak dwie kobiety dobierają się do siebie, podczas gdy jedna z nich delikatnie trzepie ci konia. Albo jedna liże drugą, podczas gdy ty pieprzysz tę pierwszą.

Myślę jednak, że musi to być specjalna odmiana kobiety. Taka, która lubi to robić także z mężczyznami. Tak, wiem, że to tylko fantazmaty. W każdym razie dla mężczyzny o mojej pozycji, żonatego, obarczonego żoną i dziećmi. To tak jak człowiek wyobraża sobie, że pójdzie z żoną do jednego z tych lokali, gdzie odbywają się orgie, na przykład do Olgi, tam, gdzie trzeba się rozebrać do rosołu, zanim jeszcze dojdiesz do baru. Wyobrażasz to sobie, ale nigdy tego nie robisz. Boby ci to sprawiło ból. Gdyby to była twoja żona. Nie można takich rzeczy robić z kobietami, które się naprawdę kocha.

Wiem wszystko o fantazmatach. A w każdym razie dość, żeby wiedzieć, że kiedy próbujesz wcielić je w życie, bardzo łatwo możesz kogoś okaleczyć. Albo zabić. A jak nie, to cała sprawa robi się po prostu trywialna.

Poruszył się i przeciągnął mięśnie zdrętwiałe od długotrwałego siedzenia, a ja w całym swym zamroczeniu zauważyłem, że aż do tej chwili prawie wcale się nie poruszał.

– Nie wiem, co mi kazało o tym wszystkim mówić... Ach tak, już mam. Widzisz, ja wiem, że to tylko fantazmat. Ale on mnie prześladuje. Prześladuje jak natrętna melodia. Może dlatego, że zdarzyło mi się to tylko jeden jedyny raz. Ale czemu przeżyłem to tak dojmująco? Widzisz, że to ma coś wspólnego z tym męskim masochizmem, o którym mówiłem wcześniej, kiedyśmy...

...Było to tak, jakby czarna kurtyna opadła pomiędzy nami, przerywając sztukę w samym środku drugiej sceny trzeciego aktu. Znowu odpadłem. Odnalazłem się później na ulicy, dryfując z trudem w poszukiwaniu domu.

Starłem się utrzymać pozycję pionową i wyprostowaną, na wypadek gdyby mnie mijął patrol policyjny albo grupa młodocianych złodziejasków, zainteresowana moim złotym zegarkiem. Zauważyłem jednak, że kiedy stoję prosto, mam tendencję do odchylenia się do tyłu. Kiedy zaś próbowałem wyrównać przechył i nachylałem się do przodu, o mały włos nie padałem na twarz. Chłodne poranne powietrze miało przyjemny zapach, ale wcale mi nie pomagało. Czekał mnie spacer od końca wyspy, obok ciemnej, opuszczonej Brasserie i nie Jean-du-Bellay, przez rue Boutarel do rue le Regrattier. To nie jest daleko. Pamiętam mgliście, że Harry ofiarował mi miejsce na obszernej sofie w salonie, ale odmówiłem. Nie chciałem, żeby McKenna albo Hill zobaczyli mnie tam rano, kiedy będą szli do szkoły. Jedną rękę zaciskałem kurczowo na kamiennej barierce, którą otoczono chodnik nabrzeża, żeby tacy jak ja nie spadali na niższy poziom i nie rozwalili sobie łbów. W lewej ręce trzymałem parasol, a płaszcz, jestem tego absolutnie pewien, zwisał przerzucony niedbale przez ramię. Rano stwierdziłem, że tak mocno trzymałem się barierki, iż skóra na koniuszkach palców starła się dokumentnie.

Głównie jednak martwiłem się Harrym. Bałem się strasznie, że po tym, co mi powiedział, nie będzie chciał mnie widzieć na oczy. Wiedziałem, że ja bym nie chciał, będąc na jego miejscu. A

przecież to ja jestem ojcem chrzestnym McKenny.

Ale niepotrzebnie się zamartwiałem. Nie z Harrym takie numery. Nie tylko zadzwonił do mnie nazajutrz o pierwszej po południu, ale i zaprosił mnie na obiad u Lipa, tego samego dnia. Tam natknęliśmy się na Mary McCarthy i na Romaina Gary'ego – oboje, siedząc oczywiście przy osobnych stołach, byli tak samo ożywieni i pogodni. Harry pozdrowił i ją, i jego.

Rozdział czwarty

Jestem przekonany, że gdyby dobra pogoda nie utrzymywała się przez prawie cały maj, nie byłoby żadnej rewolucji. Co najwyżej jakieś zamieszki. Deszcz i ziąb studzą rozpalone myślenie demonstrujących rewolucjonistów lepiej niż wszelkie inne środki. Wiem, że to brzmi cynicznie. Ale wierzę, że tak jest, była też o tym przekonana paryska policja. O ile mi wiadomo, wyżsi urzędnicy prefektury zbierali się codziennie w południe, żeby studiować prognozę pogody na najbliższe dni.

Pogoda się utrzymywała. Dzień po dniu miłsze, łagodniejsze od amerykańskiego europejskie słońce wzbijało się na niemal bezchmurne niebo, rozlewając nieoczekiwany dar ciepła na kocie łby i obsypane listkami drzewa, na demonstrantów i na gliniarzy pospołu, wzywając nas wszystkich do wyjścia na dwór: ogrzewała nawet szare paryskie kamienie, które jeszcze w roku 1968 miały w sobie chłód i wilgoć średniowiecza. Taka pogoda w Paryżu w maju jest czymś wręcz wyjątkowym. Dzień po dniu wyżsi urzędnicy wpatrywali się w raporty i w samo niebo, szukając chmur deszczowych, które powinny się były pojawić, a których wciąż nie było.

Hill Gallagher odwiedził mnie w sobotę czwartego maja, w dzień po tym, jak rektor, niejaki *monsieur Roche*, zamknął Sorbonę. Słońce strugami wlewało się przez otwarte okno, z nabrzeża dobiegał ciągły szum zadowolonych głosów przechodniów. Hill przyprowadził czwórkę kolegów: trzech chłopaków i jedną dziewczynę.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, jeśli chodzi o Hilla, to wielki czarny siniak pod okiem. Po drugie – podobnie jak pozostała czwórka – ubrany był w strój, który już wkrótce miał się stać uniformem rewolucji: granatowe dzinsy, flanelowa koszula, sportowe obuwie (na przykład tenisówki) i duża chusta, luźno zawiązana pod szyją.

Poprzedniego dnia zamieszki studenckie przeciągnęły się długo w noc. A ja siedziałem przy biurku udając, że pracuję, i obserwowałem kłęby gazu i dymu, dobrze widoczne w blasku światła Dzielnicy Łacińskiej po drugiej stronie rzeki, a także nad słuchiwałem podwójnego tonu francuskich syren, których wycie przesywało noc; poza tym słychać było stłumione krzyki, śpiewy studentów oraz ciche plaskanie wybuchających granatów z gazem łzawiącym. Poranne gazety podały potem, że dokonano czterystu dziewięćdziesięciu sześciu aresztowań, głównie wśród studentów.

A oto teraz byli tu, w piątkę, w moim mieszkaniu – w tym jedna dziewczyna. Szybko się przekonałem, że nie można jej lekceważyć. Zapałałaby świętym oburzeniem.

Hill najpierw wszedł na górę sam. We wszystkich moich kontaktach ze studentami i ich rewolucją nie zdarzyło mi się spotkać takiego, który by nie odnosił się do mnie z grzecznością i

szacunkiem.

– Słuchaj, jest ze mną paru kumpli – powiedział, kiedy się przywitał, a ja zrobiłem uwagę na temat sińca. – Czekają na dole. Czy pozwolisz, że zaproszę ich na górę? I poczęstuję czymś mocniejszym?

– Oczywiście, że tak. Chętnie ich poznam.

– Cieszę się, żeś się zgodził – odparł z uśmiechem.

– Jasne! Zaproś ich na górę.

Podeszliśmy do okna, Hill się wychylił i zagwizdał w stronę grupki wyglądającej na czwórkę długowłosych chłopaków, ubranych w zasadzie tak samo jak on i opierających się o biały kamienny mur nabrzeża. Pomachał im ręką i gestem przywołał na górę. Dopiero kiedy weszli do mieszkania, zorientowałem się, że jedno z czworga to dziewczyna. Młodzieżowy strój i długie włosy upodabniały ją z daleka do kolegów. W dodatku prawie wcale nie miała piersi. Nikła ich namiastka wraz z całkiem godną uwagi krągłością kobiecych bioder kryły się w zamszowej imitacji indiańskiej kurtki z kozłej skóry.

Wszyscy byli dorodni i przystojni. Ich rodzice musieli z nich być dumni. Ponieważ wszyscy byli Francuzami i niezbyt dobrze władali angielskim, rozmawialiśmy głównie po francusku. Hill zapuścił włosy i bokobrody, ale brody nie miał. Pozostałym chłopcom włosy dosłownie spływały na ramiona. Jeden miał brodę. W dodatku dziewczyna miała włosy obcięte na pazia, krótsze niż oni. A jeden z pozbawionych zarostu, ten wyższy, miał najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Każda kobieta oddałaby za nie ząb trzonowy. Rozdzielone przedziałkiem pośrodku, opadały w naturalnych falach na ramiona. A pod nimi kryła się najniewinniejsza, najśodsza, najbardziej otwarta i ufna twarz, jaką można sobie wyobrazić. Dowiedziałem się, że ma na imię Terri. Brodacz też był przystojny, choć nie tak wybitnie; miał gęstą czarną brodę w szpic, znad której patrzyły inteligentne, wrażliwe oczy.

Co u diabła? – zadawałem sobie pytanie. Coś jest takiego niemęskiego w długich włosach? W osiemnastym wieku nazwanie opadających na ramiona loków dandysa „niemęskimi” groziło poważnymi konsekwencjami.

Pośpieszyłem do barku, starając się dać im do zrozumienia, że me ciepłe uczucia wobec Hilla rozciągają się i na nich. Łatwo było zauważyć, że na tym etapie gry whisky *un ze rucks*, o którą wszyscy poprosili, stanowi dla nich wspaniały poczęstunek.

Trudno wytłumaczyć, dlaczego dla francuskich studentów Sorbona znaczy tak wiele. W końcu jest to tylko jeden z pięciu autonomicznych oddziałów Uniwersytetu Paryskiego. Ale Sorbona to zarazem duchowa i symboliczna przywódczyni wszystkich francuskich uniwersytetów. Być może zasłużyła sobie na to poczesne miejsce swoją historią. Założona w XIII wieku, zajmowała się elitarnymi kwestiami tamtej epoki: religią i polityką. Przez całe

średniowiecze przyciągała największych europejskich uczonych. Święty Tomasz z Akwinu należał do jej wielkich profesorów. Językiem nauki była wówczas łacina, a profesorowie Sorbony odgrywali bardzo ważną rolę w niemal wszystkich wielkich debatach intelektualnych tamtych czasów, w rodzaju: „Ilu aniołów zmieści się na czubku szpilki”. Kiedy wielkie kwestie religijne średniowiecza zaczęły blaknąć pod wpływem wymogów czasu i życia, zastąpiła je w sposób naturalny filozofia, która stała się niemal wyłączną domeną Sorbony. Większość studentów i spora część profesorów opowiadała się za wolnością wypowiedzi, za prawem roztrząsania i wyrażania nowych idei. Zamkniętą podczas najgorszego okresu rewolucji Sorbonę otworzył ponownie Napoleon w roku 1808, wprowadzając cały szereg śmiałych reform w szkolnictwie – które przetrwały w niemal nie zmienionym kształcie aż do dziś. Dla studentów francuskich pozostała ona przybytkiem prawdziwego francuskiego szkolnictwa wyższego; przez cały ten czas była dla nich prywatną przystanią i sanktuarium, w którym chronili się przed stałym wrogiem korzystnego dla nich *status quo*: przed policją. Stare prawo, sięgające niemal początków istnienia szkoły przed siedmiuset laty, stanowiło wyraźnie, że policjanci na służbie nie mają prawa wstępu na teren drogiej sercu studentów Sorbony, jeśli rektor nie zaprosi ich na piśmie.

Choć w porównaniu z systemem amerykańskim w pierwszej fazie światowej rewolucji technologicznej mogło to sprawiać wrażenie czegoś przestarzałego i trącaącego średniowieczem, dla młodych Francuzów sprawa miała ogromne znaczenie. A fakt, że ich rektor, *monsieur Roche*, posłużył się tą starą regułą, by w interesie rządu wezwać gliny – i nawet nie powiadomił zainteresowanych, że robi coś takiego – był największą zniewagą i zdradą, jakiej mógł się dopuścić. Teraz przynajmniej wiedzieli, po czyjej stronie jest rektor.

Poranne gazety przyniosły nieco mętny, okrojony przez rządową cenzurę komunikat, w którym stwierdzano, że na dziedzińcu Sorbony doszło, czy prawie doszło, do bójki pomiędzy studentami lewicującymi, którzy mieli mityng, a grupą studentów prawicowych, nazywających się „Occident”. Zdaniem strony rządowej, rektor uczelni nie mógł w tej sytuacji uczynić nic innego, jak tylko zwrócić się do policji z prośbą o interwencję. Ale młody Hill z posiniaczoną twarzą opowiedział mi zupełnie inną historię.

Jego wersja brzmiała tak: młody Dany Cohn-Bendit (znowu się na niego natykamy) wygłaszał na Sorbonie swoje pierwsze przemówienie, którym pragnął skaptować nowych zwolenników dla Ruchu 22 Marca. Jego grupa studencka z Nanterre zamierzała bojkotować egzaminy na koniec roku akademickiego, dopóki rząd nie zgodzi się na proponowane przez nich reformy. Plotka, której źródła nigdy nie ustalono, głosiła, że chłopcy z „Occident” mają zamiar zaatakować dziedziniec i rozbić mityng. Dlatego przy wejściach na dziedziniec ustawiły się grupki studentów, uzbrojonych w pałki i nogi powyrywane ze stołów. Zamiast wszakże grupy „Occident” pojawił się rząd policjantów, którzy wkroczyli i ustawili się wzdłuż ścian dziedzińca

w hełmach, z okularami przeciwko gazom łzawiącym, w ciężkich ochronnych płaszczach sztormowych, z długimi pałkami z twardego drewna, stosowanymi w wypadku rozruchów. Dopiero wtedy poinformowano studentów, że rektor wezwał policję. Rozkazano im, żeby się rozeszli w spokoju. Milcząco przyjmowano, że jeśli to zrobią, nikt ich nie będzie zaczepiał. Dlatego przywódcy obu grup namówili studentów do spokojnego wyjścia. A kiedy studenci ich posłuchali, okazało się, że wszystkie wyjścia z Sorbony są obstawione od zewnątrz gęstym kordonem jednostek specjalnych, wspieranych przez „czarne madonny”. Studenci wkroczyli w pułapkę – policja mogła ich aresztować pojedynczo, parami, trójkami.

Po raz pierwszy zastosowano wówczas schemat postępowania policji i rządu ze studentami, który miał się utrzymać do końca wydarzeń: schemat polegający na osiągnięciu upatrzonych celów metodą wprowadzania w błąd, fałszywych obietnic i wierutnych kłamstw. W tym wypadku głównym celem było aresztowanie lewicujących studentów. Specjalne oddziały policji wywoziły ich przepełnionymi radiowozami.

– I wtedy dopiero zaczęła się zabawa-powiedział Hill z pogodnym uśmiechem. – Było nas tam jeszcze całkiem sporo i kiedy się zorientowaliśmy, co jest grane, zaczęliśmy się wycofywać, wygwizdując policjantów. Oni w rewanżu zaczęli rzucać w naszą stronę granatami ręcznymi. Cofnęliśmy się na Boul’ Mich’ i budujemy barykady. Ale oni już wcześniej pozajmowali wszystkie boczne uliczki i odcięli nas ze wszystkich stron. Dlatego tyłu nas pozamykali. Następnym razem będziemy mądrzejsi. Przygotujemy sobie drogi odwrotu. To był nasz chrzest ogniowy.

Odruchowo wychwytywałem wojskowe sformułowania. Podzielałem ich oburzenie na nieuczciwość rządu i policji. Ale drażnił mnie wojskowy żargon. Sam byłem kiedyś żołnierzem, choć może nie tak zapalonym jak Harry. Ale nie lubię wojskowego słownictwa.

Hill był na mityngu, jak się dalej okazało, ale wyszedł wcześniej, ponieważ „Dany le Rouge” – rudy i czerwony – począł w swym przemówieniu posługiwać się retoryką i krasomówstwem i w gruncie rzeczy ciągle się powtarzał. Paru innych kolegów też wyszło przed końcem i dlatego uniknęli pierwszej pułapki.

Ten komentarz znów mnie zdenerwował. Dość już się w życiu nasłuchałem wypowiedzi ambitnych polityków na temat wpływu sztuki pięknego słowa na ciemny tłum. Ale nie chciałem wdawać się w dyskusję z Hillem. Skupiłem się na Rudym Danym. Czy Hill go zna? Nie, prawdę mówiąc dobrze go nie znał, spotkał go przelotnie parę razy i raz z nim rozmawiał, ale zgadza się z wszystkim, co tamten twierdzi i w co wierzy. No dobrze, dlaczego w takim razie wyszedł w czasie przemówienia Dany’ego?

– Cóż, musisz zrozumieć – wyjaśnił mi Hill – że nie wszyscy studenci są równie mądrzy i bystrzy tylko dlatego, że są studentami. Procentowo, statystycznie rzecz biorąc, inteligentni

studenci (na swoim, nieco *wyższym* poziomie) są równie rzadcy, równie nieliczni, jak odpowiednio inteligentni robotnicy i inteligentni burżuje. A druga część przemówienia Dany'ego miała w jego zamiśle trafić do szerszego kręgu mniej uświadomionych studentów, bo to oni, w masie, stanowią prawdziwą potęgę. Ci, co już to wiedzieli, nie mieli specjalnego powodu, żeby tego wysłuchiwać. Dany i jego chłopcy świetnie to rozumieli.

Jak się zdawało, mówił to wszystko z naiwnością osoby prawdziwie niewinnej; ale jakoś nie dowierzałem tej rzekomej prostoduszności.

– Czy to nie brzmi nieco cynicznie? – spytałem.

– Ależ tak – odparł po francusku – z pewnością. Tak, do diabła! Jakże inaczej mój Generał radziłby sobie tak świetnie?

W porządku, pomyślałem, i zaraz umilkłem. Hill musiał jednak dostrzec na mej twarzy grymas, który mu się nie spodobał, ponieważ speszył się i wrócił do tematu: z drugiej strony nie było w tym nic cynicznego, ponieważ mówili tylko to, w co sami naprawdę wierzą i co inni studenci także uznają za prawdę, kiedy ich zrozumieją, kiedy się w to wczują.

Nie rozprawiałem się z tym sofizmatem. Mógłbym z łatwością, ale nie chciałem, nie miałem ochoty. Chciałbym być z nimi. Skądinąd zresztą nie dane by mi było rozprawiać się z wywodami Hilla. W tej bowiem chwili wkroczyła do akcji jego dziewczyna.

– A zatem nie chce nam pan przyznać tych praw do przemawiania, do retoryki, do propagandy wśród ludzi, które przyznaje pan władzom? – spytała zimno. – Czy to z pana strony w porządku?

– Pani akurat nie odmówiłbym niczego – odparłem z lekkim ukłonem w jej stronę. Tak zareagowałem na jej ton i sposób, w jaki stawiała sprawę. Drażniła mnie i prowokowała. – A raczej niczego, co mogłaby pani wziąć i zatrzymać. Ale to nie ma nic wspólnego z moralnym prawem. Dlatego wydaje mi się dziwne, że uciekacie się do tych samych złych metod, które znienawidziliście i za które atakujecie władze.

– Bo to oni nie dają nam wyboru! – powiedziała sucho. – Oni nas do tego zmuszają!

– Będziecie musieli prowadzić wojnę po to, by powstrzymać wojnę.

Uśmiechnąłem się. Oto jedna z ich wielkich dziwek, już uformowana.

– A czy w końcu nie staniecie się równie zepsuci jak oni? Jeśli będziecie stosowali ich metody?

– Nie my! – odpaliła dziewczyna z błyskiem pogardy. – Ponieważ my mamy rację! I pan o tym wie! My kochamy. A w sercach mamy tylko dobro.

Doprowadziła mnie do wściekłości.

– Tak pani mówi. Musiałbym otrzymać dowód – uśmiechnąłem się. – A nawet gdybym dostał dowód, jeśli chodzi o ten tydzień i tę grupę, nie byłby on jeszcze dowodem na następny tydzień i dla innej grupy.

– To jest dopiero sofistyka. Czyż zło nie tkwi w tym... – zaczęła. Po czym urwała. Tak jakby niewidzialny sygnał przebiegł przez pokój: jestem jednym z tamtych, należę do świata starych; nigdy nie zrozumieć. Starzy nie są w stanie ich zrozumieć. Więc po co zawracać sobie głowę? W nowej ciszy nikt z całej piątki, łącznie z Hillem, nie ruszył się, żeby wypełnić lukę, coś powiedzieć – stali po prostu, uśmiechając się do mnie uprzejmie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Przykro mi.

I chyba naprawdę było mi przykro. Ale postawa tej małej budziła we mnie bunt. I wcale nie chodziło mi o to, że mam ileś tam dych na karku. Chodziło o jej bezgraniczne poczucie słuszności. Ta dziewczyna miała wbudowaną blokadę, nie dopuszczała nawet myśli o tym, że mogłaby się kiedykolwiek pomylić, choćby jeden jedyny raz i choćby tylko o cztery procent; nie mówiąc już o przyznaniu się do błędu. Patrzyła na mnie tak, jak potrafią patrzeć komuniści. Ona była nauczycielką, a ja uczniakiem. Sama sobie nadała całkowitą wyższość moralną. Moim obowiązkiem było nie tylko chodzić do szkoły, ale i pilnie się uczyć, a ona biłaby mnie linijką po palcach!

Fizycznie była naprawdę drobna. Jasna Francuzka, z rękoma jak patyki i niewiele grubszymi nogami, szyją tak cienką, że prawie mógłbym ją objąć jedną ręką;

a spośród bladej jak kość słoniowa twarzy, spod obciętych na pazia słomianych włosów para bładniebieskich oczu wpatrywała się we mnie z bezgraniczną, pełną pogardy, żarliwą wiarą.

Nie chodziło tu o różnice polityczne. Widywałem Amerykanów, którzy na mnie w ten sposób patrzyli – liberałów i zagorzałych reakcjonistów. W samej rzeczy dość często spotykałem jej typ. Należała do tych, co nawet kiedy publicznie oświadczają, że w jakiejś sprawie w dwóch trzecich się mylili, robią to tylko po to, żeby sobie i innym udowodnić, jak są całkowicie, stuprocentowo dobrzy i sprawiedliwi.

– Pani pozwoli, że naleję – powiedziałem z uśmiechem, choć nie przyszedł mi łatwo. – To samo? Szkocka z lodem?

– Z największą przyjemnością – odparła uśmiechając się. Pozostali, chłopcy, też pokiwali z uśmiechem głowami, że proszą o to samo co przedtem.

Z tym podejściem, z tą postawą miałem stykać się potem wielokrotnie wśród studentów, aż do końca rewolucji. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Oni po prostu musieli mieć moralnie rację. Byłem skłonny przyznać, że mogą ją mieć, ale im to nie wystarczało.

Tak czy siak, kiedy zaczęły się aresztowania, Hill siedział w jednej z uczęszczanych przez studentów kawiarni przy Place Sorbonne i pomagał w skandowaniu, a potem w ucieczce z Boulevard St.-Michel. Tu roześmiał się, szczęśliwy:

– Dostałem później, wieczorem, jedną z tych długich pał z twardego drewna. Ale dałem radę uciec. Podobnie jak wielu naszych. I klnę się, że ładne parę razy udało nam się rozkwasić im łeb.

Moja sprawa z dziewczyną nagle jakby poszła w zupełne zapomnienie. Z sobie tylko

wiadomych powodów wszyscy postanowiliśmy przejść nad tym do porządku dziennego. Obszedłem gości z lodem i butelką. Hill ciągnął swą opowieść o wieczornych wydarzeniach.

– Przepraszam was na chwilę. Musimy o czymś porozmawiać – powiedział później Hill po francusku do swoich kompanów, którzy sączyli drugą szklanę.

Z min, jakie mieli, kiedy wychodziłem za Hillem, domyśliłem się, że wiedzieli przynajmniej z grubsza, po co ich tu sprowadził: w każdym razie nie byli zaskoczeni.

Kiedyśmy wyszli, jeszcze raz przyjrzałem się ciemnej plamie na twarzy Hilla. Widziana z bliska, wcale nie przypominała sińca pod okiem. Była to horyzontalna pręga wzdłuż kości policzkowej. Żółtoniebieska plama w kształcie ły przedłużała ją w stronę ucha, skąd ciemne krwawe wybroczyny podchodziły aż pod oko.

– Mam ładny kawałek surowego mięsa, który można by do tego przyłożyć, jeśli chcesz – powiedziałem. – Podobno to pomaga. A i tak będzie z niego pyszny befszytk – wysiliłem się na żart.

Hill machnął tylko ręką.

– Nie, nie, to nieważne. Będę jeszcze gorzej wyglądał, zanim wszystko się skończy. Nie po to do ciebie przyszedłem.

Okazało się, że cała dotychczasowa rozmowa niewiele miała wspólnego z właściwym celem wizyty. Hill przyszedł do mnie, żeby porozmawiać o swoim ojcu.

– Porozmawiać o twoim ojcu?

– No tak, wiesz, jeszcze bardzo daleko do końca tej sprawy. Na razie próbujemy im się nie dać. Dużo zależy od tego, co sędziowie zrobią z naszymi niewinnie posądzonymi towarzyszami. Jesteśmy prawie pewni, że nie wszystkich wypuszczą. Ale nawet gdyby wypuścili, my na tym nie poprzestaniemy. Zwołujemy na poniedziałek, szóstego, wielki wiec protestacyjny. Oni popełnili wielki błąd taktyczny: wezwali policję na teren Sorbony;

Roche zamknął do odwołania jeden z wydziałów; doszło do pobicia i aresztowania setek niewinnych studentów. Popełnili ogromny błąd, a my mamy zamiar to wykorzystać. Sprawimy, że każdy zakichany francuski student, co do jednego, wyjdzie na ulice strajkować!

Był bardzo podekscytowany, strzelał oczyma znad uśmiechu zadowolenia. Ja jednak nie mogłem nie zwrócić uwagi na rażąco propagandowe użycie słowa „niewinni”. Hill mówił dalej:

– Jestem przekonany, że poczynając od poniedziałku dojdzie do licznych walk ulicznych i demonstracji.

Właściwie to zamiast „demonstracji” użył słowa „*manif*”, co jest potocznym skrótem od francuskiego wyrazu „*manifestation*”. We Francji grupa, która pragnie urządzić *manifestation*, musi się najpierw ubiegać o zgodę policji i otrzymać ją na piśmie. Hill był pewien, że takiej zgody nie będzie:

– Co nam tylko wyjdzie na dobre. Bo będziemy mieli tylu ludzi na ulicach, że oni nie będą

nas w stanie powstrzymać.

– Ale co twój ojciec ma z tym wszystkim wspólnego?

– No więc... Wczoraj nie wróciłem na noc do domu. Po tych wszystkich mityngach i innych wydarzeniach. Nie sądzę też, żebym miał wrócić dziś. Prawdę mówiąc, nie przewiduję powrotu do domu w najbliższym czasie, po tym, co się stało.

Spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Tak? – rzuciłem. Nagle uświadomiłem sobie, że Hill jest już równie wysoki jak jego ojciec. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie z góry.

– Chciałbym, żebyś to tacie powtórzył ode mnie... żeby się nie niepokoił. Wpadnij do niego, powiedz, że mnie widziałeś, że u mnie wszystko w porządku, ale że przez jakiś czas nie będę się pokazywał w domu. Więc niech na mnie nie czeka. I nie mów mu o oku.

Skinąłem głową. Czułem jednak, że powinienem coś powiedzieć.

– No dobrze, Hill, ale gdzie ty się będziesz podziewał?

– Och, mamy parę strychów, gdzie się spotykamy i gdzie śpimy, kiedy jesteśmy wykończeni.

– A co z ubraniami i całą resztą?

– Jakoś się wypierze. To drobiazgi bez znaczenia. Zdradzę ci mały sekret: mamy zamiar odbywać narady i pracować na terenie samej Sorbony. Już wkrótce... otworzymy ją dla wszystkich! Dla studentów, profesorów, robotników, urzędników państwowych, dla każdego. Każdy będzie mile widziany!

Zakasłał, żeby pokryć wzruszenie.

– Ale tego nie mów tacie. Powiedz mu tylko to, o co cię prosiłem.

– Uważam, że byłoby lepiej, gdybyś mu to sam powiedział.

Nagle wcisnął głowę w ramiona i wbił wzrok w podłogę. Nie tyle wzruszenie ramionami, ile wyraz zniechęcenia przypomniawszy mi jego wygląd tamtego wieczoru u nich w domu: głowa opuszczona, ramiona uniesione, za długie dłonie – dyndające u przegubów długich rąk. Przypominał szczeniaka.

– Dobrze wiesz, że nie mogę z nim porozmawiać. Nic by do niego nie dotarło. Mógłbym gadać do białego rana. Wszystko przepuszcza przez filtr swoich bezkrytycznych, pełnych obłudy poglądów i w końcu wierzy dokładnie w to, w co i tak chciał wierzyć. Moja próba rozmawiania z nim skończyłaby się kłótnią. A potem on zwarłby szeregi i powiedział, że mi zabrania iść z towarzyszami. Wtedy ja bym mu musiał powiedzieć, żeby się odpieprzył i... i tak bym poszedł. On nie wie, że ja jestem już w wystarczającym stopniu dorosły, żeby podejmować decyzje – prawdę mówiąc, nie od dzisiaj. A on nie chce się z tym pogodzić.

Hill podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Nie chcę go widzieć.

Była w tych słowach ostateczna, niepodważalna decyzja.

– Ale jak zareaguje na to twoja matka? – spytałem najdelikatniej, jak umiałem. Znow zaczął mnie drażnić.

Hill obrócił się nagle w moją stronę, oczy zabłyśły mu niebezpiecznie.

– A co mnie obchodzi, jak zareaguje? Co pomyśli czy poczuje? Oboje zresztą! Z ich pretensjonalnym rodzicielstwem i całym tym gadaniem o trzymaniu się razem, którego mają pełne usta, ale któremu nie umięją w rzeczywistości sprostać!

– No dobrze już, dobrze – powiedziałem uspokajającym tonem. Zorientowałem się, że go nie przekonam. – Porozmawiam z nim. Powiem mu dokładnie to, czego ode mnie oczekujesz. Ale chcę, żebyś wiedział, że moim zdaniem mylisz się kompletnie, jeśli chodzi o twojego ojca. A także jeśli chodzi o matkę.

– Tak, tak, wiem, że ty ich kochasz. Ja też ich Kocham. Ale to nie znaczy, że mam im wybaczyć zło, jakie ich obłuda, i obłuda innych rodziców, wyrządziła światu. Świat wcale nie musi taki być. Taki, jaki jest. Wszyscy o tym wiemy. A poza tym – dodał – ty wcale nie wiesz o wszystkim, co się dzieje na co dzień. Jesteś niewiniątkiem, przynajmniej jeśli chodzi o twoich przyjaciół, Jack.

Nie wiedziałem, do czego pije. Poza tym po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu – a przynajmniej po raz pierwszy to zauważyłem – zamiast, jak dotychczas per „wujku Jacku”. Rozumiałem, że było to coś w rodzaju balonu-sondy. Klepniętem go po plecach.

– W porządku. Pogadam z nim. Pójdę do nich wieczorem. I wyłożę mu twoją sprawę, dokładnie tak, jak sobie tego życzysz. Wierz albo nie, ale ja jestem przekonany, że mnie zrozumie.

Hill uśmiechnął się do mnie.

– Dziękuję.

– A teraz powiedz mi jedną rzecz. Powiedz mi, czy ta niska dziewczyna... jak jej na imię?

– Anne-Marie?

– Anne-Marie. Czy to twoja dziewczyna?

Czy to dlatego, że zaakceptowałem zwracanie się do mnie po imieniu, czy też skutek danej mu przeze mnie obietnicy, dość, że z nieszczęśliwego, nie rozumianego przed chwilą syna przemienił się nagle w podekscytowanego, uśmiechniętego studenta-rewolucjonistę. A teraz znów zaszła w nim jakaś zmiana, dosłownie z sekundy na sekundę. Oczy miał rozbawione, figlarne, wpatrzone w dal.

– Dziewczyna? – powtórzył. – Chcesz powiedzieć: kochanka?

– Tak, mniej więcej.

Ramiona Hilla znów powędrowały ku uszom, rozpostarł ręce.

– Cóż, ona jest... ona...

Nagle, jak dorosły zmieniający język, by uchronić domniemaną niewinność dziecka,

przeszedł na francuski.

– *Elle nous fait des pipes a tous les quatre. Elle nous fait des pompiers.*

– Co! – prawie krzyknąłem. Na pół pod wrażeniem, na pół rozśmieszony.

– Ona jest z nami czterema. Dmucha każdego z nas – powiedział Hill po angielsku.

– Chcesz powiedzieć, że... – zacząłem. – Że naraz... to znaczy, że w *tym* samym...

Brwi Hilla zbiegły się w grymasie lekkiego zniecierpliwienia.

– Nie, nie, nie jesteśmy satyrami. To znaczy, jest wśród nas paru satyrów. Nawet sporo. Ale akurat nie w naszej piątce...

– Bałem się, że nie zro... – zaczął jeszcze raz. – Posłuchaj. Jesteśmy razem w jednym Komitecie, rozumiesz? Jesteśmy studentami wydziału filmowego i razem tworzymy Komitet Filmowy. Zarazem wszyscy jesteśmy także studentami socjologii. Ale to czysty przypadek. Teraz śmiałem się już niemal w głos.

– A czy są inne dziewczyny w waszym Komitecie? Brwi jeszcze bardziej się zbiegły.

– Tak, oczywiście.

– Ale wy tamtych nie... hmmm.

– Nie pieprzymy? Chciałeś powiedzieć: nie uprawiamy z nimi seksu? Ależ tak. Raz po raz. A raczej: od czasu do czasu. Może. Ale... posłuchaj: my tworzymy swego rodzaju podkomitet, nasza piątka, w ramach Komitetu Filmowego. Otrzymaliśmy pewne... nazwijmy to, zadania eksploracyjne.

– A ona, Anna-Marie, jest członkinią... Ale gdyby nie lubiła...

– Ona woli, że jest tak, jak ci powiedziałem – stwierdził Hill z zasepioną miną.

– Czy ona ma pojęcie o pigułce?

– Oczywiście, że ma pojęcie o pigułce. Posłuchaj: ona niczego nie musi robić. To *znaczy*, nikt od niej nie wymaga... Widzę, że nie rozumiesz.

– Och, rozumiem. Oczywiście, to rozumiem. – Usiłowałem pozbyć się z twarzy głupkowatego uśmiešku. – Ale czy jesteś pewien, że musiałeś się uciekać do francuszczyzny, żeby mi o tym powiedzieć?

– Cóż, wydaje mi się, że ty nie całkiem rozumiesz, jak to się u nas odbywa, w naszym pokoleniu – stwierdził Hill. Teraz i on miał lekki uśmiešek na wargach. – To znaczy...

– Oczywiście. A może zresztą rozumiem. Jestem starszy. Ale też, na Boga, nie jestem dużo starszy! Nie na tyle, żeby w rozmowie ze mną przechodzić na francuski, jakbyś mówił w obecności McKenny!

– Bo to takie ładne określenie, po francusku – próbował się bronić. – Zręczne określenie.

– Opisowe – przytaknąłem. – I ładne. Ale równie opisowe i ładne określenie mamy po angielsku.

Nagle przypomniałem sobie ówczesny angielsko-amerykański dowcip o młodym facecie,

który próbował wytłumaczyć swojej narzeczonej, że „dmuchać” to tylko przenośnia, i znalazłem się w kropce. Miałem wielką ochotę ryknąć zdrowym śmiechem, ale się powstrzymałem.

– Obawiam się, że tak naprawdę to wcale nie rozumiesz, jak się to u nas odbywa, wujku Jacku – powiedział Hill patrząc na mnie spode łba. – My jesteśmy czymś w rodzaju rodziny, naprawdę. Ty tego nie rozumiesz.

Zarejestrowałem powrót formy „wujku Jacku”.

– Oczywiście, że rozumiem. Jesteście w tym samym Komitecie... czy podkomitecie. A Anne-Marie jest w tym podkomitecie jedyną dziewczyną. I uważa... I chce...

– Nie! Nie! Ona nas wszystkich lubi. To tylko przypadek, że wszyscy jesteśmy w tym samym podkomitecie.

– Oczywiście, to też rozumiem. Nie jestem jeszcze tak stary, jak ci się wydaje. To znaczy, że mógłbym być twoim dziadkiem. Tak czy siak, mam wrażenie, że należałoby wrócić do naszych gości.

Hill chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie mogłem się powstrzymać, żeby za nim nie zawołać:

– Ale, ale, czy ty nigdy nie miałeś w ręku mojego pisma?

– Miałem; jest całkiem, całkiem – rzucił od drzwi. W pokoju wszyscy siedzieli lub stali dokładnie w tych samych pozach, w jakich ich zostawiliśmy, co wyglądało tak, jakby z chwilą, gdy zniknąłem im z oczu, wszyscy jak na komendę zastygli w swych pozach po to, bym, kiedy w końcu wreszcie powrócę, mógł stwierdzić na pierwszy rzut oka, że nie weszli po pokoju, nie grzebali w moich rzeczach, niczego nie przeglądali. Pomyślałem sobie, że nawet jak na francuską grzeczność – a Francuzi o wiele więcej spraw załatwiają grzecznością niż na przykład Amerykanie – posunęli się trochę za daleko.

– Co powiecie na jeszcze jedną kolejkę? – spytałem. Obszedłem pokój z butelką w ręce. Patrząc na dziewczynę nie mogłem się pozbyć, jak w filmowej przebitce, wyobrażenia Anne-Marie, która stoi jak sierżant przed czterema ustawionymi w szeregu chłopakami, wyprężonymi w pozycji na baczność, z potężnymi wzwodami naprężającymi rewolucyjne mundurki, a potem przechodzi wzdłuż szeregu jak dobra komisarzyca albo posłuszna markietanka, zaspokajając po kolei każdego, żeby mógł skupić się na bieżących problemach rewolucji i przestał myśleć o własnym rozporku. Usługa terapeutyczna. Musiałem zamrużyć, żeby pozbyć się tego obrazu. A wokół mnie moi goście siedzieli i rozprawiali ze swadą o rewolucji. Po wymianie spojrzeń z Hillem nikt nie odmówił whisky.

Z rozmowy wynikało, że zastanawiają się nad strukturą owego komitetu, który miał to czy owo wspólne z filmem. Najwięcej wszakże mówili o przypuszczalnym losie aresztowanych poprzedniego dnia towarzyszy. Nie było o nich żadnych wieści, wszyscy nadal siedzieli. Wielkie pytanie chwili brzmiało: Zwolnią ich czy nie. Nikt wszakże z grupy Hilla nie spodziewał się,

żeby zwolniono wszystkich – a właśnie tego domagali się studenci.

Kiedy wychodzili, Hill powiedział do mnie cicho po angielsku:

– Nie zapomnij o tym, o co cię prosiłem, o domu. Kiwnąłem głową i mrugnąłem do niego, a kiedy wyszli, podszedłem do okna” żeby popatrzeć, jak idą ramię w ramię, dwie osoby z przodu, trzy z tyłu, nabrzeżem w stronę dawnego mostu Baileyowskiego, obecnie kładki dla pieszych, co przecina Sekwanę na tyłach Notre-Dame. Patrzyłem, jak płynnie poruszają się wśród przechodniów i poczułem, że coś ściska mi gardło. Nie z powodu Anne-Marie. Kiedy znikali mi z oczu na łuku nabrzeża, pomyślałem sobie, że nic nie jest w stanie ich dotknąć. W każdym razie takich, jakimi są teraz, w tej chwili, tacy jak teraz – są nieśmiertelni. Potem przebrałem się przed wizytą u Harry’ego. Uprzednio do niego zadzwoniwszy.

Hill wpadł następnego wieczoru, w niedzielę piątego, tuż przed zmierzchem. Tym razem był sam.

W ciągu dnia, o ile się mogłem zorientować, nie wydarzyło się nic szczególnego. Francuzi, łącznie z młodymi rewolucjonistami, traktowali niedzielę z powagą. Alain Peyrefitte, młody minister oświaty, wydał kilka komunikatów z pogroźkami, w których zapowiadał, że małe grupki wzniesające niepokój zostaną osądzone przez władze uniwersyteckie w trybie przyśpieszonym, jeśli nie zaniechają działalności. Jeśli jednak komunikaty owe miały na celu uspokojenie studentów, to ich skutek był wręcz przeciwny.

Hilla wszakże i, jak mi powiedział, jego przyjaciół dużo bardziej zajmowało to, co w sobotę i w niedzielę rano działo się w Palais de Justice, tym potężnym i budzącym lęk młynie biurokracji, wielkiej budowli położonej na drugim końcu Ile de la Cite. Sędzia dyżurny, niejaki *monsieur* Isambert, w sobotę był łaskawy. W sumie pięcioro, a ściślej sześcioro, aresztowanych stanęło przed jego obliczem i wszyscy poszli do domu, otrzymawszy niskie wyroki w zawieszeniu i niewielkie grzywny. Ale dziś rano, -mówił mi Hill, w niedzielę o jedenastej sędzia Isambert skazał czwórkę studentów na dwa miesiące więzienia. Może mu się przypaliło śniadanie. Ale prawdopodobnie takie otrzymał instrukcje od władz. Zdaniem Hilla sprawa odegra wielką rolę podczas poniedziałkowej demonstracji. Pierwszy warunek to uwolnienie aresztowanych towarzyszy.

Mimo drobnej utarczki z Anne-Marie ich grupa najwyraźniej zaakceptowała mnie, mówił mi Hill, jako jednego z nich, a w każdym razie sympatyka ich sprawy, w którego obecności mogą rozmawiać swobodnie. Oczywiście Hill przedstawił im mnie jako redaktora amerykańskiego pisma, który zapewne zamieści w swoim organie jakiś prostudencki tekst własnego autorstwa.

Naprawdę jednak przyszedł z innego powodu. Nalawszy sobie w barku whisky z sodą, zagadnął o Harry’ego.

– Rozmawiałeś z tatą? Potaknąłem.

– No i co?

– Cóż, tak jak się zapewne spodziewałeś, a przynajmniej jak ja się spodziewałem, było mu przykro, że sam do niego nie przyszedłeś.

– A co powiedział?

– W sumie powiedział, że gdybyś czegoś potrzebował, na przykład pieniędzy, pomocy, porady prawnej, czegokolwiek, wystarczy, żebyś mu dał znać albo przyszedł i sam o to poprosił.

Hill nagle wybuchnął wściekłym wrzaskiem.

– Niech go diabli! Niech go diabli wezmą! Jego i ją! Nie domyślałeś się, że spróbują równie taniej sztuczki? Wiedziałem, że z czymś takim wyskoczą! Czy on nie wie, czy oni nie wiedzą, że ja nie potrzebuję niczego, co mogliby mi dać? I że nie chcę niczego, co by mi mogli zaoferować? Wprost nie mogą wytrzymać, żeby się nie włączyć do działania. Tani, obłudny liberalizm!

Zaskoczył mnie kompletnie. Wpatrywałem się w niego. Sam nie widziałem nic złego w tym, co powiedział Harry.

Hill opanował się, jakby nagle uświadomiwszy sobie moją obecność. Przez zaciśnięte zęby wciągnął głęboko powietrze, mocno przycisnął pięści do bioder i zamknął oczy. Oddychał teraz przez nos.

Wtedy jego zachowanie sprawiło na mnie wrażenie teatralnego, ale potem zmieniłem zdanie. Hill z wielkim trudem odzyskiwał dobry humor, w jakim do mnie zawitał. Najpierw rzucił się na fotel – w sposób dziwnie przypominający jego ojca – i tkwił w nim pograżony w myślach. Równie dobrze można było mówić do kamienia. Kiedy zbierał się do odejścia, był już w lepszej formie, ale zdaje się, że kosztowało go to wiele wysiłku. Wyrzwał przez okno i powiedział:

– Ładny masz tu widok.

W drzwiach obrócił się do mnie, mówiąc:

– Postaram się dawać ci znać, co jest grane. Ale jeśli będzie tak, jak przypuszczam, od pojutra przez parę dni prawdopodobnie się nie zobaczymy. W każdym razie nie martw się o mnie. Wątpię, czy powącham wiele prochu na barykadach. Bo wiesz, ta grupa, do której należę, cała grupa, nie tylko nasz podkomitet, próbuje uzyskać prawdziwy zapis filmowy tego, co się będzie działo pomiędzy nami a siłami porządku.

Ze śmiertelną powagą podkreślił dwa ostatnie słowa.

– Tworzymy obecnie Komitet Filmowy Rewolucji Majowej. Wszyscy jesteśmy tuzami filmu: przyszłymi reżyserami, producentami, scenarzystami Nowej Francji. Jeśli wszystko zagra, jak się spodziewamy, w najbliższym czasie będę zapewne siedział za biurkiem, organizując kręcenie wydarzeń najbliższych tygodni po to, żeby nasza strona mogła przedstawić swój obraz świata, kontrastujący z filmami rządowej propagandy. Możesz to powiedzieć mojemu ojcu.

Po czym dodał:

– Jeśli chcesz.

Skinąłem głową i uścisnęliśmy sobie dłoń, mocno i długo, niczym dwaj żołnierze wysłani w misjach specjalnych, z których mogą nie powrócić. To było głupie. Ale się stało.

Kiedy wyszedł, znów podszedłem do okna i patrzyłem, jak idzie nabrzeżem w stronę Cite, w swoim mundurku młodego rewolucjonisty. Wtedy też, wychylając się z okna i patrząc w przeciwnym kierunku, zauważyłem po raz pierwszy dwie granatowe ciężarówki policyjne, ustawione na wyspiarskim krańcu Pont de la Tournelle pod Tour d'Argent tak, by odcinały dostęp do Quai de Bethune, gdzie, jak wie każdy mieszkaniec Paryża, mieszka premier Pompidou.

Ciemne, złowrogie półciężarówki pojawiły się tam wówczas po raz pierwszy, ale miały zabawić dłużej.

Rozdział piąty

Gdzieś w trakcie tygodnia pomiędzy szóstym a dwunastym maja Amerykanie nabrali zwyczaju spotykania się u Gallagherów.

Każdego wieczoru około siódmej grupa paryskich Amerykanów zbierała się w mieszkaniu Harry'ego. Było to coś w rodzaju późnego koktajlu. Omawialiśmy wydarzenia dnia, oglądaliśmy dziennik wieczorny o ósmej, dużośmy pili i spekulowali na temat tego, co może przynieść następny dzień. Potem rozchodziliśmy się na umówione kolacje albo do innych zajęć, zaplanowanych na późniejszy wieczór.

W miarę jak dzień po dniu zamieszki się nasilały, relacje i komentarze kontrolowanej przez władze telewizji francuskiej stawały się coraz oszczędniejsze. W końcu przestało się opłacać włączanie telewizora. W ten sposób władze postanowiły rozegrać sprawę przed narodem. Najwyraźniej spodziewały się, że tym samym problem się rozwiąże i zniknie. Serwowano nam wiadomości o zbliżających się rokowaniach pokojowych w kwestii Wietnamu, o ambasadorze Harrimanie i o tym, ilu to Wietnamczyków pozabijali Amerykanie.

Żadne z nas, oczywiście, nie widziało Hilla Gallaghera od owego niedzielnego wieczoru, kiedy to wpadł do mnie sam.

Każdego dnia dochodziło teraz do rozruchów. Prasa francuska zaczęła już nazywać studentów, w formie swoistego komplementu, *les engras* – wściekli. *Manif* Hilla (zawsze jakoś myślałem o niej w ten sposób, tak jakby to on wszystko osobiście zorganizował), zatem *manif* Hilla w poniedziałek szóstego maja, choć przeprowadzona bez zgody policji, stała się tryumfalnym sukcesem, wezwaniem do broni. We wtorek siódmego około piętnastu tysięcy studentów przemaszzerowało ulicami Paryża w dwudziestokilometrowym pochodzie i policja im na to pozwoliła. W środę władze zaproponowały ponowne otwarcie Sorbony – studenci natychmiast zagrozili „okupacją”. Sorbona pozostała więc zamknięta.

Nikt się nie spodziewał, że cała Francja będzie wkrótce dosłownie sparaliżowana, że będzie się wiła w kleszczach największego kryzysu społecznego, jaki ją dotknął w ciągu ostatnich stu lat. A jednak nasz zwyczaj skupiania się powstał niejako samorzutnie. Wszyscy byli podekscytowani, panowała wakacyjna atmosfera. Najbardziej ze wszystkiego przypominała mi ona pierwsze tygodnie drugiej wojny światowej w Ameryce. To było prawie to samo. Wszyscy wiedzieli, że zanosi się na zagładę – że nadciąga katastrofa, bezsensowna rzeź. Ale początek podobał nam się mimo wszystko: stanowił miłą przerwę w codziennej harówce i w pieprzeniu własnej tylko żony. Podobnie teraz w Paryżu. W ciągu tamtego tygodnia zacząłem codziennie wieczorem bywać u Gallagherów. A pod koniec tygodnia Dave Weintraub przyprowadził tam po

raz pierwszy Samantha-Marie Everton.

Byliśmy dość jednorodną grupą, nawet jak na paryskich Amerykanów. I prawie każdy miał jakiś dodatkowy powód, żeby kręcić się w tej okolicy. Ja mieszkałem przy tej samej ulicy i nie miałem w domu telewizora. Potem dwaj malarze, od których Harry kupował obrazy, a którzy obaj mieszkali po drugiej stronie rzeki, w Dzielnicy Łacińskiej, koło Place Maubert. Późnym wieczorem mieli niekiedy trudności z dostaniem się do domu, jeśli zamieszki studenckie odbywały się akurat w okolicy Maubert.

Następnie komentator telewizji amerykańskiej, o twarzy świetnie znanej w ojczyźnie, stary kumpel Harry'ego od pokera. Każdego wieczoru ruszał w miasto filmować i komentować rozruchy. Wpadał na dwie, trzy szklaneczki i żeby posłuchać trochę „rewolucyjnych” plotek, po czym przemierzał most i z opaską „PRASA” na ramieniu pogrążał się w zasnutej chmurami gazów łzawiących Dzielnicy Łacińskiej niczym Tarzan dający nura w dżunglę.

Bywał też bardzo młody, dwudziestodwuletni człowiek z UPI, który robił to samo dla swojej agencji, tyle że bez kamery. Przyjaźnił się z Harrym i Louisą, ponieważ chciał zostać scenarzystą, a także powieściopisarzem, gdyby starczyło mu na to czasu.

Bywał też bogaty i przystojny amerykański biznesmen, mieszkający na wyspie kawaler. Pojawiał się zawsze z kolejną towarzyszką w, zdawało się, nieskończonym ciągu atrakcyjnych młodych... mówi się chyba „kociaków”, w których kręgu się obracał; kociaków, czyli dziewczyn, które robią to z bogatymi mężczyznami dla frajdy i dla prezentów, w odróżnieniu od *call girls*, które robią to samo za z góry umówioną cenę w gotówce; wszystkie oczywiście mieszkały w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej.

Bywał korpulentny, młody rudowłosy współpracownik jednego z francuskich wydawnictw, pochodzenia żydowsko-węgiersko-amerykańskiego, którego Harry gdzieś poznał, a który mając trzydzieści dwa lata był tak bardzo europejski, że z trudem dawał się zaliczyć do Amerykanów; snobistycznymi sztuczkami z monoklem zabawiał całe towarzystwo. Wpadał każdego wieczoru po wyjściu z wydawnictwa, położonego w głębi Dzielnicy Łacińskiej, żeby, jak mawiał, paroma szklaneczkami trunku splukać z gardła gaz łzawiący, po czym dzwonił po taksówkę i odjeżdżał do Auteuil, gdzie mieszkał.

Bywał Weintraub.

Bywało jeszcze parę osób; byli też tacy, co pojawiali się na jeden wieczór, by nigdy więcej nie powrócić.

W to zhomogenizowane amerykańskie mleko Weintraub wlał pewnego razu dozę kwasu mlekowego w postaci młodej, dziewiętnastoletniej czarnej Amerykanki, Samantha-Marie.

Widziany wstecz, z perspektywy końca rozgrywki, tamten tydzień sprawia wrażenie dość nudnej rozgrzewki. To prawda, był to tydzień demonstracji studenckich i rozruchów, które miały

miejsce prawie każdego wieczoru. Ale nikt nie przeczuwał, że studencki bunt może osiągnąć samego jądra życia Francji i faktycznie je sparaliżować. Normalne życie toczyło się całkiem normalnie. Gospodynie domowe obojętnie popychały wózki dziecięce chodnikami ulic, podczas gdy na środku studenci i policjanci obrzucali się wyzwiskami albo wycofywali się, obrzucając nawzajem kamieniami i granatami z gazem łzawiącym. (Niekiedy był to bardzo zabawny widok: matki dzieciom, łkające, jakby miały oczy wypłakać, i pchające wózki, w których dzieci siedziały spokojnie, mrugając oczyma i roniąc łzy.) Poza tym – przynajmniej w tamtym tygodniu – metro kursowało, autobusy i taksówki funkcjonowały normalnie, można się było dodzwonić do Nowego Jorku (a w przypadku Harry'ego na południe Francji, gdzie właśnie kręcił jego ówczesny producent). Żywności było mnóstwo, nikt jeszcze nie mówił o gromadzeniu zapasów mąki czy cukru.

Niekiedy studenci blokowali ruch na Boulevard St.-Michel i Boulevard St.-Germain, słyszało się wiele niedozwolonych w tym mieście klaksonów i trzeba było długo czekać. Ale kto tylko objeżdżał Dzielnicę Łacińską dokoła, ten mógł się dostać w zwykłym czasie w dowolne miejsce Paryża.

Studenci wysuwali wówczas, w pierwszym tygodniu, trzy najważniejsze żądania: chcieli uwolnienia siedmiu skazanych towarzyszy; chcieli wycofania z Dzielnicy Łacińskiej specjalnej policji antyrozruchowej (tzw. CRS: Compagnies Republicaines de Securite); wreszcie chcieli otwarcia Sorbony i wznowienia wykładów. Równocześnie twierdzili, że zbojkotują egzaminy roczne. Ale też zgadzali się podjąć rozmowy z władzami i przedyskutować własny projekt reform.

Należy zrozumieć, że wszystko było wówczas kwestią zgrania w czasie. Na przykład: władze, w sposób świadczący o wyjątkowej przenikliwości i intuicji, zaczęły tydzień odrzuceniem wszystkich trzech żądań studentów. Aresztowanych towarzyszy nie uwolniono, policji nie wycofano, Sorbona pozostała zamknięta. Do dzienników przedostały się wiadomości, jakoby to tylko garstka agitatorów powodowała zamieszki, a nie wielki tłum studentów. Tak więc w poniedziałek szóstego maja, kiedy nie zezwolono na wielką demonstrację, studenci zareagowali walkami ulicznymi i budowaniem w Dzielnicy Łacińskiej barykad z brukowców, metalowych słupków chroniących drzewa oraz znaków drogowych; potem bronili ich przez czternaście godzin, do nadejścia nocy. Następnego dnia wielki pokojowy marsz, nielegalny a tolerowany, trwający sześć godzin i rozciągający się na dwadzieścia kilometrów, przeszedł przez cały Paryż z udziałem, jak mawiano, ponad dwudziestu tysięcy studentów (w każdym razie jego liczebność zaskoczyła władze), by zakończyć się jeszcze potężniejszymi barykadami i walkami ulicznymi, które się wywiązały, kiedy policja próbowała rozproszyć studentów po zakończeniu marszu. To samo działo się teraz także w innych miastach: w Tuluzie, Strasburgu, Lyonie i Bordeaux.

Obok „Dany’ego Rouge’a” pojawiło się dwóch młodych przywódców: Jacques Sauvageot z UNEF-u, największej organizacji studenckiej, oraz Alain Geismar z SNE Sup., zrzeszenia młodszych wykładowców. W środę ósmego, po czterech dniach odmowy, władze w końcu zgodziły się otworzyć uniwersytet – pod warunkiem, że studenci zaniechają demonstracji; w odpowiedzi, zamiast zgody, jakiej studenci udzieliliby chętnie jeszcze trzy dni temu, urządzono dziki mityng na siedząco, pośrodku Boulevard St.-Michel, blokując ruch na trzy godziny, a następnie młody Sauvageot zagroził, że jeśli władze otworzą Sorbonę, studenci zajmą ją i podejmą okupację. W rezultacie w czwartek władze ogłosiły, że Sorbona ma być nadal zamknięta, a demonstracje i walki uliczne rozgorzały na nowo, *tym* razem wczesnym popołudniem.

W sumie była to jedna wielka epopeja chwiejności, niekonsekwencji, nieskuteczności, partactwa, gaf i paskudnego, wręcz fatalnego niezgrania w czasie. Nasza amerykańska grupka, hołdująca rytuałowi cowieczornych spotkań u Gallagherów, obserwowała, czytała i dyskutowała na te tematy. Od czasu do czasu prawie każdy wybierał się do Dzielnicy Łacińskiej, żeby na własne oczy zobaczyć, jak to wygląda.

Ja sam nie widziałem zamieszek. Pracowałem wtedy ciężko, miałem kilka poważnych rozmów do przeprowadzenia, zresztą cała ta sprawa trochę mnie nudziła. Ale Harry tam chodził. I to niejednym razem. Dziwne natomiast, że mało miał na ten temat do opowiedzenia. Mówił, że towarzyszy temu jakaś niepoważna aura wesołości. Jakby za dużo życia. Uważał, że studenci nie zdziałają wiele. Miałem wrażenie, że go irytują, a nawet wyprowadzają z równowagi. Można by wręcz powiedzieć, że był o nich dziwnie zazdrosny.

Nie mieli wieści bezpośrednio od Hilla od poprzedniej niedzieli, kiedy to przekazałem im, co mi powiedział podczas swej drugiej wizyty. Ale jakaś młoda kobieta (*Anne-Marie pipiste?* – zastanawiałem się), która ponoć „pracowała” jako jego „asystentka”, dzwoniła do nich parę razy z jego polecenia. Raz też pojawił się sam w domu, dowiedzieli się o tym od pokojówek, żeby zabrać swoją dużą, szesnastomilimetrową kamerę Bolexa z ruchomym obiektywem. Wkradł się jednak i wymknął, nie widząc się z nimi.

Stwierdziłem, że specjalnie się tym nie przejmowali. Ja sam martwiłem się o niego. Ale oni jakby godzili się z sytuacją. Harry przed dwoma miesiącami podpisał umowę i teraz był pogrążony po uszy w pisanie nowego, *tym* razem amerykańskiego westernu. Louisa jadała lunch z przyjaciółkami u Lippa albo u Alexandre’a, potem robiła zakupy, a wieczorem czyniła honory domu lub wychodziła z Harrym. Oboje bawili się jak zwykle. Wydawało się, że Hill studiuje na jakimś amerykańskim uniwersytecie, a nie ukrywa się, ścigany zapewne przez paryską policję.

– Oczywiście, że się martwiliśmy – powiedział potem Harry, kiedy go o to w końcu zapytałem, ale zaraz umilkł i powrócił do swego zajęcia; zdaje się, że właśnie nalewał albo sobie,

albo mnie.

Byłem bardzo ostrożny, kiedy im opowiadałem o drugiej wizycie Hilla. Złagodziłem reakcje Hilla na wysuniętą przez Harry'ego propozycję pomocy. Nie kłamałem. Powiedziałem im, że propozycja rozzłościła Hilla. Ale przemilczałem do jakiego stopnia. Ani jedno, ani drugie nie zareagowało. Przynajmniej w żaden widoczny sposób. Wyszedłem z silnym przeświadczeniem, że gdybym im był powiedział, gdybym im opowiedział, jak opanowała go najpierw dziwna wściekłość, a potem melancholia, na nich i tak nie zrobiłoby to żadnego wrażenia.

Wreszcie pewnego wieczoru zostałem dłużej. Poczekalem, aż wyniosą się wszyscy widzowie wiadomości wieczornych. Chciałem wrócić do sprawy Hilla. To wszystko było tak bardzo dalekie od wzmożonej reakcji rodzicielskiej, jaką widziałem zaledwie w kwietniu, tamtej nocy, kiedy Harry do mnie zadzwonił, żebym przyszedł, bo Hill nie wrócił do domu. Chciałem się dowiedzieć, co się z nimi dzieje. Tym razem odpowiedziała mi Louisa.

– No pewnie, żeśmy się martwili – powiedziała tak samo jak Harry. Ale potem obdarzyła mnie tym swoim pełnym wyższości nowoangielskim uśmiechem, który zawsze mnie irytował, choć przypuszczam, że ona nigdy się tego nie domyślała, tak jak i nie zdawała sobie sprawy z jego wymowy.

Zostaliśmy sami we trójkę. Pokojówki Portugalki posprzątały pozostałe po wieczornym spotkaniu szklanki oraz talerze po przekąskach i wycofały się do kuchni. McKenna już spała. A kiedy tylko poruszyłem temat Hilla, Harry zaczął rozplýwać się i znikać; roztopił się po prostu w ścianie albo przykucnął i ukrył się za barem czy w jakimś fotelu.

Było więc tak, jakbym został sam z Louisą.

Mglistość zdawałem sobie wprawdzie sprawę z jego połowicznej obecności gdzieś za moimi plecami; nie mogłem jednak odwrócić się i odszukać go wzrokiem nie odrywając zarazem oczu i uwagi od Louisy. Mglistość uświadamiałem sobie jakimś zakamarkiem umysłu, zaopatrzonym we własny wewnętrzny rozrusznik, że coś takiego zraniłoby ją poważnie, może nieodwracalnie. Widywałem już, jak zaciniała się w ten sposób, czasem gdy chodziło o politykę, a raz w kwestii letnich obozów. Nikt nie śmiał się jej w takich razach sprzeciwić.

– Z drugiej strony jednak wiemy, że robi dokładnie to, czego pragnie – dodała. – A czego on pragnie, tego i my pragniemy dla niego: chcemy, żeby to robił.

Jej przeciągła nowoangielska wymowa jeszcze bardziej się wydłużała i rzucała w uszy.

Siedząc na sofie, odchyliła głowę do tyłu i wymierzyła we mnie swą podłużną nowoangielską twarz. A zamglone, zielonkawe oczy, zwykle główny atut jej urody, teraz niemal wyskakiwały z orbit; wyglądały jak dwie jaskrawo oświetlone marmurkowe kulki. Uśmiech wskazywał, że myślała w tej chwili z przekąsem o mnie, o jej starym przyjacielu Jacku.

– W końcu decyzja należała do niego. A my nawet nie zamierzaliśmy ingerować. Tak więc, paradoksalnie, mogę powiedzieć, że wcale się o niego nie martwimy. Cieszymy się, że jest tam,

gdzie jest. Jesteśmy dumni, że jest właśnie tam, gdzie jest.

– No dobrze. Zgoda. Przyznaję, że nie ma większego niebezpieczeństwa, żeby go miano...

– Zabić? Nie, wcale lub prawie wcale. A nawet gdyby. Nawet gdyby istniało takie niebezpieczeństwo, też powinniśmy chcieć, żeby był tam, gdzie jest. My oboje, Harry i ja, jesteśmy w tej sprawie całkowicie i bez zastrzeżeń po stronie studentów. Byłoby nam wstyd za Hilla, gdyby się *znalazł* w innym miejscu. Nie chcemy, żeby musiał przychodzić codziennie do domu, by nas uspokoić, podczas gdy tam dzieje się tyle ważnych rzeczy. Nie oczekujemy nawet, że będzie do nas dzwonił. Powiedziałam to tej dziewczynie. My będziemy tutaj działać, powiedziałam jej: to najlepszy sposób, żeby pomóc Hillowi. Pomóc im wszystkim.

Mogłem sobie wyobrazić, co Hill powiedział na ten temat Anne-Marie.

– Cóż – zauważyłem, dość, jak się zdaje, niewiażąco. Stwierdziłem wszakże, że jestem, nie wiedząc czemu, w defensywie. Louisa wsiadła na wysokiego konia i z tej perspektywy patrzyła na mnie owymi marmurkowymi oczyma i perorowała, podczas gdy ja stałem u jej stóp, mając wrażenie, że wdepnąłem w sidła na niedźwiedzia, zdradliwe, stalowe, zębate.

– Przypuszczam, Jacku, że nie jesteśmy wolni od normalnych rodzicielskich lęków – powiedziała potrząsając głową. – Ale one nie mają większego znaczenia. A ponieważ nasz dom, w którym go przecież sami wychowywaliśmy, zawsze był wolny od hipokryzji, trudno się spodziewać, żebyśmy od niego oczekiwali czegoś innego niż to, co robi.

– No dobrze. Oczywiście, trudno. Ja tylko sobie pomyślałem, że gdybyście chcieli, gdyby był jakiś sposób, żeby...

– Żeby się z nim skontaktować? – dopowiedziała za mnie. Uśmiech wyższości znów na chwilę zagościł na jej twarzy. – A to mianowicie w jaki sposób?

– Tak... – przyznałem; oczywiście miała rację. – Oczywiście, masz rację. Wspominał mi wprawdzie o jakichś strychach. Ale nie zostawił adresów.

– No widzisz! – zawołała triumfująco Louisa, jakby wygrała właśnie ze mną całą batalię.

Zapragnąłem, żeby Harry wynurzył się z tej dziury, w której się schował za moimi plecami, i wkroczył do akcji.

– Myślę – ciągnęła Louisa – że to okropne, że oni rzucają te bestie z policji na takie dzieciaki. Ci studenci są młodymi idealistami i mają święte prawo protestować przeciwko obłudzie społeczeństwa, jakie dziedziczą i w którym żyją nie mając żadnego wyboru. Jeśli młodzi nie będą protestować, to kto u licha? Harry i ja przez całe życie walczyliśmy z takim samym obłudnym, dwulicowym społeczeństwem. Popieramy tych młodych na całej linii i będziemy robić wszystko, co się da, żeby im pomóc.

Jej marmurkowe oczy patrzyły teraz w dal.

– Całym sercem jesteśmy za wszystkim, co robią te dzieciaki. Czyż nie, Harry? Czyż nie?

– Oczywiście – potwierdził Harry zza moich pleców. – Oczywiście, że tak.

Pojawił się. Przyniósł trzy szklaneczki. Jedną wręczył Louisie, drugą mnie, trzecią zachował. Miałem wszakże nieodparte wrażenie, że wykorzystał tylko ten pretekst, żeby się usunąć, nie brać udziału w rozmowie.

– Patrzeć na te dzieciaki, jak biorą w skórę od tych cholernych CRS, to coś pięknego. To wprost przepiękny widok.

Kątem oka dostrzegłem, że Louisa, siedząc na sofie, energicznie potakuje. Uśmiechała się do nas nieruchomym, wyzywającym uśmiechem. A jej tajemniczo błyszczące zielonkawe oczy, osadzone w pociągłej twarzy, wpatrywały się gdzieś w dal. Jestem przekonany, iż nawet nie wiedziała, że trzyma w ręku szklanekę.

Trudno to wszystko wytłumaczyć. Jestem pewien, że Harry usunął się rozmyślnie. A kiedy wrócił, zaledwie drobne poszlaki wskazywały na to, że jego nastawienie nie jest tak znowu bez reszty entuzjastyczne. Powiedzmy może tak: jego entuzjazm dla ruchu studenckiego, choć równie żarliwie głoszony, był jakby odrobinę mniej żarliwy od entuzjazmu Louisy. Oczywiście i tak daleko się posunął w porównaniu z tym, co mówił w ostatnich dniach. Miałem dziwne, acz nieodparte przeczucie, że wchodziło tu w grę coś, co nie miało wiele wspólnego z Hillem. Ani nawet z ruchem studenckim. Nie miało też wiele wspólnego z „obłudnym” społeczeństwem, które zarówno oni, jak i chyba ja w takiej mieliśmy pogardzie i z którym walczyliśmy. A Louisa wręcz się jakby wprowadziła swą perorą w stan cichej kobiecej hysterii.

Jestem przekonany, że kiedy ludzie wariują, objawia się to przecenianiem symboli. W tym sensie, że kiedy każdy czyn, gest, każde słowo symbolizuje więcej, niż tkwi to w jego naturze, wówczas niechybnie mamy do czynienia z szaleństwem, ze zdeklarowanym świrostwem.

– Gdyby wtargnęli do mojego mieszkania – mówiła Louisa z uśmiechem – poruszyłabym niebo i ziemię. Nie zostałby kamień na kamieniu, aż znalazłabym się razem z nimi, na ulicach, na strychach, w brudnej bieliźnie.

Brzydziło mnie to. Zdenerwowałem się. Nie tylko zresztą tym. Nagle próbowano mnie obsadzić w roli łotra. Bez najmniejszego ostrzeżenia. Oboje czynili mnie odpowiedzialnym za Hilla i za ruch studencki. Mnie, który ponad rok temu umieściłem w moim piśmie artykuły o Berkeley i o niepokojach studenckich w Ameryce. Oboje wypominali mi, jak mało robię i jakim to jestem bezmyślnym egoistą, i co ja w ogóle robię – czemu nic nie robię?

Wreszcie, kiedy mogłem kulturalnie dopić przyniesioną przez Harry’ego szklanekę nie sprawiając wrażenia, że wychyłam ją w pośpiechu, wziętem kapelusz i wycofałem się spokojnie, ale z lekkim poczuciem winy. Tak jakbym przez sam fakt przyjścia do nich w sprawie Hilla, przez to, że widywałem się z nim i przynosiłem od niego wieści, wreszcie że w ogóle pozwoliłem mu odwiedzić mnie dwa razy w moim mieszkaniu – jakbym przez to wszystko stał się odpowiedzialny za wszelkie zło, jakie może się przydarzyć bądź jemu, bądź całemu ruchowi studenckiemu, bądź wreszcie samej rodzinie Gallagherów.

Louisa odprowadziła mnie do drzwi. Ale zarówno jej głos, jak i szkliste oczy były nieobecne.

Na zewnątrz, na nabrzeżu, panowała ciemność. Poprawiłem kapelusz, mocniej ścisnąłem parasol i próbowałem pozbyć się fatalnego nastroju. W Dzielnicy Łacińskiej wyły syreny, a granaty z gazem łzawiącym tłumiły śpiew. W powietrzu między budynkami pojawiał się jasny błysk, po czym powietrze rozrywała potężna detonacja. To granaty perkusyjne, jakimi zaczęła się posługiwać policja.

A na skraju Pont de la Tournelle przycupnęły dwie ciemne ciężarówki specjalnych oddziałów policji, czyhające w mroku nocy niczym dwa wstrętne żuki.

Rozdział szósty

Pamiętam, że nazajutrz, w czwartek, w czwartek dziewiątego maja, po raz pierwszy wybrałem się popatrzeć samemu na rozruchy.

Wiem, co mnie skłoniło do wyjścia akurat tamtego dnia. Ale nie wiem, czy uda mi się to wytłumaczyć. Jak powiedziałem, na tamtym etapie cała sprawa trochę mnie nużyła. Miałem inne zajęcia. I nie miałem najmniejszej ochoty znaleźć się w pułapce jako niewinny przechodzień przyciśnięty do ściany jakiegoś domu i pobity przez kilka typów z policji antyrozruchowej CRS. Jako spragniony awanturniczych przygód młokos myślałbym zapewne inaczej. Ale młodzieńcza naiwność została daleko w tyle. Nie, nie był to już naiwny dzisiejszy cynik Jack Hartley: rozwodnik, spokojny redaktor, pisarz, bez większego powodzenia próbujący różnych gatunków, czterdziestosiedmiolatek z reumatyzmem w obu kolanach. Wolałem przyjąć postawę obojętną.

Ale tamtego czwartku coś się stało, było w powietrzu coś, co sprawiło, że musiałem skończyć z obojętnością.

Muszę spróbować ująć to jeszcze dokładniej. Wstałem jak zwykle około jedenastej, wypilem kawę i sok pomarańczowy, które moja Portugalka podała mi jak zwykle do łóżka wraz z pocztą. Potem odbyłem codzienną poranną toaletę. Dla mnie poranna toaleta jest jednym z najmilszych elementów dnia. Prysznic, potem powolne, nienerwowe golenie jedną z ręcznych maszynek, jakie dał mi dziadek, następnie wybór spośród wód kolońskich firmy Caswell-Massey, rozrzutność z mej strony, przyznaję, ponieważ nie można ich kupić we Francji i trzeba sprowadzać z Nowego Jorku, wreszcie pielęgnacja starzejących się zębów za pomocą water-pic, po uprzednim starannym ich wyszorowaniu. Jak mawiał mój dziadek: kto nie dba o zęby, ten nie ma czym jeść, ja kocham jeść, podobnie jak on. Ranek to ta pora dnia, kiedy naprawdę opłaca się być kawalerem. Żadna kobieta nie płacze się pod nogami rozsypując puder i zostawiając nie dokręcone kurki. Żadna też nie łomocze do drzwi mówiąc, że ona musi do ubikacji albo do lustra, albo umyć zęby – właśnie w chwili, kiedy przykładasz ostrze do skóry, by wykonać pierwsze delikatne pociągnięcie. Nie wynaleziono jeszcze przyrządu, który by zapewniał dokładniejsze, czystsze, przyjemniejsze i bardziej eleganckie golenie od starej maszynki z żyłką – pod warunkiem, że się o nią dba. Potem, czując się świetnie, ubieram się, zasiadam do pracy przy biurku i redaguję artykuł o rewolcie studenckiej, jaki właśnie nadszedł od zaprzyjaźnionego profesora z Berkeley.

Wydaje mi się teraz, że musiałem odczuć unoszące się w powietrzu podniecenie podczas porannej toalety, tyle że nie od razu zdałem sobie z tego sprawę, tak bardzo byłem z siebie zadowolony.

Kiedy jednak zasiadłem do pracy nad artykułem, natychmiast uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu jestem podekscytowany. Stwierdziłem też, że nie mogę się na niczym skupić, a z pewnością nie na redagowaniu profesorskiego artykułu o rewolcie studenckiej.

Był kolejny słoneczny dzień. Nad rzeką wiała bryza. Dużo ludzi wyszło na dwór, po obu brzegach rzeki, by spacerując rozkoszować się upojną pogodą. Nie było w tym wszystkim nic niezwykłego. Coś innego natomiast było niezwykle. Zwykle kiedy pracuję, dobrze zamykam okna wychodzące na rzekę, tak było i teraz, ale pozamykane okna nie powstrzymywały elektryzujących wibracji, jakie unosiły się w powietrzu.

Najbardziej przypominało mi to dzień walki byków w Hiszpanii; pomyślałem od razu o festiwalu świętego Fermina w Pampelonie – kiedy rano wstaje się późno, po nocy spędzonej na picciu i w oczekiwaniu na bieg byków. To samo: niby nic się nie dzieje, a ludzie do czegoś się szykują. Nad miastem unosi się nieokreślony szum, którego źródła nie da się wskazać, za chwilę ludzie poczną wychodzić z hoteli i domów, powędrują do barów i kawiarni, żeby pogadać i żeby się napić, wkrótce potem przyjdzie pora na długi, niespieszny lunch, obficie zakrapiany sangrią, a napięcie będzie stale rosło, aż w końcu cała masa ruszy w stronę ringu w gęstniejącym szumie: coś się dzisiaj wydarzy – będzie niebezpiecznie – może nawet ktoś odniesie rany – o ludzie – a my w tym bierzemy udział – jesteśmy podekscytowaną widownią.

To było to. Właśnie to: widownia. W Paryżu była widownia. I ta widownia przygotowywała się do widowiska. Niski, ciągły pomruk, niczym szmer wielkiego tłumu, niczym szept oceanu, sączył się jakby poprzez mury i szkło. Był jednostajny, nie wznosił się ani nie opadał, jeśli chodzi o natężenie i wysokość tonu, unosiła się atmosfera wielkiego święta.

Próbowałem dalej pracować. Bez powodzenia. W końcu podszedłem do okna i wyjrzałem. Na pozór wszystko było jak zwykle. Cichy słoneczny dzień. Grupki ludzi, którzy spacerują i rozkoszują się słońcem.

Potem otwarłem okno. Jakbym otworzył tamę. Opłynął mnie strumień pogodnego, szczęśliwego, roztrajkotanego podniecenia, niczym prąd elektryczny:

zawirował, wdarł się do mieszkania i zalewał ściany złotą powodzią. Delikatne powietrze owiało mi twarz, a słońce dotknęło jej, jakby wessane do środka burzliwym podmuchem. Wyrzałem.

Na dole ludzie przechadzali się parami i trójkami. Na szerokiej, wybrukowanej przystani pod drzewami, które rosną pod moim domem – będącej też przystanią dla co leniwszych przechodniów – grupa przynajmniej dziesięcioosobowa wpatrywała się z natężeniem w Lewy Brzeg po drugiej stronie rzeki. Dzieci i ludzie starsi lizali *esquimaux* albo chrupali grube wafle *crepes sures*. Miałem wrażenie, że naprawdę jestem w Pampelonie i że szykuję się do wyjścia z hotelu na pierwszą szklaneczkę i pierwsze pogawędkę o walce byków.

Przez otwarte okno posłyszałem słabe, pojedyncze okrzyki, cichy piskliwy rozkaz, głuchy

odgłos granatu z gazem łzawiącym i potężny, choć przytłumiony z powodu odległości trzask granatu perkusyjnego. Gliniarze i studenci – to oni przygotowują widowisko! Widowisko! Chodźmy! Chodźmy! Już południe. Zaczyna się festiwal.

Jakże ktoś mógłby w tej chwili pracować? Postawiłem nogę na parapecie.

Pośród przechodniów było więcej niż zazwyczaj studentów. Większość miała na sobie rozpoznawalny już uniform z trampkami i barwną chustą. Co chwila wybuchali śmiechem. Szczęśliwi, maszerowali dwójkami i trójkami, niektórzy trzymali się pod rękę.

Nadchodzili z Lewego Brzegu, przez Pont de la Tournelle i rue Cardinal Lemoine, mijając obojętnie dwie ciężarówky pełne policjantów CRS, którzy ich z rozmysłem ignorowali. Szli potem wzdłuż rzeki w stronę Notre-Dame, zapewne po to, by ją ponownie przekroczyć mostkiem dla pieszych i Pont de l'Archeveche, który wychodzi na rue des Bernardins, którejdy można dojść do Place Maubert, gdzie w tej chwili najwidoczniej toczyły się walki. Było ich mnóstwo, a nowi ciągle napływali.

A więc ich cholerna rewolucja dotarła w końcu do wyspy na Sekwanie i, u licha, wzięła ją szturmem, pomyślałem ponuro, po czym stwierdziłem, że się uśmiecham: bezwiednie się uśmiecham.

Ale aurę elektryzującej radości i święta roztaczali nie tylko studenci. Emanowała też z twarzy starszych ludzi – pulchnych małych Francuzów z siwymi wąsami, w ciemnych czapkach i workowatych ubraniach; starszych kobiet w sukniach zaprojektowanych tak, żeby nie tyle ukrywały, ile po prostu okrywały ich słuszną francuską tuszę; młodszych kobiet w kostiumach skrojonych na modłę nowojorską, w krawatach i krótkich spodenkach. Wszyscy razem w tym uczestniczyli, bez względu na to, co to było; a czymkolwiek było, było zabawne.

Za moimi plecami pojawiła się moja Portugalka i zagadnęła mnie. Coś takiego było dotąd niemal nie do pomyślenia. Powiedziała mi, że przed chwilą w kuchni usłyszała z radia tranzystorowego o wielkiej rozróbce, o prawdziwych walkach, jakie toczą się w okolicy Place Maubert.

Zrezygnowałem z poprawiania artykułu i stanąłem w oknie, żeby obserwować. Z miejsca, w którym stałem, mogłem prawie dojrzeć Maubert, ale jednak niezupełnie. Wysokie domy nad Lewym Brzegiem zasłaniały mi widok. Widziałem jednak dobrze kłęby dymu i gazu łzawiącego nad placem. Maubert to *marche*, targ uliczny koło Boulevard St.-Germain, mniej więcej na poziomie Notre-Dame, tam, gdzie St.-Germain krzyżuje się z rue Monge, którą można uważać za wschodnią granicę Dzielnicy Łacińskiej. Po demontażu kramów szerokie skrzyżowanie świetnie się nadawało do budowy barykady.

Słońce przyjemnie ogrzewało mi twarz i ramiona. Ujrzałem, wyłowiłem z tłumu, wysoką tysią kopułę Harry'ego Gallaghery, połyskującą w słońcu, kiedy przemierzał Pont de la Tournelle. Harry w tweedowej marynarce wyglądał jak profesor otoczony tłumem studentów. Gdy znalazł

się pod moim domem, wychyliłem się i zawołałem do niego.

– Zaczekaj, zaraz schodzę.

Stanęliśmy przy sięgającym nam do pasa kamiennym ogrodzeniu. Studenci mijali nas z pogodnym uśmiechem, który chętnie odwzajemniałem.

– Musisz przyznać, że to wszystko jest fantastyczne – powiedziałem.

– O tak, fantastyczne.

Harry wybrał się był na lunch do Brasserie Lipp na St.-Germain i wracał do domu przez dzielnicę studencką.

– Nie mogłem pracować – stwierdziłem. – Musiałem oderwać się od roboty. Za dużo naokoło podniecenia.

Harry obdarzył mnie profesorskim uśmiechem, ale zarazem sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Opowiadał o grupach studentów włączających się po całej dzielnicy, o stałej obecności plutonów i kompanii policji anty rozruchowej, nie tylko CRS, teraz także *gendarmes mobiles*, prawdziwych jednostek wojskowych, uzbrojonych w karabiny ze ślepymi nabojami i podlegających dowództwu wojskowemu, choć prefekt miał prawo żądać ich użycia. Barykady stały w różnych miejscach Dzielnicy Łacińskiej, jedne bronione, inne porzucone, jeszcze inne zdobyte przez policjantów, a następnie rozebrane przez służby miejskie, które ciężarówkami wożono w ślad za policją.

– Ale przecież trwa to już od wielu dni – odparłem.

– Czym zatem wyróżnia się dzisiejszy dzień?

– Czymś się wyróżnia. Sam nie wiem. Nieważne, co to jest, ale się wzmaga.

– Przecież już wcześniej walczone na Place Maubert.

I jakoś nigdy nie przeszkadzało mi to pracować. Co się zmieniło?

– Coś się zmieniło – stwierdził Harry.

Studenci najwyraźniej próbują nowej taktyki, kontynuował Harry, polegającej na wznoszeniu barykady w jakimś umówionym miejscu, co oczywiście przyciąga wozy policyjne, aby po krótkiej walce wycofać się i rozproszyć, krótkofalówką albo posłańcami na motorowerach powiadamiając następną grupę, żeby zaczęła robić dokładnie to samo w innym miejscu. W ten sposób dostarczają zajęcia co najmniej tuzinowi jednostek policji. Sprawiają wrażenie dobrze zorganizowanych. Ponadto liczne oddziały policji blokują wszystkie mosty na Lewym Brzegu, od Pont Alexandre III koło Inwalidów do Pont-au-Double u stóp Notre-Dame.

– Jeśli policja nie będzie uważała – powiedział Harry – wkrótce zostaną bez rezerw.

Place Maubert był dzisiaj miejscem nieustannych walk, ciągnął Harry. Wznoszono barykadę za barykadą, jedne tracono, inne niekiedy odzyskiwano.

Spojrzeliliśmy na drugi brzeg rzeki. Wciąż jeszcze dobiegały stamtąd pojedyncze okrzyki i śpiewy, a także stłumione odgłosy granatów. Gaz łzawiący uformował dużą białą chmurę, która

unosila się ponad dachami domów. Natychmiast postanowiłem tam pójść i przyrzeć się wszystkiemu z bliska.

– I tak przecież nie mogę pracować – powiedziałem.

– To wspaniały widok, kiedy wznoszą barykadę. Na początek idzie w ruch jakiś łom, parę łopat, a robota już im się w rękach pali. Tworzą ludzki łańcuch do podawania brukowców. Jest w tym coś z prawdziwego rytuału.

– Cóż, nie da się ukryć, że mieli parę stuleci na to, żeby nabrać praktyki, która przeszła w rytuał – stwierdziłem i zakasłałem. – Nie mogę się pozbyć wrażenia, że jestem na festiwalu świętego Fermina w Pampelonie.

Harry uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, coś w tym jest. Każdy baluje, wszyscy naraz. Całe miasto.

– Przejdę się i popatrzę, jak to wygląda z bliska. Pójdiesz ze mną?

– Nie. Ja już tam byłem. Wracam do domu. Nie będziesz w tej chwili więcej pracował? Chodź, odprowadzisz mnie do domu.

Właśnie w tamtej chwili, nagle, po drugiej stronie rzeki tłum rozpedzonych ciał, studentów, wyprysnął z wąskiej rue Cardinal Lemoine. Wpadł na nabrzeże Lewego Brzegu, zmierzając w stronę Pont de l'Archeveche na wysokości Notre-Dame. Za studentami nie pojawiła się policja.

– Napijemy się piwa w Brasserie – powiedział Harry, kiedy falanga się przewaliła.

Włączyliśmy się w nurt przechodniów, szedłem u boku Harry'ego. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że chce ze mną o czymś porozmawiać.

– Co mi chciałeś powiedzieć, Harry? Przez chwilę nie odpowiadał.

– Nic specjalnego – wykrztusił w końcu. Szliśmy dalej.

– Ciągłe chodzi mi po głowie myśl, że to, co oni robią, nie jest słuszne – powiedział zmienionym głosem. Z całą pewnością nie o tym chciał ze mną rozmawiać. – Mówię o tych dzieciakach. Pozwalają sobie trzepać skórę za nic. A poza tym obawiam się, że nie robią nic dobrego. To wszystko jest zbyt... frywolne.

– Wygląda na to, że wszyscy się świetnie bawią.

– Cholera, kiedy myśmy w młodości demonstrowali, w latach trzydziestych, mieliśmy zupełnie inne podejście, nie zachowywaliśmy się w ten sposób. Myśmy tego nie robili.

– A co robiliście?

– No cóż, myśmy... – Urwał, jakby szukając właściwego słowa. Ale nie podjął wątku. Szliśmy dalej w milczeniu.

– Chyba po prostu nie lubię, jak się mnie odstawia na boczny tor – powiedział w końcu Harry ze smętnym uśmiechem. – Nie lubię, jak mi się nalepia etykietkę starego piernika i odkłada na półkę. Nie lubię, jak mi się zarzuca, że jestem zatwardziałym przedstawicielem establishmentu, burżujem, który nic nie rozumie i nigdy nie rozumiał, co to znaczy bunt.

Przerwał, po czym ciągnął dalej.

– Ale nie koniec na tym. Nie lubię, jak mi się wmawia, że moje pokolenie ponosi wyłączną odpowiedzialność za wszystko, co źle funkcjonuje na tym pieprzonym świecie. Do diabła, czy oni niczego się nie nauczyli z historii? Nie słyszeli o wojnie, jaką toczyliśmy z Hitlerem i Tojo? Czy nie słyszeli o Depresji i o Nowym Ładzie? O Komitecie do spraw Działalności Antyamerykańskiej w latach pięćdziesiątych? Wydaje im się, że kim, do cholery, są?

Nie próbowałem na to odpowiedzieć. I tak były to pytania retoryczne.

– Oni nas nie potrzebują – powiedział Harry. – Nie chcą nawet skorzystać z naszej wiedzy i doświadczenia.

Minęło nas kolejne trio roześmianych studentów – uśmiechali się do nas szczęśliwie.

– Nie chcą mieć nic wspólnego z nami ani z naszą przeszłością, a to mi się nie podoba. Poza tym uważam, że to po prostu niezdrowe.

Myślałem i czułem w dużej mierze podobnie, od czasu wizyty Hilla i jego Anne-Marie.

– Może nie podoba ci się, że nie jesteś już młody, Harry?

– Może. Sam też o tym pomyślałem. Ale nigdy siebie nie rozpatrywałem w tych kategoriach. Nie zastanawiałem się, czy jestem młody, czy nie.

– Ale teraz oni postrzegają cię w tych kategoriach. W ich oczach jesteśmy, zdaje się, mocno „starzy”, Harry.

– Ja osobiście mogę być stary. Nawet mi się to podoba. Niech ktoś inny dalej niesie pochodnię. Ale nie zgadzam się być „starym” tylko dlatego, że zdaniem tych dzieciaków myślę „po staremu”. Do cholery, jeszcze potrafię stanąć na wysokości zadania trzy albo cztery razy na dobę. Przynajmniej po Hillu spodziewałem się większego zrozumienia.

– Niby czemu? Po nim akurat najmniej należało się tego spodziewać. Hill to młody byczek, który wierzga i prycha, żeby wziąć na rogi i powalić starego byka.

– I objąć przewodnictwo nad stadem. Jasne. Freud pierwsza klasa. Młody byczek chce się pieprzyć z krową, którą ja pieprzę, choćby to była jego matka. Freud pierwsza klasa. Bój się Boga, Jack!

– No dobrze. Wiem, że teza jest na tyle ogólna, że trudno pod nią podłożyć jakiś konkretny sens. A jednak uważam, że ty sam też pewnie tak się zachowywałeś, jak byłeś młody.

– Taaak.

Powiedział to na półoddechu, wedle starej hollywoodzkiej recepty, którą stosowała w jego filmach Julie Garfield.

– Do diabła z twoją psychoanalizą. Też mi pomoc. A poza tym wolałbym, żebyś nie mówił do mnie „jak byłeś młody”, zlituj się, na Boga.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało – dorzucił.

– Na pewno. Jeszcze nikogo nie zabito.

– O ile mi wiadomo – uzupełnił Harry. – Taaak – powtórzył.

Doszliśmy do Brasserie. Tak ją wszyscy nazywaliśmy. Pełna nazwa brzmiała: Knajpka pod Czerwonym Mostem z Wyspy Świętego Ludwika – Brasserie du Pont Rouge de ITle St.-Louis. Nie było w pobliżu żadnego mostu, ale kiedyś z pewnością istniał, dawno, dawno temu. To był nasz lokalny pub na wyspie. Gnieździł się na parterze budynku stojącego u wylotu na zaśnieżony most dla pieszych systemu Bailey, zwany Pont St.-Louis, który ustawiono prowizorycznie w roku 1940, kiedy to barka *peniche* rozbiła się i rozchwierutała jego kamiennego poprzednika, na malutkim *Place*, gdzie paru piwoszy – nocnych Marków – parkowało długo w noc swoje *deux chevaux*, a w pubie tym podawano najlepsze w Paryżu piwo w kamionkowych kuflach. Zwykle w czwartki pub zamykano, ale dziś był otwarty i pełen ludzi, podobnie jak cały most. Grupa stałych bywalców stała na zewnątrz, pod witrażowymi oknami, trzymając w dłoniach wielkie szare kamionkowe kufle i wpatrując się w Lewy Brzeg. Harry przystanął.

– Wybacz, ale chyba wymówię się od tego piwa, Jack, i pójde prosto do domu.

Wbił ręce w kieszenie drelichowych spodni koloru khaki. Zabrzęczał kluczami.

– Nie, zaraz. Jeszcze to, co ci chciałem powiedzieć przedtem, na początku drogi.

Przez chwilę nie wiedziałem, do czego pije. Potem sobie przypomniałem.

Spojrzał na mnie zagadkowo.

– Chciałem tylko powiedzieć, że mam nadzieję, iż nie jesteś na nas wściekły, czy choćby zły, za to, jak na ciebie wczoraj napadliśmy. Nieźle cię wymaglowaliśmy.

– Hmm.

Nie chciałem się uskarżać, ale też nie widziałem powodu, żeby udawać, że nic się nie stało.

– Na pewno nie było w tym nic osobistego – powiedział Harry. – Nie atakowaliśmy ciebie. Kurczę, w końcu jesteś naszym najlepszym przyjacielem. Myślę, że Louisa ceni cię jeszcze bardziej niż ja. A wiesz, co ja do ciebie czuję.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć.

– Naprawdę nie chodziło o ciebie. Jesteśmy w dziwnej sytuacji, póki Hill tam się znajduje. Nie my jedni zresztą, inni rodzice też.

Tu opuścił głowę i popatrzył na czubki butów.

– Polityka i studenteria to dwie rzeczy, które naprawdę poruszają Louise. Połącz je, a...

– W jakiś dziwny sposób czułem się winny. A nie uważam, żebym się musiał poczuwać do jakiegokolwiek winy.

– Kurwa, pewnie, że nie! Ale wiesz, jaka jest Louisa, jeśli chodzi o politykę. Ona tak strasznie chce pomóc. My naprawdę wspieramy te dzieciaki, Jack. Naprawdę jesteśmy za nimi, przez cały czas.

– Pomyślałem sobie, że może coś jeszcze się za *tym* kryje – dodałem. – To *znaczy*, tak to

odczułem.

– No więc nic nie było – powiedział Harry patrząc mi prosto w oczy. Miałem wrażenie, że patrzy mi zbyt prosto w oczy albo że robi to aż za starannie.

– Cóż, cieszę się – stwierdziłem po prostu. W końcu nie mój interes.

– Louisa nie chciała... Nie chodziło nam o ciebie. Louisa często popada w takie nastroje. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi polityka. Louisa nigdy nie umiała zrobić wszystkiego, co planowała. Jeśli o to chodzi, trudno być rodzicem. Myślę, że wielu rodziców uważa podobnie. To bardzo męczące. Wiem, że Hill jest młodszy ode mnie.

To ostatnie zdanie wydało mi się dziwne.

– I nie chciałbym, żeby było inaczej. To znaczy, wydaje się rzeczą racjonalną, że każdy ojciec musi być starszy od swojego syna. Ale mnie się czasem wydaje, że Hill wcale tak nie uważa. A czasem myślę, że i Louisa też nie.

– Mam wrażenie, że Hill jednak to rozumie – powiedziałem niezobowiązująco. – Nie wiem jak Louisa.

– Wiesz, właśnie chciałem to wyjaśnić. Louisa... myśmy wcale wczoraj na ciebie nie chcieli napaść.

– Przestań, Harry. Ja się tym wcale nie zajmuję. Powtórz to Louisie.

– Uważaj tam na placu – powiedział na odchodnym.

– Wiesz, nie umiesz już biegać tak szybko jak dawniej. Nie wplącz się między dwa fronty. Zwłaszcza kiedy zaczyna się szarża. Przekonałem się, że jeśli chcesz zmienić stronę, żeby lepiej obserwować, najdogodniej okrążyć teren od tyłu uliczką, która nie jest przedmiotem sporu.

Pomachał mi jakoś tak nieporadnie, że zrobiło mi się go żal, trochę się rozczuliłem.

Wciąż miałem wrażenie, że próbował mi powiedzieć o Louisie coś, czego nie umiał wyrazić. Albo ja nie umiałem tego uchwycić.

Prawdę mówiąc, już przedtem widywałem ją w takim dziwnym nastroju, niejeden raz. Ale jej ataki nigdy nie były wymierzone we mnie. Kiedy popadała w taki nastrój, człowiek obawiał się, że nie zgadzając się z nią w najdrobniejszej nawet sprawie, zniszczyłoby się kompletnie jej psychikę, skruszyło ją całą jak garść chrupek. Zdawała się spodziewać takiego „ataku”, a zarazem – gdzieżbyś śmiał? Miało się wrażenie, że będzie nad tym rozmyślać miesiącami. A jednak nigdy nie uważałem jej za głupią czy jakoś szczególnie znerwicowaną. Byłem wręcz pewien, że nie jest głupia.

Do dziś nie opuściło mnie domniemanie, że było w tym coś więcej, coś przyczajonego, co nie miało nic wspólnego z tym, o czym mówiliśmy.

Wszedłem do Brasserie.

W środku było chłodno i mroczno. Na kaflowej podłodze wokół baru leżała warstewka kurzu. Zamówiłem piwo. Podano mi je w moim indywidualnym kamionkowym kuflu z cynową

przykrywką. Każdy stały bywalec miał swój kufel; trzymano je osobno, na specjalnej półce.

Długa sala jadalna z tyłu, za barem, miała drewnianą podłogę, nie zakurzoną, i była pełna ludzi, którzy jedli lunch. Przychodziłem tu od lat i znałem wszystkich kelnerów po imieniu. Ale teraz coś mnie nagle powstrzymywało przed zapytaniem ich o rozruchy.

I tak zresztą zwijali się jak w ukropie. Wokół baru też panował ścisk. Kelnerzy nosili tu białe koszule i czarne krawaty, zimą zaś chodzili okutani w zakrywające plecy, a wiązane z przodu długie fartuchy z niebieskiego drelichu, na które wkładali wełniane kamizelki. Brasserie należała do państwa Dupontów, którzy prowadzili ją sami, wspomagani jedynie przez komplet szwagrów, braci *madame* Dupont, i malutką, stareńką babcię ze starym białym psem. Dziś interesu pilnowała *madame* Dupont siedząc na stołku przy kasie umieszczonej pod ścianą, między barem a salą jadalną. Kelnerzy wychodzący z jadalni musieli minąć kasę, po czym wykrzykując zamówienia przebiegali za kontuarem baru do kuchni, która mieściła się po drugiej stronie. Czasem przy kasie siedziała babcia, czasem *monsieur* Dupont, niekiedy jeden ze szwagrów. Obok kasy stał stolik, służący zwykle za stół rodzinny. Kelnerzy mieli stół po drugiej stronie, obok kuchni.

Dupontowie kupili ten lokal w pierwszym roku mojego pobytu na wyspie i interes rozkwitł na tyle, że *madame* Dupont paradowała w lamparcim futrze i z taką torebką, a do tego nosiła suknie, które albo były świetnymi kopiami, albo oryginalnymi chanelami. Dupontowie mieli czternastoletnią teraz córkę, którą poznałem jako ledwie odrosłą od ziemi dziewczynkę.

Siedziała akurat przy rodzinnym stole i podeszła do mnie, żeby się przywitać. Jej młodziutkie piersi przesłaniała pod swetrem tylko haleczka. Nogi miała bardzo ładne. Aż mi się wierzyć nie chciało, że niemal na moich oczach z małego dziecka wyrosła na taką pannicę.

– No i co o tym wszystkim myślisz? – spytałem po francusku.

– To jest dopiero coś, prawda? – odparła z uśmiechem.

Zawsze uśmiechała się do mnie nieśmiało i zawsze piekła przy tym raka. Byłem dla tych ludzi „ich prawdziwym Amerykaninem”, bardziej jeszcze niż Harry, i może stąd się to brało. Miała po ojcu, twardym *hombre*, mały impertynencki bretoński nosek i była słodka, kiedy się rumieniła.

– Jesteś po stronie studentów? – spytałem. Znowu się zaczerwieniła i jeszcze szerzej uśmiechnęła.

Była drobna i ciemna, cerę miała oliwkową, a włosy krucze.

– *M'sieu*, policja weszła na teren uniwersytetu. Czegoś takiego nie było od bardzo dawna. Istnieje w tym zakresie długa i piękna tradycja, którą policja jawnie pogwałciła. Poza tym reformy, których chcą studenci, są dobre, niezbędne we współczesnym świecie.

– Nie poszłaś dziś do szkoły?

– Zamknęli naszą szkołę – wyjaśniła nieśmiało. – Nasi uczniowie też strajkują. Wielu brało udział w marszach protestacyjnych.

Chodziła do *lycee*, odpowiednika amerykańskiej szkoły średniej.

– Licealiści też strajkują?

– *Oui, m'sieu*. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście. W wielu szkołach. W naszej też.

Musiałem się do niej uśmiechnąć, bo wydawało mi się, że z góry znam odpowiedź na to pytanie:

– Ale ty nie bierzesz udziału w marszach? Znów się zarumieniła.

– *Mamon* nie chce mi pozwolić. Ona nie rozumie. Wciąż z uśmiechem na ustach, rzuciła na matkę kochające spojrzenie.

Od kasy *madame Dupont*, która przysłuchiwała się nam uważnie, z tym swoim długim orlim nosem, wskazującym na pochodzenie z Płaskowyżu Centralnego, uśmiechnęła się do mnie, nachyliła w bok i przyłożyła dłoń do ucha.

– Ci młodzi... Niech pan sobie wyobrazi, jestem po stronie studentów, uważam, że to oni mają rację. Ale są tacy młodzi. I taka młodziutka dziewczyna miałaby maszerować przeciwko policji... W tym nie ma krzty sensu.

To po niej Marcelinie odziedziczyła oliwkową cerę. Matka wciąż była przystojna, miała dobrą figurę, może tylko zanadto przybrała w biodrach przez te dziesięć lat prosperity.

– Ja chciałam iść – powiedziała po prostu Marcelline, piekąc raka.

– Może powinna jej pani pozwolić – wtrąciłem się.

– Widzisz, mamo! – zawołała Marcelline klaszcząc. Z głębi sali najstarszy szwagier, Marcel, uśmiechnął się do nich z rozrzewnieniem.

– *M'sieu Jack!* – zareagowała *madame Dupont*. – Pan chyba nie mówi tego poważnie!

– Miałem na myśli tylko ewentualne rachunki za dentystę – stwierdziłem.

Madame Dupont pokiwała głową, z mądrą miną doświadczonej kobiety i matki.

– I o innych ewentualnych rachunkach... – dodała uśmiechając się do mnie.

Była ciągle bardzo atrakcyjną kobietą, jakieś pięć, sześć lat młodszą ode mnie. Mniej więcej w wieku mojej eks-żony. Spojrzałem na Marcelline, czternastoletnią Marcelline.

Obie, matka i córka, wymieniły spojrzenia pełne nie skrywanej miłości.

– W każdym razie, *m'sieu* – powiedziała Marcelline oblewając się rumieńcem – dziękuję panu za pomoc! Nigdy tego panu nie zapomnę!

Uścisnęliśmy sobie ręce z pełną powagą.

W sumie był to żart, rodzinny żart, ze szwagrem Marcelem, który brał w tym udział, i ze mną, który też uczestniczyłem na uboczu. Miło było popatrzeć na okazywaną bez skrupowania szczerą miłość w rodzinie, której nie nękają żadne – jawne czy skrywane – resentymenty.

– Jeszcze jej starczy czasu, żeby maszerować naprzeciw dorosłym policjantom, jeśli

koniecznie musi – powiedziała z uśmiechem *madame Dupont*, kiedy dopijałem piwo i płaciłem jej przy kasie. – Nie jest jeszcze nawet na uniwersytecie.

– Ale będę!

– Mnóstwo czasu, mnóstwo czasu – powtórzyła *madame Dupont*. – Niech pan na siebie uważa – zwróciła się do mnie, kiedy szwagier Marcel żegnał się ze mną ceremonialnie, dziękując za wizytę.

Skinieniem głowy obiecałem być ostrożny i puściłem do nich oko.

Harry też mi radził, żebym uważał. Cóż, leżało to i w moich zamiarach. Most dla pieszych był równie zatłoczony ludźmi nadchodzącymi z Lewego Brzegu, co tymi, którzy się na Lewy Brzeg wybierali.

Podobnie natężony ruch w obu kierunkach trwał na Cite na tyłach Notre-Dame i na Pont de FArcheveche. Nabrzeże Lewego Brzegu było zatłoczone, a spory tłum przechadzał się w cieniu liściastych drzew. Ale stara katedra wyglądała tak samo jak zwykle. Ta stara murowana stodoła, wystawiona krwawym bogom plemiennym, siedziała rozparta na swych odnóżach, rozmyślając nad odwiecznymi ludzkimi rytuałami puszczania krwi. Piękna i bezużyteczna, dominowała nad nami wszystkimi. Z wysoko zawieszonymi przyporami i kolorowymi witrażami, była z pewnością pomnikiem, wszystko jedno czego. Na ulicy dzieci biegały z balonikami.

Nie bałem się. Trudno było się bać pośród radosnego ożywienia. To było coś zupełnie innego od wojny, od pełnej napięcia ekscytacji, jaka ogarnia cię przed wyruszeniem do ataku niczym wzmożona siła ciężenia.

Odczekawszy, aż zmienia się światła, przeciąłem Quai de Montebello. Wszedłem w wąskie gardło rue des Bernardins. Tłum od razu spowolniał, prawie zamarł w miejscu.

Przed sobą widziałem głównie tyły rozlicznych głów. Najczęściej należały one do algierskich Arabów, mieszkańców tej okolicy. Po tyle głowy łatwo odróżnić Algierczyka od Chińczyka. Tasowali się i wyciągali szyje, ale ruch naprzód ustał. Nie byli jednak tak gęsto stłoczeni, by nie dało się między nimi precyzyjnie przycisnąć.

Z przodu, od Place Maubert, dobiegał wielki ryk, cichnący w miarę jak przekazywały go do tyłu stłoczone przede mną głowy. Tłum zafalował w miejscu. Powoli, tędy i owędy, przesuwałem się do przodu.

Teraz było mi już wszystko jedno, chciałem zobaczyć na własne oczy, o co chodzi w tym wszystkim, co Harry od paru dni omawiał z poczuciem wyłącznej własności.

Trzeba znać topografię Lewego Brzegu i pozycję, jaką w jego obrębie zajmuje Place Maubert, żeby zrozumieć znaczenie tego placu podczas trwających tygodniami zamieszek. Sekwana płynie przez Paryż długim łagodnym łukiem ze wschodu na południowy zachód, odcinając jedną trzecią miasta od pozostałych dwóch trzecich. Ta jedna trzecia nosi miano

Lewego Brzegu, a w jej obrębie mniej więcej jedna piąta, odgraniczona, z grubsza biorąc, od zachodu przez Boulevard Raspail, a od wschodu przez rue Monge, nazywa się Dzielnicą Łacińską. Nad obszarem tym dominuje wielki gmach Pantheonu, wzniesiony na wierzchołku jednego ze wzgórz. Pierwotnie był to kościół, później przerobiono go na świecki pomnik ku czci rewolucji francuskiej i Francji. Rytualne puszczanie krwi odgrywało istotną rolę także i w jego dziejach, o czym świadczą napisy na murach i rzeźby. Parę przecznic poniżej Pantheonu, na zachód i bliżej rzeki, stoi Sorbona. A jeszcze dalej znajduje się skrzyżowanie bulwarów St.-Michel i St.-Germain.

Obie te arterie przecinają Dzielnicę Łacińską na kształt krzyża, gdyby umieścić głowę Chrystusa w rzece. To skrzyżowanie, nazwane Carrefour St.-Michel, jest duchowym i emocjonalnym sercem Dzielnicy Łacińskiej. Stąd BouF St.-Germain łagodnym łukiem kieruje się na północny wschód, by dotrzeć do Sekwany przy Pont Sully, a mniej więcej w połowie drogi między tymi punktami znajduje się Place Maubert.

Maubert to plac targowy w kształcie grotu, z którego wychodzi sześć uliczek, z czego dwie zbijają się stromo pod górę, przecinając rue des Ecoles (czyli: ulicę Szkół) i kończą się na ogromnym placu, który otacza potężny korpus Pantheonu.

Plac tkwi zatem w samym środku terenów uniwersyteckich. Studenci mogą tu napływać całymi falangami z domów położonych wokół Sorbony i Pantheonu. W razie potrzeby, gdy przegrywają lub gdy przewaga policji staje się zbyt rażąca, mogą tą samą drogą wycofać się i rozproszyć na wzgórzach. W dodatku Place Maubert był nie tylko największym targiem artykułów spożywczych w okolicy, ale i miejscem wręcz stworzonym do zakłócania ruchu – co studenci starali się uczynić przy każdej okazji – ponieważ sąsiadował z główną arterią, wiodącą z południa Paryża, a mianowicie z rue Monge.

Teren ten nadawał się do walk równie dobrze jak symboliczny Carrefour St.-Michel, a może nawet lepiej, ze względu na większy wybór dróg odwrotu i to, że przypominający grot strzały kształt placu dawał większą swobodę manewru. A już na pewno było to idealne miejsce dla walk dywersyjnych, odciągających policję od Carrefour.

Przecisnąłem się rue des Bernardins na Place Maubert dokładnie w takiej sytuacji, przed jaką przestrzegał mnie Harry. Policjanci szykowali się do szturm na barykadę studentów. Znalazłem się dokładnie pośrodku skrajnie lewego ich skrzydła. Miałem ochotę parsknąć śmiechem, przypomniawszy sobie dobre rady Harry'ego, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, jak bardzo niestosowny byłby – tu i teraz – jakikolwiek śmiech.

Nad placem unosiła się półprzeźroczysta mgiełka: słodkawe gryzące opary gazu łzawiącego w silnym stężeniu. Zaczynały mnie swędzić oczy. Tuż przede mną cztery samochody osobowe i kilka wózków sadowników leżały w poprzek Boulevard St.-Germain, ale studenci opuścili już tę barykadę. Przesunęli linię obrony w lewo, do wylotu rue Monge po przeciwległej stronie placu,

dokąd zepchnęli kilka samochodów, ale nie zdążyli ich przewrócić. Marcowali pod ich osłoną, skakali, skandowali, gwizdali i wymyślali policjantom. Niektórzy ciskali granitowymi kostkami, jakimi wybrukowana jest duża część Paryża – dolatywały w pobliże szeregów policyjnych.

Jakiś policjant wyskoczył i rzucił granatem z gazem łzawiącym, który upadł tuż przed samochodami, eksplodował pyknięciem i leżał wydzielając kłęby dymu.

To był oddział żołnierzy CRS, uzbrojonych w długie białe pałki, osłoniętych tarczami. Można ich było rozpoznać po hełmach ze srebrnym paskiem w charakterze otoku. Ci, którzy stali tuż obok mnie – nie mogli mieć więcej niż dziewiętnaście lat – okutani w mundury, gogle, feelmy i rękawice, patrzyli na mnie niczym spragnieni krwi zagorzali łowcy głów.

Zamarłem. Obok mnie stali inni. Ale oni byli tam już przedtem. A ja byłem nowy. Prawdę mówiąc, poza tym na placu życie toczyło się normalnie, zaledwie o parę centymetrów od pola walki. Ludzie wchodziłi do *tabac*, kupowali papierosy i wracali, żeby popatrzeć. Stałem w absolutnym bezruchu, z rękoma opuszczonymi nieruchomo po bokach. Dwaj chłopcy zamruczeli coś, wręcz warknęli, postukali znacząco w pałki i zezowali na mnie jak konie, z pogardliwą zniewagą w dzikich oczach.

Od razu rozpoznałem gotową do wybuchu nienawiść. Każde zwierzę by ją rozpoznało. Tyle adrenaliny wpompowanej w organizm musi się rozładować, tkwiące w człowieku zwierzę wyczuwa to. Mógłbym może wycofać się, wypełznąć stamtąd. Ale inna część mojej osoby z całym spokojem doszła do wniosku, że nie byłoby to najwłaściwsze posunięcie, i szepnęła mi w głowie: stój w miejscu, po prostu stój. Zresztą jakkolwiek mój ruch mógł ich sprowokować i w mgnieniu oka znalazłbym się na ziemi, wystawiony na ciosy pałek. Więc staliśmy. Wreszcie oficer wydał rozkaz, moi dwaj chłopcy obrócili się na pięcie i razem z innymi pobiegli na drugą stronę placu. Jeden omiółł mnie połą munduru. Chwila grozy dobiegła końca, przestałem być obiektem zainteresowania.

Po drugiej stronie placu gromadka może trzydziestu studentów rozpierzchła się w boczne uliczki i w górę rue Monge. Na następnym skrzyżowaniu przystanęli. Policjanci zatrzymali się, minawszy zaimprovizowaną barykadę z dwóch samochodów.

Oczywiście na obu arteriach wszelki ruch zamarł. Wyciągnąłem papierosa i mimochodem zauważyłem, że ręce mi trochę drżą. Ale nie bałem się ani teraz, ani przedtem.

Studenci narobili na placu niezłego bałaganu. Potłuczone szkło, kupki czarnego popiołu po spalonych pudłach tekturowych i drewnianych skrzynkach, stosy kamieni brukowych, przewracane samochody z powybijanymi szybami i reflektorami zaśmiecały teren. Duże splechacie jasnego piachu wynurzały się tam, skąd setkami, tysiącami powyrywano kostki bruku. Wozy strażackie zwały płonące kartony i skrzynki, a woda rozprowadziła po całym placu tłustą maź czarnego popiołu. Wszystkie budki targowe były pozamykane na głucho. Właśnie w tym celu Francuzi mają w oknach sklepowych żelazne kraty. Dwie karetki pogotowia stały spokojnie

na środku ulicy, migając światłami na dachu. Ekipa Czerwonego Krzyża w szarych mundurach i białych hełmach stała w oczekiwaniu: palili, sprawiali wrażenie znużonych, od czasu do czasu wzruszali ramionami do siebie i na cały ten widok. Było też kilku turystów angielskich i amerykańskich, robili zdjęcia. Kilka plutonów *gendarmes mobiles*, odróżniających się od CRS czarnymi kurtkami i niebieskimi spodniami, stało na placu z nie naładowanymi karabinami (jak w muzeum), czekając rozkazu.

Z jakiegoś nie znanego mi powodu jeden z tych plutonów zastąpił jednostkę CRS, która zdobyła złożoną z dwóch samochodów barykadę.

Miejskie służby porządkowe zabrały się już do dzieła oczyszczania ulic.

Na następnym skrzyżowaniu gwizdali studenci.

Pluton *gendarmes mobiles* szykował się do ofensywy.

Zauważyłem, że im bliżej Maubert, im bliżej pola akcji, tym mniej rozmów i śmiechów w tłumie. Zarazem zauważyłem, że im bliżej prawdziwej akcji, tym mniej tłum staje się nerwowy, a tym samym mniej skłonny do cofania się po pierwszym okrzyku czy zafalowaniu pierwszych szeregów.

Harry miał całkowitą rację, kiedy mówił, że jest w tym coś z dziwnego rytuału. Wyglądało na to, że istnieje jakiś zestaw niepisanych, ale jasno określonych reguł, którego przestrzegają obie strony. Policjanci tak naprawdę nie starali się złapać studentów, a studenci nie próbowali bronić barykad w walce wręcz. Salwy brukowców ze strony studentów osiągały w pewnym momencie kulminację i urywały się, następnie do szarży przygotowywali się policjanci. Był to jakby rytualny tan. Obie strony dzielił zawsze dwudziesto-, czterdziestometrowy pas ziemi niczyjej, studenci w defensywie wycofywali się powoli, a policjanci atakowali, ale na tyle wolno, że obrońcy mieli czas się wycofać. Strategia policji polegała niewątpliwie na zdobywaniu kolejnych przecznic i odpychaniu studentów od Sorbony w celu ich rozproszenia. Taktyka polegała na trzymaniu się na bliski dystans i ciągłym naporze, by nie dać studentom czasu na zerwanie kolejnej partii bruku i wzniesienie solidnych barykad.

Śledziłem rozwój wypadków może przez godzinę. Studenci wycofali się rue Monge do rue des Ecoles, a potem skręcili w tę uliczkę w lewo. Policjanci podążali ich śladem ulica za ulicą, szarżując, ale nie wchodząc w bezpośredni kontakt. Na rue Cardinal Lemoine studenci skręcili w prawo, w górę, zmierzając ku Place de la Contrescarpe, który, podobnie jak Maubert, był kolejnym centrum działań studenckich.

Dwa razy, zgodnie z radą Harry'ego, okrążyłem teren bocznymi uliczkami, żeby znaleźć się po drugiej stronie. Na tych uliczkach poza polem walki życie toczyło się normalnie, ludzie robili zakupy, aczkolwiek nawet tu panowała atmosfera podniecenia. Mnóstwo studentów – znacznie więcej, niż brało udział w walkach – kręciło się po okolicy śledząc z zaangażowaniem bieg wypadków, jeśli nie ciałem, to na pewno duchem wspierając ścierających się z policją

towarzyszy. Turyści robili nieśmiertelne zdjęcia. Wszyscy łzawili obficie, a przy tym byli uśmiechnięci, radośni. Jeśli chodzi o policjantów, jeden *gendarme mobile* pchnął mnie raz w piersi i kazał się cofnąć, kiedy zbyt szybko wychyliłem się zza rogu tuż przy szarzy plutonu. Do pierwszej jednostki *gendarmes mobiles* dołączyły teraz dwie następne; żabim skokiem posuwali się za studentami, oboma chodnikami i środkiem jezdnii.

Widziałem schwytanego studenta. Nie dojrzałem samego zatrzymania, więc nie wiem, jak się odbyło. Ale widziałem dwóch *gendarmes mobiles*, którzy, z karabinami trzymanymi dla równowagi w wyciągniętych rękach, oddawali go przyczajonej w pobliżu trójce CRS. Żołnierze CRS kręcili się po całej okolicy parami i trójkami. Ich zadanie polegało niewątpliwie na zajmowaniu się zatrzymanymi. Ci trzej mieli gumowe *matraques* z metalowym rdzeniem, które, bijąc równie skutecznie i boleśnie jak drewniane pały, wyrządzały mniejsze obrażenia cielesne. Pałkami powalili studenta na ziemię, podczas gdy ten starał się osłonić głowę rękoma, po czym wzięli go pod pachy i powlekli, zamiatając ulicę jego nogami. Student miał szklane oczy i półrozchylone usta, z różnych miejsc głowy spływały mu po długich przetłuszczonych włosach strużki krwi.

Pałowanie najzupełniej niepotrzebne, ponieważ student był już mocno oszołomiony i zakrwawiony w chwili, gdy *gendarmes mobiles* przekazywali go patrolowi CRS.

Tymczasem za moimi plecami inni walczący na ulicy studenci krzyczeli i śmiali się, wrzeszczeli i ciskali kamieniami, przeżywali największą frajdę w swoim życiu, z tym cudownym poczuciem słuszności, jakiego nie odczuwałem od moich studenckich dni i naszych „rajdów”.

Zaraz potem poszedłem sobie. Studenci nadal wycofywali się w górę rue Cardinal Lemoine, zmierzając w stronę Contrescarpe. Podniecenie nie słabło. Było to tak wyczerpujące emocjonalnie, że zarazem wyczerpywało fizycznie. Zszedłem w dół rue Cardinal Lemoine, kupiłem karton papierosów w moim *tabac* na rogu St.-Germain, przemierzyłem Pont de la Tournelle i poszedłem do domu. Po drodze widziałem jednego CRS, który najwidoczniej przed chwilą skończył służbę i teraz szedł na obiad. Zdjął hełm, zastąpił go furażerką. Trzymał hełm blisko ciała, obwiąawszy rękę paskiem, jakby chciał się jak najmniej rzucać w oczy albo jakby sygnalizował delikatnie, że w tej chwili nie pracuje. Nie miał pałki i nie wyglądał na dręczonego poczuciem winy. Wyglądał jak robotnik, który wraca po pracy do domu. Z kartonem w ręku przekroczyłem rzekę, mijając dwie ciężarówki CRS, które wciąż tam stały; poszedłem do domu, żeby zostawić papierosy i wziąć prysznic, po czym udałem się do Gallagherów, spodziewając się zastać tam grupę Amerykanów.

Rozdział siódmy

Nietrudno opisać Samanthę Everton. Trudność polega na tym, że opisawszy ją, wcale się jej nie opisało. Rzecz w tym, iż Samantha naprawdę była taka, na jaką wyglądała, a swoim zachowaniem nigdy nie zadawała kłamu własnym uczuciom i poglądom. Tymczasem mój dziadek nauczył mnie dawno temu, że to się w życiu nie zdarza.

Stałem przy barze z Harrym i paroma mężczyznami, kiedy wprowadził ją Weintraub. Louisa instynktownie zakrzętnęła się koło czarnej dziewczyny niczym kwoka, prowadząc ich powoli przez salę i przedstawiając pannę. Dziewczyna szła obok Louisy pozornie obojętnie, ale była trochę spięta.

Nawet przy barze słychać było tubalny, fałszywie głęboki głos Weintrauba. Dziewczyna stała spokojnie, niemal ulegle, dwa kroki za nim, z lekko ironicznym uśmieszkiem na wąskich wargach.

– To nowa dziewczyna Dave’a – szepnął Harry. – Poderwał ją we wtorek wieczorem u Castela. Zamieszkała z nim w jego *pension*. Zadzwoił do Louisy, żeby się pochwalić.

– Jak to „nowa”? – zdziwił się ktoś. – Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek przedtem miał dziewczynę.

Oto więc ona. Była Murzynką, jak wiele dziewcząt, które pokazywały się u Gallagherów. Miała dziewiętnaście lat. Jej twarz nie wyróżniała się nadzwyczajną urodą. Była szczupła, ale nie miała szczególnie zgrabnej figury.

Była córką Rosalie Everton. Tej wielkiej haitańskiej śpiewaczki. Wszyscyśmy ją znali ze słyszenia, niektórzy nawet słyszeli ją na własne uszy. Ale przecież gwiazdy i znakomitości wcale nam nie imponowały, podobnie jak, ostatnimi laty, znakomite dzieci tychże gwiazd i znakomitości. Ponadto Samantha jeszcze niczym nie zabłysnęła.

Weintraub afiszował się tym, że Samantha, przynajmniej w danym momencie, funkcjonuje jako jego kochanka. Ona się z tym godziła, uśmiechając się ironicznie. Louisa krążyła wokół nich z zatroskaną miną. Czy Samantha zdawała sobie sprawę, że Weintraub chyba nigdy dotąd nie miał swojej dziewczyny, tego nie wiem do dziś. W końcu przyłączyli się do nas.

– Panowie, oto nowa miłość Weintrauba – zagrzmiął Weintraub najgrubszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, pieczętując słowa gestem ręki. – Przyjrzyjcie się dobrze. Samantha-Marie Everton. Tak, moi panowie, nocuje ze mną w mojej jednołóżkowej *pension*. Stara buda nigdy takiego cudu nie widziała.

Dziewczyna uśmiechnęła się, patrząc wprost na Harry’ego, który stał za barem.

– Bo jestem bez grosza i nie mam się gdzie podziać – powiedziała łagodnie.

– To prawda, to prawda – dodał szybko Weintraub. Kiedy na nią patrzył, na jego twarzy malowała się autentyczna duma i zadowolenie, a przy tym wyraz zaskoczenia własnym szczęściem. Ten facet budził we mnie litość.

W dziewczynie dostrzegało się czujną zwartość, jakby siłą woli sama trzymała się w karchach. Wydawało się, że w miarę jak oddala się od drzwi i wkracza w głąb cudzego terytorium owa zwartość przybiera na sile. Samantha wspięła się lekko na barowy stół.

Najwidoczniej nie nosiła bielizny. Oczywiście miała uderzająco zielone, ubierała się pod ich kolor. Od góry miała na sobie zieloną kamizelkę robioną na drutach, całkiem bez rękawów, która odsłaniała jej szczupłe, dokładnie wygolone pachy; z przodu czubki drobnych, niczym nie skrępowanych piersi tworzyły dwa wyraźne wybrzuszenia. Niżej miała na sobie wycięte, obcisłe letnie szorty, też zielone, tylko jaśniejsze, z szerokim paskiem i wielką sprzączką. Były tak opięte w kroku, że uwydatniały serduszko sromu. Co jednak nie dziwiło, należało bowiem do normy wiosną roku 1968.

Była dość ciemna. Ale nie miała wyraźnie negroidalnych rysów. Na pewno płynęła w niej domieszka krwi białej i indiańskiej. A ponadto miała dziewiętnastoletnie ciało, co, zważywszy moje lata, stanowiło wielką zaletę, z której człowiek zdaje sobie sprawę dopiero, gdy ją straci. Choć Samantha akurat była ze swym ciałem jak najbardziej na bieżąco. Raczej niska i drobna, miała wąskie, chłopięce biodra. A równocześnie wysoki, twardy i rozłożysty tyłek Murzynki, w którym wielu gustuje. Włosy nosiła krótko obcięte, zaczesane za uszy, jak u chłopca.

Rozmawialiśmy o tym, co nam się tego dnia przydarzyło przy oglądaniu zamieszek. Tkwiło nas pięciu wokół baru. Był znany komentator telewizyjny, był młody korespondent UPI, był Ferenc Hofmann-Beck, młody Amerykanin niemiecko-żydowsko-węgierskiego pochodzenia, który pracował we francuskim wydawnictwie. Był Harry i byłem ja.

Pomyślałem sobie, że tak obcisłe szorty muszą być dla dziewczyny cholernie niewygodne, ale nawet jeśli były, Samantha nie dawała tego po sobie poznać.

Okazało się, że Samantha woli, jak się do niej mówi „Sam”. Miała pewien denerwujący, bezczelny zwyczaj. Ściskając komuś rękę trzymała ją długo, powoli i zupełnie jawnie penetrując wzrokiem twarz witanego, jakby czegoś szukała. Potem, nie znalazłszy tego czegoś, puszczała dłoń i obojętnie przechodziła do następnej osoby. Pomyślałem, że działanie to musi być celowe. Nie robi się czegoś takiego bezwiednie. Nad niektórymi rękami zatrzymywała się dłużej. Moją od razu puściła. Ktoś mówił mi potem, że najdłużej zatrzymała się przy Louisie. Rozejrzałem się za nią, ale gdzieś wyszła.

Lubię wspominać tamtą chwilę, choć dziś robię to zazwyczaj ze smutkiem. Nic nie istnieje dla mnie z równą wyrazistością, co tamto mieszkanie na sekundę przed tym, jak w drzwiach pojawił się Weintraub, holując Samanthę-Marię, wypisz wymaluj jakąś krzepką łódź holownicza, ciągnąca nie tyle transoceaniczny liniowiec, ile wysmukły czarny jacht wyścigowy. Jego

imponujący głos, skądinąd zawsze zbyt donośny, kontynuował przenośnię, głęboki, przeciągły buczonek holownika, oznajmiający na cały port nadejście nowej zdobyczy, kiedy Weintraub, z krążącą wokół Louisą, podchodził do poszczególnych grup i każdemu przedstawiał Samanthę.

– A to, dzisiejszy gospodarz, Harry Gallagher – zagrzmiął buczonek holownika.

– Dzień dobry panu, panie Gallagher. Znam pańskie filmy – powiedziała Samantha, wyciągając rękę poprzez bar. Odwróciła się do niego ode mnie z uśmiechem, który był zbyt doświadczony, zbyt ironiczny jak na dziewiętnastolatkę. – Ładne pan ma tu gniazdko.

Rozejrzała się po pokoju.

W najdalszym jego krańcu politurowane stoły w stylu Ludwika XIII, zastawione książkami o sztuce i statuetkami, błyszczały w zachodzącym słońcu. Naokoło stołów skupiły się po kilka fotele Ludwika XIII i mniejsze foteliki, na których i wokół których rozmawiały grupki ludzi. Przy ścianie działowej stał prawdziwie rzadki okaz: sześciokątny stolik szachowy, też Ludwik XIII, z szachami ustawionymi w pozycji otwarcia. Na każdym wolnym kawałku ścian wisiły obrazy. Za otwartymi drzwiami balkonowymi zapadał ciepły majowy zmierzch, wietrzyk poruszał białymi firankami, odsuniętymi na bok wraz z kotarami, żeby nie blokować dostępu wieczornemu powietrzu. Harry też się rozejrzał.

– Co mogę pani nalać? – spytał z uśmiechem.

– Nie piję – odparła ciemna dziewczyna. – Chętnie bym zapaliła, jeśli jest co. Ma pan trawkę? Jak nie, to proszę colę. Uwielbiam colę. I lubię pana – dodała z uśmiechem.

Harry od razu przeszedł do defensywy.

– Cóż, ja też panią lubię. A w każdym razie jestem przekonany, że polubię, jak się lepiej poznamy.

Był nienaturalnie ożywiony i zmieszany zarazem. Zajął się nalewaniem coli.

– Z pewnością – odparła Samantha.

Z poważną miną przyjęła szklankę. Potem nagle wybuchnęła śmiechem, wysokim, perlistym dziewczęcym chichotem, bardzo rozbawiona.

Pomyślałem, wszyscyśmy pomyśleli, że jest urocza. Ale ja pomyślałem także, że powinienem zakasać. Ferenc Hofmann-Beck zabawiał nas przy barze swą francuską manierą rzucania nazwiskami, kiedy pojawiła się Samantha z Weintraubem. Ferenc po chwili namysłu uznał, że moje kasznięcie było dla niego zachętą do kontynuacji.

Ferenc Hofmann-Beck bywał wtedy u Gallagherów bodaj od trzech miesięcy. Poznał Harry'ego i Louisę na jakimś przyjęciu i zakochał się w nich nieprzypadkowo, zwłaszcza w Louisie. Na drugi dzień przysłał jej całą masę kwiatów z bilecikiem, w którym pytał, czy może zadzwonić; przez telefon błagał Louisę, żeby pozwoliła mu wpaść na jeden z jej niedzielnych wieczorów, które, jak wiedział, często urządzała; został zaproszony i od tego czasu pojawiał się stale. Ferenc, jeśli kogoś przypominał, to najprędzej dużego, kudłatego, rudawego

amerykańskiego niedźwiedzia brunatnego. Silny jak byk, z sylwetką w kształcie stojącej gruszki, uskarżał się na, prawdziwy czy urojony, chroniczny brak zdrowia spowodowany niedoczynnością wątroby. Przed laty przeszedł żółtaczkę. W stonowanych, starannie skrojonych angielskich garniturach i dopasowanych do nich koszulach przywodził na myśl znane z dzieciństwa wańki-wstańki – figurki z okrągłą podstawą, których nie sposób przewrócić. Na koszulach i chusteczkach obok monogramu miał wyszyte baronowskie pałki, nigdy nam jednak nie wyjawiał, czy rzeczywiście jest baronem. Jego dziadek po mieczu istotnie był baronem, w zamierzonych czasach monarchii Austro-Węgierskiej cesarza Franciszka Józefa, a Ferenc znał na pamięć dokładną pisownię nazwiska i tytułu, jeśli takowy posiadała, każdej europejskiej rodziny. Był chodzącym almanachem gotajskim. Miał kłopoty z nadwagą, z czego sam żartował, i nie znosił przemocy pod żadną postacią, nawet w bezkrwawej odmianie towarzyskiej zabawy; jeśli ktoś nie miał dobrego oka, mógłby go wziąć za pedała. Ostatnio nabrał zwyczaju noszenia monokla z końcami uformowanymi na kształt muszli, taka była najnowsza moda – i wciskał go w oczodół lub bawił się nim, wzmagając efekt kpin, jakie sobie robił z francuskiej socjety, zaabsorbowanej ciągłym konkursem nazwisk. Teraz wcisnął głębiej monokl i spojrzawszy na nas wszystkich, ale szczególnie na Samanthę, przybrał najgrubszy węgierski akcent.

– Mówiłem właśnie o O'Donnellach. – Ktoś przy barze wspominał to nazwisko. – O'Donnell? O'Donnell?

Przez dwa „n” i dwa „l”? Znałem takiego O'Donnella w Bostonie. Dwa „n” i dwa „l”. Wieśniacy. Włóczęgi. Rodzina musiała opuścić Irlandię podczas drugiej klęski głodu. Zrobili forszę. Ale w Ameryce chłop z forrsą pozostaje chłopem. Mój dziadek mawiał, że jedwabnej porrtmonetki nie rrobi się ze świńskiej skóry. Ale może być też O'Donel! Przez jedno „n”, i jedno „l”. Znałem takiego O'Donela. W Londynie. Duże włości w Irlandii. Dwie duże posiadłości. Byłem z wizytą. Barrdzo dobrra rrodzina. Hodują konie. To trochę tak jak Gramontowie we Francji. Gramont przez jedno „m” jest wytworniejsze od Grammonta przez dwa „m”, chociaż oba są dobre. Gramont, jedno „m”, starsze i książęce. Grammont, dwa „m”, młodsze i tylko barronowie. Ale mają winnice.

– Ach, panna Everton! My się nie znamy! Jestem Hoffmann-Beck.

Ujął jej dłoń, pochylił się nad nią, nie doprowadzając do samych warg, po czym trzasnął obcasami i zrobił krok do tyłu.

– Everton? Przez jedno „r” i jedno „t”? Znałem Everrton pod Londynem przez dwa „r” i dwa „t”. Olbrzymi dom. Wspaniałe ogrrody. Może to jacyś krrewni?

Samantha uśmiechnęła się do niego.

– Czy oni są czarnuchami?

Przy barze nastąpiła bezwiednie pauza, pełna cisza, swego rodzaju konsternacja, z którą nie wiadomo co począć.

– Prawdę mówiąc nie – odparł Ferenc. – Nie są Murzynami.

Powiedział to najśladszym, najgrzeczniejszym tonem, bez cienia akcentu, i uśmiechnął się.

– W takim razie wątpię, żeby byli moimi krewnymi – odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Samantha.

Ferenc po chwili odszedł w głąb pokoju i wcale nie mam mu tego za złe.

Incydent zmroził atmosferę przy barze. Oczywiście trudno było się spodziewać, że Samantha chwyci żart. Po raz pierwszy usłyszała Ferencę rozprawiającego o pisowni nazwisk. Ale przecież słyszała śmiech przy barze, zanim przemierzyła pokój. Cały dowcip polegał oczywiście na tym, że Ferenc w swej delikatności kompletnie zignorował kolor jej skóry. Może ona tego wcale nie chciała. Może miała kompleksy i czuła się wyobcowana. Tak potem sądziła Louisa.

Znacznie później, po paru tygodniach, Samantha w trakcie jednej z naszych długich rozmów powiedziała mi sama, i jak się wydaje, najzupełniej szczerze, że uważała swoją ripostę za dowcipną, spodziewała się wybuchu śmiechu przy barze. Nie byłbym tego taki pewien. Z pewnością natomiast nie nastąpił żaden wybuch śmiechu. Podówczas wydawało mi się, że od dawna nie byłem świadkiem tak niepotrzebnie okrutnej sceny.

A jednocześnie było w tej dziewczynie, w jej uśmiechu, coś urwisowatego, źrebięcego i niewinnie młodego – coś absolutnie zachwycającego. Co chwila człowiek łapał się na tym, że to dziecko ma przecież zaledwie dziewiętnaście lat.

Za naszymi plecami pojawiła się Louisa, wyczuwszy potencjalną sprzeczkę czy zwadę.

– Czy mogę ci służyć czymś innym, skoro nie pijesz? Może miałabyś na coś ochotę, moja droga?

Samantha uśmiechnęła się do niej czule.

– Nie przypuszczam, żeby w tym domu były... Urwała. Przez dłuższą chwilę patrzyła na Louisę, wciąż się uśmiechając.

– Nie, na pewno nie.

Po czym z ciepłym, wręcz kochającym uśmiechem dodała:

– Myślę, że jesteś piękna. Louisa cała się zaczerwieniła.

– Ależ skąd! – bąknęła zmieszana, nie mogąc złapać tchu.

– Naprawdę uważam, że jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałam. Uwielbiam cię. Więc jednak powiem. Tak naprawdę to miałabym ochotę na batonik Hersheya. Z migdałami... Pewnie nie masz w domu czegoś takiego?

– Mam! – zawołała Louisa. – Właśnie że mam! Uśmiechnęła się teraz całą twarzą. Wręcz promieniała z radości, że może coś zrobić dla tej dziewczyny. – Mam je! Całe mnóstwo!

Zawróciła na pięcie w stronę kuchni.

– Tak się składa, że nasza córka ma fioła na punkcie batoników Hersheya z migdałami.

Spojrzałem na drugi koniec pokoju, gdzie McKenna leżała przed nie rozpalonym kominkiem. Moja córka chrestna skuliła się jak kocię, zapomniawszy o toczącym się wokół przyjęciu, i ze złotymi włosami opadającymi jej na twarz czytała jak zwykle książkę o Tin-Tinie. Tin-Tin to młody bohater francuskich komiksów, który przeżywa najrozmaitsze przygody w towarzystwie swego przyjaciela, brodatego kapitana. Nie mając skończonych ośmiu lat, McKenna czytała jak dziecko dziesięcioletnie. Pamiętam, że uderzyło mnie wówczas bijące z niej poczucie bezpieczeństwa. W jej włosach pobłyskiwały refleksy licznych lamp zapalonych w pokoju, a płatanina światła i cieni kładła się delikatnie na poważną twarz małej dziewczynki z drobnym noskiem i ogromnymi oczyma.

– Czy mogę wziąć trzy albo cztery? – spytała Sam Everton, kiedy Louisa wróciła z pudełkiem batoników.

– Weź, ile chcesz! – powiedziała Louisa, wyciągając cały plik, jakby to były koperty na listy.

– Dziękuję. Dziękuję bardzo. Ja cię naprawdę kocham – powiedziała Samantha, wyprostowała się na stołku i pocałowała wyższą od siebie kobietę lekko w policzek.

– Ależ... – Louisa znów się zaczerwieniła. – Daj spokój! To tylko słodycze!

Wkrótce potem Samantha odeszła od baru, pilnując skrzętnie swego łupu: batoników Hersheya. Jakiś czas później rozmawiałem przy stoliku szachowym z komentatorem telewizyjnym Fredem Singerem i omiatając pokój spojrzeniem, zauważyłem przypadkowo, że Samantha leży na podłodze obok McKenny. Obie rozłożyły się na brzuchu, jedna przy drugiej, i wsparte na łokciach, z zadowoleniem chrupały batoniki Hersheya, pochłonięte lekturą całego stosu dziecięcych książek o Tin-Tinie. Wiedziałem, że McKenna niełatwo się zaprzyjaźnia. W chwilę potem Samantha i Weintraub wychodzili.

– Ona mnie zabiera na jakąś orgię – szepnął rozpromieniony Weintraub.

– Orgię! – prychnęła Sam, patrząc na niego pogardliwie. – Też mi coś! Orgię!

– To święta prawda! – szepnął do mnie uszczęśliwiony Weintraub.

Wróciłem do pokoju, do Harry'ego, który stał za barem.

Ach, ten bar.

Czy był kiedyś drugi taki bar, w takim mieszkaniu?

Przypuszczam, że bar Harry'ego zasługuje na osobny akapit. Zyskał sobie w Paryżu pewną sławę. Była to przerobiona drewniana renesansowa ambona. To, co Francuzi nazywają *chaire* – mała przysięcienna trybuna do wygłaszania kazań, wisząca w kościele przy kolumnie, z wiodącymi do niej spiralnymi schodami. W mieszkaniu Harry'ego stała na podłodze. Dwa lata na nią polował, dwa lata szukał czegoś takiego. Kosztowała fortunę; a prawie drugie tyle musiał zapłacić swemu *ebeniste* za przeróbki. *Ebeniste* naprawił ambonę, dorobił podłogę ze starego drewna i uzupełnił wewnątrz dwiema półkami na butelki, z takiego samego drewna. Ambona była

pięciobokiem, otwartym z tyłu, żeby umożliwić wstęp barmanowi (względnie kapłanowi). Cztery pozostałe boki składały się z drewnianych tablic zwieńczonych spiczastymi łukami, poniżej których zatarte postaci, bardzo płytko wyryte i zniszczone przez czas, wykonywały jakieś najpewniej religijne czynności. Ambona wystawała ze ściany pokoju jak dziób torpedowca prujący fale.

Harry zobaczył kiedyś taką ambonę u antykwariusza, pomyślał, że świetnie by się nadała na bar, ale niestety powiedziano mu, że została sprzedana poprzedniego dnia, i musiał na następną czekać dwa lata. To był najefektowniejszy okaz w jego kolekcji. I zarazem jedna z najcenniejszych rzeczy w jego posiadaniu.

– W końcu – zwykł mawiać, a robił to często, zwłaszcza jak był podchmielony – gdzie się znajdują prawdziwe pieprzone kościoły dziś, w połowie dwudziestego wieku? W jakie to pieprzone miejsce może się udać człowiek spragniony mroku i spokojnej rozmowy ze sobą? Gdzie nikt mu, kurwa, nie będzie przeszkadzał. Ani nie każe odczuwać winy. I nie będzie mu mówił, co powinien robić albo w co wierzyć. Nie będzie mu się starał narzucić swojej filozofii, ideologii czy wiary. Krótko mówiąc: gdzie może pogрузić się w spokojnej kontemplacji, saczyć duchowy pokarm z trzymanego w rękach kielicha i rozjaśniać sobie umysł? Właśnie tam! W barach! Nigdzie indziej! Tam i tylko tam!

Ach, ten bar.

Za plecami Harry miał ścianę, którą zasłaniała grubo pleciona srebrnobeżowa aksamitna kotara w charakterze tła. Tylko na tej ścianie nie wisały obrazy. Z jednej strony opierał się o nią wykonany z pietyzmem miecz niemieckiego kata z szesnastego wieku, z drugiej, ostrzem w dół, stał szkaradny, brutalnie wyklepany stalowy topór katowski z trzynastego wieku, o wysadzanej miedzianymi gwoździami, nietoczonej rękojeści.

– Trzy największe rzeczy, jakie ludzkość dała światu! – zwykł był mawiać Harry, wskazując na tę trójkę.

Miał na myśli, jak wywnioskowałem z odpowiedzi na pytania, które mu zadałem, kiedy po raz pierwszy usłyszałem tę opinię, więc jako trzecią rzecz miał na myśli nie tyle sam miecz, ile fakt, że w porównaniu z toporem jest on niewątpliwym dowodem niezmiernej, wręcz boskiej biegłości wytwórczej człowieka, przy czym Harry uwzględniał tu i rewolucję przemysłową, i naszą rewolucję techniczną.

Jakby to wszystko razem nie było dla niego dość bluźniercze, a może raczej dość zabawne, dość dowcipne, Harry uzupełnił *tableau* kilkoma stołkami barowymi, które wcale nie były stołkami barowymi, tylko w istocie najtrudniejszymi do znalezienia i najdroższymi proporcjonalnie do rozmiarów ludwikami – a mianowicie kłęcznikami. Mówiło się, że kiedy Bunuel zjawił się tu po raz pierwszy, obejrzał bar i stołki, po czym chwycił oburęczny niemiecki miecz i próbował rozplatać wracającego z kuchni z tacą pełną szklanek Harry'ego od szyi po pas,

wołając:

– Ty sukinsynu! Ty sukinsynu! Moja matka modliła się zawsze na takim klęczniku!

I wybiegł z domu. Potem, oczywiście, przeprosił.

W istocie „Bar Harry’ego” (nazywany tak z aluzją do Baru Nowojorskiego Harry’ego MacElhone’a przy rue Daunou) zapisał sobie w ciągu siedmiu lat istnienia dość barwną kartę. Niektórzy zagorzali katolicy, mimo że cieszyli się zarazem opinią tęgich moczymordów, opuszczali dom Harry’ego, gdy tylko ujrzeli bar. Wiele *razy* dochodziło po pijanemu do bójek na środku pokoju. W wieczór otwarcia baru James Baldwin wygłosił płomienne kazanie o strasznych skutkach picia.

Ach, ten bar.

Harry ustanowił cały zestaw obowiązujących przy nim praw. Toczono po pijanemu dysputy na tematy polityczne, społeczne, rasowe, filozoficzne i artystyczne stawały się tak gorące, że nikt w końcu nie mógł dojść do słowa, a gdy się wreszcie dorwał do głosu, to sam siebie nie słyszał. Stąd wprowadzone przez Harry’ego pewnego wieczoru reguły. Skoro mamy piękną ambonę, czemu jej nie wykorzystać? W przyszłych dyskusjach każdy będzie mógł prosić o ambonę – wystarczy powiedzieć. Ten, kto się zgłosi, będzie mógł stanąć na ambonie za barem i przez ściśle odmierzone pięć minut powiedzieć, co ma do powiedzenia, a reszta będzie go spokojnie słuchała. Po czym może nastąpić pięciominutowa runda pytań, jeśli sobie tego *zażyczy* bądź mówca, bądź sala. Rozległ się szmer aprobaty i wołania: „Proszę o ambonę!” i w ten sposób reguły się przyjęły. Harry kazał je potem wydrukować i oprawić, po czym powiesił za barem na srebrzystobeżowej materii.

Jak powiadam, wspominam to wszystko ze sporą dozą smutku. To mieszkanie i ten bar. Wyobrażam je sobie zamknięte, za zasłoniętymi kotarami, widzę błyszczące stoły i drogie fotele, antyki i statuetki w półmroku zbierające kurz. Wyobrażam to sobie, choć wiem, że Harry nadal opłaca Portugalkę, która dwa razy w tygodniu sprząta. Jestem romantycznym głupcem.

Ach, ten bar.

Zapewne jesteśmy pokoleniem pijaków, jak nam to często wyrzuca młodsza generacja rówieśników Hilla. Nieraz z nimi na ten temat rozmawiałem, o związanym z tym tchórzostwie, marnotrawstwie i braku odpowiedzialności. Z drugiej strony, nie widzę wielkiej różnicy między naszym piciem a ich paleniem trawy czy zażywaniem LSD, wliczając w to wszystkich otepiałych trawkarzy, kwasowców, odlotowców, a nawet ćpunów, którzy też są jakąś tego pochodną.

Jeśli prawdą jest, że niewiele zmieniliśmy świat, jaki odziedziczyliśmy po naszych rodzicach, i nie daliśmy im, naszym następcom, wyraźnych zasad moralnych, którymi mogliby się kierować, to powinni oni zrozumieć, że pokolenie naszych rodziców jeszcze mniej zmieniło świat, jaki odziedziczyło, i dało nam jeszcze mniej uczciwych zasad etycznych. I mogę tylko zgadywać, jakie będą dzieci naszych dzieci, jeśli i kiedy będą je mieli – bez względu na to, czy

jesteśmy pijakami, czy nie.

A jesteśmy. Moglibyśmy nawet przejść do historii (w tak ostatnio modnej klasyfikacji według pokoleń) jako „pijane pokolenie” gdyby nie to, że mieliśmy przed nami przykład pokolenia Faulknera, Fitzgeralda i Hemingwaya – tak zwane „stracone pokolenie” – którzy upominają się nerwowo o swoje pierwszeństwo i wołają zazdrośnie: „Myśmy byli pierwsi!”; besztają nas, pouczają, prowadzą za rączkę ku idei, że alkohol jest pancerzem na wszystkie bóle i smutki, utrzymując równocześnie, że nadmierne spożycie jest kwintesencją męskości.

Ach, ten bar. Wydaje mi się, że najbardziej mi żal gorących dyskusji, jakieśmy przy nim wiedli.

To było w czwartek wieczór. Na dzień przed wieczorem w piątek 10 maja, kiedy doszło do wielkiej bitwy na rue Gay-Lussac.

Dzisiaj wydaje się to śmieszne, może nawet głupie – mówić o tamtej dawnej potyczce. Ale wtedy to było bardzo ważne. To był faktycznie pierwszy punkt zwrotny rewolucji majowej, przełomowa chwila, która zadecydowała chyba o całym jej dalszym rozwoju.

Tak, myślę, że rewolucja majowa zaczęła się w którymś momencie owego czwartku 9 maja. W pewnej chwili ludność Paryża przeszła na stronę studentów. Z początku, jak sędzę, zaczęło się to od radości i swoistej hedonistycznej dezynwoltury społecznej, która przez osmozę przeszła ze studentów na ludność Paryża. Ludzie nagle stracili ochotę na pracę dla *Patronat*, dla władz – przynajmniej na jakiś czas.

Wiem, że zdaniem wielu komentatorów wszystko zaczęło się następnego wieczoru, w „czarny piątek” 10 maja, kiedy to nocna walka na rue Gay-Lussac rozwścieczyła Francuzów z powodu brutalności policji. Ale ja uważam, że ludzie już wtedy byli po stronie studentów i że nie doszłoby do wielkiej nocnej bitwy, gdyby studenci o *tym* wiedzieli. Bo nie ulega wątpliwości, że to studenci wywołali tę bitwę, że to oni wciągnęli do niej policjantów.

Kiedy po nocy starć na barykadach ponad trzysta osób trafia do szpitala (a było dużo, dużo więcej takich, co woleli nie zgłaszać się do szpitali, żeby nie trafić do aresztu), kiedy zdarza się coś takiego, po prostu musi to być ważne wydarzenie, które ma swoje konsekwencje. Śledziliśmy je za pomocą odbiorników tranzystorowych u Gallagherów, słuchając Europy-1 i radia Luksemburg. Rządowe francuskie stacje telewizyjne i radiowe jak zwykle prawie nie wspominały o tym, że odbywa się jakaś rewolta studentów.

Zacząło się późno, po drugiej w nocy, i u Gallagherów już od dawna nikogo nie było. Ja poszedłem na miasto na kolację, ale wróciłem, bo niepokoiłem się o Hilla. Przywódcy studenci przez całe popołudnie prowadzili na Sorbonie rokowania z rektorem dotyczące ciągle tych samych trzech żądań, a sami studenci wykorzystali ten czas, żeby się dobrze przygotować: budowali moc barykad wokół górnej części Dzielnicy Łacińskiej: na rue Gay-Lussac, rue St.

Jacques, rue d'Ulm, rue Lhomond, Place Contrescarpe, rue de FEstrapade. Policjanci, związani rozkazem czekania, mogli jedynie stać u wylotów ulic i obserwować. W końcu, zaraz po drugiej w nocy, rokowania zostały zerwane i policjanci otrzymali rozkaz ataku, rozkaz oczyszczenia ulic – i tak zaczęła się bitwa. Wreszcie walki skupiły się w dwóch miejscach: na Place Contrescarpe i na rue Gay-Lussac.

Na Guy-Lussac było najciężej. Fred Singer z telewizji skończył kręcić nocny reportaż i wracając do domu zobaczył u Gallagherów światła, i wszedł na górę. Oczywiście miał zaczerwienione i zażawione, z nosa mu ciekło.

– To cholerne CRS bije wszystkich bez wyjątku. Przechodniów, cudzoziemców, dziennikarzy, fotografów. Sam o mało nie oberwałem. A przez chwilę bałem się, że mi kompletnie zniszczą sprzęt.

Studenci pościągali na kupę zaparkowane na ulicy samochody i podłożyli ogień. Rzucali koktajlami Mołotowa z dachów okolicznych domów. Policjanci coraz obficiejszymi posługiwali się gazami łzawiącymi.

– Nie mam pojęcia, jak oni to wytrzymują – opowiadał Fred, pociągając nosem. – Ja nawet się nie zbliżyłem do samego środka, a ledwie to mogłem znieść.

Harry nalał mu whisky z odrobiną wody.

Znajdowaliśmy się za daleko, żeby coś zobaczyć albo usłyszeć przez okno. Tylko dziwna łuna rozjaśniała niebo nad Montparnasse, ponad domami Lewego Brzegu.

Było wtedy z nami dwoje amerykańskich malarzy. Bali się wracać do siebie. W okolicy nie stały jeszcze barykady, ale wielu ludzi powychodziło z domu i na ulicach panowało wielkie ożywienie.

W pewnej chwili Harry i ja postanowiliśmy wyjść. Chcieliśmy zrobić mały wypad na Montparnasse i przyrzeć się bitwie, która wciąż się toczyła w okolicy Gay-Lussac. Na to Louisa powiedziała, że ona też pójdzie z nami.

Jej jasne oczy płonęły gorączkowo, na podłużnej twarzy pojawił się wyraz frenetycznego poczucia słuszności. Skoro my się wybieramy popatrzeć na bitwę i narażać się na szwank, proszę bardzo, ona też pójdzie. A jeśli zamierzamy mieszać się do walk, ona też się wmiesza. W końcu ma tam syna. Ona też ma tam syna. Harry spojrzał na żonę i powiedział, że ona w żadnym wypadku nie pójdzie, a skoro robi o to tyle hałasu, proszę bardzo, on też może nie iść. Louisa ustąpiła. Ale posmutniała, sprawiała wrażenie przygnębionej, a wreszcie popadła w ciche zamyślenie.

W ramach działań pojednawczych zaproponowałem, że zadzwonię do wspólnego znajomego, amerykańskiego pisarza, który mieszkał przy małej uliczce w bok od Gay-Lussac, me de FAbbe de FEpee, żeby go wypytać, jak się rzeczy mają. Kiedy się z nim połączyłem, odradził nam całą

wyprawę.

– Tutaj sprawy wyglądają naprawdę kiepsko, Jacku – mówił. – Ja *bym* na waszym miejscu nie próbował.

W jego głosie słychać było wzruszenie i podniecenie.

– Ja sam też nie wychodzę. Policja się dzisiejszej nocy nie patyczkuje. Mamy tu w tej chwili paru rannych studentów, razem z żoną staramy się im udzielić pierwszej pomocy, a co pół godziny kolejnych trzech albo czterech szuka schronienia na naszym podwórku. Nie mam pojęcia, jak te dzieciaki to wytrzymują. Nawet policjanci w maskach gazowych nie mogą wejść w kłęby gazów łzawiących, jakie rozpylili na Gay-Lussac. A studenci są tam w samym środku i wcale się nie zamierzają wycofać.

– W porządku, Clemie – powiedziałem. – Wielkie dzięki. Widzę, że musimy zrezygnować.

Niewątpliwie sprawy przybrały inny obrót niż w walkach, jakie sam widziałem poprzedniego dnia.

Ani tej nocy, ani następnego dnia, w sobotę, nie mieliśmy znaku życia od Hilla.

Rano poszliśmy na Montparnasse i na rue Gay-Lussac obejrzeć zniszczenia. Mnóstwo ludzi wpadło na ten sam pomysł. Wszystko wyglądało tak, jakby przeszła tamtędy wojna. Poprzewracane i popalone samochody przegradzały ulicę w postaci kilku zdobytych barykad. Okna sklepów były powybijane, niektóre witryny wypalone. Wszędzie poniewierały się butelki i śmiecie, powyginane znaki drogowe, kamienie brukowe i zwęglone wraki. Porządku pilnowały teraz kordony groźnie wyglądających policjantów, którzy badawczo przyglądali się przechodniom, zanim ich przepuścili. Ktoś, kto nie miał w tej okolicy żadnego interesu, nie był przepuszczany. Podałem nazwisko i adres mego znajomego Amerykanina, starając się zachować swój amerykański akcent. Wypiliśmy po szklaneczce z Clemem i jego żoną, którzy byli ożywieni i podekscytowani, ale też zmęczeni po samarytańskiej nocy, i wróciliśmy do Gallagherów. Podczas naszej nieobecności nie nadeszły, niestety, żadne wieści od Hilla.

Owej soboty, jak pamiętacie, pan Pompidou wrócił w pośpiechu z Afganistanu. Parę godzin później, po ponad trzydziestu sześciu godzinach bez snu, pan premier wystąpił w telewizji z krótkim, ale znakomicie wygłoszonym przemówieniem, ulegając wszystkim żądaniom studentów. Zachował twarz i godność, choć tę ostatnią w stanie całkowicie nadwreżonym. Nie ulegało jednak wątpliwości, że przemówienie wpłynęło korzystnie na jego popularność. „Wielki Zorro przybywa w mgnieniu oka, by odnieść spektakularne zwycięstwo dnia”, cytowano potem w prasie komentarz jakiegoś polityka. Z całą pewnością było to coś, na co *monsieur le General de Gaulle* nigdy by się nie zgodził.

Hill nie odezwał się także w sobotę wieczorem. Sobota była dla obu stron dniem wytchnienia: i policjanci, i studenci zwierali szeregi i opatrywali rany.

Rozdział ósmy

Niedziela była dniem wolnym dla wszystkich, zarówno dla studentów rewolucjonistów, jak i dla policjantów. Przypuszczam, że wielu udało się do kościoła, a potem spożyło suty niedzielny obiad.

A jednak niektóre grupki studentów spotykały się w ciągu dnia z komitetami robotniczymi i związkowymi.

W owo niedzielne popołudnie wiadomości dotarły do mnie późno, gdy już wychodziłem do Gallagherów. Hill zadzwonił do mnie właśnie w chwili, gdy wybierałem się na spacer spokojnym, obsadzonym drzewami nabrzeżem do jego rodziców, na jedno ze spotkań, które stały się już codziennym rytuałem.

– Gdzieś ty się, na Boga, podziewał! – zawołałem. Po drugiej stronie nastąpiła dziwna, pełna frustracji przerwa. Potem Hill powiedział:

– Byłem bardzo zajęty. Nie słyszałeś o wielkiej bitwie? Wpadłem w furję.

– Czy ty sobie w ogóle wyobrażasz, jak myśmy się o ciebie martwili?! Mniejsza już o mnie, ale twoja matka i ojciec! Dlaczegoś na litość boską nie zadzwonił?

– Wydaje mi się, że ty nic nie rozumiesz, wujku Jacku – odparł cierpko Hill. – Mieliliśmy po naszej stronie dużo poszkodowanych i musieliśmy się nimi zająć. Ktoś to musiał zrobić.

Trochę mnie utemperował tą uwagą. Ostygłem w gniewie. Wyobraźnia podsunęła mi obraz Hilla na strychu, takim jak ten, który mi opisywał, otoczonego rannymi studentami jęczącymi w kałużach krwi.

– No dobrze, czy wszystko w porządku?

– Ze mną tak, jeśli o to ci chodzi. Dlatego właśnie dzwonię.

– Domyślam się. Powtórzę to twoim. Ale chodziło mi też, no wiesz, o pozostałych.

– Jakoś sobie radzimy. Dajemy sobie radę. Tak jak można było tego oczekiwać.

– Czy mógłbym pomóc? Chcesz, żebym się u was zjawił?

Znów nastąpiła przerwa. Wreszcie:

– A co ty mógłbyś zrobić?

– Jestem całkiem niezły w udzielaniu pierwszej pomocy.

– Pierwszą pomoc mamy już za sobą, teraz jesteśmy na etapie pomocy medycznej. Potrzebujemy tlenu, środków znieczulających, bandaży i leków. Czy znasz jakichś lekarzy?

– Znam takiego i takiego oraz takiego i takiego. Wymieniłem nazwiska dwóch lekarzy, do których chodziłem i z którymi byłem zaprzyjaźniony.

– Obaj już u nas byli, sami z siebie i zaoferowali pomoc. Jak widzisz, wujku Jacku, w niczym

nie możesz nam pomóc.

– Zaczekaj, nie rozłączaj się jeszcze. Powiedz mi, czy byłeś w środku tego wszystkiego?

– Oczywiście. I chyba udało mi się zrobić parę niezłych ujęć. Powiedz o tym tacie. Przekonam się, co to warte, jak film będzie wywołany, tyle że na razie nie mamy pewnego miejsca w Paryżu, gdzie moglibyśmy to zrobić. Władze najwidoczniej mają na oku wszystkie laboratoria filmowe w mieście, żeby w razie czego móc skonfiskować studenckie filmy. Więc musimy poczekać. Światło nie było najlepsze i nie mieliśmy dodatkowych reflektorów. Poza tym wiesz, jak to jest z ręczną kamerą, zwłaszcza jak masz trudności z oddychaniem i z utrzymaniem równowagi.

– No cóż, w końcu przecież wygraliście. Pompidou ustąpił przed wszystkimi trzema żądaniami studentów. Sorbona ma być otwarta od poniedziałku.

Hill zachnął się.

– Chyba żartujesz? Propozycja Pompidou to tylko pozorna ugoda, on przecież chce nas tylko wyhamować, uspokoić nastroje. Oni mówią, że będą z nami „omawiać reformy”. Ale my nie rezygnujemy. Jeśli Sorbona zostanie w poniedziałek otwarta, my ją zajmiemy. A możemy zająć nie tylko Sorbonę.

Ostatnie zdanie wypowiedział z pewną ostrożnością.

Cóż u licha mogliby okupować oprócz Sorbony, zacząłem się zastanawiać. Zgromadzenie Narodowe? To by była prawdziwa wojna. Może duży gmach rządowej telewizji i radia przy avenue du President Kennedy, ORTF?

– Więc nie jesteście zadowoleni?

– Zadowoleni? Gdybyś był na moim miejscu przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, nie używałbyś takich słów. Nie, nie jesteśmy zadowoleni.

– Gdzie jesteś w tej chwili?

– Dzwonię z automatu w kawiarni na Place Contrescarpe.

Znałem tę okolicę. Pełno tam było tanich mieszkań na poddaszach, przy samym placu i przy nie Mouffetard. George Plimton nazwałby to miejsce „krajem Hemingwaya”.

– No a gdzie nocujesz?

– Chyba nie mogę ci tego powiedzieć, wujku Jacku. Policja wciąż nas szuka. Byliby zachwyceni, gdyby mogli przejąć naszych rannych i umieścić ich w szpitalu, żeby pokazać swoje humanitarne intencje. A potem by nas aresztowali.

– Wolałbym, żebyś sam zadzwonił do rodziców.

– Nie mogę. Ty im opowiedz. Dlatego do ciebie dzwonię. Przecież chyba się do nich wybierasz? O rany! Wyobrażasz to sobie? Matka dopytywałaby się, czy mam płaszcz przeciwdeszczowy i kalosze. Tato dawałby mi rewolucyjne rady: Tak, synu, w ten sposób walczyliśmy w trzydziestym szóstym. Dziękuję, postoję. Nigdy w życiu nie pozwalali mi

postępować samodzielnie. Zawsze mnie ochraniali.

– Jesteś dla nich niesprawiedliwy.

– Posłuchaj, wujku Jacku, muszę już kończyć. Jakiś chochlik mnie podkusił:

– A jak to wszystko znosi Anne-Marie?

– Anne-Marie? W życiu się lepiej nie czuła. Nigdy nie widziałeś takiej energii i odwagi.

Tacy ludzie jak ona najlepiej się sprawdzają w podobnych sytuacjach.

– Hmm.

Mogłem to sobie wyobrazić.

– Jesteś do niej uprzedzony, prawda? Ty po prostu nie rozumiesz. Nie rozumiesz, że my nie wierzymy w monogamiczną zasadę jedna kobieta – jeden mężczyzna. Wierzymy w miłość do wszystkich, miłość dawaną wszystkim i przez wszystkich przyjmowaną.

– Wiem, wiem.

– Posłuchaj, Jacku, muszę kończyć.

– Cóż, powiem wszystko twoim.

– Jesteśmy nadal kumplami. Głupio mi się zrobiło.

– Wiem – powiedziałem.

– Na razie. Będę się odzywał.

Odłożył słuchawkę, w telefonie zrobiło się głucho. Zaraz zadzwoniłem do Harry'ego i Louisy, żeby niepotrzebnie nie trzymać ich dłużej w niepewności co do losów Hilla.

– Przekażę wam wszystkie szczegóły, jak się spotkamy.

Harry czekał na mnie przy drzwiach. W mieszkaniu było już sporo ludzi – pojawili się pierwsi stali bywalcy.

– Chodźmy do sypialni – powiedział Harry. – Louisa już tam czeka. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Poszedłem za nim długim korytarzem, omijając wejście do salonu.

– Może to moje wybujałe *ego* – powiedział Harry – ale po prostu nie chcę, żeby tamci się dowiedzieli, że Hill zadzwonił do ciebie, a nie do mnie.

Louisa siedziała na łóżku, oparta plecami o stos satynowych poduszek. Nie wyglądała na zrozpaczoną, nie była nawet smutna. Miała na sobie domową sukienkę, włosy związała z tyłu. Przypuszczalnie przed chwilą przyrządzała w kuchni *curry*. Rozkoszny zapach tej potrawy unosił się w korytarzu, kiedy wszedłem do mieszkania. A zatem nie miało to być codzienne, rutynowe spotkanie, tylko jedno z jej tradycyjnych, przedrewolucyjnych przyjęć niedzielnych. Louisa była najwyraźniej w dobrej formie, co mnie trochę zaskoczyło.

Powtórzyłem im wszystko, o czym mówiliśmy z Hillem. Okazywali zainteresowanie, nie denerwowali się i nawet nie zadawali pytań, prócz jednego, kiedy powiedziałem, że Hill dzwonił z kawiarni.

– Skąd? – spytali oboje.

Powiedziałem, że z Place Contrescarpe. Znali tę okolicę starych domów z poddaszami, podobnie jak ja. Prawdę mówiąc, znajdowała się w zasięgu niedługiego spaceru od miejsca, w którym byliśmy. Nieraz się tamtędy przechadzaliśmy.

– On po prostu nie chce od nas żadnej pomocy – powtarzałem. – Upiera się, że to jest coś, co on musi i chce robić sam.

Przełknęli to chyba dość gładko.

– Wydaje mi się – powiedział Harry – iż Hill nie rozumie, że my jesteśmy po jego stronie.

– Ja myślę, że rozumie. I myślę, że właśnie to mu się nie podoba. Myślę, że wołałby, gdybyście byli przeciwko studentom, tak jak inni rodzice.

– Nie sądzę, żeby rodzice byli przeciwko studentom – stwierdził Harry. – To niepodobne do Francuzów.

– Z tego, co mi się obilo o uszy, niektórzy są przeciwni.

– Może nie – powiedział Harry. – Może nie. Louisa nagle zerwała się z łóżka, zaaferowana.

– Muszę wracać do kuchni – powiedziała. – Dopilnować *curry*. Wrócę za parę minut.

Dała nam wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, byśmy jej towarzyszyli, toteż obaj pozwoliliśmy jej odejść.

– Mam nadzieję, że nie piśniesz słówka o Hillu w towarzystwie – powiedział Harry z dziwnym, salonowym śmieszkiem, kiedy szliśmy korytarzem.

– Oczywiście – zapewniłem go. – Ani słowa.

Ale trochę się zdenerwowałem, że prosił o to po raz drugi.

Kiedy weszliśmy do podłużnego salonu, był prawie pełen. Zebrali się wszyscy stali bywalcy, plus sporo innych gości; razem jakieś dwanaście do czternastu osób.

Niedzielne przyjęcia Louisy zdobyły sobie pewną renomę w Paryżu w ciągu ostatnich sześciu lat. Co prawda lepiej znano je w kręgach artystycznych niż w amerykańskim środowisku biznesmenów. Zaczęły się bardziej przez przypadek niż jako świadomy zamysł. Ponieważ wszystkie trzy pokojówki Portugalki miały wychodne w niedzielę, Louisa zaczęła co niedziela przyrządzać *curry*, zwłaszcza że i tak musiała być w domu z McKenną. Louisa umiała robić wspaniałą, prawdziwie orientálną *curry*. Tak się złożyło, że parę osób wpadło raz i drugi w niedzielę, po czym zaczęło powracać. Wieść się rozeszła i coraz więcej osób ubiegało się o zaproszenie. Louisa nie robiła problemów, nie były to jakieś oficjalne spotkania. Zarazem jednak dbali oboje z Harrym o to, żeby ich dom nie stał się domem otwartym, gdzie można wpaść bez zaproszenia. Przychodzili głównie artyści, malarze, pisarze, paru właścicieli galerii – niemal wyłącznie mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej, przedstawiciele wielu narodowości. Niekiedy Hill przyprowadzał swoich kolegów studentów, Amerykanów i Francuzów. Bywali luźni znajomi

Harry'ego z kręgów filmowych. Bywali przygodni przedstawiciele amerykańskich sfer biznesu – bankierzy, prawnicy, inżynierowie, właściciele spółek. Ludzie biznesu przychodzili raz, góra dwa razy, po czym jakoś się więcej nie pojawiali.

Nie sądzę, żeby to miało wynikać z jakichś drastycznych, fundamentalnych różnic. Przypuszczam, że po prostu niezręcznie się czuli w naszym towarzystwie. Byliśmy porywczy i wybuchowi. Poruszaliśmy wszystkie tematy. Nie było dla nas świętości. Dużo się piło. Padało wiele słów niecenzuralnych, aczkolwiek Louisa nigdy ich nie używała, podobnie zresztą jak ja. Musieli się czuć niezręcznie. Poza tym wydaje mi się, że żony biznesmenów bez ostentacji, ale zdecydowanie nie lubiły Louisy. Tak jak miały jej za złe brzydkie wyrazy – choć z jej ust nigdy ich nie słyszały – jakby uważały, że nie powinna tolerować takiej wulgarności w swoim domu, zwłaszcza w obecności nieletniej córki.

Z biegiem czasu zacząłem podejrzewać, że niektórzy mężczyźni przedstawiciele amerykańskich sfer biznesu, choć nie wszyscy, chętnie bywaliby częściej. Ale ich żony nie miały zamiaru im na to pozwolić.

Co Louisie, oczywiście, było dokładnie obojętne.

Tej niedzieli nie było bodajże ani jednego przedstawiciela amerykańskich kręgów biznesu.

Podeszliśmy z Harrym do baru-ambony.

McKenna, która siedziała przy stole zajęta czymś, co miała przygotować do szkoły, podbiegła do mnie z wyciągniętymi rękoma, chcąc, żeby ojciec chrzestny podniósł ją do góry, podrzucił i wycałował. Coraz trudniej ją było podrzucać. Rosła bardzo szybko. Przy barze omawiano wydarzenia z końca tygodnia: nieoczekiwany powrót Pompidou, jego jeszcze mniej oczekiwane przemówienie i zaakceptowanie żądań studentów.

Wedle najświeższych wiadomości, na wtorek czternastego zapowiedziano jednodniowy strajk powszechny jako protest przeciwko „represjom policyjnym”. Strajk ma objąć elektrownie, gazownie, wodociągi, transport, telefonię, telegraf, pocztę i taksówki. Wszyscy opowiadali się po stronie studentów. W poniedziałek po południu i we wtorek rano ma nie być gazet. Banki, szkoły i liczne sklepy pozostaną zamknięte. Studenci, nauczyciele i robotnicy przemaszerują przez Paryż w proteście przeciw „represjom”.

Przy barze panowało mniemanie, że wszystko skończy się na krzyku. Ktoś użył formuły, -jednodniowa wojna studencka”, inni ją podchwycili. Panowało podniecenie z powodu zwycięstwa studentów, ale i tęsknota za już skończoną rewolucją. Wszyscy byli dogłębnie przekonani, że rzecz dobiegła końca. Ja jednak nie mogłem zapomnieć Hilla i tego, co mi powiedział przez telefon.

W końcu salonu pojawił się Weintraub z Samanthą. Najwyraźniej zaprosiła ich Louisa. Zbliźali się powoli w naszą stronę, witając się z innymi gośćmi.

Ktoś doszedł jeszcze przed nami, tak że w pokoju znajdowało się jakieś osiemnaście,

dwadzieścia osób, w tym dwóch Murzynów: smukły, wspaniale umięśniony tancerz z Folies Bergere, przyjaciel Louisy i Harry'ego, ale bardziej Louisy. Drugim był starszy wiekiem malarz, dziś ubogi, ale kiedyś przez dziesięć czy piętnaście lat dość sławny w Nowym Jorku i w Paryżu, człowiek o dworskich manierach staromodnego dżentelmena z Wirginii. Dobry był z niego malarz. Wprowadził go do Gallagherów Weintraub. Jeśli nawet Samanthę zaskoczyła czy zmartwiła, czy w inny sposób poruszyła obecność w *tym* miejscu dwóch amerykańskich Murzynów, nie dała tego po sobie poznać. Podejrzewam jednak, że nie przyjęła tego całkiem obojętnie.

McKenna zerwała się od stołu, żeby podbiec do niej i objąć ją za kolana. Samantha pogłaskała małą po głowie i pocałowała. McKenna rzadko rzucała się do kogoś po całusa, więc poczułem się zazdrosny.

Dyskusja przy barze zogniskowała się wokół pytania, czy studenci, tak jak się odgrażali, spróbują w poniedziałek zdobyć, a następnie okupować Sorbonę. Ktoś się zastanawiał, czy aby nie zrezygnują. Po *tym*, jak Pompidou zapowiedział otwarcie Sorbony.

– Byliby głupi – powiedział Harry. Spojrzałem na niego znacząco. Ciągnął nie spieszony:

– Pompidou ustąpił przed ich żądaniami. O co dalej walczyć? Teraz nadeszła pora, żeby zasiąść do rokowań z władzami. Zdobyć reformy, jakie chcieli wprowadzić na uniwersytecie. A nie blokować otwarcie Sorbony.

– Nie wierzcie w to! Oni tak nie postąpią! – zagrzemiał, zbliżając się, Weintraub. Ramieniem obejmował Samanthę.

Przy barze Ferenc Hofmann-Beck, który dotychczas wyróżniał się gadatliwością, zsunął się ze stołka i odszedł. Po drodze złożył Samancie głęboki ukłon i uśmiechnął się do niej słodko, z monoklem w ręce. Już nie wrócił.

– Ale dlaczego? – spytał Fred Singer, komentator telewizyjny. – Ja się zgadzam z Harrym. O co dalej walczyć? Po *tym*, jak Pompidou zgodził się na niemal wszystkie ich żądania?

– Dlatego, że młodzi nie ufają rządowi – zahuczał najniższym *basso* Weintraub. – Właśnie dlatego. Zawsze kiedy władze coś obiecują i sprawy zaczynają się uspokajać, władze odstępują od danego słowa i wymuszają na studentach kolejny krok. A potem posyłają swoich szakali, policję, i twierdzą, że to wszystko wina studentów.

Pomyślałem sobie, że mówi zupełnie jak Hill.

– To prawda – przyznał Fred Singer – władze postępowały dwulicowo.

– Wszystkie władze tak postępują – wtrąciłem z przekąsem. – Wystarczy spojrzeć na nasze.

Niemal wszyscy byliśmy przeciwnikami wojny w Wietnamie, jeśli nie z powodów moralnych i politycznych, to ze strategicznych i taktycznych. Rokowania paryskie na ten temat miały się rozpocząć następnego dnia, w samym środku tutejszych wydarzeń. Cała dyskusja nagle mnie znudziła.

– Chyba masz rację – powiedział Harry do mnie. A potem do Weintrauba:

– Jeśli te dzieciaki chcą grać z dorosłymi, powinny wiedzieć, jaki to nieczysty interes, zanim się zabiorą do walki.

– Uczą się – odparł Weintraub. – Uczą się cholernie szybko. Studentom zależy na mocnej pozycji przetargowej – zahuczał najgłębszym basem. – Ich zdaniem mogą ją zdobyć tylko pod warunkiem, że nie dopuszczą do otwarcia Sorbony i będą ją okupowali.

Tym razem zabrzmiało to tak, jakby wręcz cytował jednego ze studenckich przywódców.

– Skoro tak, to może rzeczywiście powinni okupować Sorbonę – powiedział Harry. Zaczął się w irytujący sposób drapać po wianku krótkich włosów, otaczającym jego spiczastą łysą czaszkę. – Ale przecież, cholera jasna, policja może ich stamtąd w każdej chwili wykurzyć.

– Akurat teraz policja nie odważy się na to – stwierdził Weintraub. – A rząd nie ośmieli się jej tego rozkazać. Jak myślicie, po co ten wielki strajk? Wszyscy są po stronie studentów. Nawet sklepikarze na nie Gay-Lussac, których sklepy spłonęły, oni też są po stronie studentów. A te dzieciaki są wściekłe. Czy wiecie, że nikt nie ma pojęcia, ile osób odniosło rany w nocy z piątku na sobotę? Dosłownie setki nie zgłosiły się do szpitali.

– Skąd ty masz te informacje, Dave? – spytałem podstępnie, patrząc na Harry'ego.

Obejmująca Samanthę ręka Weintrauba ześlizgnęła się na jej biodro, facet wypiął masywny tors. Zrobił właściwą sobie, dramatyczną pauzę.

– Od samych dzieciaków – zaintonował basowo. – Od nich samych.

Obrócił się do Harry'ego.

– A twój Hill jest wśród nich. Nawiasem mówiąc, ma się dobrze.

– Tak. Wiemy, że ma się dobrze – odpowiedział Harry. – Dzwonił do nas.

– Cóż, prosił mnie, żebym wam to przekazał. – Weintraub trochę spuścił z tonu.

– Popisywał się przed kolegami – rzucił Harry. – Zdaje się, że w tej chwili kontakty z rodzicami nie są w modzie.

Spróbowałem przejąć częściowo ciężar rozmowy.

– Gdzie się z nim widziałeś, Dave?

Weintraub był zachwycony, że może o tym opowiedzieć. Przestał obejmować Samanthę, żeby wzmocnić efekt oracji pełną rozmachu gestykulacją. Spotkał całą grupę studentów w kawiarence przy Carrefour Odeon, która się nazywa Monaco, przed laty przesiadywali tam amerykańscy bitnicy, on zaś zachodzi tam często, bo jest tanio. Znałem to miejsce – dość obskurna spelunka. Tak czy siak, Dave widywał tam grupę młodych ludzi, najwyraźniej studentów, którzy codziennie zajmowali stół w głębi lokalu, aż wreszcie pewnego dnia zauważył, że jest wśród nich Hill, i zaczął z nimi rozmawiać. Wszyscy studiowali filmoznawstwo na Sorbonie, większość także socjologię, podobnie jak Hill. Planowali, co zrobią w razie okupacji Sorbony, za którym to posunięciem głosowały wszystkie ugrupowania studenckie. Byli

przywódcami specjalnego Comite du Cinema des Etudiants, mającego zadanie filmowania zamieszek, okupacji Sorbony i w ogóle rejestrowania wszystkiego, co zdarzy się później, aż do końca rewolucji – bez względu na to, jaki będzie. Oczekiwali, że dojdzie do starć. Z nakręconego materiału chcieli zmontować film, który pokaże światu prawdziwą Studencką Rewolucję Francuską. Kiedy opisywał niektórych, jak Anne-Marie, długowłosego Terriego, brodacza Bernarda, rozpoznałem grupę Hilla, którą do mnie przyprowadził. Weintraub zaoferował im wszelką pomoc, jaką mógł służyć, a oni ofertę przyjęli. Mieli stałą godzinę spotkań w Monaco, codziennie o trzeciej, pół do czwartej, jeśli tylko komuś coś ważnego nie przeszkodziło; zaprosili Weintrauba, żeby też przychodził. Widział się tam z nimi tegoż popołudnia. Żadne z nich nie odniosło ran w nocnej bitwie piątkowej.

– Dziś po południu? – spytał Harry. – W Monaco? Tam ich widziałeś?

Hill powiedział mi, że dzwoni z Place Contrescarpe. Ale przecież nie było w tym sprzeczności.

– Tak – potwierdził Weintraub. – Czemu pytasz? Wiecie, najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że studenci dogadali się z robotnikami. Mówili mi, że ich delegaci pracowali nad tym jak wściekli przez cały tydzień, jeżdżąc po fabrykach i montowniach samochodów. To bardzo ważna rzecz.

– To rzeczywiście prawda – wtrącił Fred Singer – dlatego począwszy od wtorku sytuacja będzie jakościowo zupełnie inna.

Nagle rozmowa zeszła na całkiem inny temat, na robotników dziś, ich plany, żądania, nadzieje na podwyżkę płac. Harry nad głowami rozmówców obdarzył mnie znaczącym, konspiracyjnym spojrzeniem. Ale nie wiedziałem, co mi chciał przez to powiedzieć, przekazać. Było rzeczą całkiem możliwą, że Hill w ciągu popołudnia pojawił się i na Contrescarpe, i przy Odeonie, a poza tym z faktu, że tam był lub nie, nie wynikało nic rozstrzygającego. Nie chwytalem, o co Harry'emu chodzi.

W tej samej chwili Samantha Everton, która dotychczas praktycznie się nie odzywała, włączyła się nagle do dyskusji, i to na całego.

– Myślę, że to wszystko czczy gadanina – powiedziała do nas wszystkich z uśmiechem maskującym ostrze wypowiedzi.

Wydaje mi się, że właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałem o niej *per* „Sam”. Mówiła wcześniej, że lubi, jak się tak do niej zwracać. Zamiast „Samantho!” lub „Samantho-Marie!” Myślę, że sprawił to ten uśmiech.

Rozdział dziewiąty

Harry uśmiechnął się do niej szeroko.

– Powiedz: „pieprzona”. Albo nawet „pierdolona”. Tutaj możesz sobie na to pozwolić.

– Niech ci będzie. Mówię, że to pierdolona gadanina.

– Co mianowicie?

– Cała ta studencka rewolucja. Ona niczego nie zmienia.

Wspięła się na stołek i uśmiechnęła się do Harry’ego.

– Nawiasem mówiąc, ja też widziałam dziś twojego syna. Miły chłopak.

– Tak, jasne – potwierdził Harry. Po dłuższej chwili dodał: – Cieszę się, że u niego wszystko w porządku. To rzeczywiście miły chłopak.

– Przemily – stwierdziła Sam. – Ale dużo za młody i zbyt wielki idealista, jak na mój gust.

– Jest w twoim wieku.

– Wiem. Ale nie ma tego doświadczenia, które ja mam. Wolę starszych, którzy już trochę poznali życie.

– Więc myślisz, że rewolucja niczego nie zmieni?

– Takich mężczyzn jak ty – kontynuowała Sam z uśmiechem. – Co? Czyż zmieni?

Podniosła głos i zebrani przy barze ucichli, żeby jej posłuchać.

– Oczywiście, że nie. Nic a nic. Jasne, studenci zmuszą ich do ustępstw i reform w niektórych sprawach. Ale tak naprawdę to nic się nie zmieni. W wysoce zorganizowanych społeczeństwach, takich jak nasze, nie zdarzają się rewolucje. I moim zdaniem chyba wcale nie są potrzebne. Spójrzcie, ile Rosjanie zapłacili za swoją rewolucję. Dziś każdemu należy się prąd, woda, gaz i samochód. Ale rewolucja? O kant dupy potłuc. Przecież jakby była rewolucja, nie działałaby telewizja.

Weintraub skończywszy swoją przemowę znów objął Sam i w tej chwili jego dłoń spoczywała na jej biodrze, na samej kości biodrowej. Siedząca obok mnie Sam nagle poruszyła niecierpliwie biodrem i dłoń Weintrauba znikła z niego jak zestrzelona.

– Te dzieciaki wyszły na ulicę, żeby się zabawić jak nigdy w życiu. Bawią się w „wojnę”. Robią podchody. To je podnieca. Wygłupiają się bez opamiętania. To cała prawda na ten temat!

Obdarzyła nas wszystkich typowym dla niej uśmiechem arabskiej ulicznicy.

– Rozumiem z tego, że twoim zdaniem studencka rewolta w Paryżu nie jest wielkim wydarzeniem.

– Niezbyt wielkim.

– Wiecie, ona dopiero co przyjechała z Ameryki – wtrącił Weintraub.

– To prawda, dopiero co przyjechałam z Ameryki. Ale mieszkałam przedtem we Francji. Dość długo. Przez dwa lata chodziłam tu do szkoły.

Jej głos brzmiał teraz śpiewnie.

– Poza tym byłam w CORE. Pracowałam dla SNICK. No i należałam do SDS. Wszyscy studenci to dupki i błązny. W życiu nie spotkałam takiego, który by nie mieszał osobistych ambicji do altruizmu. Ani jednego. Rzygać mi się chce na słowo „student”.

– No, a Mickey Schwerner i tamci dwaj? – spytał Harry. – Chaney i Goodman?

– James Chaney i Andy Goodman. Cóż oni? Nie żyją. To było dawno temu. Więc cóż oni? Wiedzieli, w co się wdają. Albo powinni byli wiedzieć. Byli świadomi ryzyka, jakie podejmują. Ci dwaj biali żydowski chłopcy to dwa dupki z Północy. Skończeni głupcy. Nie wierzyli, że te typki ich zabiją. A ten czarny, James Chaney dobrze wiedział, na co się naraża w swoim rodzinnym stanie. Wszyscy poszli tam dobrowolnie.

Lekko przesunęła wysoko osadzoną murzyńską pupę na starym, siedemnastowiecznym klęczniku.

– Ach, to wszystko ma podłoże seksualne, przecież wiadomo. Na pewno jeśli chodzi o białych. Przypuszczalnie także u czarnych. Czytaliście tę książkę? Tę, którą napisał Huie? Czy on spekuluje na temat roli, jaką upodobania seksualne tamtych typków odegrały w zamordowaniu tych trzech chłopców? Nie.

– Czynył do tego aluzje – powiedział Harry.

– Ale czy spekulował na temat prawdziwego znaczenia tych aluzji? Czy pisał o tych wariatkach, co dzwoniły z lubieżnymi doniesieniami o orgiach w ośrodku? Tam, na Południu, każdy zwariowany typek wierzy, że Murzynki umieją lepiej ruszać dupą i lepiej ścisnąć * tam w środku. A każda biała kobieta wierzy, że każdy czarny ma olbrzymiego fiuta i może się pieprzyć przez całą noc. I nienawidzą swoich białych mężczyzn za to, że ci przelatują czarne dziewczyny. A typki boją się, że wielkie czarne byki przyprawią im rogi. I słusznie. Bo nawet jeśli białe kobiety tego nie robią, to na pewno o tym myślą. Nie, tam wszystko jest przesycone chorym seksem. Ci nowojorscy socjologowie nie mają polotu. Wydaje im się, że na te problemy znajdą odpowiedź w podręczniku socjologii na temat praw człowieka. O tamtych problemach jeszcze nie ma podręczników.

– Widzę, że dobrze znasz Południe – powiedział Harry.

– Cóż, było się tam – stwierdziła Sam. – Ci studenci. Zbiera mi się na śmiech. Także kiedy was słucham.

Zsunęła się ze stołka. Nic nie piła.

– Wasi studenci wywalczą reformy. A raczej cuchnące popłuczyny po reformach. I co dalej? Na razie biegają po ulicach, wrzeszczą, zrobili sobie wakacje i bawią się w policjantów i złodziei. Bawi ich to, bawi to też was, bawi policjantów i bawi całą Francję. To nudne. Wołałabym

rozmawiać o tańcach.

Wtrąciłem się w tym miejscu.

– Czy w ten sam sposób traktujesz rozruchy rasowe w Stanach?

Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Odpowiedziała mi z uśmiechem.

– Oczywiście, prawie tak samo. Tyle że kiedy ja tam byłem, mieliśmy parę pistoletów, zabiliśmy paru ludzi i spaliliśmy parę domów towarowych. Tam przynajmniej stare Murzynki są na tyle mądre, że biorą sobie przy takiej okazji za darmo nowy telewizor. Ale gadanie o zmianie społeczeństw, o zmianie świata!

Potrząsnęła głową.

– Świat... – zaczęła i urwała, szukając odpowiedniego słowa – ...świat wszystko wchłania. W ostatecznym rozrachunku. Zastanawiam się, czy w drugim końcu sali toczy się jakaś ciekawa rozmowa.

I poszła sobie.

– Hej, to było głębokie! – zahuczał Weintraub. Chciał pójść za nią, ale spojrzała na niego z tak pogardliwą niechęcią, że przystanął i zawrócił do baru. Widziałem natomiast, jak Louisa podchodzi do Sam. Jej perora niewątpliwie przytłumiła dyskusję przy barze – po chwili wszakże rozgorzała ona na nowo. I znów na temat robotników, pytanie, jak dalece zaangażują się po stronie studentów. Ale i ten temat wygasł. Ludzie odchodzili od baru. Wreszcie zostaliśmy tylko w trójkę, Harry, Weintraub i ja. Skupiliśmy się w końcu baru. Harry chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Sam. Przyjechała do Paryża z Nowego Jorku, powiedział nam Weintraub, jest w drodze do Izraela i skończyły się jej pieniądze. Ale to nie całkiem odpowiada prawdzie, dodał. Przyjechała z Nowego Jorku wiedząc, że nie starczy jej pieniędzy na podróż do Izraela. Myślała, że coś tutaj wykombinuje, żeby się tam dostać.

– A jej matka? Rosalie? – spytał Harry.

– Jej matka najwidoczniej nie daje jej pieniędzy – powiedział Weintraub. – Ona twierdzi, że jej matka nie śmierdzi groszem.

Potem jeszcze powiedział, że Sam wybiera się do Izraela, żeby tam z kimś trochę pomieszkać.

– Z chłopakiem? – spytał Harry.

– Nie – odparł Weintraub. – Z dziewczyną. Rodowitą Izraelitką.

Powiedział to jakoś znacząco.

– Dobry Boże! – zawołał Harry. – Żydóweczka lesbijka?

– Czemu nie?

– Więc Sam jest lesbijką?

– Przypuszczalnie. Takie sprawia wrażenie – powiedział Weintraub siląc się na uśmiezek. –

Ale z moich z nią doświadczeń wynika, że na dwoje babka wróży.

– Nie drocz się z nami, Weintraub, opowiedz nam o wszystkim – rzuciłem.

Napuszył pokąszną pierś niczym gołąb. Nie dał się długo prosić. Siedziała u Castela w mini, z Francuzką, którą Dave trochę znał, ale bardzo luźno, nad popijaną niechętnie whisky z wodą sodową. Castel, którego pożegnała dwa lata temu, postawił jej butelkę z okazji powrotu. Tam Dave ją poderwał. Powiedziała mu, że miała nadzieję, iż ktoś ją poderwie, bo nie ma gdzie spać. Rano wysiadła z samolotu z Nowego Jorku z dziesięcioma dolarami w kieszeni. Torby zostawiła w skrytce bagażowej w Invalides Aerogare. Weintraub zabrał ją do swojego jednopokojowego, jednołóżkowego mieszkania w *pension*. Czuł się dość dziwnie i niezbyt dorzecznie tamtej nocy, bo było to w zeszły wtorek, kiedy spędził trochę czasu ze studentami na ulicy. Jego ubranie i włosy przesiąknięte były zapachem gazu łzawiącego. Podobnie zresztą jak pokój przy nie Conde, kiedy do niego weszli. Na Carrefour Odeon toczyły się walki. Dave wziął prysznic i posmarował oczy maścią. Kiedy wrócił do pokoju w nocnej koszuli, Sam siedziała naga na skraju łóżka. Spojrzała na niego zagadkowo i spytała, czy nie miałby ochoty, żeby zaprosiła tamtą drugą dziewczynę, Francuzkę. Oczywiście nie miał nic przeciwko temu, więc Sam zadzwoniła. Kiedy czekali (nalegała, żeby poczekali), zapytał ją, dlaczego nie dała się tamtej poderwać, skoro o to jej chodziło, a ona odpowiedziała, że próbowała, ale tamta nie wykazała większej inicjatywy. Ona sama natomiast uważała, że nie ma prawa podrywać Francuzki, skoro nie dysponuje pokojem, do którego mogłaby ją zabrać, ani wystarczającą sumą, żeby wynająć pokój. Poza tym pomyślała, że tamta może lubi, jak jest przy tym jeszcze facet. „A ty lubisz?” – spytał. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Powiedziała tylko: „Przecież tu jestem, mały”. Potem rozległo się stukanie do drzwi i wpuścili tamtą dziewczynę. Dave setki razy widział ją, jak kręciła się z chłopakami. A teraz przyszła tutaj. Nigdy nie podejrzewał, że lubi robić to także z dziewczynami.

– Ludzie – rozpromienił się Weintraub. – Mówię wam, nie ma nic lepszego na świecie, jak robić to z dwiema dziewczynami, które lubią kochać się w ten sposób.

Rzuciłem okiem na Harry’ego. W głębi oka jarzył mu się mroczny ognek.

I tak kontynuowali zabawy przez trzy dni, ciągnął Weintraub, pomijając chwile, kiedy tamta dziewczyna musiała pokazać się w domu, zameldować się rodzicom. Harry zezował na niego zza baru, wsparty na łokciach, ale nic nie mówił.

– Do diabła, znam ją od pięciu dni – szczyrzył do nas zębami Weintraub – a tyle mnie zdążyła nauczyć.

– Daj spokój, Dave – przerwał mu Harry. – Nie wmówisz mi, że ktoś mógłby cię jeszcze czegoś nauczyć. Zwłaszcza po ostatniej zimie.

Trudno Weintraubowi zarzucić powściągliwość w mowie. Teraz jednak tylko się uśmiechnął. Przydadzą się tu dwa słowa wyjaśnienia. Przez ostatnie kilka miesięcy przed rewolucją

Weintraub obracał się w paryskich kręgach orgiastycznych. Było międzynarodową tajemnicą poliszynela, że są w Paryżu dwa albo trzy miejsca, gdzie za odpowiednią opłatą możesz przyprowadzić swoją żonę lub dziewczynę, zostawić całe ubranie w szatni, nago pić przy barze i tańczyć, a gdy wam przyjdzie na to ochota, wycofać się do jednego z zaopatrzonych w kanapy pokoików na piętrze, gdzie inni poszli już przed tobą, i tam oddawać się igraszkom. Może się zdarzyć, że zaprosi cię na górę ktoś, z kim nie byłeś umówiony, ale wtedy przysługuje prawo odmowy, podobnie jak w tańcu. W tych miejscach trzeba jednak płacić. Ponadto jest cała masa zwolenników orgii, którzy spotykają się w domach prywatnych – tam nie wypada odrzucić zaproszenia. Weintraub przeżył w Paryżu blisko dwadzieścia lat obywając się bez orgii, aż tu nagle wszedł w to środowisko, najpierw złożony zapewne wizytę w jednym z płatnych miejsc. Pamiętam, jak opowiadał o tym Louisie, podczas jej niedzielnego przyjęcia jakieś dwa miesiące temu: gdy wszedłem, stał w kuchni i opowiadał, a ona szykowała *curry*. Zaraz też, w sobie właściwy sposób, opowiedział o tym wszystkim znajomym, toteż każdy wiedział, jakie doświadczenia orgiastyczne ma za sobą Weintraub. Louisa czerwieniła się, kiedy opowiadał jej o tym wtedy w kuchni, ale i ona chciała słuchać jego opowieści. Kto by nie chciał? Kochana Louisa.

– Do licha, Harry – powiedział Weintraub. – Wiesz, że zerwałem z orgiami, już po paru miesiącach. Mówiłem ci o tym. Robią się w końcu nudne. Spróbowałem, żeby się przekonać, jak to jest.

Po pauzie dodał:

– No, w każdym razie na pewno miałem dość, dopóki nie pojawiła się Sam. Ona chyba dała mi poznać więcej ludzi i więcej domów w ciągu ostatnich pięciu dni, niż mogłem sobie wyobrazić.

Znowu zrobił pauzę.

– Ona lubi, wręcz kocha tańczyć nago przed całym tłumem.

– Musiała ich wszystkich poznać, kiedy tu była dwa lata temu – powiedział Harry.

– Tak przypuszczam.

– Ale jednego nie rozumiem – zaczął intelektualizować Harry – a mianowicie, czego to nowego mogła cię nauczyć, z czym byś się nie zetknął w kręgach orgiastycznych.

– W tym rzecz – odparł Weintraub. – Niczego. Niczego w sensie fizycznym. Chodzi o coś innego. Ta dziewczyna jest kompletnie wyzbyta moralności. Nie ma poczucia winy. Nie mówię, że jest niemoralna; jest amoralna. Jest jak zdrowe, piękne młode zwierzę.

Przez twarz przemknął mu jakby cień.

– Nie ma poczucia winy wobec niczego ani nikogo.

Odwrócił się do Harry'ego.

– To właśnie było dla mnie nowe. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem. To nadaje seksowi

całkiem inny wymiar, całkiem inny rodzaj wymiaru, Harry.

– Tak, mogę to zrozumieć. Ale przyznam, że trudno mi sobie coś takiego wyobrazić.

– Cóż, mnie też było trudno – powiedział Weintraub i przez jego twarz znów jakby przebiegł cień.

Wkrótce potem Louisa zawołała, że jedzenie gotowe, i przyniosła z kuchni wielki gar *curry*. Inne kobiety przyniosły ryż, talerze, łyżki i widelce. Harry pootwierał butelki z zimnym winem. McKenna nie miała prawa udziału w niedzielnym ceremoniale jedzenia *curry* – dostała wcześniej kolację i teraz leżała już w łóżku. Ale pozostali przez godzinę wymachiwali widelcami, pałaszując ryż z *curry*, *chutney* i indyjskimi przyprawami, które Louisa kupowała u Fauchona, przepłukując od czasu do czasu piekące gardła zimnym *beaujolais*. Wszyscy byliśmy obrzydliwie napchani, spoceni i lekko pijani, kiedy w końcu ochotnicy zabrali się za zmywanie.

Tylko Sam nie piła wina. Zjadła też bardzo mało *curry*. Po symbolicznej dokładce porzuciła talerz i jakby zatopiła się w sobie. Pamiętam, jak siedząc na podłodze i odrywając wzrok od talerza widziałem ją, wyciągniętą na brzuchu przed wygasłym kominkiem. Żuła batonik Hersheya, o który zapewne postarała się dla niej Louisa, i czytała jeden z komiksów o Tin-Tinie, pozostawionych przez McKennę – dokładnie tak samo, dokładnie w tej samej pozycji co cztery dni temu, kiedy leżała tam obok McKenny.

To ona zaproponowała, żeby włączyć adapter. Na półce z płytami stało mnóstwo nagrań muzyki młodzieżowej, domena Hilla. Harry pomógł jej uruchomić skomplikowany system hi-fi, Sam wybrała stos płyt i puściła jedną z nich bardzo głośno. Potem całkiem sama zaczęła tańczyć te dziwaczne, niezborne, połamane tańce, które dla mojego pokolenia są nienaturalne i po prostu głupie. Wystarczała sama sobie, kompletnie ignorując pozostałych, w równym stopniu tych, co się przyglądali, i tych, co się patrzyli. Niektórzy z nas – ja nie – zaczęli tańczyć, ale po chwili rezygnowali. A Sam tańczyła dalej, całkiem sama, patrząc nie widzącym wzrokiem, podrygując całym ciałem, klepiąc się po pupie, sama jedna w kącie sali, póki nie skończyła się ostatnia płyta. Mogłem sobie wyobrazić, jak robi to naga. I mogłem sobie wyobrazić, że Harry też ją sobie taką wyobraża. Kiedy skończyła, wszyscy bili brawo, a ona obdarzyła nas słodkim uśmiechem, ale sprawiała wrażenie zaskoczonej, jakby dopiero w owej chwili zdała sobie sprawę z naszej obecności.

Jakiś czas potem podeszła do baru, gdzie staliśmy we dwójkę z Harrym. Przerzuciliśmy się tymczasem na whisky.

– O czym to reprezentanci starszego pokolenia rozprawiają tu z takim zatroskaniem?

Harry uśmiechnął się do niej. Najwyraźniej panował nad sobą lepiej niż podczas pierwszego z nią spotkania.

– O niczym, co musiałoby zaprzętać piękną główkę. Czy chciałabyś zaproponować jakiś

temat?

– Tak, rzeczywiście, chciałabym. Mianowicie mam na pana ochotę, panie Gallagher. – Uśmiechnęła się do niego uśmiechem, który rozpałił jej oczy tak bardzo, że nagle wydawały się kosmate i przegrane od nadmiaru energii. – Składam ci propozycję.

– Bardzo mi to pochlebia – odparł Harry.

Znów się do niej uśmiechnął, a oczy zwęziły mu się w dwie wąskie szparki. Potem uniół brwi i jego wysokie czoło pokryło się płątaniną zmarszczek. – Na pewno stanowilibyśmy w łóżku interesującą parę.

– Jest w wysokich łysych mężczyznach coś, co mnie naprawdę podnieca. Opalone łysiny. Opalone łysiny między moimi udami.

– Świetny pomysł! – powiedział Harry. – Ale obawiam się, że to niemożliwe, siostró Sam. Rozmyślnie i z emfazą użył tego hipisowskiego określenia.

– Dlaczego?

– Dlatego, że, niestety, jestem monogamistą. Obawiam się, że Louisie wcale by się to nie spodobało.

– Więc weź ją ze sobą. Przyprawdź Louisę i w trójkę pójdziemy do łóżka. Tak naprawdę to ona mi się podoba. Podoba mi się jeszcze bardziej niż ty. Prawdę mówiąc, myślę, że zakochałam się w Louisie.

Harry wciąż się uśmiechał.

– Cóż, to wspaniały pomysł – powiedział. – Wręcz znakomity. Tyle że nie mam nad Louisą tego rodzaju władzy. Będziesz jej to musiała sama zaproponować.

– Dobrze, zrobię to.

Lekko zsunęła się ze stołka-klęcznika i kołysząc biodrami poszła w głąb pokoju.

Stałem jak zamurowany. Harry też sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. Zszedł ze stołka i stanął za barem. Wychyliłem się, a kiedy stwierdziłem, że nie widzę jego twarzy, też zszedłem ze stołka i stanąłem obok niego.

Louisa siedziała na kanapie w drugim końcu sali razem z paroma gośćmi i o czymś tam rozmawiała, Samantha podeszła do nich i uklękła obok niej, opierając się łokciami o niski stolik do napojów.

– Czy będziesz się ze mną kochała, Louiso? – spytała.

Louisa wlepiła w nią oczy. Potem twarz jej się zaczerwieniła aż po korzonki włosów.

– Co? Co?... Co by twoja matka powiedziała, gdyby to usłyszała?

– Żartujesz? – spytała Sam.

Louisa zaśmiała się nerwowo. Inni też się śmiali.

– Zobaczysz! Naskarzę na ciebie twojej matce, niedobra dziewczyno!

Teraz i Sam się śmiała.

– Żartujesz! Moja matka była lesbijką na długo przed moim narodzeniem. Kiedy o tym myślę, dziwię się, że była z jakimś facetem na tyle długo, że w ogóle przysłała na świat.

– No dobrze – odpowiedziała Louisa. – Mimo wszystko, co cię opętało, żeby mi coś takiego proponować?

Ciągle była zaczerwieniona, ciągle podenerwowana.

– To dlatego, że się w tobie zakochałam – wyjaśniła Sam, przeciągając się i patrząc na Louise z uśmiechem. – Myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałam. Nie zauważyłaś tego poprzednim razem?

– Nie – powiedziała Louisa, rozglądając się z wyraźnym zażenowaniem. Wciąż śmiała się nerwowo. – Nie. Nic takiego nie zauważyłam.

– Zapropnowałam to samo Harry’emu przy barze. Po prostu liczyłam na to, że cię przyprowadzi. Tak naprawdę to zależy mi na tobie.

Louisa znów się rozejrzała. Nerwowo położyła rękę na piersi.

– Dość tego – stwierdziła. – Wstań. Ja miałabym się zadawać z kobietami? W życiu czegoś podobnego nie słyszałam. Pfuj.

Sam wstała.

– Mam pecha. Jak zwykle.

Odeszła od kanapy z ramionami opuszczonymi w ładnej parodii rozpacz.

– Jak zwykle mam pecha.

Dawno nie widziałem równie skandalicznego przedstawienia. Zarazem jednak Sam potrafiła zręcznie, z wdziękiem, obrócić całą rzecz w półżart, tak że w gruncie rzeczy nikogo nie zaszokowała ani nie obraziła. Co więcej, nikt nie mógł być pewien, czy ona w ogóle mówiła serio.

Rozbawiony Weintraub pojawił się obok nas przy barze.

– Czyż ona nie jest niezwykła? Widzieliście kiedyś coś podobnego?

Sam, z uśmiechem arabskiej ulicznicy, pojawiła się za nami.

– Chodź, Weintraub – powiedziała krótko. – Musimy iść na to party.

Odwróciła się do Harry’ego.

– Miałam pecha, Harry. Może uda mi się za następnym podejściem. Chodź, Weintraub! Nic mnie tu nie trzyma. Chodźmy na nasze party.

– Party! – rozpromienił się Weintraub. – Party!... Ona mnie zabiera na kolejną orgię!

– Orgia! – prychnęła Samantha, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem. – Orgia! Weintraub, orgia! Daj głos!

– Hauuuuu! – zareagował rozbawiony Weintraub. – Wrrr! Wrrr! Hau! Hau!

Wychodząc, Sam uściśnęła rękę Louisy i pocałowała ją czule w policzek. Louisa zaczerwieniła się. Inni goście też się wkrótce porozchodzili.

– Czy myślisz, że ją jeszcze kiedyś zobaczymy? – spytałem.

– Czemu by nie? – odpowiedział pytaniem Harry i roześmiał się.

– Gdybym była na jej miejscu, moja noga więcej by tu nie powstała – stwierdziła Louisa i spiekła raka.

– Ale nie jesteś – powiedziałem. – Myślę, że jeśli Weintraub będzie chciał ją przyprowadzić, ona przyjdzie. Ale czy ty ją wpuścisz?

– Oczywiście – odparła Louisa, nagle zaniepokojona. – Jak mogłabym nie wpuścić?

Ja też się pożegnałem i ruszyłem spacerem do domu, po raz pierwszy kompletnie trzeźwy.

Następnego dnia był poniedziałek i studenci, tak jak grozili i tak jak obiecali, zaczęli okupację otwartej przez władze Sorbony. Poszedłem się temu przyjrzeć ze znajomym dziennikarzem z tygodnika „Life”. Przypominało to ogromny cyrk. We wtorek zaś rozpoczął się wielki strajk i marsz protestacyjny przez cały Paryż. Stałem w ciemnym, pozbawionym prądu, wody i gazu mieszkaniu i patrzyłem, jak studenci i robotnicy przechodzą przez Pont de la Tournelle, ze zwiniętymi sztandarami, idąc w stronę Place de la Republique, gdzie miał się rozpocząć marsz. Nawet nie próbowałem pracować.

Potem, w środę wieczorem, „bezlądny tłum” studentów zrobił wypad z twierdzy-Sorbony przez rue Racine i rue de Vaugirard i zajął Theatre de l’Odeon, gdzie właśnie skończył się występ amerykańskiego zespołu tanecznego Paula Taylora. Wtedy zrozumiałem, co miał na myśli Hill, kiedy napomykał przez telefon, że mogą zająć nie tylko Sorbonę. Okupacja Odeonu odbywała się w ramach proklamowanej przez studentów nowej „rewolucji kulturalnej”.

– Jak zwykle mieliśmy pecha – miał powiedzieć dziennikarzom tancerz od Paula Taylora. Zespół nie mógł się wywiązać z umowy. – Przeważnie nie chcą nas, bo jesteśmy zbyt awangardowi. Tu nas wyrzucają, bo jesteśmy zbyt mieszczańscy.

W ciągu tych dni nikt z nas nie widział Sam Everton – ani też Weintrauba.

Rozdział dziesiąty

W środę dwa tysiące pracowników zakładów lotniczych Sud-Aviation w Nantes wzięło we władanie fabrykę i rozpoczęło okupację. Dyrektora i jego zastępców uwięziono w gabinetach. Był to spontaniczny, samorzutny strajk, całkowicie nielegalny. We Francji prawo stanowi, że strajk można ogłaszać z pięciodniowym wyprzedzeniem i że trzeba uzyskać pozwolenie władz i policji.

W czwartek (dowiedzieliśmy się o tym dopiero z popołudniowej prasy) podobnie przejęto i rozpoczęto okupację niektórych zakładów upaństwowionego przedsiębiorstwa Renault. Renault to główny producent samochodów we Francji. Od czasu przejścia przez państwo panowały tu najlepsze w całej Francji stosunki pracodawca-pracobiorca. Ponadto nad ranem rozpoczęła się okupacja fabryki części zamiennych w Cleon w Normandii. W czwartek rano jedenaście tysięcy robotników montażowni w Flins pod Paryżem przejęło swój zakład. W ciągu dnia opanowano kolejno fabryki w Le Mans, w Sandouville pod Hawrem i w Boulogne-Billancourt na przedmieściach Paryża.

W czwartek też Harry Gallagher zadzwonił i zaprosił mnie na lunch u Lippa, po czym mieliśmy się przejść na Sorbonę. Byłem tam już pierwszego dnia, a wpuszczono nas dopiero, gdy mój znajomy z „Life’a” pokazał legitymację prasową. Ale teraz młodzież otworzyła wrota, każdy obywatel mógł przyjść i popatrzeć. Nie miałem nic przeciwko propozycji Harry’ego, zwłaszcza że wiedziałem, jak ambiwalentne odczucia budzi w nim nieobecność Hilla.

Poszliśmy do Lippa od Harry’ego, mostem dla pieszych, przecinając Cite na tyłach Notre-Dame, a potem prosto nie des Bernardins do Place Maubert; dokładnie tą samą trasą, którą przemierzyłem tydzień wcześniej, także w czwartek.

Kiedy dotarliśmy do Place Maubert, okazało się, że ciągle panuje tam straszny bałagan. Ale powoli plac porządkowano, znikły wypalone samochody, a specjaliści Włosi układali na nowo brukowce powyrywane przez zrewoltowanych studentów. Jeszcze wtedy nikt w rządzie nie wpadł na pomysł zastąpienia kostki asfaltem. Zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć, jak pracują.

Był to piękny widok. Ci, co układali kostkę, pracowali na kolanach albo mocno pochyleni, kołyszając się w talii. Każdy mistrz kamieniarski miał dwóch czeladników, którzy dbali, żeby dwa stosy brukowców, przy lewej i przy prawej ręce, pełzły wraz z nim do przodu w miarę postępu pracy. Inni przygotowywali i nieustannie wygładzali piaszczyste podłoże, na którym układano bruk, a następnie posypywali i zmiatali piasek, który wypełniał szczeliny między kamieniami. Co jakiś czas podawacz kamieni, z reguły młody chłopak, odrzucał na bok jakąś kostkę, stwierdziwszy, że jest za duża albo za mała, albo nierówno ociosana. Odpadał mniej więcej co

siódmy kamień. Ale te, które podawał mistrzowi, też nie były do siebie dopasowane i wtedy następował cud. Kamieniarz, nawet się nie oglądając, sięgał za siebie po kamień, ważył go w dłoni raz i drugi, podrzucał, żeby zobaczyć odwrotną stronę z grubsza w sześciu ociosanej kostki, czasem podrzucał jeszcze raz, spoglądając ukradkiem na sześć czy siedem miejsc, wolnych i czekających na wypełnienie. Po czym kładł kamień, drugą ręką wygładzając i tak już gładkie piaszczyste podłoże – i kostka pasowała. Od czasu do czasu podnosił brukowiec, ważył w dłoni i dokładał. Pracowali niesłychanie szybko, położenie jednej kostki zabierało im piętnaście do dwudziestu sekund. A parę centymetrów na prawo od nich, tuż za ochraniającym ich sznurem, świeżo wznowiony ruch uliczny toczył się jednym pasmem bulwaru w kierunku rzeki po nawierzchni z brukowanych kamieni, którą tam niedawno na nowo położono.

Stojący obok mnie Harry wzrokiem wyraził swój podziw i uznanie; skinąłem głową na znak zgody. Poszliśmy w górę bulwaru w cieniu drzew. Rozmyślałem.

Paves – bruki Paryża – to rzeczywiście coś niepowtarzalnego. Zrobione z szarawego, cętkowanego kamienia, który wyglądał na granit i może naprawdę nim był, zostały z grubsza ociosane w sześciu o boku od dziesięciu do dwunastu centymetrów i każdy ważył około trzech kilo. Podobne scenki do tej, którą przed chwilą widzieliśmy, musiał w swych wędrówkach po Paryżu oglądać Villon. Kładziono kostkę w koncentryczne łuki, zawsze tego samego rozmiaru, i stapiały się one z innymi rzędami łuków w sposób trudny do rozszyfrowania. Nic tu się nie zmieniło od średniowiecza. Kiedy było mokro i padało, bruk połyskiwał oleście, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Biegłość i zwykła wytrwałość, jakiej wymagało układanie kostek w ten sposób, budziły podziw. To jedna z ginących sztuk. Myślałem sobie, że przykro byłoby kiedyś stwierdzić, iż cały bruk zastąpiono w Paryżu lepiałym się w gorące dni, brzydko pachnącym nowoczesnym asfaltem. Tymczasem podczas i po rewolucji majowej ten właśnie smutny los spotkał niemal wszystkie brukowane ulice w Dzielnicy Łacińskiej.

Po obu stronach zacienionego, pachnącego kurzem bulwaru widać było wyraźnie ślady walki i barykad. Na skrzyżowaniu z Boul' Mich', gdzie oczywiście stale dochodziło do starć, śladów było jeszcze więcej. Sześć wielkich wozów CRS stało tam wzdłuż bulwaru, tuż obok parkowych drzew i trawnika Musee de Cluny. Kolejny stał na skrzyżowaniu z rue Danton przed Ecole de Medicine, tuż za nim jeszcze jeden przy Carrefour Odeon. I tak dalej aż do Place St.-Germain.

Inne samochody CRS rozmieszczono w strategicznych punktach bocznych ulic, siedzący w środku umundurowani mężczyźni grali w karty, palili, czytali gazety albo śmiali się i rozmawiali. Ale na ulicach było pełno młodzieży, najczęściej długowłosej, roześmianej, ruchliwej, z wyrazem szczęścia i podniecenia na twarzach. Nie byli usposobieni wojowniczo, wręcz przeciwnie. Co trzeci młody człowiek miał na sobie czerwoną koszulę. Wielu nosiło też czerwone chusty. A wszystkie sklepiki z młodzieżowymi ciuchami przy rue de Seine i rue du Four (po naszymu: ulica Pieca) podchwyciły motyw czerwieni i eksponowały go w oknach wystawowych: czerwone

koszule, czerwone spodnie, czerwone skarpetki, czerwone szarfy. *Les commercantes* najwyraźniej opowiedzieli się już po stronie rewolucji.

Przeszliśmy na światłach przez zasypany śmieciami plac. Następnie torowaliśmy sobie drogę przez tłum młodych przeważnie ludzi, który kłębił się jak zwykle przed popularnym Drugstore St.-Germain. Brasserie Lipp mieści się tuż obok.

Po drugiej stronie ulicy słynne Deux Magots i Cafe Florę przycupnęły w kurzu pod oblanymi słońcem drzewami – wystawione na chodniku stoliki sięgały prawie do krawężnika. Tego roku przyjechało nadspodziewanie wielu turystów amerykańskich. Może chcieli zobaczyć i sfotografować rewolucję.

U Lippa dużo ludzi jadło lunch. W wahadłowych drzwiach, otwartych na stałe w gorące letnie dni, przywitał nas „młodszy” *monsieur* Cazes, właściciel, uprzedzając, że będziemy musieli poczekać. Spojrzał przy tym na mnie porozumiewawczo, żebym wiedział, że choć inni czekają dłużej, on wpuści nas bez kolejki. Usiedliśmy na zewnątrz i zamówiliśmy duże kufle piwa, które tu noszą nazwę „poważnych” (*un serieux*). Po tej stronie ulicy, poza zasięgiem słońca, było dość chłodno.

– Ciekaw jestem, co się dzieje tam, na Sorbonie – powiedział Harry, pociągając solidny łyk i wytarłszy pianę z wąsów.

– Ja też. Warto będzie porównać dzisiejszy dzień z pierwszym.

Siedzieliśmy więc i obserwowali przez jakiś czas twarze i pozy przechodniów – jedna z niewielu korzyści, jakie można wyciągnąć z paryskiego zwyczaju przesiadywania po ulicznych kawiarniach.

„Młodszy” *monsieur* Cazes przyszedł po nas, zanim zdążyliśmy dopić piwo, więc powiedziałem kelnerowi, żeby dopisał je do rachunku za posiłek. Inni oczekujący patrzyli na nas kosym okiem. Ale *monsieur* Cazes, „młodszy” *monsieur* Cazes, który miał może pięćdziesiąt sześć lat, tylko na nich spojrzął obojętnie, z zimnym uśmiechem.

Prawdę mówiąc, nie był już wcale „młodszym” *monsieur* Cazes. Ale tak go nadal w myślach nazywaliśmy. Był teraz „starszym” *monsieur* Cazes, odkąd dotychczasowy „starszy” *monsieur* Cazes, potężny siwowłosa, bardzo mieszczański dżentelmen, zmarł wiosną tego roku. Nie było więc „młodszego” *monsieur* Cazes, jako że nowy „starszy” *monsieur* Cazes nie miał syna.

Weszliśmy za nim do środka, przeciskając się wśród zatłoczonych stolików i kiwając znajomym literatom i filmowcom. U Lippa nie uznawano rezerwacji. Ale jeśli *monsieur* Cazes kogoś znał i uważał za godnego, miejsce zawsze się znalazło.

Nie mogę powiedzieć, że to ja wprowadziłem Harry’ego do Lippa. Bywał tam i wcześniej. Ale to ja wprowadziłem go do wewnętrznego kręgu, przedstawiając najpierw „starszemu”, a następnie „młodszemu” *monsieur* Cazes. Sam bywałem tam od dziesięciu lat, odkąd mieszkałem w Paryżu, a wprowadził mnie Romain Gary. Jak tylko właściciele dowiedzieli się, kim jestem i

co robię, i stwierdzili, że Romain Gary ceni mnie na tyle, że mnie wprowadza, zacząłem należeć do grona specjalnych gości, których jest może tysiąc, najwyżej dwa.

Nie sędzę, żeby właściciele dużo czytali, choć tu mogę się mylić, ani żeby mieli czas chodzić często do kina, a jednak bardzo poważnie i z równym zaangażowaniem traktowali swoich klientów z branży literackiej i filmowej.

Była to stara tradycja, sięgająca Fitzgeralda, Hemingwaya, Edith Wharton i Cocteau w latach dwudziestych, a nawet wcześniej. Zdaje się, że sięgała ona nawet okresu przełomu wieków. Od tego też czasu nie zmienił się wystrój restauracji.

Od kiedy go wprowadziłem, Harry zaczął przychodzić jeszcze częściej niż ja i w tej chwili był wręcz lepiej znany niż ja. Po prostu przystał do tego lokalu.

Kelnerzy od samego rana nosili czarne smokingi, fartuchy i staromodne muszki. Każdy miał na piersi metalowy numer, który dokładnie odpowiadał jego miejscu w hierarchii kelnerów, a pierwszeństwa strzeżono niezwykle zazdrośnie.

Ostatni Numer Jeden zmarł dwa lata temu, a nowy Numer Jeden, który nosił numer dwa, odkąd przyjechałem do Paryża, był małym pulchnym facetem, tak szerokim jak wysokim, z szopą siwych włosów i z pokrytym żyłami, zaczerwienionym nosem zagorzałego miłośnika czerwonego wina. Chodząc sapał i wydawało się, że nie ma już sił pracować, ale inni pomagali mu z niemal religijną czcią.

– *Numero Uno!* – zawołał Harry, kiedy *monsieur Cazes* przekazał nas odźwiernemu.

I Numer Jeden przytruchtał, żeby się z nami przywitać, a oczy tonęły mu w zwałach tłuszczu. To przedstawienie powtarzaliśmy z Harrym za każdym razem, kiedy któryś z nas pojawiał się u Lippa. Pomagało nam to utrzymać naszą tak tu cenioną amerykańskość.

– *M'sieu*, 'Artley, *M'sieu* Gallag-her – rozpromienił się Numer Jeden. – Miło panów widzieć!

Mniej więcej tyle umiał po angielsku. Moje nazwisko kelner wymienił na początku – choć to Harry bardziej teraz zasługiwał na miano bywalca – ponieważ znał mnie dłużej, a wszędzie szanował starszeństwo.

– *Comment ça va, Numero Uno?* – ryknął Harry.

– *Yeryfinne, veryfinne* – rozpływał się stary kelner. Kiedy wreszcie siedliśmy przy stoliku pod ścianą, czekał już tam na nas Numer Piętnaście.

Restauracja wyglądała w środku tak jak kelnerzy. Przechodząc przez próg wkraczało się w rok 1900. Pośrodku tylnej sali stały nie stoliki, lecz duży kredens, w którym przechowywano serwetki, pieczywo, przyprawy i sztuce; *les couverts*. Wokół kredensu bez przerwy tłoczyli się kelnerzy, którzy przychodzili po zastawę. Elektryczne oświetlenie wyglądało jak gazowe. Każdą ścianę zdobiło szerokie na metr lustro; wyciągając nieco kark można w nim było oglądać, niemal w nieskończoność, lampy i ludzi w kolejnych odbiciach. Między lustrami znajdowały się małe

kafelki z kwiatami wymalowanymi jaskrawą farbą. Przednia sala wyglądała dokładnie tak samo, tylko była szersza, a sięgająca do piersi drewniana przegroda dzieliła ją na dwa pokoje: w jednym podawano tylko kawę i napoje, w drugim również posiłki. Nad przegrodą, ale w pewnym odstępie, wisiała szklana płyta, tak że między oboma pomieszczeniami można było się porozumiewać i widzieć, kto siedzi za przegrodą. Na pierwszym piętrze była jeszcze jedna *salle*, ale tam chodzili tylko przypadkowi goście.

W czwartki *plat du jour* było zawsze *fricandeau du veau rôti* oraz *cassoulet maison*. W piątki podawano *brandade de morue* oraz *raie au beurre noir*. W soboty i niedziele można było zjeść *boeuf gros sel* oraz *gigot d'agneau*. *Sole meuniere* oraz *choucroute garnie* należały do codziennego menu.

Harry zamówił śledzia bałtyckiego, którego podawano z cebulą i całymi ziarnkami pieprzu w sosie *vinaigrette*, do tego *cassoulet*. Ja nie miałem tego dnia ochoty na *cassoulet*, który jest przepyszny danie z różnych gatunków mięsa i kiełbas, gotowanych z białą fasolą w czerwonym sosie pomidorowym, podawanym w kamionkowych garnkach, ale nieco ciężko strawnym. Uwielbiam *cassoulet*, zamówiłem jednak *boeuf museau vinaigrette*, a następnie *stekipommesfrites*. Do przekąski wypiliśmy znów po kuflu piwa, do pierwszego dania butelkę *bordeaux*. W sumie skończyło się na dwóch butelkach *bordeaux*. Zналиśmy przynajmniej co drugą osobę w przepelnionej tylnej sali.

– Tu nie sięga rewolucja – powiedział z uśmiechem Harry, kiedy podawano nam śledzia i *museau*.

– Nie – odparłem – ale oni też mieli swoje ciężkie czasy. Przeszli przez trudne chwile w trzydziestym szóstym, kiedy pan Pompidou osobiście siedział na studenckich barykadach. Mieli dwie wojny światowe i okupację. A potem, zaraz po wojnie, czasy egzystencjalizmu, których nie można nie doceniać.

– Cóż, niech ten bastion nigdy nie upadnie! – powiedział Harry wznosząc wielki kufel.

Przyłączyłem się chętnie do tego toastu.

– Czy opowiadałem ci kiedyś, jak jadłem tu lunch i nagle weszła Louisa?

– Nie – skłamałem.

– No więc jadłem lunch z Zanuckiem i z Edem Leggewie. Rozmawialiśmy o jakimś scenariuszu. A Louisa weszła do restauracji z naszym przyjacielem Kanadyjczykiem, dramatopisarzem, który akurat zjawił się w mieście. Myśmy siedzieli przy tamtym ostatnim stoliku, obok *caisse*. Odźwierny – tak, ten mały z prostymi siwymi włosami – złapał Louise za łokieć i szepnął jej do ucha: *Madame, madame, monsieur est la!* Oczywiście nie wiedziała, o co mu chodzi. A on znów powtórzył: *Madame, madame, monsieur est la!* Najwyraźniej ją ostrzegął. Myślał, że ona się umówiła z kochankiem i że natknęli się na mnie przez przypadek. To się nazywa francuska grzeczność!

Słyszałem już o tym co najmniej ze trzy razy, ale to zabawna opowieść. Bardzo francuska, zapewne. Ale zabawna. Roześmiałem się, Harry też się roześmiał, ale po twarzy błąkał się cień niepokoju. Zmartwionemu Harry'emu czoło marszczyło się jak tarka. Myślę, że w połowie przypomniał sobie, iż już mi to opowiadał.

– Ta dziewczynka do mnie dzwoniła – powiedział nagle.

– Jaka dziewczynka?

– Ta Sam. Samantha. Samantha-Marie.

– Co takiego? Daj spokój. Żartujesz.

– Nie żartuję. Całkiem serio. Dzwoniła do mnie pięć razy od czasu, kiedy byli u nas w niedzielę z Weintraubem.

– Czego chce? Poza twymi pieniędzmi?

– Mnie – powiedział Harry. – Najwyraźniej chodzi jej o mnie.

Zrozumiałem wtedy, jaki był właściwy powód naszego wspólnego lunchu. I że nie miało to żadnego związku z Sorboną.

– Słuchaj, Harry, co chcesz, żebym ci powiedział? Może wyraziłem się zbyt ostro. Wszedłem w wiek średni, kompletnie straciłem cierpliwość do ludzi proszących mnie o radę w sprawach osobistych. Nie wiem, skąd tacy ludzie czerpią przekonanie, że będę im umiał doradzić. Przekonałem się zresztą, że tak naprawdę nie chodzi im wcale o rady. W gruncie rzeczy potrzebują potwierdzenia własnych rozstrzygnięć. A jeśli je otrzymują, potrafią później robić ci z tego powodu wyrzuty i twierdzić, że to twoja wina, iż postąpili tak, jak postąpili.

– Nie chcę, żebyś cokolwiek mówił. Chcę tylko, żebyś był świadkiem.

– Świadkiem? Czego? Nie zamierzam być niczym świadkiem w jakichś pieprzonych sercowych tarapatach.

– Świadkiem, że nie popadłem w żadne tarapaty. Ani, ani. Wiem, kim jestem, wiem, na czym stoję, wiem, co dla mnie dobre, a ponadto wiem, czego tak naprawdę chcę. Myślę też, że wiem, jaki byłem przedtem. I czynię cię moim świadkiem.

Trudno było odmówić. Prawdę mówiąc, wręcz nie mogłem w tych okolicznościach odmówić. Dałem się zaciągnąć jak marynarz. Z chwilą, kiedy powiedział to, co powiedział, stałem się jego współnikiem, tylko dlatego, że moje uszy usłyszały to, co usłyszały. A poza tym, w danych okolicznościach, po prostu nie chciałem odmawiać.

– Zgoda – powiedziałem. – Jestem twoim świadkiem. Jakżeż mógłbym nie być. W tych okolicznościach. Co dalej?

– Nic specjalnego. Chodźmy zobaczyć tę pieprzoną Sorbonę.

Kończyliśmy właśnie śledzia i *museau*. Nasz kelner Numer Piętnaście już się kręcił koło stolika, chcąc podać pierwsze danie.

– Jeśli wybierają się panowie na Sorbonę – powiedział po francusku – ośmielę się

zapropnować, żebyście panowie rzucili po drodze okiem na Odeon. Z pewnością to panów zabawi.

Podziękowałem mu za radę. Kiedy podawał Harry'emu *cassoulet*, pożałowałem, że też tego nie zamówiłem. Ale zostałem przy stole. Do końca posiłku rozmawialiśmy niewiele, od czasu do czasu kiwając głowami znajomym, którzy wchodzili albo wstawali od stołu.

– Proszę pamiętać o Odeonie – zawołał za nami Numer Piętnaście, kiedyśmy, zapłaciwszy, wychodzili.

Tak też postąpiliśmy. Najłatwiej było cofnąć się w dół bulwaru, do Carrefour Odeon, i tam skręcić w stronę wzgórz. Był to przyjemny spacer, w cieniu drzew, w otoczeniu rozemocjonowanej młodzieży.

– Myślałem, że chodzi jej raczej o Louise – powiedziałem.

– Ja też. Ale może to był tylko wybieg. Tak czy siak, świetny żart!

Kiedy doszliśmy, zwariowany teatr widać było ze wszystkich stron, od rue de l'Odeon i od Place de l'Odeon, gdzie na krzywym rogu gnieździ się słynna rybna restauracja La Mediterranee.

Teatr właściwie nazywa się Theatre 4e France, ale wszyscy mówią o nim per „Odeon”. Zbudował go Ludwik XV w osiemnastym wieku, gdzieś koło roku 1781; spalono go w czasie rewolucji, potem odbudowano. Ma potężną fasadę z kolumnami, które wznoszą się czterema czy pięcioma niskimi rzędami ku frontonowi, na wzór grecki, a po trzech bokach niskie, grube sklepienie podcienia, gdzie można się przechadzać. Jest to spory budynek z mnóstwem magazynów i garderób w tylnej części, która przylega do rue Vaugirard, a po drugiej stronie tej ulicy rozciąga się Ogród Luksemburski.

Dwie wielkie czerwone flagi i wielkie czarne flagi powiewały teraz na wietrze na samym szczycie frontonu, trójkolorową spuszczone, a cały dach roił się od niechlujnie ubranej młodzieży-jedni skupiali się w grupki, inni po prostu stali lub siedzieli na gzymsie, jedząc kanapki z wędliną czy serem.

Do zwieńczeń kolumn, tuż pod architrawem, przymocowano wielkie transparenty. WYOBRAŻNIA RZĄDZI TEATREM ODEON. Inny napis głosił: BARRAULT UMARŁ, powtarzając to, co sam o sobie powiedział dyrektor Odeonu w środę, przyłączając się do wkraczających w jego królestwo studentów.

Inny transparent informował: WSTĘP WOLNY. Studenci zamierzali udostępnić scenę i widownię toczącemu się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w piątek i świątek, wiecznemu dialogowi, do którego każdy mógł się czuć zaproszony. Impreza bodaj już się rozpoczęła, z zaproszenia korzystali robotnicy, kelnerzy i *petits commercants*.

Podszedłszy bliżej zobaczyliśmy, jak ktoś maluje mniejszy transparent następującej treści: KIEDY ZGROMADZENIE NARODOWE STAJE SIĘ TEATREM, TEATR MIESZCZAŃSKI MUSI SIĘ STAĆ ZGROMADZENIEM NARODOWYM! Była to aluzja do wysiłków

podejmowanych w początku tygodnia przez premiera Pompidou na forum Zgromadzenia Narodowego.

Na placu przed teatrem kłębiło się mrowie ludzi, nie tylko studentów, a dyskusjom, przekomarzaniom i sprzeczkom nie było końca. Żaden samochód nie mógł się przecisnąć przez tłum. *Commercants* sprzecali się z kelnerami, kelnerzy sprzecali się ze studentami, studenci sprzecali się z *commercants*, *commercants* sprzecali się z *commercants*. Ekipa telewizyjna filmowała to wszystko z dachu wozu transmisyjnego. Chodniki i jezdnie okolicznych ulic pełne były studentów i innych ludzi, którzy śmiali się i głośno rozmawiali, jedni idąc na plac, inni stamtąd wracając, ale nikt się na nikogo nie pchał.

Całe to miejsce wibrowało dzikim, roześmianym szaleństwem.

– Chcesz spróbować dostać się do środka? – krzyknąłem do Harry’ego.

Cały obszerny ganek za kolumnadą był niesamowicie zapchany tłumem ludzi, którzy najwyraźniej próbowali dostać się do środka, żeby posłuchać dialogu na widowni.

– Nie! – odkrzyknął. – To nam się nie uda. Przemieściliśmy się powoli przez plac, torując sobie drogę w tłumie, w stronę rue Racine, która prowadzi w kierunku Sorbony. Wyglądała dokładnie tak samo jak rue de l’Odeon.

Natomiast Boulevard St.-Michel, do któregośmy w końcu dotarli, wyglądał spokojniej i rozsądniej. Poszliśmy w górę bulwaru, w kierunku Place de la Sorbonne. Tu oczywiście znów stały grupki młodzieży. Również w okolicznych kawiarniach pełno było młodych ludzi.

– No cóż, Numer Piętnaście istotnie miał rację – powiedziałem. – Jeśli chodzi o Odeon.

Harry przytaknął.

– Oczywiście. Wielka zabawa. Ale potem będzie wielki rachunek. Ciekawe, czy ktoś pomyślał o tym, kto ten wielki rachunek zapłaci, kiedy już zostanie wystawiony.

To mnie trochę ostudziło.

– Cóż, myślę, że wszyscy oni po trosze.

– Oni zapłacą. Ale władze ani *Patronat* nie dadzą ani grosza.

Słowo „*Patronat*” oznacza „stowarzyszenie pracodawców”. *Patronat* przez duże P oznacza mniej więcej to samo, co angielski elitarny *Establishment* przez duże E, z tą różnicą, że trochę lepiej wiadomo, kto do niego należy. Każdy wiedział, zwłaszcza każdy Amerykanin, jak bardzo francuski *Patronat* był przestarzały w porównaniu z naszym równie nie lubianym *Establishmentem*. Pod każdym względem ze sto razy gorszy... Prawie się nie zmienił od czasu, kiedy Karol Marks zabrał się za krytykę rewolucji przemysłowej. Francuski kapitalizm był kapitalizmem lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Paryska giełda (*Bourse*) działała na zasadzie tajnych transakcji, bez ujawniania kwot. W porównaniu z Ameryką, pracodawcy prawie nie płacili podatków. W rezultacie różnica w dochodach między nimi a robotnikami urosła niepomierne. Jeśli ktoś ma w tej „rewolucji” przegrać, to na pewno nie *Patronat*.

– No cóż, lud się bawi – powiedziałem bez większego przekonania, a Harry nic na to nie odpowiedział.

Sorbona, kiedy do niej w końcu dotarliśmy, wyglądała mniej więcej tak samo jak pierwszego dnia okupacji, tyle że teraz wszędzie było trochę brudniej. Okoliczne ulice i chodniki pokrywała warstwa śmieci: powielane broszury i traktaty, powielane ulotki na pojedynczych kartkach, opakowania po balonikach, zmięte paczki po papierosach. Studenci najwyraźniej próbowali jednak zorganizować sprzątanie, ponieważ tu i ówdzie można było spotkać ekipy z miotłami i trudnymi do odcyfrowania opaskami na ramieniu. Niektórzy zamiatali, większość wszakże dyskutowała. My dostaliśmy się do środka od strony rue Victor Cousin.

Słynny dziedziniec Sorbony przypominał perski jarmark. Pełno tam było stoisk skleconych z tektury i starych pudeł po lodówkach. Kontynuowany był też zewnętrzny temat rosnącej masy śmieci i brudu, na pełny gaz, tyle że tutaj nikt nawet nie próbował czegoś z tym zrobić. Każde stoisko służyło określonej opcji politycznej. Byli tam maoiści, zwolennicy Che Guevary, staliniści, leniniści, trockiści i Bóg wie kto jeszcze. Wielkie portrety Lenina, Mao i Guevary wisały na kolumnach. Wszędzie widać było napisy wymalowane czerwoną farbą.

SPOŁECZEŃSTWO TO MIĘSOŻERNY PTAK – stwierdzał jeden.

BIORĘ SWOJE PRAGNIENIA ZA RZECZYWISTOŚĆ, PONIEWAŻ WIERZĘ W RZECZYWISTOŚĆ SWOICH PRAGNIENIÓW – głosił inny.

Były dosłownie wszędzie.

JEDNA ROZKOSZ MIESZCZUCHA TO DEGRADACJA WSZELKIEJ ROZKOSZY.

BĄDŹ REALISTĄ, ŻĄDAJ NIEMOŻLIWEGO.

CI, CO ROBIĄ REWOLUCJĘ POŁOWICZNIE, SAMI SOBIE KOPIĄ GROBY.

ŁZY FILISTRÓW SĄ AMBROZJĄ BOGÓW.

KWAS JEST ŻÓŁTY.

WŁADZA WYOBRAŹNI!

WŁADZA CIPY!

TOWARY TO OPIUM LUDU.

Te i setki innych. Nieprzerwany strumień młodych ludzi paradował przez wejście na dziedziniec i kręcił się po podwórzu. Wszyscy mieli szczęśliwe, roześmiane, odprężone twarze. Podeszedłem do jednego ze stoisk i poprosiłem o egzemplarz „L’Enrage”, gazetki z zabawnymi rysunkami, jaką zaczęli wydawać anarchiści. Długowłosy chłopak za ladą popatrzył na mnie lodowatym wzrokiem, uznał, że nie kpię z niego, tylko po prostu jestem nie doinformowany, prychnął i powiedział:

– Oni stoją tam. My jesteśmy trockistami. Nie trzymamy tego śmiecia.

Przeprosiłem za pomyłkę i wycofałem się. Nie miałem odwagi spróbować na innym stoisku. W końcu mogę sobie kupić „L’Enrage” na St.-Germain, na ulicy.

– Chodź tutaj! – zawołał do mnie Harry ponad głowami ludzi. – Chodźmy obejrzeć amfiteatry.

Amfiteatry chyba wcale się nie zmieniły od poniedziałku. Dosłownie pękały w szwach od studentów, którzy siedzieli nawet na posągach i we wnękach. Tabliczki z napisem NIE PALIĆ! okaleczono, został napis PAL! niczym generalski rozkaz. Mogli to być dokładnie ci sami studenci, których widziałem w poniedziałek, a nawet wydaje mi się, że byli to ci sami, tak więc miałem dziwne uczucie, jakby siedzieli tu nieprzerwanie, nie nękami potrzebą snu ani innymi normalnymi funkcjami fizjologicznymi przez te trzy doby, kiedy byłem gdzie indziej. Nie weszliśmy, zostaliśmy w drzwiach. Jakiś chłopak stał na podium z młotkiem, widzieliśmy, jak rozpoznał w tłumie dziewczynę z kręconymi włosami, w niezwykle obcisłych sztruksowych spodniach, i kazał jej wnieść do czegoś jakąś poprawkę, której sens nam umknął. Poranne gazety pisały, że studenci uchwalili bojkot egzaminów rocznych, ale ta grupa najwidoczniej nie miała o tym pojęcia, bo głosowanie jeszcze się nie odbyło, na razie ustalano brzmienie proklamacji. Butelki czerwonego wina, bagietki, kawały sera i kiełbasy krążyły z rąk do rąk. Roześmiany gwar sprawiał, że trudno było zrozumieć, co kto mówi.

Harry dał mi znak, ruszyliśmy przez zatłoczony, gwarny korytarz – i tam natknęliśmy się na Hilla i jego kumpli.

Muszę przyznać, że wyglądali dość niechlujnie. Hill zaczął zapuszczać brodę, a może po prostu od paru dni nie miał się czasu ogolić.

Anne-Marie była z nim, także długowłosa Terri i brodaty Bernard, ale Hill obejmował inną dziewczynę i nie ulegało wątpliwości, że są parą kochanków, przynajmniej chwilowo. Anne-Marie, zagorzałej bojownicze, najwyraźniej wcale to nie wadziło. Drobną i kruchą, posuwała się naprzód niczym dzielny mały czołg z wieżyczką, która wciąż się obraca i obserwuje. Ona także wyglądała teraz dość niechlujnie. Dla mnie jednak było jasne – nie wiem, czy było to jasne dla Harry'ego – że żadne z nich nie miało okazji wziąć porządnej kąpieli od poniedziałku, kiedy to rozpoczęła się okupacja, a może nawet od piątkowej bitwy na nie Gay-Lussac.

Podaję, że Harry zrozumiał przyczynę tego zaniedbanego, bitnikowsko-hipisowskiego wyglądu. W każdym razie przyjął to spokojnie. Podobnie jak Hill. Myślałem wtedy, że Hill za wszelką cenę stara się uniknąć zasadniczej sprzeczki z ojcem w obecności kolegów. Zdaje się, że Harry pragnął tego samego. Widząc, jak podają sobie ręce, jak się witają, trudno było podejrzewać, że ci dwaj mężczyźni mogli się kiedyś o coś kłócić.

– Przyszliśmy obejrzeć Sorbonę – powiedział Harry. – Nie miałem zielonego pojęcia, że możemy cię tu spotkać, natknąć się na ciebie tak po prostu na korytarzu.

– Śpimy tutaj od poniedziałku – odpowiedział Hill z uśmiechem, po czym mocniej objął swoją dziewczynę ramieniem i uśmiechnął się do niej, żeby nie było najmniejszych wątpliwości, z kim to mianowicie sypiał od poniedziałku.

– Niektórzy przynieśli śpiwory – ciągnął. – Jest całkiem fajnie. Zresztą jutro zapewne byście mnie tu nie znaleźli. Przenosimy nasz Komitet Filmowy do Odeonu. Panuje pogład, że skoro w naszym komitecie jesteśmy w zasadzie ukierunkowani na kulturę, nasze miejsce powinno być w głównej kwaterze rewolucji kulturalnej. Nie mówię już o tym, że w tamtejszych garderobach jest dużo więcej miejsca niż tu, w tym zatłoczonym wariatkowie.

– Rozumieliśmy, że Sorbona została otwarta dla publiczności – powiedziałem tonem usprawiedliwienia. – Dlatego przyszliśmy.

Rozmawialiśmy po angielsku i nowa dziewczyna Hilla niespodziewanie odpowiedziała czystą amerykańską angielszczyzną, bez akcentu:

– Tak, tak, została otwarta. Otwarta na oścież. Dla wszystkich paryżan. Dla robotników, artystów, dla każdego. Chcemy, żeby wszyscy przychodzili. Chcemy umożliwić wszystkim poznanie naszego całkiem nowego sposobu życia.

– To jest Florence – przedstawił ją Hill. – Nowy członek naszego Komitetu Filmowego.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, dlaczego dziewczyna została nowym członkiem komitetu, i założyłbym się z każdym o pięćdziesiąt dolarów, że to Hill ją tam wprowadził.

– Jest pół-Amerykanką – wyjaśnił Hill. – Ale urodziła się i wychowała we Francji. Właśnie wróciła ze Stanów parę dni temu, czystym przypadkiem. W ogóle nic nie wiedziała o Rewolucji.

– Cóż, myślę, że szybko nadrabia braki – uśmiechnął się Harry.

– No jasne – powiedział Hill i znów objął dziewczynę, rozpromieniony.

– Uwielbiam to – wyznała Florence.

– Mam być wybrany przewodniczącym Studenckich Komitetów Filmowych Sorbony i Odeonu – pochwalił się Hill. – Będziemy mieli mityng dziś po południu, jeśli znajdziemy wolną salę. Jak nie, to poczekamy i urządzimy go już po przeprowadzce do Odeonu.

– Cóż, myślę, że to wspaniała wiadomość, Hill – powiedział Harry.

– Też tak uważam – wtrąciłem.

Inni stali w milczeniu, uśmiechając się z osobliwie niewinnymi minami, Terri o niewinnej twarzy i brodaty Bernard o ciepłych oczach, wszyscy z wyjątkiem Anne-Marie. Niby też się uśmiechała, ale uśmiech, choć równie niewinny i przyjemny, był tak pełen wyższości i pogardy wobec „starszego pokolenia”, że mnie osobiście trudno byłoby go nazwać uśmiechem. Tak jakby był wymuszony. Ale możliwe, że dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Ale najlepsza wiadomość – kontynuował Hill – najlepsza wiadomość dotyczy zakładów Renault w Boulogne-Billancourt. Nie uważacie? Nasi chłopcy przemawiali do nich od soboty, prawie cały tydzień. A teraz robotnicy opanowali zakład i okupują go. We Flins tak samo. Wybieramy się dziś wszyscy do Boulogne-Billancourt, żeby odbyć mityng solidarnościowy z robotnikami przed bramą zakładów.

– Myślisz, że to rozsądne? – spytał dość łagodnie Harry. – A co z policją?

– Trzeba kuć żelazo póki gorące. Cały czas odbywają się takie mityngi. Nie przypuszczam, żeby policjanci mieli nas niepokoić. A jeśli tak, tym lepiej dla nas, a tym gorzej dla nich.

Harry nadal się uśmiechał.

– Chodź, Jacku – powiedział do mnie. – Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia i sporo rzeczy do obejrzenia. Nie chcieliśmy wam przeszkadzać ani tym bardziej ingerować w wasze plany.

– Wcale nam nie przeszkadziliście – odparł Hill. – Cieszę się, żeśmy się spotkali.

Tym razem ani on, ani Harry nie wyciągnęli ręki. Hill odwrócił się na pięcie i, obejmując ramieniem swoją pół-Amerykankę, poprowadził grupkę przez rozwrzeszczany korytarz.

– Głupie dzieciaki – powiedział Harry, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę. – Igrają z dynamitem. Co innego pozamykać kilka uniwersytetów. Nikt się tym specjalnie nie przejmuje, nikomu się wielka krzywda nie stanie. Ale zupełnie co innego unieruchomić cały francuski przemysł ciężki. Zupełnie co innego. A oni to robią, i dlatego muszą dostać po nosie.

Doszliśmy tymczasem do bramy głównej uniwersytetu, która wychodzi na rue des Ecoles i tylną ścianę starego Musee de Cluny po drugiej stronie ulicy. W wielkim hallu obok bramy studenci otworzyli bar z kanapkami, kawą i zupą. Nie trzeba było płacić. Przyjmowano dobrowolne datki.

– Myślę, że tu się pożegnamy – powiedział nagle Harry, gdy przechodziliśmy między kolumnami ku schodom. – Przypomniałem sobie, że mam służbowe spotkanie z paroma producentami. Na Prawym Brzegu. – Na twarz wystąpiły mu czerwone plamki, jak ślady od uszczypnięć. – Zresztą i tak już nie mam ochoty niczego oglądać – dodał. A odchodząc mruczał:

– Dynamit. Igrają z dynamitem.

Poszedłem sam do domu, przez gwarną, rozwibrowaną Dzielnicę Łacińską. Harry z pewnością miał rację. Wieczorem pan Pompidou znów wystąpił w telewizji. Generał de Gaulle był oczywiście w Rumunii z sześciodniową wizytą oficjalną, której absolutnie nie chciał odwołać, polecał dokładnie we wtorek. Za parę dni przemówi do narodu, zapowiedział premier w swoim wystąpieniu. Oglądaliśmy je wszyscy, ta sama banda Amerykanów co zawsze, u Gallagherów.

Tym razem nie było uspokajania studentów, a wystąpienie zapowiedziano zaledwie półtorej godziny przed faktem. Wyglądało na to, że rząd najpierw się przestraszył, a potem wściekł na wieść o tym, że robotnicy zamykają fabryki i przyłączają się do studentów. Pompidou oświadczył, że w razie potrzeby gotów jest użyć siły, żeby stłumić rewolucję studencką, żeby zapobiec jej rozprzestrzenianiu się na francuski przemysł. „Nasz rząd spełni swój obowiązek. Jego obowiązkiem jest obrona Republiki. I on ją obroni.”

Tym razem władze, niewątpliwie zdesperowane, spróbowały nowej sztuczki, która jednak okazała się bronią obosieczną. Pozwolono mianowicie po raz pierwszy przywódcom studenckim

wystąpić w telewizji. Przez kwadrans poprzedzający wystąpienie Pompidou trzech chłopców, Sauvageot, Dany Cohn-Bendit i Alain Geismar wiedli dialog z grupką wybranych przez władze dziennikarzy, z właściwym sobie wdziękiem, poczuciem humoru i logiką robiąc z nich kompletnych głupców. Najlepszy był w tym Cohn-Bendit. Miał szczególną charyzmę. Nie można go było nie polubić. „Nam się po prostu nie podoba to społeczeństwo, w którym zmuszeni jesteśmy żyć – powtarzał z uśmiechem. – Po prostu nie chcemy tak dłużej żyć.” O ile pamiętam, wówczas po raz pierwszy w ogóle poruszono publicznie tego rodzaju problemy studentów.

Po nich pan premier, przez kontrast, tym bardziej rozczarowywał.

Spojrzałem na Harry’ego ponad głowami innych, a on gestem przyznał mi rację.

– Nie wiadomo, co z tego wyniknie – powiedział mi potem na stronie, przy barku-ambonie. – Ci chłopcy zrobili go na szaro. Może z tego wyniknąć nielegalny strajk powszechny, w całym kraju, w dodatku bezterminowy. Związki zawodowe straciły wszelką kontrolę nad młodszymi członkami. Ale, na litość boską, nie mów o tym Louisie.

Tego wieczoru wracałem do domu zatroskany.

Ani /Weintraub, ani mała Samantha nie pojawili się u Gallagherów także i tym razem.

Rozdział jedenasty

Moja przyjaciółka zadzwoniła do mnie i przyszła wieczorem w tamten czwartek, szesnastego. Byłem z tego zadowolony. Nie miałem na ten dzień zaplanowanej służbowej kolacji. A nie lubię sam chodzić na kolację do restauracji. Francuzi bardzo nieprzyjaźnie patrzą na tych, co jedzą samotnie. Zdaje się, że im to przeszkadza, i nie próbują ukryć dezaprobaty. Zazwyczaj całkiem dobrze sobie z tym radzę, odpowiadając im równie bezczelnym spojrzeniem, ale tego wieczoru byłem w melancholijnym nastroju i nie miałem na to ochoty. Podobnie nie miałem najmniejszej ochoty pichcić niczego na chybcika i przełykać w domu. Byłem w minorowym nastroju. *Zaczynał* się jeden z tych ospałych okresów, kiedy człowiek traci humor, wątpi w uroki życia kawalerskiego i zaczyna sobie zadawać pytanie, co to właściwie znaczy być kawalerem i czy w ogóle warto nim być. Takie nastroje są niebezpieczne, kiedy się mieszka nad ciemną Sekwaną, która połyskuje oleiście, płynąc pod wysokimi latarniami nabrzeża. A wiedziałem, że jej widok, ciemnej, zamaskowanej, absolutnie obojętnej na moją śmierć, będzie mnie ciągnął ku oknu. Taki zapowiadał się wieczór.

Byłem więc zadowolony, że moja pani zadzwoniła.

Poza tym chciałem się dowiedzieć, co ona o tym wszystkim myśli. Martine jest moim barometrem, jeśli chodzi o wszelkie sprawy Francji – gospodarcze, społeczne, polityczne. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby się pomyliła. Zapowiedziała mi na przykład z parotygodniowym wyprzedzeniem podstępny atak generała de Gaulle'a na dolara. Dzięki temu mogłem zawczasu dokonać skromnej wymiany na giełdzie za pośrednictwem mojego człowieka od lewych dochodów, *monsieur* Jardina. Oczywiście od wielu dni ciekaw byłem, co Martine sądzi o rewolucji. Ale jedna z żelaznych reguł naszego związku brzmiała, że nigdy, w żadnym wypadku nie mogę do niej dzwonić. Zawsze ona dzwoniła do mnie.

Słyszając na schodach dzwoniący telefon, pobiegłem z kluczem w rękę i zdążyłem podnieść słuchawkę.

Kilka minut, a moglibyśmy się nie spotkać.

– Tak?

– *Cheri?*

– Martine! Właśnie się zastanawiałem...

– Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała ostrożnie. – Będziesz dziś wieczorem w domu?

Tak? Nie masz w planie innej randki? Nie?

– Nie mam. A nawet gdybym miał, tobym ją odwołał...

– Nie mogę teraz mówić – powtórzyła. – Przyjdę kwadrans po dziewiątej. Zrobię kolację.

Przyniosę wszystko co trzeba. On będzie zajęty w ministerstwie. Pa, pa, *cheri*.

Nie zdążyłem odpowiedzieć na pożegnanie, kiedy w słuchawce rozległ się sygnał.

Siedziałem wpatrując się w telefon. Niewątpliwie chciałem się z nią zobaczyć w związku z rewolucją. A mój *cafard*, lęk i nienawiść do rzeki, nagle się rozwiały. Rzeka bywa niekiedy bardzo romantyczna, nawet wesoła.

Jak już mówiłem, jestem człowiekiem o niezbyt wielkich potrzebach seksualnych. Ta strona życia może dla mnie istnieć, ale nie musi. Jeśli jej nie ma, specjalnie mi to nie przeszkadza, w przeciwieństwie do niektórych. Tak samo reagowałem w młodości. Ale Martine nie widziałem od ponad dwóch tygodni. A Martine ma taki prywatny zwyczaj, że gotuje w bieliźnie. Wpatrywałem się w milczący telefon i rozmyślałem o tym z wyraźną przyjemnością.

Przyczyna po temu była nader prozaiczna. Martine gotowała w bieliźnie, żeby nie poplamić ubrania. Wszystkie pieniądze, jakimi dysponowała, wydawała na ciuchy; bardzo wiele starań i zabiegów wkładała w swój wygląd. Nie ścierpiałaby tłustej plamy, choćby na *robe de chambre*. Nie cierpiała też ubrań przesiąkniętych kuchennymi zapachami. Tak więc, przynajmniej u mnie, gotowała w bieliźnie.

Przyczyna nie gra dla mnie roli. Liczy się rezultat. Pod pojęciem bielizny rozumiem stanik i majteczki. Martine ma ładny tyłek i wspaniałe piersi. Przy kuchni nosi poza tym buty na wysokich obcasach, ale pończochy starannie zdejmuje. Najwyraźniej uważa, że tłuste plamy nie są w stanie zaszkodzić jej butom od Manciniego. A przecież podłoga w kuchni mogłaby być lepka.

Te buty w tajemniczy sposób dodają całości pikanterii. Nie pytajcie mnie dlaczego, ale tak właśnie jest, A ja jestem obserwatorem. Przystawiam sobie krzesło i siadam w pokoju, obserwując ją, przez długość niewielkiego korytarzyka, jak pichci dania, które tego dnia wybrała. Od czasu do czasu, ale rzadko, odwraca głowę znad kuchenki, nad którą się pochyla, i rzuca w moją stronę rozbawione spojrzenie, mówiąc:

– *Et toi! Et voila, toi!*

Woli oddzielać gotowanie od seksu. Jest wspaniałą kucharką.

Nigdy nie udało mi się dociec, dlaczego kiedyś się ze mną związała. Raz ją o to zapytałem, a ona uśmiechnęła się do mnie swym zabawnym, trochę bezczelnym uśmiechem, właściwym południowcom, i powiedziała:

– Właśnie dla tego, Jean.

Zawsze mnie tak, z francuska, nazywała. Zrozumiałem przynajmniej tyle, że jest to dla mnie zbyt pochlebne, odpowiedzi na moje pytanie nie uznałem jednak za wystarczającą.

Martine jest południową blondynką. To rzadka odmiana. Bóg raczy wiedzieć skąd one się wywodzą, być może z Toskanii; mają takie same orle nosy i wysokie kości policzkowe jak ciemne kobiety, tylko cerę jasną i włosy blond. Nawet włosy na ciele. Razem stanowi to

uderzający kontrast – rzymski nos i policzki oraz całkiem jasna skóra i jasne włosy. A jeśli chodzi o targowanie się przy kupnie, są tak samo uparte jak kobiety z południa, a może nawet bardziej (jeśli to w ogóle możliwe).

Poznałem ją na koktajlu dla pisarzy u Magdalen McCaw, choć z reguły nie chodziła na tego rodzaju imprezy. Ale mąż Maggie, George, który pracował dla OECD, miał jakieś zobowiązania towarzyskie wobec urzędników rządowych niższego szczebla i zaprosił też... no cóż – przyjaciela Martine. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego tamten przyszedł z Martine, a nie z żoną. Może uważał, że Maggie i George – ona, taka słynna amerykańska pisarka – należą do cyganerii, co tylko dowodzi, jak słabo znał Maggie.

Muszę powiedzieć, że Martine rzuciła się w oczy na tym koktajlu. Wysoka, posągowa, szeroka w ramionach, z dużym biustem, miała mocno umalowane oczy, a przede wszystkim była blondynką, długowłosą blondynką – przy czym blondynką z rysami, które jawnie głosiły, że ich właścicielka powinna być ciemna, jak przystoi kobietom z rejonu Morza Śródziemnego. Wyglądała tam niesłychanie seksownie. Na owym koktajlu nie było drugiej, która mogłaby się z nią równać. Zresztą na żadnym paryskim koktajlu literackim, w jakim zdarzyło mi się uczestniczyć. W pięć minut po tym, jak zaczęliśmy rozmawiać, ukradkiem zapisała sobie mój telefon. Wokół niej były kobiety w typie Maggie, z włosami zaczesanymi do tyłu i odsłaniającym zębem uśmiechem, który mnie wydaje się zawsze niewinny i uroczy, ale który inni uważają za drapieżny. Mężczyźni byli wszyscy mniej więcej podobni do mnie: w tweedach, zarośnięci, ssący fajkę. Nigdy nie odkryłem, dlaczego wybrała akurat mnie. Równie dobrze mógł to być każdy inny.

– Nie dzwoń do mnie – ostrzegła. – Sama się odezwę.

W trzy dni później zadzwoniła i umówiliśmy się na pierwszą randkę.

Jej kochanek, ten, który ją utrzymuje, jest bankierem, bogatym bankierem. Zarazem jednak pełni jakąś poufną funkcję, nigdy nie doszedłem jaką, w rządzie. Jej kochanek (chyba muszę go tak nazywać, bo to on płaci jej czynsz i inne rachunki, z pewnością nie ja, ja jestem raczej jej „panem”, ponieważ to ona wydaje na mnie pieniądze, przynajmniej wtedy, kiedy dla mnie gotuje), więc ów kochanek przekazywał jej strzępy ważnych czasem informacji z kręgów rządowych, żeby mogła z ich pomocą poprawić swój los, ona zaś przekazywała je mnie. Tak jak w wypadku ataku de Gaulle’a na dolara. Ta dziewczyna zawsze wie, co w trawie piszczy.

Ale nie koniec na tym. Jest w niej coś, coś twardego, bezwzględного i bardzo francuskiego, na ów nieczułostkowy, sensowny, uparty francuski sposób, co sprawia, że zdaje się wiedzieć z góry, jak w danej chwili i w danym okresie postąpią Francuzi i w ogóle Francja. Dlatego umie przewidywać.

Podejrzałem, że może tryb jej życia ma coś wspólnego z tym dziwnym darem przewidywania. W ciągu trzydziestu dwóch lat swego dziwnie zabawnego, choć dla niej nie

całkiem szczęśliwego, życia zebrała spory zapas komicznych doświadczeń.

Może powiedziałbym nawet: śmieszne, gdyby chodziło o kogoś innego, o kogoś, kogo nie znam. Martine pochodzi z małego miasteczka na południu Francji. Trudno sobie wyobrazić, jak prymitywne, jak zacofane mogą być te miasteczka. Jej środowisko to *petits commercants*; kiedy miała szesnaście lat, rodzice oddali ją na kochankę jednemu z miejscowych bogaczy. Uważano to za całkiem naturalne, ponieważ ona jedna w rodzinie była piękna. Ale ów młody człowiek, zepsuty do szpiku kości, źle ją traktował. Potajemnie oszczędzała wszystko, co jej dawał, wymieniając prezenty na gotówkę w sąsiednim miasteczku, trochę podwędziła rodzicom i w końcu miała dość, żeby uciec do Paryża. Zabrało jej to trzy lata. W Paryżu pracowała trochę jako modelka, potem zaczęła się w świecie sklepów z modną odzieżą, najpierw jako sprzedawczyni, potem kierowniczka stoiska, wreszcie weszła do zarządu. Wtedy poznała mężczyznę, który został jej pierwszym oficjalnym paryskim kochankiem i wziął ją oficjalnie na utrzymanie. On także był bogatym bankierem, w dodatku bliskim przyjacielem jej obecnego bankiera. Z nim, z tym pierwszym bankierem, wiodło jej się bardzo dobrze. Niestety, przed pięciu laty całkiem niespodziewanie umarł na serce.

Nigdy nie zapisał mieszkania na jej nazwisko. Mało który to robi, powiedziała mi Martine. Zmiana kochanki za dużo wtedy kosztuje. No i rodzina tamtego mężczyzny, z pomocą prawników, ale z inicjatywy żony, wprowadziła się zaraz po jego śmierci, odcinając ją od mieszkania. W środku zostało wszystko, co posiadała, prócz ubrania, które miała na sobie: wszystkie kosztowne stroje, biżuteria od niego, buty, kosmetyki, dosłownie wszystko. Żona, wdowa, za pośrednictwem prawników zażądała tego wszystkiego i sąd stanął po jej stronie.

Martine nie uważała, że postępowaniem wdowy kierował motyw osobistej zemsty, raczej był to normalny we Francji bezwzględny interes. Na miejscu wdowy zrobiłaby to samo.

Przez parę miesięcy było jej ciężko, ale przyjaciółki pomogły niewielkimi pożyczkami. Potem zaczęła się seria mężczyzn, głównie Amerykanów przyjeżdżających do Paryża na parę tygodni czy parę miesięcy w interesach, żaden jednak nie był skłonny zainwestować w nią więcej niż parę prezentów, parę wspólnych wyjść i obiadów. Przez dłuższy czas przenosiła się z hotelu do hotelu, zależnie od tego, gdzie oni się zatrzymywali. W końcu wróciła do pracy jako sprzedawczyni i kierowniczka stoiska w sklepie z modną odzieżą. Nie mogła już liczyć na pracę modelki. Tu odnalazł ją jej drugi bogaty bankier, bliski przyjaciel pierwszego bogatego bankiera, który jadał dawniej z nimi obiady ze swoją byłą kochanką. Wziął ją bez wahania. Okazało się, że od dawna jej pożądał. Od tego czasu była z nim.

Tym razem wszakże lepiej dbała o swój interes. Większość drogich strojów przechowywała w magazynku, do którego tylko ona miała klucz. W mieszkaniu trzymała może jedną trzecią ubrań, dwa razy na tydzień wymieniając je z tymi, które były w magazynku. Pozwalała sobie trzymać w domu zaledwie jedną czwartą biżuterii, ale często ją wymieniała z resztą,

przechowywaną w sejfie w banku, na jej nazwisko. Nadal oczywiście nie miała zapisanego na siebie mieszkania. Ale miała teraz własne konto w banku, na które w miarę możliwości wpłacała drobne sumy.

Musicie przyznać, że to zabawna historia, choć zarazem trochę smutna. Ode mnie nie chciała przyjąć żadnego prezentu, nawet w gotówce. Idąc do mnie kupowała zwykle po drodze żywność, a potem przygotowywała posiłek; zawsze robiła to na własny koszt.

W ten właśnie sposób pojawiła się u mnie w tamten czwartek, szesnastego wieczorem. Kiedy zadzwonił dzwonek i otworzyłem drzwi, ledwie ją było widać zza dwóch wielkich toreb z zakupami, do tego w każdej ręce koszyk plus jej własna torba z rzeczami na noc.

– Na litość boską, pomóż mi.

Pomogłem jej wejść, a potem zanieść to wszystko do kuchni.

– Bardzo się o ciebie martwiłam – powiedziała rozbierając się w sypialni, bo nie lubiła wieszać swoich ubrań w szafie zapchanej moimi ciuchami. – Już od ponad tygodnia. Ale jego żona wyjechała na wieś. Z wizytą do rodziny, rozumiesz. Z powodu zamieszek. Więc on przychodzi do mnie co wieczór. Nie mógł, oczywiście, wyjechać. Dużo teraz pracuje dla swojego ministra. Ale ty, ty też masz dużo pracy, skarrrbie.

Nie da się zapisać tego miarowego, francuskiego „r” w słowie „skarbie”.

Rozpięła koronkowy pasek i usiadła na łóżku, żeby ostrożnie ściągnąć pończochy, po czym z powrotem włożyła buty.

– Opowiem ci o tym wszystkim przy jedzeniu. Nie pamiętam dokładnie, co ugotowała tamtego wieczoru. Na początku były grzyby, *champignons de Paris*, gotowane i przyrumienione w naturalnym brązowym sosie i podane w małych kokilkach z ciasta, które Martine kupiła gotowe w *patisserie*, a potem odgrzała z nadzieniem w moim piecyku. Była to stosunkowo prosta potrawa, ale ona umiała z niej zrobić prawdziwy przysmak.

Jako danie główne przyrządziła coś z małych kawałków wołowiny, gotowanych razem z pieprzem angielskim i zieloną papryką – potrawa, której ponoć nauczyła się kiedyś od kucharki Brazylijki. Do tego podała tłuczone ziemniaki, ale nie po amerykańsku, tylko po francusku, jako *puree*.

Kiedy już wszystko przygotowała i mogła zostawić w piecyku, żeby potem podać gorące, poszła do sypialni i ze swojej torby wyjęła długą do ziemi podomkę w paski, rozciętą po bokach aż do pasa; zdjęła majteczki i wsunęła czerwono-złote marokańskie pantofle. Szata była zrobiona z jakiegoś marokańskiego czy arabskiego materiału, długa kamizelka bez rękawów z tego samego materiału zmyślnie przesłaniała głębokie rozcięcia. W tym stroju podawała do stołu. Nie pamiętam, jakie jedliśmy jarzyny. Nie pamiętam, czy była sałata. Nie wiem, co mieliśmy na deser.

– Musisz bardzo dokładnie zapamiętać to, co ci teraz powiem, *cheri* – rozpoczęła

konwersacyjnym tonem, kiedy zasiedliśmy do kolacji. – Bardzo się o ciebie niepokoiłam przez ostatnie dziesięć dni. Dotychczasowe zdarzenia to drobiazg. Teraz dopiero zacznie się naprawdę. Otrzymaliśmy wiadomość. Bardzo poważną. Z dobrego źródła. Jutro albo w sobotę, niedzielę, najpóźniej w poniedziałek cała Francja rozpocznie strajki. Nie będziesz miał wiele czasu, więc musisz robić dokładnie to, co ci powiem. Kolejne, cały transport, benzyna, ropa, wszystkie zakłady przemysłowe i rzemieślnicze, metro, nawet śmieciarze. Wszyscy niedługo zaczną strajkować.

Nadziała na widelec kawałek przyrządzonej po brazylijsku wołowiny i żuła ze smakiem, a nawet namiętnie.

– Dobre jedzenie, prawda? Pomachała w moją stronę widelcem.

– Widzisz, Francuzi w całym kraju są w tej chwili za studentami. Są wściekli. Jak długo to potrwa, nie wiem. Ale na pewno przez pewien czas, zobaczysz. Nie będą to strajki protestacyjne, które się kończą po dwóch albo trzech dniach. Naród francuski jest naprawdę wściekły. Jest wściekły na policję za to, że w piątek pobiła jego dzieci na ulicach miast. I jest wściekły na generała de Gaulle'a, że do tego dopuścił, podczas gdy mógł jednym palcem powstrzymać akcję, zanim się jeszcze zaczęła. Poza tym ludzie są zmęczeni. Kochają de Gaulle'a, jest dla nich wielkim bohaterem, ale w tej chwili nawet on ich męczy. Są nim znudzeni. Musisz pamiętać, że Francuzi łatwo się nudzą. Są znudzeni ofiarnością *pour la Patrie*, która żąda poświęceń od robotników i od narodu, podczas gdy *Patronat* poświęca się kupując kolejne stare zamki i zamieniając przylegające do nich tereny w piękne parki dla siebie i swoich rodzin. Francja sprawia wrażenie bogatego kraju. I jest to kraj bogaty, bogaty w ziemię, w uprawy. Zwłaszcza teraz Francja sprawia wrażenie bogatej. Ale nie jest bogata. Mogłaby być: coraz więcej napływa towarów, coraz więcej się wytwarza, coraz więcej pieniędzy unosi się w powietrzu. Ale koszty życia rosną bardzo szybko, a nie nadążają za nimi pensje pracowników. Różnica, całkiem pokaźna suma, ląduje w kieszeniach nowobogackich z nowego i starego *Patronat*, Poza tym musisz pamiętać, że my jesteśmy narodem anarchistów. Być może ostatnim, jaki istnieje. Od czasu do czasu bez wyraźnej przyczyny pragniemy zmiany. Jest to rodzaj zbiorowej hysterii. Nie zapominaj, że my ciągle jeszcze chowamy luidory do materaca. I nie uskarżamy się na sińce z tego powodu ani na kłopoty ze snem... A teraz ludzie są zmęczeni, zmęczeni tym wszystkim, i są, jak to się mówi, wkurzeni, i mają zamiar usiąść i odpocząć. Odmówią pracy, odmówią wszystkiego, jak studenci. I tu właśnie jest zadanie dla ciebie, *cheri...*

I zaczęła mi wyjaśniać. Z wielką precyzją, z najdrobniejszymi szczegółami wyłożyła mi dokładnie, co mam zrobić, żeby zapobiec nadchodzącemu stanowi oblężenia.

Zapowiada się dla Francji najgroźniejszy okres od czasu drugiej wojny światowej. Nie dojdzie, jej zdaniem, do wojny domowej. Ale i tak będzie źle. Przede wszystkim muszę zrobić zapasy. Muszę kupić mąkę, cukier i sól. Dobrze będzie mieć zapasik miodu. Bezwarunkowo

muszę się udać do swojego banku i podjąć gotówką tyle pieniędzy, ile się da. Muszę kupić mnóstwo mydła, do kąpieli i kuchennego. I świece. Wielkie ilości świec będą potrzebne w czasie strajków elektrowni. Trzeba zrobić zapas papierosów i whisky. Jeśli chcę wysłać jakieś listy, muszę to zrobić bez zwłoki. Różne artykuły spożywcze w puszkach zawsze się przydadzą w takiej sytuacji. Ponieważ mam prawo korzystania z American Commissary, dostanę to wszystko taniej niż w dużych sklepach francuskich sieci Samaritaine czy Inno. Zaplanowałam moje życie w najbliższym czasie dokładnie, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Nie miałem próbować kupić tych wszystkich rzeczy naraz i w jednym sklepie. Miałem chodzić do różnych sklepów. Kupować w małych ilościach. Udać się najpierw tam, gdzie mnie znano. Potem do sklepów, w których bywałem rzadziej albo nigdy, licząc się z tym, że obsługa będzie do mnie mniej przyjaźnie nastawiona, a zatem bardziej podejrzliwa.

W trakcie tego wykładu powoli skończyliśmy kolację. Nie przerywając wywodu Martine sprzątnęła talerze i zaparzyła nam *espresso* na małej maszynie do kawy Comocafe, z jedną filiżanką i jedną rączką, poza tym jednak takiej samej jak duże maszyny na pięć czy sześć rączek, używane w lepszych kawiarniach – sama mi kiedyś doradziła, żebym ją sobie kupił. Po kawie poszła znów do sypialni i zmieniła długą podomkę na *robe de boudoir*, a ja tymczasem nalewałem koniak. Kiedy wracała korytarzem, w padającym od tyłu świetle z kuchni widziałem całe jej ciało prześwitujące przez delikatny materiał stroju, nawet kolczaste cienie włosów łonowych między nogami. Myślę, że robiliśmy wszystko, co dwoje ludzi może sobie nawzajem zrobić, kiedy się kochają. Martine miała wielkie doświadczenie.

Kiedy wychodziła, zabierając torebkę, nie obudziła mnie. Ale sam przebudziłem się na tyle, żeby zobaczyć na tarczy zegarka, że jest za piętnaście druga. Skuliłem się i znów zapadłem w sen, spokojny i szczęśliwy.

Rozdział dwunasty

W ciągu następnych dwóch dni wypełniłem dokładnie wszystko, co mi zleciła Martine. Czułem się trochę jak szpieg albo tajny agent, ale wykonywałem jej polecenia z równą precyzją co sierżant marynarki wojennej, który wykonuje rozkazy swego kapitana.

W ten sposób byłem lepiej przygotowany do nadchodzących trudności – nie tylko od wszystkich moich sąsiadów, Francuzów czy Amerykanów. Byłem wręcz lepiej przygotowany niż wszystkie konsjerżki w okolicy, a móc powiedzieć coś takiego o sobie w Paryżu jest już wystarczającym powodem do dumy. Kupiłem także, jak mi radziła, kilka dwudziestolitrowych plastikowych kanistrów i od razu napełniłem je benzyną. Martine mówiła wprawdzie, że to nie będzie konieczne jeszcze przez jakiś tydzień, ale skoro miałem trochę czasu, wolałem załatwić wszystko za jednym zamachem. Kanistry schowałem w należącej do mnie części głębokiej *cave*, którą następnie starannie zamknąłem. Było to oczywiście absolutnie niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi, ale wkrótce wiele rzeczy miało się odbywać niezgodnie z przepisami, a w niektórych wypadkach już się odbywało.

W trakcie przygotowań wpadłem do Gallagherów i powiedziałem im o przeciekach, jakie do mnie dotarły.

W odróżnieniu ode mnie, nie podzielali francuskiego pesymizmu Martine. Ale też nie znali jej profetycznych talentów. Prawdę mówiąc, ani nie znali jej osobiście, ani nawet ze słyszenia. Nigdy im o niej nie opowiadałem. Za to później mogłem im pomóc dzięki zgromadzonym zapasom.

Martine miała całkowitą rację twierdząc, że kłopoty z benzyną nie rozpoczną się tak prędko. Ale nie myliła się również twierdząc, że zaczną się inne kłopoty, i to bardzo prędko.

W piątek, kiedy byłem zajęty zakupami i upychaniem zapasów, robotnicy w całej Francji zajmowali swoje zakłady. W połowie dotyczyło to zdominowanych tradycyjnie przez komunistów fabryk w okolicach Paryża. W drugiej połowie – zakładów na prowincji. Również w piątek generał de Gaulle, z właściwą sobie roztropnością i zdrowym rozsądkiem, powiedział coś w tym stylu, że byłby niespełna rozumu, gdyby przerwał swą krótką wizytę oficjalną w Rumunii z powodu takiej dziecinady. A w sobotę osiemnastego zaczęły puszczać główne magistrale kolejowe, poczty i lotniska. W ciągu soboty komunikacja, transport i produkcja zaczęły się dławić wskutek fali strajków, która groziła paraliżem całej strukturze gospodarczej i politycznej Francji. Nawet pracownicy radia i telewizji, technicy, operatorzy i realizatorzy w dużym okrągłym budynku ORTF przy Quai Kennedy uchwalili strajk, wbrew kagańcowi, jaki próbowali im nałożyć władze. Naród francuski, jak słusznie przewidziała Martine, był po prostu

„wkurzony”. Wszystko to oczywiście były dzikie strajki, i nawet partia komunistyczna, która zresztą obrosła w tłuszcz i straciła na wojowniczości wskutek wielu lat przykładowej współpracy z rządem, zaczynała się niepokoić. Wydarzenia nabierały tempa niczym wielka kula śniegu, która tocząc się po zboczu nabiera takiego impetu, szybkości i ciężaru, że *zaczyna* istnieć obawa, iż przekształci się w lawinę. Studenci tymczasem kontynuowali strajki okupacyjne na uniwersytetach w Paryżu i na prowincji oraz w Theatre de l’Odeon. A wieczorami urządzali marsze protestacyjne i bójki z wszędobylskimi kordonami policji.

Nasza grupka amerykańska, która z biegiem dni. stała się jeszcze bardziej zwarta, spotykała się każdego wieczoru u Gallagherów, a w niedzielę dziewiętnastego, kiedyśmy się zebrali, żeby się rzucić (to najelegantsze określenie, jakiego mogę użyć) na kolejną *curry* Louisy, byli wśród nas Weintraub i Samantha Everton. Skupiliśmy się wokół mało teraz przydatnej telewizji, słuchaliśmy też radio Europe-1 i Luksemburga. W ostatnich dniach bodaj każdy kupił sobie małe radyjko tranzystorowe ze słuchawkami (żeby móc słuchać w restauracji).

Myślę, że najbardziej zaszokowało nas bezwzględne wstrzymanie ruchu transatlantyckiego na Orly. Wielkie, niezdarne 707, lądujące i startujące z taką precyzją co dwie minuty sprzed nowego, połyskującego chromem i szkłem terminalu, przybywające ze wszystkich możliwych stron świata, stały się niezbędną częścią naszego życia, jak powietrze, w którym się poruszają. Były jak niebiesko-białe Greyhoundy, autobusy naszej młodości, które zresztą, muszą powiedzieć, przypominały wewnątrz. Koleje stały, tegośmy się spodziewali. Porty zamknięto, statki nie pływały. Ale kiedy zamarło Orly, zamarło całkowicie, chyba po raz pierwszy zrozumieliśmy naprawdę, że jesteśmy odcięci. W tej chwili wydostać się z Francji można było tylko mając samochód, a i to pod warunkiem, że wystarczy benzyny.

Mimo wszystko tamtego niedzielnego wieczoru panował w naszej grupce nastrój wesoły, pełen podniecenia. W końcu, jak mówiłem, wszystko przypominało pierwsze, ekscytujące dni wojny.

Weintraub i Samantha byli równie weseli jak wszyscy. Przyglądałem się im z uwagą. Przyglądałem się im ze szczególną uwagą po tym, jak Harry powiedział mi o jej uporczywym wydzwanianiu. Ale ci dwoje sprawiali wrażenie zajętych sobą nawzajem, przy czym Samantha, oczywiście, była szefem. Wręcz wyglądało to tak, jakby widywali się z nami codziennie od ostatniego razu (czyli od poprzedniej niedzieli), a Sam nie zrobiła najdrobniejszej aluzji do zabiegów, jakie czyniła poprzednim razem wobec obojga Gallagherów.

Reakcja Harry’ego na tę nagłą powściągliwość wydała mi się co najmniej dwuznaczna. Był jakby zakłopotany. Przy barze, kiedy byliśmy sami, powiedział mi, że się cieszy, iż ona nie ciągnie tej gry. Myślę jednak, że był trochę zawiedziony.

Później, pomagając trochę przypadkowi, znalazłem się przy barze sam na sam z Weintraubem. Jego nigdy nie trzeba było ciągnąć za język, każdy temat był dobry.

– Tak – powiedział, zanim zdążyłem go zapytać – byliśmy poza miastem do piątku rano. Dlategośmy się nie pokazywali. A cały piątek, całą sobotę i dzisiaj siedziałem z młodymi w Odeonie.

– Z jakimi młodymi?

– Z Komitetem Filmowym Hilla. Nawiasem mówiąc, nie wybrano go przewodniczącym. Wiedziałeś o tym? Ktoś inny dostał więcej głosów.

– Ale skoro... – zacząłem i ugryzłem się w język. Myślę, że Weintraub nic nie zauważył.

Pociągnął potężny łyk ze swojej szklanki i zaciągnął się głęboko papierosem.

– Ach, człowieku. Co to była za orgia!... W życiu nie widziałem takiej orgii. A jak ci może wiadomo, trochę się w tych kręgach obracałem, tu, w Paryżu.

Siedziałem cicho.

– Było to w jakimś zamku, za Fontainbleau. W małym miasteczku, nie pamiętam nazwy. W każdym razie zamek nie był w samym miasteczku, tylko na uboczu, w sporym lasu. Skoro mówimy o zamkach: gdyby ten przenieść w dolinę Loary, nie byłby tam wcale nie na miejscu, wierz mi, Hartley. Nie dowiedziałem się, kto jest jego właścicielem. Ani nawet kto był gospodarzem. Może wcale nie było gospodarza. Nie mam pojęcia, skąd ta dziewczyna ma takie kontakty. Ale nie ulega wątpliwości, że ma świetne. Nigdy nie widziałeś tylu szyszek naraz, a byli tam ludzie ze śmietanki towarzyskiej, filmowcy, bankierzy, Bóg jeden wie kto jeszcze. Dlaczego ta dziewczyna zdecydowała się zamieszkać ze mną w mojej jednopokojowej norze... No, w każdym razie byliśmy tam od niedzieli do czwartku, wyruszyliśmy w drogę powrotną w piątek nad ranem. Nie mogłem się dłużej powstrzymać.

– Ale skoro byliście cały czas poza Paryżem, jak ona mogła wydzwaniać... – Urwałem.

Patrzył na mnie spode łba.

– Do kogo? Przecież nie do ciebie? Do starego Harry’ego? Człowieku, wystarczyło, żeby weszła do jakiegoś chwilowo wolnego pokoju i sięgnęła po słuchawkę. Tam nikt się czymś takim nie krępuje.

– Skąd wiesz, że dzwoniła do Harry’ego?

– Sama mi powiedziała.

– Mówiła ci, po co dzwoniła?

– Nie. Nie mówiła. A ja jej nie wypytywałem. Po krótkiej przerwie dodał:

– A skąd ty wiesz o tych telefonach?

– Cóż, Harry mi powiedział. Oczywiście. Skąd bym miał wiedzieć?

Weintraub wzruszył ramionami i znów pociągnął potężny łyk.

– To z pewnością dziwna dziewczyna – dodał. – Spytałem ją, dlaczego wybrała mieszkanie w moim obskurnym gniazdku, a ona mi powiedziała: Słuchaj, Weintraub, jesteś naiwny, jeśli przypuszczasz, że któryś z tych bogatych bywalców orgii wyprawi mnie do Izraela. Powiedziała,

że nie ma zamiaru być niczyją maskotką. A nikt z kolei nie wpuści jej do mieszkania wiedząc, że jak tylko zbierze dość łupów, umknie do Izraela.

– Mogłaby przyspieszyć ten moment, pomóc losowi.

– Mogłaby. I znając ją jestem przekonany, że nie miałaby z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Jak powiedziałem, wydaje mi się, że ona za dobrze się bawi, żeby mieć ochotę na wyjazd.

Pomyślałem, że pora zrobić sobie kolejnego drinka. Na takie *dictum* w każdym razie nie miałem w zanadrzu odpowiedzi.

– Ale pozwól, że ci opowiem o młodych – zagał Weintraub dumnie.

Oszczędzę wam jego słów. W piątek rano, po powrocie do Paryża wybrał się na Sorbonę, szukając Hilla i jego grupy. Czuł się coraz bardziej przywiązany do nich i do głoszonych przez nich ideałów. Okazało się, że przenieśli się gdzieś na zaplecze Odeonu. Sam tymczasem została u niego w domu, odsypiając ostatnie dni, więc poszedł do teatru bez niej.

Trudno sobie wyobrazić, jak to wyglądało, jeśli się tam samemu nie było. Przede wszystkim koło wejścia nieustannie kłębił się tłum ludzi, którzy chcieli się dostać na ciągnący się nieprzerwanie maraton dyskusyjny w amfiteatrze, tak że w ogóle trudno było wejść. Jak się już człowiek dostał do środka i pośród marmurowych schodów i kolumnad dotarł na pierwsze piętro, gdzie kotary z czerwonego pluszu znaczyły wejścia na salę amfiteatru, stwierdzał, że wstępu za kulisy bronią grupy krzepkich młodzieńców, zwanych *blousons noirs*, z grubymi łańcuchami na szyi. Łańcuchy służyły jako znak rozpoznawczy, a w razie potrzeby za broń. Byli to strażnicy, nie tyle wynajęci, co skaptowani przez studentów. Żaden z nich nie wyglądał na studenta uniwersytetu. I rzeczywiście, większość nie skończyła nie tylko *lycee*, ale nawet podstawówki. Znajdowali się wszędzie i byli nieprzekupni, jeśli chodzi o wpuszczenie kogoś, kto nie posiadał kartki *laissez-passer*. W końcu Weintraubowi udało się nakłonić jednego z nich, szerokiego w barach, wielkiego muskularnego faceta ze złośliwym uśmiechem, obdarzonego jednak poczuciem humoru, żeby zapuścił się w mroczny labirynt na tyłach sceny i sprowadził Hilla Gallaghera, który z kolei umożliwił Weintraubowi wejście. W ten sposób Dave stał się wreszcie autentycznym członkiem *Comite du Cinema des Etudiants de la Sorbonne*. Wyjął z kieszeni spodni i pokazał mi stałą przepustkę (*laissez-passer*).

Hill poprowadził go przez pięć albo sześć zatłoczonych i obskurnych pięter do małego pokoiku na poddaszu, w którym znajdowało się biurko, duża lodówka z rolkami filmów i trzynaścioro lub czternaścioro lekko cuchnących, niedomytych studentów, gadających jednocześnie. Po drodze minęli piętro zamienione w prowizoryczny szpital, gdzie młodzi chłopcy i dziewczęta w przybrudzonych białych fartuchach, na których często widniały plamy krwi, kręcili się i ciągle wszystkich uciszali. Po drodze dały się słyszeć jęki rannych, zapewne studentów.

Weintraub nigdy nie doszedł, o co się spierała ta grupa trzynaściorga czy czternaściorga studentów. Mimo że świetnie znał francuski, żargon studencki w połączeniu z wyrażeniami gwarowymi sprawił, że trudno mu było dojść sensu, a ponadto jak tylko wszedł, zaczął się straszliwie pocić, co go jeszcze bardziej rozpraszało. W malutkim pokoiku z jednym okienkiem pod sufitem było parno jak w cieplarni, gdzie hoduje się storczyki. Przewodniczący, wybrany kosztem Hilla i zasiadający za biurkiem, był Szwajcarem, a przynajmniej za takiego się podawał, i nie był immatrykulowany na Sorbonie.

Miał na nosie okulary w drucianej oprawce, wyglądał i zachowywał się jak prawdziwy komisarz. Oprócz głównego wejścia w pokoiku było jeszcze dwoje drzwi. Jedne wiodły do zaimprovizowanej kuchni, w której członkowie komitetu od czasu do czasu dostawali coś do zjedzenia, za drugimi zaś niektórzy mogli sobie od czasu do czasu uciąć drzemkę. Weintraub spędził z nimi cały piątek, noc z piątku na sobotę, prawie całą sobotę i całą niedzielę.

W sobotę ogarnął wszystkich wielki *crise*, myśleli, że grozi im najazd lotnej brygady policji antyrozruchowej, tylnym wejściem wynieśli więc wszystkie taśmy z nakręconymi dotąd filmami i przewieźli je do jednopokojowej nory Weintrauba w jego *pension*, gdzie spoczywają dotychczas. Okazało się w końcu, że domniemany nalot nie doszedł do skutku.

– Jestem z tego dumny – powiedział Weintraub, uśmiechając się zza barku Harry’ego. – Ci młodzi naprawdę mi ufają. Powinieneś wybrać się tam kiedyś ze mną i zobaczyć wszystko na własne oczy. Warto.

– Przypuszczam – odparłem.

– Prawdę mówiąc – uśmiechnął się tajemniczo Weintraub – zostałem przez komitet upoważniony, żeby cię zaprosić.

– Mnie? Naprawdę? Ale dlaczego?

– Wiesz, próbuję ich skontaktować z niektórymi reżyserami i gwiazdoram, którzy wedle mojego rozeznania mogliby im pomóc. Typu Burtona, Harrisona. A kiedy wspomniałem twoje nazwisko, zaraz ktoś zasugerował, że właśnie ty byłbyś odpowiednią osobą do napisania do tych filmów komentarzy. Wiesz, oni czytują twoje pismo – dodał, żeby mnie mile połechtać.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Dobrze. Wybiorę się z tobą któregoś dnia. Na pewno chciałbym to zobaczyć. Kiedy możemy pójść?

– Może dziś w nocy? – rozpromienił się Weintraub. Rozejrzał się po salonie Harry’ego. – Moglibyśmy tam pójść, jak tylko stąd wyjdziemy.

– Dzisiaj?

– Tak. Czemu nie? Oni tam wszyscy będą.

– A co z Sam?

– Pójdzie z nami. Chodzi tam od soboty. Dostała własną przepustkę. Ona to uwielbia.

Przerwał, żeby się zaciągnąć, i dodał z uśmiechem:

– Możesz się spodziewać paru dziwnych scenek. Bądź na to przygotowany.

Rozejrzałem się po spokojnym salonie Harry'ego. W tej chwili wszyscy, popijając, oczekiwali na *curry*, której cudowny zapach dobiegał z kuchni Louisy.

– W porządku. Czemu nie? Cóż mam do stracenia?

– Absolutnie nic – stwierdził rozbawiony Weintraub. – Nawiasem mówiąc myślę, że powinienem ci powiedzieć, iż Hill głosował przeciwko zaproszeniu cię na spotkanie z komitetem.

To mnie trochę ubodło.

– Ale dlaczego? Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może dlatego, że jesteś dla niego prawie członkiem rodziny. Przypuszczam, że sobie pomyślał, że to będzie prawie tak, jakby się zwrócili o pomoc do jego ojca.

– Ale mnie to złości.

– Nie warto się złościć. I tak go przegłosowano. Więc pójdziemy? Jak zjemy *curry*!

– Tak.

Poszliśmy okrężną drogą, przez rue Cardinal Lemoine, obchodząc Pantheon. Na Carrefour St.-Michel najwyraźniej dziś znów toczyły się walki. Kiedy wspinaliśmy się ku Contrescarpe, czułem w ustach smak *curry* Louisy i z przyjemnością ssałem zęby i dziąsła. Skręciliśmy w rue Clovis. Na ulicach było dużo ludzi, w powietrzu unosiła się uderzająca do głowy aura podniecenia. Ale sam Pantheon był opustoszały, mroczny. Na placyku przed Pantheonem stało siedem, może osiem dużych samochodów CRS, pełnych żołnierzy i gotowych do akcji. Na rogu znajduje się komisariat – umundurowani policjanci wchodzili i wychodzili bez przerwy. Co chwila rozlegał się ryk policyjnego motocykla, który właśnie odjeżdżał albo przyjeżdżał. Skręciliśmy w rue Cujas w dół. Kiedy przechodziliśmy przez Boulevard St.-Michel do rue Monsieur-le-Prince, słyszeliśmy odgłosy walk dobiegających od strony Carrefour. Na ulicy pełno było ludzi, wszyscy wyciągali szyje, żeby coś dojrzeć. Aut nie było wcale.

Widziałem Odeon w czwartek z Harrym, byłem jednak zupełnie nie przygotowany na widok rozhisteryzowanego tłumu, jaki napotkaliśmy skręciwszy w rue Monsieur-le-Prince na Place Edmond Rostand. Odbiliśmy w lewo w rue Vaugirard i zanim skręciliśmy w prawo w rue Corneille obok budynku Odeonu, zobaczyliśmy, że gruby kordon CRS, albo *gendarmes mobiles*, blokują całą rue de Vaugirard aż do budynku, w którym mieści się senat. Wąskie przejście pod arkadami, które otaczają Odeon, było tak zatłoczone rozemocjonowanymi studentami, że szliśmy jezdnią, ale na jezdni też było tłoczno. Większość ludzi, którzy wyszli na ulicę, nie wyglądała przy tym wcale na studentów.

Kiedyśmy wreszcie dotarli do głównego wejścia pod kolumnami, trudno było się dopchać do strażników pilnujących wstępu. Ganek wypełniał tłumek ludzi, którzy próbowali się dostać na maraton dyskusyjny w amfiteatrze, wśród nich dostrzegłem wielu reprezentantów najlepszej socjety. Rozpoznałem hrabinę Taką-czy-inną, ujrzałem też baronową de Jak-jej-tam, z którą się parę razy zetknąłem, obie w otoczeniu licznej świty, panie w futrach, wysocy przystojni panowie w smokingach. Niewątpliwie znakomitości tego rodzaju cieszyły się względami.

Kiedyśmy wreszcie dostali się do środka i szli nie tak już zatłoczonymi marmurowymi schodami na pierwsze piętro, rozpoznałem wielkiego muskularnego faceta, o którym mówił Dave, z długim na metr łańcuchem rowerowym na szyi, rozerwanym, z dyndającymi koło pasa końcami. Spod pach rozpiętego swetra dochodził smród, wiele mówiący o znajdujących się tam pokładach od lat nie dość zmywanego potu. Facet uśmiechnął się do nas i pozwolił nam wejść, kiedy Weintraub wyjaśnił, kim jestem.

– Ale załatw swojemu kumplowi osobną przepustkę, dobra? – zawołał za nami po francusku.

Na zapleczu, ze schodów i korytarzy, widać było przez nie domknięte drzwi, że w każdym pomieszczeniu jakiś komitet studencki gwałtownie nad czymś debatował, a dym z papierosów był gęściejszy od mgły. W korytarzach na niegdyś czerwonych dywanach ślady tytoniu sąsiadowały z rozdeptanymi niedopałkami. Zresztą cały teatr wyglądał, jakby nie był sprzątny od stu lat. Ubrany w białe fartuchy gorliwy personel szpitala uciszył nas jak należy, po czym przemierzywszy jeszcze dwa piętra znaleźliśmy się w pokoiku pod dachem, który Weintraub już mi opisywał.

Był tu pięknowłosa Terri, także brodaty Bernard, oczywiście Anne-Marie, a także pół-Amerykanka Florence, która teraz z jakiegoś powodu przypięła się do Weintrauba. Był też Hill, ten jednak, przywitawszy się ze mną niedbale i z wyraźnym skrepowaniem, schował się w kącie i mówił niewiele.

Najpierw zajęliśmy się moją kartą wstępu. Przewodniczący, który miał na imię Daniel, z rzeczową energią wziął kartkę białego papieru, napisał na niej: „ODEON – COMMISSION CINEMA LAISSEZ-PASSER PERMANENT, po czym popatrzył na mnie przez okulary w drucianej oprawce. Wcześniej przedstawiono mnie jako pana Hartleya.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– No, przecież Hartley.

– Ale na imię?

– Jack.

Napisał na kartce JACQUES, tym razem czerwonym atramentem, równocześnie wyjaśniając:

– Nie używamy nazwisk w tym, co piszemy. Z ostrożności. Dla bezpieczeństwa, twojego i naszego, komitetowego. Gdyby ta przepustka przez przypadek wpadła w ręce policji, to sam wiesz...

Jego francuski miał nieco dziwne brzmienie. Podpisał kartę nieczytelnym zawijasem i wręczył mi, a ja schowałem ją do lewej przedniej kieszeni spodni. Jak Weintraub. Jakoś nie chciałem jej trzymać w portfelu, razem z paszportem i kartami kredytowymi.

Potem wdaliśmy się w gorącą, trudną i rozwlekłą dyskusję na temat pisania przeze mnie komentarzy do filmu, który chcieli zrobić. Weintraub wcale nie przesadzał mówiąc, że w pokoiku jest upiornie gorąco. Czy byłbym zainteresowany napisaniem takiego komentarza? Tak, bez wątplenia byłbym. Ale nie mogę się za to zabrać, póki nie zobaczę przynajmniej materiałów do filmu, który chcą wyprodukować. Tu wtrącił się ktoś inny: Tak, oczywiście, ale na razie to trudne; ciągle nie udało im się wywołać filmów, które już nakręcili. Chłopak, który to mówił, wskazał ręką lodówkę, gdzie trzymali filmy. Policja pilnuje każdego laboratorium w Paryżu, gdzie wywołuje się filmy, zarówno fotograficzne, jak i *cine*, i gdyby wypłynął jakiś film studencki, z pewnością zostałby skonfiskowany. Cóż, jestem gotów poczekać, oznajmiłem. Ale z całą pewnością nie mogę napisać, nie mogę nawet przystąpić do pisania komentarza, póki nie zobaczę choć części materiału filmowego. Poza tym zwróciłem uwagę, że rewolucja jeszcze się nie zakończyła. Spytano mnie, czy nie zgodziłbym się napisać i wydrukować w swoim angielskojęzycznym piśmie paru artykułów o nich, o ich celach i o celach rewolucji. Oczywiście, bardzo chętnie. Chcieliby mi dać chłopaka albo dziewczynę do ściślejszej współpracy.

Daniel spytał mnie obcesowo, kiedy oczekuję ukazania się najbliższego numeru mojego przeglądu. Wyjaśniłem, że to zależy od wielu czynników. Mam numer prawie gotów, ale pismo jest drukowane w Holandii, ze względu na znacznie niższe koszty, a przy obecnych strajkach w transporcie i poczcie dostarczenie tam materiałów stanowi poważną trudność. O to nie muszę się martwić, poinformował mnie Daniel z uśmiechem.

– Mamy, my, studenci, nie sam Komitet Filmowy, samochody, które cały czas kursują do Holandii. Możemy ci te materiały dostarczyć. I to przez chłopców bez długich włosów. – Zauważyłem, że sam strzyże się krótko.

– Uważamy – ciągnął – a przynajmniej ja uważam, że im szybciej artykuły na nasz temat znajdą się w sprzedaży w Paryżu i w Ameryce, tym lepiej dla nas i tym lepiej dla Rewolucji. Czy ktoś ma na ten temat coś do powiedzenia?

Natychmiast podniósł się rejwach, od którego rozbolała mnie głowa. Oni naprawdę mieli hyzia na punkcie dyskusji. Od samego początku zauważyłem, że demokratyczna dyskusja była dla nich taką samą świętością jak dla innych Kościołów, i po trochu miałem już tego dość. W dodatku czułem od początku wyraźną niechęć do Daniela-przewodniczącego z powodu, którego nie umiałem sprecyzować ani nazwać. W pokoiku było gorąco jak diabli, pociełem się, a cała dyskusja odbywała się po francusku, co, choć znam język dość dobrze, denerwuje mnie, kiedy się odbywa w stanie emocjonalnego podekscytowania. W dodatku Weintraub i ta mała Florence gdzieś zniknęły.

Daniel jakby czytał w moich myślach; uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Może któreś z nas pokaże ci nasze gospodarstwo, dobrze?

Zaraz włączył się z powrotem w dyskusję, która przeszła już z transportu moich materiałów do Holandii na temat przydzielania stanowisk strzeleckich, o które poszczególne grupy ubiegały się na jutro.

Chłopak, który mnie oprowadzał, miał długie włosy, które wołały o wodę i mydło. Na imię mu było Raymond. Najpierw zaprowadził mnie na prawo, na zaplecze kuchenne, nieco większe od „biura”. Pomieszczenie było pustawe, na podłodze walały się nieświeże koce, a na turystycznej kuchence gazowej jakiś chłopak próbował odgrzać zupę z puszki. W rogu Weintraub pieprzył się z pół-Amerykanką Florence.

Raymond nawet okiem nie mrugnął.

– Może chcesz popatrzeć z góry na teatr? Mamy specjalny balkon – powiedział spokojnie po francusku.

– Czemu nie, dobrze.

Ani Weintraub, ani Florence nie spojrzeli na nas, ciasno objęci, a nawet, o ile mogłem się zorientować nie patrząc zbyt uważnie, nie zmienili rytoau, Raymond przepuścił mnie, obok chłopaka, który nadal w pełnym skupieniu gotował zupę, przez biuro do drzwi wychodzących na przeciwległą stronę. Kiedyśmy wyszli, zatrzaszkując je za sobą, znaleźliśmy się na ciemnym balkoniku tuż pod sufitem amfiteatru. Siedem pięter pod nami rozbrzmiewał na pełen regulator nieustanny dialog, który się zaczął przed czterema dniami, kiedy to studenci rozpoczęli okupację Odeonu. Wysoki jasnowłosy chłopak, który ze sceny kierował debatą za pomocą młotka licytatora i robił to dobrze, wyłowił z tłumu pewnego obywatela, niewątpliwie nie studenta i na pewno nie pracownika administracji, innymi słowy, robotnika, który przy akompaniamencie gniewnych pomruków pytał, czy rozszerzające się bezwarunkowe strajki nie przynoszą Francji więcej szkody niż pożytku. Pośród wrogich okrzyków człowiek ten wyłożył swoje racje, które można sprowadzić do tego, że Francja w gruncie rzeczy potrzebuje przyływu amerykańskich kapitałów, co jego zdaniem automatycznie zmieniłoby przestarzałą strukturę francuskiego kapitalizmu i zbliżyło go do nowocześniejszego, amerykańskiego systemu spółek akcyjnych, a pośrednio łagodnie i pokojowo wysadziło z siodła francuski *Patronat*, skądinąd źródło całego problemu. Robotnik usiadł, cały czerwony na twarzy, przy przytłaczającym aplauzie i sporej liczbie szyderczych gwizdów. Blondyn uderzył młotkiem licytacyjnym i wskazał na innego mówcę, który przystąpił do zbijania tez poprzednika. Wycofaliśmy się. Trudno było umknąć widoku Weintrauba i Florence w działaniu.

– Może chcesz zobaczyć nasze sypialnie? – spytał grzecznie Raymond.

– Czemu nie? Dobrze – odpowiedziałem. Mam nadzieję, że z należytym spokojem w głosie.

Przeszliśmy przez „biuro”, w dalszym ciągu rozbrzmiewające taką czy inną demokratyczną

dyskusją, i wyszliśmy innymi drzwiami. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, było węższe, ale dłuższe od „kuchni”, ciemne, z podłogą zasłaną śpiworami, poplamionymi materacami i równie obskurnymi kocami, a na jednym z nich Hill Gallagher obracał Samanthę Everton, która wcale nie jest wysoka i ma bardzo długie i bardzo piękne nogi – prawdę mówiąc, równie piękne jak nogi Louisy, a te ostatnie są najpiękniejszymi, jakie zdarzyło mi się widzieć.

– Bardzo tu ładnie – powiedziałem i zaraz wycofałem się do rozgadanego biura. – A jak sobie radzicie z łazienkami?

– Ach, chodzimy do łaźni miejskiej w okolicy – odparł z uśmiechem Raymond. – Jak mamy chwilę czasu.

Młodzi oczywiście ciągle dyskutowali. Nie zdążyłem się zorientować, na jaki teraz debatują temat, kiedy pojawił się Weintraub, spocony i czerwony na twarzy.

– Niezła sztuka z tej Florence – powiedział szczerząc zęby. – Chciałbyś z nią potem spróbować? Powiedziała, że się jej podobasz. Nawet bardzo.

– Tak powiedziała?

– No jasne. Przecież *bym* nie zmyślał.

– Ciekaw jestem, czy się umyła.

– Umyła? – powtórzył Weintraub. – Umyła? Ach, umyła. Myślę, że tak. Po drugiej stronie korytarza jest kibiel. Właśnie tam poszła.

W tej chwili Florence, zadowolona i szczęśliwa, pojawiła się w drzwiach, a mnie nagle coś podkusiło i pomyślałem sobie, właściwie czemu nie? W końcu, jeśli tak ma od tej pory być, czemu by nie spróbować, jak to jest? Mogę należeć do „starszego pokolenia”, ale powinienem wiedzieć, jaki ma być ten nowy świat. Więc kiedy Florence do nas podeszła, wziąłem ją za rękę.

Rzeczywiście, nie trzeba jej było namawiać. Od razu poszliśmy do „kuchni”, gdzie tamten chłopak zajęty był teraz pałaszowaniem zupy z puszki, którą przedtem tak starannie podgrzewał. Użyliśmy tego samego leżącego w kącie koca, którego używała przedtem z Weintraubem, i z zadowoleniem mogę podkreślić, że nie przeszkodziliśmy młodemu człowiekowi w jedzeniu.

Muszę wyznać, że nie była najlepsza w te klocki. Z pewnością brakło jej doświadczenia i finezji Martine. Właściwie to po prostu leżała. Ale w końcu, jak potem miał powiedzieć Weintraub, jest jeszcze bardzo młoda, jest ledwie dzieckiem.

Rozdział trzynasty

Nie możesz od niej oczekiwać równej sprawności, co od kogoś starszego, kto ma za sobą lata praktyki i edukacji łóżkowej – stwierdził całkiem rozsądnie Weintraub.

– Być może – powiedziałem. – Ale spójrz na Sam. Jest w tym samym wieku co Florence. Dziewiętnastolatka.

Cała ta sprawa przestawała mi się podobać.

– Ach, Sam to zupełnie odrębny przypadek! Ona jest wyrafinowana. Z niejednego pieca chleb jadła.

– Domyślam się. Czułem się fatalnie.

– Ale co z nią i z Hillem? Widziałem ich... wiesz. – Odchrząknąłem. – Myślałem, że Florence jest Hilla... no, wiesz.

– Przecież oni nie wierzą w sypianie z jedną tylko osobą. W miłość monogamiczną – opowiadał z podnieceniem Weintraub. – Powinieneś o tym wiedzieć. Chyba że obie strony postanowią, że właśnie tego pragną. Wtedy to jest ich prywatna sprawa. Przecież musisz to wiedzieć. Dlatego Sam robi to teraz czasem z Hillem. A Florence ze mną. I z tobą. I z paroma innymi, jak przypuszczam.

Siedzieliśmy w barze. Ściśle mówiąc, był to stary bar Monaco, kwatery Dave'a, ta sama, w której po raz pierwszy zetknął się z Komitetem Filmowym na początku miesiąca. Wyszliśmy z Odeonu koło pół do drugiej, dogadawszy się, że zrobię, co będę mógł, jeśli chodzi o komentarz do filmu, jak tylko będą po temu warunki, a tymczasem postaram się zdobyć dwa artykuły do mojego pisma, oni zaś zadbają o to, żeby wszystkie materiały, cały numer, trafiły do drukarni w Holandii. Zaoferowali mi asystenta i zdecydowałem się na Terriego o anielskiej urodzie i pięknych długich włosach; Hill, do którego zwróciłem się w pierwszej kolejności, odmówił po krótkiej naradzie na stronie z Samanthą. Sam została w Odeonie.

Muszę powiedzieć, że bar Monaco nie wyglądał już tak jak dawniej po wypadkach ostatnich tygodni. Doszliśmy tam wprost ze schodów Odeonu, idąc rue de l'Odeon. Szliśmy, mając cały czas przed sobą potężny kordon policjantów i wozów policyjnych, który przecinał rue de l'Odeon u zbiegu z Boulevard St.-Germain. Chłopcy z CRS blokowali ulicę co najmniej w trzech szeregach, ubrani w hełmy, maski gazowe i płaszcze ochronne, uzbrojeni w tarcze i długie *matraques*. Z wyglądu wcale nie przypominali ludzi. Wszędzie unosił się zapach gazów łzawiących, ale do tego już zdążyliśmy się przyzwyczaić.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział Weintraub, prowadząc mnie do swej siedziby w barze. – I ty, i ja możemy przejść przez szpaler na bulwar. Co innego gdybyśmy byli o dwadzieścia lat

młodszy i nosili długie włosy.

Zajęliśmy pusty stół w głębi baru.

– Myślę, że Hill się w niej zakochał – powiedziałem, kiedy już porozmawialiśmy o seksie. – W Sam. Myślę, że to coś poważnego.

– Daj spokój. Oczywiście, że się zakochał. Tak jak przedtem we Florence, którą potem oddał mnie i tamtemu chłopakowi... jak mu na imię? Raymondowi, temu, co cię oprowadzał.

Zapewne miał rację. Zresztą doszedłem do wniosku, że to nie ma większego znaczenia.

– Posłuchaj, Dave. Wpadł mi w tej chwili do głowy pewien pomysł. Świetny pomysł. To znaczy, myśl ta gdzieś mi się tam kołatała przez cały czas w głowie, a teraz wreszcie uległa krystalizacji.

– O co chodzi?

– Ja nie jestem odpowiednim człowiekiem, który by im napisał komentarz do tego ich filmu. Oczywiście mógłbym to zrobić. I na pewno napiszę te artykuły do „Review”, na których tak im zależy, chociaż wątpię, czy oni będą mogli pomóc, jak to obiecują. Ale jeśli chodzi o komentarz do filmu, ja nie jestem człowiekiem, o którego im chodzi. Nigdy nie robiłem w tej branży. Takim człowiekiem jest Harry Gallagher!

Weintraub przez całą minutę milczał, po czym chwycił stojący przed nami pernod i gwałtownie wychylił mlecznozmętniałą zawartość.

– Cholera! Że też ja na to nie wpadłem. Znowu milczał przez dłuższy czas.

– Ależ to przysporzyłoby komplikacji Hillowi – powiedział wreszcie. – On i tak był wściekły, kiedy zaproponowałem, że ciebie przyprowadzę. Pamiętasz, mówiłem ci, że głosowałem przeciwko. Co się stanie, kiedy oni zwrócą się do jego ojca?

– Czy my to w końcu robimy dla Komitetu Filmowego, czy może dla osobistej wygody Hilla Gallaghery?

– Słuszna uwaga – przyznał po namyśle Weintraub. Zamówił następny pernod. – Ale jednak trochę mnie to niepokoi. Nie wiadomo, co by z tego jeszcze mogło wynikać.

– Posłuchaj. Jeśli to będzie dobre dla tak zwanej „rewolucji”, a wiesz, jak się moim zdaniem ta cała „rewolucja” skończy, nie widzę, w jaki sposób Hill mógłby temu przeszkodzić. Czy on jest po stronie *Revolution*, czy po swojej własnej?

– No cóż – powiedział Weintraub – ja z pewnością jestem po stronie *Revolution*. Moglibyśmy zaraz tam wrócić i przedstawić im ten pomysł.

– Wiesz, ja przecież nie tchórzę, ani nic takiego, po prostu Harry świetnie by się im nadał.

Równie gwałtownie co przed chwilą wypił pernod rozcieńczony odrobiną wody, a ja nagle nabrałem nieodpartego przekonania, że wcale nie był za bardzo szczęśliwy ani taki znowu obojętny, że musiał odstąpić swoją piękną Samanthę Hillowi, – czy komukolwiek zresztą.

– W porządku, chodźmy – powiedział podsuwając w moją stronę kwitki kasowe. Zająłem się

nimi.

– Ale czy oni jeszcze tam będą?

– Żartujesz? Będą tam przez całą noc, przynajmniej większość z nich.

Tak więc zrobiliśmy. Odwróciliśmy się plecami do grubego kordonu CRS u wylotu ulicy i pomaszzerowaliśmy prosto na masywne schody frontowe Odeonu, gdzie nasze przepustki od razu utorowały nam drogę przez tłum.

– Rozumiesz, że ciężko mi to przychodzi ze względu na Hilla – powiedział Weintraub, kiedy marmurowymi schodami wchodziliśmy na pierwsze piętro – ale naprawdę myślę, że to wyjdzie na dobre całej *Revolution*.

Skądinąd wcale nie podważałem czystości jego intencji.

Kiedy weszliśmy do małego, zaparowanego pokoiku pod dachem kulis, okazało się, że nie ma w nim akurat Hilla. Ani Sam. Gdzieś sobie poszli. Kiedy zaprezentowałem projekt zlecenia komentarza Harry'emu, wsparty następnie z entuzjazmem przez przewodniczącego Daniela w czasie nieuniknionej demokratycznej dyskusji, okazało się, że pod nieobecność Hilla i jeszcze kilku osób jednogłośnie uchwalono powierzenie Harry'emu tego zadania. Anne-Marie głosowała za, podobnie mój nowy współpracownik Terri i brodaczn Bernard. I oczywiście przewodniczący Daniel też był za. Okazało się, że nikt w Komitecie Filmowym nie zdawał sobie sprawy z tego, że Harry Gallagher, słynny awangardowy, radykalny scenarzysta, był ojcem członka ich komitetu, noszącego to samo nazwisko.

– Porozmawiam z nim o tym jutro – powiedziałem do Weintrauba, kiedy po ciemku schodziliśmy na dół, żeby przepchnąć się przez tłum do wyjścia z teatru.

Następnego dnia rano zadzwoniłem do Harry'ego.

– Co? Komentarz? Komentarz do filmu, który oni chcą zrobić? O rewolucji?

Pauza.

– Cholera, tak! Jasne, że tak! Marzę o czymś takim! Znów pauza.

– Ale będę musiał najpierw zobaczyć nakręcony materiał. I będę musiał mieć prawo robienia cięć. Będę musiał mieć prawo współpracować z tymi, którzy im będą robili montaż.

– Myślę, że na to się zgodzą, zresztą zgodzą się na wszystko, czego zażadasz. Słuchaj, zaprowadzę cię tam wieczorem. Koło północy. To znaczy, zaprowadzimy cię tam z Weintraubem. To był właściwie jego pomysł od samego początku.

– Dobrze. Nie, poczekaj. Poczekaj chwilę. Nie jestem pewien, czy będę mógł dziś wieczorem. Mam zaplanowane spotkanie. Chyba wiesz, co się wczoraj stało w Cannes?

Nie wiedziałem. Nie przejrzałem jeszcze porannych gazet. Harry zaczął mi opowiadać.

Okazało się, że w sobotę wieczorem grupa agitatorów, złożona głównie z młodszych reżyserów i aktorów francuskich, jak Godard, Louis Malle, Francois Truffaut, Jean-Pierre Leaud

i Carlos Saura, doprowadziła do zamknięcia na pięć dni przed terminem festiwalu filmowego w Cannes, który trwał od paru dni. Przyczyna była niezupełnie jasna, na ogół jednak uważano, że jest to strajk na znak sympatii dla studentów i robotników francuskich. Geraldine Chaplin, ładna młoda gwiazda hiszpańskiego filmu *Mrożony peppermint*, wdarła się na estradę i próbowała zaciągnąć kotary w trakcie projekcji jej własnego filmu. Pan Favre le Bret postanowił po tej demonstracji przerwać cały festiwal, żeby zapobiec ekscesom w trakcie pokazów, a także dlatego, że „okoliczności nie zezwalają na dalsze projekcje w normalnych warunkach”. Tak więc festiwal zamknięto – na rok.

– Więc muszę tam pojechać – podsumował swoją relację Harry.

Nie zrozumiałem.

– Ale dlaczego? Skoro wszystko skończone, po co chcesz jechać?

– Chcę przerwać kręcenie mojego filmu – wyjaśnił. – To jedyna produkcja filmowa na terenie całej Francji, która nie jest objęta strajkiem.

Usłyszałem w jego głosie trąbkę wzywającą do boju.

– Co takiego? – wrzasnąłem do słuchawki. – Ty chyba zwariowałeś? To jest film amerykański, a nie francuski.

– Bez znaczenia. Zatrudniają Francuzów. Mam zamiar zacząć strajk.

Była to kryminalno-westernowa historia miłosna, kręcona na pustkowiach Camargue przez starego przyjaciela Harry’ego, Allena Steinerweina. Harry nie tylko napisał scenariusz, ale też później pracował jeszcze nad nim z reżyserem.

– Ty chyba naprawdę zwariowałeś.

– Nie. Mieliśmy spotkanie Związku Reżyserów i Aktorów, wczoraj późnym wieczorem, kiedy nadeszły wieści z Cannes, i przegłosowaliśmy przerwanie produkcji także i tego filmu. Zostałem wydelegowany na plan, ponieważ znam osobiście prawie wszystkich techników i kamerzystów, którzy tam pracują.

– A co będzie z biednym Allenem Steinerweinem?

– Jego pech. Ale musi się z tym pogodzić, jak wszyscy inni. Tak więc dziś po południu mamy naradę roboczą, żeby wybrać najlepszą taktykę. Dlatego obawiam się, że nie będę mógł pójść z tobą wieczorem do Odeonu.

– No cóż, myślę, że poczekam, aż wrócisz. Tyle że ci młodzi już się trochę denerwują, a kto jak kto, ale oni naprawdę potrzebują pomocy. Jak długo cię nie będzie?

– Sam nie wiem. Wszystko zależy od tego, jak łatwo pójdzie mi tam na miejscu. Pięć dni. Może tydzień.

– W takim razie myślę, że powinieneś jednak pójść dziś jeszcze do Odeonu. Zanim wyjedziesz.

– Nie sądzę, żebym miał wyjechać przed środą. Posłuchaj, zadzwonię do ciebie wieczorem.

Około pół do jedenastej. Będę wtedy lepiej zorientowany w sytuacji. Dobrze?

– Dobrze. Ale naprawdę uważam, że jesteś niespełna rozumu.

Nastąpiła pauza, jakby nie tylko nie przejął się moją uwagą, ale wręcz jej nie usłyszał, całkowicie zaabsorbowany inną myślą. Potem powiedział:

– Co Hill o tym wszystkim pomyśli, co powie? On należy do tego komitetu, prawda?

– Jestem pewien, że będzie temu przeciwny – powiedziałem. – Tak jak sprzeciwiał się temu, żeby Weintraub mnie przyprowadził. Ale został przegłosowany przytłaczającą większością.

Harry przez chwilę nic nie odpowiadał.

– Cóż, skoro go tak zdecydowanie przegłosowano, myślę, że jednak powinienem do nich pójść. Prawda?

– Już ci mówiłem, że tak. W końcu sam ci podsunąłem ten pomysł. Za to twój wyjazd do Cannes uważam za pomysł kompletnie zwariowany. Niech jedzie ktoś inny.

– Odpieprz się.

– Cześć. Nie zapomnij zadzwonić wieczorem. Odłożył słuchawkę, zanim skończyłem zdanie. Kolację zjadłem tym razem sam. Przeszedłem przez most, mijając dwa samochody pełne glin, które stały tam teraz przez całą dobę, do Chez René na rogu Cardinal Lemoine i Boulevard St.-Germain, mego od lat ulubionego lokalu, gdzie znali mnie wszyscy kelnerzy oraz szef, w swoim czasie śrubka w maszynierii *Resistance*. Dość miałem studentów, filmów dokumentalnych, komentarzy do filmów i w ogóle całej tej branży. Kto się jeszcze przejmuje taką ramotą jak festiwal w Cannes? Czy festiwal strajkuje, czy nie strajkuje? To wszystko przypominało makabryczny żart. I miałem dość Harry'ego, który wybierał się aż do Cannes, żeby przerwać produkcję swojego filmu. Chyba mu naprawdę odbiło.

Wróciłem do domu przed pół do jedenastej, minąwszy złowrogię acz uprzejme, sobą zajęte wozy policyjne. Niektórzy z siedzących w środku znali mnie już z widzenia – machali do mnie i uśmiechali się pogodnie. Telefon zadzwonił, jak tylko wszedłem do mieszkania.

– Jestem gotów tam pójść – oznajmił mi Harry. – Czy możesz ściągnąć Weintrauba?

– Zabierzemy go po drodze z baru Monaco. Spotkamy się przy moście dla pieszych, dobrze?

Chyba nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć, jak ktoś jedna sobie cały pokój ludzi tak, jak Harry zjednał sobie ten przesycony zapachem potu, zaparowany, zatłoczony pokoik pod dachem Odeonu i tę bandę zwariowanych na punkcie demokratycznej dyskusji studentów. Nikt mu nie odpowiadał, nikt nie próbował oponować, nikt nawet nie napomknął o dyskusji. Łącznie z Hillem. Zresztą Harry przeszedł od razu do meritum.

– Mówicie, że chcecie zrobić film o rewolucji. Ale jaki to ma być film? Taki, który można pokazywać w klubach Rotary i w klubach popołudniowych dla pań w całej Ameryce? Coście właściwie sfilmowali? Czy macie spis zawartości każdej rolki, jak Pan Bóg przykazał? Nie, oczywiście nie macie. Nikt o tym nie pomyślał. Tak więc macie to, co się tutaj mieści. I nikt tak

naprawdę nie wie, co tam jest.

Spojrzał na lodówkę.

– Czy to wszystkie filmy, jakie zgromadziliście w ciągu miesiąca?

– Nie – odpowiedział przewodniczący Daniel, który coraz mniej wyglądał na komisarza w druczanych okularach. – Przynajmniej drugie tyle przechowujemy w mieszkaniu prywatnym obecnego tu pana Weintrauba.

– Aha! Dobrze. To już niezłe. Gdyby nie jedno: powtórzenia. Założę się, że macie tu trzy kilometry filmu, przeważnie prześwietlonego lub niedoświetlonego, na którym grupy studentów nachodzą na statyczną kamerę, i ze trzy kilometry filmu, prześwietlonego lub niedoświetlonego, na którym zamaskowani policjanci szarżują na statyczną kamerę, która w gruncie rzeczy jest przecież zapewne przenośna. I jakie wy z tego chcecie zmontować filmy? Nie będą tego chcieli puszczać w szkołach średnich w Ameryce, nie mówiąc już o uniwersytetach. Stąd pytanie: Czy pomyśleliście kiedyś, choćby przelotnie, o jakiejś ciągłości, o fabule? Jeśli tak, musicie mieć bohaterów. Czy macie bohaterów, którym coś się przytrafia i których przemiany widowiska może śledzić chronologicznie? Nie, oczywiście nie pomyśleliście i nie macie. Nie wpadło wam to do głowy?

Harry z zaprawioną sarkazmem mentorską powagą rozejrzał się po pokoju.

– Weźcie jego – powiedział wskazując na pięknowłosego Terriego. – On by się świetnie nadał do waszego filmu.

Znów się rozejrzał.

– I ją też weźcie – dodał pokazując na Anne-Marie. – Dajcie mi tych dwoje, do tego trzy ekipy operatorów z przenośnymi kamerami albo nawet bez, a ja wam zrobię film, o który będą błagać wszystkie kina w Ameryce. I zrobię go w dziesięć dni. Myślę, że rewolucja jeszcze tyle potrwa. Poza tym jestem pewien, że w tym, co już nakręciliście, znajdzie się trochę materiału, który będzie można w stosownej chwili wykorzystać w charakterze przerywników... Więc jak, interesuje was takie rozwiązanie? Albo coś w tym guście? Jeśli tak, jestem do waszej dyspozycji. I oczywiście za darmo. Nie wezmę ani grosza z dochodów. Ale sprawię, że wasz film będzie pokazywany i uwielbiany we wszystkich kinach Europy i Ameryki.

Tu zrobił pauzę i dodał z uśmiechem:

– No, może z wyjątkiem Francji.

– Cóż, zaprosiliśmy tu pana właśnie po to, żeby uzyskać tego rodzaju profesjonalną poradę, panie Gallagher – powiedział przewodniczący Daniel, dziwnie, jak na niego, bezbarwnym głosem. – Myślę, że musimy to najpierw przedyskutować. Takiej metody trzymamy się w naszej demokratycznej Rewolucji.

– A zatem dyskutujcie, panowie. Jestem gotów posiedzieć i poczekać pół godziny. Ale ja nie będę dyskutował. A jeśli podejmę się tego zadania, z chwilą kiedy mi je zlecicie, nie będzie

więcej dyskusji. Od tego momentu będę musiał być bezwzględnie szefem. Weźcie to pod uwagę.

– Nie jestem pewien, czy uda nam się podjąć decyzję w ciągu pół godziny – powiedział pojednawczym tonem Daniel.

– W porządku – zgodził się ochoczo Harry. – Muszę pojechać do Cannes jutro lub pojutrze w pewnej drobnej sprawie. Możecie dyskutować do mojego powrotu, który powinien nastąpić w ciągu pięciu dni do tygodnia. Spodziewam się, że zostanie nam wówczas jeszcze sporo rewolucyjnych scen do nakręcenia. Zwłaszcza jeśli dodać do tego te wszystkie materiały, któreście do tej pory nakręcili i które będzie można wmontować. Oczywiście musiałbym poznać waszych montażystów. Powinienem ich dobrze poznać. Bo jak się skończy kręcenie, będziemy ze sobą bardzo blisko współpracować.

– Jeszcze nie podjęliśmy decyzji co do montażystów – powiedział Daniel.

– Cóż, jak mówiłem, macie mniej więcej pięć do siedmiu dni.

Harry wstał zza biurka, gdzie siedział dotychczas, skulony w dość niewygodnej pozycji.

Młody Gallagher stał w głębi pokoju, w ciemnym kącie, przez cały czas popisowego wykładu Harry'ego. Zdaje się, że podświadomie zdryfował w jego kierunku. Kiedyśmy weszli, Hill i Harry powiedzieli sobie „cześć” i przelotnie uścisnęli sobie ręce. Ale od tego czasu Hill nie odezwał się ani słowem.

Gdzieś w połowie przemowy Harry'ego, przemowy, która, muszę przyznać, była moim zdaniem trochę za trudna dla tych niedoświadczonych młodych ludzi, a ponadto, z pobudek egoistycznych, zbyt rozwlekła i napuszona, do pokoiku wśliznęła się Samantha Everton i po cichu podeszła do nas.

– Obawiam się, że nie rozumie pan jednej rzeczy, panie Gallagher – powiedział przewodniczący Daniel, patrząc na stojącego Harry'ego. – My nie chcemy zrobić opowieści miłosnej czy czegoś w *tym* guście. Chcemy jedynie pokazać światu prawdę o tym, co się wydarzyło, co się zdarza i co się jeszcze przydarzy tej naszej Rewolucji.

– Całkowicie się z tym zgadzam – rzucił krótko Harry. – Ale muszę dodać jeden punkt. Nie zapominajcie, że widzowie na całym świecie gwiżdżą na prawdę, chyba że poda im się ją w taki sposób, żeby się z nią mogli utożsamić. Nic ich na przykład nie obchodzi tabuny anonimowych studenckich twarzy ani nawet tysiące twarzy atakujących, walczących gliniarzy, zwłaszcza jeśli są zasłonięte maskami przeciwgazowymi. Chcą brać udział w zmaganiach garstki studentów, których mogą wyłowić z tłumu, rozpoznawać i, jak powiedziałem towarzyszyć im przez cały film. Wydaje mi się, panowie, że na tym polega wasz główny problem... Tak czy siak, przedyskutujcie to. Ja muszę wyjechać. A jak tylko wrócę, załatwiwszy sprawę strajku w Cannes, skontaktuję się z wami. *Ła va? Okay?*

Mówił po francusku, ale ostatnie słowo dodał po angielsku.

– *Okay* – potwierdził Daniel.

Muszę przyznać, że Harry zrobił na nich wrażenie. Zauważyłem też, że zachował powód swego wyjazdu do Cannes – przerwanie produkcji filmu – na sam koniec, jak prawdziwy profesjonalista. Teraz odwrócił się w naszą stronę i uśmiechnięty podszedł do kąta, gdzie staliśmy z Hillem. Wysoki, objął każdego z nas ramieniem.

– Chodźmy się napić, co wy na to? – spytał. Udawał, że nie widzi Samantha.

Byłem pewien, sądząc z miny, która przemknęła przez jego twarz, szybko zatuszowana i zmazana, że wiedział wtedy, co się zdarzyło i co się odbywa między Hillem i Sam.

– Ty też możesz z nami pójść, jeśli chcesz – dodał.

– Byłeś wspaniały – szepnęła Sam – chociaż słyszałam tylko drugą połowę.

Harry wciąż obejmował Hilla i mnie ramieniem, skrzętnie wyłączając z tego uścisku Samantha.

– Ty też mógłbyś pójść, Dave, jeśli masz ochotę – zawołał nad głowami studentów do Weintrauba, który siedział na ławce z Florence.

– Nie, dziękuję – odparł Weintraub z chytrym uśmieszkiem. – Lepiej tu zostanę i przysłucham się dyskusji. Będę twoim szpiegiem.

Wszyscy się roześmieli i kiedy nasza czwórka opuszczała pokój, atmosfera była miła.

Nie pamiętam już, dokąd konkretnie poszliśmy. Nie był to na pewno bar Monaco. Skręciliśmy znów w nie Racine, jak kiedyś z Harrym, ulica nie była zablokowana kordonem CRS. Wyszliśmy na Boulevard St.-Michel, wciąż pełen ludzi, którzy chcieli popatrzeć na walki, jakie nadal toczyły się na skrzyżowaniu z Boulevard St.-Germain. Szliśmy na południe, w górę, oddalając się od rzeki, i po drodze Harry przystanął przy jednym z barów; weszliśmy do środka i usiedliśmy przy stoliku.

Niemal od samego początku czułem się, jakby powiedział mój dziadek, niczym przysłowiowe piąte koło u wozu. Cokolwiek się działo czy miało się zdarzyć, tamci nie potrzebowali mojego towarzystwa.

Więc zostawiłem ich w tym barze i poszedłem do domu przy rue Soufflot, obok pogrążonego w mroku Pantheonu, przed którym rzędem stały wozy CRS, a potem wzdłuż Cardinale Lemoine. Prawie dokładnie tą samą trasą, którąśmy przyszli.

Rozdział czternasty

Muszę powiedzieć, że wcale nie myślałem, iż coś się zdarzy. No bo w końcu, co by się miało zdarzyć? A Harry zadzwonił następnego dnia, we wtorek, żeby powiedzieć, że już wieczorem wyjeżdża do Cannes, a nie w środę, jak pierwotnie planował. W środę późnym popołudniem zadzwonił do mnie Hill.

Prawie całą środę spędziłem w mieszkaniu jego rodziców, oglądając telewizję. Pokazywano drugi (i ostatni) dzień debaty w Assemblee Nationale nad wotum nieufności dla rządu premiera Pompidou i przemówienie samego Pompidou. Po raz pierwszy, odkąd zaczęły się kłopoty, władze zgodziły się na taką transmisję. Ale po przemówieniu Pompidou, które wydało mi się dość ostre, a zarazem rozsądne, znudziło mi się oglądanie obrad i wróciłem do domu myśląc, że uda mi się popracować. Zresztą, i tak było już wiadomo, że rząd przetrwał próbę obalenia, choć zaledwie jedenastoma głosami.

Hill zadzwonił wkrótce po moim powrocie. Nie wiem, skąd telefonował. Tak czy siak, chciał mi powiedzieć, że Samantha nagle znikła. Bardzo z tego powodu rozpaczał. Zaproponowałem oczywiście, żeby wpadł do mnie do „chałupy”, jak my, „starsze pokolenie”, do dziś nazywamy nasze mieszkania.

- Nie mów nic rodzicom – poprosił.
- Twój tata już wyjechał.
- Ach, zapomniałem. W takim razie nie mów nic mamie.
- Pewnie, że nie powiem. Ale co ty najlepszego wyprawiasz? Czyś ty zwariował?
- Może. W każdym razie muszę z kimś pogadać.

To mi pochlebiło. Oczywiście od razu się zorientowałem, że jest w niej zakochany. I to zapewne do szaleństwa. Po raz pierwszy w swoim mizernym życiu. A co gorsza, mając przed sobą wachlarz możliwości do wyboru, zakochał się akurat w takiej osobie, jak Samantha-Marie Everton.

Na dodatek, w tej samej chwili, ogarnęła mnie przerażająca pewność, że dysponuję numerem telefonu, pod którym Hill niechybnie zastałby ją w Cannes. Znałem hotel, w którym Harry zawsze się w tym mieście zatrzymywał. Hotel Carlton.

Hill, kiedy w końcu przyszedł, wyglądał żałośnie: wprost wycieńczony, z podkrążonymi na sino oczyma, w które wręcz bałem mu się patrzeć, tyle się w nich czaiło udręki i bóleści.

Co ten Harry sobie, na miłość boską, myśli? Jezu. Jezu Wszechmogący. Jezu. Jezu.

Muszę przyznać, że Hill nie owijał sprawy w bawełnę.

– Mam poważny kłopot, Jacku... wujku Jacku.

– Mów mi po imieniu.

– Mam poważny kłopot – powtórzył wpatrując się nienawistnie w podłogę, jakby to ona była winna wszystkiemu, co go spotkało. Przez sekundę miałem nawet wrażenie, że w odruchu bezsilnej złości i rozpaczony wymierzy jej zaraz mściwego kopniaka.

– Cóż, to się *zdarza* wielu ludziom w twoim wieku – odparłem. – A czasem także ludziom w moim wieku.

– Jestem zakochany – oznajmił bezbarwnym głosem i opadł na najlepszy z moich foteli.

Trochę tym zbił mnie z tropu. Uważałem, że między nami to się rozumie samo przez się. Spróbowałem potraktować rzecz lekko.

– Och, myślałem, że chodzi o coś poważniejszego.

– Nie rób sobie żartów. Spojrzał na mnie złowrogo.

– Wcale sobie z siebie nie żartuję – zapewniłem go poważnym tonem. – Próbowałem cię tylko rozluźnić, może rozśmieszyć.

– To więcej nie próbuj. I skończ z żartami. Czy ty wiesz, jak się czuję? I co już przeszedłem?

– Chyba się trochę domyślam. Nie zapominaj, że przez dziewięć lat byłem żonaty, dopóki się nie rozwiodłem. Więc mówisz, że znikła.

– Ulotniła się jak kamfora. Sprawdziłem u Weintrauba i u innych facetów, o których wiedziałem, że kręciła z nimi. I u dwóch dziewczyn, z którymi sypiała. Nikt jej nie widział od poniedziałku. Odkąd wtedy wieczorem była z tatą i ze mną.

Poszedłem do baru. Hill poderwał się z fotela i postępował o dwa kroki za mną, jakby się bał stracić mnie z zasięgu ręki.

Naprawdę nie wiedziałem, co mu mam powiedzieć. Czy powiedzieć mu prawdę, a przynajmniej to, o czym nie bez podstaw mniemałem, że jest prawdą, czy raczej zachować to przekonanie dla siebie? Tylu ludzi wierzy dziś w mówienie bez ogródek całej, nie uszmkowanej prawdy. W naszych czasach wróciła moda na taką brutalność. Aleja miałem gdzieś, co jest modne, a co nie. Chciałem mu powiedzieć, lub nie, coś, co by mu wyrządziło jak najmniejszą krzywdę. To *znaczy*, szukałem takiego wyjścia z sytuacji, które mu wyrządzi najmniejszą krzywdę na dłuższą metę. Na dłuższą metę. A nie doraźnie.

– Proszę – powiedziałem wręczając mu butelkę whisky. – Chlapnij sobie. Może to cię trochę uspokoi.

Zanim zdążyłem sięgnąć po szklankę dla niego, wyrwał mi z ręki butelkę i pociągnął z gwinta dobre trzy centymetry mocnego, czystego alkoholu. Powoli zakręcił flaszkę.

– Nie to miałem na myśli – stwierdziłem.

– Ale mi dobrze zrobiło! To mi dobrze robi. Przyjemne pieczenie w gardle i w żołądku, kojące, odprężające, najwyraźniej mu zasmakowało.

– Rzeczywiście cię wzięło – powiedziałem.

– Jak cholera.

Ja sam też nie najlepiej się czułem, ale w przeciwieństwie do Hilla zdecydowanie nie miałem ochoty na alkohol.

– Nie masz pojęcia, jakie to okropne! – zaczął Hill jakimś zduszonym krzykiem. – Ty...

– Hill, myślę, że chyba każdy wie, jak to jest – przerwałem. – No, może prawie każdy. W każdym razie wszyscy moi znajomi.

– Ale to cię może zabić! Dosłownie: zabić!

– Niewątpliwie. Nawet jeśli nie jest się osobnikiem nadmiernie wrażliwym.

Wrócił do fotela i opadł nań ciężko.

– Myślę, że to zazdrość – powiedział refleksyjnie.

– Jakiś rodzaj zazdrości. Nie chcę, żeby Sam chodziła z innymi.

Po chwili przerwy:

– Mam bujną wyobraźnię. Wszystko sobie wyobrażam. Wszystkie szczegóły. Z chłopakami. A do tego z dziewczynami. Zazdrość. Jakaś odmiana zazdrości.

Chyba właśnie wtedy postanowiłem mu powiedzieć. Zabójczy cios, który leczy, coś w tym rodzaju. Nie opuszczała mnie myśl, że i tak prędzej czy później się o tym dowie. Czyż nie lepiej, żebym to ja go na to przygotował?

– Chyba wiem, gdzie możesz ją złapać. Pod warunkiem, że będziesz chciał. To znaczy, telefonicznie. Podejrzewam, że Sam jest w Cannes. W hotelu Carlton.

Powolutku podniósł na mnie wzrok. – Z tatą???

– Obawiam się, że tak. Oczywiście mogę się mylić. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Potem powiedział:

– Jezu. Jezu Chryste.

Zatonął w głębokim fotelu, jakby opadł z sił.

– Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego przyszło ci do głowy zadurzyć się akurat w niej...

Odczuwałem nagłą potrzebę zagadania czasu. Czy postąpiłem właściwie? Czy też podjąłem niesłuszną decyzję?

– Czy to dlatego, że jest Murzynką? A ty uważasz, że to się mieści w waszej rewolucji? Chciałeś ją uratować? Przed czym? Przed nią samą? Dlaczego akurat ją?

Zaczerpnąłem powietrza w głębokim oddechu, drżącym, jak mimochodem zauważyłem, ze wzruszenia.

– A nawiasem mówiąc, a może wcale nie nawiasem, gdzie się podziała cała twoja filozofia, którą mi tyle razy wykladałeś w ciągu ostatniego roku, ta na temat miłości monogamicznej jako zjawiska typowego dla ptaszków? Pamiętasz Anne-Marie obsługującą cały podkomitet? Przecież nie wierzysz w miłość monogamiczną, przypomnij sobie! To bzdura, hipokryzja. Bzdura dobra

dla „starszego pokolenia”. Twoje pokolenie zmieniło wszystko. Koniec z monogamią. Małżeństwo i inne tego rodzaju głupstwa wyszły z mody. Chyba że dwoje ludzi, dwoje młodych ludzi, wspólnie się na coś takiego decyduje. Pamiętasz kazania, jakie mi wygłaszałeś? O Boże, wysłuchałem chyba ze stu wykładów na ten temat.

Zabrakło mi tchu.

– To nie to samo – rzucił tępo w próżnię. – Ja jej pragnę.

– Słuchaj, coś ci powiem – zacząłem nabrawszy tchu. – Obawiam się, że trafiłeś na dziewczynę, która z jakichś powodów naprawdę wierzy w to wszystko, w co jeszcze nie tak dawno i ty sądziłeś, że wierzysz. Nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie ją wybrałeś.

Nie odpowiedział.

– Ale żeby z Tata?... – jęknął w końcu. Ciekawe, że mocno akcentując to słowo, zarazem wymawiał je wielką literą.

– Czy to cię aż tak szokuje? Nie powinno, zgodnie z twoją filozofią.

Odezwał się głosem tak niskim i głuchym, że ledwie go dosłyszałem:

– Moja filozofia chyba się zmieniła.

Potem nagle spojrział na zegarek, poderwał się z fotela i sięgnął po kurtkę. Wyglądał jak ścigany przez mroczne cienie swoich własnych myśli, nad którymi utracił kontrolę.

– Muszę się dostać do Odeonu. Dziś wieczorem ma być nie zapowiedziana demonstracja na Place Maubert, studenci razem z robotnikami. Zostałem wyznaczony do ekipy, która ma to sfilmować. Zobaczymy się później, Jacku. Zadzwoń do ciebie.

I zanim zdążyłem zgodzić się na to albo coś powiedzieć, albo zrobić coś, co by mu pomogło – czy nawet zaszkodziło – już go nie było, już zbiegł po schodach.

Z okna widziałem potem, jak szybkim krokiem maszeruje po nabrzeżu. Tak jakby wciąż uciekał przed cieniami. Zauważyłem, że skręcił w lewo, w stronę Pont de la Tournelle, zamiast pójść w prawo, do mostu dla pieszych, którądy wiedzie najprostsza droga do Maubert. Znaczyło to, że wybrał starą trasę, na tyłach, tak nam wszystkim znajomą.

Przez dłuższy czas po wyjściu Hilla siedziałem w domu. Zastanawiałem się, czy nie należało zadzwonić do Cannes, spróbować dotrzeć do Harry’ego. Może było to moim obowiązkiem? Sam pomysł uzyskania połączenia telefonicznego z Cannes był dość problematyczny. A poza tym nawet gdyby mi się udało, czy powinienem to robić? Czy to w ogóle była moja sprawa?

Opadłem na fotel. Przypuszczam, że wyglądałem tak samo smętnie jak Hill, kiedy w nim wcześniej siedział. Z pewnością nie czułem się lepiej od niego. W końcu, znów z podobną co Hill gwałtownością zerwałem się z miejsca. Tyle że ja nie miałem dokąd iść.

Kręciłem się koło okien, obserwując nową scenę paryską – która niewiele się zmieniła od chwili, gdy Hill ruszył w stronę Odeonu.

Od piątku stan rzeczy nie zmienił się może specjalnie na naszej wyspie, ale patrząc na drugi

brzeg można było dostrzec różnice. Francja, a przynajmniej jej stolica, szybko zmierzała ku kompletnemu paraliżowi. Na Lewym Brzegu prawie nie było ruchu. Większość sklepów pozamykano. Po nabrzeżu Lewego Brzegu, który wraz z nabrzeżem Prawego tworzy główną arterię miasta w kierunku wschód-zachód, nie jeździły samochody. Tylko wozy policyjne, pojedynczo i grupami, przemierzały puste ulice. Od czasu do czasu pojawiała się wojskowa ciężarówka i stawała na przystankach autobusowych, a wsiadali i wysiadali z niej nie żołnierze, tylko zwykli obywatele, którzy usiłowali się dokądś dostać. A w tej pustej przestrzeni światła zmieniały się radośnie z czerwonych na zielone i znów na czerwone, służąc jedynie wojskowym ciężarówkom, bo wozy policyjne kompletnie je ignorowały. Był to niesamowity widok, jak z jakiegoś przyszłościowego filmu grozy, w którym świat się skończył i ludzkość wymarła. Pozostały tylko światła na skrzyżowaniach.

Od wielkiego dzwonu przejeżdżał jakiś prywatny samochód.

W poniedziałek dwudziestego, kiedy metro, autobusy, koleje i tak dalej wszystkie już strajkowały – w ten sam poniedziałek, kiedy wieczorem zaciągnąłem Harry'ego do Odeonu – w całym mieście porobiło się mnóstwo korków. Było ich tyle, że auta tkwiły w miejscu całymi godzinami. Koło południa zaczęła się kończyć w stacjach benzyna i stały przed nimi kolejki samochodów długie na parę kilometrów.

Następnego dnia, we wtorek dwudziestego pierwszego, gwałtownie spadła liczba samochodów prywatnych na chodzie, gdzieś można było dostrzec taksówkę, ale tylko dostrzec, nie złapać.

A teraz, w środę, kiedy zapasy benzyny wyczerpały się, a przedsiębiorstwa taksówkowe przystąpiły do strajku, wszędzie zapanował bezruch. Biura pozamykano, bo ludzie nie mogli dojechać do pracy. Podobnie ze szkołami. W miarę normalnie funkcjonowały jeszcze ciężarówki dowożące żywność do miasta. Niewątpliwie związkowcy przekonali kierowców ciężarówek, żeby nie strajkowali, tylko nadal dostarczali żywność, bo inaczej panujący w mieście stan wyjątkowy zmieni się w prawdziwą klęskę żywiołową. I tak długie kolejki potencjalnych chomikarzy – dużo później niż ja, który dostałem cynk – opróżniały sklepy z wszystkiego, co stało na półkach: masło, mleko, cukier i mąka znikły kompletnie i były nieosiągalne. Większość banków pozamykano w poniedziałek, po tym jak klienci w panice rzucili się po gotówkę. Te, których nie zamknięto, ograniczyły wypłaty do tysiąca franków, czyli dwustu dolarów.

Sprawdziło się dokładnie wszystko, co mi zapowiedziała Martine.

Inną rzeczą, jaka rzucała się w oczy, kiedy wyglądałem z okien – obok pustki na ulicach i bulwarach – były nagromadzone wszędzie śmiecie. Szare i żółte plastikowe pojemniki, wypchane ponad miarę, stały na chodniku przed każdym domem; teraz doszły do nich stosy skrzynek i kartonów, a także sterty zwykłych odpadków: zwiędłych liści sałaty, zgniłych pomidorów, łupin owoców, psujących się resztek mięsa. Śmieciarze zaczęli strajk w sobotę

osiemnastego. Wystarczył tylko rzut okiem, żeby sobie wyobrazić co to za uczta dla wielkich szaro-czarnych szcurów z Les Halles i znad rzeki. Odnosiło się to w tej samej mierze do naszej wyspy, co do innych dzielnic; idąc ulicami czy nabrzeżem czuło się zapach szcurów. Po drugiej stronie rzeki stopy śmieci były tak wielkie, że widać je było z daleka jak na dłoni.

Martine przewidziała wszystko co do joty.

Odwróciłem się od okna z mrowieniem w plecach i poszedłem do telefonu w zamiarze dodzwonienia się do Cannes.

Usiłowania zajęły mi ponad trzy godziny. Ruch automatyczny (który w tym kraju nigdy za dobrze nie funkcjonował), kiedy to trzeba wybrać najpierw 15, potem 93, potem właściwy numer, był przeciążony, toteż po godzinie prób zrezygnowałem i połączyłem się z telefonistką. Telekomunikacja oczywiście też strajkowała, ale na posterunku pozostawiono minimalną obsadę centrali międzymiastowej. Przez pół godziny przekonywałem panienkę, że to nie przelewki, że od tej prywatnej rozmowy zależy ludzkie życie, a i tak realizacja tego szczególnego zamówienia zajęła jej ponad półtorej godziny. Nie miałem wyrzutów sumienia, że ją oszukałem. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, dochodzę do wniosku, że – choć bezwiednie i mimowolnie – to przecież powiedziałem prawdę.

Kiedy się wreszcie dodzwoniłem, było już na tyle późno, że spodziewałem się zastać Harry'ego w hotelu. Rzeczywiście był w swoim pokoju.

Miał nieczyste sumienie i przyjął postawę defensywną. Wyczułem to w jego głosie. Ale w końcu, niech go kule, sam był sobie winien.

– O Boże, chyba kręciłeś cały dzień – powiedział z pewną egzaltacją w głosie.

– Owszem. No, może pół dnia.

– Co się takiego stało, że zadałeś sobie tyle trudu?

– Więc... – zacząłem, ale mi przerwał.

Zaczął mówić o filmie i o strajku. Sprawa poszła bardzo dobrze. Wszystkie grupy francuskich pracowników zgodziły się na strajk, z wyjątkiem jednej, ale i ta już miękła. Oczywiście Steinerwein był na niego zły, wręcz wściekły. Ale trudno. Należało się tego spodziewać. Póki nie przyjechał Harry, Steinerweinowi udawało się przekonać Francuzów, że powinni kręcić dalej, bo to film produkcji amerykańskiej, a nie francuskiej. Ale potem zjawił się Harry. I zatrzymał pracę.

– Harry... – powiedziałem. – Tak?

– Czy Samantha Everton jest tam z tobą? Przez chwilę nie odpowiadał.

– Skąd ci to przyszło... Jak wpadłeś na coś takiego?

– Ot, przeczucie.

– No cóż, tak, jest tu ze mną.

– Odwiedził mnie Hill. Jest w rozpacz, mówiąc łagodnie. Zakochał się w Sam, a ona znikła

z Odeonu i nikt, nawet Weintraub, nie wie, gdzie się podziewa. A tyś myślał, że co?

Staralem się być szorstki i lapidarny.

– Posłuchaj... – zaczął. Teraz ja mu przerwałem.

– Hill wie, gdzie ona jest. Wie, że jest z tobą:

podzieliłem się z nim moimi podejrzeniami. Przypomniałem sobie tamtą noc przed trzema laty, kiedyś mi opowiadał o twoim „Fantazmacie”.

Rozmyślnie powiedziałem to słowo tak, jakby było napisane dużą literą.

– O Boże... O tym też mu powiedziałaś?

Z pokoju, zza jego pleców dobiegł mnie jakiś irytujący i poirytowany, skrzekliwy głos.

– No nie, skądże. Naprawdę myślisz, że mógłbym zrobić coś takiego? Wspomniałem o tym teraz tylko po to, żeby ci wyjaśnić tok mojego rozumowania.

– No dobrze, ale tak w ogóle to po co wtykasz nos w tę sprawę? – spytał opryskliwie Harry.

– Hmmm, chyba znasz moje uczucia względem ciebie i twojej rodziny. Pomagałem wychować Hilla. Troszeczkę. I wiesz, jak bardzo kocham Louise. A poza tym jestem ojcem chrzestnym McKenny.

Zakrył dłonią słuchawkę, ale i tak dosłyszałem, jak mówi:

– Zamknij się! Po prostu się zamknij! Daj mi to, do jasnej cholery, załatwić po mojemu!

Najwidoczniej nie był dość przekonujący albo dość silny, ponieważ zaraz potem usłyszałem głos Sam Everton, wypowiadającej najzjadliwsze słowa, jakie kiedykolwiek ktoś do mnie skierował, no, może z wyjątkiem mojej byłej żony przy paru okazjach.

– Posłuchaj, ty stary pedale! Czy nie masz innych zainteresowań? Po co wścibiasz swój nos w sprawy innych, które wcale nie powinny cię obchodzić? Czemu się nie odpinoklisz?

Jestem już na tyle stary i na tyle dobrze znam siebie, i wystarczająco długo jestem kawalerem (a kawalerowie zawsze są pod tym względem podejrzani), że nie zaskakuje mnie ani nie wzrusza, kiedy nazywa się mnie pedalem, nawet prosto w oczy.

– Samantho, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że Hill jest w tobie zakochany, naprawdę zakochany.

Zaśmiała się cierpko.

– Ten dzieciak! No cóż, jeśli nawet jest zakochany, to na pewno nie z mojej winy. Ani też nie stanowi to części jakiegoś kontraktu czy umowy pomiędzy nami.

Mówiła naprawdę dobrą angielszczyznę, zwłaszcza kiedy nie epatowała slangiem Harlemu. No tak, ale przecież prawie pół życia spędziła w szwajcarskich szkołach dla zamożnych pańienek.

– Chętnie bym z tobą o tym porozmawiał, jeśli się zgodzisz. Po waszym powrocie do Paryża.

– I ja chętnie z tobą rozmawiam, kochanie. Ale to cię będzie kosztowało. Ile jesteś gotów zapłacić?

– Mogę zapłacić – powiedziałem.

– Może pozwolę ci uregulować rachunek w naturze, kochanie! – zawołała i znów wybuchnęła cierpkim śmiechem.

Po drugiej stronie linii dały się słyszeć stłumione odgłosy szamotaniny, po czym znów rozległ się głos Harry’ego. Gallagher oddychał ciężko, a w tle słyszałem jeszcze inny, trzeci głos, dochodzący gdzieś z głębi pokoju. Głos kobiecy.

– Słuchaj, do jasnej cholery – warknął do mnie Harry. – Przecież wiesz, jak cię lubię. Ale co cię naszło, żeby się do tego mieszać? Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ty. Nikt by się o niczym nie dowiedział. A ty wypaplałeś wszystko Hillowi. Czy powiedziałeś to też Louisie?

– Oczywiście, że nie. Czyś ty zgłupiał? Pauza, potem westchnienie.

– Czasem już sam nie wiem.

Miałem wrażenie, że mocuje się sam ze sobą, po drugiej stronie linii, jakby próbował zebrać się do kupy i zebrać myśli.

– Ale Hill może jej powiedzieć.

– Nie sędzę – stwierdziłem. – Ani Louisie, ani nikomu innemu. Za bardzo się wstydzi. Tego jestem pewien. Ale jeśli Weintraub domyśli się na własną rękę, a ma na to dosyć sprytu... albo jeśli się dowie od Samantha... Wtedy twoja sytuacja stanie się dość niebezpieczna. Macie ze sobą i tę drugą dziewczynkę, prawda? – upewniłem się.

– Tak. Tę od Castela, o której Weintraub nam opowiadał. Strajkowała tak jak wszyscy studenci, nocowała na Sorbonie. W śpiworze. Nie miała nic do roboty, a jej rodzice o niczym się nie dowiedzą.

Nagle głos mu stwardniał.

– I muszę ci powiedzieć, że jest wspaniale! Po prostu wspaniale!

Dalej mówił już normalnym głosem:

– To miało być tylko na te parę dni. Umówiłem się z Samantha, że dam jej pieniądze na wyjazd do Izraela, do tej jej przyjaciółki, jak wrócimy do Paryża.

Znów miałem wrażenie, że mocuje się z sobą, nie trzęsie, tylko mocuje, żeby wziąć się w garść.

– Ale teraz obawiam się, że złapałem bakcyła na dobre.

Zakończył tę przemowę głuchym dźwiękiem.

– Cóż, to twoja sprawa, Harry – stwierdziłem bez przekonania. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. – Ja chciałem ci tylko powiedzieć o Hillu.

– O Hillu – powtórzył, jakby po raz pierwszy usłyszał to imię. – Do diabła z Hillem! Czy on się mną kiedyś przejmował w tym swoim cholernym życiu? Porozmawiamy, jak wrócę do Paryża.

I bez ostrzeżenia przerwał rozmowę.

Spojrzałem na mój czarny aparat i położyłem słuchawkę na widełki. Czekają mnie mnóstwo roboty: przygotować te dwa numery, które chłopcy z Odeonu mieli mi podobno dostarczyć do Brukseli, napisać dwa artykuły o rewolucji, po jednym do każdego numeru, co obiecałem im zrobić z pomocą Terriego. Ale po prostu nie mogłem pracować. Nie mogłem się na niczym skupić. Znowu wystawałem przy oknach, teraz w zapadającym zmierzchu, i patrzyłem na miasto sprawiające wrażenie wymarłego. Świeciła się może połowa latarni; wciąż jeszcze, mimo nominalnych strajków, był w mieście prąd, gaz i woda. Ale w górze rzeki, przy Pont de la Tournelle, oświetlone zazwyczaj ładnie restauracyjki Tour d'Argent spowijała teraz ciemność – świeciły jedynie pustką. A na naszym krańcu mostu dwa złe czarne żuki policyjne posłusznie, zdecydowanie i skrupulatnie pełniły całodobowy dyżur, czuwały.

Pomimo wyjazdu Harry'ego wszyscy nadal spotykaliśmy się regularnie w mieszkaniu Gallagherów. Mieszkaliśmy przeważnie na tyle blisko, że, w pozbawionym komunikacji mieście, docieraliśmy tam pieszo. Do dwóch korespondentów, Freda Singera i tego chłopaka z UPI, Willy'ego Jak-mu-tam, doszło jeszcze trzech dziennikarzy, którzy się zwiedzieli o naszych wieczornych spotkaniach. Każdy z nich dysponował przydziałem benzyny, umożliwiającym swobodne poruszanie się po mieście. Nie sprawiało im zatem kłopotu pojawianie się u Gallagherów o wyznaczonej godzinie. Ktoś nazwał ją „godziną guseł”.

Telewizja francuska, po wielkim szumie w prasie, zaczęła wreszcie pokazywać migawki ze strajków i zamieszek.

Jeden tylko biedny Ferenc Hofmann-Beck nie miał jak się dostać do domu po naszych sesjach, rozpoczynających się o ósmej wieczorem. A gdyby nawet miał, to następnego ranka nie dotarłby do biura na St.-Germain ze swego mieszkania w Auteuil, chyba tylko *per pedes*. Dlatego w ciągu tygodnia zostawał u Gallagherów, śpiąc na sofie w salonie.

Rankiem wędrował do biura na Boulevard St.-Germain przedzierając się przez kłęby gazów łzawiących i obejmował swój „posterunek”. Choć związki zawodowe już dawno unieruchomiły jego wydawcę (Francuza), urzędników i innych pracowników, zarząd postanowił stosować politykę „Jakby nigdy nic”.

Od czasu do czasu Ferencowi udawało się podjechać do Auteuil z kimś, kto miał benzynę i wybierał się w tamtym kierunku – mógł przy takich okazjach zmienić ubranie. Ale odkąd Harry wyjechał, a ja zostawałem z Louisą na późną kolację, ostatnim widokiem, jaki u nich oglądałem prawie każdego wieczoru przez ten tydzień, były niewiarygodnie wielkie białe stopy Hofmanna-Becka, wystające spod przykrycia, jakie mu Louisa dała na tapczan. Przywiózł sobie z Auteuil trochę koszul, skarpetek i krawatów, żeby, jak mawiał, nie sprawiać wrażenia „kompletnego zaniedbania”, kiedy co rano dreptał do biura w meloniku, uzbrojony też w parasol. Miło, że jest tu razem z nami, powiedziała z uśmiechem Louisa. I myślę, że tak naprawdę było. A już na

pewno Ferenc stał się ulubieńcem McKenny, z którą wspólnie dokazywał w coraz to nowych zwariowanych grach i zabawach, z łatwością wymyślanych przez niego na poczekaniu.

Zjadał z nami kolację, po czym niemal natychmiast kładł się w białej bieliźnie spać na „swojej” sofie, wpierw metodycznie rozwiesiwszy ubranie na oparciu fotela. Nigdy się z nim nie nudziliśmy, bo wciąż karmił nas nieprawdopodobnymi i szalonymi opowieściami o sztywnych, formalnych posiedzeniach zarządu i o tym, co widział na ulicy w drodze do pracy i z powrotem.

Ferenc, ze swą „sprawą jedzeniową”, jak sam to nazywał i jak odtąd wszyscy mówiliśmy, stanowił pewne obciążenie dla spiżarni Louisy, ja jednak mogłem jej pomóc dzięki swym wcześniej poczynionym zapasom. A zresztą żywności ciągle jeszcze nie brakowało.

Hofmann-Beck od wieków kochał Louise i Harry’ego. Teraz jednak, w czasie rewolucji, a może i z jej powodu, oddał im się doprawdy całą duszą. Bardzo się niepokoił nieobecnością Harry’ego. Muszę powiedzieć, że znacznie bardziej niż Louisa. Gawędząc, przesiadywaliśmy z Louisa do późna, podczas gdy Ferenc chrapał, a jego olbrzymie białe stopy sterczały w sufit niczym dwa strzelające w niebo miniaturowe drapacze chmur.

Rozmawialiśmy o wielu sprawach w takie wieczory, Louisa i ja. Nie zauważyłem, żeby w jej myślach zaległo się jakiegokolwiek podejrzenie, że program zajęć Harry’ego w Cannes mógłby nieco wykraczać poza oficjalny cel jego wyjazdu: przerwanie produkcji filmu, który na podstawie jego scenariusza kręcił Steinerwein. A jeśli chodzi o Hilla, jej stanowisko było jednoznaczne i niezachwiane.

– On tylko „robi swoje” – mówiła z uśmiechem, używając młodzieżowego określenia. – Nie zamierzam go od tego odwodzić. Tak jak przez myśl mi nawet nie przeszło odwodzić Harry’ego od zaciągnięcia się na ochotnika do marynarki wojennej, choć wcale nie musiał tam iść.

– Nie byliście jeszcze wtedy małżeństwem – wtrąciłem łagodnie.

– Ale gdybyśmy byli, też bym go nie powstrzymywała.

Tak się objawiła jej surowa, twarda, nieugięta purytańska moralność, której nic nie mogło dotknąć. Ani zmienić. Ani złamać. Ani nawet musnąć z zewnątrz. Louisa była jej niezdołaną twierdzą.

– Zostałabym w domu, dochowała Harry’emu wierności i wykonywała swoje wojenne obowiązki, tak samo jak inne kobiety, nie załamując się, czekając i nie tracąc nadziei.

– Jestem tego pewien, Louiso.

Kiedy wychodziłem tamtego wieczoru, skradając się na palcach, Ferenc nie chrapał, ale podeszwy jego olbrzymich bosych stóp patrzyły na mnie jakby cynicznie. Bo Ferenc był cynikiem. Ale w końcu, przynajmniej kulturowo, był Węgrem. Nigdy by nie zrozumiał mieszanki Nowej Anglii, jaką jest Louisa.

Rozdział piętnasty

Mieliśmy mnóstwo zajęć w ten przedłużony weekend, gdy Harry'ego nie było w Paryżu.

W środę dwudziestego drugiego, kiedy to odwiedził mnie zrozpaczony Hill, rząd francuski zabronił „Dany’emu le Rouge” powrotu na teren Francji. Cohn-Bendit wyjechał do Niemiec w nadziei, że wznieci międzynarodową rewoltę studencką, która przeniesie *Revolution* francuskich studentów na całą Europę. Dwudziestotrzyletni Cohn-Bendit urodził się we Francji jako syn żydowskich uchodźców z hitlerowskich Niemiec i na tej podstawie miał formalnie prawo do francuskiego obywatelstwa. Legitymował się jednak, nie mam pojęcia dlaczego, paszportem niemieckim i dlatego zgodnie z prawem Francuzi mogli formalnie zabronić mu powrotu.

W poniedziałek dwudziestego Dany oświadczył w Berlinie, że w rozruchach paryskich zginęło dotąd 5 do 11 osób, ale że nie może tego udowodnić, ponieważ rzecz trzymana jest w tajemnicy; powiedział też, że wielu studentów straciło wzrok, zapewne wskutek gazów łzawiących, ale nie rozwodził się na ten temat.

Żadne z nas nie zetknęło się dotąd z pogłoskami o ofiarach śmiertelnych. Przypuszczam, że niektórzy, jak choćby dziennikarze, wiedzieliby o tym, gdyby rzeczywiście kogoś zabito. Swoją drogą, aż dziw, że obyło się bez ofiar. Tak czy siak, rzekome rewelacje Dany’ego na pewno nie usposabiały do niego przychylnie władz francuskich.

Wiść o tym, że zabroniono mu wjazdu, wywołała serię zamieszek studenckich, które trwały przez cały weekend i które w końcu przerodziły się w najpoważniejsze starcia od wybuchu rewolucji.

Do filmowania tychże demonstracji śpieszył się tak owej środy Hill, tylko że – wytracony z równowagi naszą przykrą dla niego rozmową – zapomniał mi nawet napomknąć o nowym obrocie spraw.

W środę wieczorem demonstracje nie były jeszcze takie groźne. Dużo pochodów, śpiewów i wykrzykiwania haseł przeciwko generałowi de Gaulle’owi, który w końcu skrócił oficjalną wizytę w Rumunii i wrócił w sobotę osiemnastego. Ponieważ wcześniej wyraźnie oświadczył, że nie zrobi tego z powodu amatorskiej „rewolty dzieci”, musiał to być poważny cios dla jego ubiegłowiecznej dumy. Ale masowe strajki powoli doskwierały już wszystkim, jego, jak widać, nie wyłączając.

W środę w nocy podpalono kilka stert śmieci i rupieci, ale nie były to poważne pożary. I na tym koniec, ponieważ policja, o dziwo, najwyraźniej na polecenie rządu, nie interweniowała.

Policjanci wycofali się z Dzielnicy Łacińskiej prawie tydzień wcześniej. Pilnowali tylko, żeby studenci nie przedostali się na Prawy Brzeg. Dzielnica Łacińska stała się swego rodzaju

osobnym miastem, rządzonym przez studentów, acz w stanie cichego obłączenia.

Nie dotyczyło to, oczywiście, barów, kawiarni, restauracji i *tabacs*, które robiły interes na „turystach” (obejmując tym pojęciem także paryżan z innych dzielnic), ściągających tłumnie „do środka”, żeby popatrzeć.

Rząd, a także *Patronat*, z którym władze gaullistowskie tak ściśle współpracowały, najwidoczniej siedziały z założonymi rękami i miały tylko nadzieję, że rewolucja sama „zgnije”, kiedy zmaleją fundusze aprowizacyjne studentów i robotników i kiedy inni ludzie, cały francuski naród, będą mieli dość niewygód.

Po raz pierwszy zetknąłem się z dobitnym dowodem na tezę, iż nowoczesny rząd musi z definicji być paternalistycznym wrogiem swoich obywateli. A w każdym razie takie rządy, jakie ludzkości udało się dotąd wymyślić i wypróbować. To było przerażające.

W czwartek sytuacja się pogorszyła. Jak zwykle, rzecz skończyła się w okolicach Place Maubert, który wyglądał teraz jak prawdziwe pole bitwy w prawdziwej wojnie. Najwyraźniej władze tym razem kazały policji wkroczyć i zrobić porządek. Kiedy policja się ruszyła, natychmiast na wszystkich okolicznych ulicach poczęły rosnać barykady z brukowców, umocnione u góry metalowymi kratami, jakie chroniły dotąd piękne drzewa rosnące na bulwarach. Na tych kratach umieszczono jeszcze skrzynki i kartony nie wywiezione przez śmieciarzy, które następnie podpalano i porzucano, każąc policji zdobywać takie przeszkody.

Tym razem w sprawę zaangażowali się nie tylko studenci i robotnicy, ale i zwykły motłoch, „najniższe warstwy” Paryża, które powypelzały ze swych zwykłych kryjówek i najwyraźniej brały udział w walkach dla samej rozróby, dla draki. Wypadki zaczynały się wymykać spod kontroli policji, a stopniowo także spod kontroli studentów, przeradzając się w czysto niszczycielski wybuch ludzkiej nienawiści i wściekłości, którego jedynym celem jest walka sama w sobie, a nawet rozlew krwi.

Kiedy de Gaulle wrócił z Rumunii, najczęściej cytowano jedno jego zdanie, które przeszło do historii: *Reformę oui, chienlit non*. Gazety wyjaśniały, że *chienlit* to termin rodem z baraków wojska francuskiego, dość stare słowo, które trudno dobrze przetłumaczyć. Tłumaczone dosłownie, wedle jednego z artykułów, oznaczało ono, przynajmniej w wojsku francuskim, „gówno w łóżku”, czyli ogólnie bałagan w sypialni. Ale to samo słowo znaczyło też „przebieranekę”, jak wtedy, gdy dzieci przebierają się w ubrania dorosłych. Tak więc, w innym znaczeniu, słowo to egzystuje nie tylko w kategorii „brzydkich słów”. W języku współczesnym „ładne” znaczenie to po prostu „straszny bałagan”. Generał niewątpliwie o tym wszystkim wiedział i użył tego słowa jako swego rodzaju wielopiętrowego kalamburu. Niemniej można je było odbierać jako dość wulgarnie określenie. Na tym poziomie, jak sądzę, najlepiej owo zdanie przetłumaczyć następująco: „Reformy tak, burdel nie”. W każdym razie studenci z pewnością odbierali formułę na tym właśnie poziomie i – podobnie jak w tylu innych wypadkach – ukuli z

niej hasło do skandowania: *Chienlit, c'est lui*, co znaczyło „Burdel to de Gaulle”, tyle że po francusku to się rymuje. Setki, tysiące krzyczały *Chienlit, c'est lui*, na ulicach dzielnicy Łacińskiej przez cały czwartek, od rana do nocy.

Następnego dnia był piątek, piątek dwudziestego czwartego maja, a generał już wcześniej zapowiedział, że tego dnia przemówi w telewizji do narodu. Nikt nie wiedział dokładnie, czemu zwlekał tak długo, wobec tak poważnego kryzysu. Może taki miał charakter. Nigdy nie pozwalał się ponaglać. Krążyły liczne pogłoski, jakoby de Gaulle miał poprosić o ogólnonarodowe referendum w sprawie dalszego sprawowania przez niego władzy, i rzeczywiście zapowiedział w przemówieniu takie referendum na czerwiec, ale nie podał dokładnej daty.

My, nasza grupa amerykańska, oglądaliśmy oczywiście to telewizyjne przemówienie u Gallagherów. Dużośmy potem na ten temat dyskutowali. Generał, oględnie mówiąc, nie przypominał dawnego siebie, pełnego witalności. Owszem, mówił jak zwykle z wigorem, opanowaniem i teatralnie, ale gdzie się podziała jego ogromna pewność siebie? Oglądając jego przemówienie po raz pierwszy miałem wrażenie, że w gruncie rzeczy nie jest wcale pewien, czy naród posłucha jego apelu.

Po przemówieniu i po kolacji, którą zjadłem z Louisą i Ferencem, postanowiłem przejść się jeszcze ulicami Paryża.

Chodziłem na takie spacerunki co noc, od poniedziałku poczynając. Dość poważnie zaangażowałem się w działalność Komitetu Filmowego w Odeonie. Łatwo było dotrzeć do teatru, idąc od tyłu, nie Cardinal Lemoine i obok Pantheonu. Poszedłszy do zatłoczonego Odeonu, gdzie w amfiteatrze maraton dyskusyjny wciąż szedł na pełnych obrotach, było się bezpiecznym od policji.

Ale w piątek dwudziestego czwartego wszystkiego można się było spodziewać.

Zgodnie z tym, co usłyszałem przez radjko tranzystorowe, dzień od początku był stosunkowo burzliwy. W miastach całej Francji trwały demonstracje. Nawet chłopcy przyjeżdżali ze wsi do miast, żeby domagać się od władz ochrony małych gospodarstw i podniesienia cen na francuskie produkty rolne. W Nantes w Bretanii tłum złożony z trzech tysięcy chłopów i studentów zaatakował siedzibę policji; najpierw budynek obrzucono butelkami i kamieniami, a potem ścięto okoliczne drzewa i próbowano go spalić.

A w Paryżu ludzie wylegli na ulice i wszędzie trwały demonstracje. Po przemówieniu de Gaulle'a, przyjętym gwizdami i wrogimi pomrukami, tłum zebrał się na Place de la Bourse i podpalił budynek Giełdy, francuską „świętynię pieniądza”.

Wszystko to razem wyglądało groźnie. Czułem jednak, że muszę iść, chciałem się też dowiedzieć, co młodzi myślą o tych wydarzeniach.

Kiedy wychodziłem od Gallagherów, Ferenc poprosił mnie, żebym go ze sobą zabrał.

Powiedział, że on też chciałby co nieco zobaczyć.

Nie byłem zachwycony tym pomysłem. Uważałem, że sam dość się narażam wychodząc. Nie uśmiechała mi się dodatkowa odpowiedzialność za Ferencę. Poza tym zaczynało właśnie padać i wszystko się robiło śliskie i złowrogie. Wreszcie spadły deszcze majowe, na które tak liczyli oficerowie policji w początkach miesiąca – nadeszły o wiele za późno, żeby wszystko pogorszyć.

Zawahałem się. Ale nie mogłem znieść zawiedzionej miny Ferencę.

– *Okay*, chodź, jeśli chcesz. Ale musisz iść ze mną i słuchać moich wskazówek bez żadnej dyskusji. Jeśli się rozdzielimy, będziesz zdany sam na siebie.

Szeroki uśmiech, jaki rozjaśnił mu twarz, sprawił, że nie żałowałem podjętej decyzji.

– Może lepiej zdejmę monokl i włożę okulary? – spytał rozważnie.

– Na twoim miejscu zostawiłbym monokl tutaj.

Przytaknął.

– Tak zrobię.

Zdjął szkiełko, dyndające na czarnym sznureczku i położył je ostrożnie na półeczce nad kominkiem.

– W taką noc nie należy się kręcić po mieście z wyglądem członka rady nadzorczej albo arystokraty – powiedział.

– A co ze mną? – spytała Louisa.

– Ty zostaniesz tutaj – powiedziałem zdecydowanie. – To nie podlega dyskusji.

– Myślę, droga Louiso, że on ma zupełną rację – dodał grzecznie Ferenc.

– Chyba tak – zgodziła się ponuro Louisa.

– Na litość boską, pomyśl o McKennie! – dorzuciłem, kiedy szliśmy do wyjścia.

Niepokoiliem się o moją cudowną córeczkę chrzestną, jak tylko upewniłem się, co Harry robi w Cannes. Louisa oznajmiła mi, że McKenna, która była dopiero w trzeciej klasie, po wybuchu rewolty na Sorbonie obmyśliła i zorganizowała małą rewolucję w swojej klasie (w szkole dwujęzycznej, angielsko-francuskiej). W szkole owej panował zwyczaj, że każda klasa jeden dzień w tygodniu spędza w Meudon, w zalesionej podmiejskiej okolicy, położonej niedaleko od Sevres; dzieci zawożono tam, jak przypuszczam, ze względów zdrowotno-wypoczynkowych. Szkoła miała tam prawo, za niewielką opłatą, korzystać ze starych blaszanych baraków. Otóż McKenna porozmawiała ze wszystkimi w klasie, zdobyła sobie poparcie ponad połowy kolegów, a potem wstała podczas lekcji i wygłosiła dość długie przemówienie na temat braku wygod w barakach w Meudon: że nie ma ogrzewania, że dzieci marzną, a jedzenie, jakie dostają w południe, jest tak okropne, że żadne dziecko nie może się zmusić nawet do kęsa. Kiedy nauczycielka zaczęła pojedynczo przyciskać uczniów, już tylko jakieś czterdzieści procent

poparło McKennę. Chociaż przedtem ponad połowa uczniów przyrzekła poparcie. Ale dla nauczycielki (dość ponurej osoby, jak się domyślam) było to i tak zbyt rewolucyjne wystąpienie, więc poszła z tą sprawą do dyrektorki, jednej z tych postępowych sił nauczycielskich, której McKenna dzielnie stawiała czoło w gabinecie i która w końcu wezwała Louise. Louisa i Harry oczywiście w całej rozciągłości poparli McKennę. I choć dyrektorka ze znękanym uśmiechem (i tak ma dość kłopotów, powiedzieli Gallagherowie, chroniąc szkołę przed zamknięciem) obiecała poprawę panujących w Meudon warunków, dotychczas nic w tej sprawie nie zrobiono (choć jest nadzieja, że zrobią).

Ponadto w dniu głosowania nad wotum nieufności dla premiera Pompidou, w środę dwudziestego drugiego maja, McKenna zorganizowała swoją małą demonstrację. Zawsze uważałem, że byłby z niej świetny generał. Z pomocą trojga młodych Francuzów, kolegów dziecinnych zabaw, przymocowała kilka czerwonych ręczników Louisy do kijów od szczotek i mioteł. Podczas gdy dorośli debatowali na temat telewizji, dzieci wymknęły się z salonu i na balkoniku Gallagherów, wychodzącym na nabrzeże, zaczęły wymachiwać zaimprovizowanymi czerwonymi flagami, wołając: *A bas le Gotwernement!* Po wyspie kręciło się podówczas mnóstwo gliniarzy, więc ci z nas, którzy byli bliżej, szybko wciągnęli dzieci do mieszkania, w obawie że policja uzna zabawę za demonstrację zorganizowaną przez dorosłych. Ale kiedy wszedłem na balkon i wyjrzałem na dół z uśmiechem, który miał wyrażać spokojne rozbawienie, wszyscy policjanci ryknęli śmiechem.

Była taka niezwykła, taka wspaiała. Dałbym wszystko, żeby samemu mieć taką dziewczynkę, i czasem kiedy o tym myślałem, ogarniała mnie wściekłość na moją byłą żonę. A teraz, kiedy Harry wybrał się na tę zwariowaną majówkę do Cannes, drżałem na myśl, że może z tego wyniknąć rodzinne nieszczęście, jakaś krzywda dla McKenny.

Oczywiście teraz McKenna już dawno była w łóżku. Ale Louisa nie odpowiedziała na moją ostatnią uwagę. Kiedy obejrzałem się na nią od drzwi, z Hofmannem-Beckiem u mego boku jak z czujnym dogiem angielskim, podniosła wzrok znad kominka, gdzie przyglądała się badawczo monoklowi Ferenc, uśmiechnęła się i kiwnęła mi głową.

– No dobrze, Ferenc, chodźmy już – powiedziałem. – Chodźmy. Chciałbym to już mieć za sobą.

– Jestem obok ciebie, stary – odpowiedział używając przyjacielskiego kolokwializmu, na jaki nie poważyłby się wobec nikogo, dopóki nie poznał Gallagherów i naszej paczki.

– I nie zapomnij płaszcz na wypadek deszczu.

– Chyba lepiej zostawię tu melonik i pożyczę sobie z korytarza jakąś czapkę Harry’ego – powiedział.

Wyszliśmy z mieszkania Gallagherów i zeszliliśmy na nabrzeże, gdzie zastała nas mżawka.

Wyglądało jednak na to, że wkrótce się przejaśni.

Niepotrzebnie obawiałem się o Ferenca. Pod warstwami tłuszczu i hipochondrii miał parę nóg chyba ze cztery razy silniejszych niż moje. A kiedy się wyprostował i wypiął pierś, zazwyczaj zlewającą się z brzuszkiem, okazało się, że jej obwód jest pewnie o połowę większy od rozmiarów mojego, wcale przecież okazałego torsu. Ten młody człowiek był silny niczym lew i odważny co najmniej jak rozjuszony byk.

Przeszliśmy przez Pont de la Tournelle i weszliśmy w rue Cardinal Lemoine. Kiedyśmy doszli do Boulevard St.-Germain, skręciłem w kierunku Place Maubert. Mijaliśmy po drodze sklepy i restauracje, pozamykane, z pospuszczanymi żaluzjami. Francuzi umieją dbać o swe towary i o swoją własność; podobne rzeczy *zdarzają* im się od początku średniowiecza. Tymczasem mżawka ustała.

Ale ci cholerni Francuzi nie tylko to umieją. Kiedyśmy powoli przemierzali ciemrawy bulwar w kierunku Place Maubert, mieszkańcy okolicznych cztero – i pięciopiętrowych kamienic, wznoszących się nad sklepowymi parterami, palili na środku jezdni nie wywożone śmieci. Na zasadzie pospolitego ruszenia, nie kierowani przez generałów ani nawet cywilnych przywódców, zebrali się z miotłami, szczotkami, grabiami i co tam jeszcze mieli i pozgarniali góry śmieci w jeden rząd pośrodku bulwaru, po czym palili je metodycznie i ostrożnie. Ktoś wykalkulował, że będzie to miejsce najlepsze, jeśli nie chcą uszkodzić listowia kwitnących drzew porastających obie strony bulwaru i sprawiających, że Paryż jest miastem, które się kocha i w którym lubi się mieszkać. Sto metrów dalej słychać było krzyki i odgłosy walki, ale tutaj oni, wszyscy mieszkańcy, pomagali sobie przetrwać w dobrym zdrowiu, tak by zarazem nie okaleczyć piękna ukochanego rodzinnego miasta – Paryża. Starego Paryża. Mój Boże, to miasto dużo już widziało. Na bulwarze ruch i tak nie był teraz możliwy. Na całym odcinku aż do Place Maubert ciągnął się długi szereg płonących skrzynek, kartonowych pudeł, zwiędłych liści sałaty, zgniłych pomidorów, łupin owoców i innego śmiecia: pożar podtrzymywany szczotkami i miotłami przez drobnomieszkańskich lokatorów okolicznych domów. Na ten widok chciało mi się płakać. Nad nimi. Nad nami wszystkimi.

Kiedyśmy doszli do placu, łatwo się było zorientować, że jest otoczony przez policję. Wokół Place Maubert stali w trzech, czterech szeregach policjanci w czarnych płaszczach bojowych, hełmach, goglach i z tarczami. Dostali się tu od strony Carrefour St.-Michel i przegrodzili w tym miejscu bulwar. Nic nie robili, po prostu stali.

W pewnej odległości od tej linii, po naszej, schodzącej w dół części ulicy, stał tłum cywilów. Zachowując bezpieczny dystans pięćdziesięciu metrów, stali i lżyli policjantów.

Tym razem nie byli to studenci. Głównie ciemnoskórzy Algierczycy. Nie zauważyłem wśród

nich ani jednego studenta. Oczywiście teren między Place Maubert a rzeką to dzielnica Algierczyków – mocno poszkodowana na skutek mających tu ongiś miejsce starć, które nieprzypadkowo zbiegły się w czasie z wojną domową toczącą się w ich rodzinnym kraju. Przeszliśmy przez ten tłumek i znaleźliśmy się na ziemi niczyjej między rue Monge, gdzie stali Algierczycy, a liniami policyjnymi na końcu Place Maubert. Byliśmy sami na środku placu.

– Czy nie narażamy się w *tym* miejscu za bardzo? – spytał zza moich pleców Ferenc.

– Nie sądzę. Naprawdę, popatrz na nich. Oni nie chcą nikomu zrobić krzywdy.

– Ale jesteśmy niezłym celem – odparł z najlepszym angielskim akcentem Ferenc.

– Zamknij się – warknąłem na niego, po czym przydarzyło mi się coś dziwnego.

Zdałem sobie sprawę, że zamierzam właśnie przeciąć Place Maubert, ziemię niczyją, i spokojnie przekroczyć linie policyjne. Czy popisywałem się przed Ferencem? Czy próbowałem udowodnić, że jestem wytrawnym rewolucjonistą? Czy w ten dość szalony sposób wypróbowałem własną, niezbyt wielką odwagę? Tak czy siak, miałem absolutną pewność, że znajdujący się przed nami policjanci nie zrobią nam krzywdy, jeśli podejmiemy do nich spokojnie i grzecznie, nie uzbrojeni w butelki czy kamienie i powiemy: Przepraszam, ale ja tu mieszkam. Wiedziałem, że nas nie dotkną. Po prostu wiedziałem. I naprawdę chciałem przejść ten ostatni kawałek biednego starego, spustoszonego bulwaru. Żeby sprawdzić, co tu się działo w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Nie mam pojęcia, co mnie wtedy naszło. W każdym *bądź* razie pułem naprzód, na sam środek opustoszałego placu, obok wysokiego kamiennego piedestału, z którego podczas wojny Niemcy usunęli posąg jakiegoś notabla, żeby go przetopić, i dalej, w kierunku linii policyjnych przecinających bulwar. Ferenc trzymał się tuż za mną. Słyszałem jego kroki – nie było w nich cienia wahania.

Potem, nagle, zza ostrego zakrętu rue Lagrange, obok znajdującej się tam małej *cofe-tabac*, wyskoczyło z półmroku dwóch młodych Algierczyków w ciemnych ubraniach; wyrosli jak spod ziemi tuż przede mną, wykrzykując jakieś obelgi, jeden z nich cisnął kamień w stronę sił policyjnych. Po czym natychmiast znów odskoczyli w ostry zakręt rue Lagrange i zbiegli.

Nie widziałem, gdzie brukowiec wylądował. Albo nie doleciał do celu, albo odbił się od tarczy. Kilku policjantów zawołało coś, czego nie zrozumiałem, ale co zabrzmiało jak swego rodzaju skarga, jakby mówili: Dajcie spokój! Co wy wyprawiacie, głupty! Czy my was zaczepiamy? Nie rzucili jednak w odwecie gazu łzawiącego, nie zareagowali.

Ale mój nastrój nagle się zmienił. Utraciłem pewność, że nie jesteśmy dla policjantów wrogami; może wzięli nas, na przykład, za przyjaciół Algierczyków, którzy podchodzą, żeby zaatakować. Może nie. Jednak na wszelki wypadek nagle skręciłem. A Ferenc za mną; powoli poszliśmy w bok.

– Mieliśmy pecha – powiedział do mnie Ferenc spokojnym głosem, dostosowując swój

marsz do moich wolniejszych kroków. Rzeczywiście, tak jak prosiłem, szedł cały czas za mną.

– Fakt – przyznałem. – Chodź, pójdziemy tędy. Obeszliśmy piedestał i skręcili przez pusty Plac w kierunku rue de la Montagne Ste.-Genevieve. Nikt nie zareagował, nikt nas nie zaczepił.

Rue de la Montagne Ste.-Genevieve to chyba jedna z najbardziej malowniczych uliczek Paryża. Pełna małych, ale bardzo dobrych restauracji, wznosi się zakosami w górę z Place Maubert do Pantheonu na szczycie wzgórza. Na tej ulicy, w powieści *Słońce też wschodzi* Hemingway ulokował *bal-musette*, gdzie po raz pierwszy pojawia się Brett Ashley. Uwielbiałem tu chodzić na spacer, często też na kolację. Ale teraz cała uliczka była zastawiona skrzynkami i kartonami pełnymi śmieci z restauracji i mieszkań, tak że z trudem można było zobaczyć okna na parterze i wymalowane nad nimi nazwy lokali. Miało się wrażenie, że jedna nieopatrnie rzucona zapalka wzniesie wzdłuż całej ulicy morze płomieni.

W połowie uliczki wyszliśmy na rue des Ecoles. Trzeba wiedzieć, że rue des Ecoles dochodzi aż do frontonu Sorbony. Kiedy spojrzałem w tamtą stronę, zobaczyłem, że cały budynek jest otoczony kordonem policji, a powietrze gęste od gazów łzawiących i dymu. Nagle poczułem się zmęczony.

– Chodźmy inną drogą – powiedziałem.

Ale na rue Monge mieliśmy szczęście być świadkami, jak w Paryżu buduje się barykady, od samego początku.

Na rogu rue Monge i rue des Ecoles mieści się niewielki parczek, zwany Square Monge, z dużymi drzewami, za którymi widać ładne stare gmachy Ecole Polytechnique. Wokół skweru stoi ładne ogrodzenie z kutego żelaza, a na trawie, w środku i przy bocznych ścieżkach, stoją betonowe ławki. Kiedyśmy podeszli, tłum ludzi właśnie się zabierał za demontowanie owych ławek i ogrodzenia. Ferenc i ja staliśmy we wnęce domu po przeciwnej stronie ulicy i patrzyliśmy.

W budowie barykady nie brał udziału ani jeden student. Ci ludzie byli paryskimi robotnikami, najniższą warstwą. Nie było też wśród nich Algierczyków. Mniej więcej jedną szóstą stanowiły kobiety. Niemal wszyscy mieli tak strasznie popsute, powykrzywiane zęby, że zrobiło mi się ich żal i zastanawiałem się, jak też oni sobie radzą z boskim paryskim jedzeniem.

Mieli drągi i młoty, potem zobaczyliśmy też w robocie łopaty. Niszcząc śliczny skwer, dodawali sobie animuszu skrzeczącymi głosami. W okrzykach szczególnie dobre były kobiety. Ale i one ciężko pracowały. Kiedy ktoś z tej gromady przelotnie się do mnie uśmiechał, odpowiadałem uśmiechem. Poradziłem Ferencowi, żeby robił to samo.

Tuż pod naszym nosem dwóch mężczyzn (spośród dwóch tuzinów) zaatakowało drągiem bruk: usiłovali powiększyć dziurę między brukowcami. Robili to w ogromnym skupieniu. W pewnej chwili podszedł do nich szczuły, łysiejący siwowłosy mężczyzna w lekkim beżowym prochowcu.

Nie wiem, w jaki tajemniczy sposób oko inteligentnego człowieka trenuje się, bez udziału świadomości, w rozpoznawaniu tajniaków. Napisałem w innym miejscu tych notatek, że moje oko, samo z siebie, potrafi rozpoznać Algierczyka albo Chińczyka na następnym skrzyżowaniu tylko po wyglądzie tyłu głowy. Podobnie, i znów samo z siebie, natychmiast rozpoznaje moje oko Amerykanina lub Amerykankę na ulicach Paryża, i to nawet z daleka. Ma to coś wspólnego z postawą, ze sposobem chodzenia, jakby się czuli winni, a kiedy podchodzą bliżej, coś w ich twarzach, co moje oko wyłapuje (ja nie), utwierdza je w tym przekonaniu. To Amerykanie, i tyle. Nigdy się nie omyliłem, o ile mi wiadomo. Teraz w ten sam sposób, na podstawie osądu oka, wiedziałem od razu, że mężczyzna w beżowym prochowcu jest policjantem w cywilu.

Spojrzałem zaraz na Ferencę, a on potaknął. Powtórzyłem jego gest. Rzecz zapowiadała się ciekawie, podeszliśmy więc powoli do miejsca, gdzie tamtych dwóch, wokół których tymczasem zebrali się inni, nadal próbowało wyłuskać pierwszy kamień z ciasno ułożonego bruku. Mężczyzna w prochowcu robił im wymówki, że chcą zerwać bruk. Mówił spokojnie i bezstronnie. Przecież nie ma w okolicy policji, nie ma z kim walczyć; jeśli zdejmą bruk, najpewniej ściągną ją sobie na kark, więc po co to wszystko?

Nie przypuszczam, żeby oprócz nas dwóch ktoś jeszcze wiedział, że to tajniak. Ale tłum zaczął się gromadzić. Musiał być z niego odważny facet. Powoli głosy się wzmagaly. Ludzie mówili po francusku tak szybko, wszyscy naraz, że trudno mi było śledzić przebieg dyskusji. Ale niektórzy brali stronę mężczyzny w lekkim prochowcu. Nie przeważali, przeważały drągi i młodzieńcza adrenalina i kiedy sytuacja była już jasna, mężczyzna w prochowcu zrezygnował: typowo po francusku wzruszył ramionami i odszedł powoli, zapewne po to, żeby powiadomić swoich dowódców, co się dzieje na rogu rue Monge i rue des Ecoles. Ferenc i ja także się wycofaliśmy do naszego miejsca we wnęce domu.

Był to fascynujący widok. Wyłuskanie pierwszego kamienia zajęło im trochę czasu. Ale potem poszło łatwiej. I było coraz łatwiej, w miarę jak ubywało brukowców.

Kiedy wyjęto brukowce w pasie szerokości pół metra, zaczęto wiwatować i przyniesiono łopaty. Teraz poszło im już bardzo szybko. Mężczyźni wraz z kobietami utworzyli żywy łańcuch do przenoszenia kamieni, podważanych teraz przez kopaczy w szybszym tempie, niż można je było przetransportować. Budowano podwójną barykadę w kształcie litery V, która miała odciąć rue Monge od strony Place Maubert i rzeki, a zarazem odciąć rue des Ecoles od zachodu, od strony Sorbony. Bóg raczy wiedzieć, kim byli ci ludzie, skąd się tu wzięli i co chcieli swoim działaniem spowodować lub osiągnąć.

Byli tu po prostu i robili to, co robili. Żeby ich zatrzymać, trzeba by użyć pistoletów maszynowych.

Barykada rosła w zdumiewającym tempie. Wmontowano w nią betonowe ławki ze ślicznego skweru, a piękne kute ogrodzenie połamano i fragmenty powsadzano w zewnętrzną część

barykady tak, że wystawały niczym włócznie w kierunku – w dwóch kierunkach – skąd spodziewano się nadejścia policji.

– Lepiej stąd odejźmy – powiedziałem. Nie zapomniałem siwego mężczyzny w lekkim prochowcu.

Ferenc też go nie zapomniał.

– Chyba tak – powiedział spokojnie. A potem dodał z uśmiechem: – Dziękuję. To był wspaniały wieczór.

Zeszliśmy rue des Ecoles do skrzyżowania z rue Cardinal Lemoine, niedaleko, po czym przez Cardinal Lemoine wycofaliśmy się do naszego sanktuarium na Ile St.-Louis.

Przy rue de Regrattier wymieniliśmy uścisk dłoni.

– To naphawdę wsphaniałe, czyż nie? – powiedział Ferenc swoim dawnym głosem. – Naphawdę wsphaniałe.

Wszedłem do swojego mieszkania, a on poszedł dalej nabrzeżem do „swojej” obecnie sofy w mieszkaniu Gallagherów.

Rozdział szesnasty

W sobotę rano z Ferencem towarzyszyliśmy Louisie i McKennie w spacerze na Boulevard St.-Michel, żeby zobaczyć rozmiary spustoszenia. To było niewiarygodne. Na odcinku do St.-Germain pozrywano nawierzchnię wszystkich jezdni, wysokie esowate metalowe latarnie uliczne leżały na ziemi, a przewrócone na dach, wypalone szkielety samochodów zapępniały rynsztoki, wpełzając niekiedy nawet na chodnik.

Na Place Maubert Bogu ducha winien mały kiosk z gazetami rozebrano doszczętnie, bez żadnego widocznego powodu, ponieważ jego części nie wykorzystano do budowy barykad, jakie wyrosły tu nocą, już po naszym odejściu. Na rue St.-Jacques kolejne przewracane wraki samochodów leżały na poboczach.

Wszędzie ekipy porządkowe starały się przywrócić ład. Używano buldożerów, małych jednoosobowych koparek i innego sprzętu budowlanego. Tym razem jednak nie układano na nowo bruku. Asfaltenice i walce drogowe rozlewały i ugniały gorący, wonny asfalt w miejscach, z których demonstranci powyrywali kamienie. Studenci i paryżanie siedzieli na ulicy przy kawiarnianych stolikach, pijąc kawę bądź aperitif, a nad nimi kłębił się asfaltowy dym.

Ale najgorzej było na Carrefour i na samym bulwarze St.-Michel na górnym jego odcinku, do Place Edmond Rostand i do rogu Ogrodu Luksemburskiego. Na Carrefour nie ostało się nic. Dosłownie nic. A na górnym odcinku bulwaru obalono w ciągu nocy te śliczne stare, ale kwitnące jeszcze drzewa, taki piękny, charakterystyczny fragment paryskiego krajobrazu – leżały teraz na jezdni i na chodnikach, blokując czasem dostęp aż do samych sklepów. Można wyasfaltować bulwary, trudno. Ale długo potrwa, nim odrosną drzewa.

Setki ludzi przyszło obejrzeć zniszczenia. Wspinali się na pnie drzew albo obchodzili je jezdnią, jeśli to było możliwe. Przyłączyliśmy się do parady.

Trudno było pojąć, że w tym samym miejscu, gdzie ubiegłej nocy szalały dzikie emocje i czaiło się niebezpieczeństwo, teraz panuje taka cisza, porządek i sympatyczny spokój.

Na rue Racine znajdowała się pewna ciekawostka, o której wiedziałem, więc zabrałem tam swoich, żeby im ją pokazać. Rue Racine to krótka uliczka, która biegnie ukosem od BouF St.-Michel do Odeonu; stała na niej barykada, którą studenci nazywali *barricade pure* – czystą barykadą. Zbudowano ją przynajmniej dwa tygodnie temu i ani razu nie rozebrano. Była wykonana z samych tylko kamieni brukowych. Dlatego mówiono, że jest „czysta”. Stała się przedmiotem żartów na Sorbonie i w Odeonie. Nie wolno było dokładać do niej latarni, drzew, kratek chroniących drzewa ani znaków drogowych. Przykucnąwszy na jezdni, zrobiłem McKennie zdjęcie, jak stoi na szczycie barykady.

Potem wpadłem na pomysł, żeby zabrać jeden brukowiec dla niej na pamiątkę. Pomyślałem sobie, że może kiedyś się nim ucieszy. Pomyślałem, że każę wyszlifować równo jeden jego bok i wygrawerować tam dla niej miejsce i datę rewolucji paryskiej.

Ale potem, jak już podniosłem kamień, poczułem się dziwnie z brukowcem w ręku – gdybym spotkał policjanta, mógłby sobie pomyśleć, że chcę w niego rzucić. Więc wsunąłem kamień do kieszeni trencza, którą natychmiast obciągnął swoim ciężarem, tak że wyglądałem jak pokraka. Potem pomaszzerowaliśmy w górę St.-Michel do Place Edmond Rostand i napiliśmy się kawy w wielkiej kawiarni naprzeciwko wejścia do Ogrodu Luksemburskiego. Wszyscy goście kawiarni sprawiali wrażenie szczęśliwych i pogodnych.

Następnie skręciliśmy w rue Bonaparte, doszliśmy do Place St.-Germain i zjedliśmy lunch u Lippa, gdzie interes kwitł po staremu. Zabawne, że na wszystkich stołkach stały wyciszone radyjka tranzystorowe i że przy każdym stoliku ktoś miał słuchawkę w uchu, by słuchać najnowszych wiadomości.

Wracając do domu pokazaliśmy paniom naszą barykadę na rogu rue des Ecoles i rue Monge.

Była też z nami pewna malarka z naszego amerykańskiego kółka, która mieszkała koło Place Maubert – odprowadziliśmy ją do domu i udaliśmy się z powrotem na naszą wyspę. Ona i Ferenc trochę ze sobą flirtowali w ciągu ostatniego tygodnia i teraz Ferenc zadzwonił po nią; spotkaliśmy się przy Maubert i malarka towarzyszyła nam w spacerze w górę St.-Michel. Była tak samo jak ja zaszokowana widokiem obalonych starych drzew. Louisa mniej. Najwyraźniej uważała, że to się mieści w regułach rewolucji. Zgodnie z przysłowiem, że nie można zrobić jajeczniczy nie rozbijając jajek.

Prawdę mówiąc, widziałem na własne oczy, jak obalano pierwsze stare drzewa na Boulevard St.-Michel poprzedniej nocy.

Po pożegnaniu się z Ferencem wszedłszy do domu stwierdziłem, że nie chce mi się spać. Stałem przez pół godziny przy oknach ze szklanką whisky w ręku, obserwując łunę na niebie nad dzielnicą, po czym znów się ubrałem i wyszedłem.

Tym razem poszedłem prosto w górę rue Cardinal Lemoine, obszedłem Pantheon i przez Place Edmond Rostand dotarłem do Odeonu. Wejście oblegał taki sam tłum jak za poprzednich moich bytności w *tym* miejscu. Tym razem jednak, wobec rozgorzałych na nowo starć, czuło się niezwykle podniecenie. Mniej było „zwiedzających” hrabin i baronowych z męską eskortą w czarnych smokingach. Kiedy z pomocą *laissez-passer* dostałem się za kulisy, zastałem Weintrauba i Hilla Gallaghera w zatłoczonym biurze Comite du Cinema des Etudiants de la Sorbonne.

Hill wyglądał okropnie. Stał jak bocian, z oklapniętymi ramionami, a kiedy podszedłem specjalnie do niego, żeby się przywitać, mruknął coś i odwrócił się na pięcie. Sprawiał wrażenie

człowieka pogrążonego w tak bezdennej rozpacz, że nie mogą się z nią równać wszystkie nieszczęścia świata razem wzięte. Co innego Weintraub.

– Hej! – zawołał pogodnie i podszedł do mnie. – Zastanawiałem się właśnie, czy wpadniesz dzisiejszej nocy.

– Nie planowałem. Ale coś mnie przygnało.

– To stary duch rewolucjonisty. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i klepnął mnie po plecach. Po raz pierwszy jednak odniosłem wrażenie, że pod tym uśmiechem czai się niepokój.

Młodzi, których twarze już rozpoznawałem, stali grupkami w biurze komitetu. Przewodniczący Daniel w drucianych okularach siedział za biurkiem. Demokratyczne dyskusje i głosowania następowały jedno po drugim, pełną parą. Stały się dla nich bezwiednym rytuałem.

– Co młodzi członkowie Komitetu Filmowego myślą o wznowionych walkach? – spytałem Weintrauba.

– Oczywiście myślą, że to historia świadomie ukartowana przez władze – powiedział lekko Weintraub. – Władze przyjęły najpierw postawę wyczekującą, licząc na to, że *Revolution* sama „zgnije”, używając ich określenia. Kiedy tak się nie stało, postanowiono wysłać przeciwko studentom policję, licząc na to, że ludzie będą mieli dość, odwrócą się od studentów, przerwą strajki, uspokoją się i wrócą do pracy. Innymi słowy, nowe walki są próbą poróżnienia klasy robotniczej ze studentami i złamania ich solidarności.

– Hm – mruknąłem. Nie byłem pewien, czy mogę się z tym zgodzić.

– Cóż, oni tak sądzą. Zwłaszcza teraz, kiedy jutro mają się rozpocząć rozmowy między władzami a związkami zawodowymi.

Po czym dodał:

– Trzy nasze ekipy filmowały nocą walki na St.-Michel.

– Chyba oni nie wyobrażają sobie, że mają choć cień szansy na zwycięstwo? – spytałem.

– O *tym* nigdy nie rozmawialiśmy. A teraz chodź, napijemy się kawy. Chciałbym z tobą o czymś pogadać.

Przeszliśmy przez sam środek demokratycznej dyskusji o tym czy owym, której przewodniczył Daniel, i weszliśmy przez drzwi prowadzące do „kuchennej” części biura komitetu, skąd również, innymi drzwiczkami, można było wyjść na balkonik nad głównym amfiteatrem. Nieustanny maraton wciąż trwał. Ale zapał niemal wygasł, a sens zagubił się. W kuchence garnek z zupą pirplił na jednym butanowym palniku, a dzbanek z kawą na drugim. W kącie na materacu młoda para leżała w objęciach, ale jak mimo woli dostrzegłem kątem oka, odwracając od nich wzrok, nie robili nic więcej. Poza tym było pusto.

– Czy idąc na górę widziałeś nasz „szpital”? – spytał Weintraub, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi, odcinając się od dyskusji.

– Słyszałem, idąc tylnymi schodami.

– Mają ze stu pacjentów więcej, niż mieli w środę. Przyniósł dwie brudne filiżanki.

– Nie chcą iść do normalnych szpitali, bo policja sprawdza i każdego zaraz aresztuje.

Nalał nam gorącej kawy, a potem usiadł na skraju materaca, na którego drugim krańcu obejmowała się para. Przysiadłem obok niego z filiżanką gorącej lury w rękę.

– Hill Gallagher cały się gotuje – zaczął Weintraub. – Tak? Dlaczego?

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, iż Harry wziął Samanthę do Cannes?

– A ty wiesz? Czy tylko przypuszczasz?

– No cóż, nie dysponuję listem z ich podpisami, jeśli o to ci chodzi. I nie próbowałem osiągnąć ich tam telefonicznie. Ale to chyba jasne. Gdzie indziej mogłaby się podziewać?

– Gdziekolwiek. A jeśli naprawdę to zrobił, cóż, człowiek w jego sytuacji nie mógłby chyba głupiej postąpić.

– Potrafię się z tym pogodzić – powiedział Weintraub i znów na jego twarzy dostrzegłem ten sam bolesny wyraz przygnębienia, który nieraz jeszcze miałem oglądać. – Myślę, że zdawałem sobie sprawę, iż jej przy sobie nie zatrzymam. Oczywiście, pieprzyła się z Hillem i pewnie jeszcze z kupą innych chłopaków. A w końcu spała ze mną.

Napił się gorącej kawy.

– Ona ciągle chce zdobyć tę forszę na wyjazd do Izraela. Chociaż nie wiem, jak się wydostanie z Paryża, gdy już będzie miała pieniądze. Cholera, w tej chwili tylko pieprzeni dyplomaci mogą jeszcze latać; albo grube szychy biznesu, z lotnisk wojskowych, które nadal funkcjonują.

– A co z Hillem?

– No cóż, jest strasznie roztrzęsiony – powiedział smutnym głosem Weintraub. – Nie wiem, skąd on się, u licha, dowiedział.

Poczułem wyrzuty sumienia.

– Ja mu w każdym razie nie powiedziałem – dodał. – Ale i tak prędzej czy później to by do niego doszło.

– A ty, Weintraub, jesteś tego absolutnie pewien?

– Tak jak wszystkiego, co w życiu widziałem bądź zrobiłem.

– Posłuchaj, Weintraub. Jeśli kiedyś piśniesz choć słówko na ten temat Louisie, ja... zrobię z tobą coś straszego.

– Spokojna głowa! – Uniósł rękę na znak przyrzeczenia. – Biedna Louisa nie leży w sferze moich zainteresowań.

– Zapamiętaj to sobie. Przysięgam, że znajdę cię nawet pod ziemią.

Potrząsnął głową.

– Ale Hill może jej powiedzieć.

– Nie, on tego nie zrobi. Nigdy. Weintraub wzruszył ramionami.

– Czy można mieć pewność? W każdym razie Hill cały się gotuje.

– Jak to wygląda w praktyce?

– Wiesz, że w Komitecie było głosowanie nad ofertą, jaką Harry złożył im przed swoim wyjazdem. No i Hill był przeciwko. Wszyscy byli wyraźnie za, ale w czasie dyskusji Hill wygłosił długie i zgryźliwe przemówienie, w którym powiedział, że jego ojciec jest komercjalizowanym burżuazyjnym rewizjonistą, który chce za pomocą komercyjnych burżuazyjnych metod rewizjonistycznych zrobić film dla komitetu. Powiedział też, że to zniszczyłoby honor i zasady komitetu, filmu, a także samej *Revolution*. Czyli gdyby pozwolili jego ojcu zrobić ten film tak, jak chce, czy choćby pozwolili mu przy nim współpracować. Jego ojciec jest skomercjalizowanym chałturnikiem, płatnym pachółkiem establishmentu. Hill poszedł na całego. Wymachiwał rękoma, cholerował, zgrzytał zębami. Byłem przy tym.

– To wszystko z powodu Samantha – powiedziałem rozsądnie.

– Nie wiem czy wyłącznie. Ale w pewnym stopniu na pewno tak.

– On się w niej do szaleństwa zakochał.

– Cóż, mógł trochę uważać i nie zakochiwać się akurat w dziewczynie tego pokroju. Ona się nie wiąże z pierwszym lepszym chłopaczkiem. A już na pewno nie z kimś w rodzaju Hilla.

Ani z kimś takim jak ty, pomyślałem. Weintraub też chyba zdawał sobie z tego sprawę.

– Skądinąd ona wie, co trzeba robić, żeby było dobrze w łóżku. Może to go wzięło. Jest jeszcze taki młody.

Siedział przez chwilę zamyślony, opierając się plecami o ścianę.

– No więc w końcu musiał ustąpić pola i inni zaczęli pokrótce wyjaśniać, dlaczego są za tym pomysłem. Za pomysłem Harry'ego. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy są przeciwko Hillowi. Ale on nie chciał się z tym pogodzić. Ciągłe się wcinał, choć nie udzielono mu głosu, próbował wygłosić kolejne przemówienie, aż Daniel musiał go przywołać do porządku. Stary, on naprawdę wychodził z siebie, mówię ci, stary – powiedział czterdziestopięcioletni Weintraub (podejrzewam, że bliższy był pięćdziesiątki niż czterdziestki, jeśli jej wręcz nie przekroczył). Poczulem do niego żal w imieniu Samantha. Za dobrze to wszystko znosił.

– Potem było głosowanie i niemal wszyscy wypowiedzieli się przeciwko Hillowi. Tylko Terri i Bernard głosowali tak jak on. A i oni niewątpliwie zrobili to z przyjaźni, wiedząc z góry, że przegrają.

Nagle uśmiechnął się.

– Przecież Terri ma być gwiazdą, jeśli zrobią film tak, jak chce Harry... A Hill od tamtej pory jest cieniem człowieka. Tylko się snuje. Chłopcy, którzy z nim kręcili, mówią, że robi ledwie połowę tego co dotychczas. Dlatego nie wzięli go dzisiaj. Obawiam się, że nie jest z nim dobrze.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, trzymając w dłoniach gorące filiżanki z kawą. Nie mogłem się przemóc, żeby przelknąć to świństwo, Weintraubowi natomiast najwidoczniej nic nie

przeszkadzało. Nie wiedziałem, co powiedzieć w sprawie Hilla, co mogłoby jakoś pomóc.

– Może ty mógłbyś coś dla niego zrobić?

– Nigdy nie umiałem z nim rozmawiać o Harrym – powiedziałem w końcu. – Podobnie jak teraz o Samancie.

Weintraub jakby mnie nie usłyszał.

– Potem jeszcze coś się stało. Jak wiesz, oni przechowywali wszystkie nakręcone taśmy u mnie, z obawy przed nalotem policji. A potem przyszli po nie i włożyli wszystkie do dwóch wielkich lodówek, które stoją tutaj, w biurze. Nie było sposobu, żeby je wywołać na terenie Francji bez wiedzy władz i konfiskaty policyjnej. A jakieś dziesięć dni temu jeden z chłopców z komitetu zabrał prawie wszystkie, pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt rolek, to kupa filmu, mówiąc, że ma okazję pojechać nocą prywatnym samochodem do Włoch, więc weźmie je tam, wywoła i przywiezie z powrotem. W biurze była wówczas akurat tylko jedna dziewczyna. Nie miała prawa podejmować takiej decyzji, ale pozwoliła mu wziąć taśmy. Od tego czasu chłopak się nie odezwał i pozostali już się zaczęli niepokoić o los filmów. Słyszałeś o tym?

– Nie.

Rzeczywiście nic o tym nie wiedziałem.

– No a teraz dostali jakąś niejasną wiadomość z Włoch, jakoby on stracił wszystkie filmy, już w Rzymie. Podobno mu je „skradziono” z tylnego siedzenia samochodu podczas jakichś zamieszek czy po demonstracji, na którą się wybrał, czy coś w tym rodzaju. Wiadomość ewidentnie zniekształcona. Chłopak, który ją przywiózł, nawet tamtego nie znał. A ten, który zabrał filmy, jeszcze nie powrócił. Jest nadal w Rzymie, próbuje ustalić, gdzie się podziały filmy.

Weintraub uśmiechnął się gorzko i dodał:

– Wśród chłopców z komitetu zrodziło się podejrzenie, że chłopak po prostu zwędził filmy i sprzedał je w Rzymie.

– O Boże! Ależ to niepowetowana strata!

– Jedno zgniłe jabłko psuje całą beczkę. Coś w tym rodzaju. Oczywiście, że to niepowetowana strata. Prawie cały materiał, jaki nakręcili od początku Rewolucji. To, co Hill kręcił na barykadach na Gay-Lussac w piątek w nocy. Wszystkie demonstracje. Materiał kręcony wewnątrz Sorbony. Nie tylko niepowetowana strata. To wręcz katastrofa.

– Studenci-idealiści – powiedziałem. – Studenci-idealiści z Comité du Cinema de la Sorbonne et Odeon.

– Tak. Studenci-idealiści i jedno zgniłe jabłko. Oni jeszcze nie w pełni zdają sobie sprawę z tego, co się stało. W końcu wszystko do nich dotrze.

Podniósł się z materaca. Jego filiżanka była pusta. Ja też wstałem.

– To zapewne też nie poprawiło Hillowi nastroju – powiedziałem.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle zauważył, że coś się dzieje. Jest ogłuszony po stracie

Samanthy.

– Gdzie mogę to wylać? – spytałem podnosząc filiżankę.

– Tam w kącie jest mały zlew.

W kącie było tak ciemno i brudno, że przedtem nie zauważyłem zlewu.

– Ciekawe, co się stało z jego filozofią życiowego i seksualnego leseferyzmu, z całą antymonogamicznością? – spytałem wróciwszy od zlewu.

– Przypuszczam, że dopiero jak ktoś się pierwszy raz w życiu naprawdę zakocha, staje się lepiej przygotowany na taką filozofię – stwierdził refleksyjnie Weintraub. – Jest się lepiej przygotowanym na stratę, na wielkiego kopa.

– Ale najpierw trzeba przeżyć, przetrwać ten pierwszy raz.

Weintraub westchnął.

– Tak. To prawda. Naprawdę nie wiesz, jak mógłbyś mu pomóc? Posłuchaj. Nie chciałbyś się przejść, zobaczyć, jak wygląda stary BouF St.-Michel? Byłeś tam dzisiejszej nocy? Możemy poprosić tego małego Raymonda, żeby nas oprowadził. Dobrze go znają w każdej części dzielnicy.

– Nie, tam nie byłem. Włączyłem się tu i ówdzie, ale nie tam. Dobrze, chodźmy. Czemu nie?

Mały Raymond był w biurze, gdzie niezmordowany Daniel przewodniczył kolejnej demokratycznej dyskusji.

Raymond czuł się moim oficjalnym przewodnikiem, od kiedy po raz pierwszy pokazał mi biura komitetu i balkonik nad amfiteatrem. Powiedział, że chętnie zabierze nas do St.-Michel.

– Będą wam pewnie potrzebne chusteczki do nosa, jeśli zbliżymy się do Carrefour – powiedział z uśmiechem.

Powiedziałem, że mam chusteczkę, a on poprowadził nas na dół, obok rozjęznanego szpitala i obok bramkarzy w łańcuchach na szyi, którzy z pewnością nie byli studentami. Czy ukończyli podstawówkę, czy nie, w każdym razie mieli używanie strzegąc swymi łańcuchami rewolucji.

Kiedy schodziliśmy, zauważyłem Jean-Luc Godarda, Truffaut i Williama Kleina, jak chodzili, każdy osobno, po zatłoczonych korytarzach. Tylko jeden, Godard, miał ze sobą kamerę. Wszędzie panowało nadal pewne napięcie, a zarazem radosne uniesienie.

Wyszedszy na dwór, przemierzaliśmy zatłoczony plac w kierunku rue Racine i dalej tą uliczką, mijając *barricade pure*, doszliśmy do bulwaru. Barykada miała wąskie przejścia od strony chodników. Na Odeonie powspinały się aż na wysoki dach teatru grupki studentów, uzbrojonych w pokrywy kubłów na śmieci jako tarcze i jakieś dziwaczne rzymskie, gockie czy frankońskie hełmy. Znaleźli ich zapas w magazynach kostiumów teatralnych. Wymachując tarczami, wykrzykiwali z góry jakieś niezrozumiałe hasła. Istny dom wariatów.

Na rue Racine i na St.-Michel mijaliśmy inne grupy podobnie uzbrojonych studentów, które ciągnęły na pole bitwy bądź z niego wracały. Nie dopatrzyłybyś się ładu w ich przemieszczeniach.

Wszyscy mieli na szyi chustki, żeby można było natychmiast przytknąć je do nosa w razie gazów łzawiących.

Raymond był rzeczywiście drobnej postury. Nie znał ani słowa po angielsku, więc zawsze zwracaliśmy się do niego po francusku. Musiał być sporo starszy od innych, dobrze po dwudziestce. I chyba rozsądniejszy. Wyglądał łagodnie, jakby był bardziej pokojowo usposobiony niż reszta kolegów. Przed rewolucją robił na Sorbonie studia podyplomowe z filmoznawstwa. Chciał zostać reżyserem filmowym. Kiedyśmy szli, pozdrawiali go studenci ze wszystkich mijanych grup.

– Powiedz mi – zwróciłem się do niego – czy sądzisz, że przewodniczący Daniel mógłby być na przykład obcym agentem?

Staliśmy akurat na rogu bulwaru, obok księgarenki. Na szerokiej ulicy było pełno ludzi. Małe, prywatne samochody z wymalowanymi po bokach i na masce czerwonymi krzyżami, a kierowane przez rozwrzeszczanych studentów, z pomocą klaksonu torowały sobie z trudem drogę przez ciżbę. Jedne jechały na pole walki, inne z niego wracały.

– Też o tym myślałem.

Raymond spojrzał na mnie mądrymi oczyma i uśmiechnął się łagodnie.

– Ale nie sądzę. Ma dziwny akcent. Ma dziwny akcent, to wszystko. No ale w końcu jest Szwajcarem.

– Ma też wygląd fanatycznego komisarza. I te staromodne okulary w drucianej oprawce. Pachnie Rosją.

– To prawda – uśmiechnął się Raymond. – Ale nie, nie sądzę, żeby był agentem. Zresztą musimy się posługiwać tymi ludźmi, których mamy pod ręką. Idziemy dalej? Czy zostajemy tutaj?

– Nie, chodźmy dalej.

Udało nam się dotrzeć do Carrefour. Odległość jest niewielka, a najcięższe walki przeniosły się akurat w stronę rzeki. Widzieliśmy błyski, dymy i wybuchy granatów z gazem łzawiącym w okolicach Place St.-Michel, słyszeliśmy okrzyki i śpiewy.

Na St.-Germain poszczególne grupki zrywały to, co jeszcze zostało na ulicy, obalały znaki drogowe i latarnie, żeby wzniesć barykadę. Jakies dwieście metrów w górę St.-Germain, przy rue Danton, policjanci przegrodzili bulwar kordonem, ale stali w miejscu.

Nagle tuż przed nami, na Carrefour, czterech żyłastych, szcurowatych osobników w wieku około dwudziestu lat przemierzyło paroma susami chodnik i zaczęło z wielką sprawnością demontować barierkę ochronną, jaka biegła w/dłuż zakrętu ulicy. Składała się ona z ośmiu, może dziesięciu metalowych słupków wpuszczonych w cement i połączonych łańcuchem. Jeden osobnik, posługując się grubym prętem jako dźwignią, otwierał końcowe ogniwa łańcucha, po czym starannie je zamykał i kółko wkładał sobie na szyję. Dwaj inni, wyposażeni w piłę do

metal, odcinali słupki przy samej ziemi, robiąc z nich metalowe pałki, które czwarty zbierał. Byli ubrani w mundury z demobilu i amerykańskie furażerki naciągnięte mocno na uszy i przyklepane na czubku. Nic nie mówili, ich twarze były niezwykle zimne, skoncentrowane, bez żadnego wyrazu.

Po zdemontowaniu barierki paroma susami przeskoczyli chodnik i znikli tak, jak się pojawili, udając się w stronę terenu walk.

– Widzieliście tych typków? – zawołałem. Nie mogłem się powstrzymać. Wyglądali naprawdę jak szczury, nie jak ludzie.

Raymond miał zażenowaną minę.

– Wiesz, cała sprawa wymknęła się już spod naszej kontroli. Wczoraj w nocy.

– Ale podobni pracują dla was w Odeonie. Raymond znów uśmiechnął się z zażenowaniem.

– To prawda. Nie tylko w Odeonie.

– Na ich widok mrowie przechodzi mnie po plecach.

– Mnie też – wtrącił Weintraub.

– Z chęcią skosiłbym tych czterech dżentelmenów z pistoletu maszynowego, bez najmniejszych skrupułów – stwierdziłem. Nie wiem, czemu ogarnęła mnie aż taka wściekłość.

– A oni chętnie zrobiliby to samo z tobą – powiedział Weintraub i zaśmiał się głębokim basem.

– Nie wątpię – odparłem.

– Utraciliśmy kontrolę – tłumaczył się Raymond. – Sprawa całkiem wymknęła nam się z rąk. Już się złościłem. A z pewnością nie na małego Raymonda.

– Ale nawet jak jeszcze mieliście kontrolę, wynajmowaliście takich typków. Powiedz mi, czy nie dostrzegasz filozoficznej sprzeczności pomiędzy tym, co deklarujecie jako cele waszej rewolucji, a faktem wynajmowania takich bojowników z rysztoła, żeby dla was walczyli?

Uśmiechnął się smutnie.

– Oczywiście, że dostrzegam. Ale zmusiła nas do tego policja i władze. Ja bym nie umiał tak walczyć na barykadach jak tamci. Nie miałbym szans.

– Jesteś drobny, ale nie mniejszy od tamtych czterech.

– Nie jestem też mniejszy niż pół umundurowanego policjanta. Ale to nie jest kwestia wzrostu. To kwestia temperamentu. Albo mentalności. Ja bym po prostu nie potrafił.

– Ale inni studenci potrafią.

– Tak, ale czegoś nie wiesz: w walkach, w prawdziwych walkach zawsze występują ramię w ramię z takimi chłopakami jak tamci czterej.

– Nie, tego nie wiedziałem.

– Mogę ci tylko jedno powiedzieć: jak już wygramy, jak obalimy rząd gaullistowski i ustanowimy rząd prawdziwie socjalistyczny, spróbujemy usunąć te wszystkie ciemne siły, z

których pomocy musieliśmy korzystać.

– Tak – powiedziałem. – A władze mówią to samo.

– Wiem. Wiem, że tak mówią. Ale to jedyna uczciwa odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić.

– I naprawdę uważacie, że uda wam się obalić de Gaulle'a?

– Po to tu jesteśmy – stwierdził Raymond.

– Widzisz? – zwrócił się do mnie Weintraub. Wciąż staliśmy na rogu St.-Germain. Za naszymi plecami rozległ się niezidentyfikowany, skrzekliwy hałas, wyraźnie słyszalny mimo ogólnego zgiełku. Obejrzeliśmy się. Wokół dużego kwitnącego drzewa zebrał się tłumek. Trudno się było zorientować, o co chodzi, więc podeszliśmy bliżej. Dwóch młodych ludzi atakowało podstawę pnia piłami spalinowymi. Wyglądali na skończonych fanatyków. Kiedy piły przecięły pień, tłum usunął się szybko z drogi.

– Lepiej chodźmy stąd – zawołał Weintraub. Wciąż patrząc, wycofaliśmy się w górę bulwaru.

Rozległ się ostrzegawczy krzyk, po czym wielkie drzewo runęło na bulwar, w miejsce, które studenci przygotowali odgradzając tłum łańcuchem rąk. Spojrzałem na Raymonda, a on ze smutną miną wzruszył ramionami.

– Dość już się napatrzyłem – powiedziałem. – Chodźmy z powrotem do Odeonu.

Kiedy szliśmy dalej bulwarem do rue Racine, dwóch kolejnych młodzieniaszków z obustronnymi toporami atakowało kolejne wielkie drzewo.

– Sporo czasu zajmie waszemu rządowi pozbycie się tych elementów, nie sądzisz? – spytałem, kiedy skręciliśmy w rue Racine.

– Ja też się wściekam, jak to widzę – wyznał Raymond. – Wierz mi, że gdybym ja komenderował, nigdy nie wydałbym takiego polecenia ani bym do tego nie dopuścił. Ale pierwszy lepszy wydaje polecenia. To się nam kompletnie wymknęło z rąk.

– Obawiam się, że nie wygracie – stwierdziłem bez osłonek. – De Gaulle jest twardy. A ludziom w końcu dopieką niewygody i bieda. Robotnicy wezmą to, co im się uda wycisnąć z *Patronatu*, i poddadzą się, wrócą do pracy. A powodzić im się będzie i tak gorzej, nawet jeśli dostaną podwyżki. Bo z gospodarką narodową Francji wasza rewolucja robi to samo co z tymi drzewami na bulwarach.

– Ale przynajmniej zrobimy wrażenie – powiedział Raymond. – Udowodnimy, że istniejemy.

Na rogu rue Monsieur-le-Prince rozstałem się z nimi i skręciłem w stronę zbiegu bulwaru z rue Soufflot. Nie chciałem wracać z nimi do Odeonu, zresztą bez nich też nie. Wąska stara ulica była wypełniona widoczną gęstą chmurą gazów łzawiących, od których oczy mnie piekły. Przedzierałem się przez resztki barykad i zwały śmieci, mijając dziwacznie poubieraných studentów, którzy dokądś szli. U góry bulwaru, przy Place Edmond Rostand, kiedy tłum się przzerzedził, przystanąłem na chwilę, żeby rzucić okiem na pogrążony w walce Boul' Mich', po

czym rue Cardinal Lemoine poszedłem do domu, czując się fatalnie.

W sobotę sprawy znacznie się uspokoiły. Studenci za wszelką cenę próbowali odzyskać kontrolę i wszystkie ich związki wydały rozkazy zmierzające do stłumienia rozruchów w dzielnicy. Następnego dnia, w niedzielę, było jeszcze spokojniej, ale to jest reguła, że niedziele są spokojniejsze. Trójstronne negocjacje między rządem, związkowcami i pracodawcami zaczęły się i trwały przez cały weekend. A w poniedziałek Harry Gallagher wrócił z Cannes.

Rozdział siedemnasty

Harry wrócił w poniedziałek, ponieważ na poniedziałkowy wieczór zapowiedziano wielką wspólną paradę studentów i robotników, po której miał się odbyć masowy miting na stadionie Charlety w południowej części Paryża.

Mityng ogłoszono już w piątek i uzyskano nań stosowne zezwolenie władz. Harry należał do działaczy głównego komitetu Związku Reżyserów i Autorów Filmowych, który uczestniczył w przygotowaniach, więc uważał, że powinien wziąć udział w paradzie i w mityngu. Gdyby nie to, powiedział mi później, wcale by nie wracał.

Nie widziałem się z nim w poniedziałek. Nie pojawił się w mieszkaniu na wieczornym zgromadzeniu Amerykanów, ponieważ całe popołudnie współorganizował i kierował przypadającą Związkowi Reżyserów i Autorów częścią parady, która zaczęła się, zanim jeszcze zebraliśmy się u Gallagherów. Louisa powiedziała mi, że wpadł tylko, żeby wziąć prysznic, ogolić się i przebrać, po czym pognął na zebranie komitetu. Louisa najwyraźniej nic nie wiedziała o Cannes.

Tak więc na naszym amerykańskim spotkaniu nie było Harry'ego. Ani też Samantha, o której nie miałem pojęcia, co robi i gdzie się podziewa.

Był za to dobry stary Weintraub. Nie opuścił ani jednego wieczoru, od kiedy Harry i Samantha pojechali do Cannes.

Przy pierwszej okazji zaciągnąłem go na stronę.

– Harry wrócił – powiedziałem cicho. – Czy wiesz coś na temat Samantha?

– Wrócił? – zdziwił się Weintraub.

– Wiem od Louisy – powiedziałem zniecierpliwiony. – Wrócił ze względu na dzisiejszą paradę i mityng, dlatego nie ma go tutaj. A co z Sam?

– Nie odezwała się do mnie. Może została w Cannes?

– Czy nie mogła stamtąd pojechać do Włoch?

– Mogła. Z forszą Harry'ego.

Na twarzy Weintrauba znów pojawiła się zboląta mina.

– Gdyby wynajęła samochód, którym dostałaby się do San Remo, stamtąd mogłaby pojechać do Rzymu, a z Rzymu samolotem do Izraela...

Poczułem nagle ogromną ulgę.

– Może tak właśnie zrobiła.

– Może – zgodził się Weintraub. – No cóż... – dodał i nagle odsunął się ode mnie. – No, no...

– powiedział i znów się odwrócił. – W każdym razie byłem w Odeonie prawie całe popołudnie,

ona tam się nie pojawiła. Ani też nie zostawiła żadnej wiadomości w moim gniazdku.

Odeon, pomyślałem.

– Czy widziałeś w teatrze Hilla? – Hilla? Tak, był tam.

– W jakim stanie?

– Jak zwykle. Ponury. Przybity. Ale poza tym *okay*. Po czym dodał z westchnieniem:

– Może się z tego wygrzebie.

– Może. Powiedz mi, od jak dawna Hill zna Sam?

– Hill? Jakiś tydzień. Właściwie to nie wiem, czy ona pieprzyła się z kimś oprócz niego. No i czasem ze mną. Ale chyba jednak tak.

– To niesłychanie krótki czas na to, żeby się pozbyć całej tej mocno zakorzenionej filozofii na temat wolnej miłości.

– Owszem – potaknął Weintraub bezbarwnym głosem. – Ale obawiam się, że dla kobiet takie korzenie to pestka.

Zanim zdążyłem coś jeszcze powiedzieć, z drugiego końca pokoju podeszła do nas Louisa.

– Co was tak bardzo zaprzęta? – spytała.

– Rozmawialiśmy o dziewczynie Dave’a – odparłem, mniej więcej zgodnie z prawdą.

– Ach, o tej pięknej małej kolorowej dziewczynie? – stwierdziła z uśmiechem Louisa. – Zastanawiałam się, co się z nią stało.

– Zdaje się, że znikła.

– Ach, to twój pech, Dave.

– Tak – odparł Weintraub, również zgodnie z prawdą. – Na pewno.

– Chodźmy się czegoś napić – zaproponowałem. Przy barze poklepałem Weintrauba po ramieniu, jakoś poruszony jego przygnębieniem. Normalnie był takim bufonem. Ale teraz i ta skorupa pękła. A w środku samotny człowiek, posiniaczony przez los. Powiedziałem mu, że zobaczymy się później w Odeonie.

A potem, gdy inni wyszli, zjadłem kolację z Louisą i z Ferencem, który po posiłku wybierał się do tej swojej malarki w okolice Maubert. Była to wesoła kolacja. Ferenc umiał bawić rozmową. Raz po raz wybuchaliśmy z Louisą śmiechem.

Weintraub nie zjawił się w Odeonie w tę noc z poniedziałku dwudziestego siódmego na wtorek dwudziestego ósmego. Tkwiłem tam do czwartej nad ranem, czekając na niego. Hill też był w teatrze, snuł się, ale ze mną nie chciał gadać. Kiepsko z nim było.

Większość młodych tryumfowała. Parada i mityng na stadionie Charlety przyniosły głośne „NIE” de Gaulle’owi i rządowym propozycjom podwyżek. Oni – studenci i młodzi robotnicy – demonstrowali wolę poważnej, Całkowitej Rewolucji. Chcieli obalić rząd de Gaulle’a i zastąpić

go innym, „socjalistycznym”, choć nie jestem pewien, czy wiedzieli, co pod tym określeniem rozumieją. Uczciwie mówiąc, ja osobiście nie umiałem sobie wyobrazić, jak którykolwiek z nich mógłby czymkolwiek pokierować.

Ale potem, kiedy wreszcie wyszedłem z Odeonu, nagle, zupełnym przypadkiem, natknąłem się na Weintrauba. Siedział sam jeden przy wystawionym na chodnik stoliku czynnej całą noc kawiarni po drugiej stronie placu i wyglądał na zadowolonego.

– Hej, Weintraub! – zawołałem; podszedłem do niego i przysiadłem się do stolika. – Co się z tobą, u diabła, dzieje? Mieliśmy się spotkać w biurze Komitetu Filmowego.

– Och, przepraszam cię za to – rzucił z nieco sennym wyrazem twarzy.

Potem, jakby nagle zdał sobie sprawę z mojej obecności, na jego twarz wrócił dawny zboląły wyraz, do którego już się przyzwyczaiłem.

– Siadaj, Hartley – powiedział, choć już siedziałem.

– Samantha wróciła, wszystko w porządku.

– Widziałeś ją?

– Czy ja ją widziałem! Czy ja ją widziałem! Ją i jej małą przyjaciółkę, Francuzkę.

– Chcesz powiedzieć... – Szukałem odpowiednich słów. – Chcesz powiedzieć, że robiłeś to z nimi?

– Czyja to z nimi robiłem. Czego to ja nie robiłem!...

Postanowiłem zamknąć się i tylko słuchać. Po skromnej kolacji we własnym pokoju Weintraub wybrał się do Castela, ot tak, żeby się rozejrzeć, napić czegoś, jeśli mu ktoś postawi, przed pójściem do Odeonu. I kto siedział tam sobie w najlepsze na parterze? Sam i jej przyjaciółeczka. Castel znów zafundował jej butelkę. Dave przysiadł się do nich i został poczęstowany. Miał mnóstwo pytań. Chciał wiedzieć wszystko. I Sam mu powiedziała. Tak, wróciła z Harrym z Cannes. Tak, mieszkała w hotelu. Tak, Harry płacił rachunki. Tak, dał jej albo ma jej dać pieniądze na podróż do Izraela. Tak, szukała możliwości odlotu z Paryża. Myśli, że to możliwe. Zna ludzi, którzy mogą jej pomóc. Nie, jej przyjaciółka nie wybiera się z nią. Co ja bym u licha robiła w Izraelu? – wtrąciła przyjaciółka po francusku. Ale dlaczego wróciła do Paryża, chciał się dowiedzieć Dave, przecież mogła wziąć samochód z Cannes prosto do San Remo? Cóż, o tym nie pomyślała, to prawda, a poza tym nie miała jeszcze ochoty opuszczać Paryża. Sama nie wie dlaczego. Tak, Harry był bardzo *sympathique, tres sympathique*, człowiek w jej guście. Wiedziała o tym od razu, odkąd po raz pierwszy uściśnęła mu dłoń. Nie, wcale nie rozpacza z powodu rozstania z nim. Nie są w sobie zakochani. Po prostu dobrze się rozumieli i to było zabawne. Hotel, w którym się zatrzymała, jest na Ile, na Ile St.-Louis.

– O mój Boże – powiedziałem cicho. Ten fakt zaniepokoił mnie bardziej niż cała reszta.

Był to mały hotelik przy rue St.-Louis-en-File, powiedział Dave. Chyba wiedziałem który.

Potwierdził moje przypuszczenie. No więc następnie Dave ją spytał, czemu tej nocy nie jest z

Harrym, a ona się zaśmiała. Harry wyszedł, zajęty swoimi sprawami w związku z tą pieprzoną rewolucją. Cóż, skoro to jego para kaloszy, niech w nie wskakuje. Ona nie ma zamiaru przesiadywać po jakichś śmierdzących stadionach z bandą studentów i robotników, która w każdej chwili może się przekształcić w oszalały tłum. Dlatego przyszła tutaj ze swoją przyjaciółką. Nie, nie było żadnej umowy między nią a Harrym. Działali na zasadzie wolnych partnerów. Harry płacił, i to płacił elegancko, za rozrywkę, a ona mu jej dostarczała. I tyle. Potem uśmiechnęła się do Dave'a. Może wybralibyśmy się wszyscy troje do niego? Na pamiątkę dawnych dobrych czasów. Czemu nie? – odparł od razu Dave. Był gotów, miał na to ochotę, delikatnie mówiąc. Taka gratka. Czy ma w domu coś do picia? Nie, akurat z tym było u niego krucho. Ale na pewno coś wykombinuje. Mniejsza o to, brzmiała odpowiedź, ona ma pieniądze. Zapłaci. Sama nie lubi alkoholu, ale jej przyjaciółka lubi, to ją podnieca. Kupią butelkę po drodze. Tak więc w trójkę poszli do jego mieszkanie.

Było koło jedenastej, może pół do dwunastej. Dziewczyny wyszły najdalej pół godziny temu. Taka gratka. Weintraub spojrział na mnie rozmarzonym wzrokiem w półmroku kawiarnianych stolików.

– Naprawdę niespecjalnie miałem ochotę iść do Odeonu – podsumował ochryple.

Był w tym wszystkim taki nieskomplikowany. Jakoś nie czułem się zaszokowany tym, że poszedł do łóżka z dwiema dziewczynami, które lubią mieć na dodatek mężczyznę, kiedy idą się kochać. Zwyczajnie tego nie rozumiałem. Wiedziałem, że powinno mnie to szokować. Ale on traktował wszystko tak po prostu, szczęśliwy jak dziecko. Może Harry też tak reagował? Ale Harry to nie ten sam typ co Dave. Weintraub nie miał kochającej żony i dwojga dzieci. To zupełnie co innego.

– Ach – rzucił rozmarzony Weintraub. – Nawiasem mówiąc, spytała mnie, czy byłem kiedyś w pracowni Harry'ego na poddaszu. Powiedziała, że to przytulne gniazdko. Nigdy tam nie byłem. A ty?

– Co takiego? – wykrzyknąłem.

– No tak, najwidoczniej ona, oni, byli tam razem po południu.

– Dobry Boże! On chyba całkiem zwariował. Robić coś takiego!

– Tak – westchnął Weintraub – zdaje się, że połknął bakcyła.

Na jego twarzy znów pojawiła się zbolała mina.

– Bezwzględnie musisz w tej sprawie milczeć, Dave – ostrzegłem go. – Po prostu musisz.

– Dobrze, będę cicho. Czemu by nie? Choć muszę przyznać, że mam nadzieję, iż ona nieprędko wyjedzie z Paryża. I że Harry będzie wieczorami zajęty na kolejnych paradach i mityngach.

Uśmiechnął się do mnie. Ale był to smutny, zbolały uśmiech.

Zostawiłem go w kawiarni, rozmarzonego i zbolełego na przemian, a sam wróciłem zwykłą,

okreśną trasą do domu, mocno przybity.

Następnego dnia zobaczyłem się z Harrym. Tym razem nie było żadnej parady ani mitingu opozycjonistów i Harry wziął udział w rytualnym spotkaniu Amerykanów w jego mieszkaniu. Ale była tam także Sam! No i oczywiście Weintraub.

Samantha przyszła sama. I zachowywała się bez zarzutu. Żadnych westchnień, żadnych powłóczyстых spojrzeń ani dwuznacznych zdań z jej strony. Większość czasu rozmawiała spokojnie z Weintraubem, resztę spędziła z Louisa. Nic nie wskazywało, że jest kochanką Harry'ego. Może „kochanka” to niewłaściwe słowo. „Utrzymanka” to trafniejsze określenie. Nie wiem, jak to nazwać, skoro z żadnej ze stron nie wchodzi w grę miłość. Kiedy zostawiła Weintrauba i podeszła do Louisy, usiadła skulona u jej stóp jak zakochany kociak. Rozmawiały przez dłuższy czas. Wcześniej, jak tylko Sam przyszła, słyszałem, że Louisa ją spytała, czy właśnie wróciła z podróży, ale nie sądzę, żeby Louisa skojarzyła wyjazd Harry'ego do Cannes z nieobecnością Samantha. Sam była wobec niej samą słodyczą.

Wszystko to razem przyprawiało mnie o lekkie mdłości.

W końcu zapędziłem Harry'ego w róg, za barem.

– Na Boga, Harry! Co ty sobie, na litość boską, wyobrażasz, przyprawiając tutaj tę dziewczynę?

Uśmiechnął się. Autentycznie się do mnie uśmiechnął.

– Była taka osamotniona. Chciała pobyć trochę w towarzystwie Amerykanów. Nie rozumiem, czemu nie miałyby przyjść. Na pewno nie popełni żadnej gafy.

– Może i nie. Ale nawet w takim razie, Harry, na litość boską!

– Ona lubi Louise – odparł z uśmiechem. – Sama mi to mówiła w Cannes.

– Posłuchaj, Harry – zacząłem ostrożnie, upewniwszy się przedtem, że nikt nas nie może usłyszeć. – Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt? Prawie. Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co robisz? Z choinki się urwałeś?

Spojrzał na mnie uśmiechając się krzywo; ze zmrużonymi oczami i łysą czaszką nagle nabral orlego wyglądu.

– Jacku – powiedział dość cicho, ale tonem zdawkowej rozmowy – czy ty doszedłeś kiedyś w życiu do takiego punktu, w którym się na wszystko gwizdże?

– Nie, myślę, że nie.

– A ja doszedłem – stwierdził cicho. – A co do pięćdziesiątki, którą, jak słusznie zauważyłeś, mam na karku, to odnoszę wrażenie, że czas na ruch. Ruch. Zasadniczy ruch. Mrugnij, a upłynie dziesięć lat i będę miał na karku sześćdziesiątkę. Mrugnij jeszcze raz, a przyjdzie siedemdziesiątka. I gdzie ja wtedy będę? Jeśli w ogóle jeszcze po tej stronie.

– No dobrze, na miły Bóg, w takim razie ulokuj ją w jakimś mieszkaniu. Ustaw ją. Masz na

to forszę. Ale na litość boską nie sprowadzaj jej tu, na wyspę, i nie instaluj jej w jednym z tutejszych hotelików. Harry, na wyspie każdy cię zna. Wynajmij jej mieszkanie w VI Dzielnicy.

– Ona nie chce – odpowiedział rzeczowym tonem. – Wybiera się do Izraela. I poleci tam. Nie jestem tylko jeszcze pewien, Jacku, czy ja nie będę aby chciał polecieć za nią. Bardzo możliwe, że będę. A więc wiesz o tym? – dodał. – O hoteliku?

– Weintraub mi powiedział. Powiedział też, że ona mu opowiadała, jaką masz fajną pracownię w tym budynku na poddaszu.

– Tak, wziąłem je na górę. Ściślej mówiąc, kochaliśmy się tam dzisiaj po południu. Powiedziałem ci, Jacku, że osiągnąłem punkt, w którym gwizdzę na wszystko.

– Nie wątpię. – To była cała moja odpowiedź.

– Na wszystko. Byłem przerażony.

– Chyba zwariowałeś. Masz przecież pewne obowiązki. Czy pamiętasz o tym, że twój rodzony syn jest, czy był, jej kochankiem i że jest w niej do szaleństwa zakochany?

– Tak. Od jak dawna?

– Cóż, od tygodnia. Może od dziesięciu dni. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to wystarcza.

W takich sprawach czas nie gra większej roli.

– Tak. On. On i jego głoszone na prawo i lewo filozofijki na temat wolnej miłości.

Znów się uśmiechnął, z *tym* swoim orlim profilem.

– Okazuje się, że jestem bardziej radykalny od niego. Nawiasem mówiąc, Jacku, wiem, że one spędziły wczoraj pół nocy z Weintraubem. Sam mi powiedziała. A ja się tym w ogóle nie przejmuję. Co ty na to?

Nic więcej nie mogłem zrobić. I tak już dość długo staliśmy sami w kącie przy barze. Każdy z nas co najmniej raz mimowolnie podniósł głos. Czułem, że najwyższy czas na odwrót.

– Nalej mi jeszcze szklaneczkę, Harry, a ja trochę się przespaceruję.

– Z przyjemnością – odparł z uśmiechem. Wziąłem szklaneczkę i ruszyłem przez całą długość salonu, zamieniając słowo tu i ówdzie, aż w końcu wylądowałem obok Louisy i Samantha.

– Och, pan Hartley. – Samantha odezwała się pierwsza, ze swego miejsca na dywanie. – Dzień dobry. Jak to miło. Świetnie pan wygląda. Jak to miło znów ujrzeć pańską szlachetną twarz, panie Hartley.

– Cóż... dziękuję. Podobno byłaś na wycieczce, Samantha.

– Byłam. Ale wróciłam. Kiwnąłem głową.

– A chcecie wiedzieć, kogo mi dotkliwie brakowało w czasie tej wycieczki? Pana, panie Hartley. No i oczywiście Louisy. Za nią stęskniłam się najbardziej.

Louisa zaczęła się czerwienić.

– Hej, Harry! – zawołała Samantha przez cały salon. – Wciąż jestem do szaleństwa

zakochana w twojej żonie! Do szaleństwa!

Wszyscy się zaśmiali. Harry przy barze ledwie się uśmiechnął i pokiwał głową, z tym orlim wyrazem twarzy, którego nigdy przedtem u niego nie widziałem. Louisa była teraz cała w pąsach.

– Jesteś niepoprawna – skarciła Samanthę. Ale równocześnie dawno nie widziałem jej równie szczęśliwej.

– Po prostu niepoprawna. Twoja matka powinna cię była częściej bić.

– Och, biła – uśmiechnęła się do niej Samantha.

– Biła wszystkich naokoło. Łącznie z moim ojcem i większością swoich kochanek.

Zmuszając się do uprzejmego uśmiechu zostawiłem je i podszedłem do Weintrauba. Popatrzył na mnie rozmarzony, tym samym błędnym wzrokiem co zeszłej nocy. Odczekawszy stosowny czas, wziąłem kapelusz oraz parasol i wyszedłem. Skoro Harry wrócił, nie miałem powodu dotrzymywać Louisie towarzystwa, a poza tym nie chciałem o nich myśleć. O nikim. Samotnie zjadłem kolację.

Później tego wieczoru Harry pokazał się w Odeonie. Byliśmy już tam z Weintraubem. Był także Hill. Tylko Samantha się nie zjawiła.

Harry przyszedł, żeby się dowiedzieć, co komitet postanowił w kwestii jego oferty. Poprzednim razem przewodniczący Daniel dał mu *laissez-passer*. Tak więc teraz po prostu stanął w drzwiach w swym zawsze nowym, sztywnym trenczu z kołnierzem podniesionym koło uszu, z papierosem zwisającym z warg. Ojciec i syn sztywno skinęli sobie głowami. Potem Harry zapytał Daniela, jaka jest decyzja.

Daniel, wieczny przewodniczący, wygłosił długą mowę o tym, jak to dyskutowali i głosowali, w sobie właściwy demokratyczny sposób, co jest istotą ich Rewolucji; oznajmił, że postanowili przyjąć ofertę Harry'ego. Dwoje głównych aktorów, których wybrał, będzie gotowych o każdej porze. Dla dobra *Revolution* oddadzą się do jego dyspozycji, ale będzie im musiał udzielić wskazówek. Ani ona, ani on nie mają wykształcenia aktorskiego.

Harry łaskawie się zgodził. W porządku, udzieli im wskazówek. I przyjdzie ze swoją kamerą, ze swoim kamerzystą, chłopakiem, z którym od dawna współpracuje, i sam zapłaci za swój film. Potrzebuje tylko odpowiednich podkładów do scen, które nakręci. Kluczem do całości będzie wątek miłosny Terriego i Anne-Marie, rozwijający się podczas Rewolucji. To wszystko nakręci sam. Potem przemieszczają jego film z filmem, którym już dysponują studenci, żeby uzyskać odpowiednią atmosferę. Co do jednego wszakże musi panować jasność. Z chwilą, kiedy oni się zgodzili, on staje się szefem-dyktatorem: żadnych demokratycznych dyskusji ani głosowań. Inaczej nigdy tego filmu nie zrobią. To jego jedyny warunek. Jeżeli akceptują jego ideę i on zaczyna kręcić, muszą też zaakceptować jego samego jako absolutnego szefa. Więc co oni na to?

Daniel zaniepokoił się i lekko zaczerwienił. Cóż, powinni sprawę przedyskutować i przegłosować, nim podejmą ostateczną decyzję. A jeśli chodzi o niego samego, to ochoczo godzi się na takie rozwiązanie. Rozumie i podziela pogląd, iż reżyser musi mieć pełne prawo decyzji. Po czym z ponurą miną powiedział Harry'emu o pięćdziesięciu rolkach, które zaginęły we Włoszech.

– Uważam, że powinienes o tym wiedzieć, zanim zaczniemy.

Harry zrobił zmartwioną minę. Powiedział, że mają pecha. Ale będą musieli zadowolić się tym, co mają. Być może okaże się, że trzeba będzie nakręcić więcej tła. Ale to się da zrobić.

Byłem bardzo zmęczony. Przez ostatnie dwa dni pracowałem ciężko z Terrim, próbując zaplanować i wypełnić treścią dwa artykuły, które obiecałem im przygotować do mojego pisma. Pracowaliśmy solidnie u mnie w domu – przypuszczając, że powrót Harry'ego odbierze mi Terriego na czas nieokreślony. I udało się zrobić szczegółowy plan. Ale byłem wykończony. Usiadłem więc w kącie przegrzanego biura i ziewając obserwowałem rozwój wypadków.

Zgodnie ze starą rewolucyjną zasadą, Daniel zwołał zebranie, wyciągnął młotek licytatora, a jedna z dziewcząt przygotowała się do stenografowania; Daniel otworzył dyskusję. Harry słuchał stojąc pod drzwiami, z papierosem nadal zwisającym mu z ust. Najwyraźniej nikt nie miał zastrzeżeń. Niektórzy mówili krótko, powtarzając mniej więcej to samo, a mianowicie, że jako studenci reżyserii na Wydziale Filmowym rozumieją, iż reżyser musi mieć pełną władzę. Wreszcie wystąpił Hill i poprosił o głos.

No cóż, wysłuchałem relacji Weintrauba o jego dzikich, emocjonalnych wystąpieniach sprzed paru dni; i teraz Hill zrobił dokładnie to samo. Nie wymachiwał wprawdzie rękoma i nie zgrzytał zębami, jak – wedle Weintrauba – miało to miejsce poprzednim razem. Ale cała reszta się zgadzała: oracja wysilona, na zbyt wysokim diapazynie, zbyt tragiczna i stanowczo zbyt hiperboliczna. Zrobił z siebie kompletnego osła. Używając anarchistycznego żargonu studentów, który w gruncie rzeczy niewiele się różnił od starego żargonu komunistycznego, Hill oskarżył Harry'ego bodaj o wszystko, no, może z wyjątkiem kradzieży zlewu kuchennego.

Harry stał spokojnie przy drzwiach, z rękoma w kieszeniach trencza, z uśmiechem na wargach i przymrużonymi oczyma i raz po raz zaciągał się tkwiącym między wargami papierosem.

W podsumowaniu Hill użył dźwięcznego francuskiego wyrażenia Zoli z afery Dreyfusa (*J'accuse*) i dramatycznym gestem wskazał na ojca:

– Oskarżam tego tu człowieka, że jest płatnym lokajem tegoż establishmentu, który próbujemy obalić. Oskarżam go, że nie ma żadnych zasad moralnych względem naszej Rewolucji. Oskarżam go o wszelkie odcienie rewizjonizmu i myślenia rewizjonistycznego, jakie istnieją na naszym okropnie pogmatwanym świecie. To prawda, jest członkiem Związku Reżyserów Filmowych. Ale co zrobił któryś z tych związków, w dowolnej sprawie, zanim my,

studenci, zaczęliśmy Rewolucję? Wszyscy to wiemy. Absolutnie nie. To prawda, pojechał do Cannes zawiesić produkcję własnego filmu, ale dopiero gdy zerwano festiwal w Cannes, kiedy to bezpiecznie mógł już wsiąść na swój wózek. Oskarżam go, że posługując się komercyjnymi, rewizjonistycznymi metodami establishmentu chce narzucić nam własne koncepcje, a przez to zrujnować nasz własny film o naszej własnej Rewolucji. Historia miłośna!... On pisze cudowne scenariusze historii miłosnych dla establishmentu przemysłu filmowego i zarabia na tym kupę forsy, ale każdy z tych filmów to komercyjne gówno i stek bzdur. Wnoszę, żeby mu zabronić maczać w tym palce, niech trzyma się z daleka od naszego rewolucyjnego filmu.

Na koniec opuścił palec i zrobił krok do tyłu.

Daniel stuknął młotkiem.

– *Okay*. A teraz proponuję głosowanie. Zanim zaczniemy głosować, chciałbym dodać, że ja osobiście uważam, iż wszystkie metody, jakie zastosujemy, żeby nasz film i nasza historia trafiły do całego świata, są usprawiedliwione, a zatem moralnie słuszne.

Tym razem nikt nie głosował tak jak Hill. Nawet Terri i Bernard go opuścili. Kiedy przyszła kolej na głosy przeciwko, Hill wystąpił i konsekwentnie, głośno i całkiem sam powiedział: NIE.

– *Okay* – stwierdził Daniel. – To załatwia sprawę. Znów stuknął młotkiem.

– Masz pan nasze głosy i nasze poparcie, panie Gallagher – podsumował zerkając zza szkieł w metalowej oprawie. – A ja, osobiście, uważam, że to świetny pomysł. Damy ci wszystko, czym dysponujemy w granicach naszych skromnych możliwości.

– Dobrze – rzucił od drzwi Harry. – Świetnie. *Okay*. Podszedł do biurka i zwrócił się do całej grupy.

Wyglądał bardzo romantycznie w tym swoim sztywnym trenczu i z nowym papierosem w ustach.

– Jutro, w środę, odbędzie się wielki marsz, zorganizowany przez zdominowaną przez komunistów federację CGT. Chcę sfilmować ten marsz, a w nim moich bohaterów. Jak rozumiem, związki studentów nie będą w tym marszu uczestniczyć. Ale mój związek, stowarzyszony w CGT, będzie, więc dwoje moich aktorów może pójść z tą grupą. Mam swojego kamerzystę, będziemy towarzyszyć pochodowi w kabrioletcie. Już to zorganizowałem, na wypadek gdybyście zagłosowali tak, jak głosowaliście. Wszystko ustalone. Ale chciałbym, żeby dwie wasze ekipy także filmowały ten marsz z innych stron. Chcę dwie najlepsze ekipy, jakie macie, ale nie wiem, kto kręci i kto jest dobry. Z wyjątkiem jego – powiedział wskazując na Hilla. – Chcę, żeby kierował jedną z ekip. Sami musicie wyznaczyć drugą. W tej chwili ważne jest, żeby uzyskać jak najwięcej materiału, zwłaszcza w obliczu przypuszczalnej straty gotowych filmów, jaka was spotkała. Będę tu jutro około pierwszej po południu i ustalimy wszystkie szczegóły przed wyjściem. Tu zwrócił się do Daniela:

– Czy tak będzie dobrze?

– Świetnie. Przygotujemy dwie ekipy i wszystko, co potrzeba, najlepiej, jak będziemy potrafili.

– Moja ekipa oferuje swoje usługi za darmo – oznajmił Harry. – Nikt nie oczekuje zapłaty. Ja sam zapłacę za swój film. Ale ważne jest, żebyśmy wszyscy dysponowali tym samym filmem, rozumiecie.

– Wszystko poustalamy – obiecał Daniel. – Wszystko będzie gotowe.

– Nie całkiem.

Powiedział to z kąta sali Hill Gallagher i wysunął się do przodu.

Po głosowaniu schował się w tłumie młodych ludzi i stał pod samą ścianą od strony „sypialni” komitetu, gdzie pewnej nocy widziałem, jak ujeżdża Samanthę na wytłuszczonym materacu. Ja tymczasem, pomimo gwałtownych emocji Hilla, które unosiły się w powietrzu, przysypiałem na ławce w tym zaparowanym, niewielkim pomieszczeniu.

– Odmawiam przyjęcia przydziału – powiedział Hill podchodząc do biurka.

Daniel zastukał młotkiem.

– Nie możesz odmówić.

– Ale odmawiam. Daniel znów zastukał.

– W porządku – powiedział zza drucianych okularków – ale w takim razie muszę cię tymczasowo zawiesić w prawach członka komitetu. Sprawa jest zbyt poważna, żeby teraz nad nią głosować, musimy poczekać, aż wszyscy będą obecni. Ale jako przewodniczący tymczasowo zawieszam twój udział w pracach komitetu, dopóki w pełnym składzie nie przegłosujemy tej decyzji na TAK lub na NIE.

– Chwileczkę – wtrącił Harry. – Nie chciałem...

– Harry Gallagherze – rzucił lakonicznie Daniel.

– Nie wiem, jakiego rodzaju sprawa rodzinna zaistniała między tobą a twoim synem. Ale to sprawa osobista, która nie ma nic wspólnego z tym oto komitetem. Nas interesuje wyłącznie robienie Rewolucji i stając się członkami komitetu składamy przysięgę posłuszeństwa. Mam zatem prawo postanowić, że Hill będzie tymczasowo zawieszony, dopóki nie przegłosujemy tej sprawy w pełnym składzie.

Rąbnął młotkiem.

– Nie będziecie musieli głosować! – zawołał Hill.

– Składam rezygnację z członkostwa w komitecie już w tej chwili!

I wyszedł trzaskając drzwiami. Harry przez chwilę mocował się z klamką, po czym podążył za nim.

Byłem podparty, wyczerpany i bardzo śpiący. Dlatego okazałem się mniej szybki. Kiedy wyszedłem z sali obrad, stali obaj jakieś dziesięć metrów ode mnie i kłócili się na środku

brudnego, źle oświetlonego korytarza.

– Osioł jesteś, Hill – mówił Harry, kiedy do nich podszedłem.

– Może jestem osioł, ale idealistyczny osioł. A te ideały przestały spełniać moje oczekiwania.

– Kiedy ciebie wybrałem – powiedział spokojnie Harry – chciałem tylko...

– Zabrałeś Samanthę – ripostował Hill. Wpatrywał się w ojca z zaciśniętymi przy udach pięściami. – A teraz zabrałeś nasz film. I Komitet Filmowy. A w końcu zabierzesz samą Rewolucję, wy wszyscy. I zamienicie ją w jakieś gówno, tak jak to zawsze robiliście.

– Posłuchaj, Hill. Samantha nigdy by z tobą nie została. Nie zostanie też ze mną. Jej moralność nie przewyższa moralności zmił. Ona po prostu taka jest. Taki jest świat. Ona nigdy nikogo nie pokocha.

– Mogłaby... Nie dotykaj mnie! Jeśli mnie dotkniesz jednym palcem, przysięgam, że cię uderzę.

– Dajcie spokój, ludzie – wtrącił się. Nie umiałem powiedzieć nic innego.

– Nie dotknę cię, synu.

– Więc idź sobie i odpieprz się. I spieprz ten film. I komitet. I tę cholerną Rewolucję. Ja mam dość. I lepiej nie próbuj mnie zatrzymywać.

Odwrócił się i pomaszerował mrocznym, nieskończenie długim korytarzem.

Harry patrzył za nim przez chwilę. Potem powoli, z namysłem, wyjął papierosa i wetknął go sobie w kącik ust. Zatopił ręce w przepastnych kieszeniach trencza, którego kołnierz zasłaniał mu uszy.

– *Okay* – zwrócił się do mnie. – Wracamy? Przy drzwiach przystanął i powiedział:

– Myślę, że będę mógł dla nich kręcić przez trzy, góra cztery dni.

Rozdział osiemnasty

Paryż był teraz posepny. Ciągła mżawka i częste ulewy, a raczej potopy, jakie przetaczały się przez całe miasto, sprawiły, że wszystkie flagi na budynkach rządowych przyklejały się, mokre i wiotkie, do masztów i drążków. Czarne i czerwone flagi studenckich rewolucjonistów nad Sorboną i nad Odeonem wyglądały dokładnie tak samo.

Zamiast dotychczasowego entuzjazmu, w powietrzu unosił się nastrój posepnego wyczekiwania. Kiedy to się wreszcie skończy? – zdawały się mówić twarze na ulicy. Miało się wrażenie, że w tej chwili cokolwiek się zdarzy, wyzwoli w końcu wybuch wojny domowej.

Atmosferę tę potęgowały rosnące góry śmieci na ulicach, skrzynki, kartony, rozkładająca się żywność. Wojsko wysłało ekipy w ciężarówkach, żeby coś z tym począć. Z początku strajkujący śmieciarze próbowali walczyć i przeszkadzali żołnierzom. Ekipy otrzymały więc uzbrojoną eskortę. Ale efekt ich pracy był ledwie zauważalny wobec stale rosnącej masy śmieci, codziennej sumy odpadków, jakich pozbywają się miliony mieszkańców.

Nigdzie nie można było dostać benzyny i dopiero teraz okazało się, jak bardzo funkcjonowanie miasta zależy od stałego dopływu płynnego paliwa. Okazało się, że życiem miasta są jego pojazdy.

Entuzjazm ostał się jeszcze tylko na Sorbonie i w Odeonie. Ale i te dwa budynki stawały się coraz brudniejsze, coraz bardziej niechlujne z powodu odpadków i potrzeb zwykłego codziennego życia. Tłumiło to entuzjazm w nas, ludziach z zewnątrz, a w pewnej mierze także i w studentach.

Dziwne starcie pomiędzy Harrym i Hillem miało miejsce we wtorek dwudziestego ósmego.

Następnego dnia, w środę dwudziestego dziewiątego maja, generał de Gaulle na siedem godzin znikł z Pałacu Elizejskiego. Wieść o tym rozeszła się wszędzie, zanim jeszcze nasza amerykańska grupa spotkała się wieczorem u Gallagherów.

Mówiono, że *le General* nagle odwołał posiedzenie gabinetu, zapowiedziane na dziesiątą rano. Ministrów, którzy przychodzili na tę godzinę, informowano, że posiedzenie się nie odbędzie. Dziewięćdziesiąt minut później generał wraz z małżonką wyjechał samochodem do swej rezydencji letniej w Colombey-les-Deux-Églises. Normalnie taka podróż zajmuje trzy godziny: Tymczasem de Gaulle przybył do Colombey dopiero o osiemnastej piętnaście, i to śmigłowcem.

Nikt nie wiedział, czym wypełniona była owa luka w czasie, a i on, i rzecznik rządu odmawiali wszelkich informacji na ten temat. Podano jedynie, że ma wrócić następnego dnia,

żeby przewodniczyć posiedzeniu gabinetu o godzinie trzeciej po południu i wyjawić swe plany.

Osobliwa to była reakcja starego generała, zawsze tak precyzyjnego i dbałego o etykietę. Wielu ludzi sądziło, że mamy tu do czynienia z jednym z tych ukrytych sygnałów, które tak lubił wysyłać: sygnałem, który miał oznaczać, że przygotowuje się do ustąpienia nie czekając nawet na osławione referendum, żeby pozwolić na sformowanie nowego rządu, tym razem bez jego udziału. A skoro już do tego doszło, nikt nie wiedział, czego jeszcze można się spodziewać.

Innym wydarzeniem dnia było w środę to, że komunistyczne związki CGT, poparte przez związki studenckie, po raz pierwszy zażądały publicznie ustąpienia generała de Gaulle'a i wybrania nowego rządu. W owej chwili powszechnie uważano, że to poważny cios.

W podnieceni omawialiśmy ostatnie wypadki u Gallagherów i oglądaliśmy nijakie wiadomości rządowej telewizji. Ale tak naprawdę to nikt nic nie wiedział. Wszystko natomiast wisiało w powietrzu i po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy nie pora wywieźć Louise i McKennę, na przykład do Brukseli. Miałem ukrytą benzynę na ten cel. Sam oczywiście nie zostałbym za granicą. Planowałem powrót.

Poza tym, zważywszy na afery Samantha Everton, lepiej byłoby wywieźć gdzieś Louise, do czasu aż wszystko przycichnie. Byłem przekonany, że prędzej czy później pokojówka Portugalka albo jakiś *commercant* z sąsiedztwa wypaple coś o tej małej Murzynce mieszkającej w hoteliku, który ostatnio odwiedza często jej mąż.

Jedyną dobrą rzeczą w tę środę, muszę przyznać, był fakt, że mżawka zelżała, a potem ustała i nawet wyrzowało słońce.

Chciałem porozmawiać z Harrym o moim pomysle wywiezienia Louisy i McKenny do Brukseli. Uważałem, że najwyższy po temu czas. Ale Harry'ego nie było pod wieczór w domu. Filmował marsz CGT ze swoimi studentami-aktorami. Była natomiast Samantha. I Weintraub. I Ferenc Hofmann-Beck.

Czując, że muszę się komuś zwierzyć, odciągnąłem Ferenc na stronę i spytałem go, czy wie, co tu się dzieje. Głową wskazałem Samanthę, wyciągniętą w rozleniwionej pozie na dywanie i pochłoniętą komiksem McKenny.

Ferenc wcisnął w oko monokl i zapalił długiego rosyjskiego papierosa, ścisnąwszy uprzednio na dwa sposoby długi tekturowy ustnik, po czym uśmiechnął się do mnie.

Przybrał węgierski akcent.

– Zawhsze mhówiłem, że trzheba być przhygotowanym na jakieś hocki-klocki.

Przeszedł na czystą wymowę amerykańską:

– A zwłaszcza – tu pociągnął nosem – przy tej tam dziewczynce.

Potem brwi powędrowały mu w górę, tak że monokl o mało co nie wypadł z oka.

– Chyba nie Harry? Potaknąłem.

– Tak, Harry ma najwyraźniej poważny romans z tą tam dziewczynką.

– Rzeczywiście? No cóż, w każdej grupie społecznej można oczekiwać pewnych drobnych przewinień seksualnych.

Uśmiechnął się. Ale zarazem wyglądał na głęboko zatroskanego tym, co mu powiedziałem.

– Biedna Louisa – powiedział po chwili. – Ale ja ich w gruncie rzeczy nie znam dobrze, wiesz. Obawiam się, że nie będę mógł nic doradzić.

– Ale czy coś podejrzewałeś?

– No cóż. Mówiąc prawdę, żywiłem pewne drobne podejrzenia. Ale ja jestem cynikiem. Mam robaczywą wyobraźnię. Miałem nadzieję, że się mylę. Zresztą nie widzę, co mógłbym doradzić, jeśli o to ci chodzi.

– Hm, w takim razie proszę cię o dyskrecję, dobrze?

– Ależ oczywiście – odparł grzecznie Ferenc.

– O absolutną dyskrecję.

Ledwie kiwnął głową.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział. – Zwłaszcza ze względu na Louise. Ją zawsze najbardziej lubiłem.

– Biedna droga, kochana Louisa.

Chyba po raz pierwszy uderzyło mnie moje własne określenie. Ale zdziwienie zaraz się ulotniło. Biedna droga, kochana Louisa.

– Ona jest prawdziwą damą – dodał Ferenc ze smutkiem.

– Tak.

Przez chwilę wahałem się, czy zdradzić mu przyczynę, a w każdym razie to, co uważałem za przyczynę całej tej afery, ale w końcu uznałem, że mogę. Byłem pewien jego nieposzlakowanej dyskrecji.

– Wydaje mi się, że Harry ma jedną słabostkę. Lubi robić to z dwiema dziewczynami naraz. A twoja mała przyjaciółka też gustuje w takim układzie. Nie przypuszczam, żeby wchodziła tu w grę miłość.

– Ach, ta moja kolorowa przyjaciółeczka – powiedział z cicha, zamyślony. Nigdy tak naprawdę nie wybaczył jej tamtego zgrzytu przy pierwszym spotkaniu, pomyślałem. – No cóż. Ja sam mam pewną skłonność w tym kierunku, wiesz. Zwłaszcza jeśli jedna z nich jest damą kolorową.

– Chcesz powiedzieć, że ty też? Opowiedz mi, jak to jest?

– Naprawdę trudno mi wyjaśnić – powiedział z odcieniem dumy. – Nie wiem. Nigdy nie próbowałem tego analizować. Nie lubię analizy. Nie jestem pisarzem. Jestem wydawcą. Ale umiem się wczuć.

– Co w takim razie mamy robić?

– Myślę, że najlepiej będzie nic nie robić. Zostawmy rzeczy ich naturalnemu biegowi. I trzymajmy kciuki na szczęście.

– Może niepotrzebnie w ogóle poruszałem ten temat?

– Nie, nic nie szkodzi. Jak ci powiedziałem, sam to podejrzewałem. Możesz polegać na mojej dyskrecji.

Wyjął z oka monokl i wytarł go zamasyżuje w chusteczkę pełnym emocji gestem.

– Po prostu przykro mi z tego powodu – dodał.

– Powtórz to jeszcze raz.

Przez chwilę Ferenc nie odpowiadał. Potem rzekł:

– Po prostu uwielbiam waszą amerykańską frazeologię.

– Bzdura. Posłuchaj, zastanawiałem się, czy nie zaproponować Harry’emu, że wywiozę Louise i McKennę do Brukseli. Mam zapasik benzyny. Nie podoba mi się kierunek, w którym sprawy zmierzają w Paryżu. Mam wrażenie, że lada chwila możemy tu mieć krwawą łaźnię. Czy czytałeś *The Fall of Paris* Alistaira Horne’a? Ja, na swoje nieszczęście, czytałem, niedawno zresztą. Ci cholerni paryżanie zabili wtedy w ciągu jednego tygodnia dwadzieścia pięć tysięcy współziomków.

– Znam tę książkę.

– Z Brukseli mogłaby polecieć do Londynu. Mają tam mnóstwo przyjaciół. Mogłaby zostać parę tygodni, aż zobaczymy, co się tu w końcu wydarzy.

– Kiedy ruszamy? – spytał Ferenc, z rozradowaniem zacierając ręce.

– Co?

– Cudowny pomysł. Wspaniały. Pytałem, kiedy ruszamy.

– Chcesz się z nami zabrać?

– Ależ oczywiście!

– I zostać za granicą?

– Nie, nie. Nie zostałbym. Przejechałbym się z twoją strzelbą, jak mawiają w westernach. I wrócił. Za nic w świecie nie chciałbym przegapić tego, co się będzie dalej działo.

– No cóż, muszę wpierw porozmawiać o tym z Harrym, wiesz. Na razie to tylko luźny pomysł. Ale szkoła jest teraz zamknięta...

– Po prostu daj mi znać, tylko tyle.

– A co do sprawy z Samanthą, byłoby to chyba najlepsze wyjście.

Ferenc zrobił zbolalą minę.

– Wezmę lepiej swoją szklanekę i przejdę się trochę po salonie – powiedział uprzejmie. Położył mi na ramieniu dużą, mięsistą dłoń. – Ale koniecznie daj mi znać.

I odszedł. Usłyszałem jeszcze, jak mruczy pod nosem:

– Hocki-klocki. Zawsze jakieś hocki-klocki. Zostałem sam przy barze, wcale nie mądrzejszy

niż na początku. Ale czułem pewną ulgę. Poza tym miałem pełne zaufanie do Ferenc. Nagle, bez żadnego widocznego powodu, bardzo go polubiłem.

Ja też wziąłem swoją szklankę i odszedłem od baru. Zauważyłem, że Ferenc, prócz uprzejmego „witam”, jak zwykle unikał Samantha. Nie, na tym facecie mogę polegać. Zrobi, co będzie mógł. Choć, jak zauważył, najlepiej zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi. Sam odeszła już od Louisy, rozmawiała teraz z Weintraubem. Po długim komentarzu telewizyjnym dotyczącym aktualnej sytuacji prawie wszyscy obecni dyskutowali z ożywieniem o znaczeniu postępowania de Gaulle’a.

Usiadłem koło Louisy na dużej kanapie. Od razu obróciła na mnie z uśmiechem swe dziwnie żarliwe, a przy tym osobliwie nieobecne oczy.

– Chciałabym zrobić coś dla tej dziewczynki, Jacku – powiedziała ku memu zdumieniu. – Ona potrzebuje pomocy.

Tak, pomyślałem sobie, potrzebuje pomocy jak wąż grzechotnik.

– Zapewne potrzebuje – powiedziałem. – Myślę, że to miła dziewczyna. Ale muszę wyznać, że nigdy jej do końca nie rozumiałem.

– To nic skomplikowanego. Ona po prostu nie miała matki, to wszystko. I matki jej trzeba.

– A ty myślisz, że mogłabyś spełnić tę rolę? Dobry Boże, pomyślałem sobie.

– Nie na stałe. Ale póki tu jest, przez ten krótki czas, może bym mogła.

Zupełnie nie byłem w stanie na to odpowiedzieć. Po prostu nic mi do głowy nie przychodziło.

– A Harry dzisiaj kręci, prawda? – spytałem.

– Tak. Wczoraj nie było go przez całą noc. I zapowiedział, że dziś też nieprędko wróci.

Przypadkiem wiedziałem, że wyszedł z Odeonu o drugiej w nocy, bo z nim byłem. Nietrudno zgadnąć, gdzie spędził resztę nocy.

– Nie wiedziałem, że Harry marzył skrycie o karierze reżyserskiej – powiedziałem mając nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt obcesowo.

– To nie tak. On to robi dla nich, dla studentów. I dla Rewolucji.

Przerwała na chwilę, zamyślona.

– Ale może teraz obudziły się w nim takie ambicje. Po tym całym bałaganie. Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu.

Znów uśmiechnęła się do mnie tymi swoimi oczyma.

– Harry jest naprawdę wielkim człowiekiem. Ale ty przecież wiesz, Jacku.

– Tak. Wiem.

Coraz trudniej mi było ciągnąć tę rozmowę.

– Jak myślisz – zmieniłem temat – co się stanie z de Gaulle’em?

– Myślę, że odejdzie – stwierdziła spokojnie Louisa. – Ustąpi. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł, w tej chwili, zrobić coś innego. I jestem z tego zadowolona. Jego izolacjonistyczna polityka ostatnich pięciu lat udowodniła, że stał się stary i ślepy. On jest jak ostryga. Pycha zamyka mu oczy na to, co się w świecie dzieje.

– Stary jest twardy. Może to przetrzymać.

Ja osobiście rokowałem „de Gaulle’owi lepszą przyszłość. Nie wierzyłem, żeby generał miał się poddać i ustąpić, w każdym razie nie przed referendum. Ale nie chciałem się sprzeczać z Louisą, która stała się ostatnio dość drażliwa na punkcie de Gaulle’a.

– Nie sądzę – powiedziała z uporem. – Tym razem już nie.

– Ale kto go zastąpi? Mitterrand? Wysunął siebie jako kandydata dla zjednoczonej lewicy.

– Nie ma dość władzy – odparła natychmiast. – To mu się nie uda.

– Mendes-France? – – *Non plus* – odparła natychmiast. – Ma jeszcze mniejsze szansę niż Mitterrand.

– To właśnie usiłuję powiedzieć! A zatem kto? Po prostu nie ma nikogo.

– Może to będzie Pompidou – powiedziała Louisa.

– Ależ to twór de Gaulle’a. Po co obalać de Gaulle’a, żeby głosować na Pompidou?

– Dziś jest tworem de Gaulle’a, zgoda. Ale mam wrażenie, że on jest bardziej elastyczny. Gdyby go wybrano, przypuszczam, że powoli i delikatnie wprowadziłby zmiany, które są niezbędne, jeśli chce się prowadzić bardziej elastyczną politykę, zgodną z duchem czasów. Z rewolucją technologiczną.

Znów skierowała na mnie rozmarzone oczy i żarliwy uśmiech.

– Podoba mi się ten nowy młody człowiek, Jean Lecanuet, tak zwany „centrysta”. Wydaje się, że chce on dopasować bieg rzeczy do tez Servan-Schreibera, z *Amerykańskiego wyzwania*. W ten sposób sprawy będą się musiały potoczyć, jeśli Francja ma być kiedyś nowoczesnym państwem.

– Ależ on nie ma cienia szansy, Louiso – zaprotestowałem. – I sama o tym wiesz.

– Nie. – Popatrzyła na mnie z naciskiem. – Zresztą może i nie ma. No cóż, poczekamy – zobaczymy.

Akurat podszedł do nas i przysiadł się Fred Singer, komentator telewizyjny, więc skorzystałem z pretekstu i odszedłem. Było mi to na rękę: nie musiałem jawnie rejterować.

Potem, kiedy już wszyscy wyszli, ja też poszedłem, nie zostałem na kolacji. Ferenc wybierał się na kolację do tej swojej pani malarki i najwyraźniej zamierzał spędzić noc u niej, a nie na „swojej” sofie w salonie Gallagherów, a ja nie mogłem się zdobyć na to, żeby zjeść kolację we dwójkę z Louisą.

Zauważyłem, że Weintraub wyszedł sam. Samantha nie śpieszyła się do wyjścia. Kiedy ostatni goście opuszczali salon, nadal leżała na podłodze i czytała komiks.

Ja też wyszedłem sam. Nie miałem ochoty z nikim gadać. Pozbawionymi ruchu ulicami poszedłem w stronę domu, planując, że wybiorę się do Dzielnicy Łacińskiej i w jakimś nieznanym cichym bistro zjem sam kolację. To mi powinno sprawić ulgę.

Nie byłem jeszcze pięciu minut w domu, nie zdążyłem wypić pierwszej whisky z wodą sodową, kiedy zadzwonił telefon. W jakiś sposób wiedziałem, kto dzwoni.

Allo, cheri – usłyszałem w słuchawce głos Martine. – *tu es la tout seul ce soir? J'ai envie de te voir si c'est possible. Je peux venir preparer le diner si tu veux. J'ai des nouvelles.*

– Dobrze czy źle?

– Dobrze. Barrrdzo, barrrdzo dobre. Ale nie chcę o tym mówić *sur* telefon. Będę *chez* ciebie za pół godziny. *Okay!*

– *Okay* – powtórzyłem i uśmiechnąłem się do siebie. Odłożyłem słuchawkę i podszedłem do okna, żeby popatrzeć na rzekę i puste nabrzeża. Jakież to Martine mogła mieć dobre wiadomości? Jakie dobre wiadomości mogą coś zmienić? W jaki sposób?

Kiedy nadeszła, miała ze sobą dwa plecione koszyki z wiktuałami na wyśmienitą kolację. Rozbierając się do bielizny przed przystąpieniem do gotowania, rozmawiała ze mną z sypialni.

– Wszystko skończone. Możesz się przestać martwić. Wszystko zacznie się kończyć w najbliższy piątek. Pojutrze. *Le General* nie ustępuje. Ogłosi to jutro. Rząd zbiera się o trzeciej. Wystąpienie radiowo-telewizyjne generała ma być o pół do piątej.

Kiedy wyszła z sypialni na korytarz, wyglądała wspaniale.

– Ale ważne, dużo ważniejsze: będzie benzyna. Mnóstwo benzyny. Na weekend Zielonych Świątek. Rząd zawarł umowę z towarzystwami paliwowymi i z dystrybutorami. Z transportem. Jutro nocą przywiozą paliwo do Paryża. W razie potrzeby cysterny będą prowadzić żołnierze. Nieograniczone dostawy benzyny na weekend Zielonych Świątek. Każdy będzie mógł wyjechać z miasta. Świetny chwyt, prawda? Radykalnie poprawi atmosferę. A na Zielone Świątki zapowiadają znakomitą pogodę. Ale to wszystko wielka tajemnica. Nie mów nic absolutnie nikomu.

Muszę przyznać, że ma naprawdę olśniewające ciało. Weszła do kuchni i zaczęła mówić trochę głośniej.

– Tak więc wszystko skończone. Po Zielonych Świątkach związki się zgodzą. Będą musiały. A wszystko z powodu benzyny. Będą pracować nad szczegółami dziś przez całą noc. Ale umowa już jest zawarta. Mój przyjaciel i opiekun będzie jak wściekły pracował przez całą noc w ministerstwie.

Zawsze w ten sposób określała swego kochanka bankiera. Posłała mi z kuchni słodki uśmiech.

– To dobre wiadomości, prawda? W ten sposób mogę zostać do rana.

Wciąż stałem w korytarzu. Nie lubiłem jej za bardzo przeszkadzać w kuchni, kiedy gotowała.

– A skąd ty to wszystko wiesz, Martine?

– Od mojego przyjaciela i opiekuna. A skąd by? Było wiele telefonów do Colombey.

Wszystko jest przygotowane.

– A dokąd udał się dziś *le General*, kiedy znikł na siedem godzin?

– Pojechał porozmawiać z wojskiem. Ze swoimi generałami. Rozmawiał z generałami Massu i Hublot w domu swego zięcia, generała Boisseau, w Miluzie.

– W Alzacji.

– *Oui*. Massu dowodzi dwiema dywizjami w Niemczech. Hublot dowodzi trzema dywizjami na terenie Francji. Obiecali poprzeć każdy legalnie utworzony rząd, a jego rząd oczywiście nadal jest legalny. W Niemczech postawiono w stan gotowości dwa pułki, żeby w razie potrzeby mogły wrócić do Francji. *Le General* będzie oczywiście musiał za to zapłacić. Wkrótce ogłosi amnestię i uwolni generała Salana oraz innych oficerów, którzy siedzą w więzieniu od czasu buntu generałów w Algierii. Ale to stosunkowo niska cena. Oni już przestali być niebezpieczni. Dobra wiadomość, prawda?

– Świetna. A jeszcze lepsza, jak się ma przyjaciółkę, która wie, co się dzieje na samej górze.

– *Ah, oui!* Amerykanie nazywają to „extra” – uśmiechnęła się Martine. Gotowanie szło w najlepsze. – Ale musisz pamiętać, że to sekret. Dostawy benzyny rozpoczną się najwcześniej jutro wieczorem. Będą trwały przez cały piątek, tak żeby dla wszystkich mieszkańców starczyło paliwa na weekend Zielonych Świątek. Oczywiście wyjazdy przeciągną się na poniedziałek, trzeciego czerwca. Nikt nie wróci do Paryża przed poniedziałkiem wieczór, a część nawet we wtorek rano. Rozpromieniła się.

– Oczekuje się, że to złamie kark przeciwnikom. I udowodni, że rząd jest nadal rządem i że ma sytuację pod kontrolą. Ale nic nikomu nie mów. Nawet twoim przyjaciołom Gallagherom. Do piątku.

– Nie martw się. Nie powiem. Ale dobrze wiedzieć. Już się zastanawiałem, czy nie powinienem wywieźć *madame* Gallagher i dziewczynki do Brukseli.

– Dwa dni temu może sama bym ci to radziła. Ale teraz nie ma potrzeby – stwierdziła krótko Martine.

Kupiła to, co Francuzi nazywają *petits poussins*, a co my nazywamy młodymi kurczętami, tylko mniejsze niż w Stanach, młode ptaszki, ledwie wyrosnięte. Upiekła je w piecyku z czarnym sosem z podrobów, potem jeszcze zapiekła z sosem w rynce i były przepyszne. Sam zjadłem dwie sztuki. I Martine też dwie. Uwielbiam kobiety, którym smakuje to, co same gotują. Lubię też kobiety obdarzone prawdziwym, zdrowym apetytem.

Kiedy zasiedliśmy do stołu, ona w luźnej sukni rozciętej do talii, pomyślałem sobie, że już nie muszę rozmawiać z Harrym o wywiezieniu Louisy i McKenny. Z jednej strony poczułem

ulgę. Ale z drugiej strony było mi żal, że nie muszę tego robić: no bo co teraz będzie ze sprawą Samantha? Niepokoił mnie też brak wiadomości od młodego Hilla.

– A więc będziesz mogła zostać na noc? Uśmiechnąłem się do Martine przez stół.

– Tak, *cheri* – odpowiedziała mi z uśmiechem. – Na calutką noc.

Rozdział dziewiętnasty

Cały następny dzień, aż do wieczora, chodziłem z wyjawionymi mi przez Martine rewelacjami jak z tykającą mi gdzieś w środku bombą zegarową. Raz po raz otwierałem usta, po to tylko, żeby je zamknąć i ponownie przemyśleć sprawę. Z tyloma osobami mógłbym podzielić się posiadanymi wiadomościami i ulżyć ich niepokojom.

Dotrzymałem jednak danego słowa.

Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak mi to przepowiedziała Martine.

O trzeciej po południu odbyło się posiedzenie gabinetu. O pół do piątej nadano w radio i w telewizji nagrane uprzednio, ostre przemówienie de Gaulle'a, który oznajmił, że nie ustępuje, tylko rozwiązuje Assemblée Nationale i rozpisuje nowe wybory, które, zgodnie z ordynacją, odbędą się za określoną liczbę tygodni.

Głównym tematem przemówienia był „udział” – obywateli w rządzie, a robotników w zarządzaniu przemysłem, głównym zaś tonem – „straszne niebezpieczeństwo” spisku komunistycznego, który ma na celu zniszczenie *la belle France*. Zwłaszcza w porównaniu ze słabym wystąpieniem w ubiegłym tygodniu, było to bardzo mocne przemówienie.

Nikt nie wierzył w te historie o komunistach, których zresztą nie wymienił imiennie, okazały się one jednak wygodnym i skutecznym atutem, danym w prezencie francuskiej burżuazji, która zawsze się lękała komunistów, a która nadal stanowiła najsilniejszą grupę wyborczą w kraju.

Dziwne w tym przemówieniu było jedno: że w telewizji nie dano obrazu, tylko nagrany głos generała przy pustym ekranie. Ktoś mi potem tłumaczył, że to dlatego, iż personel techniczny telewizji strajkował przeciwko uprawianej przez władze polityce cenzurowania rządowej telewizji, ale nie wiem czy to prawda.

Nocą, oczywiście, mogłem już mówić. Któż jednak lubi słuchać faceta, który opowiada po fakcie, że wiedział wcześniej, tylko nic nie mówił? Zresztą do końca wieczoru plan benzynowy wciąż jeszcze był sekretem, ponieważ dostawy paliwa rozpoczęły się między pół do dwunastej a dwunastą. Więc i tak nie mógłbym opowiedzieć całej historii. W końcu zmilczałem.

Tego popołudnia, w czwartek trzydziestego maja, odbyła się wielka, masowa manifestacja poparcia dla gaullistów na Place de la Concorde i na Champs-Elysees. Trwała ona przed, w trakcie i po zakończeniu wielkiej mowy generała, a prowadzili ją tacy ludzie, jak: Malraux, Debre, Roger Frey, Maurice Schumann i Francois Mamiac. Władze dołożyły wszelkich starań, żeby rzecz się powiodła. Podstawiono nawet wojskowe ciężarówki, które dowoziły uczestników

z okolic Paryża. Ponadto, po raz pierwszy od czasu ostatnich poważnych starć ulicznych, pozwolono niezależnym stacjom radia Luxemburg i Europę-1 wrócić na antenę i zrelacjonować to wydarzenie. Dziennikarze radiowi znaleźli się w niezręcznej sytuacji, dziękując władzom francuskim za zgodę na powrót na antenę, a zarazem wyrażając nadzieję, że w podobny sposób będą mogli w przyszłości obsługiwać demonstracje studenckie.

Skądinąd zresztą była to całkiem potężna demonstracja. Pola Elizejskie przekształciły się w jedno wielkie morze ludzi popierających de Gaulle'a, od Concorde po Arc de Triomphe. Ciekawe, że na ulicy, obok bandery trójkolorowej, widać było sporo flag amerykańskich. Jakby Amerykanie urządzili sobie święto na własną rękę. Ci z biur przy Polach Elizejskich powiewali z okien małymi proporczykami, a Francuzi odpowiadali im z ulicy okrzykami, wymachując większymi flagami. Niektóre źródła, zwłaszcza zbliżone do rządu, podawały, iż tłum był większy niż na studencko-robotniczym marszu przez Paryż trzynastego maja. Z pewnością był to tłum lepiej ubrany i głośniejszy. I na pewno bogatszy. Znacznie wyższy był też procent uczestników w starszym wieku.

Tak przynajmniej słyszałem przez radio. Sam nie poszedłem na manifestację, podobnie jak nie chodziłem na większe demonstracje studenckie.

Tego wieczoru o siódmej nie było nas u Gallagherów wielu. Harry był na mieście, kręcąc demonstrację progauilistowską dla potrzeb filmu studenckiego. Chłopak z UPI i komentator telewizyjny Fred Singer też relacjonowali tę manifestację. Amerykański biznesmen z wianuszkami dziewcząt z Lewego Brzegu albo demonstrował, albo ugrzązł w swoim biurze na Champs-Elysees. Była za to Samantha Everton. I Weintraub. I stary Ferenc. Była też jego pani malarka. Sprawiała wrażenie szaleńczo zakochanej w Ferencu. Wyglądało na to, że razem zgrzeszyli. Miałem taką nadzieję.

Kiedyśmy wychodzili, Samantha znów się ociągała.

Nie robiła tego ostentacyjnie, ale ja to zauważyłem. Na ulicy Weintraub zaproponował, żebyśmy razem zjedli kolację, gdzieś w Dzielnicy Łacińskiej. Odmówiłem mówiąc:

- Nie masz lepszych ofert niż kolacja ze mną? Uśmiechnął się niewyraźnie.
- Sam mi powiedziała, że bym się odpieprzył. Powiedziała, że jest zajęta. I że będzie zajęta.
- Ale przecież Harry kręci film? – Tak. Kręci.

Szliśmy kawalek razem.

Spojrzałem na zegarek. Była dziewiąta. Przeważało moje *ego*. W końcu, co taki Weintraub może zaszkodzić, jeśli się nawet dowie?

- Posłuchaj – powiedziałem – czy wiesz, że do rana w mieście będzie dość paliwa na cały weekend Zielonych Świątek?
- Co takiego? Nie wierzę.
- No, w każdym razie benzyny będzie w bród – stwierdziłem, nie chcąc przesadzać. – A do

piątku wieczór tyle, ile sobie można zamarzyć.

– Ależ to będzie koniec wszystkiego! – zawołał Weintraub dziwnym, przerażonym wręcz głosem.

– Tak, dokładnie. Koniec.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie mogę powiedzieć. To znaczy, nie mogę powiedzieć, skąd wiem. Ale uważam moje źródło za miarodajne.

– Ale to będzie koniec Rewolucji i koniec wszystkiego.

– Tak. Najprawdopodobniej.

– Jak oni to chcą u diabła zrobić?

– Niestety, nie wolno mi tego zdradzić.

– Ale czy nie powinniśmy o tym powiedzieć młodemu z Komitetu Filmowego?

– Tego też mi nie wolno. Wygadałem się w chwili słabości, przez próżność. A zresztą, i tak nic by na to nie mogli poradzić.

– Taak! – westchnął przeciągle. – Więc... więc on wygrał.

– Zawsze mówiłem, że tak będzie. Szczwany lis.

– Ten, co mu to wymyślił, zasługuje na medal – powiedział Weintraub.

– I zapewne medal dostanie.

– Czy przypuszczasz, że to, co piszą w gazetach, jakoby miał się spotkać z Massu i Hublotem w Miluzie, odpowiada prawdzie?

– Tak słyszałem.

– Więc to koniec.

– Koniec bardzo bliski, jak sobie wyobrażam.

– Ale jak tyś się tego wszystkiego, u licha, dowiedział? – spytał, autentycznie zaintrygowanym tonem.

– Niestety, nie mogę ujawnić. Zostawiłem go na rogu pod moim domem.

Ale nie byłem z siebie zadowolony. Cholerne *ego*. Zastanowiło mnie też to, co mi powiedział o Sam. Czyżby rezygnowała ze swej przyjaciółeczki i Weintrauba? Dla Harry'ego?... Czy też Louisa nawiązała z nią bliższy kontakt i przerabia ją na normalną dziewczynę? Louisa niewątpliwie próbowała matkować Sam. Zgadzało się to z tym, co mi powiedziała. Już po raz drugi (a może trzeci?) Samantha zostawała, kiedy inni wychodzili. A skoro tak, dobry Boże, jak Harry to zniesie?

Rozmyślałem o tym przy pierwszej, a potem drugiej whisky z wodą sodową, wyglądając z okien na opustoszałe nabrzeże Lewego Brzegu. Nie znalazłem odpowiedzi. Nawet zresztą nie oczekiwałem, że znajdę.

W każdym razie wyglądało na to, że de Gaulle wygrał. I że Louisa nie miała racji.

Biedna droga, kochana Louisa.

Harry pojawił się tej nocy w Odeonie.

Był ze swoimi głównymi aktorami i dwoma studentami z ekipy zdjęciowej, a także swoim kamerzystą ochotnikiem, profesjonalistą, który strajkował tak jak jego koledzy i który kręcił się po Odeonie w nadziei, że nakręci dla Harry'ego kilka krótkich ujęć z biur Komitetu Filmowego. Miły facet, ale politycznie niedokształcony, podobnie jak Harry, jak Hill, jak ja czy wielu innych z naszego kręgu.

Tylko de Gaulle był politycznie wykształcony.

W biurze komitetu panowała ponura atmosfera. Zdaje się, że podobnie było na Sorbonie. Starli się z profesjonalistą o długim doświadczeniu i zostali pokonani. I myślę, że wtedy, w czwartek trzydziestego maja wieczorem, wszyscy już to czuli.

Przy pierwszej sposobności wziąłem Harry'ego na stronę.

– Jak ty to wszystko widzisz, Harry? Uniósł brwi i zasznurował usta.

– Myślę, że on to wygrał. Jeśli nie będzie używał przemocy, jeśli okaże swoją cierpliwość, myślę, że za nim pójdą.

– Czy młodzi o tym wiedzą?

– Tak sędzę – powiedział Harry. – Cholera, czy nie czujesz zapachu klęski?

– Tak mi się zdawało.

– To szczwany stary lis – stwierdził Harry.

– Dokładnie tak. Szczwany lis. Nawiasem mówiąc, sam im to w sumie powiedział. Powiedział, żeby nie zaczynali z profesjonalistami, póki mają mleko pod wąsem i nie dysponują żadnym doświadczeniem.

– Stałeś się stronnikiem de Gaulle'a?

– Nie jestem niczym stronnikiem. Jestem obserwatorem. Wydaję „Review”. Wiesz o benzynie.

– Co? Nie.

Spojrzałem na zegarek.

– Właśnie w tej chwili dziesiątki cystern napełniają zbiorniki paliw we wszystkich stacjach benzynowych Paryża. Jutro w południe będzie więcej benzyny, niż wynosi zwykłe zapotrzebowanie na weekend Zielonych Świątek. Jutro do wieczora podaż paliw stanie się nieograniczona.

Harry łypnął okiem, nagle wyraźnie poruszony.

– Do licha! To już naprawdę koniec. Milczał przez chwilę.

– Mój Boże, muszę to nakręcić.

– Jak to wpłynie na twój film? Popatrzyl na mnie uważnie.

– Wcale nie wpłynie. Najwyżej będziemy się musieli trochę pośpieszyć. Kiedy

powiedziałem, że to naprawdę koniec, nie myślałem o tym, że nie będzie już więcej rozruchów. Wystarczy, jeśli wszystko sfilmujemy, i cześć. Ach, skoro o tym mowa. W sobotę zabieram wszystkie filmy, które te młodziki nakręcili, do studia w Boulogne. Ludzie, którzy tam strajkują, należą wszyscy do mojego związku albo do jego agend. Umawiam się ze strajkującymi technikami, żeby wywołali dla mnie te negatywy. Chciałbyś też pojechać?

– O kurczę, jasne. Czemu nie?

– Jutro będę się dokładnie umawiał. Zadzwoń do ciebie i powiem ci, na którą godzinę. To może być bardzo wczesna pora.

– Nie szkodzi. Codziennie się wysypiam. Uśmiechnął się.

W tym momencie pojawił się Weintraub; podszedł prosto do nas.

– Cześć, Dave – powiedział Harry świdrując przybysza wzrokiem. – Co ty tu robisz?

– O co ci chodzi? Ja w tym wszystkim byłem pierwszy.

– To prawda. Ale, ale... na twoim miejscu kułbym żelazo póki gorące. Jak ci mówiłem, jutro pewnie skończę kręcenie.

Było to jawne kłamstwo, ponieważ przed chwilą powiedział mi, że chce kręcić wszystkie rozruchy, do jakich jeszcze dojdzie. Ale nie odezwałem się słowem.

Weintraub zwlekał z odpowiedzią. Obdarzył mnie wprawdzie ostrzegawczym spojrzeniem, którego wymowy nie zrozumiałem.

– No cóż – powiedział w końcu z uśmiechem – jestem po prostu zmęczony, jeśli chcesz wiedzieć. Nie mogę już działać po staremu. Jestem kompletnie wykończony.

Harry zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

– Ja to dobrze rozumiem. Też mi już czasem łydki drżą.

Uśmiech Weintrauba był odważny, w życiu takiego odważnego uśmiechu nie widziałem.

– Wszyscy się starzejemy – powiedział.

Wkrótce potem wyszedłem. Przy stacjach benzynowych, które mijałem po drodze do domu, nie było dużo samochodów, ale przy każdej stała co najmniej jedna cysterna, a gdzie indziej druga czekała już obok na swoją kolej.

Rozdział dwudziesty

Wśród pożądaných zmian, jakie generał de Gaulle zapowiedział narodowi w swym niezwykle ostrym czwartkowym wystąpieniu, znalazła się „aktywność obywatelska”, która miała natychmiast i wszędzie dojść do głosu w sposób zorganizowany. Dodał też, że aby to osiągnąć, miejscowi *prefets* powinni w gruncie rzeczy powrócić do sprawowania „funkcji komisarzy Republiki”.

Nie znam genezy owego pojęcia, ale tegoż określenia użył de Gaulle po drugiej wojnie światowej, kiedy powrócił do Francji i kiedy cały kraj, łącznie z organizacjami Ruchu Oporu stał w obliczu samowoli, linczów i utarczek personalnych. Wspierając lokalne, praworzędnie wybrane agendy ochrony prawa, generał zapobiegł wojnie domowej, a za jednym zamachem także przewrotowi komunistycznemu, który wtedy stanowił rzeczywiście poważne zagrożenie.

Teraz uciekał się do podobnych środków. To dlatego lewicowy przywódca, pan Mitterrand, nazwał jego przemówienie „wezwaniami do wojny domowej”.

Cóż, pan Mitterrand bardzo się pomylił.

W piątek rano, kiedy masowe dostawy paliw jeszcze trwały, prawie cały Paryż ruszył szczęśliwy na przedłużony weekend na wieś. Dzień był piękny, słoneczny, tak jakby nawet w pogodzie znalazł de Gaulle wiernego i oddanego sprzymierzeńca. Tłumy ludzi zapełniły autostrady i szosy uruchomionymi po długiej przerwie samochodami. Exodus był prawie tak wielki, jak podczas dorocznego wyjazdu na wakacje w sierpniu. Ponieważ praktycznie i tak prawie nikt tego dnia nie pracował, nie czekano późnych godzin popołudniowych i już koło pierwszej Paryż opustoszał, zupełnie jak w środku lata. Mało kto został w mieście, prócz studentów okupujących Dzielnicę Łacińską, działaczy robotniczych okupujących fabryki – i polityków, gorączkowo zajętych strategicznymi posiedzeniami, na których ustalano, kogo wysunąć na kandydatów na określone stanowiska w Zgromadzeniu Narodowym podczas wyborów wyznaczonych na dwudziestego trzeciego czerwca.

Wyglądało na to, że duże związki, łącznie z komunistycznymi, nie pragną bezpośredniej konfrontacji politycznej z de Gaulle'em. Wszystkie bez wyjątku wydały oświadczenia, w których cofały żądania polityczne sprzed dwóch dni i ochoczo ograniczały się do żądań czysto ekonomicznych. Sprawiały wrażenie dzieci, zadowolonych i bezpiecznych na myśl o tym, że ciężka, ojcowiska ręka generała nadal będzie nimi rządzić.

Skończyło się na wielkim krzyku, jak powiedziałyby mój dziadek.

Mówiono, że powstał ruch „Powrót do Pracy”, choć nikt dokładnie nie wiedział, kto by go miał założyć. Być może sam rząd rozpowszechniał takie plotki. Tak przynajmniej sądziliśmy my,

cynicy.

Premier Pompidou zapowiedział przetasowanie gabinetu, którego członkowie i tak już nieraz zamieniali się stołkami, niczym w komórkach do wynajęcia. Kilku starszych zwolniono i zastąpiono ich bez wyjątku ludźmi, których powołanie stanowiło gest dobrej woli wobec lewicy, chcąc sobie tym sposobem zjednać poparcie lewicowców w wyborach. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko wskazywało na to, że stary szczywany lis de Gaulle jeszcze raz wygrał.

W piątek na poddaszu okupowanej Sorbony wybuchł pożar, który spalił dużą część dachu od strony rue des Coles, zanim stłumili go strażacy. Ten incydent wzmógł wśród ludności Paryża poczucie, że studenci przebrali miarę. Sam słyszałem, jak ktoś mówił na ulicy:

– Wydaje im się, że potrafią zastąpić rząd, a sami sobie nie umieją tyłka podetrzeć.

Było to, jak się zdaje, dość powszechne mniemanie.

W sumie weekend był spokojny, pierwszy bez ekscesów od jakiegoś czasu. Policja złamała kilka strajków okupacyjnych, głównie w należących do państwa urzędach pocztowych, przy czym wszystkich strajkujących w środku pozostawiono w spokoju. Wszędzie dawała się odczuć ogólna zmiana nastrojów.

Wciąż nie było wieści od Hilla Gallaghera.

Wszystkie te zmiany i przegrupowania dokonywały się z hukiem podczas rewolucji majowej, w dziejach rodziny Gallagherów zaś zapanował marazm. Harry każdego dnia do późna kręcił, a potem rankiem odsypiał zarwane noce. Sam spokojnie spędzała wieczory z Louisą. Hilla nie było. Wątpię, żeby Harry często bywał w hoteliku na rue St.-Louis-en-File. Miałem więc cichą nadzieję, że Samantha w porę wyjedzie albo da się wywieźć z Paryża, co pozwoliłoby uniknąć wybuchu bomby atomowej. Skądinąd nic też więcej nie zaszło pomiędzy Harrym a Hillem.

Żywiąc tę nadzieję, a także z myślą, że zastanę Sam, jeśli przyjdę przed pierwszą, zebrałem się w piątek rano i poszedłem ją odwiedzić do hoteliku na rue-St.-Louis-en-File. Miałem z nią do pogadania.

Znałem hotelarza dobre dziesięć lat. Harry Gallagher także. Zatrzymywali się tu moi znajomi z Ameryki. Znajomi Harry'ego także. Tanio, czysto i całkiem przyzwoicie, choć trochę staroświecko; ale to tylko przydawało temu miejscu uroku. Innymi słowy nie byłem kimś obcym dla kierownika hotelu, nie będącego zresztą właścicielem. Hotel należał bowiem do jego ciotecznej babki, której nie dane mi było nigdy widzieć (nie mieszkała na wyspie), a która pozwalała mu w nim mieszkać i prowadzić interes. Zapewniała mu wikt i opierunek i bodajże jakąś skromną pensyjkę. Plotka sąsiedzka głosiła, że jeśli nie będzie się szarogesił i nie doprowadzi ciotki do furii, ma wielkie szansę odziedziczyć hotelik, skoro żaden inny krewny nie pozostał przy życiu – zakładając, oczywiście, że starsza pani go nie przeżyje. A wyglądało na to, że miałyby ochotę. Biedaczek lubił, delikatnie mówiąc, zaglądać do kieliszka, niewątpliwie sfrustrowany całą tą sytuacją.

A kiedy patrząc mu prosto w oczy, spytałem o Samanthę Everton, obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, jakie rzadko widywałem w oczach ludzi od czasów szkolnych figli.

– *Ah, oui! Ah, oui, M'sieu 'Artley. Bonjour, M'sieu 'Artley! La petite, uh, Americaine! Allez! Montez! Allez monter.*

Słowem, kazał mi iść prosto na górę.

– To nasza dawna przyjaciółka – wyjaśniłem po francusku.

– Rozumiem! Rozumiem! *M'sieu* Gallagher był tu niedawno, wczoraj wieczorem. A jego syn przedwczoraj.

Czy w jego oczach skrzył się chochlik? Czy tylko ja go tam widziałem, z powodu tkwiącego we mnie poczucia winy? Muszę prędko dodać, że winy w imieniu Harry'ego.

– *C'est la chambre cinquante-trois. Au cinguieme etage.* Piąte piętro było ostatnie, pod pochyłym strychem mieściło się tylko troje drzwi. Pięćdziesiąt trzy to te trzecie, po lewej. Podeszedłszy do wycieraczki zatrzymałem się dla nabrania tchu, nim zapukałem. Gdy tylko rozległo się stukanie, głos, który należał do Sam, odpowiedział natychmiast:

– Proszę.

Więc otworzyłem drzwi.

Leżała na łóżku na wznak – całkowicie, absolutnie i zupełnie naga, z rękoma wzdłuż ciała, dłońmi do dołu, a stopami razem jak u skoczka z trampoliny; głowę miała skierowaną w moim kierunku, ku drzwiom. Uśmiechnęła się olśniewająco białymi na tle ciemnej skóry i półmroku niewielkiego pokoju zębami.

– No proszę, witam, panie Hartley – powiedziała. Nie drgnął jej ani jeden mięsień. Z całą pewnością nawet nie próbowała się przykryć. Zauważyłem, że łóżko jest krótsze niż zwykłe łóżko hotelowe i całkowicie zaścielone, łącznie z narzutą.

Byłem tak zaskoczony, że kompletnie umknęło mi z głowy to, co jej zamierzałem powiedzieć, jak lawina umyka spod stóp. Pamiętam, że pośpiesznie zamknąłem za sobą drzwi.

Niezdarnie certoliłem się z parasolem, szukając miejsca, gdzie mógłbym go postawić, a wszystko po to, by zyskać na czasie.

– Przykro mi, ale nie mam stojaka na parasole – powiedziała spokojnie Sam. – Proszę postawić go gdziekolwiek. I siadać. Usiądź. Cóż to sprowadza tu pana Hartleya?

Nie usiadłem, ale już po chwili żałowałem tego. Czuję się znacznie swobodniej. Stojąc, próbowałem nadrabiać bezczelnością: obejrzałem sobie tę huryskę od stóp do głów, powoli i dokładnie.

Miała piersi średniej wielkości, z wyraźnymi, ale niezbyt sterczącymi brodawkami, i nawet w pozycji leżącej te dziewiętnastoletnie piersi były tak młode i jędrne, że ani trochę nie opadały w stronę pach. Pępek stanowił zacienione wgłębienie w płasko-wklęsłym brzuchu, który autentycznie jakby się zsuwał poniżej poziomu bioder, gdy leżała na plecach. Zacerpnęła parę

razy powietrza, po czym klatka piersiowa opadała i unosiła się, a wklęsłość brzucha nie ulegała najmniejszej zmianie. Ach, ta młodość! Młodość! Nikt nie wie, ile jest warta, póki jej nie utraci; a przynajmniej nie wiedzą tego ludzie z kręgu, w którym się obracam. Ale najbardziej niezwykle było jej krocze, a zwłaszcza owłosienie. Bardzo gęste, krzaczaste, tak czarne, że prawie granatowe, niebieskogramatowym odcieniem czarnego nieba. Trójkąt włosów tak gęsty i tak głęboki, że człowiek miał wrażenie, iż nigdy nie przebije się przez tę dżunglę. Najdziwniejsze zaś było to, że jej włosy łonowe wcale się nie kręciły. Były za to jak kolce. Komuś nieostrożnemu mogły chyba wykluć oczy. Nigdy przedtem nie widziałem kobiety, której by się włosy na łonie nie kręciły!

– Na kogo czekasz? – spytałem swobodnie.

– Na nikogo – odparła jakby rozmarzonym czy omdlałym głosem. – Harry pracuje. Albo odsypia w domu.

– A zatem Hill?

– Nie widziałam Hilla od czasu wycieczki do Cannes – stwierdziła z uśmiechem.

– Był tutaj przedwczoraj wieczór.

– A, tak. Ale ja się z nim nie widziałam. Harry był wtedy u mnie. Hill nie wszedł. Podobijał się do drzwi, a potem sobie poszedł.

– O rany!

Nie umiałem powstrzymać okrzyku. Choć wiedziałem, że tracę w ten sposób z trudem zdobyte opanowanie.

– Czy chciałby mnie pan przelecieć, panie Hartley? *Tym* razem w jej głosie wyraźnie brzmiało rozmarzenie, w dodatku nagle obróciła dłonie wnętrzem ku górze.

– Nie, dziękuję. Przyszedłem tylko porozmawiać.

– Może chciałby się pan na mnie w takim razie spuścić?

– Nie.

– Czy mam pana poonanzować?

– Och, nie. Ale dziękuję za propozycję.

– Jest pan niezłomny jak posąg, panie Hartley – uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Chyba nie rozumiesz, Samantha, że mam inne sprawy na głowie.

Czułem, że udało mi się zachować swobodny ton. Przyjrzała mi się badawczo.

– Więc może chcesz popatrzeć, jak ja się onanizuję?

– Ja... hmm... – zmieszalem się. – Nie, stanowczo nie. Byłbym nieuczciwy twierdząc, że mnie wcale nie podnieciła.

– Każdy ma swoje upodobania – powiedziała jeszcze bardziej rozmarzonym głosem. Potem nagle jej ton zmienił się, zaostrzył. Stał się rozkazujący:

– Siadaj! Usiądź na tamtym krześle! Ale to już! Mama wymierzy ci karę! Siadaj,

powiedziałam!

Przez chwilę o mało się nie poddałem. Usiadłem.

– Mama wymierzy ci karę – powtórzyła Samantha Everton. Potem głos jej znów złagodniał:
– Mama będzie się teraz onanizowała, a ty masz tam siedzieć i patrzeć, to będzie twoja kara. Nie wolno ci robić nic innego. Nie waż się dotknąć. Możesz tylko patrzeć.

Rozwarła ociężale nogi i puściła w ruch wskazujący i środkowy palec. Głowę miała obróconą w bok, oczy zamknięte. Pojękiwała pod nosem. Nigdy jeszcze nie byłem z Murzynką, z kobietą kolorową. Jej ciało w środku nie było różowe, tylko ciemnobrązowe. Poważnie zaczynałem się obawiać, że stracę kontrolę nad sobą. A potem, nagle, jak mi się wydało, choć być może upłynęło sporo czasu, krzyknęła.

Krzyk nie był głośny, i bardzo niski w tonie. Z pewnością nie sopran. Raczej krzyk kontraltem, że się tak wyrażę. Po czym z powrotem zacisnęła nogi w pozycji nurka skaczącego z trampoliny i spojrzała na mnie. Opuszkami palców musnęła sutki.

– Czy teraz chciałbyś mnie przelecieć, chłopczyku?

– Ogromnie – odparłem siląc się na swobodny ton. Ale głos mi drżał i ona to słyszała, tak samo jak ja. – Bardzo bym chciał, klnę się na wszystko. Ale ja naprawdę przyszedłem tu po to, żeby porozmawiać.

– Rzeczywiście masz nerwy. Harry po czymś takim jest ugotowany. No dobrze, rozmawiamy.

– Czy mógłbym zdjąć płaszcz? Zrobiło mi się ciepło.

– Wcale mnie to nie dziwi. Dobrze, zdejmij. A potem mów. Ja czuję się świetnie.

Często przychodzi mi na myśl, że obłuda jest w gruncie rzeczy zastrzeżona dla ludzi młodych. Założyłbym się, że to tylko kwestia czysto fizycznej odporności. My, ludzie starsi, po prostu nie mamy dość energii, żeby prowadzić życie naprawdę dwulicowe. Trzeba na to młodości i jej cudownej, niewiarygodnej, bezgranicznej witalności. Dlatego właśnie my, starsi, dziwaczujemy i zaczynamy ludziom mówić prawdę. Jesteśmy po prostu zanadto zmęczeni, zanadto wyczerpani, żeby móc sobie pozwolić na brak szczerości.

Ale młodym i pełnym życia trudno to pojąć. Trzeba czasu, trzeba fizycznego procesu starzenia się, żeby poczuć, jak to jest. Trzeba po prostu mijających lat. A tego właśnie nie czuje ktoś, kto jest młody, choćby się nie wiem jak starał.

Dlatego nie mogłem z tej dziewczyny, mimo usilnych starań, wydobyć jednego szczerego zdania.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę z krzywdy, jaką wyrządzasz rodzinie Gallagherów?

– Nie – odparła, i to było pierwsze kłamstwo. – A jeśli nawet, gwizdałabym na to.

– Nie wierzę ci. Wierzę, że zdajesz sobie sprawę i że wcale na to nie gwizdziesz. Wcale a

wcale. Myślę, że dokładnie wiesz, co robisz, i że robisz to rozmyślnie, z jakichś sobie tylko wiadomych względów, których nie pojmuję.

Uśmiechnęła się – jasny błysk w słodkiej czerni twarzy.

– Jeśli jakiś facet chce się ze mną pieprzyć, czy to moja wina? Jeśli jakiś facet lubi chodzić do łóżka ze mną i z moją przyjaciółką Francuzką, czy to moja wina?

– Być może. A w twoim wypadku, nawet na pewno. Flirtujesz. Kto proponował, że pójdzie do łóżka we trójkę z Harrym i z Louisą? Właśnie ty. To ty mu podsunęłaś tę myśl, o nim, o tobie i o drugiej dziewczynie.

– Nie zgadzam się – powiedziała po prostu. – Ta myśl już w nim była.

– Może. Zresztą, akurat w tym wypadku to prawda. Ta myśl rzeczywiście w nim tkwiła. Ale gdzieś głęboko. Pod kontrolą. A ty rozmyślnie ją pobudziłaś i wydobyłaś na wierzch. Rozmyślnie.

Znów się uśmiechnęła. Miała cudowne kolczaste czarne krocze. Powiedziała:

– Nie można komuś wmówić uczuć, do których wcale nie ma skłonności.

– Nie. Pewnie nie można. Ale można komuś pomóc nad nimi panować. Tym właśnie jest cywilizacja. Panowaniem. Panowaniem nad sobą, w ostatecznym rachunku. Do tego się w końcu prowadzi poważniejsza edukacja. Edukacja to nie tylko zdobywanie wiedzy, to nauka o panowaniu. W *ty* tkwi istota cywilizacji.

– Pieprzę cywilizację. W dupie mam cywilizację.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś jej nie miała wokół siebie, gdyby cię nie chroniła.

– Może bym i nie mówiła. Zresztą nie, mówiłabym i tak. Nie dbam o to, jak długo będę żyła. Albo o to, czy prędko umrę.

– Dlaczego? – wyrzuciłem z siebie natychmiast, gwałtownie.

Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, sam sobie przerwałem, ciągnąc:

– Posłuchaj. Znam tę rodzinę od dawna. Śledzę ich losy, że tak powiem, od ponad dziesięciu lat. Jestem jakby ojcem chrzestnym Hilla. A rzeczywiście jestem nim dla McKenny. Zabierałem ich na ryby, do jasnej cholery!

– Na ryby! – kpiła Samantha.

– Wszystko jedno. Zmierzam do tego, że, tak jak ja to widzę, udało ci się zniszczyć tego chłopca. A teraz zaczynasz robić to samo z ojcem. Oni nawet ze sobą nie rozmawiają, przez ciebie. I Bóg jeden wie, gdzie się Hill podziewa.

– To nie ja go zniszczyłam – powiedziała dobitnie. Nie poruszyła rękoma od chwili kiedy miała orgazm. – To życie. Jeśli on nie umie sobie poradzić z życiem, które nadchodzi zza węgła i mami go fałszywymi obietnicami, to nie moja wina.

– Skąd ty znasz takie słowa?

– Mamić, węgiel – powtórzyła z uśmiechem. – Och, czytało się to i owo, panie Hartley.

Mama wysyłała mnie do całkiem sztywnych szkół. Czytałam nawet parę numerów pańskiego pisma. Marnota. Ale czekam na odpowiedź.

– Myślę, że masz rację. Trochę racji. Pewną część racji. Ale cały proces, sam cel cywilizacji polega na tym, żeby pomagać sobie nawzajem, uczynić życie mniej okrutnym. A nie jeszcze okrutniejszym.

– Gówno z sieczką, panie Hartley. Oto, czym jesteś wypchany.

Rzeczywiście, sam się tak czułem. Czułem, że ona ma całkowitą rację. Całą głębię diabli wzięli od tego drętowego gadania. Nie spodziewałem się, że sprawy przybiorą taki obrót. Ale jej jakoś udało się doprowadzić mnie w ten sposób.

– Może masz rację. To znaczy, myślę, że masz rację. Ale posłuchaj, proszę tylko o jedno, po to tylko tutaj przyszedłem: chciałem cię prosić, żebyś wyjechała, żebyś zaraz opuściła Paryż. Masz pieniądze na podróż do Izraela. Od Harry'ego. Mogę cię umieścić w samolocie, jeśli sama będziesz miała trudności, ale jestem pewien, że dasz sobie radę. Tylko wyjedź. To wszystko. Zanim Louisa Gallagher dowie się o Harrym i o tobie. Zgoda?

– Odpowiedź brzmi: nie, panie Hartley. Nie, i jeszcze raz nie.

– A gdybym cię zabił? – powiedziałem. Sam nie mogłem uwierzyć, że to moje słowa. Ale byłem wściekły. – Mógłbym, wiesz. Bez trudu. W tej chwili.

– Proszę bardzo – odparła i uśmiechnęła się. – Ale to żadne rozwiązanie. I ty o tym wiesz. Powiedziałam ci zresztą, że nie dbam o to, czy żyję, nie dbam, jak prędko umrę.

Spuściłem głowę.

– A ja nie mam morderczych instynktów – powiedziałem.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Wiem. I nie umiesz rozwiązywać problemów. Tylko unosisz się na powierzchni.

– No cóż. Czy mogę liczyć chociaż na to, że przemyślisz sprawę?

– Ja ci coś powiem – rzekła Samantha i znów się do mnie uśmiechnęła.

Trudno opisać niezwykłą urodę, wręcz piękno białego błysku jej zębów na tle czarnej twarzy, w pogrążającym się w mroku pokoju.

– Coś panu powiem, panie Hartley. Wam wszystkim, białe skurwysyny, zależy tylko na mojej małej czarnej cipce. Myślicie, że nie wiem? Chcecie ją pieprzyć, chcecie ją pieścić, ssać, wtykać w nią nosy. A potem idziecie sobie do domu i udajecie, że nic się nie stało, że nawet o czymś takim nie myśleliście.

Przerwała, a czas płynął jakby specjalnie dla niej, w oczekiwaniu na wszystko, co powinna mieć jeszcze do powiedzenia.

– Mnie też za takiego uważasz? Po tym, co zaszło dziś w tym pokoju?

– Tak. Ty też tego chcesz. Tylko jesteś tchórzem. Pomyliłam się. Nie jesteś pedałem. Jesteś po prostu tchórzem.

Wstałem. Mój trencz leżał w kącie pokoju. Podniosłem go, wziąłem parasol.

– Cóż. Przypuszczam, że spotkamy się wieczorem u Gallagherów.

– Być może – odparła Sam. Jeszcze raz obróciła dłonie wewnętrzną stroną do góry, w geście ofiarnym. – Czy chciałby mnie pan przelecieć, panie Hartley? Albo polizać moją cipkę? Albo żebym ja cię possała? Albo obciągnęła ręką?

Byłem w kropce. Chciałem. Tego i tamtego. Wszystkiego.

– Może kiedy indziej – powiedziałem siląc się na swobodny ton. Ale ona wiedziała. Byłem pewien, że wie.

– Do zobaczenia – rzuciłem jej na odchodnym. Hotelarz pożegnał mnie przykładając dłoń do daszka.

Taki niby salut. Na pewno sądził, że poszedłem na górę, żeby się przespać z tą *la petite, uh, Americaine*,

Rozdział dwudziesty pierwszy .

Ostre, rozbuchane lata i ostre, rozbuchane zimy w Nowym Jorku czy w Ohio sprawiają, że pochmurna Francja napawa Amerykanów melancholią. Wszystkie powieści z okresu wojny światowej toną w strugach deszczu. Co najmniej dwóm pokoleniom Amerykanów francuska pogoda służy za źródło inspiracji twórczej. Zwłaszcza w północnej Francji. Z każdym kilometrem na północny wschód od Paryża Francuzi coraz bardziej przypominają Niemców: owładnięci melancholią, o skłonnościach alkoholicznych, a zatem bardzo wojowniczo usposobieni; wielcy amatorzy wieprzowych kiełbasek jako remedium na długą, ponurą, mroźną zimę, pożeracze wszystkiego co tłuste, obżartuchy i tyle. Pamiętam, jak pewnej nocy wyszedłem odrętwiały z berlińskiego nocnego lokalu o pół do drugiej i stwierdziłem, że świta. Można było zwariować z rozpacy. A Nowy Jork jest mniej więcej na tej szerokości geograficznej co Madryt, stolica Hiszpanii.

Prawdę powiedziawszy, Europejczycy nie znali centralnego ogrzewania, póki my, Amerykanie ich tego nie nauczyliśmy. Dlatego w Szkocji robią takie wspaniałe swetry. Ale jeśli ktoś mieszka w Europie dostatecznie długo, pewnego dnia odkrywa, że te szare, pochmurne dni nie są w stanie stłumić na dłuższą metę naszego odwiecznego i aż nazbyt przebojowego amerykańskiego optymizmu. Szara, dżdżysta pokrywa chmur staje się naturalnym, a nawet dostarczającym przyjemności elementem życia.

Tak czy siak, słoneczny dzień na północ od doliny Loary jest zawsze miłą niespodzianką.

Sobota bardzo chciała być pochmurna, ale nie udało się jej. Mówię o sobocie pierwszego czerwca. Zupełnie jakby stary czarownik de Gaulle upichcił zaczarowany wywar z ziół, żeby wszystko poszło po jego myśli. Rano było jeszcze trochę chmur, ale już o dziewiątej słońce stało na niebie w całej krasie, przyczyniając się osobiście do sukcesu generalskiego weekendu Zielonych Świątek. I nie padało.

W sobotę Harry zabrał mnie ze sobą udając się do studia w Boulogne, żeby wywołać filmy studenckie i swoje własne. Chciał przyjrzeć się swoim ujęciom, a zarazem zorientować się trochę w tym, co nakręcili młodzi.

Zapowiedział, że wyruszymy bardzo wcześnie. I rzeczywiście. W piątek wieczorem umówił się ze mną o pół do ósmej pod jego domem. Kiedy zjawiłem się tam półtorej minuty po czasie, przemierzał nerwowo tam i sam chodnik koło swojego samochodu, a papieros wisiał mu u warg. We wczesnoporannym świetle, które przychodzi ze wschodu, a zatem rzuca cienie ukosem na zachód – rzecz, do której moje oko zupełnie nie jest przyzwyczajone (ogląda zazwyczaj cienie popołudniowe, które padają w przeciwnym kierunku, ukosem na wschód), zauważyłem, że Harry ma bardzo okrutne usta. Przypominały mi wargi arabskiego baszy z wiktoriańskich rysunków: grube, zmysłowe, wywinięte w poczuciu niepohamowanej władzy. Harry byłby zachwycony,

gdybym podzielił się z nim spostrzeżeniem (ale nie zrobiłem tego). Mnie jednak wcale się ta okrutna lubieżność nie podobała. Może sukinsyn rzeczywiście powinien wyjechać do Izraela albo gdzie pieprz rośnie. Po drodze rozmawialiśmy niewiele. Jazda była długa, przez Bois i jeszcze dalej. Harry palił papierosa i patrzył znad kierownicy zmrużonymi oczyma. Na sobotę zaplanowano wielki marsz studencki, ale jego nie będzie w Paryżu. Za to dwie ekipy studenckie mają filmować marsz dla jego filmu. Martwił się, jak im pójdzie.

– Naprawdę niepokoi mnie ich sposób filmowania – powiedział. – Są okropnie niestaranni. Uważają, że jeśli będą mieli jakieś zdjęcia, wszystko jedno jakie, to wystarczy. Dlatego właśnie chcę obejrzeć w przyspieszonym tempie ich materiał.

W wytwórni w Boulogne panowała jakaś osobliwa atmosfera. Bywałem tam wcześniej, kiedy Harry pracował nad jakimś filmem: zawsze pełno ludzi, podniecenia i krzyku. A teraz zionęła pustką. Tylko dyżurni okupowali zakład. Zatrzymano nas przy bramie i zażądano niepodważalnych dowodów tożsamości. Potem wędrowaliśmy przez próżne hale i korytarze, przez studia dźwiękowe, których wysokie sufity pobrzmiwały echem naszych kroków w nieprzyjemnej ciszy. W laboratorium przyjęło nas trzech techników ze związku Harry’ego, którzy mieli nam pomóc. Harry wręczył im szpule.

– Teraz pozostaje nam jedynie czekać – powiedział do mnie. – Zejdzie im pewnie do drugiej, nim filmy zostaną wywołane i można je będzie obejrzeć. O czwartej ma być mityng studencki, na którym powinienem coś z tego materiału pokazać. Oni zaraz zabiorą się do pracy, mimo pory lunchu. Ale my możemy się wybrać na długi spacer, a potem wychylić parę szklaneczek i wreszcie coś przekąsić.

Tak też zrobiliśmy. Powrót – kwadrans po drugiej. Kiedy przez te same puste korytarze i studia dźwiękowe dotarliśmy do miejsca, gdzie pracowali ludzie Harry’ego, jeden z techników spojrzał nań i pokiwał głową.

– No i jak, Jerry? – spytał z miejsca Harry. – Kiepsko?

– Rzadkie gównno – odpowiedział tamten. Był Amerykaninem.

– Już coś puszczałeś?

– Nie musiałem puszczać. Przejrzałem same taśmy. To mi wystarczyło.

– Gównno – powtórzył Harry. – Tego się obawiałem. Potem dodał z uśmiechem:

– No cóż, sami się przyjrzymy.

– Wejdźcie do środka – powiedział technik wskazując drzwi sali projekcyjnej. – Film już jest suchy. Sam wam puszczę. Przykro mi, że tak wyszło. Lubię młodych.

– Ja też. Jak myślisz, dlaczego to robię? Ale to, że się ich lubi i dobrze im życzy, nie jest usprawiedliwieniem ani nie chroni przed amatorszczyzną.

– Masz absolutną rację. No dobrze, wchodźcie. Kiedy usiedliśmy w sali projekcyjnej, Harry zapalił cygaro; światła zgasły, a ekran rozbłysł światłem.

Tak, to było straszne. Gorsze, niż to zapowiadał technik imieniem Jerry. Większość materiałów kręconych w świetle dziennym była prześwietlona. A filmy nocne były oczywiście niedoświetlone. Ale prześwietlone filmy dzienne zostały dodatkowo zeszpecone przez rysy, kurz i strzępy szarpi, jakie znalazły się na obiektywie. Ale zła była nie tylko strona techniczna, także ujęcia. Długie, bardzo długie minuty materiału nakręconego zawsze pod tym samym kątem, powiedzmy zbliżający się pochód, studenci z wielkimi sztandarami, w oddali, bez twarzy, nierzeczywiści, podchodzili zwolna do kamery. W jednej czy dwóch scenach, gdzie pojawiali się policjanci, którzy atakowali zmykających studentów, wszystko działo się tak daleko, że traciło wszelką realną wartość dla widza. Sam to wszystko dostrzegłem.

Nawet dla mnie, laika, było jasne, że nie bardzo opłaca się przeglądać pozostałe taśmy, o które studenci tak walczyli i których tak starannie strzegli.

Harry nacisnął guzik koło fotela.

– Wystarczy, Jerry! – zawołał. – To bez wartości – zwrócił się do mnie. – Obawiałem się, że tak będzie. Nawet po cięciach uda nam się z całości wybrać najwyżej pięć, sześć minut.

Po czym zawołał do operatora:

– Teraz pokaż coś z moich materiałów.

W odróżnieniu od taśm studentów film nakręcony przez Harry'ego był świetny, zdecydowanie profesjonalny i dużo ciekawszy. Wszystko było odpowiednio naświetlone, z wyjątkiem niektórych scen nocnych, których Harry umyślnie częściowo nie doświetlił, dla wzmożenia efektu. Dwie postaci obsadzone w zbliżeniach, Terri i Anne-Marie, dobrze się prezentowały w zbliżeniach, a w scenach miłosnych na tle szalejącej przemocy oboje byli słodcy i piękni. Rysowali się jako ludzie, ludzie z krwi i kości, z którymi, z których niedolą można się solidaryzować. A kilka gwałtownych scen, jakie Harry'emu udało się nakręcić, przydawało ostrości młodemu studenckim kochankom.

Nie obejrzelśmy wszystkiego. Po pięciu minutach Harry zobaczył dość, by stwierdzić, że jest usatysfakcjonowany. Znów przycisnął guzik i zawołał do technika. Natychmiast, zanim przebrzmiał jego głos, ekran zgasł, a na sali projekcyjnej rozbłysły światła.

– W porządku, Jerry, wystarczy. To jest dobre. Szkoda, że ich materiały nie nadają się. Popakuj to wszystko dla mnie, pudełka z moimi materiałami oznacz czerwoną taśmą, a ich niebieską.

Potem siedział paląc w zamyśleniu cygaro.

– Co teraz robimy? – spytałem.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Nie wiem. Jeśli jakość tego, co stracili w Rzymie, nie jest lepsza od tego gówna, wtedy wszystko jedno, czy odzyskają filmy, czy nie. Większość po prostu do niczego się nie nadaje.

– Wiesz, sporo spośród tych materiałów kręcił Hill – dodał, po czym zrobił przerwę. – Nie

wiedziałem, że jest taki kiepski.

– Kręcili przez prawie cały czas w wyjątkowo trudnych warunkach – powiedziałem. – Mieli mnóstwo przeszkód.

– Kamerzysta powinien się troszczyć o obiektywy i pilnować, żeby były czyste. Wystarczy szczoteczka i papierki do czyszczenia soczewek. I osłona na obiektyw. Nie ma usprawiedliwienia dla prześwietlonych filmów w dziennym świetle, wystarczy używać światłomierza.

– Myślisz, że uda ci się wycisnąć dość materiału na przebitki?

– Nie – odparł bez ogródek.

– Przypuszczam, że cały czas za bardzo kierowali się emocjami – powiedziałem ostrożnie.

– Ale kamera nie powinna podlegać emocjom filmującego. To pierwsza reguła... To znaczy pierwsza po takich podstawowych zasadach jak ta, że trzeba dbać o czystość obiektywu.

Wstał; nagle wydał mi się zmęczony i pokonany.

– Obawiam się, że będę musiał im dać kilka lekcji na poziomie szkoły podstawowej, w tej przegrzanej klitce. Może uda nam się nakręcić dość materiału z rozruchów, żeby zastąpić całą lukę. O ile będzie jeszcze dość zamieszek przed końcem tego wszystkiego. Chodź, idziemy. Muszę to pokazać tym młodym. Ciekaw jestem, jak zareagują.

Szliśmy z powrotem przez ponure, puste studia.

Pokaz dla studentów zapowiedziano na czwartą w Censier, brzydkim osiedlu tandetnie nowoczesnych budynków, wzniesionych jako uzupełnienie zatłoczonej Sorbony. Nie ma chyba nic brzydszego od współczesnej architektury francuskiej, ponieważ tutejsi architekci, w odróżnieniu od naszych, nie rozumieją betonu i próbują oszczędzać, dając za mało cementu do mieszanki, przez co po roku na ścianach pojawiają się rysy i pęknięcia. Tak właśnie było w Censier. Ale jest tam spory amfiteatr z ekranem i aparatami projekcyjnymi i studenci filmoznawstwa często urządzali tu pokazy, grubo przed rewolucją. Censier wbudowano – bez sensu – w płataninę wąskich, średniowiecznych uliczek, przepięknych, które biegną w dół od rue Monge. Droga z Boulogne zajęła nam trzy kwadransy i przybyliśmy trochę przed czasem.

Z zapowiedzianego wcześniej i urządnego za zezwoleniem policji marszu studenckiego, o którym wspominałem – z Montparnasse do Gare d'Austerlitz – wiodła w pobliżu Censier i rzeczywiście, w drodze powrotnej widzieliśmy go w całej pełni, choć już pod sam koniec. Słuchaliśmy transmisji radiowej w samochodzie. Młody Dany Cohn-Bendit, który wrócił z Niemiec w zeszły wtorek, z fałszywymi papierami i z rudymi włosami przefarbowanymi na czarno, opuścił swą kryjówkę na terenie Sorbony i stanął na czele marszu. Policja groziła mu, wręcz zaręczyła, że jeśli choć raz opuści Sorbonę, zostanie ujęty i deportowany. Ale w czasie pochodu Cohn-Bendita otaczał zwarty pierścień studenckiej ochrony i choć policjanci stali wzdłuż całej trasy przemarszu, nie próbowali go ująć. Zdaje się, że między policją a demonstrującymi studentami nie doszło do konfrontacji.

Jak tylko przybyliśmy do Censier i weszliśmy do środka, poczęły napływać grupki wracających z marszu studentów – zarumienionych, roześmianych, napompowanych poczuciem tryumfu, z adrenaliną musującą we krwi. Najwidoczniej rozeszła się wśród nich wieść o pokazie. Siedząc patrzyłem, jak wdzierają się do amfiteatru – pokrzykując, nawołując się i wymachując butelkami czerwonego wina, bagietkami, długimi kiełbaskami. Harry poszedł do studentów-operatorów, do kabiny projekcyjnej. Kiedy wrócił, siadł koło mnie i razem obserwowaliśmy widownię.

– Ciekaw jestem, co oni o tym pomyślą – powiedział do mnie po angielsku.

– Nic nie zauważą.

– Obawiam się, że Komitet Filmowy też nic nie zauważy. Tego się właśnie obawiam.

Nasze obawy niestety się sprawdziły. Chłopcy z Komitetu Filmowego wrócili z marszu ostatni i usiedli przeważnie koło nas. Terri, Bernard, przewodniczący Daniel i młody Raymond, mój niegdysiejszy przewodnik, wszyscy zasiedli wokół Harry’ego i mnie, wraz z paroma innymi. Później pojawiła się „komisarzyca” Anne-Marie. Była bardzo blada, a lewą rękę miała w gipsie, na temblaku.

– Co ci się stało? – spytał Harry po francusku.

– Gliny – wycedziła pogardliwie. – A któż by inny?

– Myślałem, że dziś nie było starć. Tak przynajmniej podało radio.

– Nigdy nie dochodzi do starć, jeśli wierzyć radiu kapitalistów-imperialistów – odpaliła Anne-Marie, jak zawsze wierna własnemu stylowi bycia.

– Słuchaliśmy Europę-1 i Luksemburga – sprostował Harry.

– Wielka mi różnica.

– Pobili cię?

– A co myślałeś?

Ze wzdardą pomachała gipsem.

– Złamana?

– Tak. W łokciu. Ale podobno niezbyt groźnie.

– Złapali nam parę osób – wyjaśnił przewodniczący Daniel. – Jak oderwaliś się od głównej kolumny, żeby tu przyjść.

– Czy jeszcze ktoś odniósł rany? – spytał Harry.

– Dwaj chłopcy mają rozwalone głowy – powiedział Daniel. – Ale nie z naszego komitetu.

– Byłeś przy tym?

– Nie, byłem w innej grupie.

Daniel uśmiechnął się wilczo zza drucianych okularków i dodał:

– Widzicie, co się może człowiekowi przytrafić. Mnie zresztą też złapali.

– Współczuję – powiedziałem do Anne-Marie.

– Dziękuję – odparła, nadal pełna wzgardy. – Ale dla mnie oni po prostu nie istnieją. Czegóż innego można się spodziewać po płatnych zbirach...

– ...kapitalistów-imperialistów – dokończył za nią Harry.

– Dokładnie.

– No dobra, wystarczy. Mam im powiedzieć, żeby zaczynali? – spytał Harry i poszedł do kabiny.

Pokazał im wszystkie odcinki, jakie wywołano z filmów nakręconych przez studentów. Nie pokazał natomiast swoich filmów, które zresztą zostawił w bagażniku samochodu. Projekcja trwała półtorej godziny. Studentom zebranych w amfiteatrze strasznie się podobała. Wyli i bili sobie brawo, gwizdali przy kilku ujęciach, na których widać było policjantów, podawali sobie między rzędami krzeseł butelki wina i kiełbaski. I tak jak przewidywał Harry, członkom Komitetu Filmowego też się to podobało. Chichotali, trącali się łokciami i szeptem przypominali sobie okoliczności kręcenia tych filmów. Wszyscy sprawiali wrażenie zachwyconych. Nawet Anne-Marie najwyraźniej uważała, że materiał jest świetny. Na początek było długie, bardzo długie ujęcie, fatalnie prześwietlone, przedstawiające marsz studencki na jakiejś trudnej do rozpoznania ulicy, studenci nieśli wielkie nieczytelne transparenty i szli bez końca w stronę kamery. Minuta po minucie. Ekran szpeciły krzywe linie i ciemne plamy – szarpie i brudy, o których mówił Harry. Ręcznie trzymana kamera kołysała się wyraźnie, kiedy operator głębiej oddychał albo ruszał ręką. A cała reszta nie wyglądała wcale lepiej od pierwszego, złego ujęcia. Na nocnych zdjęciach w ogóle nie można było nic rozpoznać, wszystko było czarne, a od czasu do czasu pojawiały się błyski światła, oświetlające na chwilę jakąś twarz nie do zidentyfikowania. A mimo to młodym, także członkom Komitetu Filmowego, wszystko najwyraźniej bardzo się podobało. Tylko mały Raymond przeczuwał, zdaje się, że coś tu nie gra. Przemknął się na wolne krzesło obok mnie i szepnął po francusku:

– To dość kiepskie, prawda? Potaknąłem.

– Czy coś się przyda?

– On mówi, że ewentualnie pięć, sześć minut.

– Cholera. Tego się obawiałem – powiedział niepocieszony Raymond.

Kiedy zapalono światła i dzierzący w rękach butle wina i kiełbaski zwyczajni studenci zaczęli w rozradowanych grupach opuszczać amfiteatr, Harry zwrócił się do siedzących wokół nas członków Komitetu Filmowego.

– Podobało się wam? – spytał wszystkich, a potem wskazał dziewczynę. – Anne-Marie.

– Tak. Myślę, że w większości to było bardzo poruszające. Może trochę za długie.

– Daniel?

– Bardzo. Myślę, że pokazuje Rewolucję dokładnie taką, jaka była.

- Terri?
- Francois?
- Georges?

Podobało się wszystkim bez wyjątku.

– No cóż, nie macie racji – stwierdził Harry. – To jest po prostu gówno. Rzadkie gówno.

Nie miało sensu dyskutowanie z tak zgorzkniałym głosem, toteż nikt nawet nie próbował.

– Nie ma takiego widza na świecie, który wysiedziałyby na czymś takim przez godzinę. Ani nawet przez pół godziny.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Jestem wstrząśnięty tym, iż mogliście pomyśleć, że to się do czegoś nadaje, choćby jedno z was. Zwiódł was własny udział w filmie, wasz subiektywizm, dlatego nie stać was na obiektywizm. Posłuchajcie. Niech ktoś weźmie pudełka z filmem i odwiezie do Odeonu. Tam się spotkamy. Zdaje się, że będę wam musiał zrobić wykład. Czy możemy skorzystać z tej małej salki filmowej w Odeonie?

– Mam pozwolenie na używanie jej, kiedy tylko chcę – powiedział posłusznie Daniel. – Zresztą i tak nikt inny z niej nie korzysta.

– W porządku, tam się spotkamy – rzekł Harry wstając. – Czy mogę liczyć na operatora?

– Ja to załatwię – stwierdził stanowczo Daniel.

– Dobrze. Spotkamy się w Odeonie. Przejrzemy ten materiał, czy chociaż część. Coś tam, w każdym razie.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, klął szpetnie.

Rzeczywiście zrobił im wykład w Odeonie. Był bezwzględny jak sierżant wobec plutonu niedoświadczonych rekrutów.

– Nie ma sensu pokazywać całości. Obawiam się, że nie zniósłbym drugiego pokazu. Powinniście się wstydić, wszyscy. A podwójnie powinniście się wstydić tego, że się wam podobało.

W pięknej szaro-czarnej salce kinowej Odeonu, z nowoczesnymi, obrotowymi fotelami, która przed rewolucją służyła do pokazywania specjalnych filmów dla bardzo wyselekcjonowanej awangardowej widowni, Harry wciąż od nowa pokazywał im kilka sekwencji ich materiału, tam i z powrotem, wytykając wszystkie błędy, jakie popełnili, a było ich mnóstwo. W pewnej chwili wybuchnął:

– Do jasnej cholery! Nigdy nie przypuszczałem, że się znajdę w takiej sytuacji, że studentom wyższych lat Wydziału Filmowego Sorbony będę musiał mówić, żeby mieli zawsze czyste soczewki! I czy nikt z was nie umie się posługiwać zakichanym światłomierzem?!

Ale potem się uspokoił. Kiedy skończył wykład, stanął przed nimi – udręczony profesor przed obliczem grupy uczniów.

– Jak powiedziałem, prawie cały ten materiał jest bez wartości. Nie nadaje się. To nas stawia przed problemem logicznym i przed pytaniem. Czy kontynuujemy pracę i staramy się zrobić film, czy nie? Czy są szansę, żeby w ciągu najbliższych dwóch, trzech tygodni nakręcić tyle scen zamieszek, żeby nadrobić to, czego nam w tej chwili brak? Osobiście nie jestem wcale pewien. Ale chciałbym spróbować. Dużo zależy teraz od tego, ile jeszcze będzie starć. Niewątpliwie do paru jeszcze dojdzie. Ale czy uda nam się dotrzeć w porę na miejsce i nakręcić te sceny? Wiemy wszyscy, że de Gaulle wygrał. To tylko kwestia czasu, kiedy tak zwana rewolucja – tu wyszczerzył do nich zęby – kiedy ta prawie rewolucja spali na panewce, skończy się. Rzecz w tym, czy zdobędziemy materiał potrzebny nam do wypełnienia filmu, który chcemy zrobić, w czasie, jaki nam pozostał?

Oto problem, oto pytanie, które pozostawiam do waszej decyzji.

Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć, Harry sam podniósł rękę.

– Mogę jeszcze dodać, iż mam uzasadnioną pewność, że gdybym kręcił dziś wieczorem z moimi „głównymi rolami” – tu uśmiechnął się do Terriego i do Anne-Marie – mogę bez większego trudu skończyć tak zwany wątek osobisty, który chciałem mieć. Prawdę powiedziawszy, złamana ręka Anne-Marie może się nam okazać bardzo pomocna. Nigdy bym czegoś takiego nie symulował. Po prostu nie przyszłoby mi to do głowy. Myślę nawet, że gdybyśmy urządzili symulację, bardziej by nam zaszkodziła, niż pomogła. Ale skoro już tak się stało, możemy to śmiało wykorzystać. Słuchajcie... Nie pokażę wam dzisiaj moich materiałów. Zobaczycie, jak film będzie skończony. Wymaga jeszcze opracowania. Jeśli chcecie się czegoś nauczyć, mogę parę osób dopuścić do tej roboty. Sprowadzę dobrego montażystę. Dobry montażysta to przy tej pracy ważna postać. Ale na razie nie chcę wam pokazywać mojego filmu, głównie dlatego, że ten materiał jest wyraźnie lepszy od nakręconego przez was i obawiam się, że moglibyście wyjść i popełnić zbiorowe samobójstwo. Nawet te małe kawałki waszych materiałów, które mógłbym zachować, będą się tak bardzo różnić, odstawać przez swą amatorszczyznę, że w końcu może będę z nich musiał zrezygnować. No ale to nie rozwiązuje problemu ani kwestii wcześniejszego materiału, którego nam brak. Bez tego nie będzie filmu. To pewne. Teraz wy musicie zdecydować, czy chcemy iść dalej i spróbować, czy też nie.

Skrzyżował ręce na piersiach.

W głębi sali podniósł się przewodniczący Daniel.

– Myślę, że wyrażę pogląd wszystkich, jeśli powiem, że chcemy kontynuować. Nie sądzę nawet, żebyśmy musieli poddawać to pod dyskusję i głosowanie. Jeśli ktoś jest przeciw, niech się zgłosi i poda swoje argumenty. Daniel czekał, ale w salce panował spokój. Nikt się nie ruszył, nikt nie odezwał słowem.

– Myślę zatem, że mogę bezpiecznie powiedzieć, że zgadzamy się z sugestią Harry’ego Gallaghery – stwierdził Daniel. – Czy uda nam się zdobyć odpowiedni materiał, to inny problem.

Ale chcemy spróbować. Oddajemy się do dyspozycji reżysera. Jak się nie uda, to trudno. Ale jest szansa na sukces. Jeśli nie spróbujemy, możemy równie dobrze rozwiązać Komitet Filmowy Sorbony i Odeonu do spraw Rewolucji Kulturalnej i zapomnieć o całej sprawie. Nie chciałbym do tego dopuścić. Więc myślę, że powinniśmy spróbować.

I usiadł.

Harry rozplótł ręce. Był bardzo poważny.

– Dobrze. Skoro tak chcecie. Słuchajcie, dzisiaj po południu muszę jeszcze coś zrobić. Spotkam się z dwiema ekipami zdjęciowymi i z aktorami tutaj o dziewiątej wieczorem. Chciałbym nakręcić kilka scen ulicznych, w których być może będziemy musieli zainscenizować małe rozruchy, i chciałbym też nakręcić parę scen wewnątrz Odeonu – na korytarzach, w szpitalu i w waszym pokoiku na górze. Dobrze? Więc do dziewiątej. Chodź, Jacku.

Ledwie za nim nadażyłem, tak szybko znalazł się za drzwiami.

– Pieprzone fiuty – powiedział, kiedy szliśmy korytarzem.

– Co masz zamiar robić, Harry? Dokąd tak śpieszysz?

– Jak myślisz, głuptasie?

Kiedy opuściliśmy Odeon i schodziliśmy schodami na plac, zatrzymał się i zwrócił do mnie:

– Podrzucić cię na wyspę? Tam właśnie jadę.

Zawahałem się.

– Nie. Myślę, że trochę się przespaceruję po okolicy, a potem wrócę pieszo.

– Więc do zobaczenia – odparł z uśmiechem. – Przyjdiesz tutaj wieczorem?

– Jeszcze nie wiem. Być może.

– Więc do zobaczenia wieczorem.

I odmaszerował, w nakrochmalonym trenczu, wydętym jak balon, z kołnierzem pod uszami. Pomyślałem przez chwilę, że wygląda jak Floyd Gibbson albo Ernest Hemingway, czy ktoś taki. Już miałem się odwrócić w swoją stronę, ale przystanąłem.

– Harry! – zawołałem za nim surowym tonem. – Zdajesz sobie sprawę, że mnie się to wcale a wcale nie podoba!

On też stanął; odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby.

– Zdążyłem zauważyć – powiedział.

Tego wieczoru Samantha Everton nie dotarła na siódmą wieczór na spotkanie Amerykanów w mieszkaniu Gallagherów. Ale koło pół do dziewiątej, kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia, nieoczekiwanie się pojawiła; jej krótkie i gęste włosy zwijały się w zmyślnej fryzurce.

Gdy wychodziliśmy, została – spokojna, smutna, zaczytana w kolejnym komiksie. Kiedy zamykały się za nami drzwi, podeszła do niej Louisa.

Rozdział dwudziesty drugi

W niedzielę nic się nie zdarzyło.

Prawie nic nie zdarzyło się też w poniedziałek. W poniedziałkowym paryskim wydaniu „Herald Tribune” jeden z reporterów gazety, bodajże Koven, stwierdził, iż *le General* ogłosi się zwycięzcą w kolejnej próbie sił z komunistami.

Ta sama poniedziałkowa gazeta podała, że Helen Keller umarła w czasie snu mając 87 lat. Notatka na ten temat była opatrzona datą z nagłówkiem: „Westport, Conn., niedziela, 2 czerwca”.

Pomyślałem sobie, że to zabawne. Ale najwyraźniej nikt inny nie miał takich skojarzeń. A w każdym razie nic na ten temat nie mówiono.

W tym samym wydaniu „Herald Tribune” podano, iż „Prawda”, oficjalny organ Związku Sowieckiego (lubię to określenie: „oficjalny organ”), wzmogła krytykę generała de Gaulle’a. Przyznam, że informacją tą przejąłem się niemal tak samo jak wiadomością o śmierci Helen Keller.

Potem, we wtorkowej paryskiej „Herald Tribune”, artykuł poprzedzony adnotacją „Nowy Jork, 3 czerwca” donosił, iż Andy Warhol, projektant wystroju puszek, w których sprzedawano Cambella, i filmowiec, został postrzelony i ciężko zraniony przez niejaką Valerię Solanis, przywódczynię i zapewne jedyne go członka organizacji pod nazwą SCUM (Stowarzyszenie, którego Celem – Unicestwienie Mężczyzn), która kiedyś grała w jednym z jego obscenicznych filmów. Cieszyłem się, że Helen Keller tego nie dożyła, że o tym nie usłyszała.

Zapowiadał się rewelacyjny pod każdym względem tydzień.

Tymczasem weekend Zielonych Świątek rozpoczął się, trwał i przeminął. Miliony Francuzów wyjechało na wieś, na piknik albo w odwiedziny do krewnych.

W poniedziałek premier Pompidou miał w telewizji dwunastominutowe przemówienie, pierwsze od czasu, kiedy *le General* rozwiązał Congres i zapowiedział nowe wybory. Premier ostrzegł strajkujących przed szkodami, jakie wyrządzają oni gospodarce narodowej, i powiedział, że dotychczas strajki kosztowały naród sześć miliardów dolarów. Od razu przypomniało mi się to, co powiedział Harry, tego dnia, kiedy po raz pierwszy szliśmy do świeżo zajętego przez studentów Odeonu.

We wtorek doszło do największych korków komunikacyjnych w dziejach Paryża. Ludzie, którzy wrócili z weekendu Zielonych Świątek, masowo próbowali dojechać do pracy samochodami. Koleje, metro, autobusy i taksówki wciąż jeszcze strajkowały. Policja, zajęta studentami, zupełnie nie kierowała ruchem. Ponadto manifestacja młodych gaullistów maszerowała od Trocadero do Champ-de-Mars, co dodatkowo utrudniało komunikację.

Niektórzy tkwili w samochodach w tym samym miejscu po trzy, cztery godziny. Ja, oczywiście, nie wybrałem się na miasto. Podobnie jak Harry. Na wyspie było miło i spokojnie.

W sumie jednak wszystko zmierzało ku ładowi. Kolejnym tego znakiem było wznowienie dostaw wyrobów tytoniowych do kiosku z papierosami, co znacznie złagodziło kryzys wśród palaczy.

W tenże wtorek odezwał się do mnie Hill Gallagher. Zadzwoił dość wcześnie, koło południa, żeby mieć pewność, że mnie zastanie. I zastał. Jeszcze w łóżku. Mówiąc prawdę, obudziłem się na chwilę przed jego telefonem. Kiedy się upewnił, że jestem w domu, powiedział, że chciałby wpaść, porozmawiać.

– Jack? – zapytał, kiedy podniosłem słuchawkę. – Jack?

Głos miał dziwny, inny niż zwykle.

– Tak. Kto mówi?

Byłem jeszcze trochę zaspany.

– Hill – powiedział. – Hill.

Kiedy nie zareagowałem od razu, powtórzył jeszcze raz:

– Hill.

– Ach tak. Hill. Co się stało?

– Może cię obudziłem?

– No cóż, tak. Prawie.

– Chciałem mieć pewność, że cię zastanę. Chętnie wpadłbym do ciebie, jeśli można. Obawiałem się, że wyjdiesz. Opuszczam Paryż. Chciałem się pożegnać i chwilę porozmawiać.

Słowa „opuszczam Paryż” rozbudziły mnie na dobre.

– Słuchaj, czy możesz mi dać godzinę? Dopiero co otworzyłem oczy i nie...

– Oczywiście. Będę, powiedzmy, za półtorej godziny, dobrze?

– Świetnie. Czy zjesz ze mną drugie śniadanie?

– Nie. Już jadłem.

– Dobrze. Więc do zobaczenia.

– Na razie. Odłożyłem słuchawkę.

Nie mogłem ustalić, co mnie zaniepokoiło w jego głosie. Ale na pewno dokonała się jakaś zmiana. Zadzwoiłem po pokojówkę Portugalkę i poświęciłem się picciu kawy i soku oraz czytaniu porannych gazet. Nie znoszę, jak poranny rytuał ulega zakłóceniu. Młodszemu pokoleniu może się to wydać staromodne, nawet śmieszne. Ale dla mnie *znaczy* to, że nie muszę w pośpiechu przerzucać gazety, żeby *zdażyć* się porządnie ogolić.

Kiedy Hill przyszedł, byłem już gotów na przyjęcie go. Sprawiał wrażenie opalonego, jakby spędził weekend Zielonych Świątek na wsi. Ale przez warstwę opalenizny przeziarało skrajne wyczerpanie, tak jakby wcale nie spał, odkąd go ostatni raz widziałem przed tygodniem. Ponadto

przyniósł ze sobą jakąś książkę. Trzymał ją kurczowo, chodząc po pokoju, i nie odłożył ani na chwilę, choć była ciężka. Nie dostrzegłem tytułu, a nie chciałem natrętnie podpatrywać, ale zauważyłem sztywną niebieską okładkę, pokrytą czerwonym wzorem przypominającym ideogramy pisma chińskiego.

Dość szybko doszliśmy do tego tematu. A mianowicie kiedy go zapytałem, czego się napije.

– Zrobić ci jakiś koktajl? – spytałem. Przemierzał nerwowo pokój.

– Nie. Przestałem pi... – Tu nagle zmienił zdanie: – Ach, jasne. Czemu nie. Daj mi whisky.

Whisky z lodem. I to dużą.

Powiedział to tonem osobliwie protekcyjnym.

– Nie musisz pić, jak nie chcesz.

– Ależ nie, nie. Ja chcę.

Nalałem mu whisky. Sam wolałem zimne piwo. Dla mnie było jeszcze za wcześnie na whisky. Ale nie dla Hilla. Wydudlił całą szklanekę jak człowiek, który właśnie wrócił z pustyni.

– Złapałeś trochę słońca. Gdzie byłeś?

– Siedziałem na nabrzeżu. Tu, pod Notre-Dame. Poniżej skweru, na którym stoi pomnik Karola Wielkiego. Na dolnym poziomie.

– Rozumiem.

Tak, znałem to miejsce. Przy dobrej pogodzie stało się siedzibą hipisów. Jedni, bo bez grosza, inni z indolencji, jeszcze inni z obu powodów naraz – wszyscy rozkładali się tam i zdjawszy koszule chłonili słońce. Zawsze uważałem, że to malownicze. Ale Hillem w tej roli nie byłem zachwycony.

Wtedy właśnie wypłynęła sprawa książki.

– Znasz to? – spytał.

Podsunał mi grzbiet i nad chińskimi znakami, których nie umiałbym odcyfrować, przeczytałem po angielsku: / *Ching czyli Księga Zmian*. Opublikowało ją jakieś amerykańskie wydawnictwo.

– Kupiłem u Galignanego – oznajmił mi.

– Zdaje się, że coś o tym słyszałem.

Ale w głębi ducha myślałem: Och, nie, tylko nie to! Sam przez to wszystko przeszedłem w młodości. Za naszych czasów to była Annie Besant, Helena P. Bławatska i Paul Brunton.

– Otwórz w dowolnym miejscu, a uzyskasz odpowiedź na to, co chciałbyś wiedzieć. Oczywiście musisz się najpierw skoncentrować. Opróżnić umysł. Mam ci pokazać?

Za naszych czasów obowiązywała księga pod tytułem *Trismegatus*. Jeszcze grubsza od tej. Opatrzona podtytułem: „Objawienie Trismegatusa”.

– No tak. A jeśli odpowiedź będzie błędna?

– Nie będzie. Dlatego to jest takie cudowne. Czekaj, pokażę ci.

Położył książkę na prawej dłoni, lewą umieścił płasko na wierzchu i zmarszczył brwi. Po trzydziestu sekundach otworzył książkę.

– „Zmiany i ruchy osądza się po wsparciu, jakie przynoszą – czytał. – Dobry los i nieszczęście zmieniają się zależnie od okoliczności. Dlatego miłość i nienawiść zwalczają się wzajemnie, a stąd wynika dobry los i nieszczęście. To co dalekie i to co bliskie zadają sobie ciosy, a wynikają stąd udreki i upokorzenia. Prawda i fałsz wpływają na siebie, a wynika stąd korzyść lub krzywda. We wszystkich sytuacjach Księgi Zmian jest tak: Kiedy rzeczy ściśle powiązane nie harmonizują ze sobą, wynika stąd nieszczęście. Stąd rodzi się krzywda, udreki i upokorzenie.”

Tu przerwał i spojrzał na mnie.

– No, czyż to nie jest głębokie? Czyż to nie jest wspaniałe?

– Cóż, Sębokie to zapewne jest – powiedziałem ostrożnie. – Nie bardzo widzę, jak można by zbić takie spiętrzenie... aforyzmu. Ale jakie było twoje pytanie?

– Moje pytanie brzmiało: „Co mam robić?” Widzisz, o to mi właśnie chodziło. Ta książka odpowiada na wszystko.

Oczy mu rozbłyły.

– Wprowadził mnie w to chłopak, którego niedawno poznałem. Praktycznie się z nią nie rozstaje.

Opiekuńczym gestem pogłaskał książkę.

– Cóż, sam wiesz, co masz robić.

– A czytałeś Alana Wattsa? Alana W. Wattsa? Wiesz, na przykład *Droga Zen* albo *Naturę, Mań and Woman*?

– Tak. Znam Wattsa. Czytałem parę jego rzeczy.

– Świetnie. Sam widzisz!

– Co mam wiedzieć? Watts to Anglik, prawda?

– Tak? Nie wiedziałem. A co za różnica?

– Zdaje się, że był Anglikiem. Teraz chyba osiadł w Ameryce. Anglicy od dawien dawna gustują w różnych odmianach filozofii Wschodu, a niekiedy wręcz dają się porwać. Wynika to w dużej mierze z tego, że ich wojownicze plemię podbiło znaczną część Wschodu i w ten sposób nawiązali bezpośredni kontakt z tym zjawiskiem.

– No i co z tego?

– Nic. Czy znasz *Zen w sztuce łucznictwa*, Niemca Herrigela?

– Znam! – wykrzyknął z westchnieniem Hill. – To też mam!

– Dobrze. A masz łuk?

– Chcę sobie sprawić łuk. I strzały. I tarczę. Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

– O łucznictwie?

– Nie o łucznictwie. To znaczy, nie tylko o łucznictwie.. Powiedziałem ci, że opuszczam Paryż.

– W swoim czasie byłem niezłym łucznikiem – powiedziałem.

– Naprawdę? To do ciebie niepodobne. Aż trudno uwierzyć!

– A jednak to święta prawda. W gruncie rzeczy mógłbym cię posłać do znakomitego sklepu łuczniczego przy avenue Malakoff, tuż koło Place Maillot. Mają tam wszystko, łuki od 25 do 70 kilo naciągu, jeśli ktoś by miał tyle siły. Także łuki z podwójnym naciągami, pełny wybór.

– Imponujesz mi! Czy doszedłeś do tego poprzez zen?

– Prawdę mówiąc, z początku nie. Ale potem to się nałożyło.

– Jak do tego doszło? – spytał autentycznie zaciekawiony.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Postanowiłem powiedzieć po prostu prawdę.

– No więc kiedyś uważałem, że ludzie nie powinni zabijać zwierząt z broni palnej, zwłaszcza saren. Dzikich jeleni, oczywiście. Z białymi ogonkami. Takich, jakie mieszkają w lasach Pensylwanii i stanu Nowy Jork. One podchodzą blisko do ludzi. Uważałem, że trzeba dać tym zwierzętom choć ciekawostki i robić to w stylu dawnych czasów: włócznią albo z łuku. To była kwestia etyczna. Wiesz, zabiłem cztery sarny, strzałami z szerokim grotem. Zabijałem zające w biegu, strzałami z okuciem zamiast grotu. Nieczęsto, ale zabijałem.

– Ja nie chcę niczego zabijać.

– Ja też już teraz nie chcę.

– Nie chcesz?

– Nie. Chciałbyś wiedzieć dlaczego? Potaknął.

Nie byłem pewien, czy robię słusznie posuwając się tak daleko. Ale to była prawda. To była prawda mojej młodości. A on najwyraźniej przechodził teraz niedobry okres. Chciałem mu pomóc. Naprawdę bardzo chciałem mu pomóc.

– No więc sprawałem kiedyś sarnę, którą chwilę wcześniej zabiłem z łuku. Otóż sarny mają bardzo dużo wnętrzości. Tak jak my. Można by powiedzieć, że sarna składa się w sześćdziesięciu pięciu procentach z przewodu pokarmowego. A poprzedniego dnia otarłem sobie brzydki rękę, siodłając konia. Działo się to w stanie Wyoming. I miałem na dłoni duży strup. Naprawdę ogromny. Oprawiając sarnę dość długo trzymałem rękę w jej brzuchu i nagle stwierdziłem, że kontakt z krwią zwierzęcia całkowicie zlikwidował ten wielki strup. Spojrzałem na rękę i okazało się, że starta skóra jest absolutnie czysta, różowitka. To mną wstrząsnęło. Do dziś dnia nie wiem, dlaczego tak to mną wstrząsnęło, ale to prawda. Mogę nawet powiedzieć, że ogarnęła mnie zgroza. I wtedy przerzuciłem się na strzelanie do tarczy. A potem ktoś mi wspominał o tej książce o zen i ją sobie kupiłem.

– O rany! – powiedział Hill.

– Tak. Właśnie taka była moja reakcja.

Przez chwilę milczał. Miałem nadzieję, że dotrze do niego sens tej historii.

– Ja uważam, że nie wolno niczego zabijać – oznajmił w końcu.

– Ale przecież musisz jeść.

– Można jeść rośliny. One nie czują.

– Skąd wiesz?

To go trochę speszyło. Zacisnął palce na tej swojej zwariowanej Księdze.

– No dobrze. W każdym razie nie czują tyle co rozwinięte zwierzęta. Nie krzyczą.

– Nie można mieć co do tego pewności. Skąd wiesz, czy nie krzyczą z siłą jednego decybelą albo w innym paśmie, którego my po prostu nie słyszymy?

W młodości sam przez to wszystko przechodziłem, całym latami.

Hill wstał i zaczął chodzić po pokoju, pod pachą ściskając kurczowo / *Ching*.

– Cóż – westchnął w końcu. – Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Dlatego opuszczam Paryż. Chcę sobie te wszystkie sprawy przemyśleć. Chyba zajrzę do sklepu, o którym mówiłeś, i zaopatrzę się przed wyjazdem w ekwipunek łuczniczy.

– Dokąd ty się wybierasz? I co z forszą?

– Do Cadaqucs. W Hiszpanii. To zaraz za granicą francuską, nad morzem. Już tam byłem.

Wiedziałem o tym. Pojechał tam parę lat wcześniej, z rodzicami i z McKenną.

– Chłopak, którego poznałem, powiedział mi, że tam są wspaniałe jaskinie.

Usiadłem.

– To ładna miejscowość – ciągnął. – Przyjeżdża tam sporo młodych ludzi. A jaskinie są podobno wspaniałe. Poza miasteczkiem, jakieś dziesięć kilometrów, i całkiem suche. Do nikogo nie należą. A jeśli nawet należą, to nikt nie zabrania z nich korzystać. Mam dwóch kumpli, którzy tam dłuższy czas mieszkali.

W śpiworach. Tam właśnie się wybieram. Takie są moje plany.

– Ale dlaczego?

– Chcę medytować. Medytacja jest konieczna w łucznictwie, jeśli chce się być dobrym, doskonałym. Trzeba rozmyślać. Starać się wszystko pojąć.

– Rozumiem – powiedziałem znów.

Nic na to nie odpowiedział; siedział z tą swoją Księgą i uporczywie się w nią wpatrywał.

– Jak już wszystko pojmiesz, przyślesz mi telegram?

– Oczywiście! – odparł gorliwie. Stwierdziłem, że na takie *dictum* nie mam już nic do powiedzenia.

Po chwili spytałem:

– A co z forszą?

– Och, mam trochę forsy. Wiesz przecież. Po mojej babci ze strony matki. Mam nawet

własne konto w banku. Starzy tego nie tknęli.

– Więc chcesz zostać orientalnym filozofem?

– Nie, nie, nie. Nic w tym rodzaju. Ale jest tyle innych rzeczy.

Miałem wrażenie, że od zeszłego tygodnia, kiedy go ostatnio widziałem, zmianie uległ nawet jego sposób wyrażania się.

Hill podniósł na mnie wzrok.

– Skąd się bierze tyle nienawiści?

– No cóż – zacząłem rozsądnie i odchrząknąłem. – Wcale nie sędzę, żeby było jej aż tak dużo, jak ci się wydaje. Raczej chodzi tu o to, co można by, mówiąc potocznie, nazwać konfliktem interesów. Ale jeśli ktoś, tak jak ty, wychował się w środowisku, w którym ciągle wbijano ci do głowy, że wszyscy ludzie powinni być pełni miłości dla bliźnich, a potem wychodzisz w świat i stwierdzasz, że wcale nie wszyscy tacy są, rozumiem, że to może być szokiem.

– No właśnie.

Nie jestem pewien, czy dotarło do niego choćby słowo z mojej perory. Nagle wstał, odwrócił się do mnie bokiem, położył lewą rękę na okładce swej Księgi, zmarszczył brwi na trzydzieści sekund. Potem odwrócił się z powrotem i otworzył Księgę.

– „Ciała niebieskie są przykładem trwałości – czytał. – Poruszają się po ustalonych orbitach i dzięki temu trwa ich moc dawania światła. Pory roku następują w ustalonym porządku zmian i przekształceń i dlatego mogą wytwarzać skutki, które są trwałe.

Podobnie człowiek zaangażowany reprezentuje trwałe znaczenie sposobem swego życia i tym samym kształtuje świat. W tym, co nadaje rzeczom trwałość, możemy zrozumieć naturę wszystkich istnień w niebie i na ziemi.

Obraz:

Grzmot i wiatr – to obraz trwałości.

I tak człowiek wyższy stoi pewnie i nie zmienia kierunku.

Grzmot się przetacza, a wiatr wieje; oba są przykładami niezwyklej ruchliwości, a zatem pozornie akurat przeciwieństwem trwałości, a przecież prawa, które rządzą ich pojawianiem się i ucichaniem, są trwałe. W ten sam sposób niezależność człowieka wyższego nie polega na surowości i niezmienności charakteru. Zawsze dotrzymuje tempa czasowi i zmienia się wraz z nim. Trwa nie zmieniająca kursu dyrektywa, wewnętrzne prawo jego istnienia, które określa wszelkie jego działania.”

Oderwał wzrok od książki.

– Dość prawdziwe, jak sędzę – zauważyłem. – I co z tego wynika?

Zatrzasnął książkę.

– To właśnie muszę zrobić! – Ale co?

– Właśnie to! O Boże, czy nie rozumiesz? Wcisnął książkę pod pachę i rozejrzał się błędnym wzrokiem.

– No cóż, muszę iść.

– Posłuchaj, Hill. Często ostatnio paliłeś trawkę?

– Och, jasne. Tam pod mostem jest tylko trawka. Wspaniała.

Na to też nie miałem odpowiedzi.

– Poznałem paru kumpli, którzy mieszkali dłuższy czas w jaskiniach koło Cadaqucs. Wiedzą wszystko o tamtym terenie. I o terenie jaskiń.

Nic na razie nie chciałem mówić, ale zacząłem podejrzewać to i owo.

– No dobrze. To ja już sobie pójdę. Chciałem tylko wpaść na chwilę, żeby się pożegnać.

– A co z twoimi starymi?

– Pieprzę starych. Mama ma to, na co zasłużyła.

– Widzę, że byłeś tam, pod drzwiami pokoju hotelowego w zeszłą środę. W środę dwudziestego dziewiątego maja.

– Tak, byłem. Spojrzał na mnie żywo.

– Kręciłem się tam dłuższą chwilę. Parę razy stukiałem do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Ale wiedziałem, że oni są w środku. To się da wyczuć. Można na ucho odróżnić pusty pokój od pokoju, w którym są ludzie.

Wzruszył ramionami na sposób francuski.

– No i w końcu sobie poszedłem.

Na to nie miałem już zupełnie nic do powiedzenia.

– Posłuchaj – odezwał się w końcu. – Gdybyś czegoś potrzebował albo gdybyś chciał, żebym coś dla ciebie zrobił, jak już tam będziesz, daj mi znać, dobrze? Obiecujesz?

– No jasne – zapewnił mnie. Znów patrzył z żywością. – A gdyby było coś, co chciałbyś, żebym ja dla ciebie zrobił, też mi daj znać, dobrze? Zawsze możesz mi przesłać wiadomość na *poste restante* w Cadaqucs.

– Co mam powiedzieć twoim starym?

– Gwiżdżę na to, co im powiesz. Nie, poczekaj. Tak naprawdę chyba jednak nie gwiżdżę. Nic im nie mów.

– W porządku. Jeśli jesteś przekonany, że tego chcesz.

– Jestem przekonany.

Podszedł do drzwi, z książką pod pachą. Stałem koło barku.

– Słuchaj! – zawołałem za nim surowo. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że dla mnie jesteś popaprańcem i gówniarzem, co?

Odkręcił się.

– No jasne – powiedział i uśmiechnął się. Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd do mnie

przyszedł, a był to uśmiech osobliwie podobny do tego, który tak często widywałem na twarzy Harry'ego.

– No jasne. Kto nie jest? I wyszedł.

Następnego dnia była środa. Środa piątego czerwca. Dzień, w którym zastrzelono Roberta Kennedy'ego. Oczywiście w Paryżu, wskutek różnicy czasu, dowiedzieliśmy się dopiero koło południa. Poza tym rozeszła się pogłoska, że francuski transport i poczta mają podjąć pracę w ciągu czwartku. Niektóre gałęzie przemysłu, jak stalowy i samochodowy, jeszcze się nie poddawały. Ale intencje ponownego ujęcia społeczeństwa francuskiego w cugle widać było gołym okiem. De Gaulle wygrał na całej linii.

Rozdział dwudziesty trzeci

Często myślałem, że gdybym był mądrzejszy albo lepiej przygotowany na to, czym Hill zamierzał mnie obarczyć, a raczej czym obarczać mnie ijtie chciał, mógłbym mu jakoś pomóc, zamiast go zawieść. Czuję, że muszę wziąć na siebie odpowiedzialność. Ale odrzuciło mnie to jego nagłe przejście na mistycyzm. To było takie nieoczekiwane. A zanim zdążyłem się jakoś oswoić i wystąpić z kontrpropozycją czy też ofiarować mu z siebie coś, co skierowałoby go na inny tor, już sobie poszedł. Już sobie dawno poszedł.

Wtedy też po raz ostatni widziałem Hilla. Nie spotkaliśmy się od tamtego czasu. Przypuszczam, że nadal jest w Cadaqucs, że siedzi w pozycji kwiatu lotosu i medytuje w jakiejś jaskini, ale nie wiem na pewno. Był tam przynajmniej, i medytował, pod koniec czerwca, kiedy to dostałem od niego drugą pocztówkę. Nie odpisałem, i było to ostatnie słowo od niego, jakie do mnie doszło.

Szkoda, że poznał tych hipisów, te dzieci-kwiaty, które, jak wynika z pocztówek, mieszkają z nim – oczywiście na jego koszt. Tyle przynajmniej wiem od niego. Wygląda na to, że jest ich tam cała kolonia.

W każdym razie zamach na Boba Kennedy'ego całkowicie wyparł rewolucję majową z pierwszej strony „Herald Tribune”. Tak samo z pierwszych stron wszystkich prawie gazet francuskich. Oczywiście wieść rozniosła się wcześniej, ludzie na całym świecie dowiedzieli się o tym przez radio, zanim gazety mogły napisać coś na ten temat. Ale wszyscy, rzecz prosta, chcieli poznać szczegóły.

Pamiętam, że mnie wiadomość tę przyniosła moja pokojówka Portugalka. Weszła do sypialni o ósmej trzydzieści rano i obudziła mnie; nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło. Była młodą kobietą, dużo młodszą, niż wskazywał na to jej wygląd; niezamężna i najprawdopodobniej dziewica, zachowywała coś, o co nikt już nie zamierzał się ubiegać. Nigdy nie wchodziła do mojej sypialni, chyba że ją wzywałem. Teraz załamywała ręce, a łzy lały się strumieniami po jej wiernej portugalskiej twarzy. Musiała przed chwilą usłyszeć o tym przez swój równie wierny tranzystor w kuchni.

– *Oh, Monsieur!* – powtarzała. – *Oh, Monsieur!*

Myślę, że wszystkich ogarnęła podobna groza i trwoga. Było tak, jakby Bóg nas opuścił, pozwalając piorunowi uderzyć po raz drugi. W każdym razie wszyscy opowiadali pod koniec dnia, że czuli coś w tym rodzaju. A z pewnością ja tak to odczułem.

Przypominam sobie zabójstwo Johna Kennedy'ego w 1963. Teraz, za drugim razem, nie było aż tak powszechnego, głuchego żalu i kompletnej rozpacz, odrętwienia, w jakie popadliśmy,

kiedy w sześćdziesiątym trzecim zastrzelono starszego brata. Może powoli się przyzwyczajaliśmy – to nastąpiło tak prędko po zabójstwie doktora Kinga. Ale zarazem zbieżność ta sprawiła, że bolało jeszcze bardziej. Pamiętam, że wtedy, kiedy zginął John, przez dwa dni błąkałem się nieprzytomny po Paryżu: chodziłem po barach, o których wiedziałem, że bywają w nich Amerykanie, szukałem rodaków i odnajdywałem we wszystkich popularnych wśród Amerykanów barach, po czym staliśmy przy kontuarze niczym zmokłe ptaki i stawialiśmy sobie nawzajem kolejkę, kiwając głowami i prawie się nie odzywając.

Tym razem było inaczej. Ale na swój sposób żal był może nawet większy, a już na pewno zgroza, bo oto dwa razy to samo przydarzyło się Kennedym. Chociaż teraz można było mieć nadzieję. Roberta Kennedy'ego można było operować. I każdy żywił tę nadzieję, wbrew wszelkim nadziejom. Oczywiście następnego dnia Bobby umarł. Zdaje się, że tak naprawdę nikt nie wierzył, że uda mu się z tego wyjść. No bo tak to już jest z piorunami, które uderzają dwa razy.

Spotkałem Boba parę razy na przyjęciach w Nowym Jorku, kiedy jeździłem do Stanów w sprawie mojego pisma. Ale nigdy nie zdołałem sobie o nim wykształcić jakiejś zdecydowanej opinii. Niewątpliwie sprawiał wrażenie egoisty. I równie niewątpliwie poświęcał dużo czasu i troski na podtrzymywanie swego obrazu publicznego i roli Młodego Obrońcy. Poza tym nosił odrobinę dłuższe włosy niż inni. Z punktu widzenia polityki zawsze uważałem, że porwał się na cele, do osiągnięcia których nie był odpowiednio wyposażony. Ale Bogiem a prawdą – kto jest? Nikt.

Oprócz tych drobiazków, które dziś postrzegam jako przejaw mej własnej uszczypliwości, była w nim jakaś nuta wyraźnie tragiczna. Tak jakby dobrze wiedział, co go może czekać.

Siedząc u siebie w domu nad gazetą, przypomniałem sobie pewien wieczór, w winnicy Marthy, przyjęcie na świeżym powietrzu, w którym brałem udział, kiedy to ktoś z klanu Kennedych przyplął własnym jachtem z przylądka, a po okrzykach powitalnych, śmiechach, po tym jak już zjedliśmy i wypiliśmy, zobaczyłem go, jak siedzi sam na balustradzie starej werandy, balustradzie, która była z innej epoki. Jedną nogę w drogim sportowym bucie oparł na poręcz; klepał się po kolanie, patrzył na łąki i uśmiechał się sam do siebie, najwyraźniej zadowolony z wieczoru i z przyjęcia. Gromadka dzieciaków piszcząc z uciechy figlowała na ciemnym trawniku, a miejscowy zespół prezentował własną, nieco złagodzoną wersję rocka. Kennedy siedział sobie po prostu, uśmiechnięty, zadowolony, a czupryna jasnych długawych włosów opadała mu na czoło.

Teraz w moim paryskim mieszkaniu, czytając numer „Herald Tribune” z szóstego czerwca, załamałem się nagle i łzy trysnęły mi z oczu, aż musiałem przerwać lekturę. Odłożyłem gazetę.

Zawsze byłem okropnym mazgajem.

Ale przecież inni przeżywali ten dramat podobnie.

Wieczorem oglądaliśmy to wszystko w telewizji u Gallagherów.

Louise wiadomość po prostu zwała z nóg: oczy miała wytrzeszczone i szeroko rozwarte, jak obłąkana, i nie chciała z nikim rozmawiać. Harry powiedział mi po cichu, że to McKenna ich poinformowała, przypuszczalnie o tej samej porze, kiedy mnie zawiadomiła moja pokojówka. Moja chrześniaczka akurat wstała wcześniej i jadła śniadanie z ich Portugalką, i wtedy to usłyszały, na ich portugalskim radiu tranzystorowym; mała zaraz pobiegła do sypialni rodziców, płacząc i szlochając. McKenna też raz kiedyś poznała gdzieś Bobby'ego, a on bawił się z nią chwilę i podrzucał ją do góry, więc stał się dla niej swego rodzaju specjalną, osobistą własnością.

Tylko Samantha Everton sprawiała wrażenie kompletnie nieporuszonej. Ale jestem przekonany, że była dużo bardziej wstrząśnięta, niżby to chciała okazać.

– No cóż, był taki ambitny – powiedziała wzruszając ramionami.

– Wszyscy jesteśmy ambitni – stwierdziłem, świadomie dwuznacznie. – W ten lub w inny sposób.

– Prawda – przyznała Sam, patrząc na mnie z uśmiechem. – Ale ambicja polityczna pociąga za sobą pewne ryzyko.

– No tak, on był z pewnością kimś bardzo dobrym i ważnym dla waszych ludzi – wtrącił nagle Ferenc Hofmann-Beck.

Samantha skierowała swój uśmiech w jego stronę.

– Ja nie mam żadnych swoich ludzi, synu – stwierdziła. – Nie wiedziałeś?

Louisa wpatrywała się w nią tymi swoimi szeroko rozwartymi dziecięcymi oczyma, ale chyba jej wcale nie widziała. Przez długą, końską twarz o cienkich wargach przebiegł dreszcz obrzydzenia.

– Jesteś okropnie gruboskórna.

– Zapewne – zgodziła się Sam i również Louise obdarzyła uśmiechem. – Ale ty, z twoimi pieniędzmi, wiodłaś tak bezpieczne życie, że po prostu nie wiesz, co się dzieje w prawdziwym życiu. Ty jesteś bezpieczna.

W tym momencie interweniował Harry.

– Ty sama też nie wiodłaś specjalnie niebezpiecznego życia – wtrącił z uśmiechem. – Urodziwszy się w Europie i uczęszczając do tych wszystkich ekskluzywnych szkół w Szwajcarii czy w Paryżu, jak Brillamont.

– Ale byłam i gdzie indziej. A teraz jestem tutaj, żeby wam oznajmić, że tam nie jest wcale tak, jak wy to sobie, koty, wyobrażacie.

Nagle wybuchnęła śmiechem.

– Ameryka ma teraz do wyboru dwóch mazgajów. Dwóch mazgajów tak do siebie podobnych. Jak Tweedledum i Tweedledee. Naprawdę trudno ich rozróżnić. Oto wasza Ameryka. Oto, jak, moim zdaniem, wygląda Ameryka. Louisa tymczasem odeszła i teraz

wyglądała przez okno na rzekę, ledwie słuchając, a może wcale nie słuchając. Pomyślałem, że najwyższa pora spróbować przerwać tę dyskusję.

– Cóż – powiedziałem – przypuszczam, że pojawią się rozliczne interpretacje. Twoja jest jedną z nich. Ja mam swoją. Moim zdaniem jest to przypadek zera, które pragnie zmanifestować swoje istnienie. Głupi mały chłopiec z rodziny arabskiej, zapewne patentowany wariat, na którego społeczeństwo nie chciało nawet spojrzeć, nie chciało go zbadać, na którego społeczeństwo patrzy jak przez jednostronną szybę i którego nie raczy dostrzec, więc on stara się udowodnić swoje istnienie w jedyny idiotyczny sposób, jaki mu przychodzi do głowy. Chłopak, który nigdy niczego nie dokonał, za mało ma na to oleju w głowie – dodaję pośpiesznie – poza rozwożeniem jarzyn starym rowerem w tym wielkim morzu spalin, które nazywamy Los Angeles, otóż ten chłopak postanawia zmusić naród, żeby zauważył, że on istnieje. Więc strzela do najbogatszego, najprzystojniejszego, najszcześniejszego, najbardziej znanego członka światowej elity, do którego udaje mu się dotrzeć. Jego prawdziwy motyw to pragnienie zwrócenia na siebie uwagi, chęć zmuszenia świata, by przyznał, że ktoś taki jak on istnieje. Uważam, że w tym tkwi sedno problemu i sądzę, że ktoś ten problem powinien rozwiązać.

– Ty też mogłabyś zrobić to, co zrobił Sirhan Sirhan – zwróciłem się z uśmiechem do Sam. – Bez przeszkód.

– Nie, nie mogłabym – powiedziała z miejsca Samantha. Potem uśmiechnęła się. – A zresztą, kurczę, kto wie, może *bym*. i mogła.

Obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem.

– Tak, cholera. Myślę, że *bym* mogła, panie Hartley.

– W każdym razie – wtrącił Harry cichym, smutnym głosem – to interesująca koncepcja, Jacku. Chętnie z tobą na ten temat porozmawiam.

Wziął mnie za łokieć i poprowadził w stronę baru.

– A może on chciał sobie samemu udowodnić, że istnieje?

– Nie. To zbyt romantyczne – stwierdziłem.

W każdym razie udało mi się skierować rozmowę na inny tor.

Kiedy patrzę na nie teraz, z dystansu, mam wrażenie, że zabójstwo Boba Kennedy’ego, którego wszyscy – choćby przelotnie – znaliśmy, było punktem zapalnym, punktem, od którego wszystko poczęło się wśród nas psuć. Mówiąc o nas, mam na myśli Gallagherów i mnie. Ściśle rzecz biorąc, nie mogę siebie zaliczać do Gallagherów. Choć byłem z nimi niegdyś bardzo blisko i choć nadal jestem ojcem chrzestnym McKenny.

Mam solidne podstawy, by uważać, że gdyby nie późniejsze wypadki, nie byłoby problemu Hilla. Nie mogę tego udowodnić, ale w to wierzę. Być może nawet wróciłby do domu i znormalniał. Ale stało się inaczej.

Więc muszę się tym zająć. Nie mogę też pozbyć się niejasnego przeczucia, że gdyby mały głupi arabski chłopak nie zabił tak bezsensownie drugiego Kennedy'ego, to, co się z nami stało, mogłoby nie mieć miejsca. Wiem, że to przesąd. Głupi, idiotyczny, niegodny człowieka. Tak, jak obwinianie Boga o własne klęski i przypadkowe nieszczęścia. Ale ja jestem człowiekiem przesądnym. Jestem, do licha, i już. Może jednak Samantha zareagowałaby inaczej, nie tak cynicznie. I może Louisa nie straciłaby głowy i wymyśliła dla siebie jakieś rozwiązanie.

W każdym razie w czwartek szóstego czerwca policja opróżniła należące do rządu zakłady samochodowe Renault w Flins, przy Autoroute de l'Ouest koło Mantes.

Posunięcie to nastąpiło nad ranem i wywołało tego dnia w Paryżu nowe demonstracje uliczne, które o mało co znów nie przerodziły się w walki. Na skutek nieporozumienia studenci demonstrujący pod Łukiem Tryumfalnym myśleli, że przemarsz kilkuset byłych spadochroniarzy przez Champs-Élysées był rozmyślną kontrdemonstracją, wymierzoną przeciwko nim. W rzeczywistości kombatancki maszerowali w hołdzie dla Wiecznego Płomienia ku czci Nieznanego Żołnierza, który spoczywa pod łukiem. Studenci i robotnicy zaczęli śpiewać *Międzynarodówkę*, podstarzali weterani natomiast ripostowali *Marsylianką*. Doszło do bijatyki na pięści w różnych punktach Pól Elizejskich, a starcia ustały dopiero wtedy, gdy przywódcy studentów i spadochroniarzy wspięli się na dach jakiegoś samochodu i wyjaśnili walczącym, że żadna grupa nie wiedziała o drugiej demonstracji, o jej czasie, miejscu i powodzie. W ten sposób udało się zapobiec wznowieniu walk ulicznych.

W piątek siódmego czerwca robotnicy i studenci przez cały dzień potykali się z policją z Flins, próbując ponownie zająć zakłady, skąd policja usunęła ich poprzedniego dnia. Studenci przyjechali aż z Paryża, żeby wziąć udział w walkach. Władze utrzymywały, że co najmniej tysiąc robotników wróciło do zakładów, żeby tam posprzątać – w nadziei, że zostaną z powrotem przyjęci do pracy.

Tego wieczoru, w piątek, *le General* znów pokazał się w telewizji i udzielił szumnie zapowiadanego wywiadu, który trwał całą godzinę. Rozmowę prowadził Michel Droit, ten sam dziennikarz, który rozmawiał z generałem w roku 1965 podczas poprzedniego kryzysu rządowego, i była to dyskusja wręcz intelektualna, z generałem grającym pierwsze skrzypce. Mówił głównie o „społeczeństwie zmechanizowanym” i o jego sukcesach, ale dodał, że ma ono swoje minusy, na przykład żywi skłonność do przedmiotowego traktowania robotników, i że jego zdaniem zarówno kapitalizm, jak i komunizm przyczyniają się do bezdusznej mechanizacji. Wyraził też nadzieję, że jego nowy plan „uczestnictwa” stanie się trzecią drogą, która wszystkim robotnikom da poczucie podmiotowości, pozwalając im podejmować decyzje wspólnie z zarządami firm. Jednocześnie, dodał, związki zawodowe zwalczały go w tej sprawie, ponieważ takie rozwiązanie pozbawia je częściowo władzy. Mówił też trochę o reformach uniwersyteckich.

Było to staroświeckie gawędzenie przy kominku i generał wypadł całkiem dobrze. Ciekawe było to zmiękczenie tonu po twardym kursie, jaki obrał trzydziestego maja. I trudno byłoby coś zarzucić jego rozumowaniu. W sumie jednak kontynuował tę samą historię. Wszystko stracone, przestrzegął generał, jeśli Francuzi nie pójda za nim. Wówczas władzę obejmą niepoprawni komuniści, których totalitarny ustrój spowoduje ten właśnie proces dehumanizacji, jakiego on starał się uniknąć.

Trudno mi było się tym wszystkim specjalnie przejmować po zamachu na Bobby'ego w Kalifornii. Trudno się było czymkolwiek innym interesować, W sobotę rano, w sobotę ósmego czerwca, jak tylko wstałem z łóżka, Harry Gallagher zadzwonił do mnie ze swego mieszkania przy nabrzeżu. Było dokładnie południe.

– Muszę się z tobą zobaczyć, Jacku, i to zaraz.

– Hm, czy możesz mi dać godzinę? – zasugerowałem, zdaje się, że dość płaczącym tonem. Nie znoszę, jak mi się przeszkadza w porannej toalecie. I Harry o *tym* świetnie wiedział. Nagle przypomniało mi się, że jego syn, Hill, zadzwonił parę dni wcześniej o podobnej porze. Jeszcze się nie zdecydowałem powiedzieć rodzicom Hilla o jego wyjeździe. – Czy ta sprawa może zaczekać?

– Nie, nie może. Muszę się z tobą zobaczyć natychmiast. Przesiaduję po kawiarniach od świtu, bo nie chciałem ci zakłócać odpoczynku. Ale teraz już się obudziłeś. Nie mogę czekać ani chwili dłużej.

– Cóż, chyba ci nie będzie przeszkadzało, że się będę golił w trakcie rozmowy? – spytałem zirytowany.

– Nie, możesz się golić. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Możesz choćby bić konia w trakcie naszej rozmowy.

– To raczej mało prawdopodobne – odparłem oschle.

– Zaraz będę – oznajmił, jakby mnie nie słyszał. Byłem w łazience, kiedy wszedł.

Przycupnął na skraju łóżka niczym zaniepokojony czymś wielki ptak o długich nogach, może struś.

– No i co się, do cholery, stało?

Wyrząłem z łazienki, z twarzą w dwóch trzecich pokrytą pianą. Byłem przepasany ręcznikiem kąpielowym.

Nie odpowiedział od razu, więc wycofałem się, wytarłem ostrożnie brzytwę brzegiem ręcznika i zacząłem ją ostrzyć o pasek. Trzeba zawsze uważać, żeby na brzytwie nie zostały włoski, ponieważ w trakcie ostrzenia mieszają się z *pate* i powodują tępienie ostrza.

– Chciałbyś się czegoś napić? – spytałem.

– Już sobie nalałem – powiedział i podszedł do drzwi łazienki ze szklanką w ręce. Oparł się o framugę.

Kontynuowałem golenie, zbierając pierwszą warstwę zarostu i pianę z prawej strony twarzy.

– Co się, u diabła, stało?

– Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć – zaczął. Zaczerpnął głęboko tchu i wyrzucił z siebie:

– No więc Louisa ma romans z Samanthą.

Muszę zapisać na swoje konto, że się nie zaciąłem. Podciągnąłem skórę na policzku, żeby sprawdzić, czy wszystko wygoliłem poniżej linii szczęki. To zawsze jedno z najtrudniejszych miejsc.

– Co się z tobą dzieje, Harry? Wariujesz czy co?

– Oczywiście, że wariuję – powiedział głosem, muszę to przyznać, lodowatym, stalowym. –

To nie wszystko. Sam dziś wyjechała.

– Wyjechała?

– Wyjechała z Paryża. Do Izraela. Na sugestię Louisy. Leci przez Rzym.

– To dobra wiadomość.

– Dla kogo?

– Dla pytki.

– Za chwilę może uznasz, że wcale nie taka dobra.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Idź teraz do pokoju i usiądź sobie. Chciałbym się ogolić nie podrzynając sobie gardła. Nalej sobie jeszcze albo czymś się zajmij. Potem, jak nie będę się musiał koncentrować na dwóch rzeczach naraz, porozmawiamy o twoich podejrzeniach i o czym tylko będziesz chciał. Chyba nie chcesz stracić najlepszego przyjaciela?

Odwrócił się bez słowa i wyszedł z łazienki, piastując w dłoni szklankę, jakby to było pęknięte jajko.

Kiedy wróciłem do pokoju, natarty wodą kolońską i ubrany w kimono, stał z nogą opartą o kaloryfer przed szeroko otwartym podwójnym oknem i wpatrywał się w niespokojną w porze południa rzekę. Niedaleko przepływała akurat barka; jak przez megafon słyszeliśmy miarowy stukot jej dieslowskiego silnika, gdy zmierzała pod prąd w stronę Pont de la Tournelle. Harry najwyraźniej znów sobie nalał, kiedy kończyłem się golić, bo gdy wychodził z łazienki, szklanka była prawie pusta, a teraz – więcej niż w połowie pełna.

– Myślę, że ja też się napiję. No więc, co to za kiczowata historia?

Harry odwrócił się do mnie i pociągnął ze szklanki głęboki haust.

Rozdział dwudziesty czwarty

Okazało się, że poprzedniego wieczoru wrócił do domu trochę wcześniej niż w ostatnich dniach. Kręcił, wraz z „rolami głównymi”, sceny z jakiejś demonstracji, żeby uzupełnić tło, chcąc chłopcom z Komitetu Filmowego zastąpić to, co utracili bądź co sami źle sfilmowali. Ale demonstracja nie wypaliła i wcześniej skończyli kręcenie. Więc i do domu wrócił wcześniej.

Sam sobie otworzył (było może pół do drugiej) i cicho zamknął za sobą drzwi, a zaraz po wejściu zdjął buty. Zawsze tak robił, kiedy wracał po północy, żeby nie budzić Louisy. Jak zwykle przeszedł przez korytarz do salonu, żeby sobie nalać ostatnią szklaneczkę na sen, ale tym razem idąc korytarzem, w skarpetkach, zdał sobie sprawę z obecności dwóch postaci, które w nocnej poświacie leżały na sofie w saloniku, po jego lewej ręce. Była tam zabytkowa lampa stojąca z kutego żelaza, która jak zwykle paliła się przez całą noc u wezglowia znajdującej się w rogu sofy. Nietrudno było zauważyć dwie leżące osoby.

Nie miał wątpliwości, że to Louisa i Sam. Leżały we dwie na sofie, całkowicie ubrane, obojętne. On nie wydał żadnego dźwięku. One też, nawet przypadkowego szelestu. Trudno by było powiedzieć, kto leży na kim, leżały raczej obok siebie, choć Samantha jedną nogę przerzuciła przez biodro Louisy, dość zaborczym gestem, przy czym spódnica jej się podsunęła, obnażając ładną, drobną pupę i majtki, których najwyraźniej jeszcze nie zdjęła. Całowała Louise mocno w usta; Harry użył, jak się zdaje, wyrażenia „z całej duszy”. Louisa miała zamknięte oczy. Nie było widać jej rąk, ale sądząc z pozycji ciała musiały chyba leżeć wzdłuż boków. Przez parę sekund chłonał ten widok, jak na nieruchomym ujęciu filmowym. Potem odwrócił się na pięcie, odszedł na palcach i po cichu opuścił mieszkanie. Za drzwiami, na klatce schodowej, włożył buty.

Był tak zaskoczony, wręcz zaszokowany, jeśli chcecie, że nie wiedział, co począć. W głowie kołatała mu głównie myśl, że nie chciałby przyłapać Louisy na gorącym uczynku, bo to by ją wprawiło w straszne zakłopotanie. Poszedł więc na górę do swojej pracowni, otworzył, od środka przekręcił dwa razy klucz, zostawiając go w zamku i położył się na łóżku. Nie był potem pewien, czy zasnął. Jeśli nie śnił, to na pewno rozmyślał o nich, wyobrażał to sobie, oczyma duszy widział, jak to robią, za punkt wyjścia biorąc to, co ujrzał przedtem na sofie; powolne zdejmowanie ubrań, ociążałe rozbieranie, całowanie się po piersiach, dalsze obejmowanie, pocałunki z całej duszy, nagość, i tak dalej.

Tu mu przerwałem.

– Jak one to robiły, Harry? W tym twoim śnie czy wizjach.

– Och, oczywiście sześćdziesiąt dziewięć. A przynajmniej Sam to robiła Louisie. Nie jestem

pewien, nie pamiętam. Ale wiem, że się kochały.

To przecież jego Fantazmat, jego Superfantazmat, podkreślał, o którym mówił mi tyle razy. Ale nigdy nie wyobrażał sobie, że własna żona może być jedną z uczestniczek. Denerwował się. Przypomniawszy sobie zasadę, że na te rozbierane przyjęcia nie chodzi się z żonami.

Można tam było zabrać kogoś, kogo się nie kocha, w kim się nie jest zakochanym, ale nie kogoś, za kim się szaleje. Z pewnością nigdy nie chciał, żeby jego żona bawiła się w takie rzeczy. Leżał tak w pracowni, śniąc lub wyobrażając sobie, nie jest pewien, co to było, przez dość długi czas. Dwie godziny, trzy? Potem wstał i wyszedł, zostawiając to, co się działo w saloniku, własnemu biegowi, własnemu losowi. Z nabrzeża spojrzawszy raz do góry, na oświetlone okno.

Błąkał się po okolicy przesiadując to w jednej, to w drugiej nocnej kafejce. Koło pół do dziewiątej wrócił do domu, z piekącymi oczyma. I czekał w tym cholernym saloniku do czasu, aż wiedział, że powinienem już być na nogach – dopiero wtedy zadzwonił. Wypił cztery szklanki whisky, nie licząc dwóch u mnie, i czuł się znacznie lepiej. Miał zamiar jeszcze tego samego dnia lecieć do Rzymu.

Tu przerwał i w mieszkaniu zaległa okropna cisza; czekał na moją odpowiedź.

– Wiesz, Harry, ja po prostu nie wierzę, żeby Louisa miała, żeby mogła mieć romans z dziewczyną. Z Samantha, czy nie z Samantha. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Myślę, że widziałeś coś, czegoś naprawdę nie widział. W końcu to twój fantazmat, sam wiesz.

– Tak, fantazmat – potwierdził Harry, a oczy mu nagle rozbłysły. – Ale ja nie miewam halucynacji. Wiem, co widziałem.

– No dobrze. Choć nie mogę w to uwierzyć. Przypuszczam, że po prostu nie chcę uwierzyć.

– Możliwe. Ale musisz mi uwierzyć na słowo.

– Przyjmuję twoje słowo. Niemniej nadal trudno mi uwierzyć. Czy... czyś z nią o tym rozmawiał?

– Oczywiście, że nie.

– Sądzę, że niesłusznie. Może miałyby jakieś sensowne wytłumaczenie?

– Jakże tu może być sensowne wytłumaczenie?

– Może ona temu zaprzeczy.

– Oczywiście, że zaprzeczy. Ale to nic nie zmienia. Cholerni mężczyźni, pomyślałem sobie. Najpierw pieprzą naokoło, co im wpadnie w ręce. A jak potem ich żona robi coś z grubsza podobnego, wrzeszczą jak skaleczony pawian.

– Mimo wszystko uważam, że powinieneś z nią porozmawiać – powiedziałem starając się zachować zrównoważony ton. – Na oba tematy.

– Jak to oba?

– O tym, co zobaczyłeś. Może będzie miała jakieś wyjaśnienie. I o twojej decyzji wyjazdu do Rzymu.

Nagle ogarnęło mnie przemożne wrażenie *deja vu*. Taka sama scena już mi się raz przydarzyła. I – oczywiście – od razu sobie uświadomiłem, że myślę o rozmowie z Louisą, wtedy, kiedy do mnie przysłała we wrześniu pięćdziesiątego dziewiątego. Kiedy chciała porzucić Harry'ego. Dobry Boże, pomyślałem sobie, teraz znów będą mieli dziecko, a ja będę musiał stać się ojcem chrzestnym także dla niego.

Harry wyglądał przez okno. Kiedy stałem, wpatrując się z dość idiotyczną miną w jego plecy pod wrażeniem tej nagłej myśli, odwrócił się do mnie.

Spróbowałem opanować wyraz twarzy; udało się.

– Tyle przynajmniej jesteś jej winien – powiedziałem.

– Nikomu nic nie jestem winien. Zwłaszcza w tej chwili. Wyjeżdżam do Rzymu, za Sam. I wybieram się z nią do Izraela.

– No to chociaż idź przedtem do domu i porozmawiaj z Louisą – nalegałem, a potem coś mnie tknęło. – Powiedz mi, skąd wiesz, że to Louisa namówiła Sam do wyjazdu, skoro z nią nie rozmawiałaś?

– Sam mi powiedziała. Widziałem się z nią dziś rano, o dziewiątej, zanim poszedłem do domu. Była już spakowana, czekała na taksówkę, która miała ją zawieźć na Orly. Nie zamierzała się nawet ze mną pożegnać. „Pomyślałam sobie – powiedziała – że będziesz wiedział, gdzie mnie szukać, jeśli mnie zapragniesz.” Ja miałbym jej nie pragnąć? W życiu mi się nie trafiła taka gratka. Nie miało większego sensu powtarzać mu, że wariuje. Nawet jeśli rzeczywiście wariował, powtarzanie niewiele by pomogło. Przyszło mi na myśl co innego.

– Słuchaj no, odpowiesz mi na osobiste pytanie? Czy kochałeś się z nią dziś rano w hotelu?

– Oczywiście, że kochałem się z nią dziś rano w hotelu.

– Ty chyba naprawdę zwariowałaś, Harry – powiedziałem, mam nadzieję, że dość zdziwionym głosem. – A co z drugą dziewczyną?

– Nie musimy mieć za każdym razem drugiej dziewczyny – stwierdził i nagle się uśmiechnął. – Są inne sztuczki.

Przypomniało mi się przedstawienie z „karaniem”, jakie mi zaaplikowała, sama się przy tym onanizując. Domyślałem się, że są inne sztuczki.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – powiedziałem słabym głosem.

– Nawet nie próbuj. Nie sądzę, żebyś miał na to dość wyobraźni.

Odstawił pustą szklankę. Czy miał zaczerwienione, przypomniałem sobie, że nie spał przez całą noc. Wreszcie powiedział, a raczej wystrzelił jak z karabinu:

– Ale czemu ona, do jasnej cholery, wyjechała w ten sposób, zostawiając mnie na lodzie?

– Nie wiem – odparłem. Ale miałem wrażenie, że wiem, po tym, co ona sama mi powiedziała. Poza tym kilka razy powtarzała nam wszystkim, że tak naprawdę to zależy jej na Louisie. – Wiem tylko, że sam doradzałem jej wyjazd, ale ona za każdym razem odmawiała.

– Ty? Ty! Więc ty także namawiałeś ją do wyjazdu?

– Miałem nadzieję, że uda mi się usunąć ją z pola widzenia, zanim zdarzy się jakaś okropna katastrofa. Ale teraz, zdaje się, już i tak za późno.

– Na pewno. Tyle że nie nazywałbym tego katastrofą.

– Proszę cię, porozmawiaj z Louisą, zanim odlecisz. Tyle możesz dla mnie zrobić – dodałem z uśmiechem – w imię wieloletniej przyjaźni. I tak musisz iść do domu, żeby się spakować, prawda?

– Dobrze. Zrobię to. Rzeczywiście, muszę się spakować.

– Dziś rano wcale nie widziałeś Louisy?

– Nie. Jeszcze spała. A w każdym razie była jeszcze w sypialni. Ja tam nie wchodziłem, a ona nie wyszła.

– Proszę, porozmawiaj z Louisą.

– Kurczę, przecież ci to obiecałem, nie?

Nagle gwałtownym ruchem wyciągnął z mego barku butelkę whisky i nalał sobie do szklanki. Nie zawracał sobie głowy lodem ani wodą sodową.

– Cholera, nie rozumiem, jak ona mogła tak wyjechać, nawet się ze mną nie pożegnawszy!

Nie odpowiedziałem. Wypił tę swoją czystą whisky, wyprostował się, popatrzył na mnie surowym, nieprzytomnym wzrokiem, obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Stamtąd powiedział:

– Wpadnę jeszcze na chwilę tuż przed wyjazdem.

– Dobrze, Harry – zgodziłem się i umilkłem na dobre.

No cóż, nie poskutkowało. Tym razem nie poskutkowało. Wrócił po dwóch godzinach i kiedy wpuszczałem go do budynku, usłyszałem, jak stawia dwie ciężkie walizy na staromodnych sześciokątnych kafelkach, którymi wyłożona jest podłoga na parterze.

– Nic im się tu nie stanie, prawda? – zawołał z dołu.

– Nie ma obawy, Harry.

Cofnąłem się do mieszkania i czekałem tam na niego.

Przechodziłem ciężki okres. Nie miałem ochoty na jedzenie. W dodatku, gdybym wyszedł na miasto, mógłbym się rozminąć z Harrym, jeśliby dzwonił lub przyszedł. W lodówce była szynka w plastrach, wczorajsza bagietka jeszcze się zeschła, miałem też musztardę. Ale głód odczuwałem tylko w żołądku. Więc chodziłem tam i z powrotem po całym mieszkaniu albo wyglądałem przez okno na rzekę i pilnowałem się, żeby za dużo nie wypić. Nie jestem przyzwyczajony pić od rana. Mimo to czekając na Harry'ego wypilem przynajmniej trzy szklaneczki whisky. Oczekiwałem, że zadzwoni i powie, że wszystko w porządku, a nie, że wróci, a już z całą pewnością nie spodziewałem się, że wróci z dwiema pękatymi walizami.

No cóż, wszedł na górę w nagłym przypiływie energii, po czym obsłużył się przy barku. Tym razem zrobił to najzupełniej spokojnie: powoli nalał sobie umiarkowaną porcję whisky, dodał lodu z wiaderka, uzupełnił wodą sodową. Nie powiedział na razie ani słowa. Ja też milczałem. Nie zamierzałem go w tej sprawie wypytywać.

– No tak – odezwał się w końcu, popijając i patrząc na mnie. – To była niezła przeprawa.

Wolałem uchylić się od komentarza.

Po dłuższej chwili zaczął mówić. Patrzyłem w bok, przez okno na rzekę, i słuchałem – myślałem, że tak mu będzie łatwiej. Louisa siedziała w salonie i jadła zwykłe swoje śniadanie: grzanki z masłem, z kawą i sokiem. Z reguły wstawiała wcześniej. Miała na sobie, jak zazwyczaj, przezrystą koszulę, na którą narzuciła jeszcze zwiewniejszą podomkę, więc jej dość masywne piersi nie tylko dobrze się pod tym materiałem rysowały, ale wręcz ekscytująco przyciągały wzrok. Oczy miała szeroko rozwarte, rozgwieżdżone, jak wtedy, kiedy w telewizji pokazywano zabójstwo Bobby'ego Kennedy'ego.

– Wróciłem wczoraj w nocy do domu – powiedział jej Harry. – Ale potem wyszedłem.

– Tak? – Wargi miała zaciśnięte, jak dwa kłapiące węże, dokładnie tak jak tamtego wieczoru, w rozmowie ze mną. – A to czemu?

– Bo nie chciałem ci przeszkadzać.

– Przeszkadzać?

– W tym, co robiłaś. W tym, co obie robiłyście z Samanthą.

– Ach tak?

– Tam, na sofie. – Wskazał ręką. – W rogu. Nocna lampka jeszcze się świeciła.

– Ach tak, starałam się pocieszyć tę biedną dziewczynę. Dziwne, że cię nie usłyszałam. Ale przecież trzeba było podejść. Biedactwo. Ona w gruncie rzeczy nigdy nie miała matki.

Cedziła słowa przez zaciśnięte wargi, wciąż gapiąc się na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Pocieszyć!...

Harry twierdził, że to słowo wyrwało mu się samo, potem próbował się opanować i uśmiechnąć.

– Moim zdaniem to wcale nie przypominało pocieszania.

– Może, ale tym właśnie było – odparła z całym spokojem Louisa. – Czemuś nie wszedł? A *propos*, ona mi mówiła, że z nią sypiasz. Czy to prawda?

– Tak, to prawda. W każdym razie sypiałem. Ona dziś poleciała do Rzymu, skąd chce jechać do Izraela. Więc teraz z nią nie *sypiam*.

– Odleciała? Och, to dobrze. Sama jej to radziłam. A ona się ze mną *zgadzała*. Pomyślałam, że może się wplątać w sytuację bez wyjścia, jeśli zostanie tutaj, w pobliżu ciebie.

– Cóż, wyjechała. Posłuchała twojej rady.

– Cieszę się – stwierdziła spokojnie Louisa. Wtedy właśnie chciał ją uderzyć, jak mi

opowiedział.

Ale, oczywiście, nie uderzył.

– Cóż, może cię zainteresuje, że i ja lecę do Rzymu, za nią. Jeśli jej tam nie złapię, pojedę za nią aż do Tel Awiwu i tam ją dogonię.

– No cóż, oczywiście, o tym to już musisz zdecydować sam, nieprawdaż?

Louisa powiedziała to bardzo spokojnie, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma. Po czym z powrotem zabrała się do śniadania.

– Oczywiście – przytaknął z zapalem Harry. – Posłuchaj! Czy ty chcesz mi wmówić, że pocieszałaś tę dziewczynę, podczas gdy w rzeczywistości leżałyście na sofie namiętnie się obciskując? Chcesz mi powiedzieć, że się nie kochałyście?

– Tyś chyba zwariował, Harry – odparła Louisa, patrząc na niego spokojnie. Sięgnęła po grzanekę z masłem. – Co się z tobą dzieje? Zawsze podejrzewałam, że masz robaczywe myśli. Czy to prawda?

– Że co?

– Że wariujesz.

Delikatnie odgryzła kawałek grzanki, po czym sięgnęła po kawę. Znad filiżanki patrzyła na niego spokojnie, tymi swoimi szeroko rozwartymi oczyma. A potem, kierując wzrok na stół, spokojnie wróciła do śniadania.

Wówczas Harry wymaszerował z salonu. W sypialni wrzucił trochę ubrań do dwóch waliz, po czym wytaszczył je do hallu. Louisa nie oderwała się od śniadania. Wyszedł. Tak oto znalazł się u mnie.

Była to dość paskudna historia, od początku do końca. Wciąż wyglądałem przez okno. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić Louisy, biednej drogiej kochanej Louisy, w objęciach tamtej dziewczyny, czy zresztą jakiegokolwiek, zwłaszcza w taki sposób, jak to Harry przedstawił.

A jednak, pomyślałem, a jednak. Nagle przypomniały mi się owe wszystkie panie z Nowej Anglii i z San Francisco, które w początkach naszego wieku przyjeżdżały do Paryża. Nie tylko Gertruda Stein, Sylvia Beach i inne znakomitości. To był cały exodus. Czy z Bostonu, czy z San Francisco, wszystkie miały to samo zaplecze środowiskowe co Louisa: liberalne myślenie, politycznie liberalne, z silnym poczuciem służby publicznej i obowiązków społecznych, wszystkie uważały, że są prześladowane seksualnie. I co się z nimi działo? Po co, w gruncie rzeczy, przyjeżdżały do Paryża, dlaczego? Bo były lesbijkami, wszystkie co do jednej. Ostatnio, w ciągu minionych trzech lat, często spotykałem na różnych przyjęciach ich siostrzeńców; byli to zwyczajni absolwenci prawa z różnych świetnych uczelni, którzy przyjeżdżali do Francji uregulować sprawy spadkowe swych zmarłych niedawno w paniństwie ciotek. Mieli niewyraźne miny. Wszystkie ciotki mieszkały ze swymi „towarzyszkami”. Zwykle kupowały sobie, z odziedziczonych środków, ładne, choć dziś już staroświeckie mieszkanie na Lewym Brzegu, z

reguły pomiędzy rzeką a Boulevard St.-Germain. Zazwyczaj zostawiały świetnie zaopatrzone biblioteki książek angielskich.

Interesowały mnie właśnie księgozbiory. W ten sposób wszedłem w ten krąg. Siostrzeńców literatura piękna zajmowała w tym samym stopniu co rugby. A często mniej. Z reguły chcieli oddawać całe zbiory do American Library, co oznaczało fizyczną pracę. Na pewno nie chcieli trawić czasu na sprzedawanie. Tym bardziej nie zamierzali wydawać pieniędzy na spakowanie książek i odesłanie ich z powrotem do Stanów, żeby je tam sprzedać. Ale nowoangielskie sumienie nie pozwalało im tak po prostu zostawiać bibliotek w mieszkaniach, które miały iść na sprzedaż. Ja mówiłem zawsze: „Niech pan pozwoli mi wszystko obejrzeć. Jeśli będzie tam coś, co mnie zainteresuje, zajmę się całością w pańskim imieniu”. Niezmiennie ozywiali się na tę propozycję. Jak powiedziałem, żaden z tych prawników nie dbał za grosz o książki. Przypuszczam, że w ciągu ostatnich trzech lat zająłem się co najmniej sześcioma bibliotekami po starych pannach z Nowej Anglii lub z San Francisco, albo z obydwu tych miejsc. Znalazłem kilka niezwykle rzadkich książek. Wśród nich co najmniej trzy egzemplarze pierwszego wydania *Ulissesa* Joyce’a, wydania z roku 1922, nakładem Shakespeare & Co. Sylvii Beach, z czego dwa podpisane przez samego mistrza z dedykacją dla danej panienki. Znalazłem też komplet pierwszych wydań Vachela Klindsaya, wprawdzie lekko stęchły i zbutwiały, ale za to w czterech książkach były autografy autora dla właścicielki kolekcji lub jej „przyjaciółki”.

Resztę, czyli pozycje, których nie chciałem, zgodnie z obietnicą pakowałem do swojego samochodu i zawoziłem do American Library jako dar imienia danej pani. Młodzi prawnicy byli zadowoleni, że ktoś wykonał za nich czarną robotę.

Wszystko to przeleciało mi przez głowę w serii błyskawicznych wspomnień-wrażeń. Zważywszy, że te starzejące się panny z dawnych lat, z takim samym co Louisa zapleczem środowiskowym posiadały ową szczególną cechę, czemuż by Louisa, o pokolenie później, nie miała jej mieć, tyle że niejako pozostającą w uśpieniu, jak motyle nabite na szpilkę i zanurzone w plastyku.

– No więc właściwie co ci mam powiedzieć, Harry? – spytałem odrywając wzrok od widoku za oknem.

– Nie chcę, żebyś mi nic mówił, stary. Nic a nic.

– A co z tym filmem, nad którym pracowałeś? Nie możesz go chyba tak po prostu zostawić i wyjechać?

– Masz na myśli ten western? Ależ mogę. Mam umowę, która gwarantuje, że mogę przerwać swój udział w produkcji w każdej chwili, jak tylko rzecz z dowolnego powodu przestanie mi się podobać. Zawsze zabiegam o tego rodzaju kontrakty. A ten film zdecydowanie przestał mi się podobać.

– No a co z młodymi z Komitetu Filmowego, którzy tak bardzo na ciebie liczą?

– To i tak przegrana sprawa. Nie mają szans. Nie na tym świecie. Po prostu nie ma dość materiału, który by się nadawał na tło. Oglądałeś ze mną te kawałki. Oni mają dobre chęci, ale cholerni z nich amatorzy. Najzwyczajniej nie znają warsztatu.

W ustach Harry’ego chyba trudno było o gorszą obelgę.

– Podjąłem się tego tylko ze względu na Hilla, przecież wiesz. A teraz ten głupi gówniarz wyfrunął z kojca. Ale i tak zostawiam im mój film. Załatwione, już go dostali.

– Czyś ty to robił dla Hilla, czy w ramach rywalizacji z nim?

– Dla niego. Wiesz równie dobrze jak ja. Inaczej w ogóle bym sobie tym nie zawracał głowy.

– No a co będzie z małą McKenną, z moją chrześniaczką?

– Z nią? Ależ ona jest urządzona, jest urządzona dużo lepiej od nas. Ta młoda dama ma wszelkie szansę zostać pierwszą kobietą-prezydentem prześwietnych Staników Zjednoczonych Ameryki Północnej.

– Może lepiej opowiem ci o Hillu? – spytałem.

– Co takiego? – Zareagował od razu.

– Wyobraź sobie, że obiecałem mu, iż nie powiem ani tobie, ani Louisie. Ale w tych szczególnych okolicznościach, jakie zaistniały, myślę, że mam prawo ci o tym powiedzieć. Hill wyjechał do Cadaqucs. Wiesz, tam, gdzie byliście na wakacjach przed dwoma laty. Zdaje się, że związał się z grupką amerykańskich hipisów czy bitników, czy jak tam się oni teraz nazywają. Stał się hipisowskim buddystą Zen, wyrzekł się świata. Pojechał tam, żeby mieszkać w jednej z okolicznych jaskiń i medytować. Harry wybuchnął nagle śmiechem.

– Ach, to nie potrwa dłużej niż rok. Wszyscy przechodziliśmy takie okresy. Ty nie przechodziłeś? Na pewno. Do licha, za rok będę zapewne z powrotem, powrócę do starego zaprzęgu.

Po czym dodał z uśmiechem:

– Chyba, że trafię do Indii albo na Bali, zależnie od sytuacji.

Podszedł do miejsca, w którym stałem, ze szklanką w ręce, i staliśmy tak razem przy parapecie, patrząc na głucho warkoczące barki na rzece, płynące pod prąd z ładunkiem piasku, oliwy lub żwiru.

– No a co będzie z Louisą? – spytałem.

– Ona z pewnością umie się o siebie zatroszczyć – rzucił zimno.

I tyle. Harry najwyraźniej zadbał o formalności związane z lotem do Rzymu i dalej, za pośrednictwem znajomego faceta od Public Relations w TWA. Tamten zdołał załatwić mu, mimo tak krótkiego wyprzedzenia, miejsce w samolocie do Rzymu, i to w pierwszej klasie. W dodatku tak to zrobił, że Harry zapłacił oficjalnie za bilet turystyczny. Dokładnie tak samo, na prośbę Harry’ego, załatwił miejsce Samancie.

Harry spojrzął na zegarek i odszedł od okna.

– Czy mogę stąd zamówić taksówkę?

Nie oderwałem wzroku od rzeki i przez chwilę nie odpowiadałem. Ale potem pomyślałem, że to do niczego nie prowadzi.

– Oczywiście – powiedziałem cicho. – Podaj mój numer Cheque-Taxi.

– Za pięć minut – powiedział odłożywszy słuchawkę.

– Zawsze mówią, że za pięć minut – stwierdziłem. – Ale przyjeżdża po trzech.

I przyjechała po trzech. Staliśmy w oknie, póki się nie zatrzymała. Potem Harry klepnął mnie po plecach i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Na dole, jak już z kierowcą upchnęli walizy w bagażniku, podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie błyszczącym uśmiechem, błyskając białkami oczu i zębami, a potem mi pomachał.

Wreszcie wsiadł do środka i znikł, a taksówka ruszyła i zagubiła się w ruchu ulicznym na moście.

Rozdział dwudziesty piąty

Nie poszedłem tego wieczoru do Gallagherów na tradycyjne amerykańskie spotkanie. Po prostu nie miałem na to sił. Zjadłem kolację sam i wcześniej położyłem się spać. Przypuszczam, że Louisa pełniła honory domu, choć nie było Harry'ego ani Samantha. Ale nieraz się już tak zdarzało. Jeśli sama nie poruszyła tego tematu, nikogo by nie dziwiła ani nie niepokoiła nieobecność tamtych dwojga. Więc domyślam się, że nic nie powiedziała. W każdym razie nikt, nawet Weintraub ani Ferenc Hofmann-Beck, nie mówił mi, jakoby coś niezwykłego wydarzyło się w sobotę.

W niedzielę rano zadzwoniła Louisa, około pół do dwunastej. Na szczęście już byłem na nogach, umyty i ogolony. Jadłem właśnie lekkie śniadanie, po którym wybierałem się po niedzielne gazety. Paryska „Herald Tribune” nie wychodzi w niedziele, a po angielskie wydanie niedzielne „Timesa” czy „Observera”, które lubię, muszę chodzić aż na St.-Germain-des-Pres. Francuzi nie znają tradycji niedzielnych gazet. To *znaczy* same gazety mają, ale ich jakość nie zadowala predylekcji, jaką my, Anglosasi, żywimy dla gazet niedzielnych.

– Muszę się z tobą spotkać, Jacku – powiedziała przez telefon. – Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

Mówiła osobliwym, bezdźwięcznym głosem, jaki miała od paru dni, od śmierci Bobby'ego Kennedy'ego. Choć poruszała intensywnie wargami i wpatrywała się w rozmówcę, jej głos brzmiał dziwnie głucho.

– Dobrze, droga Louiso. Właśnie jem śniadanie. Napijesz się ze mną kawy? A może pójdziemy do kawiarni z ogródkiem? Przy sobocie – po robocie...

Próbowałem obrócić sprawę w żart.

– Nie. Chcę się z tobą spotkać u ciebie. W twoim gniazdku.

– Dobrze. Nie będę wychodził.

– Dziękuję – powiedziała tonem pensjonarki, która otrzymuje dyplom ukończenia szkoły dla panien z dobrego domu.

Przypuszczam, że wszystko razem powinno być dla mnie ostrzeżeniem. Nie było. Dojście z domu, położonego nieco dalej przy nabrzeżu, zajęło jej ledwie kilka minut. Kiedy zadzwoniła, siedziałem nadal w kimonie, tyle że przyniosłem tacę ze śniadaniem z sypialni do dużego pokoju.

Cóż, nadal patrzyła szeroko rozwartymi oczyma, a wargi miała zaciśnięte. Wpatrując się w punkt położony parę centymetrów nad moją głową, od razu przystąpiła do rzeczy. Przyjęła filiżankę kawy, ale zanim wypięła choć łyk, powiedziała:

– Jacku, chciałabym, żebyś miał ze mną romans. Proszę zwrócić uwagę – mówię to na swoją obronę – że nie powiedziała: „Chciałabym mieć z tobą romans”. Powiedziała: „Chciałabym, żebyś miał ze mną romans”.

Najpierw spróbowałem zareagować na wesoło:

– Co? Moja droga Louiso! Z największą przyjemnością! – zawołałem i uśmiechnąłem się szelmowsko.

– Ale musisz wiedzieć, że wychowałem się według surowych zasad. Nie mógłbym mieć romansu z żoną najlepszego przyjaciela. To do mnie nie pasuje.

– Najlepszego przyjaciela... – powiedziała patrząc w dal parę centymetrów nad moją głową.

– Przypuszczam, iż wiesz, że Harry poleciał do Rzymu. W ślad za tą dziewczyną, której tak starałam się pomóc.

– No tak. Wiem. Wpadł do mnie przed wyjazdem, żeby się pożegnać.

– Myślałam, że mógłbyś... Wiesz, mogłam uratować tę dziewczynę. Gdyby nie on. Wydaje mi się, że ona cierpi na jakąś ukrytą fobię nimfomanii. Już ją z tego wyprowadzałam. Albo tak mi się zdawało. Ale wszystko, co robiłam, z góry niweczył fakt, że on z nią sypiał. Więc... więc chcę, żebyś miał ze mną romans. Żeby sytuacja stała się do końca jasna.

– Ależ Louiso, moja droga. Musisz wiedzieć, że nie mógłbym czegoś takiego zrobić.

– A to dlaczego? – spytała. A potem powiedziała coś nadzwyczajnego: – Zawsze się we mnie kochałeś.

To był nokaut. Zadawałem sobie pytanie: Czy rzeczywiście? Czy stwarzałem takie wrażenie, przez te wszystkie lata? Czy to raczej jej egocentryzm? Zastanawiając się nad tym, w ciągu paru sekund, jakie miałem do dyspozycji, stwierdziłem, że chyba tak. Ale to nie była miłość tego rodzaju. To nie była taka miłość, przy której chciałbym oglądać i pieścić te przyjemnie ciężkie piersi, obserwować i całować te zapewne twardniejące sutki, buszować dłonią po tajemniczym mrocznym trójkącie, żeby dotrzeć do jej środka, znaleźć to przejście, to wejście, które większość kobiet tak nadgorliwie poddaje męskiej eksploracji. Nie tego rodzaju miłość do niej żywiłem. Być może miałem ten rodzaj miłości dla Martine. Ale na pewno nie dla Louisy.

– Nie mogę, Louiso – powiedziałem, lekko przerażony. – Musisz to zrozumieć. Ze względu na mnie, musisz zrozumieć. A przynajmniej pozwól mi to przemyśleć. Chyba nie chcesz, żebyśmy tak po prostu wstali, rozebrali się i pieprzyli tu, na mojej sofie Drugiego Cesarstwa albo na podłodze.

Zakrztusiłem się przy mocniejszym słowie. Ale miałem nadzieję, że to ją otrzeźwi.

– Czemu nie? – pytała wpatrując się w coś, w jakąś zjawę, parę centymetrów nad moją głową. – Tak, tego właśnie pragnę. Dokładnie tego.

Wstała, całkiem nagle, i zaczęła zdejmować żakiet kostiumu.

Ja też wstałem. Żeby ją powstrzymać. Chwyciłem żakiet i wsunąłem jej rękę z powrotem w

rękawy, po czym poprawiłem jej kołnierzyk na plecach. Nie stawiała oporu. Odrzuciła natychmiast głowę do tyłu, zamknęła oczy, lekko rozwarła usta w oczekiwaniu na pocałunek. Ale jej nie pocałowałem.

– Louiso, my po prostu nie możemy tego zrobić. Nie teraz, kiedy jesteś wytrącona z równowagi.

– No pewnie, że jestem wytrącona z równowagi – powiedziała wymijająco.

Potem wyprostowała się i poprawiła żakiet, i znów utkwiała wzrok w punkcie ponad moją głową.

– Tak, jestem. Masz rację. Zresztą i tak nic by chyba z tego nie wyszło. Musimy się częściej spotykać. Musisz wpaść na kolację.

I ruszyła do drzwi.

– Louiso! – zawołałem za nią. Czułem się fatalnie. – Musisz zrozumieć, że ja nie jestem tak ukształtowany! Musisz to zrozumieć!

– Och, rozumiem. Rozumiem. Wszystko rozumiem. Albo prawie wszystko.

– Louiso! Ja ci nie daję kosza! – wykrzyknąłem zrozpaczony.

– Och, z pewnością. To rozumiem. Tyle przynajmniej rozumiem. Proszę cię, zadzwoń. Umówimy się wkrótce na kolację.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Właściwie to trzasnęła nimi, ale nie ze złości czy z frustracji. Po prostu lekko trzasnęła drzwiami.

Usiadłem na sofie Drugiego Cesarstwa i zatopiłem twarz w dłoniach.

Po prostu nigdy o niej nie myślałem w tym kontekście.

Zadzwoiła do mnie tego samego wieczoru, około pół do dwunastej. Nie jadłem tego dnia kolacji. Ale wchłonąłem pewną, może nawet dość znaczną ilość whisky. Zarazem jednak osobliwa żalność, poczucie, że popełniłem niewybaczalny błąd, wypaliło zbawienne procenty, niczym alun, więc umysł miałem czysty i trzeźwy jak dziecko – i mniej więcej tyle wiedziałem.

W każdym razie, choć niezbyt szczęśliwy, byłem w pełni władz umysłowych, kiedy zadzwoiła. Dlatego od razu pochwyciłem niezwykłą intonację.

– Jack?

– Tak. Tak, Louiso.

– Jack? Mój kochany Jacku! Ja się w tobie zawsze kochałam, wiesz? Nie wiedziałeś o tym, prawda? Ale tak było. Ty reprezentujesz to wszystko, czym Harry zawsze chciał być, ale nigdy nie został. Ale zawsze się w tobie kochałam, Jacku. Odkąd się u nas pojawiłeś, jak zakładałeś pismo. Czy wiesz, że to ja nakłoniłam Harry'ego, żeby w nie zainwestował. Nie, myślę, że tego nie wiedziałeś. Zresztą może to nie tylko moja zasługa. On sam też chyba tego chciał. Tylko po

prostu brakło mu odwagi. W każdym razie to jest piękne pismo. Dużo lepsze niż „Paris Review”. A ja kocham się w tobie od tamtego czasu. I chciałam ci to wreszcie powiedzieć.

Nastąpiła cisza. Jej głos miał w sobie monotonną śpiewność.

– Louisa? Louisa? Wszystko w porządku?

– Och, tak, tak. Dobrze się czuję. Wyjeżdżam do Szwajcarii.

– Co takiego? Do Szwajcarii?

– Och, tak. Do Szwajcarii. Wiesz, Szwajcaria!!! Tam jest pięknie. St. Moritz. Wszystkich tam można spotkać. W każdym razie wszystkich, co się liczą. I można jeździć na nartach. Można zjeżdżać ze szczytów. Wiesz. Z samego szczytu i potem szybować bez końca. Jadę szybować bez końca. Jadę na narty. Ale pamiętaj, że się w tobie kocham, Jacku, od pierwszego dnia, kiedyś się u nas pojawił. Proszę cię, nie zapominaj o tym.

– Louiso! Ty jedziesz na narty?

– Och, tak. Tak. Jadę na narty. Na narty, Jacku. Och, narty, to takie piękne. Z samych szczytów. A poniżej nic prócz czystego, białego śniegu. Czystego. I białego. Ani śladu zła, brudu, świństwa. Kilka chat wiernych wieśniaków, którzy kochają swoje krowy i ziemię. I nie chcą zabijać. A ty jesteś na samej górze, po prostu w chmurach, i to wszystko do ciebie należy, a ty to wszystko kochasz. Och, tak. Jadę na narty, Jacku. Żegnaj, moja miłości, moja wielka miłości. Mój kochany Jacku.

Odłożyła słuchawkę i w telefonie zapadła martwa cisza.

Byłem przerażony. Nie wiedziałem, czy coś jej się w mózgu przekreśliło, czy przyczyna była inna, ale instynktownie zdawałem sobie sprawę, że stało się coś złego. I czułem, że powinienem do niej pójść. Nic nie jadłem, nie zdążyłem się też ubrać. Wciąż jeszcze byłem pod wrażeniem porannej sceny. Zrzuciłem kimono, na nagie ciało naciągnąłem spodnie od dresu, starą koszulę i kurtkę, na nogi tenisówki bez skarpet. Biegłem całą drogę do jej mieszkania, trzy przecznice dalej.

No cóż, widok był okropny. Po prostu straszny. W czasie, jaki upłynął od naszej rozmowy telefonicznej do mego przybycia, Louisa straciła przytomność i w tym stanie znalazła ją pokojówka. Miła niezgrabna Portugalka, przyjaciółka mojej Portugalki, klęczała obok sofy na środku salonu, zawodziła i załamywała ręce. Kiedy przyklęknąłem obok, starając się odnaleźć puls w delikatnym, szlachetnym przegubie Louisy, Portugalka wybełkotała coś piskliwym głosem i wybiegła z pokoju.

McKenna na szczęście spała u siebie w łóżku. Louisa tak to sobie wyliczyła. Drzwi zewnętrzne zostawiła nie zamknięte na klucz, tak żebym mógł od razu wtargnąć. Czy i to wykalkulowała? Czy liczyła na to, że przyjdę ją uratować? W tamtej chwili tak sądziłem. Ale później, kiedy się przekonałem, co zażyła, zmieniłem zdanie.

Wystroiła się na tę okazję. Miała na sobie jedną z najcieńszych, najbardziej przezroczystych

kreacji, być może tę właśnie, którą Harry opisał mi poprzedniego dnia. Była do tego zdolna. Pod spodem miała biały stanik z dobrej delikatnej materii, przez który dwie ciemne sutki przezierały jak dwoje czarnych oczu, a niżej bardzo skąpe majteczki, pod którymi dawał się wyraźnie dostrzec ciemny trójkąt włosów.

Ale ja nie zwracałem na to wszystko uwagi. Nie mogłem wyczuć tętna w przegubie ręki, ale Louisa, jako osoba o delikatnych, wąskich żyłach, miała prawo mieć słaby puls. Namacałem więc miejsce na szyi, nad obojczykiem, ale i to nie dało mi niestety pewności. Gdzie się podziała ta cholerna Portugalka? Przykładałem ucho do ust i do nosa Louisy, ale jeśli w ogóle oddychała, to bardzo słabiutko i płytko. Kciukiem podciągnąłem powiekę, a kompletnie niewrażliwa gałka oczna, bardzo powiększona, odpowiedziała mi szklanym wejrzeniem.

Zastanawiałem się nad sztucznym oddychaniem metodą usta-usta, ale pomyślałem, że najpierw lepiej wezwać karetkę, zaraz, natychmiast, więc wstałem i podszedłem do telefonu. Ale potem przyszło mi do głowy, iż może zapytają mnie, co zażyła, żeby doradzić jakąś bezpośrednią kurację, więc pobiegłem rozejrzeć się po sypialni. No i oczywiście na nocnym stoliku stał duży słoik po aspirynie, zupełnie pusty, i duże foliowe opakowanie po środkach nasennych, też puste, po ośmiu czy dziewięciu tabletkach. Była jeszcze fiołka po nembutalu, również pusta. A na samym początku zauważyłem, że przy łóżku stoi na podłodze szklanka i opróżniona w połowie butelka wódki. Najwidoczniej zażyła dawkę, która mogła by zabić całą armię. Wtedy właśnie zmieniłem zdanie w kwestii otwartych drzwi.

Zadzwoiłem do Szpitala Amerykańskiego w Neuilly, żeby przysłali karetkę. Wolałem zadzwonić do nich niż na policję, ze względu na publiczny skandal. Policja francuska poważnie traktuje samobójstwa, nieudane podlegają karze jako, bodajże, wykroczenie, jeśli nie wręcz przestępstwo, kiedy sąd jest surowy. Ale kiedy telefon, jeszcze nie odebrany, dzwonił w szpitalu, w mieszkaniu pojawił się lekarz, Francuz z bródką, w ciemnej marynarce i z wielką czarną torbą. Przepuszczalnie mieszkał w pobliżu i sprowadziła go wierna Portugalka.

Wreszcie podniesiono słuchawkę.

– Czy możecie zaraz przysłać karetkę na Quai de Bourbon 49? – powiedziałem. – Tak. Na trzecim piętrze.

Niewysoki lekarz przyklęknął, żeby zbadać Louise.

– Do kogo pan dzwoni? – spytał po francusku.

– Do Szpitala Amerykańskiego.

– To za daleko. Nie zdążą stamtąd przyjechać. Niech pan zadzwoni na policję. Zabierzemy ją do Hotel-Dieu, na Ile de la Cite.

– Tak?

– Serce przestało bić. Nie wiem, jak dawno temu. Daję jej zastrzyk neosyneferyny. Może wzbudzi akcję serca. Ale musimy ją szybko przewieźć do szpitala. A w karetkach przysyłanych

przez policję są butle tlenowe.

– Dobrze, panie doktorze. Już tam dzwonię.

– Jeśli serce nie pracowało przez więcej niż cztery, pięć minut, mogą zajść poważne uszkodzenia mózgu. Nawet jeśli uratujemy jej życie...

Nakręciłem numer. Rozszlochana Portugalka wycofała się w kąt, gdzie załamywała ręce i zalewała się łzami. Dyżurny odebrał, bardzo fachowo przyjął zgłoszenie i odłożył słuchawkę. Ja ciągle jeszcze klęczałem, wpatrując się w czarną słuchawkę na widełkach. A potem nagle się wściekłem. Dlaczego, pomyślałem, próbujemy ją ratować? Skoro jakaś głupia dziwka chce umrzeć, czemu jej w tym przeszkadzać? Dlaczego tak się troszczymy o zachowanie życia? A jednak. I wszyscy to robimy. Niemniej naprawdę się wściekłem. Kusiło mnie, żeby podejść do sofy, obrócić Louise na bok i kopnąć w nieprzytomny tyłek. Co ona nam zrobiła, jak śmiała!

Lekarz wciąż się przy niej krzątał.

– Praca serca wznowiona – powiedział nagle i wyprostował się. – I oddech wrócił.

Na jego drobnej brodatej twarzy pojawił się wyraz niezmierniej ulgi.

– Mam tylko nadzieję, że przerwa w pracy była zbyt krótka, żeby spowodować uszkodzenia mózgu.

– Nie mogę panu powiedzieć. Kiedy się tu zjawiłem, nie udało mi się wymacać pulsu, ale nie wiem, jak długo trwał ten stan. A ta Portugalka nie szukała pulsu. Nie wie, jak to się robi.

Pokiwał głową. Potem wstał, bardzo zmęczony. Miałem go ochotę uściskać.

Na dworze zahuczała syrena. Była coraz głośniejsza, w końcu umilkła. W parę sekund później czterech dziarskich francuskich policjantów wmaszerowało ciężkimi butami do pokoju, niosąc nosze i butlę tlenową z maską na usta i nos.

Działali bardzo sprawnie. Jeden odkręcił tlen, drugi przyłożył Louisie maskę do twarzy, pozostali dwaj rozłożyli nosze i bezceremonialnie przełożyli delikatne kobiece ciało z sofy na nosze, po czym owinęli je kocem i ruszyli do drzwi, a pierwszy idąc obok niósł butlę z tlenem.

– Myślę, że powinienem z nimi pojechać.

– Tak – stwierdził lekarz. – Czy wie pan, co zażyła?

– Tak. Tylko nie wiem ile. Jest słoik po aspirynie, pusty. Potem opakowanie po ośmiu albo dziewięciu tabletkach nasennych, też puste. I fiolka po nembutalu. Na dwadzieścia tabletek, pusta. A obok łóżka stoi na wpół opróżniona butelka wódki.

– Dobry Boże! – westchnął lekarz.

Znów miałem ochotę go uściskać. Ale tylko wylewnie uścisnąłem mu dłoń.

– Powinien pan wziąć dowody rzeczowe. To ułatwi pracę lekarzom.

Pobiegłem po nie do sypialni (już zmierzaliśmy do drzwi). Policjanci byli gotowi do drogi. Pomachałem doktorowi. Potem, z syreną wyjąca osobliwie, na modłę francuską, na dwa tony, objechaliśmy kraniec wyspy i przez Pont Louis-Philippe przejechaliśmy na Prawy Brzeg, a

stamtąd do Hotel-Dieu na Ile de la Cite. Jeden z policjantów, ten, który przykładał maskę do twarzy Louisy, spojrzął na mnie i mrugnął, po czym zrobił minę i wzruszył ramionami.

Wewnątrz samochodu rozlegał się tylko syk uchodzącego z butli tlenu i odgłos wysiłonego oddechu Louisy.

Nigdy przedtem nie byłem w środku Hotel-Dieu. Mieści się on przy placu zwanym Place du Parvis Notre-Dame, blisko frontonu Notre-Dame, gdzie dawniej za różne zbrodnie rozrywano ludzi koźmi. W ten sposób zginął tu zabójca Henryka IV. Hotel-Dieu ma w sobie coś średniowiecznego, przynajmniej z zewnątrz, i zdaje mi się, że z początku, dawno, dawno temu, był tu szpital położniczy. Na placu przed budynkiem rosną w dwóch rzędach drzewa, a obok stoi wspaniały stary pisuar. Musiałem tędy przechodzić miliony razy, zwłaszcza że w pogodne dni lubię korzystać z tego starego pisuaru, ale, jak powiadam, nie miałem nigdy okazji wejść do środka.

No cóż, karetka policyjna wjechała do środka, jakby to robiła codziennie od dziesiątków lat, i może tak było naprawdę. W środku, za wielką dębową bramą, znajdował się przepiękny średniowieczny dziedziniec, brukowany, otoczony ładnymi, wysmukłymi kolumnami. Zanim zdążyłem wysiąść, czterej policjanci wynieśli nosze z karetki i weszli z nimi do sali nocnego pogotowia. Młody doktor Kildare ze stetoskopem, w białym kitlu, obejrzał Louise w hallu i skierował do sali zabiegowej, gdzie nie wolno mi było wejść. Policjanci pożegnali się ze mną i wyszli. Tak więc usiadłem sobie na ławce w hallu i czekałem.

Zajmowali się nią może przez piętnaście minut. W *ty*m czasie widziałem, jak inni policjanci przywieźli trzy inne ofiary nagłych wypadków. Był tam starszy człowiek, ze straszliwie poturbowaną głową, napadnięty gdzieś w okolicach Montmartre'u, biedak, nie bardzo rozumiałem, po co ktoś miałby na niego napadać. Był też młody człowiek, którego samochód zderzył się z autobusem. Miał na czole siny guz wielkości dwóch jaj i nic nie widział, ale mógł chodzić, prowadzony przez dwóch policjantów. Trzeci padł ofiarą porachunków na noże przy placu Pigalle, przypuszczalnie alfons. Wszystkich kierowano natychmiast do sali zabiegowej, Wreszcie wynurzył się stamtąd młody doktor Kildare i podszedł do mnie.

– Czy wie pan, co zażyła? – spytał po francusku. Pokazałem mu opakowanie po lekarstwach.

– Do tego sporo wódki. Butelka stała przy łóżku. Nie wiem, ile tego połknęła. Ale pokojówka powiedziała mi, że aspirynę dopiero co kupiła.

Młody lekarz zwinął wargi, jakby chciał zagwizdać, ale nie wydał żadnego dźwięku.

– No cóż, mam wrażenie, żeśmy ją odratowali. Ale nie jestem jeszcze całkiem pewien. Musiała bardzo chcieć odejść. Ale może pan iść do domu. Teraz już pan nic dla niej nie zrobi. Przekonamy się za kilka dni.

Niedawno otwarto w Hotel-Dieu nowoczesny oddział intensywnej terapii i tam ją innymi drzwiami przewieziono. Młody doktor Kildare był bardzo dumny z tego oddziału. Powiedział, że

jeśli tylko można jeszcze jej pomóc, oni zrobią to najlepiej.

– Czy pan jest mężem?

– Nie. Przyjacielem. Przyjacielem rodziny. Ja ją znalazłem.

– Ona chyba myśli, że pan jest jej mężem. Wzruszyłem ramionami.

– Ale nie jestem.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Podziękowałem mu i wyszedłem na dwór, w rześkie powietrze nocy. Na średniowiecznym dziedzińcu z kolumnadą stała karetka Szpitala Amerykańskiego. Pokojówka odesłała ją za nami do Hotel-Dieu. Oczywiście już nie była potrzebna. Powiedziałem, żeby sobie pojechali, i zapłaciłem. Suma nie była wygórowana.

Potem ruszyłem do domu. Chłodne świeże powietrze wspaniale owiewało mi twarz. Poszedłem wzdłuż boku Notre-Dame, w górę rzeki do Pont St. Louis, przeszedłem przez brzydki Baileyowski most, potem wzdłuż nabrzeża doszedłem do domu.

Wypiłem trzy szklanki whisky, wyglądając przez okno na płynącą w mroku rzekę.

W końcu zażyłem mogadon i poszedłem do łóżka.

Wiedziałem, że nazajutrz czeka mnie trudny dzień.

Rozdział dwudziesty szósty

Przez następne pięć dni nie zwracałem większej uwagi na rewolucję. Tyle aż dni, pięć, potrzebowali lekarze, żeby móc definitywnie powiedzieć, że Louisa jest po bezpiecznej stronie. Choć z początku bredziła coś, jak mi powiedział młody doktor Kildare, potem zapadła w stan komy, z którego wyszła dopiero piątego dnia. Byłem tam codziennie, prawie cały czas, choć prawdę mówiąc, w niczym nie mogłem jej pomóc i w szpitalu chyba już mieli dość mego widoku.

Oczywiście nie straciłem do końca kontaktu z tym, co się dzieje. Rankiem przeglądałem gazety, także wieczorem, gdy wracałem do domu, ale muszę przyznać, że bez większego zainteresowania.

Na przykład w poniedziałek dziesiątego czerwca poniósł śmierć osiemnastoletni student: utonął koło Flins, gdzie robotnicy i studenci nadal demonstrowali i walczyli z policją. Utonął w Sekwanie, w starej dobrej Sekwanie, w nurcie rzeki, która płynęła tuż pod moimi oknami i w którą wpatrywałem się do późnej nocy. Policja twierdziła, iż razem z innymi rzucił się do wody, żeby uniknąć wylegitymowania, ale nie umiał pływać. Studenci twierdzili, że to było „morderstwo”, że policjanci rozmyślnie wepchnęli go do Sekwany. Była to bodaj pierwsza śmiertelna ofiara całej rewolucji. Wcześniej w Lyonie komisarz policji zginął przygnieciony do muru przez wywrotkę pełną kamieni, którą studenci uruchomili i puścili po pochyłej ulicy, ale trudno to uznać za zabójstwo z premedytacją. Potem, nieco później, młody człowiek (najprawdopodobniej nie student) zginął od noża przed kawiarnią na rue Soufflot w Paryżu, w sporze o dziewczynę. Policja nie miała z tym w ogóle nic wspólnego. Teraz mieliśmy sprawę Flins, trudno było jednak rozstrzygnąć, kto kłamie prasie ze względów propagandowych. Tego dnia, w poniedziałek wieczorem w całej Dzielnicy Łacińskiej wybuchły demonstracje studenckie, podczas których w paru miejscach wzniecono pożary, dopóki policja nie rozpędziła demonstrantów gazem łzawiącym i ślepymi granatami. Policjanci, zgodnie z zapowiedzią i ostrzeżeniem władz, działali teraz ostrzej i studenci nie umieli stawić im czoła. Ale niespecjalnie mnie to wszystko interesowało. Nie chodziłem do miasta, żeby popatrzeć. Martwiłem się o Louise.

W poniedziałek powiedziano mi w szpitalu, że jej stan jest bardzo poważny. Utrzymywano ją przy życiu na oddziale intensywnej terapii, ale nie było żadnych oznak poprawy. Pozwolono mi ją zobaczyć.

Z jakiegoś powodu tak się stało, że cały młody personel oddziału intensywnej terapii,

pielęgniarki i lekarze, uczynił z jej przypadku sprawę osobistej ambicji. Siedziałem przy łóżku Louisy ponad dwie godziny.

Widok, muszę przyznać, nie był przyjemny. Gdyby była przytomna, z pewnością uznałaby, że wręcz poniżający. Trzymali ją pod plastikowym namiotem, kompletnie nagą. Młoda pielęgniarka czuwała przy łóżku na okrągło. Ciało Louisy (waham się przed powiedzeniem: Louisa) pociło się obficie i pielęgniarka co rusz je wycierała. Z obu nozdrzy wystawały rurki, a ręce przywiązano do ramy łóżka. Nad lewą wisiąca butla z glukozą, igła kroplówki tkwiła w żyłę. Gdyby interesował mnie wygląd jej piersi i kroku, mogłem zaspokoić ciekawość. Nogi miała rozwarłe, tak że widać było nawet wargi sromowe. Ale nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Ja też nie.

Siedziałem przy łóżku i mówiłem do niej przez plastikowy namiot. Nie wiedziałem oczywiście, czy mnie słyszy, ale uważałem, że warto spróbować. Pielęgniarki i lekarze powiedzieli mi, że Louisa nie stara się wyzdrowieć, więc jej tłumaczyłem, że powinna się postarać. Myślałem, że może to do niej dotrze. Jeśli tylko mnie słyszała. Jeśli tylko mogła mnie słyszeć, mimo że leżała nieprzytomna.

Po dwóch godzinach mówienia byłem wyczerpany. Wyszedłem, mijając łóżka innych nieprzytomnych i ciężko rannych. W jednym rozpoznałem biednego staruszka, którego przywieziono z pokiereszowaną głową, kiedy tamtej nocy czekałem przed salą zabiegową. Oczywiście miał nieruchome i chyba nic nie widział.

Przyjemnie było przejść się do domu, wzdłuż cielska Notre-Dame. Dzień był słoneczny, a ja łaknąłem słońca. Po drodze są przyjemne kafejki, nastawione głównie na turystów, wstąpiłem do jednej z nich, żeby się czegoś napić. Kiedy wróciłem do domu, zamówiłem rozmowę z Rzymem, z Harrym.

Przypuszczałem, że zatrzymał się w hotelu Excelsior przy Via Veneto; i rzeczywiście. Ale nie było go w pokoju, jak mnie poinformował recepcjonista. Domyśliłem się, że poszedł gdzieś na obiad. Powiedziałem, że zadzwonię później, i podałem swoje nazwisko, starannie je literując. Po czym wyszedłem, żeby samemu coś zjeść.

Kiedy wróciłem i ponowiłem próbę, zastałem go. Najwyraźniej czekał na mój telefon.

– Dzwoniłeś do mnie? – spytałem.

– Tak. Ale nikt nie podnosił słuchawki. Po czym po chwili:

– Co się stało? Czemu do mnie dzwoniłeś? Zawahałem się.

– Louisa jest w szpitalu.

– Co? W szpitalu? A co jej jest? To mnie trochę zirytowało.

– Próba samobójstwa – powiedziałem. – Wygląda na to, że zażyła wystarczającą ilość różnych świństw, żeby wytruć cały pułk.

Znowu pauza.

– No i jak się czuje? – spytał w końcu.

– Niezbyt dobrze. Jest w komie. Było zatrzymanie akcji serca. Ja ją znalazłem. Zabrałem ją do szpitala karetką policyjną, pod tlenem. Próbuja ją tam odratować. Ale mówią, że może umrzeć.

– O Boże. Cholera. Znowu pauza.

– No cóż, posłuchaj. Informuj mnie na bieżąco. Zawsze możesz mnie tutaj zastać po południu, tak o tej porze. Jeszcze stąd nie wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Do Tel Awiwu.

– Samantha poleciała?

– Spóźniłem się o trzy godziny. Teraz byłem już naprawdę wściekły.

– Posłuchaj, Harry – powiedziałem zimno. – Nie mam najmniejszego zamiaru wyręczać cię w urządzaniu cholernego pogrzebu. Przyjaźń też ma swoje granice.

W słuchawce zapadła cisza.

– Przypuszczam, że jeśli umrze, będę musiał wrócić, prawda?

– Będziesz musiał, jeśli chcesz, żeby ją pochowano – powiedziałem z furią w głosie. – Ja do jasnej cholery nie zamierzam się tym zajmować.

– Och, ktoś to załatwi... Edith de Chamrolet. Dzwoniłeś do Edith?

– Nie, jeszcze nie – powiedziałem starając się nie wybuchnąć.

– Więc do niej zadzwoń. Zadzwoń do Edith. Ona lubi pomagać. Uwielbia dobre uczynki.

Pomyślałem sobie, że w życiu nie spotkałem się z podobną gruboskórnością. Ale potem Harry powiedział nagle:

– Wiesz, ona to już robiła parę razy. I ja ją z tego wyciągałem. Wielkim kosztem materialnym i duchowym. Już mnie to *zaczyna* męczyć.

– Ach tak? Nie wiedziałem.

– Cóż, taka jest prawda. Staraliśmy się trzymać rzecz w tajemnicy. Raz to było jeszcze w Ameryce, w jeziorze. A raz tu, w Europie, przed dziesięcioma laty, kiedy pojechała w odwiedziny do Anglii. O mały włos nigdy by nie wróciła z sobotnio-niedzielnego wypadu na wieś. Poleciałem wtedy do niej. Ale powoli *zaczyna* mnie to, do cholery, męczyć.

– Cóż, mnie też *zaczyna* to męczyć. Kurczę, Harry, ja nawet w życiu nie przespałem się z tą kobietą, wiesz.

Doprowadzał mnie do szału.

– A ty tysiące razy – dodałem.

– Może powinieneś.

– Piękne dzięki – warknąłem i umilkłem. Cały aż się gotowałem.

– Posłuchaj – zaczął po chwili milczenia. – Zadzwoń do mnie jutro i powiedz, jak się sprawy mają, dobrze? Odwołam rezerwację na lot do Tel Awiwu. Będę tu, w hotelu, jutro o tej samej porze. Zgoda?

– Owszem – wycedziłem. – Zadzwonię do ciebie jutro o tej samej porze. Bez względu na to, jakie będą wieści.

I odłożyłem słuchawkę.

Byłem tak wściekły, że poszedłem do barku i wychyliłem trzy szklanki whisky pod rząd, wpatrując się przez okno w rzekę.

Radził, żebym zadzwonił do Edith de Chambrolet. Zrobiłem to. Poznałem Edith kiedyś u Gallagherów, a potem niejedną raz bywałem u niej na kolacji. Spore kolacje, zawsze bardzo eleganckie, na osiem do dwunastu osób. Należała do najbogatszych kobiet w Ameryce, wyszła za zubożałego francuskiego hrabiego i miała z nim czterech synów, obecnie już dorosłych i usamodzielnionych. Żeby znaleźć sobie zajęcie, zaczęła studiować antropologię i chodziła na wykłady na Sorbonę. Wierzyła też w oceanografię, uważała, że to jedyny sposób na uratowanie Ziemi przed eksplozją demograficzną. Uczyła się nurkować bez skafandra i pilnie uczęszczała na wykłady z geologii podmorskiej i biologii morza. Stała się na przykład ekspertem w zakresie rozpoznawania rekinów. Mówiła z najszerszym, najbardziej przeciągłym „a”, jakie w życiu słyszałem, a oczy miała roziskrzzone. Była niesłychanie pociągająca seksualnie, ale nigdy nie dała mi żadnego znaku, a sam nie wykazałem inicjatywy. Ale bardzo ją lubiłem.

– Ale kochaaanie – powiedziała, kiedy streściłem jej całą historię. – Oczywiście, że przyjadę. Nie będę nawet próbował oddać brzmienia tych przeciągłych śpiewnie głosek.

– Czy możesz być u mnie około dziesiątej?

– Oczywiście, że będę. Musimy tę sprawę wyprowadzić na prostą. Wiesz, że to nie pierwszy raz. Znam całą historię.

Najwyraźniej, choć Harry starał się o dyskrecję, Edith wiedziała o wszystkich wypadkach, choć ja nigdy o niczym takim nie słyszałem.

Przybyła punktualnie o dziesiątej. Kazałem Portugalce, żeby mnie wcześniej obudziła, i o tej porze byłem już umyty i ubrany. Razem poszliśmy przez most i koło Notre-Dame do Hotel-Dieu.

– Nie martw się – powiedziała Edith, kiedy przechodziliśmy przez dziedziniec z wysmukłymi kolumnami. – To cudowne miejsce. Jeśli ktoś może jej pomóc, to właśnie oni. Sprawdziłam to miejsce.

Energicznie zapukała do budki umundurowanego stróża.

– Ależ z tej Louisy skończona kretynka – mówiła na starych kamiennych schodach. – Powinna sobie znaleźć młodego faceta. Jednego z tych pedałowatych typków, którzy zawsze się kręcą w oczekiwaniu zdobyczy. Włoskiego fryzjera. Oni wszyscy wyglądają jak pedały, ale my,

dziewczęta, wiemy, że tak naprawdę wcale nie są zboczeni, kochanie.

A kiedy szliśmy obok rzędów łóżek, na których leżeli umęczeni, bliscy śmierci ludzie, mówiła:

– Czy to nie wspaniałe? Co za niezwykła wydajność. Mnie język stanął kołkiem i czułem się tam, w jej obecności, fatalnie.

– Słuchaj, Louiso – powiedziała podnosząc z jednej strony namiot tlenowy. – Musimy skończyć z tymi bzdurami. Musimy wziąć się w garść. Wiem, że cię na to stać.

I opuściła powłokę.

– Powtórzę jej to jeszcze raz trochę później. Niech jej się to na razie wryje w podświadomość. Jestem pewna, że mnie usłyszała. Mimo że jest nieprzytomna.

Zostaliśmy jeszcze z godzinę i Edith ponownie przemówiła do Louisy, sprawdzivszy przedtem, czy upłynął stosowny czas.

– Cudowne miejsce – rozplęwała się, kiedyśmy wychodzili. – Tylko popatrz na te urządzenia. Jak na Francję, to wielki postęp. Powinni się zdobyć na podobne podejście w biznesie.

– A co zrobimy z McKenną? – spytałem, kiedy przez wielkie dębowe wrota wyszliśmy między dwa rzędy drzew. Przed nami, od strony Notre-Dame, ujrzałem mój ulubiony pisuar.

– Cóż, mój drogi, zawsze może zostać u mnie.

– Może tak właśnie trzeba będzie zrobić.

– Ależ oczywiście. Sądzę jednak, że powinniśmy poczekać dzień, dwa, aż dostaniemy prognozę co do stanu Louisy, wtedy podejmiemy decyzję. Coś jej powiedział?

– Na razie nic jej nie mówiłem. Kazałem tylko Portugalce trzymać buzię na kłódkę, w każdym razie w obecności McKenny. Staralem się ją porządnie nastraszyć. Chyba mi się udało.

– To dobrze. Świetnie. Domownicy lubią gadać. Jest to dla nich namiastką picia.

Doszliśmy tymczasem do starego, okrągłego pisuaru.

– Pozwolisz? – szepnąłem.

– Ależ, kochanie, oczywiście.

Kiedy wszedłem do pisuaru, żeby oddać mocz, Edith stała na zewnątrz; jej głos dolatywał mnie wśród letniego wietrzyku przez odkrytą górę sanitariatu.

– Mężczyznom zawsze chce się sikać, kiedy są zdenerwowani – powiedziała przeciągając głoski. – Kobietom z kolei trudno powstrzymać pęcherz, kiedy są przerażone, głęboko zakochane albo kiedy rodzą.

– Tak – zgodziłem się z nią wychodząc. – Też to zauważyłem.

– Doprawdy? – spytała z uśmiechem Edith. – Wracając do McKenny: myślę, że najlepiej będzie powiedzieć jej, że matka zachorowała i znalazła się w szpitalu, a ona powinna pomieszkać u mnie, póki mamie się nie polepszy.

– Wziąłbym ją do siebie. Ale jako kawaler...

– Który w dodatku lubi wypić.

– Coś w tym rodzaju. Poza tym mam tylko jedną, i to dość znerwicowaną służącą z Portugalii.

– Nie używaj słowa „służąca” – powiedziała szorstko Edith. – One tego nie lubią. Wolą, żeby je zaliczać do domowników.

– Więc naprawdę nie widzę, jak mógłbym ją do siebie zabrać. Ale z drugiej strony jestem przecież ojcem chrzestnym.

– Wybij to sobie z głowy. Nie masz odpowiednich warunków. A poza tym McKenna i ja żyjemy w wielkiej przyjaźni. Świetnie się ze sobą dogadamy u mnie w domu.

– A może poszłabyś teraz do mnie, żeby poczekać na McKennę, aż wróci ze szkoły? Najpóźniej o wpół do piątej.

Sam sobie zadałem pytanie, czy podświadomie nie podejmuję zakusów na Edith.

– Kochanie, niestety nie mogę! Mam wykład. Sorbona jest zamknięta, ale spotykamy się prywatnie, u profesora. Za piętnaście czwarta. Biologia morza. Ale coś ci powiem: spotkamy się u Gallagherów około siódmej, kiedy schodzą się tam Amerykanie. Zdaje się, że nie zarzuciliście tego zwyczaju. Po wiadomościach porozmawiamy z McKenną na osobności, tylko ty i ja, i podamy jej naszą wersję tego, co się stało, a potem ja ją wezmę ze sobą do domu. Myślę, że takie wyjście będzie dużo lepsze, niż zostawić ją z tą rozhisteryzowaną Portugalką. Nie uważasz?

– Tak. Zgoda.

– Czy mógłbyś mi wezwać od siebie z domu taksówkę, kochanie?

– Oczywiście.

Przechodziliśmy przez stary most Baileyowski, Pont St. Louis. Wiał miły wietrzyk.

Wieczorem po raz drugi tego dnia zadzwoniłem do Harry’ego do Rzymu.

– Co z Louisą? – spytał od razu.

– Bez zmian. Bez widocznych zmian.

– No dobrze. Zostanę tu jeszcze jedną noc i następną, i następną. I jeszcze jedną. Aż w końcu dostaniemy ostateczną diagnozę. Ale jeśli ona nie umrze, ja nie wracam.

– Czy oczekujesz, że ja się nią zaopiekuję?

– Nie. Oczywiście, że nie. Ale jest Edith. I mamy w Paryżu sporo przyjaciół, sporo przyjaciółek. Edith je zmobilizuje. Ona to uwielbia.

– McKenna będzie mieszkać u niej. Dziś widziałem się z Edith.

– To dobrze.

– A jeśli mózg jest uszkodzony?

– Jak to uszkodzony?

– No tak, lekarz, który dał jej zastrzyk wznawiający pracę serca, po przerwie, co trwała nie wiemy dokładnie ile minut, powiedział, że mogło dojść do poważnego uszkodzenia mózgu. To, jak się zdaje, oznacza, że może być jak roślina albo prawie jak roślina.

– Co z kolei może oznaczać, że będziemy ją musieli na stałe umieścić w czymś w rodzaju sanatorium?

– Tak. Czy oczekujesz, że się tym zajmę?

– Oczywiście, że nie. Załatwię kogoś, kto się tym zajmie. Jeśli zajdzie taka konieczność.

– W porządku, Harry. Myślę, że to bardzo uprzejmie z twojej strony.

– Odpieprz się! – wybuchnął. – Nie masz pojęcia, przez co ja już przeszedłem.

– A ty nie masz pojęcia, przez co ja przeszedłem. Życie nieźle mi w swoim czasie dało popalić.

– Cóż, mnie też dało się we znaki.

– Tak, ale to nie moja żona.

– Wiem, że nie twoja. Nigdy nie twierdziłem, że twoja.

– No więc zostaw mnie w spokoju! Pójdę teraz do szpitala do tej twojej żony! Na ten cholerny oddział intensywnej terapii! Ale nie oczekuj ode mnie niczego więcej!

– O nic cię nie proszę.

– Odpierdol się! Oczywiście, że prosisz! Prosisz mnie, żebym twojej cholernej żonie uratował życie! A ja wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę na tę pieprzoną robotę. Słuchaj, chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś marny dupek i w dodatku kompletnie nieodpowiedzialny jako facet, jako mąż i jako ojciec! Wiesz o tym?

I z trzaskiem odłożyłem słuchawkę.

Zaraz potem uświadomiłem sobie, iż zapomniałem mu powiedzieć, że zadzwonię następnego dnia. Trochę się tym zmartwiłem, ale nie miałem ochoty jeszcze raz starać się o połączenie. A poza tym przypuszczałem, iż zna mnie na tyle, żeby wiedzieć, że zadzwonię.

Następnego dnia Louisa wcale nie wyglądała lepiej. Jak mi powiedzieli lekarze w Hotel-Dieu, jej stan się nie pogorszył. Nie doszło do zapaści. Zarazem jednak oczekiwali szybkiego przełomu po kuracji, nagłego powrotu do stanu normalnego. A ten nie nastąpił. Siedziałem przed południem przy jej łóżku dobrą godzinę i mówiłem do niej usiłując zaszczepić jej wolę walki za pomocą słów. Edith zapowiedziała, że zrobi to samo pod wieczór. Donośny oddech Louisy bardzo działał na nerwy. Wyszedłem ze szpitala i poszedłem koło Notre-Dame, całkiem wypompowany, po czym po drugiej stronie mostu wstąpiłem do Brasserie na obiad. Nawet nie chciałem myśleć o zabraniu się do roboty.

Zdaje się, że cała ta cholerna wyspa znała wszystkie szczegóły sprawy. *Madame Dupont* odeszła od kasy i podeszła do mojego stolika, żeby o nią spytać.

– *Et comment va la pauvre madame Gallagher?* Powiedziałem, że nie najgorzej i że moim zdaniem wszystko będzie dobrze. Potem, kiedy odeszła, pojawiła się jej córeczka i spytała o to samo. Udzieliłem jej takiej samej odpowiedzi. Zjadłszy parówki z kapustą poszedłem do domu i położyłem się na łóżku. Portugalka przysłała, stanęła w drzwiach i zadała mi to samo pytanie.

Wieczorem znów zadzwoniłem do Harry'ego do Rzymu i zdałem mu relację z dzisiejszego dnia. Był chyba w kontakcie z lekarzami z Hotel-Dieu, którzy udzielili mu podobnych informacji co ja.

– Obawiałem się, że więcej nie zadzwonisz. Ale powinienem był wiedzieć, że zadzwonisz.

– Tak, ty mnie znasz – odparłem cicho. – Ale chciałbym, żebyś wiedział, że cię mam za kutasa. Złamanego kutasa.

– Może i nim jestem – powiedział powoli. – Tylko... Tylko ja myślałem, że ty jeden mnie rozumiesz, kiedy ci mówię, że nic na to nie mogłem poradzić.

– Trzeba było móc – uciałem nie bez zapalczywości.

– Może trzeba było. Zapewne.

Tym razem on pierwszy odłożył słuchawkę.

Poprzedniego dnia w różnych miejscach Paryża wywiązała się seria potyczek ulicznych. Studenci i robotnicy wyszli na ulice i starli się z tysiącami policjantów w hełmach i siłami **CRS**, także w hełmach. Rano nadeszła wiadomość o kolejnej ofierze śmiertelnej, tym razem chodziło o robotnika w miasteczku Sochaux niedaleko granicy szwajcarskiej, gdzie policja usuwała strajkujących z terenu fabryki. Zdaniem działaczy związkowych kula, która zabiła robotnika, dwudziestoczteroletniego Jeana Beylota, miała kaliber 9 mm. Policjanci nosili przeważnie pistolety tego kalibru. Policja, oczywiście, twierdziła i udowodniła, że robotnicy i chuligani skradli broń i amunicję z samochodów policyjnych i że żaden policjant tego dnia nie strzelał.

W każdym razie wiadomość ta wywołała w Paryżu kolejny dzień gwałtownych rozruchów. W Tuluzie, na południu Francji, demonstracja dwóch i pół tysiąca studentów przerodziła się w starcia z policją, w trakcie których studenci wzniesli liczne barykady i spalili sztab wyborczy gaullistów.

Ja nie wychodziłem na miasto. Miałem wrażenie, że to już naprawdę ostatnie podrygi, a poza tym martwiłem się o Louise. Ale policjanci i żołnierze tym razem reagowali ostrzej, w Dzielnicy Łacińskiej ogłoszono ściśle przestrzeganą godzinę policyjną i studenci zaczęli tracić grunt pod nogami. Sprawa powoli zbliżała się do końca. Opinia publiczna przestała sprzyjać studentom. Wielu robotników pragnęło powrotu do pracy. Nocą stałem w oknie popijając whisky, podczas gdy po drugiej stronie rzeki Dzielnica Łacińska gorzała od akcji i palonych samochodów. Echo setek ślepych granatów niosło się przez rzekę do moich uszu, błyski oświetlały sylwety domów. Stałem i patrzyłem, dumając o Louisie.

Nie mogłem się pozbyć myśli, że gdybym okazał więcej zrozumienia i troski, gdybym się zorientował, co ją naprawdę trapi, wtedy, kiedy przyszła i zażądała, żebym miał z nią romans, po czym odeszła i zrobiła tę szaloną rzecz, może dziś nie byłaby tam, gdzie jest. Tak więc, pośrednio, był to mój błąd i ja jestem winien.

A mimo to nadal nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak niby miałem ją uratować, skoro sprawy potoczyły się tak szybko, skoro tak zupełnie nie byłem na to wszystko przygotowany.

W środę wieczorem lekarze powiedzieli, że trochę, odrobinę się jej polepszyło. W każdym razie ciśnienie wróciło prawie do normy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Przez następne trzy dni byłem w stałym kontakcie telefonicznym z Harrym w Rzymie, co nie przedstawiało już większych trudności, gdyż pracownicy państwowi poczty, telefonu i telegrafu znów przystąpili do pracy. Harry nadal upierał się, że nie wróci, chyba że Louisa umrze. Ale nawet i w takim razie nie dawał pełnej gwarancji.

Zupełnie jakby mu na niej wcale nie zależało. Choć, muszę przyznać, powiedział parokrotnie, że mu jej żal. Wyglądało na to, że znieubił ją i stracił do niej wszelką cierpliwość od tej nocy, kiedy ją ujrzał z Samantha.

Louisa, a raczej powinienem powiedzieć: ciało Louisy, zaczęła w czwartek okazywać pierwsze oznaki poprawy. W każdym razie fizycznej – ciśnienie krwi, puls, temperatura, oddech i tak dalej. Nadal jednak była w stanie komy.

Wyszła z komy w piątek i od razu dostała ataku furii: strasznie się miotła. Udało jej się oswobodzić jedną rękę i wyrwać z żyły końcówkę kroplówki. Na szczęście personel przytrzymał ją, zanim wyciągnęła sobie z nosa rurki, co mogłoby jej poważnie zaszkodzić. Od tego czasu przywiązano ją całą do łóżka, łącznie z nogami i tułowiem.

Po nocy zamieszek z czwartku na piątek sytuacja trochę się uspokoiła i przez następne dwa dni niewiele się działo. Zdarzyło się jednak parę ciekawych rzeczy, o których dowiedzieliśmy się z prasy.

W środę, po dwóch kolejnych wieczorach zamieszek w Paryżu, rząd francuski oficjalnie zakazał wszelkich demonstracji ulicznych na terenie całego kraju. Zakaz był bezterminowy, a w każdym razie miał obowiązywać do zakończenia kampanii wyborczej do Zgromadzenia Narodowego. Równocześnie zakazano działalności siedmiu skrajnie lewicowym ugrupowaniom studenckim. Decyzje te zapadły na posiedzeniu gabinetu, któremu przewodniczył sam de Gaulle.

Najważniejszą z zakazanych grup był Ruch 22 Marca młodego „Dany’ego le Rouge” Cohn-Bendita, który przebywał obecnie w Londynie, ubiegając się o azyl polityczny i pozując do zdjęć przy grobie Karola Marksa – którego, jeśli dobrze zrozumiałem Hilla Gallaghery, dotychczas raczej odrzucał, optując za anarchizmem.

Zakaz działalności siedmiu ugrupowań oznaczał w praktyce, że władze mogły zająć ich siedziby, że nie wolno im było organizować zebrań, wydawać pism ani posiadać kont bankowych. Żaden z tych zakazów nie był specjalnie dotkliwy dla Ruchu 22 Marca, który nigdy nie dysponował oficjalną strukturą organizacyjną.

A w czwartek, czwartek trzynastego czerwca, paryska „Herald Tribune” obwieściła na pierwszej stronie, iż jest bardzo prawdopodobne, że w najbliższych dniach *le General* ułaskawi

tych oficerów, którzy jeszcze siedzieli w więzieniu za osławiony „pucz generałów” w Algierii w roku 1961. Jednym z nich był generał Salan, należący do przywódców puczu, drugim pewien krewki pułkownik, Jean Lacheroy. Puszczona w kurs plotka głosiła, że to część umowy, jaką de Gaulle musiał być zawrzeć z wojskiem, żeby uzyskać jego poparcie. W każdym razie zaś posunięcie to na pewno nie zniechęcało ludzi prawicy do głosowania w nadchodzących wyborach na kandydatów gaullistowskich.

Równocześnie, na drugiej stronie, inny artykuł opisywał, jak zbuntowani studenci Sorbony planują chwilową ewakuację w celu „oczyszczenia domu”. Obawiali się, że policja może ich usunąć pod zarzutem złych warunków zdrowotnych i sanitarnych. Zamierzali więc wyszorować teren, pozbyć się śmieci, a przy okazji wyrzucić grupę młodych chuliganów, którzy zajmowali część rozległych piwnic Sorbony i sami siebie nazywali „secesjonistami z Katangi”. O nich nigdy nie słyszałem, ale mogę zapisać studentom na plus, że zdecydowali się pozbyć śmieci. To był dobry pomysł.

W piątek, w dniu, kiedy Louisa energicznie kopiąc wyszła z komy, policja odebrała Odeon studentom. Obeszło się bez walki. Wszyscy wyszli spokojnie. Lwy przemieniły się w baranki.

Gazety dostarczały mętnych i sprzecznych wyjaśnień. Dla władz najprawdopodobniej przyczyną, a w każdym razie pretekstem do podjęcia tego kroku była chęć usunięcia grupy „najemników”, którzy znaleźli w Odeonie schronienie, wyrzuceni z Sorbony. Zdaje się, że byli to owi „secesjoniści z Katangi”. W zapowiadanej kampanii „oczyszczania” studenci oczyścili też piwnice Sorbony z „najemników”. Nazwa „secesjoniści z Katangi” wzięła się stąd, że jeden z przywódców grupy utrzymywał, jakoby walczył był w Kongo jako najemny żołnierz. Nikt nie wiedział, czy to prawda. Studenci usunęli za jednym zamachem kilka innych uzbrojonych i zorganizowanych grup, ale tylko „secesjoniści” stawiali opór. Tak czy siak, osiemdziesięciu studentów dało sobie radę z trzydziestoma „secesjonistami z Katangi” w niespełna pół godziny i nikt nie odniósł obrażeń. Trudno więc to nawet nazwać „bitwą”.

Bodajże po tym starciu „secesjoniści” schronili się w Odeonie, a teraz, w piątek rano, policjanci zapukali tam do drzwi, pod pretekstem wyłuskania niebezpiecznych, wściekłych „najemników”; a przy okazji zamierzali usunąć całą resztę. Wysłali do teatru młodego lekarza, który pracował w studenckim szpitalu, z wiadomością, że każdy, kto wyjdzie dobrowolnie, nie zostanie aresztowany. Wyszło około stu trzydziestu osób, wśród nich młode studentki z nowo narodzonymi dziećmi, ale spośród siedemdziesięciu pięciu osób, które pozostały, między innymi rannych i personelu medycznego, nikt nie stawiał oporu, kiedy weszła policja. „Secesjoniści z Katangi” najwidoczniej szybko się ogolili i poprzebierali, żeby wyjść w tłumie studentów, ale niektórych rozpoznano i zatrzymano. Wewnątrz policjanci przede wszystkim usunęli wielkie czerwone i czarne flagi powiewające na dachu i zastąpili je trójkolorowym proporcem. Tak więc

trwający od miesiąca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę „dialog kulturalny” dobiegł końca. A Odeon znów przeszedł w ręce państwa.

Popołudniowa prasa pisała o koszmarnych brudach, jakie studenci zostawili w teatrze, zarazem jednak podkreślano, że nie ma żadnych poważniejszych strat, z wyjątkiem magazynu kostiumów, skąd zniknęły wszystkie hełmy, tarcze i włócznie.

Nie mogłem się oprzeć uczuciu pewnej nostalgii. Zastanawiałem się też, co się stało z naszym małym, biednym Komitetem Filmowym. Ale Weintraub, który zatrzymał się wtedy na noc w mieszkaniu Gallagherów, powiedział mi, że zdążyli się ewakuować do Sorbony, gdzie urzędowały prawie wszystkie komitety studenckie. Ale co z dokumentacją, co z filmem? – chciałem wiedzieć. Och, powiedział mi Weintraub, wynieśli to wszystko wcześniej, na dwie godziny przed wkroczeniem policji. W tej samej chwili, kiedy „secesjoniści z Katangi” przenieśli się do Odeonu, oni zaczęli wynosić swoje rzeczy. Pokiwałem z aprobatą głową i zaprosiłem Weintrauba do barku Harry’ego na kielicha.

Tak jak przypuszczała Edith, podtrzymywałem tradycję wieczornych spotkań u Gallagherów, choć obecnie Gallagherów reprezentowała tylko McKenna. Czułem, że Louisa chciałyby, żeby tak było. Być może jestem sentymentalny. Kazałem jednak ich Portugalce, żeby zadbała o alkohol i jak zwykle podawała pieczywo oraz tace z wędliną, oczywiście wszystko na mój koszt. Gościom powiedziałem tylko, że Louisa zachorowała. Jeśli ktoś nawet znał całą prawdę, nikt nie napomynał o próbie samobójstwa. Dopiero w niedzielę, w niedzielę szesnastego czerwca, kiedy zacząłem te notatki, przerwałem wieczorem spotkania i zleciłem Portugalce, żeby pogasiła światła i zamknęła mieszkanie. Wtedy to Weintraub, który nie miał się gdzie podziać, nocował u mnie.

Harry uzgodnił z pokojówką, że będzie przychodziła raz dziennie sprzątać i opiekować się mieszkaniem.

W sobotę karetką przewieziono Louise do Szpitala Amerykańskiego w Neuilly. Zajął się tym pracujący tam znajomy lekarz, kształcony w Ameryce Francuz, z którego usług korzystaliśmy wszyscy, łącznie z Edith i Weintraubem. Zadzwoiłem do niego w piątek wieczorem. To wspaniały człowiek i znakomity lekarz, codziennie zapracowuje się do upadłego. Nazywa się Dax, tak jak pułkownik z powieści Humphreya Cobba, i ma takie samo humanitarne podejście jak tamten pułkownik. Byłem pewien, że wszystko doskonale zorganizuje. Nie miałem specjalnej ochoty towarzyszyć Louisie w tej jeździe; na szczęście zastąpiła mnie Edith de Chambrolet. Stwierdzono już, że nastąpiło pewne, być może nawet poważne, uszkodzenie mózgu. Należało teraz ustalić rozmiary szkód.

Byłem u niej w piątek. Zadzwoiłem rano do Hotel-Dieu i dowiedziałem się, że walcząc i miotając się wyszła z komy.

– Proszę przyjść – powiedziała pielęgniarka – ale najlepiej dopiero pod wieczór.

Kiedy doszedłem do jej łóżka, mijając po drodze inne nieszczęsne, zgrozę budzące łóżka, stwierdziłem, że znikła butla z glukozą i końcówka kroplówki w żyłę, podobnie jak plastikowe rurki w nosie. Ale Louisa nadal była naga i leżała pod namiotem tlenowym, i nadal była przywiązana, przy czym teraz pasy krępowały jej nogi, biodra i klatkę piersiową. Oczy miała szkliste.

Brzuch wyglądał na dziwnie nabrzmiąły, wręcz wzdęty, więc zrobiłem uwagę na ten temat.

– Widzi pan, ona miała dużo wody, dużo płynu w płucach – wyjaśniła mi pielęgniarka po francusku. – To był jeden z najpoważniejszych problemów.

Louisa mogła ruszać głową; odwróciła ją w moim kierunku i popatrzyła błędnym wzrokiem. Przez chwilę milczała.

– Czy ja go znam? – spytała ochryplym szeptem.

– Tak, moja droga – odpowiedziała pielęgniarka, uśmiechnęła się i smutno pokiwała głową.

– Doznała też uszkodzenia gardła – wyjaśniła mi. – Od rurek. Nie wiemy jeszcze, czy to coś bardzo poważnego.

– Jestem Jack – powiedziałem Louisie po angielsku.

– Jack – powtórzyła jakby po raz pierwszy wymawiała moje imię. Angielski sprawiał jej, jak się zdaje więcej trudności niż francuski. Potem uśmiechnęła się sztucznie.

– Witaj, mój drogi! Jak się masz?

Mówiła, jakby z trudem przypominała sobie poszczególne wyrazy.

– Dobrze, dziękuję. Ale przez ciebie nieźle najedliśmy się strachu.

Popatrzyła na mnie, jakby moje słowa wcale jej nie dotyczyły. Potem z powrotem odwróciła głowę w stronę pielęgniarki.

– Czy to jeden z nich? – wychrypiała cicho.

– Nie, moja droga – uśmiechnęła się pielęgniarka.

– To nie jest jeden z nich.

Wstała i powiedziała do mnie:

– Zostawię państwa samych. Muszę wracać. Tyle mam pracy.

Gestem wskazała inne łóżka oddziału.

– Chcą się do mnie dobrać – powiedziała po francusku Louisa. – Chcą ze mną robić różne rzeczy.

– Oni ci uratowali życie – poinformowałem ją po angielsku.

– Oni chcą mi robić okropne rzeczy – powtórzyła Louisa po francusku.

– Nic podobnego. – Trwałem przy angielskim. – Oni próbują ci pomóc. Pomóc ci wyzdrowieć.

– Próbują na mnie różne okropne rzeczy – upierała się Louisa po francusku. – Ja to wiem.

Ciągnięcie tej dyskusji nie miało sensu. Przysunąłem sobie krzesło, które stało przy wezglowiu łóżka, i usiadłem.

– Czy mógłbyś mi trochę rozluźnić pas krępujący rękę? Boli mnie – powiedziała Louisa, tym razem po angielsku, ale dziwnie niepewnie, jakby szukała słów.

– Ja dobrze wiem, co oni robią. Możesz mi wierzyć. Obserwuję ich. Widzę, jak przychodzą i odchodzą. Krażą wciąż koło mnie. Raz są, raz ich nie ma. Naprawdę.

Nic na to nie rzekłem, tylko obejrzałem z bliska spinkę łączącą pasy, które krępowały jej rękę i klatkę piersiową: bardzo mocno ją zaciśnięto.

Muszę przyznać, że byłem zupełnie nie przygotowany na to, co nastąpiło potem. Ledwie odrobinę poluzowałem zapinkę. Ale zanim mogłem zareagować, Louisa kocim ruchem oswobodziła rękę, odpięła pas, który krępował drugą, zgięła się w pół, żeby rozpiąć się w biodrach i przy kolanach, po czym już siedziała, podciągnawszy nogi i odsunawszy namiot tlenowy. Po chwili dotknęła stopami podłogi. Zamurowało mnie.

– Stój! – zawołałem wreszcie. – Stój!

Dałem nura pod namiotem i rzuciłem się za nią całym ciężarem ciała, ale i tak nie udało mi się jej zatrzymać. Walczyła jak tygrysyca, zdawało się, że posiada nadludzką siłę.

– Siostro! – wrzasnąłem.

Pielęgniarka nadbiegła, bardzo skonsternowana, i z drugiej strony łóżka chwyciła Louise za rękę, przygważdżając ją swym drobnym ciałem. Z korytarza nadbiegł nam na pomoc młody lekarz. Wreszcie, we trójkę, udało nam się obezwładnić Louise. Na nowo skrępowaliśmy ją mocno pasami. Staliśmy potem wokół łóżka, ciężko oddychając i patrząc po sobie.

– Nie wolno panu tego nigdy robić! – skarżyła się pielęgniarka. – Nigdy!

– Przepraszam – odparłem dysząc ciężko. – Nie wiedziałem.

– Nie wolno panu tego nigdy robić! – powtórzyła.

– Tak bardzo się staraliśmy, żeby ją odratować!

Nagle załamała rękę w geście rozpacz.

– Wiem, i jestem za to wdzięczny – powiedziałem.

– I przepraszam. Po prostu nie wiedziałem, czym to grozi.

Louisa odwróciła w moją stronę głowę i napotkałem jej szklisty wzrok. Wcale nie wyglądała na wzburzoną czy złą, nawet nie oddychała ciężiej niż przedtem.

– Widzisz – powiedziała do mnie po francusku niezdrowo spokojnym głosem. – Chcą ze mną robić różne rzeczy.

Spojrzałem na nią i spróbowałem się uśmiechnąć. Potem popatrzyłem na lekarza i pielęgniarkę.

– Dziękuję, doktorze – rzekłem po francusku.

– Och, nie ma za co – odparł i wrócił do swoich zajęć.

– Chyba raczej już pójdę – zwróciłem się do pielęgniarki.

– Tak, to dobry pomysł – stwierdziła, nadal skonsternowana. – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale ona będzie teraz zdenerwowana, obawiam się, że popadnie w stan katatoniczny. Zdaje się, że powinnam jej zrobić zastrzyk. Niech się teraz prześpi.

Skinąłem głową i uścisnąłem jej dłoń. Potem, pod wpływem nagłego impulsu pochyliłem się nad jej drobną postacią i pocałowałem ją w policzek.

– Przepraszam.

– Wie pan, ona nie jest sobą.

Znów skinąłem głową, po czym powędrowałem między dwoma długimi rzędami łóżek z ciężko poszkodowanymi.

Na zewnątrz przed szpitalem w słonecznej aurze i pod zieleniącymi się drzewami stałem przez długą chwilę wdychając powietrze, ciągle wstrząśnięty. Czy warto ją było w ogóle ratować? Jeśli ma być taka jak teraz? Należało pozwolić jej umrzeć. Ale z drugiej strony, kiedy ją ratowano, nikt nie wiedział, co z nią będzie. Można było tylko mieć nadzieję i robić, co się da.

Poprawiwszy marynarkę i krawat pomyślałem o Edith i wszedłem do mego ulubionego pisuaru.

Powiedziałem w Hotel-Dieu, że zamierzam przenieść Louise do Szpitala Amerykańskiego. Zapewniono mnie, że będzie przygotowana do transportu. Po powrocie do domu zadzwoniłem do naszego lekarza, a potem do Edith. Następnie zamówiłem połączenie z Harrym w Rzymie. Nie zastałem go za pierwszym razem. Było później niż zwykle i już wyszedł z hotelu. Ale kiedy ponowiłem próbę po godzinie, udało mi się. Właśnie wszedł do pokoju.

– No i co? Jakie wieści? Wyzdrowieje?

– Wyszła ze stanu komy.

– Wiem. Dzwoniłem do szpitala.

– Jutro przenosimy ją do Szpitala Amerykańskiego.

– To dobrze.

Znów nastąpiła dziwna pauza, jedna z tych, które stały się już rutyną naszych telefonicznych konwersacji.

– Więc z tego wyszła.

– Tak, fizycznie chyba wyszła. Ale ma uszkodzone gardło od rurek, które jej musieli wciskać. No i pozostaje kwestia zmian w mózgu. Oni uważają, że pewne zmiany jednak zaszły. Ale nie wiedzą, jak poważne.

– Rozmawiałeś z nią?

– Próbowałem. Ale nie była zbyt rozmowna. Sprawia wrażenie, jakby nie całkiem wiedziała, co mówi. Poza tym wcale mnie nie poznała.

– Nie poznała cię?

– Nie.

– Pewnie na chwilę przedtem nafaszerowali ją jakimiś świństwami – zasugerował po kolejnej pauzie.

Nagle poczułem przemożne zmęczenie.

– To możliwe – powiedziałem. Kolejna pauza.

– No dobrze, w takim razie lecę dalej, do Tel Awiwu – powiedział szorstko Harry. – Absolutnie nic nie mogę dla niej zrobić, kiedy jest w takim stanie. Więc nie ma sensu wracać. Będziemy w kontakcie telefonicznym. Poinformujesz mnie, co się dzieje.

– A jeśli trzeba ją będzie umieścić w sanatorium, Harry?

– Jeśli do tego dojdzie, dasz mi znać, a ja przyślę stosowne upoważnienie. Jeśli będzie trzeba. I zawiadom Edith. Ona się wszystkim zajmie.

– Ale gdzie mam cię szukać?

– W Hiltonie, oczywiście. Zawsze się tam zatrzymuję.

– Muszę ci powiedzieć, że stałeś się bardzo gruboskórny.

– Zapewne. Już mi mówiłeś. Ale tak to zamierzam rozegrać. Więc będziemy w kontakcie. Na razie, Jacku. I dzięki.

Jeszcze czekał, jakby oczekiwał, że coś powiem, że będę mu życzył szczęścia albo że mu pogratuluję dobrego samopoczucia, czy coś w tym rodzaju. Kiedy nic nie usłyszał, odłożył słuchawkę. Ja odjąłem swoją od ucha i długo się w nią wpatrywałem.

W sobotę późnym wieczorem rozmawiałem z lekarzem ze Szpitala Amerykańskiego. Ale niewiele nowego miał mi do zakomunikowania. To był jej pierwszy dzień u nich. Zaczęli serię badań, które będą kontynuować w niedzielę, ale trochę potrwa, zanim wszystkie zrobią, a jeszcze dłużej, zanim będą wyniki. Za to przynajmniej pod względem fizycznym widać ciągłą poprawę.

– Była w stanie śmierci klinicznej – stwierdził ze spokojem.

– Mój Boże, byłoby straszne, gdyby z niej wyszła jako roślinka.

– Niewątpliwie.

Więcej nie powiedział. Na mnie spadł ciężar prowadzenia rozmowy.

– No cóż – zacząłem nieporadnie – dziękuję, w każdym razie.

– A co z jej mężem? Co z Harrym?

– Jest w Tel Awiwie.

– Ugania się za jakąś dziewczyną.

– Myślę, że pracuje nad scenariuszem.

– Wokół kręci się dużo dziewcząt, prawda?

– Być może. Wokół każdego filmu kręcą się panienki.

– Do licha! Wraca czy nie?

– Cóż, myślę, że to w dużej mierze zależy od rozwoju wypadków.

– No dobrze już, dobrze! Świetnie! W porządku, Jacku. Będę cię informował o dalszym postępie. Cześć!

– Cześć.

Miałem już odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszałem jego ciche:

– Jacku?

– Tak?

– Ja nie mogę za ludzi kierować ich życiem. Mogę jedynie próbować ich posklejać po tym, co sobie sami zrobią. Jestem chwalonym, co prawda, ale tylko nowoczesnym mechanikiem. – Rozłączył się.

– Rozumiem – zacząłem, ale już było za późno. Sam też odłożyłem słuchawkę.

Potem zebrałem swoje stare, zmęczone ciało do kupy, zmobilizowałem się, żeby wyjść z domu i poprowadzić ostatnie, jak się później okazało, spotkanie w mieszkaniu Gallagherów. Czułem się jak starzec.

Cóż, przyszli wszyscy. Prawie wszyscy spośród tych, co bywali na tych spotkaniach w ciągu paru tygodni rewolucji. Nie było tylko Gallagherów. Nawet McKenny, która zwykle dodawała spotkaniom uroku swoim dziewczęcym wdziękiem. Krążyłem wśród gości w roli gospodarza. Ale już wtedy czułem, że następnego razu chyba nie będzie.

Nieco później, kiedy pierwsi goście już wychodzili, pojawił się Weintraub. Przyszedł prosto z Sorbony, gdzie przyglądał się ostatniemu sprzątanemu. Studenci, wyposażeni w wielkie kubły wody z mydlinami i miotły, kończyli właśnie usuwać brud i śmieci, jakie nagromadziły się w czasie okupacji. Wśród okrzyków radości ewakuowani na czas sprzątanego studenci mogli powrócić do swoich pomieszczeń.

Ale, jak powiedział Weintraub, powstał kolejny problem. Pod wieczór patrol studencki natknął się na ulicy na mężczyznę dźgniętego w jakiejś sprzeczce nożem. Zabrano go do środka, do punktu sanitarnego. Teraz zaczęły krążyć plotki, że policja zamierza wejść jutro, w niedzielę, na teren Sorbony, żeby odnaleźć tego człowieka i dopilnować, żeby mu udzielono należytej pomocy. Studenci twierdzili jednak, że po udzieleniu owemu mężczyźnie pierwszej pomocy odesłali go do Hotel-Dieu. Natomiast policja utrzymywała, że w Hotel-Dieu nie ma śladu, jakoby przyjęto tam takiego mężczyznę. Była w *tych* jakaś tajemnica. A studenci obawiali się, wręcz mieli pewność, że to tylko pretekst ze strony władz, żeby wejść i pomimo akcji wysprzątania wyrzucić ich z Sorbony.

Miałem ostatnio tak wiele do czynienia z Hotel-Dieu, że od razu stanął mi przed oczyma oddział intensywnej terapii, wyraźnie jak na filmie. Czy ci ludzie, których tak dobrze poznałem w ciągu ubiegłych pięciu dni, mogliby zaprzeczyć, że przyjęli takiego pacjenta, gdyby go

rzeczywiście mieli? Mogliby, pomyślałem, gdyby władze wywarły na nich silny nacisk. W końcu Hotel-Dieu jest szpitalem państwowym.

– Czy mogę cię odprowadzić? – spytał Weintraub. – I wpaść na kielicha?

Był w melancholijnym nastroju.

Większość Amerykanów już wyszła od Gallagherów, pozostali zbierali się do odejścia.

– Czemu nie, Dave? Oczywiście. Chodźmy. Sam też byłem w melancholijnym nastroju.

Kiedy szliśmy pogrążającym się w mroku nabrzeżem, powiedział mi, że Odeon po operacji oczyszczenia nie jest już taki sam. Czuł się nieco zagubiony.

– To po prostu nie to samo. Oczywiście, mogę pójść do Sorbony i tam siedzieć. Ale mało kogo tam znam. A Komitet Filmowy przeprowadza się do Censier. Muszę powiedzieć, że mi ich brak. Wiesz, sporo im pomogłem. Przyproceedziłem im ciebie, przyproceedziłem im Harry'ego.

– Akurat na wiele to się zdało. Powiedz mi, jak oni tam sobie radzą.

– Cóż, utknęli w martwym punkcie. Taka jest prawda. Nie wiedzą, co ze sobą począć, odkąd Harry wyjechał. Mówiłeś, że jest w Rzymie?

– Tak słyszałem. Pracuje nad scenariuszem.

– Przyzwyczaili się polegać na jego zdaniu.

– Myślisz, że teraz im się uda? Mówię o filmie. Zrobią go bez niego?

– Nie wiem. Może. Umilkł.

– Nie – podjął po chwili – to nie cała prawda. Prawda jest taka, że moim zdaniem to się nie da zrobić. Harry zostawił im te wszystkie materiały, które nakręcił z dwójką w rolach głównych. Ale oni nie mają dobrego montażysty. Harry obiecywał im to wszystko załatwić. Kurczę, brakuje mi ich w Odeonie.

– Cóż, szkoda. Ale nie bardzo widzę, co moglibyśmy na to poradzić.

– Ja też nie – odparł ponuro Weintraub. Doszliśmy do mojego domu. W środku zajrzałem do skrzynki pocztowej i wyjąłem z niej telegram. Trudno było czytać w świetle *minuterie*. Wziąłem blankiet na górę, do mieszkania.

Po zapaleniu światła stwierdziłem, że to telegram od Harry'ego z Tel Awiwu. Widocznie poleciał pierwszym samolotem po rozmowie ze mną, skoro tak szybko otrzymałem wiadomość. Przeczytałem: SAM NIE MA TAM GDZIE POWIEDZIAŁA ŻE JEJ MOGĘ SZUKAĆ. SZUKAM DALEJ. BĘDĘ INFORMOWAŁ. HARRY.

Nie widziałem powodu, żeby nie pokazać telegramu Weintraubowi. Oglądał go dłuższy czas. Potem oddał mi powolnym ruchem.

– A więc pojechał. Mógłbym być tam na jego miejscu, gdybym miał pieniądze na podróż. I pieniądze dla nas na życie. Jej było wszystko jedno, kto pojedzie.

– Przypuszczam.

Wyglądał przez okno na drugą stronę rzeki, na światła Lewego Brzegu.

– Cóż, to było niezwykle doświadczenie. Coś, co trafia się raz na sto lat. Wielkie przeżycie.

– Nie jestem pewien, czy mogę się z tym zgodzić. Nalałem nam obu.

– Co byś powiedział na to, żeby pójść na Boulevard St.-Germain, kupić u Wimpy'ego po hamburgerze i przejść się trochę po Dzielnicy Łacińskiej? – spytał Weintraub zduszonym głosem. – Dziś tam jest spokojnie.

– Dobrze. Czemu nie?

Rozdział dwudziesty ósmy

W sobotę szesnastego Sorbona, jak wiadomo, padła. Tego samego dnia Weintraub dał się poturbować policji. Wszystko co Weintraub mi opowiedział w sobotę wieczorem – o mężczyźnie dźgniętym nożem, o studenckim punkcie sanitarnym i o Hotel-Dieu – sprawdziło się co do joty. Całą historię można było przeczytać w gazetach.

W niedzielę zaś rozpocząłem niniejsze... jak to nazwać? Dochodzenie? Badanie? Ten gniot.

Jak mówiłem, w niedzielę były demonstracje i wiele starć ulicznych. Przez cały wieczór dochodziło do krótkich, lecz gwałtownych potyczek między studentami i policją, ale gaz łzawiący i ślepe granaty stosowano z umiarem. Policja miała teraz nową taktykę, która polegała na atakowaniu i rozpraszaniu studentów, zanim zdążą zbudować nowe barykady; zresztą prawie cała Dzielnica Łacińska została już wyasfaltowana, więc trudno było o kamienie brukowe. Myślałem o „modernizacji” Paryża przez położenie nowej nawierzchni. W każdym razie taki stan rzeczy pomagał policji i nie ulegało wątpliwości, że studenci przegrywają.

W poniedziałek doszło do dalszych walk ulicznych w dzielnicy, ale przypominały one raczej doroczne tradycyjne utarczki studentów z policją z okazji inauguracji Sorbony. Tak zwana „rewolucja”, prawdziwa „rewolucja” i „prawie” rewolucja dobiegała końca.

Najważniejsza jednak wiadomość z poniedziałku siedemnastego czerwca dotyczyła głosowania, w którym robotnicy zakładów Renault postanowili wrócić do pracy. Ponad siedemdziesiąt procent głosowało za ponownym podjęciem pracy. To oznaczało koniec. Studenci zostali teraz sami. W zamian za swą decyzję robotnicy Renault dostali czternastoprocentową podwyżkę, połowę normalnego wynagrodzenia za okres strajku oraz nowe uprawnienia dla związków zawodowych i inne ustępstwa na terenie zakładów.

Poza tym wydarzyło się jeszcze coś: paryscy taksówkarze nieoczekiwanie powrócili na ulice miasta, zaskakując stęsknionych za nimi klientów sześćdziesięcioprocentową podwyżką opłaty za złamanie licznika. Do czasu zmiany liczników na szybach tylnych drzwiczek pojawiły się informacje w czterech językach, że każdy kurs kosztuje o dwa franki dwadzieścia pięć centymów więcej (czterdzieści pięć centów). Zwiększono też opłaty za przewóz bagażu i za kursy z dworców i lotnisk.

Wszystko się kończyło i Weintraub wpadł do mnie wieczorem w poniedziałek. Nie był już takim optymistą jak poprzedniego wieczoru. Studenci rezygnowali, całymi grupami szli do domów. Ciągle jeszcze zajmowali Censier, ale i stamtąd tłumnie wychodzono; zostali tylko desperaci. Weintraub wpadł tam w ciągu dnia.

– No a co z Komitetem Filmowym?

– Mało kto z Komitetu się jeszcze pojawia. W ogóle przestali kręcić. Przewodniczący Daniel gdzieś przepadł.

– Pewnie wrócił do Rosji.

– Tak. Może. Naprawdę uważasz...?

– Te drucziane okulary – bąknąłem.

– Tak... Ale jednak zawsze myślałem, że jest za młody na agenta.

– Oni wcześniej zaczynają.

– Może – odparł bez przekonania. Był bardzo przygnębiony.

– A co z małą Anne-Marie? Co robi ta dziewczynka-komisarz?

– Nie ma jej. Przypuszczalnie organizuje gdzieś walki uliczne.

– A Terri?

– Wcale się nie pokazuje.

– A Bernard?

– *Non plus.*

– Zdaje się, że to już koniec – powiedziałem z pewną dozą współczucia.

– Na to wygląda.

Stał w otwartym oknie, opierając łokcie na barierce balkoniku i wpatrując się w rzekę. Potem odwrócił się do mnie i uśmiechnął smutno. Osuszył szklanke.

– Cóż, zdaje się, że trzeba będzie wrócić do tej cholernej harfy. Boże, jak ja nienawidzę tego instrumentu!

– Ale za to, jak sam mówiłeś, spotkało cię „wielkie przeżycie”.

Rozpromienił się.

– Tak! To ze wszech miar zasługa Sam! W moim wieku, jak się ma czterdzieści cztery lata, trudno oczekiwać wielu równie wspaniałych prezentów od losu.

Zauważyłem, że odjął jeden rok z czterdziestu pięciu, do których się zwykle przyznawał.

– Co byś powiedział na to, żebyśmy wybrali się na St.-Germain i zjedli po hamburgerze u Wimpy’ego?

– Nie dzisiaj, Dave. Jestem za bardzo przygnębiony.

Spojrzał na mnie i jego drobna, starzejąca się żydowska twarz złagodniała nagle w wyrazie pełnego delikatności współczucia.

– Jak się ma Louisa?

– Nie za dobrze. Jej ciało coraz szybciej wraca do normy. Ale wiele wskazuje na to, że zmiany w mózgu mogą być poważniejsze, niż przypuszczaliśmy. Jest obawa, że może skończyć jako roślina.

– Dobry Boże – powiedział, a raczej westchnął.

– Ja też tak to odbieram.

- Cóż, to ja już sobie pójdę. Po chwili milczenia dodał:
- Ale będziemy się widywać. Spotkamy się wkrótce. Dobrze?
- Na pewno, Dave. Napijesz się strzemiennego?
- Nie, dzięki. I wyszedł.

Patrzyłem z okna, jak maszeruje nabrzeżem, a potem mostem, mijając małe czarne samochody policyjne, które nadal pilnowały naszego krańca Pont de la Tournelle.

A potem stałem po prostu, patrząc na ciemną rzekę.

W popołudniowym wydaniu „Le Monde” był mały artykuł, z którego wynikało, że władze szykują specjalny program pomocy gospodarczej, żeby umożliwić francuskim przemysłowcom zneutralizowanie szkód powstałych w wyniku miesięcznych strajków. Tak więc koszta Wielkich Wakacji powoli się sumowały, nadchodziła pora przedstawienia rachunku.

Wpatrywałem się w rzekę.

Po południu wybrałem się do Szpitala Amerykańskiego w odwiedzinach do Louisy. Rozmawiałem potem z zaprzyjaźnionym lekarzem, który nie robił dużych nadziei. Wręcz przeciwnie. A ja, tuż po wizycie u Louisy, mogłem się z nim tylko zgodzić.

Kiedy pielęgniarka wprowadziła mnie do separatki, nie miałem wątpliwości, że Louisa mnie nie poznaje. Jej oczy nie były już szkliste, tylko okrągłe jak spodki i błędne, roziskrzzone. Przedtem, w Hotel-Dieu, mogła coś niecoś, choć z trudem, powiedzieć. Teraz nie mówiła nic.

– Mówi trochę po francusku – poinformowała mnie rzeczowo pielęgniarka. – Ale angielski chyba zupełnie zanikł.

Kiwnąłem głową.

– Niech się pan nie dziwi, jeśli pana nie pozna. Znowm mogłem tylko niemo potaknąć.

– Proszę wejść – zachęciła mnie uśmiechem pielęgniarka.

Skinąłem głową, wszedłem do separatki i usiadłem na krześle przy łóżku.

– Louiso? Jak się masz, Louiso? Tu Jack. Odwróciła się i spojrzała na mnie rozjarzonym wzrokiem. Była starannie przywiązana do łóżka.

– Jack – powtórzyłem.

– Ja... – zaczęła. – Ja...

– Tak, Jack. Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz, i sprawdzić, czy dostałaś moje róże.

Wpatrywała się we mnie.

Rozejrzałem się po pomalowanym na zielono pokoju. Był słoneczny i przestronny. Dwa tuziny róż, które jej posłałem, stały w wazonie na biurku, znajdującym się obok łóżka. Pielęgniarka wskazała je gestem głowy i uśmiechnęła się do mnie. Były niebrzydkie. Prawdę mówiąc, całkiem ładne. Louisa nie widziała ich ani nie czuła ich zapachu.

– Dobrze, Louiso, wpadnę innym razem. Postaraj się szybko wyzdrowieć.

Wstałem i normalnym krokiem wyszedłem z separatki, choć miałem ochotę zerwać się i wybiec. W hallu przystanąłem, oparty o ścianę, z twarzą w dłoniach.

Płakałem, nie umiałem się powstrzymać.

Pielęgniarka wyszła za mną.

– Przykro mi, panie Hartley. Ale wie pan, może jej trochę pomoże choćby to, że pana widziała. Teraz jeszcze trudno wiedzieć z góry.

– To ja przepraszam.

Wyjąłem chusteczkę. Nagle odniosłem wrażenie, że powtarzam te trzy słowa przez całe życie. Czmychnąłem korytarzem i opuściłem szpital, a następnie wsiałem do taksówki.

Kiedy później, pojeździe taksówką przez rozświetlone miasto, zadzwoniłem do lekarza, do jego gabinetu przy avenue Hoche, nie robił dużych nadziei.

– Jej stan chyba się pogarsza. Wyniki badań są coraz gorsze. Nic nie możemy na to poradzić.

– Może jakaś operacja? – spytałem niepewnie.

– Nie ma takich operacji. Nie przy dzisiejszym stanie medycyny. Prądy elektryczne w mózgu należą do najśłabszych prądów znanych człowiekowi. W chirurgii nie ma elektryków. Dysponujemy tylko skalpelami.

– Więc pewnie powinniśmy się postarać o sanatorium.

– Jeszcze nie w tej chwili. W każdym razie chciałbym ją zatrzymać w szpitalu jeszcze na parę dni. Może na dłużej. Trzeba ją jak najsumienniejsz przebadać.

– Porozum się lepiej z Edith.

– W porządku. Już z nią zresztą rozmawiałem. Zaraz potem sam zadzwoniłem do Edith. O wszystkim wiedziała. Rozmawiała z lekarzem, a nawet była w szpitalu.

Siedziałem w ponurym nastroju, póki nie przyszedł Weintraub.

A teraz, po jego wyjściu, stałem po prostu w oknie i wpatrywałem się w rzekę, w mroczną rzekę.

Po drugiej stronie rzeki w Dzielnicy Łacińskiej jeszcze trwały walki. Trzaskały granaty z gazem łzawiącym, huczały ślepe granaty. Ale z rzadka.

A poniżej okna, w zakątku mostu dwa brzydkie czarne żuki wciąż czekały cierpliwie na to, co przyniesie los.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kiedy we wtorek wróciłem ze Szpitala Amerykańskiego, po kolejnej daremnej próbie rozmowy z Louisą, zastałem w skrzynce kolejny telegram od Harry'ego.

Był krótki: ZNALAZŁEM SAM.

W pierwszej chwili miałem ochotę zgnieść blankiet w furii i podrzeć na drobne kawałki. Ale pohamowałem się i zaniósłem go na górę. Stwierdziłem, że trzeba go włączyć do dokumentacji. Jeśli moje notatki można nazwać dokumentacją.

Potem, kiedy patrzyłem na stempel datownika na telegramie, coś mi nagle zastukało w głowie, jakby ktoś lekko pukał do drzwi. Którego dziś mamy? Wtorek osiemnastego czerwca? W takim razie urodziny McKenna przypadają w czwartek. McKenna urodziła się dwudziestego czerwca.

Jakże mogłem o tym zapomnieć? Natychmiast zadzwoniłem do Edith. Na szczęście była w domu. Właśnie weszła.

– Wielki Boże! – powiedziała przerażona. – Ja też o tym kompletnie zapomniałam. Jak mogłam nie pamiętać?

– O której ona wróci do domu?

– Za jakieś pół godziny.

– Zaraz u ciebie będę.

Wysiadłem z taksówki przed staromodną, kutą bramą wjazdową domu Edith, koło avenue de la Grandę Armee. Był tam ogródek, w którym rosło kilka wysokich drzew, i przylegający do domu garaż. Grzeczny, miłkiwy portier wpuścił mnie bez słowa. Tylko się uklonił. Okazało się, że McKenna zdążyła przyjść przede mną. Wybiegła mi naprzeciw, a ja wziąłem ją na ręce.

– Ciocia Edith i ja chcemy ci urządzić przyjęcie urodzinowe – powiedziałem wesoło. – Skoro mama jest chora, a tata musiał wyjechać.

Spojrzałem na Edith.

– Pomyślałem sobie – ciągnąłem – że może byłoby zabawnie, gdybyśmy zaprosili twoich kolegów i koleżanki, jak wtedy, kiedy urządziliśmy przyjęcie u mnie w domu, w pierwszym roku nauki.

McKenna spojrzała na mnie swoimi nowoangielskimi niebieskimi oczyma. Przed chwilą odstawiłem ją na ziemię.

– Wołałabym nie – powiedziała.

– Wołałabyś nie? Ależ będzie pyszna zabawa. Tak jak wtedy u mnie.

– No, kochanie – włączyła się Edith. – Zrobimy śmieszne kapelusze z bibułki, postaramy się

o nagrody, będzie mnóstwo balonów i gier. Będzie świetna zabawa.

– Wołałabym nie – powtórzyła McKenna.

W głowie huczało mi zdanie opatrzone wielkim znakiem zapytania: Czy ona wie? Ile wie? Uśmiechnąłem się do niej.

– Dobrze, moja droga. Skoro nie chcesz. Zrobimy małe przyjęcie, dla dorosłych. Co ty na to? Czy chciałabyś, żebyśmy zaprosili kilkoro twoich dorosłych przyjaciół? Z tych, co przychodzili do waszego domu w czasie Rewolucji?

– Nie – odparła McKenna.

– Dobrze. Więc zrobimy całkiem małe przyjęcie.

Tylko dla nas trojga. Jak ci się to podoba? Po prostu nie mogę znieść myśli o tym, że twoje urodziny mogłyby się obyć bez przyjęcia. Byłbym niepokieszony.

– Zgoda – powiedziała McKenna. – Myślę, że tak będzie najlepiej.

A potem nagle podbiegła do mnie, objęła mnie za uda i ukryła w nich twarz.

– Och, wujku Jacku!

– Co się stało, kochanie? O co chodzi? Co ci jest? Nie odpowiedziała. Ścisnęła mnie bardzo mocno za nogi, potem puściła i spojrzała mi w twarz. Oczy miała suche.

– Myślę, że tak będzie najlepiej – powiedziała poważnie.

– Dobrze. W takim razie ja się wszystkim zajmę. Sprawię sobie śmieszny kapelusz, ciocia Edith też. Ty nie musisz, jeśli nie chcesz.

– Chcę.

– Nie musisz, jeśli uważasz, że to dziecinada. Ale pęknieś ze śmiechu, jak zobaczysz swojego starego wujka Jacka w śmiesznym kapeluszu z bibułki.

Nagle się rozpromieniła. Poczujęm się, jakbym zdobył złoty medal. Natomiast Edith nadal miała poważną twarz.

– Nie martw się. I ty się też nie martw, ciociu Edith – powiedziałem. – Ja się wszystkim zajmę. To moje przyjęcie. W końcu przecież jestem ojcem chrzestnym.

Pocałowałem je obie i wyszedłem, odebrawszy przy wyjściu ukłon portiera. Poszedłem do Grandé Armeé, żeby tam poszukać taksówki. Po prostu nie mogłem znieść myśli, że miałbym czekać u nich, aż ją dla mnie zamówią.

Pojechałem prosto do najbardziej ekskluzywnego sklepu z zabawkami w Paryżu, do Nain Bleu.

Następnego dnia moim celem był Bazar de l'Hotel de Ville.

Tak więc w czwartek dwudziestego czerwca mieliśmy przyjęcie urodzinowe. W trakcie zabawy wszedł portier, uroczyście niosąc olbrzymie pudło z lalką, co robi najróżniejsze rzeczy. Z całą powagą wręczył prezent „młodej panience”. Najwyraźniej kupił go z własnej inicjatywy, nikogo nie pytając. Najwyraźniej bardzo ją lubił. A może wiedział o całej historii?

McKenna przyjęła prezent z równą powagą.

– Dziękuję, Charles – powiedziała.

Potem nalegała, żeby włożył kapelusz z bibułki i zadał w rozek. Spełnił jej życzenia z wielkim namaszczeniem. Potem usłyszał, że musi zjeść lody i ciastko, co spełnił z takimż namaszczeniem i pieczołowitością.

Kiedy przyjęcie dobiegło końca, uścisnąłem McKennę, uścisnąłem dłoń Edith i wyszedłem. Taksówkarzowi kazałem się zawieźć prosto do domu. Miałem już wielką ochotę na whisky.

Ale kiedy samochód mijał Pont Louis-Philippe, tnąc w pędzie ciepłe letnie powietrze, i wjeżdżał w cień wielkich drzew, nagle zmieniłem zdanie: kazałem kierowcy stanąć koło Brasserie. Zapłaciłem, wszedłem do środka i zamówiłem sobie wielki kufel piwa, największy, jaki mieli, „wspaniały”. Słońce wdzierało się przez otwarte okna i drzwi, złocistymi pręgami przecinając zakurzoną podłogę. Dzień był cudowny. Obserwowałem, jak wilgoć perliła się na zimnym kuflu i stopniowo spływała strużkami. *Madame Dupont, Mile Dupont*, szwagier Marcel i sam mistrz z uśmiechem buldoga, wszyscy byli obecni. I wszyscy pytali o *madame* Gallagher. Powiedziałem im, że ma się dobrze. Nie pozwolili mi zapłacić.

Kiedy uścisnąłem wszystkim dłoń i wyszedłem na dwór, usłyszałem wysokie, piskliwe tony tanich gwizdawk. Uświadomiłem sobie, że słyszałem je już wcześniej, w środku, przez otwarte okna, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Dźwięki dobiegały z okolic starego Baileyowskiego Pont St. Louis, więc poszedłem w tamtym kierunku. Dwóch młodych ludzi, właściwie nastolatków, z długimi włosami i brodami, w dżinsach, niemal na pewno studentów, siedziało na deskach opierając się o barierkę i na dwa głosy grało na tanich fletach wiązankę starych angielskich i szkockich piosenek marynarskich. Dziarskie, piskliwe melodie dźwięczały w powietrzu, unoszone bryzą na wyspę i w górę rzeki. Na deskach mostu, między wyciągniętymi nogami grających, leżała stara czapka. Niektórzy przechodnie wrzucali do niej po monecie.

Stałem i patrzyłem na nich. To już koniec. To już naprawdę koniec. No cóż, wiele rzeczy dobiegało końca.

Tak, wiele rzeczy dobiegało końca. Choć ci chłopcy mogli o tym nie wiedzieć, jak wiedziałem przypadkiem (powiedziała mi o tym oburzona *madame* Dupont), że stary, pordzewiały, zielony most Baileyowski się wali i że paryski magistrat ma zamiar zbudować na jego miejscu nowy, nowoczesny most z czteropasmową jezdnią.

Dupontowie walczyli przeciw temu projektowi zajadle, podobnie jak inni mieszkańcy wyspy, ale przegrali i rada miejska przegłosowała wymianę mostu.

Tak więc stałem i patrzyłem na nich, na młodych flecistów. Po dłuższej chwili wszedłem po schodach na sam most. Siedzieli dokładnie pośrodku. Wrzuciłem do starej czapki banknot dziesięciofrankowy, potem zmieniłem zdanie i dorzuciłem jeszcze dwa takie same. Chłopcy

przestali grać i popatrzyli na mnie zaskoczeni.

– Jesteście studentami? – spytałem.

– Tak, proszę pana – odparli jednogłośnie.

– Podoba mi się wasza muzyka – wyjaśniłem i wzruszyłem ramionami.

Rozpromienili się.

– Dziękujemy panu.

– Czy mogę zobaczyć? – Mieli przed sobą plik nut i grali z nich, nie z pamięci.

– Oczywiście. Prosimy.

Były to wszystko piosenki, które już kiedyś słyszałem, ale których tytułów nie znałem. Przegłędając spłowiałe, wymięte kartki z oślimi uszami, natrafiłem na takie tytuły jak: *Lord Randal*, *Gude Wallace*, *The Bonnie House of Airlie*, *The Jolly Young Waterman*, *I Attempt from Love's Sickness to Fly*.

– Dziękuję.

Starannie złożyłem nuty w plik i odłożyłem je na deski.

Odwróciłem się i zszedłem z mostu. Piskliwa, niezwykle dziarska muzyka towarzyszyła mi wraz z lekką bryzą, gdy w wydłużających się promieniach słońca zmierzałem do domu.

Koniec@